

Van Wormer Laura

Tylko na lato

To błąd - wiedzieć za dużo...

Niezwykłe losy Mary Liz Scott, która w wieku lat trzydziestu dwóch rzuca intratny zawód inwestora bankowego, by zadowolić się skromną rentą.

Dlaczego to robi? Czy widziała zbyt wiele?

Co sprawia, że trafia do eleganckiego kurortu East Hampton i przyjmuje ostatnie zlecenie - tylko na lato?

Kim naprawdę był dla niej tragicznie zmarły producent filmowy Alfred Hoffman i dlaczego zginął?

Czy kolejne morderstwo ma związek ze sprawą Hoffmana i czy morderca wie, jak wielu rzeczy domyśla się Mary?

I wreszcie - czy znajdzie się ktoś, kto zdoła jej pomóc?

PROLOG

- Jesteś smutna? Tylko tyle? - wykrzyknęła Sheila do sekretarki działu. - Powinnaś być raczej wściekła! Nauczylismy Mary Liz wszystkiego, a ona awansuje, po czym odchodzi!

Przyjęcie pracownicze, odbywające się na najwyższym piętrze wieżowca, ponad dachami Chicago, znalazło się w martwym punkcie. Wspólnicy, handlowcy, analitycy, akwizytorzy, urzędnicy i sekretarki odwrócili się, patrząc na nią z napięciem.

- Tak, Mary Liz odchodzi od nas nieodwołalnie - potwierdziła Sheila.

Sheila, przeszło pięćdziesięcioletnia wspólniczka „Reston, Kellaher” związana była z firmą od trzydziestu czterech lat. Uważała, że dzisiejsze młode bizneswoman są niewiele warte i tylko Mary Liz stanowiła wyjątek w jej ocenie. Jednakże w chwili, gdy Mary Liz złożyła rezygnację, straciła w oczach Sheili wszystko.

Harold, „starszy” wspólnik - mający zaledwie trzydzieści pięć lat - odchrząknął i przejął inicjatywę.

- Myślę, że to równie dobra chwila, jak każda inna, żeby wznieść toast - powiedział, a wokół rozległ się szmer zachęty.

Mary Liz zauważyła wróża, siedzącego w kącie pokoju i obserwującego ją uważnie. Ktoś wpadł na genialny pomysł zafundowania jej na odchodne horoskopu.

6

- Mary Liz Scott pracowała dla nas przez ponad dziesięć lat - zaczął mówić Harold. - Przeszła szkolenie, pracowała w różnych działach, a następnie została zatrudniona w dziale badań jako młodszy analityk. Pracując w dzień, wieczorami uczyła się na Uniwersytecie w Chicago, gdzie uzyskała stopień magistra. - Uśmiechnął się. - W przeciwieństwie do karcących słów, które usłyszeliście przed chwilą - rzucił Sheili znaczące spojrzenie - to ona wiele nas nauczyła. Dzięki niej zyski „Reston Kellaher” znacznie się zwiększyły w ciągu ostatnich ośmiu lat. Chciałbym jej więc serdecznie za to podziękować.

Rozległy się ciche głosy aprobaty.

- Prawdę mówiąc, tylko w tym kwartale dzięki Mary Liz nasza firma zyskała osiemnaście milionów dolarów!

- To moja premia dla ciebie, Haroldzie - powiedziała Mary Liz znad plastikowego kubeczka z szampanem, a wówczas wszyscy się roześmieli.

- Ponieważ nikt się nie cieszy z jej odejścia - mówił dalej Harold z uśmiechem - nikt też nie może powiedzieć, że będzie kiedykolwiek żałował, iż była częścią naszej rodziny...

- Ale tylko dlatego, że Mary Liz nie przechodzi do konkurencyjnej firmy - zawołał Roger. - Gdyby nie odchodziła w ogóle z biznesu, spróbowalibyśmy ją zabić.

Wszyscy znów wybuchnęli śmiechem. Ale była to prawda. Odejście w wieku trzydziestu dwóch lat z bankowości inwestycyjnej było dziwaczne, lecz wybacalne; przejście do innej firmy skazywało delikwenta na wieczną nieprzyjaźń dawnych kolegów.

- Nadal twierdzę, że jesteś stuknięta, Mary Liz - zawołał akwizytor. - Każ sobie zapłacić za wszystko, co tutaj przeszłaś.

7

- Nie odchodzi przecież stąd bez grosza - parsknęła Sheila.
 - Jeśli Mary Liz pragnie trochę normalnego życia - powiedziała sekretarka, która wciąż miała smutną minę - to nie rozumiem, czemu wszyscy są tacy przygnębieni. Pan Tra-plinger zrobił to samo.
 - Pan Traplinger miał czterdzieści sześć lat, żonę, dzieci i ubiegał się o stanowisko burmistrza w swoim mieście - wyjaśniła Sheila. - A Mary Liz nie ma żadnych obowiązków ani planów na przyszłość.
 - Żadnych planów, o których miałabym ochotę mówić
 - poprawiła ją nieśmiało Mary Liz. Jednakże Sheila miała w gruncie rzeczy rację - Mary Liz naprawdę nie wiedziała, co chce robić, poza jednym - uciec stąd, gdzie pieprz rośnie.
- Przez te dziesięć lat rzeczywiście zgromadziła sporo pieniędzy i zrobiła karierę, zapłaciła jednak za to wysoką cenę
- poza pracą nie miała praktycznie żadnych wspomnień, rozpadły się jej dwa związki - jeden długi, jeden krótki. Zaangażowała się w nie zresztą, zdając sobie od początku sprawę, że nie są to właściwi mężczyźni. Poznała ich właśnie w pracy, ale gdzie indziej mogła poznać? Przez dziesięć lat nie miała czasu na życie towarzyskie.
 - Ja również chciałbym wnieść toast! - zawołał Roger, ku wyraźnemu niezadowoleniu Harolda, który nie lubił, kiedy odbierano mu głos. - Chcę wypić za zdrowie kobiety, z którą przyjaźnię się od dziesięciu lat - mówił Roger, wznosząc wysoko kieliszek. - Mary Liz jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem i...
 - I tak się z tobą nie prześni - zażartował specjalista giełdowy, wywołując ogólny śmiech. Zadurzenie Rogera w Mary Liz od lat było tajemnicą poliszynela.
 - Zamknij dziób - burknął Roger. - Na czym to ja sta-

8

nałem? Ach, tak. Chcę wypić za zdrowie Mary Liz, która jest nie tylko geniuszem...

- Bez przesady - zaprotestowała Sheila, jeszcze raz wywołując zbiorową wesołość.

- .. .ale również jedną z najmiłszych, najbardziej uprzejmym i godnym zaufania osób, z jakimi się zetknąłem.

- I tak się z tobą nie prześpi! - powtórzył giełdowiec.

- Pragnę również powiedzieć - mówił dalej Roger, nie zważając na zaczepki - że Mary Liz Scott ma wspaniałą intuicję, jeśli idzie o działalność bankową w dziedzinie inwestowania w papiery wartościowe.

Mężczyźni powitali to oświadczenie pomrukiem uznania, kobiety jęknęły lub nie odezwały się w ogóle, nie czując się swobodnie na tym terenie.

- Wszystkiego najlepszego, Mary Liz! - zakończył Roger, odwracając się, by spojrzeć na bohaterkę swej laudacji - Życzę ci, żeby twoje nowe życie było pełne radości. I żebyś nie zapomniała o swoich przyjaciółach w „Reston, Kellaher”, którzy zawsze będą cię kochali i tęsknili za tobą!

Szczerze uczucie w jego głosie wzruszyło wszystkich. Wokół rozległy się szepty: „Brawo, brawo!”, Mary Liz zaś poczuła dziwne ściskanie w gardle.

- Panno Scott - zawołała od drzwi recepcjonistka - przepraszam, że przeszkadzam, ale Hanna przyszła się z panią zobaczyć.

- Hanna?-spytał Roger.-A któż to jest Hanna?

- Sprzątaczką - odpowiedziała recepcjonistka.

- Przyjaźnisz się ze sprzątaczką, Mary Liz? - zdziwiła się Sheila.

- Prawdę mówiąc, tak - odparła Mary Liz, wychodząc z sali konferencyjnej do recepcji.

Z początku nie poznała Hanny, która stała tuż za drzwiami

9

w wyjściowym ubraniu. Zamknęła za sobą drzwi, a kobieta rzuciła się ku niej tak impulsywnie, że Mary Liz omal nie straciła równowagi na swych wysokich obcasach.

- Niech cię Bóg błogosławi, niech cię Bóg błogosławi, Mary Liz! - zaczęła płakać wczepiona w nią Hanna.

- Ciii... Dobrze, już dobrze - Mary Liz poklepała ją uspokajająco po plecach, po czym powiedziała do recepcjonistki, która gapiła się na nią okrągłymi ze zdumienia oczami: - W porządku, dziękuję. Może zostawisz nas same, dobrze?

Gdy recepcjonistka odeszła, odsunęła Hannę i trzymając ją za ramiona, powiedziała cicho:

- Po prostu nie chciałam, żebyś się martwiła. Masz tyle problemów, a dzieci zasługują na dobry start w nowe życie.

Na te słowa Hanna rozplakała się znowu. Jako bośniacka wdowa wojenna z dwójką dzieci znalazła się w Stanach dzięki pomocy miejscowego kościoła. Dostała tu pracę sprzątaczką oraz nieduże dwupokojowe mieszkanie.

Niestety, mieszkała w nie najlepszej dzielnicy Chicago. Szkoły, do których posłała swoje dzieci, nie mogły się pochwalić wysokim poziomem nauczania, wśród uczniów zaś królowała przemoc i demoralizacja. Jedno z dzieci Hanny, które i tak niemało widziały i wycierpiały w swoim krótkim życiu, zostało już dwa razy pobite, co oczywiście pogłębiało ból i troskę ich matki.

Krótko mówiąc, w ubiegłym tygodniu Hanna załamała się i pewnego wieczora wypłakała na ramieniu Mary Liz wszystkie swoje nieszczęścia. Opowiedziała, jak to bezskutecznie próbowała różnych możliwości: chciała umieścić dzieci w szkole prywatnej (ale skąd wziąć pieniądze?), przeprowadzić się (ale dokąd?), wreszcie wspomniała tęsknie o szkole parafialnej w pobliżu domu, w którym mieszkali...

10

I oto właśnie wczoraj Mary Liz udała się do owej szkoły i opłaciła chesne za dzieci Hanny za kilka lat z góry, poczynając od najbliższego poniedziałku.

Czemu nie? Sama nie miała dzieci, a jej rodzicom i braciom wiodło się dobrze. Dlaczego nie uczcić początku nowego życia szlachetnym darem dla pokrzywdzonych przez los?

Drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się i wyrzła zza nich Sheila.

- Nie uciekła. Obejmuje właśnie naszą sprzątaczkę - doniosła uczestnikom pożegnalnego przyjęcia.

Mary Liz cofnęła się i rzuciła Hannie ostrzegawcze spojrzenie. Za skarby świata nie chciała, żeby ktokolwiek dowiedział się o jej postępkach. Jej partnerzy-multimilionerzy zamordowaliby ją za „zainicjowanie trendu”, podkreślając że takie spontaniczne datki na rzecz ofiar wojny w byłej Jugosławii, to nie jest zorganizowana dobroczynność i że w związku z tym ofiarowanych pieniędzy nie można odliczyć od podatku.

- Hanna przyszła się ze mną pożegnać - wyjaśniła Mary Liz Sheili.

- Tak, już sobie idę - powiedziała Hanna, ocierając łzy i uśmiechając się jednocześnie.

O dziwo, Sheila wyraźnie zmiękła.

- A może zaprosisz ją na kawałek ciasta, Mary Liz? I niech zabierze trochę kanapek do domu.

I tak Hanna, uboga bośniacka sprzątaczką, przyłączyła się do zamożnych pracowników firmy na pożegnalnym przyjęciu wydanym na cześć Mary Liz. Piła lemoniadę, jadła sałatkę z makaronem i skrzydełka kurczaka, nie spuszczać wdzięcznego spojrzenia ze swej dobrodziejki, co z kolei sprawiało, że Mary Liz czuła podejrzaną wilgoć w oczach.

To prawda - życie może być wspaniałe.

11

Kiedy przyjęcie wreszcie się skończyło, Mary Liz została z wróżem w swoim gabinecie. Na jego prośbę wyszła z biurka i usiadła na krześle, on zaś, nim zaczął z nią rozmawiać, ujął jej dłoń i przytrzymał przez chwilę, wyjaśniając, że musi pozwolić jakimś „prądom” przepłynąć przez siebie, co oczywiście nie będzie mu przeszkadzać w odpowiadaniu na jej pytania, a zatem może je zadawać, kiedy tylko zechce.

Mary Liz nie spytała go jednak o nic. Za bardzo się bała.

- Czeka cię wielka przygoda - powiedział wreszcie. - Przygoda, która ma coś wspólnego z wodą. Z wielką ilością wody.

- Oho, chyba jezioro Michigan nie wystąpi z brzegów?

- zażartowała.

- Nie, nie wystąpi - rzekł cierpliwie, uśmiechając się.

- Widzę morze, ocean, ogromną piaszczystą plażę. Drzewa.

- Umilkł. - To niezwykle piękne miejsce.

- Hm, rzeczywiście myślałam o wyjeździe na Hawaje

- przyznała. Wróż skinął głową, choć zdawało jej się, że jego jasnowidzące oczy widzą coś innego niż hawajskie plaże. Nie powiedział nic, bo widocznie uprzejmość nie pozwalała mu jej zaprzeczyć.

- Wyczuwam również nową miłość. Prawdziwą, wielką miłość. - Ich spojrzenia się spotkały. -

Naprawdę. Widzę mężczyznę, który może być największą miłością twego życia.

Mary Liz była wściekła na siebie za to, że jej serce zaczęło bić w tej chwili jak szalone.

- On... nie jest żonaty. Przeżył jakąś tragedię. - Nagle uśmiech zniknął z jego warg, przechylił lekko głowę. - Czy zamierzasz podjąć jakąś nową pracę?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała.

- Ale tak właśnie się stanie. I to wkrótce. - Popatrzył na

12

nią z zakłopotaną miną. - Widzę ogromne bogactwo, ale nie należy ono do ciebie. A poza tym... - rozłożył ręce, jak gdyby chciał przeprosić ją za to, że jego wypowiedź nie ma sensu -.. .widzę dzieci. Twoje dzieci. Twojego męża i twoje dzieci.

Mary Liz uśmiechnęła się do siebie. Sama myśl o dzieciach czyniła ją szczęśliwą.

Nagle wyraz twarzy wróża znów się zmienił.

- Coś się stało? - spytała zaniepokojona. Mężczyzna był zafrasowany. Bardzo zafrasowany.

- Widzę też niebezpieczeństwo - odparł. - Groźbę... fizycznego uszczerbku dla ciała. Twojego ciała, ale również innych. Ma to związek z tą twoją nową pracą.

- No cóż, skoro widziałeś moje dzieci, to chyba w najbliższej przyszłości śmierć mi nie grozi, prawda?

- Wróż nie odpowiadał, więc Mary Liz spytała jeszcze raz: - Prawda?

Nie odpowiedział. Przyglądał jej się tylko badawczo.

- Bądź bardzo ostrożna, gdy podejmiesz tę pracę - odezwał się w końcu. - Miej się na baczności.

- Mój Boże, ale co dokładnie widzisz? - spytała, po czym, widząc ^ego wahanie, przypomniała: - To przecież wróżba dla mnie. Mam prawo wiedzieć.

Wróż milczał.

- Powiedz - naciskała. - Co to takiego?

- Morderstwo - odpowiedział, po czym szybko odwrócił wzrok.

Żadne miasto, żadne zbiorowisko ludzkie, żaden styl życia nie mógł się równać z East Hampton na Long Island.

Mary Liz Scott mieszkała w dawnym domku dozorca w posiadłości Hoffmanów od prawie miesiąca. Sypialnia była nieduża, ale ładna, wyłożona różowo-białą tapetą, z elementami ozdobnymi z drewna, podwójnym łóżkiem i świetnie dobraną komódką z lustrem oraz małym fotelem z tapicerką z tej samej różowo-zielono-białej tkaniny, co zasłony. Druga sypialnia, jeszcze mniejsza, została zamieniona na

gabinet, wyposażony w stół z komputerem, szafki-kartoteki, kserokopiarkę oraz, co może najbardziej interesujące, ni-szczarkę dokumentów.

Jasną i wesołą kuchnię oddzielał od salonu jedynie bufet.

Salon był cały obity biało-niebieskim perkalem, a na niskim stoliku przed miękką kanapą stał piękny wazon z co tydzień innymi kwiatami. W przeciwległą ścianę wkomponowano kominek z kratą ochronną z mosiądzu, nad gzymsem zaś zawieszono ładny pejzaż morski. Po obu stronach kominka znajdowały się nieduże okna oraz pomalowane na biało półki z książkami - wszystkie powieści Edith Wharton, Henry Jamesa i Francisa Scotta Fitzgeralda oraz popularna beletrystyka i literatura faktu. Między książkami stały mosiężne doniczki z kwiatami, natomiast na stojaku z czasopismami obok jednego z foteli zachęcały do lektury kolorowe

14

okładki najrozmaitszych czasopism: „Vanity Fair”, „The New Yorker”, „Golf Digest”, „Newsweek”, „Los Angeles”, „Sailing”, „Forbes”, „Martha Stewart Living” oraz „Architectural Digest”.

Każdego powszedniego dnia rano pod drzwi jej domku przynoszono „Wall Street Journal”, a siedem razy w tygodniu „The New York Times”.

Takie były wygody gościa jednej z bogatszych rodzin w East Hampton.

Szczerze mówiąc, Mary Liz nie spodziewała się, że spodoba jej się ten letni kurort. Myślała, że będzie zbyt modny jak na jej gust, zbyt hollywoodzki i pretensjonalny. Przecież East Hampton nazywano od dziesięciu lat Hollywood East, a Bóg świadkiem, że Mary Liz nie myślała wiele o tym mieście luksusu.

Myliła się. East Hampton było jednym z najpiękniej położonych miejsc na Ziemi, hojnie obdarowanym przez Boga. Ogromne białe plaże nad zapierającym dech Atlantykiem; ciągnące się kilometrami wzgórza i pokryte bujną zielenią doliny, zagajniki i lasy; pola uprawne z rozrzuconymi gdzieś zagrodami dla koni oraz stodołami; ogromne kontrasty pogody - od rozżarzonej słonecznej kuli na idealnie błękitnym niebie po zasnuty czarnymi chmurami horyzont, ostry wiatr i deszcz - wszystko to stanowiło o niezwykłej urodzie tego miejsca.

W rzeczywistości Mary Liz nie była - nawet formalnie rzecz biorąc - gościem. Prawdziwi goście mieszkali w domku na wzgórzu, ją natomiast łączyły z gospodynią więzy rodzinne. Przyjechała tu, by wyświadczyć przysługę jej oraz swoim rodzicom, i na własną prośbę zamieszkała z dala od rezydencji i budynku przeznaczonego dla gości.

Dzisiaj jednak nadeszła pora na to, by Mary Liz zachowa-

15

ła się jak mile widziany gość. Jej gospodyni przyjechała wreszcie z Los Angeles na „sezon” i oczekiwała od niej, żeby - chętnie czy też wbrew własnej woli - włączyła się w wir życia towarzyskiego Wielkiego Domu. (Tak właśnie nazywano główną rezydencję - Wielkim Domem.) Tego wieczora miało się odbyć pierwsze przyjęcie, otwierające sezon w Wielkim Domu, a zaproszeni na nie zostali jedynie najbliżsi przyjaciele oraz członkowie rodziny Hoffmanów.

Mary Liz była już gotowa do wyjścia, gdy w jej domku rozdzwonił się telefon. Podniosła słuchawkę w sypialni i usłyszała głos Nancy Hoffman, gospodyni, a jednocześnie swojej matki chrzestnej.

- Mary Liz, kochanie! Dzwonię, żeby się upewnić, czy masz wszystko, czego ci trzeba.

Mary Liz spojrzała na zegarek i roześmiała się do słuchawki.

- A mówiąc inaczej, dajesz mi do zrozumienia, że spóźniłam się o pięć minut, prawda? To straszne, ciociu Nancy, jak bardzo jesteście pod pewnymi względami do siebie podobne - ty i moja mama. Nancy również się roześmiała.

- Uważam to za duży komplement, kochanie. No, ale pośpiesz się. Chciałabym ci przedstawić pewnego miłego, młodzieńca. Obiecałam twojej mamie, że ci go pokażę. Może cię zainteresuje.

- Ciociu!

- No, chodź już, chodź. Pa, pa! - zakończyła rozmowę Nancy.

Mary Liz odłożyła słuchawkę i zamknęła drzwi do sypialni, by przejrzeć się w dużym lustrze. Nie była zbyt zadowolona ze swoich włosów. Ich kolor zmienił się od upalnego słońca, były nieco zbyt długie i wypadaloby już chyba trochę

16

je skrócić; poza tym wilgoć w powietrzu nie sprzyjała trwałości fryzury. Natomiast delikatnie umalowane oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne w kontraście z lekkobrazową opalenizną, uśmiech zaś - wręcz olśniewający.

Strój na inaugurację sezonu w Wielkim Domu wybrała prosty, lecz elegancki - białą, prostą, twarzową bluzkę, luźną, wzorzystą spódnicę i sandaalki. Postanowiła ubierać się w taki sposób, dopóki nie straci pięciu kilogramów, o które przytyła podczas ostatnich sześciu miesięcy pracy w „Re-ston, Kellaher”. No cóż, oto przekleństwo ponętnej kobietki, jak nazywała to jej matka. Zgodnie z jej teorią, ciało każdej kobiety o pełnych piersiach będzie po trzydziestce w sposób nieunikniony gromadziło tłuszcz w okolicach bioder, brzucha i ud.

Mary Liz - ponętna czy nie, ale o pełnych piersiach, podobnie jak jej matka - wiedziała, że jest to po prostu kwestia nieprawidłowego odżywiania. Gdy jednak człowiek bywa przygnębiony, chętnie wraca do przyjaciół dzieciństwa, takich jak McDonald's, Domino's, Sara Lee, a potem może jedynie iidawać zdziwienie, że przybrał na wadze. (Prawdę mówiąc, po przyjeździe do East Hampton, Mary Liz zrzuciła już około dwóch kilogramów, czyli przed odejściem z pracy przybyło jej więcej niż pięć.) Mimo jednak tych niewielkich zmartwień, które pojawiały się, ilekroć myślała o własnej sylwetce, Mary Liz była nadzwyczaj szczęśliwą młodą kobietą. Zdrowie jej dopisywało, była ładna, miała wspaniałą rodzinę: matkę, ojca i braci. Cechowały ją nienaganne maniery, dorastała bowiem w domu, w którym nauczono ją, jak zachować się w każdej sytuacji, no i była bogata.

Nigdy nie udało jej się tylko pozbyć owej wrodzonej nieśmiałości, którą z takim poświęceniem próbowała czasa-

mi maskować. Gdy więc po dziesięciu minutach znalazła się na podjeździe przed Wielkim Domem, ogarnęło ją uczucie niepewności. Jak zawsze, tak i teraz przełamała je, po czym wrzuciła bieg i poprowadziła swoje auto w stronę okazałego budynku.

Wielki Dom przedstawiał imponujący widok. Był jednopiętrowy (choć nieduże okna na strychu stwarzały wrażenie, jak gdyby miał dwa piętra), stary (został chyba wybudowany w 1880 roku) i miał swoją historię (budowniczym był „jakiś jankeski łajdak, który bez wątpienia zbił majątek, grabiąc południowców” - takimi słowami opisywała tę historię ciocia Nancy, której rodzina najwyraźniej ogromnie ucierpiała podczas wojny domowej.)

Mimo że front budowli powstał z granitu i cegły, charakterystycznych dla architektury Północnego Wschodu, to cała rezydencja, ze swoją białą balustradą i kolumnadą przy wejściu, przypominała Mary Liz raczej styl południowy.

Od części centralnej, po prawej stronie, odchodziło długie, parterowe skrzydło, w którym mieściła się kuchnia, zmywalnia, spiżarnia, pralnia oraz pokoje służących, a za nim kwietne ogrody, odgrozione od kortu tenisowego ścianą jodeł. Przed domem rozciągał się na stoku wzgórza dwuakrowy trawnik, po lewej stronie znajdował się garaż na trzy samochody, a jakieś dwieście metrów dalej - kryty gontem domek gościnny.

Jakiś samochód, jadący podjazdem w stronę domu, dogonił Mary Liz, zrównał się z nią i zwolnił. Pasażerowie czarnej limuzyny przyglądali jej się przez chwilę przez okno, najwyraźniej próbując domyślić się, kim jest. Mary Liz uśmiechnęła się do nich, oni zaś skinęli głowami, po czym samochód przyśpieszył, by pierwszy wjechać na parking.

18

Zamiast wejść frontowymi drzwiami, Mary Liz skierowała się w stronę położonej z tyłu domu werandy. Wolała uniknąć oficjalnych powitań i onieśmielających prezentacji. Po drodze zatrzymała się na chwilę przy rogu domu, przysłuchując się odgłosom przyjęcia: szeptom, śmiechom, brzękowi lodu w szklaneczkach, urywkom rozmów...

- Po prostu wspaniały!
- Zwaliło chłopaków z nóg...
- Nie przypuszczałem nawet...
- Dwadzieścia metrów od bieżni...!

Usłyszała dźwięk dzwonka, który wyrwał ją z zasluchania, po czym skierowała się ku werandzie. Hoffmanowie przebudowali tył Wielkiego Domu, żeby cieszyć się w pełni widokiem na wydmy, plażę i ocean. Wszystkie sypialnie na pierwszym piętrze miały własne balkony, a główny apartament - otwarty taras, tej samej wielkości co ogromna weranda na parterze. Gosposia wyjaśniła kiedyś Mary Liz, że w przypadku sztormu bądź huraganu wszystkie okna z tej strony rezydencji zabezpieczane są masywnymi drewnianymi okiennicami.

- Nie widziałaś gdzieś przypadkiem pewnej ładnej blondynki? - Mary Liz drgnęła, słysząc za sobą męski głos.

Był to Bertie alias Alfred Bertram Hoffman, syn cioci Nancy, którego poznała po przyjeździe do East Hampton. Miał około trzydziestu lat, podobnie jak jego matka jasne włosy i niebieskie oczy, był wysoki i bardzo przystojny. W sportowej granatowej marynarce, białej koszulce polo, spodniach koloru khaki i mokasynach na bose nogi wyglądał jak typowy, dobrze prosperujący młody człowiek - tyle że z tego, co wiedziała Mary Liz, Bertie nigdy nie podjął żadnej przyzwoitej pracy. Jako pierworodny syn Nancy, obdarzany przez matkę szczególnymi względami, nie martwił się jednak

19

tym zbyt. Poza nim ciotka Nancy miała jeszcze młodszą córkę, Denver, która przebywała aktualnie w Los Angeles, gdzie grała w mydlanej operze, nadawanej nocą w sieci telewizyjnej Fox.

- Z tego, co zdołałam zaobserwować - powiedziała Mary Liz - wszystkie kobiety w East Hampton są ładnymi blondynkami. Nie wyłączając twojej matki.

- Ach tak, ale ja szukam jej najlepszej przyjaciółki - wyjaśnił, zaglądając za krzak - Claire MacClendon. Mama podejrzewa, że Claire mogła zrezygnować w ostatniej chwili, i wysłała mnie na poszukiwania.

- A ty szukasz jej w krzakach?

- Claire jest artystką. - Przeszukał spojrzeniem okoliczne wydmy, po czym wzruszył ramionami, odwracając się z powrotem do Mary Liz. - To naprawdę wspaniała osoba, dlatego czasami trudno ściągnąć ją na przyjęcia wydawane przez mamę. - Uśmiechnął się, pokazując piękne białe zęby. - A czemu ty ukrywasz się tutaj?

- Nie ukrywam się.

- Pozwól więc, że będę ci towarzyszył. - Ujął ją pod ramię, nim zdążyła zmienić zdanie, i błyskawicznie wprowadził po schodkach na werandę.

- Och, nareszcie! Witaj, kochanie! - zawołała Nancy Hoffman, wychodząc ku nim z salonu.

W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat Nancy wciąż była piękna i pełna życia, tak jak wiele lat temu, gdy jako młodzianka debiutantka zawróciła w głowach dziesiątkom mężczyzn. Obdarzona naturalnym wdziękiem oraz klasyczną, arystokratyczną urodą, Nancy została wraz z matką Mary Liz wprowadzona do „towarzystwa” na pamiętnym balu w „Waldorf Astoria” w 1957 roku. Od tamtej pory niezmiennie zachwycała wszystkich własnym stylem, elegancją i olśniewającym

20

uśmiechem. Teraz też, patrząc na nią, trudno było uwierzyć, że owdowiała zaledwie pół roku temu, gdy jej mąż Alfred, znany hollywoodzki producent filmowy, zginął w katastrofie lotniczej na Zachodnim Wybrzeżu.

- Nie znalazłeś nigdzie Claire? - spytała syna.

- Widziałem tylko jej samochód.

- A szukałeś w ogrodzie?

- Tak.

- Cóż, musi więc gdzieś tu się kręcić - zauważyła wesoło Nancy, po czym powiedziała do Mary Liz: - Chodź, moja ukochana chrześnico, poznaj wszystkich.

- Och, ciociu Nancy - skrzywiła się Mary Liz - nigdy nie nauczę się rozmawiać z nimi tak swobodnie, jak ty.

- Będziesz ich widywać przez całe lato, musisz się przyzwyczaić. Po prostu uśmiechaj się, praw im komplementy, a oni z pewnością cię polubią.

Na widok pierwszego gościa straciła z wrażenia oddech. Nie wierzyła własnym oczom. Stała przed nią Sasha Reinhart, słynna, pięćdziesięcioletnia już gwiazda muzyki pop.

- Sasha "wynajmuje sąsiedni dom - wyjaśniła ciocia Nancy, przedstawiając ją Mary Liz.

- Miło mi panią poznać. - Mary Liz niepewnie wyciągnęła dłoń. Od lat widywała Saszę Reinhart na koncertach, w filmach, na scenie, ale nigdy nie widziała jej z bliska. Sasha była ładna, w rzeczywistości jakby delikatniejsza i nieco niższa niż na zdjęciach i na ekranie. Miała w sobie jednak to coś, co elektryzowało wszystkich.

- Cześć - odparła gwiazda, ściskając krótko jej rękę. Nie zdążyły powiedzieć nic więcej, bowiem Nancy już

prowadziła Mary Liz dalej, przedstawiając ją kolejnym osobom.

- Miło cię poznać, Mary Liz. Jestem Rachelle Zaratan

- przedstawiła się znana projektantka mody, wyciągając szczupłą dłoń. Gdy mówiła, wymawiała zabawnie głoskę „r”, trochę niczym szpieg w starym filmie. - A to mój mąż, Charles Kahn - dodała. .
Gdy odeszły, Nancy wyjaśniła Mary Liz, że Rachelle jest bliską przyjaciółką Sashy. Następny w kolejności był Randolph Vandergilden, właściciel winnic „Eastera Winery”, mężczyzna około sześćdziesiątki, który najpierw otaksował wzrokiem piersi Mary Liz, a następnie uśmiechnął się do mej lubieżnie, gdy wymieniali uścisk dłoni.

- Proszę - powiedział Bertie Hoffman, podając jej kieliszek schłodzonego białego wina - spróbuj wina Randy'ego

Podziękowała mu, upiła łyk i zamarła. Było to najobrzydliwsze *chardonnay*, jakie kiedykolwiek piła w życiu. Całe szczęście, że odeszli już od Vandergildena i me mógł on widzieć skwaszonej miny Mary Liz. Bertie był wyraźnie ubawiony jej reakcją, natomiast Nancy wyjęła kieliszek z rąk Mary Liz, powąchała zawartość, po czym oddała go z powrotem synowi. . v

- Nalej Mary Liz przyzwoitego wina. I przyprowadź wendy, żeby się poznały. Niestety - wyjaśniła swojej chrześnicy - Randy jest naszym starym przyjacielem, więc będę ci wdzięczna, jeśli powiesz mu, że jego wino jest wspaniałe. Ocenę pozostawiam tobie, ale pamiętaj, że „Eastern Winery” odegra ważną rolę w mojej kampanii dobroczynnej, którą zamierzam przeprowadzić tego lata.

Później poznała Claude'a Lemieux i jego żonę, Isabel. Oboje byli francuskimi emigrantami, Mary Liz czytała o nich kiedyś w kronice towarzyskiej. Od kilku lat wydawali amerykańską edycję francuskiego czasopisma dla kobiet „Je Ne Sais Ouoi” - jeden z niewielu kobiecych magazynów, które prenumerowała Mary Liz.

- Claude i mój świętej pamięci Alfred byli wspaniałymi partnerami na korcie tenisowym - wyjaśniła Nancy.

Potem przyszła kolej na Sinclaira Buckleya - „mów mi Buck, tak jak wszyscy”. Buck Buckley był wysokim, mocno opalonym, rasowym mężczyzną, o serdecznym uścisku dłoni i ujmującym sposobie bycia. Nancy poinformowała chrześ-nicę, że Buck jest prezesem „East End Country Club”, którego jej mąż był członkiem-założycielem.

- Grasz w golfa, młoda damo? - spytał Mary Liz, po czym zwrócił się do Nancy: - Powinnaś zagrać z nią w meczu kobiet, który organizujemy w przyszłym tygodniu. Członkowie naszego klubu kontra goście...

- Boże drogi! - jęknęła Mary Liz, zdając sobie sprawę ze swych umiejętności w tej konkurencji.

- Na twoim miejscu - wtrąciła brunetka o błyszczących oczach, podchodząc do Mary Liz - za wszelką cenę wykręciłabym się z tego turnieju.

- Och, kochanie, poznaj Vanessę Buckley - przedstawiła ją Nancy.

Jego druga połowa - dodała Vanessa, wskazując skinieniem głowy Bucka. Mocno opalona, po czterdziestce, o długich, niesfornych włosach, ubrana była w niebieską dzinsową spódnicę i górę bez ramiączek. - Jeśli masz ochotę zagrać w golfa, Mary Liz, zgłoś się do mnie. Postaram się, żebyś dobrze się bawiła. Bo według Bucka dobra zabawa polega na •kojarzeniu skwaszonych półzawodowców z nami, zwykłymi śmiertelnikami, którzy wpadają tylko w kompleksy przy tych mistrzach.

- Chodzi mi po prostu o to, by ci „zwykli śmiertelnicy” bawili się pod opieką graczy, którzy wiedzą cokolwiek o golfie i są w stanie uchronić ich przed niebezpieczeństwem -odgryzł się dobrodusznie Buck. - Wbrew pozorom na polu

23

golfowym można sobie zrobić krzywdę. Przepraszam was, kochani, ale muszę pogadać z Claude'em. Czuję, że zaraz ucieknie. Miło cię było poznać, Mary Liz.

- Fakt. W klubie traktują golfa bardzo poważnie - odezwała się Vanessa, gdy jej mąż odszedł w stronę rozbawionej grupki. - To okropne. Nawet w „Maidstone” ludzie uśmiechają się od czasu do czasu. „Maidstone” był legendarnym elitarnym klubem golfowym, położonym niezbyt daleko od posiadłości Hoffmanów. Wstąpienie do niego od pięćdziesięciu lat było tak trudne, że prawie niemożliwe.

- Skąd wiesz? Czyżbyś była członkinią „Maidstone”?

- Ja? Oczywiście. Przecież mój ojciec do niego należał. Jego ojciec też - dodała. - Ale miałam problem z wprowadzeniem tam Bucka... - Zrobiła zabawną minę, po czym pochyliła się ku Mary Liz i wyznała teatralnym szeptem: - Mówiąc między nami, zarzucili mi, że przyprowadziłam już zbyt wielu mężów, z których każdy miał, według nich, wątpliwy charakter i wątpliwą reputację.

Nancy roześmiała się głośno. Mary Liz zaś miała ochotę zapytać, ilu to mężów miała Vanessa, była jednak zbyt dobrze wychowana, by to zrobić.

- I wtedy Buck powiedział: „Pieprzę ich, założę własny klub i wybuduję własne pola golfowe...”

- I zrobił to?

- Niezupełnie - wtrąciła się oszałamiająca blondynka, która właśnie do nich podeszła. - To my wybudowaliśmy własny klub, a nie sam Buck.

- Jeanine! - wykrzyknęła radośnie Nancy, całując nowo przybyłą w policzek. - Kiedy przyjechałaś?

- Wczoraj. I muszę powiedzieć, Nance, że to naprawdę przemiłe z twojej strony, że nas zaprosiłaś.

- Mary Liz, poznaj moją synową, Jeanine Hoffman. Jest żoną Juliusa.

Julius? Ach, Julius Hoffman, domyśliła się Mary Liz, ściskając dłoń blondynki. Syn Alfreda Hoffmana z pierwszego małżeństwa, pełniący obowiązki prezesa „Howland Films”. Ten sam, który wytoczył Nancy proces sądowy o prawo do zarządzania firmą.

Czyżby ciocia zaprosiła go na przyjęcie?

- Powiedz, Jeanine, jaki jest twój dom w tym roku? - spytała Vanessa Buckley, natomiast Mary Liz pomyślała, że podczas gdy wszystkie poznane dotąd kobiety były bardzo ładne, to Jeanine Hoffman zdecydowanie wyróżnia się urodą. Ciekawe, czy jest modelką, czy aktorką.

- Uff! - jęknęła Jeanine. - Panuje w nim potworny bałagan. Najważniejsze jednak, że dzieciaki są zachwycone. Prawdę mówiąc, ja też. Miałam już dosyć Zachodniego Wybrzeża. Oho-ho, widzę tu Saszę. Co ona, u licha, tu robi?

- Wynajmuje sąsiedni dom - wyjaśniła Nancy.

- No proszę, szykuje ci się całkiem interesujące lato. - Pokręciły głową Jeanine. - Sasha jest trochę zwariowana, prawda? I rozpaczliwie wprost szuka przyjaciół. Najlepiej przystojnych.

- Mnie wydaje się bardzo miła - zaprotestowała Nancy.

- Julius ma trochę inne zdanie. Spytaj go o jej ostatni film w „Howland”, kiedy sprowadziła z tropików jakiegoś szamana, żeby wypędził złe duchy z zespołu, a następnie próbowała obciążyć kosztami Alfreda.

Wszyscy roześmieli się głośno, a wtedy podszedł do nich potężnie zbudowany mężczyzna, którego najwyraźniej zwabiła ta ogólna wesołość. Objął delikatnie ramiona Jeanine i powitał gospodynię krótkim:

- Witaj, Nancy.

- Cześć, Julius - odparła ciotka, nadstawiając policzek. Pocałował ją, a ona uśmiechnęła się i skinęła lekko głową, jak gdyby aprobując jego zachowanie. - Chciałabym, żebyś poznał moją chrześnicę, Mary Liz Scott.
- Miło mi. - Długi uścisk jego dłoni wydał się Mary Liz jakby prowokujący, wręcz zalotny. Co jest z tym facetem? Przy takiej żonie?
- Grasz w tenisa, Mary Liz? - spytała Jeanine.
- Och, nie, proszę! - jęknął jej mąż.
- Minęło już sporo czasu od chwili, gdy grałam po raz ostatni - przyznała się Mary Liz.
- Innymi słowy - Julius zwrócił się do Nancy - w tym roku nie mamy kortu i Jeanine chce zaanektować twój. Odkąd tu przyjechaliśmy, słyszę bez przerwy: „Jak mogłeś wynająć dom bez kortu?”
- Żaden problem. Serdecznie zapraszam - powiedziała Nancy. - Sama rzadko teraz grywam, a szkoda, żeby kort stał nie wykorzystany. Wiecie, że Alfred miał fioła na punkcie tenisa, ale Bertie nie przejawia zbytniego zainteresowania. Możesz więc grać do woli, Jeanine.
- Dziękuję - ucieszyła się blondynka i pocałowała Nancy w policzek. - To naprawdę ogromnie wielkoduszna decyzja, zważywszy okoliczności.
- Widzisz, Mary Liz, procesujemy się właśnie z twoją ciotką - wyjaśnił rzeczowo Julius. - Uważam, że to ja powinienem być dziedzicem majątku mego ojca. Zacznijmy od tego, że jestem prezesem jego studia filmowego, „Howland Films”...
- Ale dzisiaj zostałeś tu zaproszony jako członek rodziny - przerwała mu nieco uszczypliwie Nancy. — Jak widzisz, zaprosiłam kilkoro przyjaciół twojego ojca, żeby podkreślić, iż prywatnie są tutaj zawsze mile widziani. Natomiast zawo-

dowo... - Zmrużyła oczy i stuknęła starannie wymanikiuro-wanym palcem w jego pierś, t- Sam wiesz, jak jest. I niech tak pozostanie, Juliusie.

Julius wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa przeprosin, Mary Liz zaś pomyślała, że ten mężczyzna przypomina w tej chwili przerośniętego uczniaka.

- Doprawdy, Nance - powiedział - byliśmy bardzo wzruszeni i ucieszeni, że nas dzisiaj zaprosiłaś. Zachowałaś się zupełnie jak wtedy, gdy jeszcze żył ojciec.

- Twój ojciec nie żyje, ale pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają - zapewniła go Nancy. Mary Liz była pewna, że intencją ciotki było, by zdanie to zabrzmiało kurtuazyjnie i życzliwie, w istocie zabrzmiało jednak jak groźba.

Cóż, choć ciotka Nancy przypominała czasem matkę Mary Liz, to reszta jej rodziny w niczym nie była podobna do rodziny Scottów. Dla każdego z rodziców Mary Liz ich małżeństwo było pierwsze i jedyne, poza tym nikt z bliskich krewnych nigdy nie był związany z Hollywood. Coś takiego jak intrygi, procesy i rywalizacja było raczej nie do pomyślenia.

- Cześć, Jeanine! - za plecami Mary Liz rozległ się nagle głos Bertiego. Tym razem towarzyszyła mu młoda kobieta. Pocałował Jeanine w policzek, ignorując kompletnie Juliusa. Tamten spojrzał na niego, skrzywił się i odszedł. - Jeanine, Mary Liz, chcę wam przedstawić moją przyjaciółkę, Wendy Mitchell. Wendy, to moja chrzestna siostra - chyba tak powinienem ją nazwać - Mary Liz Scott, oraz moja szwagierka, Jeanine Hoffman.

- Miło mi was poznać - powiedziała uprzejmie Wendy, wysoka, wysportowana, swobodnie ubrana dziewczyna o rzucającej się w oczy urodzie. Ciemne oczy, wydatne kości policzkowe, potargane przez wiatr włosy o złocistych pasemkach - trudno byłoby sobie wyobrazić Bertiego z inną dziew-

czyną u boku. Niestety, wszystko wskazuje na to, że ona, Mary Liz Scott, będzie najmniej atrakcyjną kobietą w East Hampton tego lata.

- Dobrze się bawisz? - spytała Nancy Wendy, a gdy dziewczyna przytaknęła, ciotka zwierzyła się Jeanine, oczywiście tak, żeby wszyscy słyszeli: - Bertie nieczęsto przyprawia do domu swoje przyjaciółki. Muszę przyznać, że Wendy jest naprawdę wyjątkową młodą damą.

Mary Liz zauważyła, że Jeanine uśmiechnęła się uprzejmie, jednak jej oczy pozostały obojętne.

- Skąd przyjechałaś? - Nancy znów zwróciła się do dziewczyny.

- Z Nowego Jorku. Manhattan - odrzekła Wendy.

- To twoje rodzinne miasto?

- Nie, nie, pochodzę z okolic Dover, w stanie Delaware.

- Mam nadzieję, że polubisz East Hampton, kochanie. No nic, miło się z wami rozmawia, ale czekają inni goście. Jeśli młodzi państwo mi wybaczą - Nancy uśmiechnęła się przeproszająco - zajmę się teraz nimi, zgoda?

- Ja również powinnam przywitać się ze znajomymi - zawtórowała jej Jeanine i po chwili Mary Liz została tylko z Wendy i Bertiem.

Oboje uśmiechnięci, zadowoleni z życia, mniej więcej w tym samym wieku, to jest około trzydziestki, sprawiali wrażenie doskonale pasującej do siebie pary. Nie, Mary Liz nie była zazdrosna. Prawdę mówiąc, była raczej nieufna wobec takich doskonałych z pozoru par. Miała nadzieję, że związek tej idealnie prezentującej się dwójki będzie o niebo lepszy od jej własnych. A swoją drogą ciekawe, co Jim i jego nowa żona porabiają tego lata.

- Jestem zdumiony, że mama zaprosiła tego sukinsyna - odezwał się Bertie.

- Którego? - spytała Wendy, rozglądając się ciekawie.
 - Mojego brata przyrodniego, Juliusa.
 - Tego, który się z nią procesuje? Bertie skinął głową.
 - Można by wytrzymać, gdyby był jakimś zdolnym facetem, ale to kompletny matoł! Jeśli matka odda mu „Howland Films”, ten tępak szybko doprowadzi wytwórnię do upadku. Nawet Koszmarny Herbert uważa go za idiotę.
 - A kto to jest Koszmarny Herbert? - spytała z zaciekawieniem Mary Liz.
 - Herb Glidden.
- No tak. Mary Liz znane było to nazwisko, albowiem przejrzała dane osobiste Alfreda Hoffmana. Herbert Glidden od lat zbierał fundusze i szukał sponsorów dla wszystkich filmów Alfreda.
- Ale to przecież twój ojciec mianował Juliusa prezesem „Howland”, prawda? - zapytała Wendy. - Jeszcze za życia.
 - Tak, ale z bardzo małym poparciem członków firmy
 - wyjaśnił Bertie. - Ojciec zostawił mu niewiele, tyle samo zresztą zostawił mnie i Denver. To matka sprawuje kontrolę nad „Howland” i to ją bombardują prawnicy tego dupka. Najgorsze zaś, że nie tylko oni. - Spojrzał na Mary Liz.
 - Czy słyszałaś, że firma prawnicza, która reprezentowała mojego ojca, wysunęła roszczenia w stosunku do firmy, którą stworzył dla nas i przez tyle lat osobiście prowadził, dając zarobić tylu ludziom naokoło, w tym owym pieprzonym prawnikom?
 - Tak - potwierdziła Mary Liz. - Powiedział mi o tym ojciec.
 - Racja. - Bertie pociągnął tęgi łyk ze swej szklaneczki.
 - Twój ojciec pomaga mamie, prawda? Zdaje się, że jest błyskotliwym prawnikiem? - Mary Liz skinęła głową, a on

mówił dalej: - A czy powiedział ci, że Herb Glidden również rości pretensje?

- Do czego?

- Do tego samego. On również chce położyć łapę na „Howland Films”. Nie ma zielonego pojęcia, jak się robi filmy, bo zajmował się jedynie szukaniem sponsorów, ale marzy mu się wytwórnia! I jeśli pewne rzeczy w testamencie ojca nie są całkowicie jasne, ta jedna nie pozostawia żadnej wątpliwości: „Howland Films” ma otrzymać w spadku Nancy Hoffman oraz dzieci, które z nią miał, to znaczy ja i Denver. Nie ma więc mowy o tym, żebyśmy pozwolili Koszmarnemu Herbertowi na zagarnięcie czegokolwiek. Ojciec przewróciłby się w grobie.

Mary Liz wielokrotnie czytała rzeczony testament i wiedziała, że Bertie mówi prawdę.

- Nie martw się. Na pewno zwycięży sprawiedliwość - pocieszyła go.

- Mam nadzieję. Widzisz, całe życie ojca zmieniło się na lepsze, odkąd poślubił mamę - wyjaśniał Bertie. - Zdawał sobie sprawę, że bez niej nie byłoby „Howland Films”, i dlatego zapisał ją jej w spadku.

- A kto twoim zdaniem powinien kierować wytwórnią?

- Obojętne kto, ale z pewnością nie Herbert Glidden ani ten idiota Julius. Jedynym powodem, dla którego Juliusowi tak na niej zależy, jest fakt, że nikt, kto ma choć trochę oleju w głowie, nie zaoferuje mu nigdy pracy. A co do Koszmarnego Herberta, to myślę, że mamie przydałaby się raczej trucizna na robactwo.

Rozmowę przerwał im Buck Buckley, prezes klubu golfowego, który przyprowadził ze sobą jeszcze jednego mężczyznę.

- Nancy prosiła mnie - powiedział - żebym przedstawił

30

wam mojego gościa. Szczególnie zaś zależało jej na tym, żebyś ty go poznała, Mary Liz... Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na Mary Liz znajomy Bucka, było korzystne. Zdecydowanie korzystne. Mężczyzna miał około trzydziestu pięciu lat, niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona, gęste włosy i ciepłe, inteligentne, niebieskie oczy.

- O rany, to nie jest wcale kłopotliwa sytuacja, prawda?

- spytał Bertie swojej towarzyszki, wywołując wybuch śmiechu.

Buck nie spieszył się bynajmniej tą uwagą. Puścił oko do Mary Liz, po czym dokonał prezentacji:

- Proszę państwa, stoi przed wami Schyler Preston.

- A ty jesteś pewnie Mary Liz Scott - powiedział Schyler, wyciągając ku niej dłoń.

- Tak - odparła cicho i znów ogarnęła ją nieśmiałość. Uścisnęła sobie rękę. Kolejne wrażenie było takie jak pierwsze - nadal korzystne.

- Świetnie. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść

- powiedział Buck, wycofując się dyskretnie.

- Boże, ten Buck to naprawdę uosobienie taktu i dobrych manier - zażartował Bertie.

- Zwykle trudno mu coś zarzucić - wystąpił Schyler w obronie swego towarzysza. - W każdym razie w klubie stara się, jak może.

- Skąd właściwie go znasz? - spytał Bertie. - Nie chcę cię straszyć, ale są w East Hampton mniej zwariowani ludzie.

- Pracuję u niego w klubie. Na polu golfowym.

- Jesteś nowym zawodowcem?

- Nie - odparł Schyler. - Jestem... doprawdy nie wiem, jak nazwać moje zajęcie. Nie pracuję dla Bucka w tradycyjnym sensie. Już bardziej przypomina to układ handlowy

31

zamieszkałem na lato w pokoju nad garażem za frajer, a Buck podpowiada mi codziennie rano, kto ma ochotę na grę w golfa.

- A zatem jesteś pracownikiem sezonowym-powiedział Bertie. - W takim razie musisz być kurewsko dobry.

- Bertie! W jakiej stajni się chowałeś - Wendy skarciła partnera, marszcząc swój zadarty nosek - że używasz takiego języka w obecności dam?

- Bez przesady - Schyler uśmiechnął się skromnie. - Żaden ze mnie mistrz. Golf to dla mnie tylko hobby. Pracuję w szkole, w Wirginii - te ostatnie słowa skierowane były do Mary Liz - i całe lato mam wolne. Pani Hoffman mówiła, że ty również masz wakacje.

- Tak - odparła - chociaż mam tu też trochę roboty. Zorganizowałam sobie mały gabinet w dawnym domku dozorca.

- Schyler, co powiedziałbyś na debla jutro rano? - spytał Bertie. ,

- On gra w golfa - zauważyła Wendy.

- Przyjrzyj się, jak jest zbudowanym nie rezygnował Bertie. - Założę się, że potrafi grać we wszystko. Nagle czyjaś ręka chwyciła Mary Liz za łokieć i pociągnęła ją do tyłu.

- Nancy mówi, że jesteś wspaniała - szepnął jej do ucha melodyjny głos - i że powinnam z tobą pogadać.

Mary Liz odwróciła się i ku swemu zdumieniu ujrzała przed sobą Sashę Reinhart. Mówiła do niej! Dotykała jej ręki!

- Mówi, że jesteś wspaniała - Sasha powtórzyła głośnie. - Uważa cię za finansowego geniusza, który wycofał się z zawodu, by odnaleźć w życiu wartości duchowe, to prawda?

- Hm - mruknęła z zakłopotaniem Mary Liz, czując na sobie ciekawe spojrzenie Schylera. - Prawda, choć zapew-

niam cię, że nie jestem żadnym geniuszem. Nie zamierzam też wstąpić do klasztoru ani zrobić niczego w tym rodzaju.

- Co za skromność - powiedziała z aprobatą gwiazda muzyki pop. - Musisz mieć jednak jakieś duchowe inklinacje, skoro podjęłaś taką decyzję. A ja tak bardzo liczę na to, że uda mi się tego lata znaleźć kogoś, z kim będę mogła dzielić swoje doznania, - Gdy Mary Liz nic nie odpowiedziała, Sasha spytała: - Bo interesują cię przecież sprawy ducha, wewnętrznej świadomości, pogłębiania wiedzy o swoim wnętrzu, prawda?

- No cóż - odrzekła Mary Liz, czując się jeszcze bardziej zakłopotana - wieczorem się modłę. Czasem medytuję. Tylko przez kilka minut, ale próbuję...

- Wiedziałam! - wykrzyknęła Sasha. - Zaczekaj tu na mnie, tylko sekundę! - zawołała, po czym oddaliła się pędem.

- Pamiętaj, że Jeanine cię ostrzegała, Mary Liz - powiedział Bertie, uśmiechając się znacząco. - Myślę, że zostałam uznana za przyjaciółkę.

- Na miłość boską, przecież to Sasha Reinhart! Co miałam odpowiedzieć?

- Z pewnością nie prawdę - poradził jej Bertie. - Ponieważ teraz bez wątpienia zapragnie, żebyś modliła się z nią i medytowała przez całe lato.

Mary Liz zerknęła na Schylera. Uśmiechnął się do niej po przyjacielsku. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bowiem w tej samej chwili Sasha zjawiła się z powrotem, tym razem z Rachele Zaratan u boku.

- Powtórz jej to, co powiedziałaś - zażądała.

- Modłę się wieczorem i czasami medytuję przez kilka minut.

- Widzisz? - Sasha rzekła z naciskiem do projektantki.

33

- Ona medytuje. Codziennie. W głębokiej ciszy. A jak ty, do diabła, możesz usłyszeć przesłanie z kosmosu, skoro bez przerwy paplesz? Ona me-dy-tu-je!

- Fiu-fiu! - zagwizdała projektantka z udanym podziwem.

- Tak, fiu-fiu - rzekła karcącym tonem Sasha. - Na pewno nigdy nie zabiorę cię na obserwowanie wielorybów. Prawdopodobnie wystraszyłabyś je, tak jak te delfiny na Florydzie. Twój sceptycyzm jest niepoprawny, spłyca cię, zubaża... - Nagle piosenkarka urwała w pół zdania. Wlepiała wzrok w drugi kąt salonu i po chwili spytała, bardziej siebie niż kogokolwiek: - Jakim cudem on został zaproszony?

Bertie powędrował za jej spojrzeniem.

- O, cholera! Rzeczywiście... Co on tu robi?

Rozmowy ścichły, a po chwili ustały w ogóle. Oczy wszystkich utkwione były w pani domu oraz w mężczyźnie, doprowadzonym właśnie przed nią przez służącą.

- Pani Hoffman - oznajmiła - przyjechał pan Herbert Glidden.

2

Nancy Hoffman uśmiechnęła się, a potem podeszła do Gliddena, zupełnie jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, i ucałowała go w oba policzki.

- Delores - powiedziała do służącej, trzymając wciąż ręce na jego ramionach-dodaj jeszcze jedno nakrycie.-W ten sposób dała wszystkim do zrozumienia, że Glidden nie był zaproszonym gościem.

Wśród zebranych panowała cisza. Stali i patrzyli.

- Są przestraszeni - szepnął Bertie. - Spójrzcie tylko na nich. Buck, Charles, Claude i Randolph boją się, że zostali przyłapani na fraternizowaniu się z wdową.

Po chwili jednak goście znów zaczęli rozmawiać. Nancy nadal mówiła coś do Herberta, ten kiwał głową, niedługo potem do tej dwójki dołączył Claude, wydawca czasopisma.

- Czemu mają się obawiać, że widziano ich z ciotką Nancy? - spytała Mary Liz.

- Ponieważ ona jest teraz ich wrogiem - wyjaśnił Bertie.

- Z pewnością nie zachowuje się wrogo - zauważyła Wendy.

- Och, to cała mama - ulmiechnął się Bertie. - Zawsze zniewala wszystkich swoją uprzejmością. -

Zauważył, że matka oraz Herbert Glidden spoglądają w jego kierunku, i zrozumiał sygnał. - Tak czy inaczej, to podły facet, moje

panie. Unikajcie go za wszelką cenę - powiedział cicho, po czym dodał ciszej: - Przepraszam - i odszedł.

Gdy zostali tylko we trójkę, Schyler odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę, i powiedział:

- To wprawdzie nie moja sprawa, ale byłbym ogromnie zobowiązany, gdyby ktoś wytłumaczył mi, o co w tym wszystkim chodzi.

- Ten facet procesuje się z panią Hoffman - wyjaśniła Wendy. - Zajmował się szukaniem sponsorów dla filmów, które produkowała firma jej męża ...

- Dlaczego więc procesuje się z nią, a nie z jej mężem?

- Bo pan Hoffman nie żyje - odparła Mary Liz. - Zginał w katastrofie lotniczej pół roku temu.

- A teraz Glidden chce zagarnąć jego wytwórnice? - domyślił się Schyler.

- Tak - potwierdziła Wendy - „Howland Films”. Problem w tym, że ten człowiek nie zna się na przemyśle filmowym. Nic o nim nie wie, poza tym jak zdobywać pieniądze na kolejne produkcje.

- A w tej chwili zepsuł przyjęcie cioci Nancy - podsumowała Mary Liz.

- Na to wygląda.

- O, a ten facet - Wendy chwyciła Schylera za łokieć i wskazała na Juliusa, który podchodził właśnie do Nancy, Bertiego i Gliddena - również pozwał panią Hoffman do sądu. Z tego samego powodu. Też ma ochotę na „Howland Films”, tyle że on jest synem pana Hoffmana z pierwszego małżeństwa, więc można się zgodzić, że ma do niej jakieś tam prawa.

- I w przeciwieństwie do Gliddena był dzisiaj zaproszony - dodała Mary Liz. - Jako członek rodziny.

- Rozumiem. Hm, a to kto znowu? - spytał Schyler

36

z większym niż uprzednio zaciekawieniem, widząc Jeanine Hoffman, która podeszła właśnie do Nancy u boku swego męża. Był oczywiście zachwycony tą piękną kobietą. Każdy mężczyzna z temperamentem zareagowałby podobnie.

- To Jeanine Hoffman - wyjaśniła Mary Liz. - Żona Juliusa.

- Jest bardzo piękna.

- I ma dwoje dzieci - zauważyła Wendy, po czym dodała po chwili: - Zdziwiające, co można kupić za pieniądze, prawda?

Teraz do Nancy i Gliddena zbliżył się Buck Buckley z żoną Vanessą. Mary Liz zauważyła, że właściwie wszyscy goście podchodzą kolejno, by przywitać się z nieproszonym gościem - Charles Kahn, jego żona Rachelle, winiarz Randolph Vandergilden, wreszcie Sasha Reinhart, która wyglądała tak, jak gdyby kazano jej pocałować węża.

- No cóż, chodźmy i my - zaproponował Schyler. - Wygląda na to, że wypada przywitać się z tym człowiekiem.

- Dzięki, ale nie - powiedziały jednocześnie Mary Liz i Wendy, po czym obie wybuchnęły śmiechem.

- Ja idę - nie ustępował Schyler. - Nieczęsto ma się okazję poznać hollywoodzkiego magnata.

- Wrednego faceta - poprawiła go Mary Liz. - Bertie powiedział, że to wredny facet, pamiętasz przecież.

Niezależnie jednak od swych chęci, Mary Liz znalazła się wkrótce twarzą w twarz z Koszmarnym Herbertem. Nancy, jako przykładowa gospodyni, musiała się bowiem upewnić, czy jej nowy gość przywitał się ze wszystkimi, nim siądą do kolacji.

Glidden wyglądał raczej nieszkodliwie, może nawet dość interesująco. Miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat, siwe włosy i niewielką łysinę. Ubrany był w elegancki garnitur,

wypolerowane buty i robił wrażenie spokojnego, zrównoważonego człowieka, który wie wprawdzie czego chce, lecz nie ma zamiaru zrobić komukolwiek krzywdy.

- Cieszę się, że mogłem panią poznać - powiedział do Mary Liz po powitaniu. - Kilka lat temu poznałem pani rodziców. Pani ojciec jest znakomitym doradcą podatkowym, a mama, o ile pamiętam, śliczną, pełną wdzięku kobietą.

- Chodziłyśmy razem z Indią do szkoły - poinformowała gościa Nancy.

- Indie? - spytał Bertie, podchodząc do całej grupy. - Matka Mary liz pochodzi z Indii?

- Nie, głuptasie, ma na imię India - wyjaśniła Nancy. - To bardzo popularne imię na Południu.

- O, tak, bardzo popularne - powiedział Bertie. - Jest przecież India Mitchell, autorka „Przeminęło z wiatrem”, India Winfrey, prowadząca popularny talkshow, i oczywiście nasza pierwsza dama, India Clinton...

- Piłeś może wino poczciwego Randy'ego, Bertie? - spytał dowcipnie Glidden.

- Boże, jest naprawdę okropne, prawda?

- Gorzej niż okropne - uśmiechnął się Glidden. - Ale to nie ma żadnego znaczenia. Wytwórnia win jest tutaj taką nowością, a jego posiadłość jest tak piękna, że każdego lata przynosi znaczny profit. Zapytaj matki, młody człowieku.

- To prawda - powiedziała Nancy, patrząc na Gliddena niemal z czułością. Mary liz przypomniała zaś sobie, że ciotka zajmuje się zbieraniem funduszy na szczytne cele, a więc każdy potencjalny darczyńca może liczyć na jej specjalne względy.

- Na miłość boską, Nancy! - atmosferę uprzejmej rozmo-

wy przerwał nagle podniesiony kobiecy głos. - Co cię opętało, żeby go tu zaprosić?

Wszyscy odwrócili się gwałtownie i ujrzeni przed sobą gasnącą, jasnowłosą piękność. Delikatna, urocza (a jakże, jeszcze jedna!) kobieta miała na oko około czterdziestu lat, szarozielone, przyciągające uwagę oczy i czysty, wysoki głos

o jankeskiej wymowie.

- Czy nikt ci nie powiedział, Herb - spytała Gliddena - że to wysoce nieuprzejme procesować się z wdową po przyjacielu i partnerze w interesach, a na dodatek psuć jej przyjęcie swoim niezapowiedzianym przybyciem? - Patrzyła na niego z naganą, choć mimo to musnęła przelotnie wargami jego policzek.

- Ach, urocza Claire - powiedział. - Jestem mile zaskoczony, że cię tu widzę. Powiedz, czy ten człowiek, który stoi tam pod oknem, to może ten nowy szef nowej żony twojego byłego męża? Złośliwość była celna. Oczy Claire zaśniły bólem.

- Do diabła, Herb! Zachowuj się przyzwoicie - skarciła go ostro Nancy.

- Och, masz rację - roześmiał się, podchodząc bliżej do Claire i obejmując ją po przyjacielsku. - Przepraszam - uśmiechnął się do blondynki - po prostu zobaczyłem, że wyciągasz bron i postanowiłem wypalić pierwszy. - Odsunął się. - Zjawiłem się tutaj - zaczął tłumaczyć - wyłącznie dlatego, że nie mogę znieść zaistniałej sytuacji. Musiałem zobaczyć się z Nancy, z którą przyjaźnię się... Od ilu, od trzydziestu dwóch lat, Nancy? Wiem, że jestem pozbawionym uczuć i dobrych manier łajdakiem, ale mimo wszystko przykro mi, Claire, że napadłaś na mnie w ten sposób. Po tych słowach zapadła niezręczna cisza. Nancy stała z oczami utkwionymi w Claire. Mary Liz wpatrywała się w Nancy. Claire i Herbert mierzyli się wzrokiem niczym bokserzy przed walką. Nagle spojrzenie Claire prześlizgnęło się na Mary Liz.

- To pewnie ty jesteś Mary Liz Scott, prawda? - spytała, jakby poprzednia potyczka słowna nie miała w ogóle miejsca i nie wymagała żadnego komentarza. - Masz taką samą urodę jak twoja matka. A *propos*, jak się miewa India? Nie widziałam jej od lat.

I takie właśnie było wejście Claire MacClendon, malarki z Bridgehampton, która, jak sama przyznała, ukrywała się przez godzinę w domku plażowym, oglądając wyścigi konne na telewizyjnym kanale ESPN 2.

Mówiąc bez zbędnej afektacji, należałoby powiedzieć, że kolacja była pięknym i osobliwym przeżyciem. Ogromne okna jadalni wychodziły na ocean i mimo że praktycznie zapadła już noc, na horyzoncie wciąż było dość jasno. Nancy wyznaczyła miejsce Mary Liz przy długim prostokątnym stole między Juliusem Hoffmanem a Charlesem Kahnem, mężem projektantki mody, lecz Sasha Reinbart, lekceważąc intencje gospodyni, zmusiła Juliusa, by zamienił się z nią miejscami. Chciała siedzieć obok Mary Liz, czego bynajmniej nie kryła.

Tak więc Nancy zasiadła u szczytu stołu, po jej prawej stronie posadzony został Herbert Glidden, dalej zaś siedzieli w kolejności Jeanine Hoffman, Sasha Reinhart, Mary Liz, Charles Kahn, Vanessa Buckley i Claude Lemieux. Po przeciwnej stronie stołu znaleźli się Bertie, Rachelle Zaratan, Randolph Vandergilden, Claire MacClendon, Schyler Preston, Julius Hoffman, Isabel Lemieux, Buck Buckley i wreszcie Wendy, po lewej ręce Nancy.

Ponieważ panował upał i wilgoć, przygotowano kolację

40

na zimno. Dwie miejscowe dziewczyny, wynajęte specjalnie na tę okazję, podały chłodnik z ogórków, po nim zaś półmisek młodziutkich, delikatnych szparagów w bliżej nieokreślonym, acz wyśmienitym sosie.

Daniem głównym był homar na zimno, serwowany z plasterkami awokado, pomidorów oraz holenderskim sosem. Dla chętnych były jeszcze dwa rodzaje sałatek i ciepły chrupiący chleb. Wino - białe, wspaniałe *chablis*, które z pewnością nie pochodziło z „Eastern Winery” - Mary Liz piła tym razem z prawdziwą przyjemnością.

Buckowi, prezesowi klubu golfowego, alkohol wyraźnie uderzył do głowy i co chwilę upuszczał na podłogę srebrne sztućce.

- Może zainteresuje cię to, że w przyszły weekend będę odprawiała pewien stary, pogański rytuał - odezwała się Sa-sha do Mary Liz.

Mary Liz natychmiast wyobraziła sobie kanibali, tańczących wokół zawieszono nad ogniem kotła.

- Rozpalimy ognisko... - Sasha zawiesiła głos. No proszę!

- .. i będziemy tańczyć, a o północy odbędzie się specjalny obrządek. Musisz koniecznie przyjść, Mary Liz. Będzie sushi.

- Wiem, że twoja kolekcja cieszy się dużym powodzeniem - Mary Liz usłyszała słowa Bertiego skierowane do Rachele Zaratan - ale czy jakaś normalna kobieta nosi projektowane przez ciebie stroje?

- Ja mam dwie rzeczy z jej kolekcji - odważyła się przyznać Mary Liz, która wolała rozmawiać o modzie niż o rytualnych tańcach przy ognisku.

- Ale ty zarobiłaś już swoje kilka milionów dolarów - powiedział Bertie - trudno więc nazwać cię normalną.

41

Mary Liz nie zarobiła „kilku milionów”, jak powiedział, choć rzeczywiście miała sporo ponad milion w rozmaitych papierach wartościowych. W tym jednak towarzystwie nie było to zbyt wiele.

Uśmiechnęła się przez stół do projektantki.

- Twoje kreacje są naprawdę wspaniałe, Rachelle. Wyglądają świetnie, człowiek czuje się w nich swobodnie, a poza tym są nie do znoszenia. Najfajniejsze zaś jest w nich to, że mają taki klasyczny, nieekstrawagancki styl. - Odwróciła się do Bertiego i wyjaśniła: - Gdy je kupujesz, mogą wydawać ci się drogie, ale gdy nosisz je trzeci rok i wciąż zbierasz komplementy na temat swego wyglądu, uświadamiasz sobie, jaki świetny interes zrobiłaś, decydując się właśnie na nie. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to owszem - normalne kobiety kupują i noszą ubrania Rachelle Zaratana.

- Jesteś nap-rrr-awdę bardzo uprzejma - powiedziała rozpromieniona Rachelle z akcentem, którego Mary Liz nie potrafiła zidentyfikować. - Dziękuję ci za te słowa.

Sasha, zniecierpliwiona brakiem zainteresowania dla jej tematów, trąciła Mary Liz łokciem w bok i spytała:

- No dobra. A co z wielorybami? Jaki jest twój stosunek do wielorybów?

- Najbardziej podoba mi się piosenka Judy Collins, która o nich śpiewa - zażartowała Mary Liz.

- O, tak! Ja też kiedyś o nich zaśpiewam!

Mary Liz uśmiechnęła się i pokręciła głową. Sasha rzeczywiście była zwariowana. Uśmiechnął się również siedzący naprzeciwko nich Schyler Preston. Rozmawiał z malarką, Claire MacClendon, ale jak widać, przysłuchiwał się także ich rozmowie. No, w każdym razie przyglądał się Mary Liz, co spostrzegła z przyjemnym zdziwieniem.

- Najbardziej chciałabym zaśpiewać w duecie - mówiła

dalej podekscytowana gwiazda. - W piosence Judy wieloryb był tylko w tle, ale w mojej...

- Hej, Schyler! - jej słowa przerwał nagle podpity już mocno Buck, który zawołał głośno przez stół, nie bacząc na konwenanse. - Skąd my się znamy? Wyjaśnij to naszej uroczej gospodyni.

Schyler spieszył się lekko. Poszukał wzrokiem Vanessy Buckley, jakby chciał, by przyszła mu z pomocą. I rzeczywiście ^ Vanessa Buckley uśmiechnęła się do Nancy i oznajmiła:

- Sky jest pracownikiem sezonowym. Wspiera męską drużynę.

- Czyli właściwie jesteś członkiem tego klubu? - spytała Schylera Mary Liz, doskonale zdając sobie sprawę, że żadnego nauczyciela nie byłoby stać na opłacenie składki członkowskiej w „East End Country Club”.

- Coś w tym rodzaju - odparł z lekkim zakłopotaniem.

- Rozumiem. Układ handlowy. Pokój nad garażem i klub w zamian za... zresztą już o tym mówiłeś.

- Tak.

- Ale w jaki sposób ty poznałaś Schylera, Vanesso? - spytała Nancy. - Przecież on pracuje w Wirginii.

- Poznaliśmy się z Buckiem na zjeździe stowarzyszenia golfowego w zeszłym roku - wyjaśnił Schyler.

- W Green Briar. Była tam też Vanessa.

- Ano tak! - potwierdził Buck, śmiejąc się z czegoś i kiwając na dziewczynę z butelką wina, żeby jeszcze raz napełniła mu kieliszek.

T- Przystopuj trochę, Buck - powiedział cicho Gliddea Buck spojrzał na niego, skrzywił się, lecz ostatecznie zmienił decyzję.

- Nie ma sprawy. Podaj mi zimną colę, dobrze? - uśmiechnął się do kelnerki, natomiast Mary Liz po raz kolejny zastanowiło to, jak wielki wpływ wywiera Herbert Glidden na wszystkich zebranych tu gości. Dlaczego?

- Czy to prawda, że byłaś związana z Wall Street? - wyrwał ją z zamyślenia siedzący po prawej stronie Charles Kann.

- Słucham? Co on powiedział, Mary Liz? - Sasha otworzyła oczy ze zdumienia.
 - Że była związana z Wall Street - powtórzył Charles.
 - Ale chyba już nie jest.
 - Nie jest. Wiem o tym, Sasho - odparł Charles.
 - Nie z Wall Street - sprostowała Mary Liz, odwracając się do mężczyzny. - Pracowałam w „Reston, Kellaher”, w Chicago.
 - Co powiedziałaś? - znów spytała Sasha, a następnie zmusiła Mary Liz do zamiany miejsc, chciała bowiem słyszeć jej rozmowę z Charlesem i postanowiła usiąść między nimi.
- Przestawianie talerzy, kieliszków do wina i szklanek nie spodobało się ciotce Nancy. Spojrzała surowo na Mary Liz i powiedziała karcącym tonem:
- Przesiadamy się dopiero na kawę i deser, Mary Liz, nie teraz!
 - Och, dajcie spokój! - obruszyła się Sasha. - Usadowiliśmy się w ten sposób, żeby móc swobodnie pogadać.
- Jednak Mary Liz przejęła się uwagą ciotki. Speszyła się, słysząc jej słowa, a zaraz potem jeszcze bardziej, gdy spostrzegła, że Schyler w dalszym ciągu nie spuszcza z niej wzroku. Claire MacClendon zresztą również. Czyżby rozmawiali o niej?
- Z pewnością nie. Wszyscy po prostu gapili się teraz na nią - źle wychowaną kobietę ze Środkowego Zachodu, która

zmienia miejsce przy stole w środku przyjęcia mimo protestów gospodyni.

- Nie przejmuj się- pocieszyła ją Sasha, zmuszając Mary Liz, by znów na nią spojrzała. - Mów dalej. Przy stole zapadła cisza. Wszyscy nagle zapragnęli usłyszeć, co też ma do powiedzenia źle wychowana kobieta ze Środkowego Zachodu.

- Pracowałeś w „Reston, Kellaher” w Chicago - przypomniał jej Charles Kahn. - To świetna firma. Poręczyła naszą emisję obligacji.

- Pamiętam, pamiętam - uśmiechnęła się Mary Liz. -Pracowałam wtedy jako analityk. Mój dobry przyjaciel z sąsiedniego działu zajmował się handlem detalicznym i był zaangażowany w waszą sprawę. Jonathan Felder.

- Tak, tak się nazywał - potwierdził Charles. - A całą transakcją kierował Clay Kirkman.

- Obecnie pracuje w „First Boston” - poinformowała Mary Liz.

- Pamiętam, że bardzo go lubiłam - wtrąciła Rachelle. - Był u-rrr-oczy i se-rrr-deczny.

- A jaka była twoja dziedzina?

- Telekomunikacja.

- Doprawdy? - spytał nagle siedzący obok Nancy Herbert Glidden. - Toż to same konfitury! Musiałaś się nieźle zasłużyć. Można wiedzieć czym?

- Wprowadziłam naszą firmę na rynek światłowodów i telekomunikacji ruchomej, zanim zrobiło się na nim ciasno.

- A wytwórnice filmowe? Telewizja?

- Och, tam byliśmy jeszcze wcześniej. Przejęliśmy część firmy Turnera.

- Na czyj wniosek?

- Mój - przyznała. - To właśnie była moja praca - bada

nie różnych gałęzi gospodarki w celu wykrycia możliwości inwestowania w te branże i firmy, które są najbardziej dochodowe, mają najlepsze perspektywy i największe szanse sukcesu.

- Tak, to prawda, a przynajmniej wydaje nam się, że tak powinno wyglądać doradztwo inwestycyjne - westchnął Claude Lemieux. - Ale w twojej specjalności, Mary Liz, często zdarzają się zwykli „ubijacze” interesów, którzy nie mają pojęcia o potrzebach swoich klientów, inwestowaniu długoterminowym czy innych, mniej dochodowych branżach, które też przecież muszą się rozwijać...

- Na przykład o wydawaniu czasopism - dokończyła Isabel za męża, a on skinął głową.

- Właśnie. Czy miałaś kiedyś do czynienia z działalnością tego typu? - spytał z ledwie zauważalnym francuskim akcentem.

- Prawdę mówiąc, prowadziliśmy interesy z Hachette, wielką francuską firmą wydawniczo-dystrybucyjną.

- A jakie było twoje ostatnie stanowisko w „Reston, Kellaher”? - Herbert Glidden przerwał ten wątek.

- Dajcie jej spokój. Ona już nie pracuje - powiedziała Nancy. - Przed odejściem była w firmie wspólniczką, a gdy zrezygnowała, ogłoszono to w „Wall Street Journal”. Przy tym wszystkim dziewczyna ma zaledwie trzydzieści dwa lata. Pomyślcie tylko!

- Naprawdę pani już nie pracuje? - dopytywał się Glidden.

- W każdym razie nie tego lata - odparła z zakłopotaniem Mary Liz.

Do licha, nie chciała, by wszyscy przysłuchiwali się tej rozmowie. A już najmniej zależało jej na tym, by dwaj faceci, od których miała zamiar trzymać się jak najdalej, Herbert Glidden i Julius Hoffman, poznali historię jej kariery. Oby

tylko nie domyślili się związku, jaki zachodzi między jej byłą pracą a obecnym procesem jej chrestnej matki.

- O ile dobrze zrozumiałam - wtrąciła się do rozmowy Claire MacClendon - są to pierwsze od sześciu lat wakacje Mary Liz. Wakacje, w trakcie których panna Scott zamierza zająć się czymś, co zgubiła gdzieś i zarzuciła, wspinając się po kolejnych szczeblach swojej zawrotnej kariery. - Claire uśmiechnęła się do niej przez stół i Mary Liz uświadomiła sobie, że malarka usiłuje wybawić ją z opresji. Ciotka Nancy musiała zdradzić jej rzeczywiste zadanie chrześnicy. - Malowanie uzdrawia duszę, moje dziecko...

- Wdziałaś ten duży pejzaż morski w salonie? - spytał Bertie. - To Claire go namalowała. Sasha Reinhart klepnęła się dłonią w udo.

- O rany! Ty jesteś Claire! Ta sama Claire MacClendon! Jakaż ze mnie idiotka! Przepraszam, że nie domyśliłam się od razu. Hep Morgan ma twój obraz w swoim domu w Malibu. Wisi w jadalni. Ten ze słońcem wschodzącym nad doliną, pamiętasz, no nie?

- Tak. - Malarka uśmiechnęła się nieśmiało.

- Bardzo chciałabym obejrzeć inne twoje prace - entuzjasmowała się piosenkarka. - Mam fatalną pamięć do nazwisk. Jeszcze raz przepraszam, że nie skojarzyłam cię od razu. Orany...

- Dziękuję, panno Reinhart, bardzo mi pani pochlebia.

- Sasha, po prostu Sasha-zachnęła się gwiazda.-Ani ze mnie panna, ani Reinhart. Może wybierzesz się z Mary Liz i ze mną pooglądać wieloryby?

- O mój Boże - jęknęła Rachelle Zaratán i nagle zapanowała ogólna wesołość.

Gdy wreszcie ucichł zbiorowy śmiech, Herbert Glidden powtórzył swoje pytanie:

- Jakie było pani ostatnie stanowisko w „Reston”, Mary Liz?

- Ostatnie...? - Pochyliła się nad stołem, by na niego spojrzeć. - Tak jak powiedziała ciocia Nancy, byłam współniczką. I nadal zajmowałam się biznesową analizą, konkretnie - pewnymi inwestycjami w telekomunikacji.

- A pani ostatnia transakcja?

- Koncesja SCA na wprowadzenie nowoczesnych technologii komunikacyjnych w Europie Wschodniej i Ameryce Łacińskiej.

- No proszę! Olbrzymia transakcja, prawda? - gwizdnął z podziwem Julius Hoffman. - Musimy pogadać, Mary Liz, na temat podobnych transakcji w „Howland”.

- A zatem zna się pani dobrze na międzynarodowych finansach? - nie ustępował Glidden.

- Owszem.

Dzięki Bogu, tym razem tej wymiany zdań nie słuchali wszyscy. Przy stole rozpoczęła się ożywiona rozmowa na inne tematy i Mary Liz nie wzbudzała teraz ogólnego zainteresowania.

- Może więc zgodziłaby się pani popracować dla mnie - zaproponował Glidden.

- Nie tego lata - odpowiedziała za nią Nancy.

- Oczywiście. Miałem na myśli czas, gdy będzie już pani gotowa, by wrócić do pracy. Może jesienią?

- A może Mary Liz w ogóle nie wróci do tego inwestowania i zarabiania - wtrąciła się do rozmowy Sasha. - Powiem wam szczerze, ona naprawdę mi imponuje. Chciałabym, żeby ta dziewczyna udzieliła mi lekcji życia! Nie dać się wpędzić w tę nieustanną gonitwę, nie pozwolić, by dobra setka ludzi żyła z podatków odliczanych od jej dochodu, wybrać wolność i cieszyć się życiem, sztuką...

48

- Racja! - zawtórowała Rachelle, wznosząc do góry kieliszek. - Za wyzwolenie od zachłannej ko-rrr-po-rrr-acji i jej bezdusznego kierownictwa!

Charles popatrzył na Rachelle ze zdumieniem, a wszyscy inni wzniesli toast.

- Za rezygnację Mary Liz!-rzuciła Nancy.

- Za wolność!

- Widzę, że będziemy musieli porozmawiać później, Mary Liz - odezwał się Glidden.

- Ze mną też - zapewnił Julius Hoffman.

3

Zgodnie z obietnicą, na deser oraz kawę Nancy przesadziła gości przy stole. Wciąż trwały ożywione rozmowy, gdy jednak Buck, siedzący teraz obok Mary Liz, oparł głowę na jej ramieniu i zasnął, zmroziło to nieco atmosferę.

Schyler wstał, by zająć się delikwentem, tymczasem Vanessa pożegnała się ze wszystkimi, wyjaśniając, że mąż bierze środki przeciwbólowe z powodu kłopotów z zębem, i choć ostrzegła go, że mogą wejść w interakcję z alkoholem, to jak widać, jej nie usłuchał. Julius Hoffman, szturchnięty odpowiednio mocno przez żonę, zaofiarował się, że pomoże Schylerowi zaprowadzić Bucka do samochodu.

Podczas gdy uwaga gości skupiona była na Buckleyach, Claire MacClendon szepnęła coś do ucha Nancy, po czym ujęła pod ramię Mary Liz i poprowadziła ją na werandę. Gdy zeszły po schodkach do ogrodu, malarka westchnęła z ulgą:

- Uff, nareszcie świeże powietrze! Ostrzegałam Nancy - powiedziała z uśmiechem - żeby nie przedawkowała ci towarzystwa i wrażeń, bo uciekniesz do Chicago.

- Wszyscy są dla mnie bardzo mili.

Malarka roześmiała się tylko i poprowadziła Mary Liz w stronę plaży.

- Oczywiście. W każdym razie ten uroczy młody człowiek, który siedział obok mnie, już wyszedł, możemy się więc przespacerować. Schyler Preston. Fajny facet, nie są-

50

dzisz? Strasznie mnie o ciebie wypytywał. Powiedział, że widział cię tydzień temu w kinie, samą, i nawet rriiał zamiar do ciebie podejść. Ostatecznie zabrakło mu odwagi.

- Naprawdę? - Mary Liz była zdziwiona i... ogromnie zadowolona. A więc nie wymyśliła sobie tego! Ona również mu się podoba!

Weszły na drewniany deptak, szary i nadpróchniały, ciągnący się pomiędzy wydmami i zakończony schodkami prowadzącymi na plażę. Na styku trawnika i wydm stał nieduży domek plażowy, również z poszarzałego drewna, w którym mieścił się salonik, toaleta, prysznic, mała kuchenka oraz przebieralnia z ręcznikami plażowymi, kostiumami, akcesoriami do nurkowania, deskami windsurfingowymi i różnymi plażowymi zabawkami.

Mary Liz pomyślała z zachwytem, jak piękna jest ta nadmorska noc. Panował już całkowity mrok, ocean szemrał cicho. Mewy krążyły z krzykiem, zniżając się od czasu do czasu w poszukiwaniu krabów i małży.

Kobiety zsunęły sandaalki, zostawiły je obok schodków i zeszły boso na plażę. Piasek pod stopami był chłodny i czysty. Mary Liz zeszła za Claire nad wodę i stanęła na wale piasku usypanym przez fale przyplýwu.

- Musisz mnie uważać za wyjątkowo źle wychowaną osobę - powiedziała Claire, wpatrując się w ciemny horyzont. - Prawdę mówiąc, byłam z siebie dumna, że w ogóle zdecydowałam się przyjść na to przyjęcie. Gdy zobaczyłam przed wejściem Claude'a i kabeł, miałam ochotę umrzeć. - Spojrzała na Mary Liz. - Dlatego właśnie ukryłam się w tym domku. Musiałam się zastanowić, czy dam radę stawić im czoło.

Mary Liz nic nie odpowiedziała, lecz gdy malarka ruszyła wzdłuż brzegu, poszła za nią. Claire miała pewnie z dziesięć

51

kilo nadwagi (w East Hampton rzecz niemal niespotykana!), była jednak w dobrej kondycji fizycznej, albowiem Mary Liz miała trudności z dotrzymaniem jej kroku.

- Mój mąż zostawił mnie dla innej kobiety - wyznała Claire. - Cindy Claydon.

- Naczelną redaktorki „Je Ne Sais Quoi”? - Mary Liz również o tym przeczytała w kronice towarzyskiej.

- Tej samej. Poznaliśmy ją przez Claude'a i kabel. Normalnie nie miałabym nic przeciwko spotkaniu z nimi, ale Cindy właśnie spodziewa się dziecka i szczerze mówiąc, przeżywam dość trudny okres. - Spojrzała na Mary Liz. -Zwłaszcza że postanowili spędzić tegoroczne lato w East Hampton.

- O kurczę!-jęknęła Mary Liz.

- Właśnie tak. Cindy ma trzydzieści sześć lat, a ja pięćdziesiąt dwa. Już samo to jest przykre, a gdy jeszcze pomyślisz, że nie będziesz już miała kolejnego dziecka...

- Pięćdziesiąt dwa? - Mary Liz zatrzymała się zdumiona i wbiła wzrok w malarkę. - To niemożliwe.

- Jesteś bardzo miła — powiedziała Claire z uśmiechem. - Chodźmy jednak, zanim zaczną się robić szkaradna na twoich oczach niczym Dorian Gray.

- A czy mogę spytać, ile lat ma twój były mąż? - spytała Mary Liz po kilku krokach.

- Jesienią skończy sześćdziesiątkę.

Przez chwilę szły w milczeniu, wreszcie Mary Liz olśniło.

- Henry - powiedziała, spoglądając na Claire. - Henry Macdendon? Architekt?

- Tak.

* Dorian Gray -bohater powieści Oskara Wilde'a (1854-1900) „Portret Doriana Graya" (przyp. red.)

Bardzo znany architekt, dodała w myślach Mary Liz. Ceniony na całym świecie specjalista od ogromnych domów i biur, projektowanych na kształt historycznych rezydencji kolonialnych lub wiktoriańskich. Odnowiony ostatnio odcinek chicagowskiego wybrzeża wiele zawdzięczał temu człowiekowi.

- Mamy dwie wspaniałe córki - mówiła dalej Claire - Madeline i Emily. Podróżują teraz po Europie z matką Henry'ego.

- W jakim są wieku?

- Dwadzieścia dwa i dziewiętnaście lat. - Malarka wpatrywała się przez kilka chwil w morze, po czym przeniosła spojrzenie na Mary Liz. - Bardzo mi przykro, że nie ma ich tutaj ze mną, ale przecież muszę pozwolić im dorastać. Tak mi przynajmniej powiedziały. Zeszłej jesieni musiałam siłą hamować się, żeby nie zabronić Emily wyjazdu do college'u.

Mary Liz przypomniała sobie, jak smutna była jej matka, gdy młodszy brat wyjechał kilka lat temu na studia. Ona jednak wciąż miała jeszcze ojca i aż do dnia dzisiejszego nie mogła się nadziwić, jak bardzo szczególna okazała się tamta jesień dla ich małżeństwa. Odrodziło się, albowiem po prawie trzydziestu latach kradzionych chwil, które spędzali razem tylko wtedy, gdy dzieci nie było akurat w pobliżu, państwo Scottowie znaleźli wreszcie czas na wzajemną bliskość.

Szły jeszcze jakiś czas w milczeniu przed siebie, wreszcie postanowiły zawrócić, gdyż robiło się coraz chłodniej i wilgotniej.

- Nancy wtajemniczyła mnie - zwierzyła się Claire, gdy szły w stronę posiadłości - że przyjechałaś, by zinventaryzować majątek Alfreda. I że firma twojego ojca będzie reprezentować ją jesienią w sądzie.

- Jak sądzisz, ile jeszcze osób o tym wie?

- Wszyscy wiedzą, że twój ojciec będzie bronił interesów Nancy, więc pewnie domyślają się, po co tutaj jesteś - Claire roześmiała się cicho. - Interesująco było słuchać tej gładkiej gadki Herba, co nie?

Założę się, że wie o twojej roli i zdaje sobie sprawę, jak cennym byłabyś dla niego sprzymierzeńcem. Na twoim miejscu strzegłabym się go jak ognia. Nie należy do specjalnie miłych ludzi.

- To znaczy?

Claire zastanawiała się przez moment.

- Zawsze działa jak taran-rzekła w końcu.

- Dziś nie sprawiał takiego wrażenia.

- O tak, ale właśnie dlatego jest niebezpieczny. Zawsze robi dobre wrażenie, ale w istocie jest żądny władzy, szacunku i akceptacji, nawet tutaj, od tych ludzi. To znaczy, od mężczyzn.

- Nie sądzisz, że to dziwne, iż ciocia Nancy przywitała go tak serdecznie?

- Nie - pokręciła głową Claire. - To cała Nancy, zniewala ich uprzejmością.

- To samo powiedział Bertie.

- Miał rację. A ty po prostu bądź ostrożna, Mary Liz. Wyjątkowo ostrożna. I wiedz, że mam na myśli absolutnie wszystkich - wszystkich facetów, którzy byli na przyjęciu: Herba, Juliusa, nawet Claude'a, Bucka, Charlesa i Randolpha. I pomyśleć, że oni wszyscy byli przyjaciółmi Alfreda. Do diabła, moimi również, przez Henry'ego, który przyjaźnił się blisko z Alfredem. Wyjątkiem był Herb Glidden.

Alfred często nie wpuszczał go nawet do domu.

- Naprawdę?

- Naprawdę. A teraz, gdy Alfred nie żyje, Herb pozwala sobie zepsuć przyjęcie u Nancy, a ci wszyscy faceci witają go z zadowoleniem... - Claire przystanąła, by popatrzeć na Ma-

ry Liz. - Trochę to dziwne, że tak się go boją, prawda? Wiem, że coś się tutaj dzieje, czuję to, ale cokolwiek to jest, Nancy niczego nie podejrzewa. Po prostu nie jest podejrzliwa z natury. Proszę cię więc, Mary Liz, uważaj na nią, dobrze? Gdyby zdarzyło się coś dziwnego, zadzwoń do mnie ód razu.

- Na przykład?

- Tak jak dzisiaj, gdy zjawił się Herb, a wszyscy przywitali go serdecznie, zamiast na niego splunąć.

- Bardzo mi przykro - pokręciła głową Mary Liz - ale nadal niczego nie rozumiem. Czemu wydaje ci się to takie dziwne?

- Ponieważ Herb Glidden zawsze mi przypominał małego pieska deptającego po piętach swego pana, Alfreda, a dzisiaj traktuje się go jak kandydata na senatora. Naprawdę nie wiem, czemu wszyscy mu się podlizywali. No cóż, Saśha tak - wiem, że jesienią zamierza kręcić kolejny film dla „How-land”, a to oznacza, że będzie musiała mieć do czynienia i z Juliusem, i z Herbem. Ale inni? Z jakiego powodu płaszczą się przed nim? On coś, cholera, knuje. Nie popełnij błędu, Mary Liz, nie daj mu się zejść od tyłu. Skoro Alfred mu nie ufał, ja również bym mu nie ufała.

Gdy dotarły do Wielkiego Domu, okazało się, że goście już wyszli. Delores powiedziała im, że Bertie przebiera się na górze, a pani Hoffman wciąż jest w salonie, toteż poszły, by pożegnać się z Nancy przed snem.

Znalazły ją leżącą na sofie z zimnym kompresem na oczach. Mary Liz nie mogła powstrzymać uśmiechu - Nancy tak bardzo przypominała jej matkę. Krzątała się przez cały dzień, jak to zwykle czynią urodzone i wychowane na Południu kobiety, wieczorem bez najmniejszego wysiłku krążyła wśród gości, a z chwilą gdy jej obowiązki się skończyły, opadła z nóg.

Podziękowały jej za kolację, a ona tylko na chwilę uniosła powieki, uśmiechnęła się i pożegnała je krótkim:

- Dziękuję wam. Dobranoc.

Na podjeździe Claire wsiadła do swego starego auta i zanim odjechała, zwróciła się do Mary Liz:

- Niedługo do ciebie wpadnę, zgoda? Przedtem, rzecz jasna, zadzwonię. Mam fioła na punkcie prywatności.

- Mieszkasz w Bridgehampton? - spytała Mary Liz.

- Tak, kilka kilometrów na zachód stąd. Tam, gdzie mieszkają prawdziwi ludzie - roześmiała się Claire i uruchomiła silnik samochodu.

Mary Liz pomachała jej na pożegnanie i ruszyła przez trawnik w kierunku swego domku. Gdy znalazła się u siebie, włożyła nocną koszulę i szlafrok, zaparzyła sobie filiżankę herbaty i usiadła w ciemności na frontowej werandzie. Widziała stąd, jak Bertie odjeżdża z Wendy swoim BMW, słyszała cykanie świerszczy za żywopłotem, podziwiała gwiazdy migoczące na bezchmurnym niebie.

Oddychała pełną piersią pachnącym powietrzem i rozkoszowała się boską ciszą.

- Mary Liz?—jakiś cichy głos wyrwał ją z głębokiego snu. Otworzyła oczy, oszołomiona nagłym przebudzeniem.

Ciemność zaczynała rzednąć, a ona wracała powoli z krainy snu. Nagle wyczuła obok siebie w ciemności czyjaś obecność i wzdrygnęła się, przerażona.

- To ja, Sky Prestonznów usłyszała głos, a potem poczuła delikatny dotyk jego dłoni, którą położył na jej ramieniu. - Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

- Cześć - szepnęła, rozglądając się wokół zaspanym wzrokiem. Nadal siedziała na werandzie w bujanym fotelu. - Chyba zasnęłam.

56

- Wiem. Wyszedłem na spacer i zobaczyłem, że wciąż pali się u ciebie światło, pomyślałem więc, że wstąpię na chwilę. A potem zobaczyłem cię tutaj. Nie chciałbym ci przeszkadzać, ale przeziębisz się od zimna i tej wilgoci.
- Dzięki. Może wejdiesz do środka? - zaproponowała, rozbudzona już na dobre.
- Tylko na chwilę. - Sky wyraźnie ucieszył się z zaproszenia.
- Musisz mi wybaczyć mój strój - powiedziała, wstając powoli z fotela. No proszę, Sky miał rację. Odsłonięty kark całkiem zdrętwiał jej z zimna i nie mogła teraz nawet poruszyć szyją.
- Wybaczę ci wszystko, jeśli ty mi wybaczysz, że cię przestraszyłem - odpowiedział Sky, wchodząc za nią do środka.
- Usiądź, proszę - zaprosiła go, gdy znaleźli się w pokoju. Sky przebrał się już po kolacji i miał teraz na sobie koszulkę polo i krótkie spodenki. - Napijesz się piwa? A może kawy, herbaty, wody mineralnej... mam też sok pomarańczowy.
- Może piwo - odrzekł, siadając na fotelu i rozglądając się po gustownie urządzonej wnętrze. - Ładnie tutaj.
- Nancy przemeblowała wszystko przed moim przyjazdem.
- Powinnaś zobaczyć mój pokój nad garażem Bucka. - Roześmiał się. - Szorowanie podłóg i ścian zajęło mi cały tydzień, dopiero wówczas odważyłem się rozpakować.
- Czy dotarł do domu w możliwym stanie?
- Tak, już czuje się dobrze. - Sky znów rozejrzał się po salonie. - Na terenie posiadłości znajduje się również domek gościnny, prawda?
- Tak, na wzgórzu.
- A zatem jesteś tu w charakterze członka rodziny, nie gościa?

57

- Owszem.

- Nie chciałaś zamieszkać w Wielkim Domu? W pokoju z widokiem na ocean?

- Niespecjalnie - odparła Mary Liz, wracając do salonu ze szklanką piwa dla niego i wody mineralnej dla siebie.

- Prywatność jest rzeczą, którą cenię sobie najbardziej.

- Ja również - powiedział Sky, biorąc od niej szklankę.

- Dziękuję.

Mary Liz usiadła na kanapie i podwinęła nogi pod siebie, upewniając się, że szlafrok osłania wszystko, co trzeba.

- Po twoim wyjściu wybrałam się na długi spacer z Claire MacClendon. Podobasz się jej...

- No proszę. Za twoje lato, Mary Liz, oby było dla ciebie jak najwspanialsze! - wznosił toast szklanką piwa.

- I dla ciebie.

- Mnie również podoba się Claire - powiedział Sky, gdy upił tego łyka piwa. - Jest bardzo atrakcyjną kobietą, nie sądzisz?

Mary Liz ucieszyła się, że docenił urodę Claire, mimo że miała pięćdziesiąt dwa lata i dziesięć kilo nadwagi. I to przy Jeanine Hoffman!

- Owszem, tak właśnie sędzę. - Odstawiła swoją szklankę na stół. - Powiedz mi coś o sobie. Czego uczysz?

- Historii w szkołe średniej.

- Założę się, że jesteś dobrym nauczycielem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Och, bo ja wiem? - Uśmiechnęła się. - Po prostu wydajesz się miły. Inteligentny, cierpliwy, uprzejmy.

- Ho, ho, ho... Dziękuję - uśmiechnął się. - Cóż, mam nadzieję, że jestem dobrym nauczycielem. Choć Bóg mi świadkiem, że nie jest to opłacalne zajęcie. Jediną nagrodę stanowi sama przyjemność nauczania i świadomość, że daję coś tym wszystkim dzieciakom.

- A nie czujesz się tutaj nieswojo? Pośród tych wszystkich bogaczy?

- Tak, do pewnego stopnia. Ale nie z powodu ich bogactwa, tylko dlatego że wszyscy oni są jacyś dziwni- ty też musiałaś to zauważyć. Nie mam pojęcia, czy to właśnie bogactwo tak na nich wpłynęło. Natomiast oczarowało mnie piękno tego miejsca. To cudowna odmiana po mojej zwykłej pracy.

- Dobrze to rozumiem.

- Naprawdę cieszę się, że spędzasz tutaj lato, Mary Liz.

Przysięgła sobie, że się nie zaczerwieni, ale ostatnia uwaga Sky'a, wypowiedziana tak nagle, a zarazem w sposób tak naturalny, zbiła ją z tropu.

- Dziękuję-odparła speszona.

- Czy grasz w golfa?

- Troszeczkę, wątpię jednak, żeby gra ze mną sprawiła ci przyjemność,

- Pamiętaj, że jestem nauczycielem przypomniał z uśmiechem, zaglądając jej w oczy. - I uwielbiam uczyć. Jeśli, oczywiście, uczeń jest chętny.

Znów poczuła się speszona. Całe szczęście Schyler przeprosił i spytał, czy może skorzystać z łazienki, miała więc okazję, by nieco ochłonać i dojść do siebie.

W oczekiwaniu na jego powrót wyjrzała przez okno panoramiczne, wychodzące na Wielki Dom.

Światła wewnątrz wciąż się paliły. Ciekawe, kto jeszcze nie śpi, zastanawiała się przez chwilę. I ciekawe, dokąd pojechał Bertie z Wendy - do baru, na dansing, a może jeszcze gdzieś indziej? Potem zaczęła rozmyślać nad tym, w jaki sposób Wendy zarabia na życie. Była prawie pewna, że kobieta w jej sytuacji nie może obejść się bez pracy. Któreś z tych dwojga musi przecież pracować, pomyślała, lecz zaraz potem przypomniała sobie,

że problem ten raczej nie istnieje, skoro Bertie ma odziedziczyć w przyszłości tak wielki spadek.

- Czy ten pokój po drugiej stronie korytarza to twój gabinet? - spytał Schyler, wróciwszy z łazienki. - Nie chciałbym być wścibski, ale zauważyłem komputer, szafki, i tak dalej...

- Oficjalnie mam wakacje, ale nie chcę wypaść z kursu.

- Przypuszczam, że musisz pilnować również własnych lokat. - Wydawał się trochę smutny, mówiąc te słowa. - Bo ty też jesteś pewnie zamożna, a przynajmniej masz o wiele więcej pieniędzy, niż ja kiedykolwiek zarobię jako nauczyciel. - Gdy nie skomentowała tego w żaden sposób, podszedł do niej i powiedział: - Dziękuję za piwo, Mary Liz. Jest już późno, muszę wracać do siebie.

Wstała i odprowadziła go do drzwi. Zapaliła światło na werandzie, po czym oboje wyszli na zewnątrz.

- Ach, jeszcze jedno - powiedział, odwracając się nagle. - Wszyscy moi przyjaciele mówią do mnie Sky. Chciałbym, żebyś i ty tak się do mnie zwracała.

- Sky? Tak jak niebo?

- Tak.

- Z miłą chęcią - powiedziała z uśmiechem. - Sky... Kapitalne imię. - Szukała czegoś w pamięci. - Był chyba jakiś pilot o tym imieniu albo.

- „Sky King”. W latach pięćdziesiątych był taki show. Nigdy go nie widziałem, ale mama bardzo go lubiła. Spytałem ją, czemu nie ochrzciła mnie imieniem Sky, zamiast Schyler, którego nienawidzę.

Wyjaśniła, że uczyniła to na prośbę wuja mojego taty, który obiecał, że opłaci mi naukę w college'u, jeśli rodzice zgodzą się, bym nosił jego imię. Zgodzili się, ale ten stary dziwak i tak nie uwzględnił nas w swoim testamencie. Zapamiętaj sobie, Mary Liz - daj dziecku tylko takie imię, które podoba się tobie samej.

60

- Nie masz dzieci?
- Nie - pokręcił głową.- A ty?
- Też nie. Nie byłam nigdy zamężna.
- Ja również nie byłem żonaty. No, jeden raz, prawie... Roześmiała się z lekkim zakłopotaniem.
- To tak jak ja.
- Ale chciałbym się kiedyś ożenić.

Nie mogła w tej chwili potwierdzić z czystym sumieniem, że ona też. Powtórzyła więc tylko:

- Sky... Tak, podoba mi się to imię. Nawet bardzo.
- Cieszę się - odparł, patrząc prosto w jej oczy.

Stali tak przez chwilę, przyglądając się sobie nawzajem, wreszcie Sky odezwał się pierwszy.

- Lepiej już pójdę - szepnął, jednak nie ruszył się z miejsca ani nie odwrócił wzroku.
- Dzięki, że wpadłeś. - Mary Liz patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

Znów uśmiechnął się słabo, westchnął głęboko, po czym odwrócił się i zaczął schodzić powoli ze schodków.

- Dzięki za piwo - rzucił jeszcze przez ramię i zniknął w mroku.

4

Nazajutrz rano, w sobotę, Bertie Hoffman wstąpił do niej, by namówić ją na windsurfing. Nie zraził go wcale fakt, że Mary Liz nie miała o tym zielonego pojęcia. Pocieszył ją tylko, że wczorajszego ranka pływał z Wendy i poszło jej całkiem nieźle, choć też była debiutantką.

- Wobec tego weź ją również dzisiaj - poradziła Mary Liz, ziewając. Wciąż miała na sobie szlafrok kąpielowy, była bowiem dopiero za pięć dziewiąta - całkiem wcześnie jak na wakacje.

- Nie ma mowy. Za dużo wczoraj wypila.

- Wczoraj? Nie przypominam sobie.

- Och, wypuściliśmy się jeszcze na drinka - odparł z wstydliwym uśmiechem. - Jeśli zgodzisz się ze mną popływać, następnym razem zabierzemy i ciebie.

Mary Liz spojrzała na niego z ukosa. Ubrany był w turkusowe spodenki i niebieskie klapki, a jego wspaniale umięśnione ciało pokrywała idealna opalenizna. Jasne włosy miał potargane - zapewne pamiątka po szalonej nocy spędzonej z Wendy.

Czy Nancy nie powinna zmusić go wreszcie do zajęcia się jakąś pracą, pomyślała. Szkoda, żeby taki facet się marnował...

- Twoja mama mówiła, że zapraszasz innych do wspólnego pływania na desce tylko po to, żeby móc się przed nimi popisać.

- Czy to źle, Mary Liz? - spytał nieco zmieszany. - To źle, że chcę, żeby ktoś mnie oglądał? Gdyby nie chodziło w tym sporcie o to, że można pooglądać sobie żeglujących po spienionej wodzie, to po co byłyby takie piękne żagle?

- Nie dzisiaj rano, Bertie - uśmiechnęła się Mary Liz, kręcąc głową. - Ale obiecuję ci, że któregoś dnia się z tobą wybiorę. Naprawdę.

- Jutro?

- Może, jeśli będzie ładna pogoda. A dziś spróbuj namówić Saszę. Jeśli powiesz jej, że może spotkać wieloryba, to z pewnością przynajmniej posiedzi na plaży. I oczywiście będzie cię podziwiał.

- Świetny pomysł - rozpromienił się Bertie. - Do zobaczenia!

Czym prędzej pobiegł do Sashy, a Mary Liz przeszła do swego gabinetu, wzięła ze stolika filiżankę z kawą, po czym wróciła do studiowania dokumentów finansowych Alfreda Hoffmana.

Tego samego dnia miała zaplanowane spotkanie z Williamem Pfeifferem, adwokatem z Wall Street i dawnym protegowanym jej ojca, którego kancelaria na Manhattanie pomagała jej w inwentaryzowaniu majątku Alfreda. William miał letni domek w Water Mili, około piętnastu kilometrów na zachód od East Hampton, i po wielu rozmowach telefonicznych postanowili spotkać się wreszcie osobiście. Spytał, czy będzie jej przeszkadzało towarzystwo jego małej córeczki, na co odrzekła, że oczywiście nie, bo przecież nie spotykają się wyłącznie w interesach.

- A może?-zapytała.

- Nie - odpowiedział. - Przynajmniej ja na pewno.

- Ani ja.

- To świetnie. Może zechcesz więc wybrać się z nami na dziecięcy festyn?

- Chętnie.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie tamtej rozmowy i odwróciła kolejną stronę. Studiowała właśnie niezwykle interesujący dokument dotyczący podatku od dochodów osobistych. Każdy już na pierwszy rzut oka mógł stwierdzić, że Alfred Hoffman albo sam był niezwykle doświadczonym ekspertem od spraw finansowo-podatkowych, albo takiego zatrudnił. Świadczył o tym chociażby fakt, że jego deklaracja podatkowa liczyła aż siedemdziesiąt trzy strony.

Owszem, dotyczyła ogromnie skomplikowanego majątku i pozornie mówiła inspektorom podatkowym o wszystkim, naprawdę jednak . Mary Liz orientowała się przecież w tym doskonale - miała kierować ich uwagę we wszystkich kierunkach, z wyjątkiem tych, które mogłyby być przedmiotem sporu.

Podobnie jak było to w wypadku innych przedsiębiorców, firma Alfreda Hoffmana płaciła właściwie za wszystko w jego życiu. Pobierał w niej wynagrodzenie i deklarował je jako dochód osobisty, z którego opłacał wydatki na rodzinę. Płacił, na przykład, za ten dom, a także za rezydencję w Beverly Hills. Ale własnością firmy był też apartament w Nowym Jorku, w Paryżu, domek rybacki na północ od Vancouver, willa w Meksyku i mieszkanie własnościowe w Aspen. Jego dochód był znaczny, a rozgryzienie wszystkich finansowych zagadek naprawdę niełatwe, zwłaszcza że prawnik, który je prowadził, zginął w katastrofie lotniczej wraz z Alfredem.

Ku jej zdziwieniu, po piętnastu minutach ktoś znów zapukał do drzwi frontowych małego domku. Hm, była przekonana, że podczas weekendów śmietanka towarzyska rzadko pokazuje się przed dziesiątą rano, ale widocznie nie była to

prawda w odniesieniu do bywalców East Hampton. Owinąwszy się szlafrokiem, podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę.

Przed nią stał Herbert Glidden - w krótkich spodenkach, sportowej koszulce i adidasach, z kijem do golfa w opalonej dłoni.

- Sky czeka, by dać nam lekcję - rzekł z uśmiechem. — Pomyśleliśmy, że może zechce się pani przyłączyć.

- Dzień dobry, Mary Liz! - pozdrowił ją Sky z oddali. Szedł właśnie przez trawnik od strony Wielkiego Domu, za nim zaś podążała ciotka Nancy w białym sportowym stroju i białych tenisówkach.

- Dzień dobry, kochanie! - powiedziała, podchodząc do chrześnicy.

- Witaj, ciociu. Jeszcze raz dziękuję, że mnie wczoraj zaprosiłaś. Przyjęcie było wspaniałe.

Herb Glidden i Sky zgodnie przytaknęli. W ogóle atmosfera wśród podążających na pole golfowe była znakomita. Fakt, że ten sam człowiek, który wczoraj zwarzył nastrój na przyjęciu, ponownie wkręcił się dzisiaj z samego rana na teren posiadłości, zdawał się uchodzić uwagi wszystkich. Wszystkich - z wyjątkiem Mary Liz.

- No jak? Masz ochotę zagrać? - spytał Sky.

- Byłoby mi bardzo miło, ale mam jeszcze sporo roboty. Ta odmowna odpowiedź najwyraźniej zainspirowała Nancy,

bowiem zaraz potem odezwała się przeproszającym tonem:

- Wybaczcie, kochani, ale Chuck Scarborough organizuje dziś rano turniej tenisa w swoim domu w Southampton. Ja, dzięki Bogu, nie biorę w nim udziału, ale pomyślałam, że powinnam obejrzeć przynajmniej część - wyjaśniła i wszyscy się roześmieli.

- Wobec tego poćwicz sobie trochę ze Schylerem - powiedział Glidden, podając jej swój kij - a ja porozmawiam chwilę z Mary Liz.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, ujął Mary Liz pod rękę i wprowadził ją do środka.

- Nie mogłem zasnąć wczorajszej nocy, taki byłem podekscytowany - odezwał się bez wstępów, zamykając za sobą drzwi. - Biorąc pod uwagę twoje referencje, mógłbym dokonać przy twojej pomocy fenomenalnych rzeczy tego lata. Sądzę, że wystarczyłoby trzydzieści godzin tygodniowo -poza tym mogłabyś pływać, malować i korzystać z wszelkich innych przyjemności. Nie, nie odmawiaj. Wysłuchaj mnie najpierw, dziewczyno. Wiem, że to twoje pierwsze wakacje od lat, ale naprawdę możesz przegapić życiową szansę. Muszę ostatecznie znaleźć inwestorów naszego nowego filmu, który ma być kręcony jesienią, sfinalizować cały plan finansowy... Przysięgam, że spodoba ci się ta praca. Zapłacę najwyższą stawkę. Poza tym poznasz mnóstwo gwiazd.

Mary Liz stała z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, O czym ón, u diabła, mówi?

- Okay, przejdźmy do konkretów. Dziesięć tysięcy tygodniowo. Za trzydzieści godzin pracy. Moi ludzie sprawdzili cię wczoraj wieczorem - jesteś niezwykle wysoko notowana, po prostu pierwsza klasa.

- Kiedy ja naprawdę nie mogę...

- Piętnaście, Mary Liz, ale to moje ostatnie słowo. Wiem, musisz się zastanowić. Nie odpowiadaj od razu. Porozmawiamy później. Piętnaście tysięcy tygodniowo za trzydzieści godzin pracy plus doświadczenie, jakiego nie zdobędziesz nigdzie indziej. Spotkania z gwiazdami filmowymi, podróże do Europy, i tak dalej... Przemyśl to sobie. Proszę cię tylko o to.

- Dobrze - skinęła głową.

Wydawał się zadowolony z jej odpowiedzi.

- A więc tu zamierzasz spędzić lato - powiedział, rozglądając się z zaciekawieniem. - Pamiętam, jak grywaliśmy tu nocami z Alfredem w pokera. Domek wyglądał wówczas całkiem inaczej. Powiedzmy, że był w stylu rustykalnym. Teraz widać tu rękę Nancy. Od kiedy poznała tę Marthę Stewart... -

Wyszedł do przedpokoju. - Pozwolisz, że przed grą skorzystam z toalety?

Klamka u drzwi frontowych poruszyła się. Ktoś próbował je otworzyć, były jednak zamknięte na klucz.

- Mary Liz? - rozległ się kobiecy głos. - To ja, Nancy! Mary Liz otworzyła drzwi i Nancy weszła pośpiesznie do środka.

- Gdzie on jest?-spytała.

- Chyba w łazience.

Ciotka ruszyła szybkim krokiem do przedpokoju.

- Toaleta jest tutaj, Herb! - powiedziała głośno i nie ruszyła się z przedpokoju, dopóki nie usłyszała, że drzwi od łazienki zamykają się. Dopiero wtedy wróciła do chrześcicy. - Był w twoim gabinecie, przeglądał papiery na biurku - oznajmiła szeptem.

Boże, pomyślała Mary Liz, widział zeznanie podatkowe Alfreda! Teraz więc już wie, po co tu przyjechałam.

- Nie chcę zrażać Herba bardziej niż to konieczne - dodała Nancy - ale nie wpuszczaj go tutaj następnym razem, ponieważ jest uparty i będzie próbował dowiedzieć się więcej.

Mary Liz skinęła głową i w tej samej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Hej, jest tam kto? - spytał Sky. - Powiedziałem może coś nie tak?

- Och, to ty, chłopcze! - zawołała Nancy, otwierając drzwi. - Wszystko w porządku. Za chwilę idziemy.

67

- Wejdz, Sky - zaprosiła go Mary Liz. - Może napijesz się czegoś?

- Nie, nie, nie - zaprotestowała Nancy. - Zostawimy cię samą, Mary Liz. Przygotuj się lepiej do tego spotkania.

- No, ja też jestem gotów - powiedział Herbert Glidden, stając w łukowatym przejściu i zacierając z zadowoleniem ręce. - Chodźmy, Schyler, mam czas do trzeciej i zamierzam do tej pory wiele zdziałać.

- Idźcie, idźcie - poganiała ich Nancy. - Mary Liz wybiera się na spotkanie. Dajmy jej trochę czasu dla siebie.

- Pamiętaj o naszej rozmowie - przypomniał jeszcze Herb na progu.

- Oczywiście. I dziękuję za interesującą propozycję.

Z ulgą zamknęła za nim drzwi. Było oczywiste, że przyszedł tu węszyć. Poza tym najwyraźniej chciał, żeby pracowała dla niego, a nie broniła majątku Alfreda Hoffmana.

Mary Liz miała pewne problemy z odnalezieniem domu Williama Pfeiffera w Water Mili. Okazało się, że wszystkie posiadłości na wschodnim krańcu Long Island są położone blisko drogi numer 27. W końcu jednak zidentyfikowała jego śliczny, kryty gontami wiejski dom z uroczym białym gankiem i zaparkowała przed nim swój „letni” samochód - sza-roniebieski kabriolet LeBaron z osiemdziesiątego ósmego roku.

Wysiadła, ruszyła w stronę drzwi frontowych, a wtedy zza węgła wypadła ku niej z cienkim piskiem mała dziewczynka. Na widok Mary Liz stanęła jak wryta. Miała pięć, może sześć lat. Na jej plecach zwisało ogromne sombrero.

Mary Liz uśmiechnęła się do niej, skłoniwszy się lekko.

- *Buenos dias, muchacha.*

Mała dziewczynka nadal stała nieporuszona.

- Muuuuu-cza-cza - powtórzyła Mary Liz, naśladowując muczenie krowy.

Odpowiedział jej uśmiech. Potem chichot.

- Muuu... - odpowiedziała dziewczynka.

- Miło mi panią poznać, panno Muuu - rzekła Mary Liz, podając jej rękę, podczas gdy William Pfeiffer

- w każdym razie Mary Liz założyła, że musi to być on - przyglądał im się z podwórka. Podszedł w chwili, gdy dziewczynka mówiła Mary Liz, że jest bardzo zwariowaną panią, a ona przyznawała jej rację.

- To ja, Mary Liz Scott na żywo i we własnej osobie - przedstawiła się z uśmiechem.

- Na żywo jeszcze bardziej urocza niż przez telefon - odparł, również się uśmiechając.

- Tatusiu - wtrąciła mała - powiedz jej, że mam na imię Jenny!

Bill robił bardzo miłe wrażenie. Nawet jednak rozluźniony, nie tracił wyglądu typowego przedstawiciela Wall Street. Miał lekko przerzedzone włosy, nosił okulary, koszulkę Lacoste'a, szorty i mokasyny, a w tylnej kieszeni spodenek - oczywiście - telefon komórkowy. Swoją córeczkę traktował bardzo swobodnie, niemal po kumpłowsku, i tym akurat zupełnie nie przypominał stereotypowego biznesmena, z którym Mary Liz rozmawiała w ciągu tygodnia.

Jenny koniecznie chciała się dowiedzieć, kiedy pojedą na festyn, ojciec zapewnił ją więc, że gdy tylko skończą rozmowę z Mary Liz.

- A czemu jeszcze nie skończyliście tej rozmowy? - spytała natychmiast dziewczynka.

Cóż było robić? Mary Liz dokończyła szybko jeden z wątków, po czym wsiadła do swego kabrioletu i pojechała bocznymi drogami za jeepem Billa do Southampton.

Impreza przeznaczona była dla dzieci poniżej ośmiu lat, a miejscowa społeczność rodziców zorganizowała ją na rzecz Funduszu Pomocy Dzieciom Chorym na Białaczkę. Festyn odbywał się przed miejscową szkołą podstawową, gdzie przygotowano dla dzieci rozmaite gry i zabawy, przejażdżkę wozem strażackim wokół boiska, dla młodszych zaś - krótki spacer na małym kucyku. Na

sprzedaż wystawiono używane zabawki i książki, można też było kupić hot dogi, hamburgery, różne wypieki, lody oraz watę cukrową.

Gość honorowy imprezy, Kenny, był siedmioletnim chłopcem z Riverhead, szczęśliwie wyleczonym z białaczki. Kontrast między pełnym życia, radosnym chłopcem, opowiadającym o sobie na prowizorycznej scenie, a bladym, łysym dzieckiem o zapadniętych oczach na zdjęciu obok, był poruszający, toteż wiele osób, nie wyłączając Mary Liz i Billa, podeszło bez słowa do kasjera, by dokonać darowizny.

Gdy Jenny poszła bawić się z dziećmi, Mary Liz opowiedziała Billowi o wczorajszym przyjęciu; o tym, jak Glidden zepsuł je swoją obecnością, o Juliusie Hoffmianie, a także o tym, że Claire MacClendon porównała Gliddena do psa depczącego Alfredowi po piętach. Najgorsze zachowała na koniec - relację o porannej wizycie Gliddena, który najprawdopodobniej widział na jej biurku deklarację podatkową Alfreda.

- W każdym razie ciocia Nancy twierdzi, że ją czytał.

- No to zdaje się, że będziesz miała problem, Mary Liz - westchnął Bill. - Na miłość boską, nie możesz mu więcej na to pozwolić.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bowiem podeszła do nich Jenny. Dziewczynka chciała przejść przez labirynt ustawiony z pudeł po lodówkach, trochę ją to jednak przerażało, toteż Mary Liz zaofiarowała się, że będzie jej towarzyszyć.

- Jest przeurocza - powiedziała później, patrząc, jak Jenny jedzie na grzbiecie kuczka.
- Z miejsca cię polubiła, co jest raczej niezwykle. Ostatnio mnóstwo osób przewinęło się przez jej życie. Nianie, opiekunki na godziny, moja żona i jej... - umilkł, gryząc się w język. - Chciałem po prostu powiedzieć, że zwykle jest nieufna.

Pomachali oboje Jenny, która przejechała obok nich na kuczku.

- A co porabia teraz jej matka? - spytała niepewnie Mary Liz.

- Jesteśmy rozwiedzeni. Od przeszło roku. - Bill skrzywił się. Wyraźnie nadal cierpiał z tego powodu.

- Mogę tylko powiedzieć, że naprawdę się starałem i że nie miałem pojęcia, że tak się to skończy. -

Niespodziewanie uśmiechnął się do niej. - Ale przynajmniej coś mi pozostało! To wspaniała dziewczuszka, prawda?

Mary Liz przytaknęła z całego serca, mimo woli jednak pomyślała, że rozpad rodziny musiał być dla tak małego dziecka czymś okropnym. Mimo swych trzydziestu dwóch lat i wielu rozczarowań, jakie przeżyła, wciąż zdumiewało ją, jak to się dzieje, że ludzie pobierają się, przysięgają sobie dożywotnią miłość, planują dziecko, a potem rozchodzą się, gdy jest jeszcze takie małe. Bill miał czterdzieści dwa lata. W chwili ślubu był więc już chyba wystarczająco dojrzałym człowiekiem, by zastanowić się dobrze nad wyborem właściwej partnerki.

„Nic dziwnego, Mary Liz, że do tej pory nie wyszłaś za mąż - mawiała jej przyjaciółka Sheila. - Ty jesteś niepoprawną perfekcjonistką”. Mary Liz odpowiadała wtedy, że pragnie tylko dać swoim dzieciom to, co jej samej dali rodzice - miłość i poczucie bezpieczeństwa.

- Twój ojciec jest wspaniałym facetem, Mary Liz - rzekł poważnie Bill, wyrywając ją z rozmyślań.
 - Wiem o tym.
 - Mógłby być multimilionerem, gdyby tylko zechciał reprezentować interesy kilku potężnych klientów, którzy do niego przychodzą. Wiesz, kogo mam na myśli?
 - Och tak - roześmiała się. - Obawiam się jednak, że jego nie interesują ani gangsterzy, ani handlarze narkotyków, ani wypędzeni ze swoich krajów dyktatorzy. Zresztą rodzice są w całkiem niezłej sytuacji materialnej. - Pomyślała o ich domu w Winnetka, mieszkaniu własnościowym na Florydzie i letnim domu w Kanadzie.
 - Nie jestem pewien, czy o tym wiesz - powiedział Bill - ale „Howland Films” to także jeden z klientów odrzuconych przez twojego ojca.
- Popatrzyła na niego ze zdumieniem.
- Nigdy mi o tym nie mówił.
 - Nie z powodów, jakie mogłabyś podejrzewać - dodał śpiesznie. - Zdecydowały powiązania rodzinne. Twierdził, że czułby się niezręcznie.
 - Widzę, że wiesz o nim więcej niż ja. Dlaczego właściwie odszedłeś z jego kancelarii?
 - Moja żona nienawidziła Chicago - wyjaśnił krótko. - A później otrzymałem propozycję nie do odrzucenia - dwa lata w Londynie i dwukrotnie wyższe wynagrodzenie. Mój klient był Amerykaninem żyjącym na emigracji i mającym masę problemów z izbą skarbową oraz angielskimi władzami podatkowymi.
 - Nie chodzi chyba o Roberta Maxwella, prawda? - zażartowała Mary Liz.
 - Nie, ale o kogoś w tym rodzaju. Cholerna robótka. No a poza tym moja żona uwielbiała Londyn, mieliśmy świetną

angielską nianię, która chodziła codziennie z Jenny na spacer do Regens Park, i w ogóle było cudownie.

- Czemu więc wróciłeś?

Stropił się. Trafiła wyraźnie w czuły punkt.

- Gdy ona wyjechała do Nowego Jorku, zabrała ze sobą Jenny.

- Rozumiem- pokiwała głową Mary Liz.

- Wróciłem więc i założyłem własną firmę - mówił dalej Bill. - A potem, gdy usłyszałem, że twój ojciec wziął sprawę majątku Hoffmanów, zadzwoniłem do niego, bo nic tak mnie nie interesuje, jak obrona funduszy powierniczych i rodzinnego majątku przed zakusami chciwych niegodziwców.

-Uśmiechnął się. - Można przy okazji poznać wartościowych ludzi, wiesz coś o tym...

- Poczekaj! - wykrzyknęła nagle Jenny. - Coś się stało kucykowi!

Wypuściła z rąk piłkę i pobiegła w stronę wybiegu. Wszystkie dzieci głośno krzyczały. Gdy podbiegli bliżej, zobaczyli, że mały szetlandzki kucyk mocno kuleje, a następnie zatrzymuje się i stoi uparcie, nie dając się nakłonić do uczynienia choćby jednego kroku. Mężczyzna trzymający lejce stał obok bezradnie i pewnie stałby tak jeszcze, otoczony lamentującymi dziećmi, gdyby nagle przez tłum nie przecisnęła się jasnowłosa kobieta w kitlu poplamionym kolorowymi farbami.

Przykucnęła obok zwierzęcia, szepcząc coś do niego i poklepując je łagodnie, a potem ujęła nogę kuczka i zaczęła uważnie oglądać kopyto. Zrobiła coś przy nim i zaraz puściła je, głaszcząc znów pieszczotliwie konika.

- Zobaczcie - pokazała metalowe ucho od puszk - utkwilo mu to w nózce i dlatego nie chciał iść.

- Ależ to Claire MacClendon! - zdumiała się Mary Liz.

- Kto taki?

- Drodzy panie, szanowne panowie! - powiedziała Claire głośno. - Ten biedny mały kucyk odniósł kontuzję podczas służby. - Niektóre dzieci wybuchnęły płaczem. - Wszyscy rodzice, którzy chcieliby ofiarować datki na to biedactwo, żeby mogło spokojnie odpocząć i dojść w domu do siebie, proszeni są o dokonywanie wpłat na ręce tego pana. - Wskazała na mężczyznę trzymającego lejce. - Ci zaś, którzy naprawdę, ale to naprawdę pragną, żeby kucyk wyzdrowiał...

- Tak, tak! - rozległy się okrzyki dzieci.

- ...mogą wypisać czek dla naszego Funduszu. Dzieci również zapraszam do składania darów. Przyda się każdy grosik - zapewniła, a gdy dorośli i dzieci pośpiesznie usłuchali jej wezwania, Claire dyskretnie odeszła na bok.

- Cześć, Claire! - zawołała Mary Liz.

Claire obejrzała się i uśmiechnęła, poznając nowo poznaną przyjaciółkę.

- Cześć, Mary Liz!

- Następnym razem, gdy będę potrzebowała kogoś do zbiórki pieniędzy, zwrócę się do ciebie - zażartowała Mary Liz, idąc z Pfeifferami w stronę Claire. - Czy to coś w rodzaju szantażu? Biedny mały kucyk?

Claire uniosła ręce obronnym gestem.

- Wszystkiego, co wiem o zdobywaniu funduszy, nauczyłam się od twojej matki chrzestnej, kochanie.

- Racja - roześmiała się Mary Liz. - Pozwól, Claire. Chciałabym, żebyś poznała Billa Pfeiffera, przyjaciela mojego ojca - i oczywiście mojego przyjaciela. A to jego córeczka, Jenny. Bill, to Claire MacClendon.

- Ta malarka? - spytał ze zdumieniem, spoglądając na Mary Liz. - Ta, która maluje te wspaniałe pejzaże?

Claire skinęła z uśmiechem głową. Ten komplement sprawił jej wyraźną przyjemność.

- Dzisiaj stworzyłam raczej jakieś dzieło abstrakcyjne
- powiedziała, wskazując na swój poplamiony farbami kitel.
- Przepraszam was, muszę wracać do mojego stoiska.
- Zostawiłaś tam swoje dzieci? - spytał Bill, na co Claire roześmiała się serdecznie.
- Dobry Boże, moje dzieci są już dawno dorosłe, ale dzięki za komplement. A może chcecie zobaczyć moje stoisko?
- Chodźmy, tatusiu, chodźmy! - zażądała Jenny, ciągnąc Billa za rękaw.

W stoisku Claire znajdowało się przemyślnie urządzenie, które obracało płaski talerz z leżącą na wierzchu kartką papieru. Gdy talerz wprawiano w ruch, dziecko wyciskało z tubek na papier farby w trzech kolorach. Rezultat w postaci różnokolorowej mazaniny wyraźnie radował wszystkich. Jenny również dostała kitel i zabrała się z zapalem do roboty.

Patrząc na Claire, która zręcznie pomagała małej, Mary Liz pomyślała, że ta kobieta z pewnością jest dobrą matką i potrafi świetnie nawiązywać kontakt z małymi dziećmi.

A jednak mąż odszedł od niej, czy to nie dziwne?

No a Bill? On też jest wspaniałym, oddanym, skorym do poświęceń ojcem...

Najwyraźniej jednak nie dość oddanym, by pozostać małżonkiem matki swego dziecka.

Oj, Boże, Boże... Smutny jest ten świat, jeśli idzie o rodziny. Patrząc na powikłane ludzkie losy, wypada się tylko cieszyć, że zachowało się do tej pory niezależność.

Jakoś jednak Mary Liz nie było wcale do radości z tego powodu.

5

Gdy znaleźli się w pobliżu parkingu, Bill namówił Mary Liz, żeby udała się z nim na zakupy. Chciał zająć do sklepu z artykułami metalowymi i kupić tymczasowy alarm do jej gabinetu, taki, który wystarczy, dopóki specjaliści nie założą systemu antywłamamowego z prawdziwego zdarzenia.

- Czy ci się to podoba, czy nie - tłumaczył - nie tylko Herbert Glidden chciałby wejść w posiadanie dokumentów, które znajdują się w twym domku.

- Tak sądzisz? Kto jeszcze? Julius Hoffman?

- Na przykład. A może również drugi syn Alfreda, Bertram. Gdy w grę wchodzi takie pieniądze, trudno przewidzieć ludzkie reakcje. Moim zdaniem możesz ufać wyłącznie Nancy Hoffman, a i to tylko dlatego, że zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, to ona dziedziczy większość majątku. No, a przede wszystkim musimy uważać na „Braxer & Braxer”. To niezbyt sympatyczni ludzie.

„Braxer & Braxer” było nazwą kancelarii prawniczej, która reprezentowała Alfreda Hoffmana od dwudziestu sześciu lat. Obecnie, gdy zmarł jej założyciel, Bernard Braxer, lojalna i przyjazna dotąd firma wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zażyczyła sobie od rodziny Hoffmanów pokrycia najróżniejszych opłat i wydatków, o których nikt nigdy nie słyszał.

- Pomyśl tylko, jak korzystna byłaby dla nich sytuacja,

gdyby zjawili się w sądzie, znając dokładnie stan majątku Alfreda, my zaś nie - ponieważ zniknęłyby nagle jego prywatne akta. To bardzo niedobrze, że nie mamy dostępu do dokumentów będących w ich posiadaniu. Powinniśmy znać je wszystkie, zważywszy że jesteś tutaj po to, by precyzyjnie odtworzyć i zewidencjonować cały majątek, jaki posiadał Alfred Hoffman w dniu śmierci.

Ostatecznie Mary Liz dała się przekonać. Co więcej, tak bardzo się przejęła słowami Billa, że wybrała najdroższy alarm, jaki znajdował się w ofercie sklepu.

- Gdy zainstaluję już i uruchomię to urządzenie - pytała sprzedawcę przy ladzie - to w jaki sposób mam wyjść z pokoju, nie wyłączając jednocześnie alarmu?

- Włączy go pani, gdy drzwi będą otwarte. Alarm zaczyna działać dopiero po zamknięciu drzwi - wyjaśnił sprzedawca. - Gdy ponownie je pani otworzy, będzie pani miała piętnaście sekund na wystukanie kodu. Jeśli z jakichś powodów pani tego nie uczyni, alarm będzie wył przez co najmniej trzy godziny - albo do czasu, gdy poda pani właściwy układ cyfr.

Bill kupił jeszcze małe drewniane grabie dla Jenny, po czym wszyscy wyszli ze sklepu - Mary Liz w zamyśleniu, Pfeifferowie zaś w wielkim pośpiechu, jako że dziewczynka oznajmiła, że ma do wykonania niezwykle pilną pracę w ogrodzie i nie może czekać ani chwili dłużej.

Gdy Mary Liz wróciła z alarmem do domku, zastała nieznanego mężczyznę siedzącego na werandzie. Obok niego stał wózek z sześcioma kartonowymi pudłami.

- Nazywam się Jake O'Leary - przedstawił się, wstając i wyciągając do niej umięśnioną rękę. Miał około trzydziestki, był bardzo opalony i atletycznie zbudowany, krótko mówiąc, po prostu przystojny.

- W pewnym sensie doglądam terenu wokół rezydencji Hoffmanów. W Los Angeles również. Zamknąłem właśnie na lato posiadłość w Beverly Hills.

Boże, ten facet musi być chyba jakimś byłym albo przyszłym aktorem. Żaden stróż, ogrodnik ani majster do wszystkiego nie wygląda tak świetnie.

- Pani Hoffman prosiła mnie, żebym przywiózł ci te pudła. Zabrałem je z gabinetu pana Hoffmana w Kalifornii.

- Dziękuję ci bardzo.

- Pukałem, ale nikt nie odpowiadał, postanowiłem więc chwilę poczekać. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Ładny stąd widok i szczerze mówiąc, nieźle się nadźwigałem. Te pudła ważą chyba z tonę. Przyznaję - nie śpieszyłem się zbytnio.

- Nie szkodzi. Cieszę się, że zaczekałeś - powiedziała, spoglądając na nalepki na kartonach.

- Czy mam wnieść je do środka?

- Tak. Dzięki. Tędy, proszę. - Otworzyła drzwi i przytrzymała je, by mógł przejść z nieforemnym pudłem.

- Widzi pani? Na podłodze leży koperta - powiedział Jake, poprawiając sobie ciężar w ramionach. Mary Liz podniosła list.

Papeteria od Tiffany'ego. Niebieska.

- Ostatnie drzwi po prawej stronie korytarza. Połóż karton gdziekolwiek na podłodze - poinstruowała go, po czym rozerwała kopertę.

Droga Mary Liz,

Porozmawiajmy. Zagrajmy. Wybór należy do ciebie.

Zadzwoń do mnie na komórkę.

Julius

Pod krótkirrii zdaniem znajdował się numer telefonu.

Mary Liz nie miała pojęcia, co mają znaczyć te słowa. Porozmawiajmy? W porządku, to rozumiała. Ale zagrajmy? Wzdrygnęła się na myśl, co może się kryć pod tą propozycją. Rzuciła list na stół, jak gdyby siedział na nim pająk.

Gdy Jake wychodził po następne pudło, zaproponowała mu coś do picia, jednak on odmówił.

- Dziękuję. Muszę jeszcze pojechać na kort. Pani Hoffman zaprosiła na jutro przyjaciół na mecz.

- Rozumiem - odparła i opadła na fotel, popijając wodę mineralną i zastanawiając się nad tajemniczą przesyłką od Juliusa. Nie zdążyła niczego wymyśleć, bowiem zadzwonił telefon, a gdy podniosła słuchawkę, usłyszała po drugiej stronie głos Nancy.

- Mary Liz, kochanie, przysięgam na wszystkie świętości, że jestem tak dzisiaj zajęta, że zapomniałabym, jak się nazywam, gdybym nie wyszyła monogramu na metce na moich ubraniach. Przepraszam, że dzwonię w ostatniej chwili, ale muszę być jeszcze w trzech miejscach, więc pomyślałam, że może mogłabyś mnie gdzieś zastąpić. Nie znam twoich przekonań politycznych, ale może chcesz iść na koktajl wydany przez Partię Demokratów - z Connecticut przyjedzie sam Paul Newman. Następny koktajl, też dla zebrania funduszy na własną działalność, wydaje „Body Positive”, taka organizacja, która pomaga chorym na AIDS. No a na trzecim miejscu mamy dancing na rzecz Towarzystwa Historycznego East Hampton.

- Ho,ho,ho...

- Ja muszę pójść na przyjęcie historyków, Bertie i Wendy zgodzili się na koktajl „Body Positive”, pozostali ci zatem Demokraci. Wprawdzie mogłabym tam wpaść na szybkiego drinka... Tak, chyba później rzeczywiście tam wpadnę, więc

nie zmuszam cię do niczego... Naprawdę nie musisz nigdzie iść, gdybyś jednak miała ochotę...

- Przykro mi, ciociu - przerwała jej Mary Liz. - Naprawdę wolałabym zostać dzisiaj w domu.

- Skoro tak, kochanie, to nie ma o czym mówić.

Mary Liz poczuła ulgę. Od czterdziestu ośmiu godzin, kiedy to Wielki Dom otworzył dla niej oficjalnie swoje podwoje, zaczynała mieć dość towarzystwa.

- Och, jeszcze coś - przypomniała sobie ciotka - Sasha Reinhart szukała cię przed południem. Chciała pójść z tobą na przyjęcie do „Emily List”. Powiedziałam jej, że nie wiem, jakie masz plany, ale dałam jej twój numer telefonu.

Mary Liz rzuciła okiem na automatyczną sekretarkę. Nie było na niej nagranych żadnych wiadomości.

- Dziękuję.

- Och, i jutro... przepraszam, wiem, że chcesz mieć trochę spokoju, obiecuję, że nie będę tego robiła przez całe lato... ale jutro jest koktajl w Amagansett. Wyświadczyłabyś mi wielką uprzejmość, gdybyś zechciała tam pójść. Ja muszę pojechać do miasta, a Bertie po prostu nie da mi wiążącej odpowiedzi, sama go znasz. Gospodyni to moja bliska przyjaciółka, a cel zbiórki pieniędzy, którą organizuje, jest naprawdę zbożny.

- Mianowicie?

- Momencik... zaraz zobaczę... Bertha musiała mi zapisać. - Bertha była jej niepełnoetatową sekretarką. - Tak, jest! Na... schronisko dla maltretowanych kobiet.

- W Nowym Jorku? - spytała Mary Liz.

- Ach, nie, kochanie. Tutaj - roześmiała się ironicznie Nancy.

- Czy dla ich dzieci również?

- Tak.

- Wobec tego załatwione. Pójdę tam - obiecała Mary Liz, odwieszając słuchawkę.
- Ktoś powiedział mi kiedyś w Los Angeles - rzekł Jake, wnosząc kolejne pudło do domku - że co roku pani Hoffman zbiera więcej pieniędzy na cele dobroczynne niż wynosi cały budżet stanu Montana.
- Moja mama mówiła o Wyoming - roześmiała się Mary Liz i zaczęła wystukiwać numer telefonu do rodziców.

Odebrał ojciec, zaraz po pierwszym sygnale. Opowiedziała mu o wydarzeniach ostatniej doby, a on - ku jej zdumieniu - zaczął namawiać ją, by nie odrzucała z miejsca oferty Koszmarnego Herberta.

- Daj spokój, tato - odezwała się Mary Liz, gdy Jake wniósł ostatni karton. - Nie zamierzam się więcej z nim spotykać.

- Wysłuchaj tylko, co ma ci do powiedzenia - poradził ojciec. - Może wyniuchasz coś, co przyda się twojej matce chrzestnej.

- Och, tato. Wszyscy tutaj, dosłownie wszyscy, ostrzegali mnie, żebym trzymała się od Gliddena z daleka, a teraz ty każesz mi rozmawiać z nim w sprawie pracy?

- A co ci szkodzi?

- Ojczy - powiedziała - kiedy prosiliście z mamą, żebym zrobiła inwentaryzację majątku Hoffmanów, znieśliście mnie perspektywę wspaniałych letnich wakacji. Obiecaliście, że zamieszkać w prześlicznej posiadłości i będę miała święty spokój. Tymczasem od czterdziestu ośmiu godzin nie mogę opędzić się od ludzi. Ciocia koniecznie chce ze mnie uczynić duszę towarzystwa, Herbert Glidden wtargnął do mojego domu i odnalazł zeznania podatkowe Alfreda, ten odrażający Julius Hoffman zostawia mi idiotyczne liściki pod drzwiami, a Bertie i jego dziewczyna spodziewają się, że będę spędzała z nimi wolne chwile. Aha, tatusiu, zapomniałeś mi jeszcze powiedzieć, że Alfred Hoffman to twój niedoszły klient. Kiedyś podobno odrzuciłeś jego ofertę.

Zamiast zacząć się tłumaczyć, ojciec wybuchnął śmiechem, co oczywiście niepomiernie zdenerwowało Mary Liz. Przypomniało jej to incydent z dzieciństwa, gdy uczyła się gry na

skrzypcach. Pewnego razu, gdy grała dla rodziców, ojciec dostał ataku kaszlu i musiał wyjść z pokoju. Grała więc dalej dla matki, po chwili jednak dostrzegła przez okno ojca, turlającego się ze śmiechu po trawniku. Na domiar złego matka myślała, że Mary Liz gra „Silent Night”, a w istocie było to „Twinkle, Twinkle Little Star”.

- Przepraszam cię, dziecinko - usprawiedliwiał się teraz. - Nie chciałem się rozeźmiać, ale twoje słowa zabrzmiały tak, jak gdyby były żywcem wyjęte z powieści Wodehou-se'a.* Przysięgam, że powody mojej odmowy były wyłącznie osobiste i nie miały nic wspólnego z jego interesami. Myślę, że wkrótce przekonasz się sama, iż były one czyste.

- Mam nadzieję.

- A co do Gliddena, to naprawdę ci radzę, żebyś posłuchała, co ma do powiedzenia. Dowiesz się więcej na temat jego interesów. Jeśli usłyszysz coś niezwykłego, powiedz o tym Billowi Pfeifferowi, a my już zajmiemy się resztą. Myślę, że Nancy powinna mieć coś na tego faceta, żeby zmusić go do wycofania sprawy, rozumiesz?

- To Glidden naprawdę wy tacza proces?

- Ma dość środków - rzekł z westchnieniem Nelson Scott - żeby zablokować „Howland Films” na całe lata. To

*Pelham Grenville Wodehouse (1881-1975) - angielski pisarz, autor humorystycznych powieści, opowiadań i sztuk teatralnych, (przyp.red.)

raczej szantaż niż proces. „Albo pozwolicie mi tanio kupić firmę, albo będziecie patrzeć, jak powoli ją niszczyć”.

- No dobrze, tatusiu, spotkam się z nim. Ale z Juliušem nigdzie nie pójdę! Nawet do niego nie zadzwonię.

- Wystarczy, że będziesz miła dla jego żony - roześmiał się ojciec. - Być może ona wie coś, co uda nam się wykorzystać.

Mary Liz skrzywiła się na te słowa.

- Nie chcę być miła dla kogoś tylko po to, żeby później wbić mu nóż w plecy!

- Ależ Mary Liz, zrozum, że Julius próbuje przejąć część majątku twojej ciotki. Co tam przejąć - ukraść! Jeśli Nancy zgodzi się na to, żeby pracował w „Howland”, to w porządku, ale nie można mu pozwolić, żeby przejął kontrolę nad firmą, którą Alfred pozostawił dla ciotki, a nie dla niego.

- Dobrze - westchnęła - będę miła dla Jeanine. Porozmawiali jeszcze chwilę, a potem Mary Liz odłożyła

słuchawkę i zaczęła zbierać narzędzia potrzebne do zainstalowania alarmu. Zaczynała czuć się w tym eleganckim domku jak w złotej klatce.

Przyjechała tu, by dokonać w spokoju inwentaryzacji majątku. Pierwszy miesiąc był rzeczywiście spokojny. A potem rozpoczął się sezon. Nikt jej nie uprzedził, że będą ją nachodzić ludzie, którzy mają ochotę na przejęcie spadku - jak Olidden czy Julius - albo przynajmniej na poznanie szczegółów testamentu - jak Bertie i jego dziewczyna.

Jakby tego było mało, następny powód do zmartwienia stanowiła kancelaria „Braxer & Braxer”. Skąd ona, do licha, ma wiedzieć, czy któryś z gości ciotki Nancy nie pracuje dla nich i nie próbuje dowiedzieć się, co też jej strona wie o rzeczywistym stanie majątku?

Dobry Boże, musi być ostrożniejsza - nawet ten Jake,

który wnosił pudła do jej gabinetu, może pracować dla „Braxer & Braxer”. Przecież najlepiej umieścić własnego szpiega wśród służby domowej. Tak, będzie musiała spytać o niego ciotkę Nancy.

I o gospozię Delores.

I o Berthę, sekretarkę.

O ogrodnika też.

A kosiarze trawników? A sprzątaczkę?

Jezu kochany, czy ona naprawdę nie popada w paranoję?

Cóż, lepiej dmuchać na zimne, pomyślała i zajęła się instalowaniem alarmu. Uśmiechnęła się do rodzinnej fotografii na biurku - do matki, ojca oraz dwóch braci, Brendana i Kipa. Jako jedyna córka była ogromnie rozpieszczana i gdyby nie matka, ojciec rozpuściłby ją kompletnie.

Och, całe szczęście, że los dał jej rodzinę, która mogła być dla niej wzorem i podporą. Ojciec i matka byli wspaniałym małżeństwem. India Elizabeth Reynolds z Charleston w Południowej Karolinie, wychowana w The Willows, kiedyś plantacji, obecnie farmie, oraz Nelson Roderick z Liberty w stanie Nowy Jork, jedyny syn młodej wdowy, Patrycji, i brat czterech sióstr, kochali się zawsze miłością szczerą, głęboką i odpowiedzialną.

Matka, zanim wyszła za Nelsona i urodziła mu dzieci, nie wiedziała, co to praca i zarabianie na życie, lecz ojciec miał zupełnie inne doświadczenia. Pracował od najmłodszych lat, najpierw żeby pomóc rodzinie, później żeby dostać stypendium do college'u, gdzie był jednocześnie studentem, pomocnikiem kelnera w stołówce, pomocnikiem w bibliotece, a nawet śmieciarzem. Potem szkoła prawnicza, więcej stypendiów i jeszcze więcej pracy. Pierwsza pełnoetatowa posada w kancelarii w Nowym Jorku, pensja, której większą część posyłał na utrzymanie sióstr, do Liberty, i wreszcie

pierwsze spotkanie z Indią Reynolds w Harvard Club w Nowym Jorku.

Ojciec był przekonany, że nie ma u niej szans, okazało się jednak, że było inaczej. Wystarczyło wykazać trochę cierpliwości, a pewnego pięknego sobotniego popołudnia India przysięgła mu w The Willows miłość aż do śmierci.

Pan młody miał wówczas trzydzieści lat, a jego oblubienica dwadzieścia cztery i była najbardziej olśniewającym stworzeniem, jakie w życiu spotkał. Druhną Indii była ciocia Nancy, współmieszkanka mamy w Sweet Briar College, z którą miały razem swój debiut w Nowym Jorku podczas pierwszej jesieni studiów. Ciocia Nancy nie знаła jeszcze wówczas Alfreda Hoffmana. Była zaręczona z pewnym spadkobiercą ogromnej plantacji tytoniu, którego zaakceptował jej ojciec, a z którym później zerwała.

Po ślubie rodzice Mary Liz osiedlili się w Chicago, gdzie ojciec dostał nową wspaniałą pracę. Później, dla odmiany, matka odprowadziła Nancy do ślubu z Alfredem Hoffmanem. Następnie Nancy przyleciała z Los Angeles (gdzie przeprowadziła się z mężem) do Chicago, by trzymać do chrztu Mary Liz.

Przez pewien czas oba małżeństwa rzadko się widywały, aż wreszcie, prawie dziesięć lat później, ojciec dostał ważną sprawę sądową w Los Angeles. Przez blisko rok musiał dojeżdżać tam do pracy, częstokroć zabierając ze sobą żonę, a kilkakrotnie dzieci, i właśnie w trakcie tamtych podróży Mary Liz poznała lepiej ciocię Nancy.

Nancy Hoffman zdawała się jej kimś na kształt księżniczki z bajki. Wbiegała do pokoju hotelowego, piękna i roześmiana, całowała ją, obdarzała sukienką lub jakimś innym prezentem, po czym natychmiast zniknęła. Alfreda Hoffmana Mary Liz nie spotkała nigdy, a Bertie mignął jej kiedyś tylko w przelocie, gdy przytrzasnął sobie palce drzwiami od samochodu i ciocia musiała przyprowadzić go na opatrunek do pielęgniarki. Nie widziała nawet Denver, ponieważ dziewczynka nigdy nie opuściła tylnego siedzenia limuzyny Hoffmanów.

Mary Liz uśmiechnęła się do tych wspomnień. Czy to nie dziwne, że teraz, po tylu latach, znalazła się tutaj, aby pomóc swojej chrzestnej matce, której właściwie nie znała? Nie sposób było jednak zareagować inaczej. Matka i ojciec również odnieśli się życzliwie do prośby ciotki Nancy, bo niezależnie od pieniędzy, które ewentualnie wchodziły w grę, wdowa, którą zdradzili najpierw rodzinni prawnicy, następnie wspólnik męża w interesach, a w dodatku własny pasierb, zasługiwała na życzliwość. A ponieważ Mary Liz właśnie rzuciła pracę i miała sporo wolnego czasu...

Och, gdyby tylko ta sprawa była mniej zawikłana!

Zakończyła instalację alarmu, a potem wzięła długą, gorącą kąpiel. Odświeżona i zrelaksowana, przebrała się w nocną koszulę, zrobiła sobie sałatkę i usmażyła hamburgera, po czym usiadła na kanapie przed telewizorem, żeby obejrzeć powtórki programów rozrywkowych, których z braku czasu nie oglądała, gdy zajęta była pracą dla „Reston, Kellaher”.

Za pięć dziesiątą ktoś zapukał do drzwi.

Do diabła. Za wiele paliło się świateł, żeby ktoś uwierzył, że śpi. Otworzyła więc i na progu ujrzała Saszę Reinhart.

- Cześć! - powiedziała Sasha. - Riff ma mnie zawieźć do centrum na lody owocowe. Oczywiście odłuszczone, zero kalorii. Chcesz wybrać się ze mną?

- Kto to jest Riff?

- Mój ochroniarz - odpowiedziała Sasha i nagle skrzywiła się, wciągając nosem zapach dochodzący z kuchni. - Na miłość boską! Chyba nie jesz hamburgera?

- Jem - skinęła głową Mary Liz.

Sasha zrobiła taką minę, ja gdyby ogarnęły ją mdłości.

- Hamburger? - Wzdrygnęła się. - Jesz mięso świętej krowy!

- Niestety - potwierdziła Mary Liz. -1 nie cierpię odłuszczonych lodów - dodała w nadziei, że ostatecznie zrazi do siebie swoją interlokutorkę. Sasha Reinhart była supergwiazdą, ale Mary Liz podejrzewała, że może być również piekielnym utrapieniem. - Lubię wyłącznie prawdziwe lody. Z prawdziwej śmietany.

Sasha skrzywiła się znowu, obejrzała się przez ramię, po czym wyznała szeptem:

- Ja również, ale nie wolno mi ich jeść. Mój organizm nie toleruje przetworów mlecznych.

Mary Liz nie miała dłużej siły protestować i szukać wykrętów. Ubrała się, pojechała z Sashą oraz jej ochroniarzem do centrum, zjadła rozek lodów i popiła je czekoladą. Wieczór był zwyczajny, taki jak w każdym małym miasteczku, tyle że stali w kolejce po lody między słynnym piosenkarzem a parą znanych aktorów.

6

Bertie Hoffman potraktował poważnie obietnicę Mary Liz i w niedzielę o dziewiątej rano stanął przed drzwiami jej domku, gotowy do pływania na desce. Wyjaśnił, że Wendy nie czuje się najlepiej i śpi, toteż wybiorą się tylko we dwoje.

Mary Liz poprosiła Bertiego, żeby wszedł do środka i zaczekał, aż się przebierze, a sama odwróciła się, by pójść do łazienki. Zanim znalazła kostium kąpielowy, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę w kuchni. Dzwonił Sky Preston i pytał, czy nie zechciałaby pojechać z nim na koktajl do Amagansett. Przeprasza, że dzwoni w ostatniej chwili, zadzwoniłby wcześniej, ale Buckleyowie dopiero przed chwilą poprosili go, by się tam wybrał.

- Prawdę mówiąc - powiedziała Mary Liz - i ja miałam iść na ten koktajl. Ciotka Nancy prosiła mnie, bym ją zastąpiła. Chętnie pojedę z tobą.

- Ktokolwiek dzwoni - krzyknął Bertie z salonu - powiedz mu, że masz właśnie bardzo ważną lekcję windsurfingu!

- Kto to? Bertie? - Sky usłyszał podniesiony męski głos.

- Tak - roześmiała się Mary Liz.

- To przyjadę po ciebie za piętnaście piąta, dobrze?

- Świetnie. Bardzo się cieszę.

- Ja również.

- No dobra, wkładaj kostium - polecił Bertie, gdy odwie-

siła słuchawkę. - Mam dla ciebie piankę, czeka w domku plażowym.

- Piankę?

- Kombinezon ze specjalnej atermicznej pianki. Woda jest lodowata, poza tym mama zabiłaby mnie, gdybym pozwolił ci utonąć.

Mary Liz posłusznie przebrała się w kostium kąpielowy, włożyła nań trykotową bluzkę i spodenki gimnastyczne. Sprawdziła, czy alarm jest włączony, chciała bowiem zostawić otwarte drzwi frontowe, by przewietrzyć salon, i wreszcie poszli przez trawnik w stronę plaży.

Dzień był po prostu wspaniały - ciepły, słoneczny, suchy. Wiał lekki wietrzyk, ocean wydał się jednak Mary Liz bardzo wzburzony.

- Przeprowadzę cię przez przybrzeżne fale, a potem udzielę ci lekcji - zapowiedział Bertie. - Tam dalej jest mielizna, woda sięga do połowy ud.

Weszli do domku plażowego. Bertie podał jej dolną część stroju piankowego.

- Należy do Penver - wyjaśnił - więc powinien być na ciebie dobry. Nie sądzę, żeby była ci potrzebna góra, ale jeśli zechcesz, włożysz ją na plaży, dobrze?

Włożenie stroju nie nastęczyło jej tak wielkich trudności, jak się obawiała. Jedyne problem stanowiło to, że był jaskra-wopomarańczowy i mocno obcisły. O ile Denver, jako aktorka, nie wstydziła się demonstrować światu swych szczupłych ud, to pełniejsza od niej Mary Liz zupełnie nie miała na to ochoty.

Na plaży czekały już na nich deski oraz Jake, nadzorca posiadłości, ubrany jedynie w kąpielówki młody mężczyzna, którego poznała wcześniej.

- Mama uparła się, że ktoś musi nad tobą czuwać - wy-

jaśnił Bertie. - Jake ma papiery ratownika. Ja niby też je mam, ale mama bała się, że sprowadzę na ciebie kłopoty, dlatego przysłała w odwodzie Jake'a. - Roześmiał się i Mary Liz poczuła, że coraz mniej podoba jej się całe to przedsięwzięcie. Czy naprawdę musi przejść przez tę próbę?

- Po co mi to wszystko? - spytała.

- Będiesz bardziej interesującą osobą, gdy wrócisz do Chicago - odparł Bertie, majstrując przy jednym z żagli. - Mama mówi, że od dziesięciu lat nie robiłaś nic poza pracą. Wrócisz do domu bogatsza o nowe doświadczenie.

- Ale nie w tym stroju - powiedziała i skrzywiła się z niezadowoleniem. Pulchne uda zdecydowanie psuły jej nastrój. Stała tutaj w towarzystwie dwóch adonisów, a wyglądała jak pomarańczowa idiotka z nadwagą.

Zerknęła niepewnie na Jake'a. Patrzył nie na nią, lecz na Bertiego - i wcale nie miała mu tego za złe. Bertie zaznajomił ją z wyposażeniem deski i wyjaśnił, w jaki sposób ma podnosić żagiel, by wystartować, a jak go opuszczać, by się zatrzymać.

- No i co? Wszystko jasne?

- Nie - skłamała, chcąc wyplątać się z całej tej sytuacji.

- Nie szkodzi. I tak ci się spodoba. To niepowtarzalne przeżycie.

Jake zniósł jej deskę do wody, przeniósł ją nad falami i położył na spokojniejszej wodzie. Mary Liz, chcąc, nie chcąc, pobrnęła za nim. Woda była tak zimna, że omal nie złapały jej skurcze.

- Dobra - powiedział Bertie. - Naszym dzisiejszym problemem jest to, że wiatr wieje z zachodu na wschód, co oznacza, że może cię znieść na pełny ocean i będziesz miała kłopoty z powrotem na brzeg.

90

- Świetnie jak na początek -burknęła, drżąc z zimna.

- Zimno ci? - spytał ze zdziwieniem. - Masz przecież piankę.

Spojrzała na niego spode łba.

- Jestem dobrym nauczycielem, naprawdę - powiedział. Mary Liz dygotała nadal. Była pewna, że jej usta są już

całkiem sine. Dobrze przynajmniej, że jest za zimno dla krabów, próbowała się pocieszać. Nie musi się bać, że coś podpełźnie po dnie i capnie ją za stopę. Na rekiny też chyba zbyt zimno, prawda?

- *A propos*, jak dawała sobie wczoraj radę Sasha? - spytała Bertiego. Może odezwie się w niej żyłka rywalizacji?

- Och, od razu zrezygnowała. Jake odwiózł ją na brzeg w pontonie i poprzestała na robieniu zdjęć. Do diabła, i ona powinna o tym pomyśleć.

- Dobra, po pierwsze musisz wdrapać się na deskę. Na górze jest cieplej.

Z tym jeszcze nie miała problemu - po chwili klęczała na desce, oparta na dłoniach.

- Bardzo'dobrze - mówił dalej Bertie - teraz powoli wstań, ale nie wypuść z dłoni żagla.

O dziwo, i to jej się udało. Deska okazała się zaskakująco stabilna.

- Złap teraz równowagę, a potem postaraj się powoli podnieść żagiel - instruował ją Bertie. - Przenieś punkt ciężkości do tyłu i ciągnij, a gdy żagiel ustawi się pionowo, pochyl się do przodu.

Nie wyglądało to najgorzej. Mary Liz zaczęła podnosić żagiel z wody i szło jej naprawdę całkiem niezłe, gdy nagle, nie wiedzieć jakim sposobem, straciła równowagę, puściła linkę i skapała się w wodzie.

Brrr! Była lodowata!

Podniosła się szybko i odgarnęła z twarzy mokre włosy. Na szczęście Bertie się nie roześmiał, powiedział tylko:

- Prawie ci się udało. Wspaniale jak na początkującą, prawda, Jake?

Stojący na brzegu Jake pokiwał z uznaniem głową.

- No, Mary Liz, tym razem z pewnością będzie lepiej -zachęcał ją Bertie.

Wytrząsnęła wodę z ucha i ponownie spróbowała wdrapać się na deskę. Gdy stanęła wreszcie na nogach i zaczęła podnosić żagiel, od brzegu dobiegł ją przeraźliwy sygnał zainstalowanego w jej domku alarmu. Mary Liz puściła żagiel i spojrzała w tamtą stronę. Zobaczyła ciocię Nancy stojącą w oknie sypialni i wymachującą do niej rękami.

Natychmiast dała nurka do wody i popłynęła szybko w stronę brzegu.

- Hej, Mary Liz! Co ty wyprawiasz? - usłyszała za sobą głos Bertiego.

Nie miała czasu na wyjaśnienia. Znalazłszy się na brzegu, poprosiła Jake'a, by zaopiekował się jej deską, a sama pobiegła pędem przez plażę. Wbiegając po schodkach na skarpe, miała uczucie, jakby do jej nóg uwiązano co najmniej trzydziestokilowe ciężary, zmusiła się jednak do dalszego biegu.

Co się stało? Albo alarm źle funkcjonuje i sam się włączył, albo ktoś...

Czy skusiły go otwarte drzwi?

Czy wszedł do domu, żeby sprawdzić, czy nie ma jej w gabinecie?

Zostawiła gabinet zamknięty na klucz. Jeśli będzie teraz otwarty, to znaczy, że ktoś otworzył drzwi, a potem uciekł, wystraszony alarmem.

Mary Liz, Nancy, Delores i Wendy równocześnie dopadły

do werandy. Wbiegły po schodkach na taras, potem do salonu i korytarza. Musiały zatykać rękami uszy, tak było głośno. Mary Liz nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Ktoś tu był.

Weszła do środka, zamknęła drzwi i wyłączyła alarm. Gdy otworzyła je z powrotem, towarzystwo zdążyło powiększyć się o Juliusa Hoffmana oraz ochroniarza Sashy, Riffa.

- Co się stało? - spytał Julius. - Byłem po sąsiedzku u Sashy i usłyszałem hałas. - Spojrzał na Riffa. - A ty kim jesteś, u diabła?

- Ochroniam pannę Reinhart - wyjaśnił olbrzym. - Usłyszeliśmy alarm. Posłała mnie, żebym sprawdził, co się dzieje.

- Skoro byłeś u Sashy, Juliusie - rzuciła niecierpliwie Mary Liz - to czemu nie wiesz, kim jest Riff? Wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Ton jej głosu nie był zbyt przyjazny. Uczucia zresztą też. Ale przecież ktoś próbował włamać się do jej gabinetu, wykorzystując jej nieobecność. Miała prawo być wściekła.

Julius celowo zmierzył ją przeciągłym spojrzeniem, jak gdyby uważał, że i Mary Liz robi zbyt wiele szumu.

- Nie wpadasz przypadkiem w histerię, dziecko? Może ktoś powinien dać ci klapsa?

Palant. Wyśmiewa się z niej. Łatwo mu to robić, skoro ona czuje się tak fatalnie w tych przeklętych pomarańczowych legginsach z pianki, z włosami jak wodorosty, z wodą kapiącą z nosa...

- Wyjdźmy z tego korytarza - zaproponowała Nancy, kierując wszystkich w stronę salonu. Mary Liz zwróciła uwagę, że ciotka ubrana jest w suknię i białe sandały, podczas gdy wszyscy inni mają na sobie koszulki i szorty.

- Mówiąc ściślej, zbliżałem się właśnie do domu Sashy, gdy usłyszałem alarm - sprecyzował Julius. - Zawróciłem

podjazdem, dobiegłem do twojego domu, Nance, okrążyłem go i zjawiłem się od tej strony.

- Ja przyszedłem ścieżką przez żywopłot - powiedział ochroniarz.

- Widzisz? - rzekł Julius do Mary Liz. - Powiedz nam, czemu, do cholery, założyłaś system alarmowy, o którym nikt z nas nic nie wie?

- Ja wiedziałam - powiedziała szybko Nancy, przychodząc na odsiecz chrześnicy.

- No więc ty mi wytłumacz, na co to świństwo?

- To może ja wrócę do domu, proszę pani? - zaproponowała Delores, po czym uśmiechnęła się do Mary Liz: - Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę dać mi znać.

Zanim weszła z innymi do salonu, Mary Liz zgarnęła z łazienki duży kąpielowy ręcznik i owinęła się nim, by zachować choć resztki godności.

- Założyliśmy ten alarm, bo zimą zawsze włamują się tutaj okoliczne dzieciaki - wyjaśniła Nancy.

- A co takiego trzymasz w tym pokoju, że aż musisz zakładać alarm? - nie dawał się zbyć Julius.

- Powiedz, ciociu, czy widziałaś kogoś wychodzącego z domku? - spytała Mary Liz, ignorując całkowicie Juliusa.

- Nie, chyba nie. A ty, Wendy? Byłaś w pobliżu.

- Też nie.

- Wyszłaś na dwór, Wendy? - zdziwiła się Mary Liz. - Bertie twierdził, że nie czujesz się dobrze.

Wendy, wyraźnie urażona podejrzliwym tonem, odpowiedziała ostro:

- Czytałam na hamaku - i spojrzała na Mary Liz tak, jak gdyby i ona uważała ją za histeryczkę.

- W takim razie ty, Juliusie, musiałeś kogoś widzieć - drażyła dalej Mary Liz. - Mówiłeś, że okrążyłeś dom...

- Są jeszcze drzwi od tyłu.
- Ale ja przeskoczyłem przez żywopłot - wtrącił się Riff.
- Nie widziałem nikogo.
- Bo nadbiegłeś później - wyjaśnił Julius.
- Skąd wiesz? - spytała zaczepnie Mary Liz.
- Dobrze, już dobrze, kochani. - Nancy położyła łagodnie dłoń na jej ramieniu.
- Dobrze? - Julius spytał pytająco na macochę. - Co się tu, u diabła, dzieje? To jakiś kryminał, czy co?
- Mary Liz ma po prostu w gabinecie bardzo kosztowną aparaturę- odpowiedziała Nancy. - Boi się o nią i to wszystko.
- A ty masz w salonie obrazy warte dwa miliony dolarów! - wykrzyknął, wskazując w stronę rezydencji. - Kto, do cholery, chciałby się tu włamać w niedzielę rano po jakiś zaszran komputer?
- O to właśnie mi chodzi - powiedziała zimno Mary Liz.
- Ktoś to zrobił.

Zapadła cisza.

- A poza tym skąd wiesz, Juliusie - dodała Mary Liz - że mam tam komputer?
- Świetnie! Najlepiej wezwij policję! - zagrział Julius.
- Wytrop łajdaka i powieś go na najbliższym drzewie!
- Dobry pomysł - zgodziła się Mary Liz. - Wezwijmy policję. Przecież na drzwiach z pewnością zostały odciski palców. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby porównano jej z twoimi, prawda, Juliusie?
- No, no - uspokoiła ją Nancy - nie wpadajmy w panikę. Nie sądzę, żeby trzeba było aż wzywać policję.

- Cholera jasna, co się tu dzieje? - spytał Bertie, wpadając przez frontowe drzwi. On również ociekał wodą. Jake został na dworze, zaglądając tylko ciekawie do środka, natomiast Bertie podszedł szybko do Wendy i zapytał:

95

- Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?
- Nie za bardzo. Mary Liz podejrzewa, że jesteśmy bandą włamywaczy.
- Mary Liz sądzi, że ktoś próbował włamać się do jej gabinetu - sprostowała Nancy. - Włączył się alarm.
- Jaki alarm, mamó? Przecież w domku nie ma żadnego alarmu.
- Owszem, jest. Założyła go Mary Liz.
- Gość instaluje u nas własny alarm? - zdumiał się Bertie.
- Spytałem dokładnie o to samo - powiedział Julius.
- W porządku, dość tego! - zdenerwowała się Mary Liz. - Jeśli można prosić... niech wszyscy wyjdą.
- A może zdejmiesz nam najpierw odciski palców? - zażartował Julius.
- Julius, wyjdź! - poleciała ostrym tonem Nancy, po czym dodała łagodniej: - Dziękuję wam za waszą troskę, ale sytuacja jest już chyba opanowana. A pan, panie... - spojrzała pytająco na ochroniarza Sashy.
- Riff.
- Riff, a dalej...?
- Riff Cahill.
- Niech pan podziękuje Sashy, panie Cahill, że przysłała pana na pomoc, i powie, że wszystko jest już w porządku.
- Pani Reinhart zechce wiedzieć, czy ktoś się włamał.
- Sama z nią porozmawiam.
- Wspaniale! - rzekła ze złością Mary Liz. - Wszyscy są zgodni - nic się nie stało. Ktoś wszedł do domku, próbował włamać się do mojego gabinetu, co uruchomiło alarm, ale nic się nie stało!
- Boże, biedactwo naprawdę ma jakąś obsesję! - usłyszała szept Juliusa.

- Tak. Dobra strategia. Trzymaj tak dalej, ty...! - zamiast przekleństwa Mary Liz rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Będę, będę, mądralo - odrzekł z uprzejmym uśmiechem.

- Julius, wyjdź natychmiast - rozkazała Nancy, popychając wszystkich w stronę drzwi. Gdy wyszli, zaczęła przy nich na chrześnicę.

- Jestem pewna, ciociu, że ktoś próbował dostać się do gabinetu - powtórzyła z uporem Mary Liz.

- Ktokolwiek to był, więcej nie spróbuje. Dajmy więc na razie temu spokój. Nie ma sensu denerwować wszystkich.

Nic dziwnego, że tyle osób procesuje się z tą kobietą, pomyślała Mary Liz. Nancy nienawidzi wszelkich konfliktów, więc ludzie zapewne uważają, że jeśli będą jej się dostatecznie naprzykrzać, to prędzej czy później ustąpi, byle tylko mieć wszystko za sobą.

Mary Liz pokręciła głową, próbując się uspokoić.

- Dobrze, niech ci będzie - westchnęła wreszcie. Na wszelki wypadek założę jednak porządny alarm i przeniosę najważniejsze dokumenty do skarbcza w Wielkim Domu, dodała w myślach.

Ciotka Nancy była już tymczasem na zewnątrz.

- Kochani? Kto idzie do kościoła? - dobiegł z dworu jej dźwięczny głos.

7

Nie minęła nawet godzina od chwili, gdy Julius Hoffman opuścił jej domek, kiedy Mary Liz ponownie usłyszała jego głos - tym razem w słuchawce telefonu. Julius zadzwonił, by powiedzieć, że poważnie zastanawia się, czy nie podać jej do sądu za fałszywe oskarżenia.

- Gnojek!-wybuchnęła Mary Liz.

- Wariatka! Po jaką cholere miałbym się włamywać do tego kretyńskiego domku?

- Sam mi powiedz!

- Nie mam pojęcia! Ty jesteś wariatką, więc ty mi powiedz. - W słuchawce panowała przez chwilę cisza, po czym rozległ się ponury śmiech. - Aha! Wszystko jasne. Mała chrześnica z Chicago nie przyjechała tu wyłącznie na wakacje, prawda?

- Mam pewną pracę do wykonania, i co z tego?

- Pewne poufne zadanie z zakresu finansów, co? To dlatego Jake przywiózł ci wszystkie te pudła, prawda? Założę się, że to dokumenty finansowe ojca. Może nawet te, które zniknęły z jego biura w „Howland”. Zabrałaś je stamtąd, dziwko... albo zrobił to twój ojciec. Pracujesz dla niego, może zaprzeczysz? Bronisz praw Nancy do majątku?

Musiał się tego domyślić prędzej czy później. Szkoda tylko, że stało się to wcześniej, niż zakładała. Dobrze chociaż, że nie domyślił się wszystkiego i uważał, iż to ojciec

zabrał dokumenty z „Howland”, a nie ciotka Nancy we własnej osobie.

- Uważaj, Juliusie, jako przeciwnik jestem bardzo niebezpieczna. - Taka jedynie odpowiedź przysłała jej do głowy.

- To świetnie, przynajmniej znowu stajesz się interesująca - roześmiał się i odłożył słuchawkę.

Mary Liz zadzwoniła natychmiast do Billa Pfeiffera i opowiedziała mu o włamaniu, swoich podejrzeniach wobec Juliusa i ostatniej rozmowie z nim.

- Już do ciebie jadę - powiedział.

- Zostań. To nie jest konieczne. Ale będę ci dozgonnie wdzięczna, jeśli znajdziesz kogoś, kto założy mi pilnie jakiś superalarm. Myślałam już nawet o tym, żeby podłączyć klamkę do prądu...

Gdy pod rezydencję podjechał jaguar Nancy, który prawdopodobnie przywiózł ciotkę z kościoła, Mary Liz pobiegła do niej, żeby złapać ją, nim wejdzie do domu.

- Chciałabym ci zadać parę szybkich pytań, ciociu. Po pierwsze, kim jest Jake?

Nancy popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Jake O'Leary? Zarządza naszą posiadłością od przeszło dwóch lat. Czemu pytasz?

- Ufasz mu?

- Dlaczego miałabym nie ufać? Jest najlepszym przyjacielem Bertiego, są prawie jak bracia.

- A Delores?

- Och, to chodząca uczciwość! Pracuje dla mnie od szesnastu lat. - Zniżyła głos. - Mary Liz, przepraszam cię bardzo za moje słowa, ale ty naprawdę zaczynasz zachowywać się jak paranoiczka.

- A Bertha? - nie dawała za wygraną Mary Liz.

- Przestań!

- A Wendy?

Ku zdumieniu Mary Liz, ciotka Nancy wybuchnęła nagłym śmiechem.

- Tu mnie masz, moje dziecko. Fakt, nie wiem, co o niej myśleć. Ale to pierwsza od lat dziewczyna, którą Bertie przyprowadził do domu, będę ci zatem bardzo wdzięczna, jeśli nie potraktujesz jej zbyt ostro. Powiem ci tylko, że wiem z absolutnie wiarygodnego źródła, że Wendy to kobieta z klasą.

- A kto jest tym wiarygodnym źródłem?

- Bertie. Jest w pewnych sprawach okropnym snobem. Mary Liz jęknęła w duchu, podziękowała jednak Nancy i wróciła do swojego domku.

Wspaniale! Zostawiła drzwi frontowe otwarte i alarm w gabinecie nie włączony.

Musi naprawdę zacząć lepiej dbać o pewne sprawy.

Zanim Sky przyjechał po nią o wpół do piątej, Mary Liz zdążyła poczuć się lepiej - teraz rzeczywiście zadbała o pewne sprawy. Przeprowadziła telefoniczną rozmowę z facetem od alarmów, którego znalazł dla niej Bill, i umówiła się z nim na jutro na pierwszą trzydzieści. Zawiesiła klucz tuż przy drzwiach, żeby nie zapomnieć o nim nigdy, gdy będzie wychodziła. Przede wszystkim zaś postanowiła, że musi być dwa razy bardziej czujna niż dotychczas.

Gdy ujrzała Sky'a na werandzie, pokiwała na niego, żeby wszedł, kończyła bowiem właśnie rozmowę z ekspertem od alarmów.

- Ho, ho, wyraźnie nabrałeś kolorów - powiedziała, wychodząc zza bufetu. Sky miał na sobie wyjściowy strój golfowego gracza - zielone bawełniane spodnie, białą koszulę

i granatową lnianą marynarkę z insygniami „East End Country Club”. Jego twarz i szyję pokrywała ciemnobrązowa opalenizna, co sprawiało, że oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie.

- A ty jak zwykle wyglądasz bajecznie - odrzekł z szerokim uśmiechem.

Nie była to tylko kurtuazja. Mary Liz po upokarzających przeżyciach z pomarańczowym kombinezonem dołożyła starań, by zrobić się na bóstwo. Przypadkiem jej strój pasował kolorystycznie do ubrania Sky'a. Miała na sobie jedwabną, niebiesko-biało-zieloną, kopertową spódnicę i białą bluzkę bez rękawów, która ją wyszczuplała. Sandały też były białe, a srebrna biżuteria podkreślała opaleniznę i wydobywała blask z jej oczu. Mary Liz zadbała również o fryzurę. Po umyciu włosów i nałożeniu odżywki, wyszczotkowała je i podpięła do góry srebrnymi klamrami.

Sky podszedł bliżej i wyciągnął dłoń. Z uśmiechem podała mu swoją. Ten uprzejmy gest sprawił jej wielką przyjemność, głównie dlatego że mogła wreszcie sprawdzić, jaka jest w **dotykanego** skóra.

Była ciepła, sprężysta, niepokojąco gorąca...

- Napijesz się czegoś? - spytała.

- Chyba nie mamy czasu - odparł, spoglądając na zegarek. Napotkawszy jej spojrzenie, uśmiechnął się znowu. - Jeśli chcemy zobaczyć znanych ludzi, to musimy się pospieszyć. Vanessa podała mi dokładne godziny, w których mogą się pojawić. Dzisiaj będą krócej, ponieważ jest niedziela i sporo osób wraca na Manhattan.

Wyszli więc z domku i Mary Liz zamknęła drzwi na klucz. Na podjeździe stał jasnożółty mercedes z otwieranym dachem.

- O mój Boże! - wykrzyknęła z intonacją podejrzenia podobną do głosu swej matki. - Co za bombowy samochód! Czy nauczyciel może sobie pozwolić na coś takiego?

- Jeśli zna się na samochodach - roześmiał się Sky. - Nie, Mary Liz - powiedział, kładąc lekko dłoń na jej talii i prowadząc ją do auta - nie jestem bogaty. Ale lubię dobre samochody. A to jest dobry samochód, który po dwudziestu latach od wyprodukowania stał się wreszcie dla mnie osiągalny.

- Wygląda na całkiem nowy - zauważyła, gładząc lśniąca powierzchnię.
- Dziękuję. Napracowałem się nad każdą jego częścią i własnoręcznie go pomalowałem. - Otworzył przed nią drzwi.
- Czy możemy opuścić dach?
- Jasne. Ale co z twoją fryzurą?
- Ach, prawda - przypomniała sobie, żałując w tej chwili pomysłu na eleganckie, skomplikowane upięcie włosów.
- Wiesz co? Odbędziemy to przyjęcie, a potem, wracając, opuścimy dach, zgoda? Tyle że później będzie chłodniej.

Wsiadł do samochodu i ruszył, włączając jednocześnie klimatyzację. Mary Liz była mu za to ogromnie wdzięczna, ponieważ chroniło to jej makijaż przed rozpuynięciem się w upale.

Prawdę mówiąc, była zdziwiona, że tak bardzo zwraca uwagę na swój wygląd. Czy kiedykolwiek w ogóle jej się to zdarzyło? Och, tak, na oficjalnych spotkaniach w interesach, owszem. Ale od czasu rozstania z Jimem pół roku temu nie bardzo ją obchodziło, czy ktoś uważa ją za atrakcyjną kobietę. Szukała ucieczki w pracy i niezbyt troszczyła się o prezencję.

Wstawała o piątej rano, o szóstej siedziała już przy swoim biurku. Na lunch chwytła z kuchni jakąś sałatkę czy jogurt (firma zachęcała pracowników, by pracowali również pod-

czas lunchu, dbając o to, żeby kuchnia była zawsze świetnie zaopatrzona). Z pracy na ogół wychodziła około siódmej, jeśli był to normalny, spokojny dzień.

Zdarzało się jednak, że opuszczała biuro o północy, nie mówiąc już o tym, że jako współniczka musiała łączyć na służbowe lunche i kolacje i że często latała samolotem do biur klientów, działających w rozmaitych stanach i miastach. Nocowała w hotelach, a następnego dnia wsiadała do samolotu, by wrócić do Chicago i zjawić się w firmie około siódmej, jak zwykle. Jej podróżna walizeczka spakowana na trzy-dziesięciosześcigodzinną służbową podróż była jej najlepszym, najwierniejszym przyjacielem.

Patrzyła na Sky'a i zastanawiała się, co też by powiedział, jak by skomentował sposób, w jaki przeżyła ostatnie lata.

Praca, praca, praca... I wreszcie, w wieku trzydziestu dwóch lat, chwila refleksji nad tym, gdzie się podziały lata młodości, dawne ideały, namiętności, pasje, zamiłowania. Wcześniej nie dopuszczała do siebie myśli, że życie przecieka jej przez palce, i nigdy się nie zatrzymywała. A jeśli już zdarzała się jakaś przerwa, załamanie nerwowe czy fizyczne, topiła świadomość przemijania w buteleczce hydroxyzyny i długim śnie. A potem wracała do kieratu. Przyjaciele dzwonili obrażeni, że tak rzadko ją widują, rodzina nie potrafiła zrozumieć, że nie ma czasu, by odbyć czterdziestokilometrową podróż i ją odwiedzić. Odżywiając się niezdrowo, Mary Liz utyla, cierpiała na napady lęku, bezsenność. Wreszcie doszło do tego, że wypijała butelkę wina przed snem, byle jakoś usnąć. Dziwne, prawda? Od chwili, gdy wyjechała z Chicago, zasypiała bez trudu. - Mary Liz? Wróciła nagle do rzeczywistości.

103

- Pytałem cię, czy gdzieś w krzakach nie kryje się twój mąż lub narzeczony. Trudno mi uwierzyć, że taka kobieta wciąż jest samotna.

- Nie mam męża ani narzeczonego - odpowiedziała. -Tylko eks... Hej, rozmawialiśmy już o tym, pamiętasz? Mówiłam ci już, że nigdy nie byłam zamężna!

- Pamiętam. Ja również nie byłem żonaty. I też miałem eksnarzeczoną.

- O rany - roześmiała się Mary Liz. - Zabrzmiało to, jakbyśmy ich wykończyli.

Sky spojrział na nią z uśmiechem, nie dodał jednak nic więcej. Jechali więc w milczeniu na wschód, do Amagansett, które znajdowało się w dalszej części Long Island. Ruch był znacznie większy w stronę przeciwną, do Nowego Jorku, bez wątpienia po części dlatego, że niebo zaczynało zaciągać się chmurami.

W jaki sposób ci ludzie dorobili się takich pieniędzy? - zastanawiała się Mary Liz, wchodząc na teren posiadłości położonej tuż obok plaży. Dom był nowy, monstrualnie wielki, miał kort tenisowy i basen z pawilonem, gdzie odbywało się przyjęcie. Sam projekt krajobrazowy wokół basenu musiał kosztować majątek. Długi, łukowaty basen przypominał ciąg jezior. Wokół niego kręciło się ze dwieście osób, w tym przynajmniej ośmioro służby, a na trawie wyfrakowany kwartet smyczkowy grał osiemnastowieczną muzykę, przeważnie Haydna i Mozarta.

Spojrzała na Sky'a. Czuł się całkiem swobodnie w tym tłumie, a był nauczycielem w liceum - co więc jest z nią? Niektórzy machali do Sky'a i witali się z nim; wyjaśnił, że zna ich z klubu.

Nie mogli znaleźć gospodarzy, wpadli natomiast na Randolpha Yandergildena, właściciela winnicy, którego spotkali

na piątkowym przyjęciu w Wielkim Domu. Zdradził im, że gospodarze są nieobecni, ponieważ musieli być w tym czasie gdzie indziej.

- Nie ma ich na własnym przyjęciu? - zdumiał się Sky. Randolph zarechotał tylko i klepnął Sky'a po ramieniu.

Najwyraźniej był już po kilku drinkach.

- Mówiłem ci, Sky, że musisz się jeszcze wiele nauczyć

o hamptońskim towarzystwie. - Odwrócił się do Mary Liz. - To świetny gracz, mieliśmy dziś rano ostre granie. Wspaniały nabytek dla naszej małej społeczności. - Potem rzekł do Sky'a, wskazując na Mary Liz: - Fajna kobitka. Ale uważaj - jeśli nie będziesz jej odpowiednio traktował, ja się nią zajmę - zarechotał jeszcze raz i odszedł.

- Jest trochę bezczelny, nie sądzisz? - powiedziała Mary Liz, gapiąc się za Randolphem szeroko otwartymi oczyma.

Sky roześmiał się cicho.

- Buck mówi, że ostatnia żona nie odeszła od Randy'ego tak po prostu - uciekła do innego kraju!

- Sky! - usłyszeli nagle kobiecy głos i zaraz potem podeszła do nich Vanessa Buckley. Ubrana była w czarną jedwabną suknię bez rękawów, z głębokim dekoltem. Mary Liz poczuła się przy niej jak pensjonarka. Vanessa miała około czterdziestu pięciu lat, ale była ładną kobietą i doskonale wiedziała, jak eksponować swoje wysportowane, zgrabne ciało. A jak wspaniale była opalona! Prawie tak jak Sky.

Najciekawsze było jednak to, że trzymała pod rękę samego Aleca Baldwina. Słynny aktor okazał się równie atrakcyjny, jak w swoich filmach, a przy tym niezwykle miły i uprzejmy. Czy dawno znają Vanesę? - pytał. Czy mieszkają w tej okolicy? Czy zdają sobie sprawę, jak ważnym przedsięwzięciem jest schronisko?

- Mary Liz jest chrześniaczką Nancy Hoffman.

105

- Ach, to wyjaśnia wszystko - powiedział Alec Baldwin. - Nikomu nie udało się zebrać więcej pieniędzy na zbrojne cele od pani Hoffman. Jest tutaj legenda. Przepraszam, pozwólcie. .. - przerwał i objął wysoką blondynkę, która pojawiła się obok niego - to moja żona, Kim.

Kim Basinger!

O ile przedtem Mary Liz czuła się jak pensjonarka, to teraz poczuła się jak ropucha. Nigdy w życiu nie widziała z bliska tak absolutnej piękności.

- Miło mi was poznać - powiedziała uprzejmie aktorka, podając im rękę. Potem szepnęła mężowi, że ktoś chce się z nim zobaczyć, i po chwili oboje pożegnali się i odeszli.

Mary Liz i Sky popatrzyli po sobie.

- O rany!-jęknął w końcu Sky.

- Spokojnie, chłopcze - powiedziała Vanessa, głaszcząc go pieszczotliwie po karku. Trochę zbyt pieszczotliwie jak na gust Mary Liz. Czyżby pani Buckley próbowała dać jej coś do zrozumienia?

- Czy to prawda, Vanesso - spytała - że na przyjęciu nie ma gospodarzy?

- Tak, Helenę nie znosi takich rozrywek, toteż nigdy nie bierze w nich udziału. A Bud miał pewnie w planach jakieś inne spotkanie.

- Aha - bąknęła Mary Liz. A ona sądziła do tej pory, że skoro wydaje się przyjęcie, to po to, by samemu w nim uczestniczyć.

Znany piosenkarz, Billy Joel, przystanął na chwilę, by przywitać się z Vanessą, podobnie John Kennedy Junior z żoną. Trwało to jednak mgnienie oka i Mary Liz nie zdążyła im się nawet przyjrzeć.

Później, gdy Buck zabrał Sky'a i Vanes-sę, żeby zamienili parę słów z ważnymi członkami klubu,

Mary Liz również bawiła się świetnie. Stała samotnie, sącząc wino i udając zamyślenie, w rzeczywistości zaś podsłuchiwała rozmowę jakiegoś mężczyzny z - tak! - Marthą Stewart. Rozmawiali o towarzystwie historycznym, o odrestaurowaniu farmy, o stworzeniu muzeum, o tym że historia tego niezwykłego regionu powinna być zachowana dla obecnego i przyszłych pokoleń.

- Och, to Dan Ratiner - powiedziała Vanessa, wróciwszy po kilku minutach. Wskazała na brodatego mężczyznę w kapeluszu i białym garniturze. - Znasz „Dan's Papers”? Z pewnością czytasz je codziennie.

Mary Liz zaczęła czytać je kilka dni temu. Nie zdawała sobie sprawy, dopóki nie wyjaśniła jej tego Vanessa, że „Dan's Papers” jest drogowskazem dla mieszkańców Hampton. Kto mieszka w okolicy, czym się zajmuje, gdzie można coś zjeść, dokąd pójść na masaż albo gdzie obserwować wieloryby - o wszystkim tym można było się dowiedzieć z tego wydawnictwa.

Wciąż byferpod wrażeniem tylu znanych osobistości, zebranych w jednym miejscu, lecz jej dobry humor popsuł się, gdy ujrzała Juliusa Hoffmana, który najwyraźniej zmierzał w jej stronę. Przeprosiła Vanessę i żeby go zgubić, weszła szybko do pawilonu, gdzie jakaś atrakcyjna kobieta w fartuszu kierowała z kuchni ruchem kelnerów.

- Steve, zanieś tacę do ogrodu! Nie chcę, żeby goście się tutaj kręcili.

Mary Liz zrozumiała, że ostatnia uwaga była skierowana do niej.

- Chciałam tylko powiedzieć, że jedzenie jest wspaniałe.

- Dziękuję - odrzekła kobieta. - Karen, wyjmij ptysie ziemniaczane z piekarnika!

- Widziałam, że Martha Stewart próbowała wszystkiego

- dodała Mary Liz.

- Naprawdę? - Twarz kobiety natychmiast się rozpogodziła. - Czy udało się pani wyczytać coś z jej miny?

- Wyglądała na wniebowziętą - zapewniła Mary Liz, po czym wyszła na zewnątrz.

Niestety, Julius wciąż jej szukał. Jak go uniknąć? Skręciła za róg pawilonu, chcąc się ukryć, gdy nagle dobiegł ją czyjś podniecony głos:

- Nie ma mowy, Herb! - Głos należał do mężczyzny, którego rozmówcą był najprawdopodobniej Herbert Glidden.

- Żadnych nowych faktur! Zrozumiałeś? Mam na karku izbę skarbową!

Mary Liz znów przyjęła pozę osoby w zamyśleniu sączącej wino z kieliszka. Oparła się o ścianę pawilonu i nadstawiła uszu.

Po chwili usłyszała przyciszony głos drugiego mężczyzny. Czyżby rzeczywiście Glidden? Tak, to chyba musiał być on. Szkoda tylko, że nic nie zrozumiała z jego wypowiedzi.

- Wiesz, Herb, że zbliża się dzień, kiedy guzik będzie mnie obchodziło, co robisz i co myślisz! Znowu szept.

- Faktura na kogo? Nie, nawet mi tego nie mów. Chryste, nie chcę wiedzieć!

Mary Liz już zamierzała odejść i wrócić między gości, gdy zza węgła pawilonu wypadł jakiś mężczyzna i wmieszał się w tłum. Czekala jeszcze chwilę, aż w ślad za nim pojawi się Glidden, na próżno jednak. Obeszła pawilon dookoła i dopiero wtedy dojrzała plecy Koszmarnego Herberta, przeciskającego się przez tłum w stronę baru.

Postanowiła odnaleźć znajomych i sama też ruszyła

w tym kierunku. Gdy jednak zrobiła dwa kroki, ktoś chwycił ją z tyłu za łokieć i syknął:

- Mam cię wreszcie!

- Julius?

- Posłuchaj, Mary Liz - powiedział, owiewając jej twarz gorącym oddechem, w którym czuć było alkohol - chciałem cię przeprosić. Okropnie wkurzyło mnie to twoje oskarżenie. Ja niby miałbym się do ciebie włamać? Przysięgam ci teraz... - podniósł swą mięsistą dłoń -.. przysięgam na Boga, że nie przekroczyłem progu twojego domku. Było dokładnie tak, jak powiedziałem. Szedłem do Sashy, gdy usłyszałem alarm.

Mary Liz postanowiła udawać miłą i udobruchaną.

- To ja powinnam cię przeprosić - powiedziała, dziwiąc się sama, jak gładko, wręcz uwodzicielsko to zabrzmiało. Ostrożnie, dziewczyno, nie przeginaj, napomniała się i mówiła dalej: - Zostałam kiedyś ograbiona w Chicago, sam rozumiesz. Włamywacze zabrali cały mój sprzęt. Zostałam załatwiona na cacy, bo ukradli dosłownie wszystko, nawet dyskietki. **Odtworzenie** danych zajęło mi sześć miesięcy.

- East Hampton to nie Chicago. Na co byłyby komukolwiek twoje komputery?

- Och, nie podejrzewałam wcale nikogo. Przestraszyłam się po prostu, że w domku mogły buszować dzieciaki, rozlać słodkie napoje albo zachłapać sprzęt słoną wodą.

Julius nie odpowiedział, wpatrzony nagle z uwagą w jakiś punkt na jej piersi.

- O co chodzi? - spytała.

- Masz coś tutaj... - powiedział, podchodząc bliżej.

O Boże, co to takiego? Kleszcz? Mary Liz straszliwie się ich bała.

Nie był to jednak ani kleszcz, ani cokolwiek innego. Julius

Hoffman, choć trudno było w to uwierzyć, posunął się do szkolnego fortelu, by wsunąć dłoń za dekolt jej bluzki!

Odskokzyła jak oparzona i odruchowo wymierzyła mu policzek. Niezbyt silny, ale przynajmniej trzy osoby odwróciły się, by zobaczyć, co się dzieje.

- Dałaś się złapać na starą męską sztuczkę! - roześmiał się Julius.

Okropne. Ten facet był nie tylko świnią, ale miał mentalność trzynastoletniego chłopca. Całe szczęście, że już nadciągała odsiecz w postaci pięknej Jeanine.

- Cześć, kochanie - powiedziała do męża, po czym objęła go w pasie i wspinając się na palce, pocałowała go w policzek. - Witaj, Mary Liz, miłe przyjęcie, prawda?

- Bardzo.

- Słyszałam, że przyszedłeś ze Sky'em.

- Tak.

Jeanine rozejrzała się i popatrzyła na nią znacząco.

- Zdaje się, że zgarnęła go Vanessa. Julius wybuchnął śmiechem.

- Juliusie - spytała żona - co się z tobą dzieje?

- Nic, nic, kochanie - zapewnił, całując ją w policzek. - Myślałem właśnie o tym, że Vanessa jest jedynaczką i że bardzo bogaty ojciec nigdy niczego jej nie odmawiał. Kobieta nie ma żadnych oporów, więc na twoim miejscu, Mary Liz, pokazałbym pazurki. Jeśli oczywiście zależy ci na tym facecie.

- Przestań, Juliusie! - skarciła go Jeanine. - Mary Liz pomyśli jeszcze, że mówisz serio.

- Bo ja wcale nie żartuję. Założę się, że już ze sobą spali.

- Nad garażem - powiedziała Jeanine i litościwie pokiwała głową. - Nie słuchaj go, Mary Liz.

Zapewniam cię...

- Nie ma sprawy - przerwała jej Mary Liz. - To raczej

Buck zgarnął Sky'a, żeby zareklamował wśród gości jego klub.

- No tak, Buck stara się jak może - powiedział Julius i skrzywił się do swoich myśli. - Płacić pieprzony milion dolarów za wstąpienie do tego idiotycznego klubu, to chyba lekka przesada.

- Milion dolarów? - zdumiała się Mary Liz. - Za przynależność do „East End”?

- Nie do wiary, prawda? - Jeanine pokręciła głową.

- Z drugiej strony trudno się dziwić. - Julius postanowił popisać się trzeźwością i praktycznością umysłu. - Chcieliśmy grać w golfa, no nie? Co więc mieliśmy robić, czekać sto lat na możliwość wstąpienia do „Maidstone”, a potem nie zostać do niego dopuszczonym, ponieważ mój dziadek pochodzi z Europy Wschodniej? - Pociągnął spory łyk martini. - Ci cholerni faceci w „Maidstone” byli tacy aroganccy - wyjaśnił Mary Liz - że tata oraz jeszcze kilka osób powiedziało: „Świetnie, oni nie chcą nas, a my nie chcemy ich. Zbudujemy najlepsze pole golfowe w okolicy” I każdy wyłożył milion...

Mary Liz miała ochotę mu przyciąć i powiedzieć, że nie bez powodu „Maidstone” nie miało ochoty na członkostwo Juliusa Hoffmana i że ewentualna odmowa nie miałyby ra^kczej wiele wspólnego ze wschodnioeuropejskim pochodzeniem jego dziadka, stchórzyła jednak.

- Absolutnie niebywałe jest to - powiedziała Jeanine - że taką samą sumę płacą cudzoziemcy, a grają w golfa może cztery razy do roku.

- Ale oni grają po to, żeby robić z nami interesy - skomentował Julius. - To był cholernie dobry pomysł. Jest chyba z sześćdziesięciu takich facetów. - Zorientował się, że jego szklanka jest pusta, i kolejny raz ruszył do baru.

- Całe szczęście, że dzisiaj nie prowadzi - westchnęła Jeanine, odprowadzając go wzrokiem. - Podrzuci go Charles. Można by przypuszczać, że po śmierci ojca będzie się bał latać prywatnymi samolotami, ale on twierdzi, że to bezpieczniejsze od Charlesa za kierownicą.

- Chcesz powiedzieć, że polecą samolotem?

- Do terminalu w pobliżu lotniska La Guardia. Przelot trwa niecałą godzinę. Potem będzie miał zaledwie dziesięć minut do Manhattanu. Gdyby podróżowali samochodem, zajęłoby to im prawdopodobnie z pięć godzin. Koniec weekendu to murowane korki.

Ich uwagę odwróciły głośne szepty, którymi powitano przybycie Stevena Spielberga oraz jego żony, Kate Capshaw.

- A co do mojego męża, Mary Liz - powiedziała Jeanine, jak gdyby rozmawiały już na ten temat od pewnego czasu

- to jeśli będzie ci się naprzykrzał w jakikolwiek sposób, po prostu krzyknij mu głośno wprost do ucha, a natychmiast ucieknie. Nie znosi hałasu i konfliktów. Szczerze mówiąc, ten facet jest po prostu zepsuty, podobnie jak wszyscy mężczyźni z jego kręgu. Jednakże w przeciwieństwie do nich, jeśli dasz mu zdecydowaną odprawę, wycofa się natychmiast. Wybacz, jeśli sprawił ci przykrość - uśmiechnęła się do Mary Liz, a potem, jak gdyby chcąc ją przekupić, spytała:

- Czy masz ochotę poznać Stevena Spielberga?

Pokusa była trudna do przewyciężenia. Mary Liz pozwoliła zaprowadzić się przed oblicze znakomitego reżysera, producenta i scenarzysty.

- Mary Liz jest chrześną córką Nancy Hoffman - przedstawiła ją Jeanine i twarz reżysera rozpromieniła się natychmiast.

- Nancy Hoffman czyni wiele dobrego - powiedział. Mary Liz uśmiechnęła się uprzejmie, w głębi duszy zaś

zaczęła się zastanawiać, czy stanie się kiedykolwiek na tyle ważna, by przedstawiano ją po prostu jako Mary Liz Scott, a nie chrzestną córkę Nancy Hoffman.

Po krótkiej rozmowie Spielbergowie odeszli, a Jeanine wdała się w rozmowę z kimś innym, toteż Mary Liz skorzystała z okazji, by podejść do baru po szklankę wody mineralnej.

- Oho, widzę, że jesteś sama - szepnął jej do ucha Vandergilden. - Mogę się przyłączyć? Przyjedź zobaczyć moją winnicę, ślicznotko. Zobaczysz, w jaki sposób powstaje boski nektar.

Boże, ten facet naprawdę jest rąbnięty, pomyślała. Tylu wokół fascynujących ludzi, a jej się trafił taki dureń.

Na szczęście nie męczył jej zbyt długo, bowiem w chwilę potem podeszła do nich Vanessa Buckley, która zapewne dostrzegła, w jak niezręcznej sytuacji znalazła się Mary Liz.

- Spływaj, Randy, idź nudzić kogoś innego - powiedziała, wślizgując się między nich i odprawiając winiarza gestem dłoni. Vandergilden roześmiał się dobrodusznie i odszedł, a wtedy Vanessa pokiwała z uśmiechem głową. - Wstawiał ci pewnie swoje głodne kawałki na temat boskiego nektaru?

Mary Liz uśmiechnęła się tylko.

- Po pierwsze, on wcale nie jest właścicielem tej winnicy. A po drugie, prowadzi ją skandalicznie. To wino nie nadaje się w ogóle do picia! - Vanessa z oburzeniem zmarszczyła czoło. - Buck mówi, że można go jedynie używać do tępienia chwastów na polu golfowym.

- A kto naprawdę jest właścicielem?

- Jakaś holenderska firma, która chce chyba stracić kupę pieniędzy. Zdaje się, że Randy albo rozkręci interes, albo straci wszystko. Ja w każdym razie mam nadzieję, że go wykopią. To taki pompatyczny osioł, a posiadłość jest napra-

wdę piękna. W przyszłym miesiącu będzie tam wystawiana na świeżym powietrzu opera, chyba „Aida”.

- Ale twój mąż lubi Randolpha, prawda?

- Jasne, Buck lubi każdego, kto gra z nim w karty, pali cygara i rozmawia o golfie. Na przykład Alfreda mój Buck bezgranicznie wprost uwielbiał, a nie łączyło ich nic poza tymi trzema rzeczami.

- Doprawdy?

- Mhm. Alfred nieźle grał w golfa, ale poza tym, gdy nie grał w karty i nie palił akurat cygar z Buckiem, miał fioła na punkcie tenisa, filmu, telewizji... Cóż, on przede wszystkim cały zorientowany był na sukces. Chciał być królem, a Nancy miała być jego królową.

Vanessa uśmiechnęła się do siebie i umilkła, patrząc w oczy Mary Liz. Jej spojrzenie było dziwne - lekko przymglone i nieobecne. Mówiła też w osobliwy sposób - jakby bawiło ją stawianie akcentów. Może Vanessa coś bierze, zastanowiła się Mary Liz. Jakiś lekki narkotyk? A może tylko pigułki odchudzające tak na nią działają? Najpewniej jednak zwykle środki uspokajające - na przykład **Valium** - w połączeniu z kilkoma łykami alkoholu.

- Właściwie Nancy zawsze była królową - Vanessa pozbierała myśli i podjęła przerwany wątek. - Królową, która pocałowała żabę i wpoila w nią nieco dobrego stylu. - Znów uśmiechnęła się do siebie.

- Pamiętam Alfreda sprzed dwudziestu lat ... Nawet mały Bertie błagał ojca, żeby przestał nosić złotą biżuterię. No, ale pod koniec życia w niczym nie przypominał tamtego człowieka. Muszę oddać Nancy sprawiedliwość, naprawdę dokonała cudu. A on trzymał się przy niej, choć go straszliwie tresowała, co było tym bardziej zdumiewające.

- Czemu?

- No cóż, jeśli jakiemuś palantowi uda się znaleźć na liście wybrańców losu, a już szczególnie w Los Angeles, to natychmiast pozbywa się żony, która zna go jak zły szeląg. Trudniej jest zapomnieć o bidnej przeszłości i dumnie kroczyć przez obfitą terażniejszość, jeśli ma się u boku kogoś, kto przypomina człowiekowi, kim był kiedyś.

- Czy znałaś jego pierwszą żonę?

- Ruth? O Boże, tak. Czasami bywa u Juliusa. Ruthie i Nancy to jakby dwa bieguny. Ruthie wygląda jak stara, zmęczona praczka z ubogiego kraju. Jasne, ma już prawie siedemdziesiątkę. Bóg wie, jak ja będę wyglądała w jej wieku. Pewnie jak emerytowana burdelmama - dodała, chichocząc.

- Nieprawda - rzekła uprzejmie Mary Liz. - Zawsze będziesz wyglądała wspaniale. Masz w sobie tyle energii.

- Dziękuję ci, kochanie - rzekła zaskoczona Vanessa. - Nie dziwię się, że Sky cię lubi. - Mary Liz uniosła ze zdziwieniem brwi. - O tak, bardzo cię lubi - potwierdziła Vanessa zmysłowym tonem. - Na twoim miejscu - szepnęła, przysuwając się bliżej - nie popuściłabym mu ani na moment. Taki miły mężczyzna, w dodatku wolny, to absolutny wyjątek.

- Rozumiem - powiedziała z uśmiechem Mary Liz. W jej uszach wciąż brzmiały rozkoszne słowa Vanessy: „O tak, bardzo cię lubi”.

- Widziałam, że rozmawiałaś z Juliušem i Jeanine. To dopiero para, co?

- Ten facet jest kompletnym dziwadłem.

- To świnia - podsumowała Vanessa, a Mary Liz wybuchnęła śmiechem. - A Jej Wysokość Jeanine...

- uśmiechnęła się szeroko - pracowała kiedyś dla Gliddena, wiesz, wcale nie w charakterze sekretarki.

115

Wśród gości znów rozległy się głośne szepty, tym razem jednak Mary Liz nie obejrzała się nawet, żeby sprawdzić, jaka znakomitość się pojawiła. Rozmowa z Vanessą była znacznie bardziej interesująca.

- Pracowała?

- Mhm... Ciężko pracowała. Jedynym głupcem, który nie wiedział, że Jeanine jest zwykłą dziwką, był Julius. Ale to nic nowego. Za pierwszym razem ten dureń uciekł do Meksyku, by wziąć ślub z szesnastoletnią prostytutką. Alfred uważał zapewne, że w porównaniu z tamtą Jeanine stanowi duży krok naprzód.

- Chwileczkę, Vanesso - przerwała jej wreszcie Mary Liz. - Zanim się zagalopujesz, powinnaś wiedzieć, że bardzo lubię Jeanine.

Tak naprawdę nawet jej dobrze nie znała, ale nie podobały jej się słowa Vanessy. Beż względu na swoją przeszłość, Jeanine była matką dwojga dzieci - i to zdaniem Nancy bardzo dobrą matką- toteż powinno się ją osądzać na podstawie obecnego życia.

Ale żeby tak wybierać sobie mężczyzn? Boże...

- Mówię ci tylko to, co wiedzą wszyscy.

- A co z żoną Gliddena? - spytała Mary Liz. - Przecież jest żonaty, prawda?

- Och - Vanessa wywróciła oczy - to jest dopiero przypadek nie z tej ziemi! Nie opuściła ich domu w Beverly Hills od 1988 roku!

- Jak to?

- Cierpi na agorafobię czy coś w tym rodzaju. Boi się otwartych przestrzeni. Myślę, że to nawet dość wygodne dla Herba. Są nadal małżeństwem, syn ich odwiedza, ale ona nigdy nie wychodzi, a on rzadko bywa w domu.

- Straszne!

- To całe Los Angeles - wzruszyła ramionami Vanessa

- nigdy nie lubiłam tego miasta.

- A czy twój mąż... lubi Herba?

Vanessa popatrzyła na nią, jak gdyby była niespełna rozumu.

- Też coś! Nikt nie lubi Herba.

- No to dlaczego... ? - Nie dokończyła pytania, ponieważ jakaś kobieta zawołała ją głośno po imieniu.

- Mary Liz! - Sasha Reinhart podbiegła do niej z otwartymi ramionami. To zdaje się jej pojawienie wywołało takie zamieszanie wśród gości. W tym roku po raz pierwszy przyjechała do East Hampton, toteż była towarzyską atrakcją.

- Słyszałam, że włamano się do ciebie dziś rano?

- Cóż, nie mamy pewności...

- Riff był tego pewien - przerwała jej Sasha. - Muszę chyba pomyśleć o lepszym zabezpieczeniu mojego domu.

- Włamano się do Wielkiego Domu? - spytała Vanessa.

- Nie, tylko do mojego domku - sprostowała Mary Liz.

- Ktoś próbował otworzyć drzwi i włączył się alarm.

- Riff powiedział, że podejrzewałaś Juliusa.

- Tak, tak! To na pewno był on! - Głos Vanessy zabrzmiał tak pewnie, że obie kobiety spojrzały na nią ze zdumieniem. - On zawsze próbuje zaskoczyć kobiety podczas snu-wyjaśniła.

- Ty też uważasz, że to mógł być Julius? - spytała Sasha Mary Liz. - Cholera, myślisz, że i do mnie mógłby się włamać? Mam z nim kręcić film jesienią!

- O, witaj, Vanesso! - przerwał im męski głos, który należał, jak się okazało, do przystojnego pana koło sześćdziesiątki, dobrze zakonserwowanego i o miłym uśmiechu. Mary Liz natychmiast

rozpoznała mężczyznę, który rozmawiał z Gliddenem za pawilonem. U jego ramienia uwieszona była czterdziestoletnia na oko kobieta w zaawansowanej ciąży.

- Henry! - wykrzyknęła Vanessa. - Nie widziałam cię od wieków! - Objęła go serdecznie. - Cindy, wyglądasz wspaniale jak na swój stan - skomplementowała jego towarzyszkę, całując ją w policzek.
 - Jesteś bardzo uprzejmą kłamczuchą-odparła tamta.
 - Ledwie mi się udało wyciągnąć ją z domu - pożalił się mężczyzna.
 - Henry, Cindy, poznajcie Sashę Reinhart.
 - My się już znamy - powiedziała kobieta w ciąży, podając rękę Sashy. - Poznałyśmy się na przyjęciu z okazji premiery twojego filmu. Moje czasopismo opublikowało artykuł na temat Sashy Reinhart. Uśmiech zniknął z twarzy Sashy, wyszarpnęła rękę.
 - Tak. Słynny artykuł w „Je Ne Sais Quoi”... „Wiele osób uważa, że Sasha Reinhart jest słynną, lecz podstarzałą już nieco gwiazdą” - zacytowała złośliwie. - Przepraszam. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. - Spojrzała wyniośle na ciężarną i odeszła.
 - Ano właśnie. Oto miłe strony bycia mężem przedstawicielki prasy - westchnął mężczyzna.
 - Reinhart zawsze była głupią dziwką - wycodziła przyszła matka, kładąc opiekuńczym gestem dłoń na brzuchu.
 - No, ja myślę, że ten akurat artykuł mógł zranić jej uczucia - Mary Liz wzięła w obronę piosenkarkę, a wtedy czterdziestolatka popatrzyła na nią tak, jak gdyby była jakimś wybrykiem natury.
 - Henry, Cindy - wtrąciła się Vanessa - chciałabym, żebyście poznali Mary Liz Scott, chrześniaczkę Nancy Hoffman. Mary Liz, oto jeszcze jeden członek paczki Alfreda i Bucka, Henry MacClendon, oraz jego śliczna żona, Cindy Claydon.
- Mary Liz przywitała się uprzejmie, ale omal nie stanęła z otwartymi ustami, gdy uprzytomniła sobie, że ma przed

sobą eksmeża Claire. Nie mieściło jej się w głowie, jak mógł zostawić tak uroczą kobietę dla tego stracha na wróble. Cindy była potwornie sztuczna, upozowana, ufryzowana i umalowana, a mówiła w nieznośnie afektowany sposób, nie zdradzając przy tym żadnych uczuć. Mary Liz dobrze znała takie kobiety.

No cóż, czy jako redaktor naczelny czasopisma zajmującego się modą Cindy mogła być inna? Z pewnością nie może znieść tego, że jej ciało tak bardzo zmieniło się podczas ciąży.

Po wymianie uprzejmości Mary Liz udała się na poszukiwanie Sashy, spóźniła się jednak, albowiem gwiazda była bez reszty pogrążona w rozmowie ze Stevenem Spielbergiem.

- Nie ma szans, by się stąd wydostać? - szepnął Sky ponad jej ramieniem.

- Och, dobrze że jesteś. Szczerze mówiąc, też jestem już trochę zmęczona. Czy nie widziałeś czasem Herba Gliddena?

- Wyszedł jakieś dziesięć minut temu. - Sky pochylił się ku niej bliżej. - A o co chodzi? Wszystko w porządku?

- Ach tak, w najlepszym. - Uśmiechnęła się. - To jak? Chcesz się stąd zmyć? Bo ja na to, jak na lato.

- Świetnie. Nie musimy nawet dziękować gospodarzom - zauważył, biorąc ją za rękę, jak gdyby była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

I tak to oboje odczuli. Uśmiechnęli się do siebie, po czym ruszyli przez tłum do wyjścia.

- Jedyną osobą, którą miałam ochotę poznać - i której nie poznałam - była Martha Stewart.

Podśledzałam tylko jej rozmowę z jakimś mężczyzną, ale zabrakło mi odwagi, by do nich podejść.

- Też już wyszła - powiedział. Wziął kieliszek Mary Liz i odstawił go razem ze swoim na stół. Potem znowu ujął jej dłoń i poszli razem w stronę samochodu. - Wiem już, skąd

się wzięły pieniądze na tę posiadłość. Gospodarz jest właścicielem czegoś w rodzaju banku inwestycyjnego. „United Kingdom Securities”. Buck twierdzi, że to przykrywka dla arabskich terrorystów.

Wcale jej to nie zdziwiło. Znała transakcje nadzorowane nawet przez „Reston, Kellaher”, w których firma beztrudno przyjmowała pieniądze na inwestycje, przymykając oczy na to, że inwestor może kryć kogoś znacznie mniej uczciwego.

- Interesują cię takie sprawy? - spytała. - W jaki sposób ludzie dochodzą do wielkich pieniędzy?

- Jasne.

- Mnie chyba też - przyznała.

- Ogromna różnica między nami polega jednak na tym, że ty potrafisz zrobić to sama.

- Moje pieniądze nie są tak wielkie, jak sądzisz.

- Nie jestem łowcą posagów, Mary Liz - uśmiechnął się do niej.

Odwzajemniła uśmiech i po paru krokach spytała:

- Na co zatem polujesz?

- Na inteligencję, piękno, delikatność. Wierność. Na kobietę, która ma na tyle wielkie serce, by pokochać mnie, a kiedyś moje dzieci.

Mary Liz uśmiechnęła się na te słowa. Tak prosto, tak zwyczajnie zabrzmiały one w jego ustach - poznajesz kogoś, zakochujesz się, poślubiasz, masz z nim dzieci...

A przecież jej życiowe doświadczenie mówiło co innego - że poznać kogoś nie jest wprawdzie trudno, ale miłość, nie wspominając o dwóch następnych krokach, to jedynie nieziszczalne marzenie.

Nagle przypomniał jej się wróż z Chicago. Co on takiego powiedział?

120

Obok parkingu dla samochodów spotkali Riffa, który rozmawiał z młodymi ludźmi, parkującymi samochody gości. Mary Liz przywitała się z nim i przedstawiła mu Sky'a.

- Wszystko w porządku? - spytał Riff, gdy mieli już wsiadać do żółtego mercedesa. - Rano było niezłe zamieszanie.

- W porządku - odpowiedziała.

- Jakie zamieszanie?- spytał Sky, marszcząc brwi.

- Och, po prostu włączył się alarm. Bertie uczył mnie windsurfingu, gdy alarm postawił na nogi całą okolicę.

- Włączył się alarm? Dlaczego? Czy ktoś się włamał?

- Tak-odrzekł Riff.

- Ale chyba tylko przez przypadek - od razu dodała Mary Liz.

- Nie wyglądało mi to na przypadek - pokręcił głową ochroniarz.

- Powiedzmy, że odbyłam długą rozmowę z osobą, którą podejrzewałam o włamanie, i już się absolutnie o nic nie martwię.

Pożegnali się z Riffem i wsiedli do samochodu, jednak Sky chciał oczywiście poznać więcej szczegółów.

- I nikt niczego nie zauważył? - spytał, opuszczając dach, zgodnie z wcześniejszą obietnicą.

- Nie. Nie przejmuj się, skoro ja się nie przejmuję.

- Ale po co ten ktoś to zrobił?

- Naprawdę nie sędzę, żeby to było włamanie. Poza tym jutro zostanie zainstalowany system alarmowy z prawdziwego zdarzenia i gdyby sytuacja się powtórzyła, to dalej będzie się martwić policja z East Hampton.

- Sędzisz, że mogło chodzić o twój komputer? Mary Liz zaczynała mieć dość tego tematu.

- Nie wiem. Zdaje mi się, że to Julius się tam pętał, ale po co - nie pytaj.

121

- Julius Hoffman?
- Chyba mu się podobam - przyznała niechętnie.
- Opowiedz mi o tym.
- O czym?
- On patrzy na ciebie w szczególny sposób.
- No cóż, to świnia.
- Jest żonatym facetem, na miłość boską.
- I to z bardzo piękną kobietą.

Sky skręcił na szosę, przyspieszył, a wtedy wiatr zaczął rozwiewać im włosy.

- Szkoda, że nie widziałem, jak pływasz na desce.
 - Och, nie! - jęknęła. - Całe szczęście, że tego nie widziałeś! Czułabym się jeszcze bardziej niezręcznie. - Niezręcznie? Chyba nie dlatego, że ty i Bertie... - głos zamarł mu w krtani.
 - Ja i Bertie? Niby co?
 - Nic.-Wzruszył ramionami.
 - Powiedz mi, Sky, co chciałeś powiedzieć?
 - Sam nie wiem. Zastanawiałem się tylko... - Znów wzruszył ramionami. - Może lubisz Bertiego. Bo jestem pewien, że on cię lubi.
 - Bertie ma już dziewczynę.
 - Rzeczywiście. - Skinął głową i sięgnął do schowka na rękawiczki po ciemne okulary.
 - Czułabym się niezręcznie wyłącznie dlatego, że Bertie kazał mi włożyć dolną część piankowego kombinezonu, w którym wyglądałam jak potwór morski. W dodatku pomarańczowy potwór.
- Doprawdy, Sky, nie był to widok, który powinien zobaczyć ktoś, na kim chciałabym zrobić wrażenie.
- A chciałabyś zrobić na mnie wrażenie? - Spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko. - Skoro już chce pani wiedzieć,

122

panno Scott, to osobiście sędzę, że w każdej sytuacji wygląda pani wspaniale.

- W takim razie muszę panu wyznać, panie Preston, że żaden z tutejszych mężczyzn nie interesuje mnie w najmniejszym stopniu... No, może poza pewnym nauczycielem na wakacjach.

Boże, po co właściwie to powiedziała?

Wszystko przez tego cholernego wróża.

8

Jedynym mankamentem jazdy z opuszczonym dachem były spaliny, które musieli wdychać, gdy wyjechali na szosę numer 27.

- Dokąd jadą ci wszyscy ludzie? - spytała wreszcie Mary Liz, gdy utknęli w korku, uwięzieni pomiędzy jakimś maserati a fordem.

- Do pracy, w której muszą się stawić w poniedziałek o dziewiątej rano, czyli jutro - wyjaśnił Sky. - Gdyby nie musieli, nie byłoby tego korka. Szkoda, że nie wziąłem mapy. Na pewno są tu jakieś boczne drogi.

- Wiem od Jeanine Hoffman, że niektórzy korzystają z drogi powietrznej. Na przykład mąż Rachelle Zaratan... Jak on ma na imię?

Sky zmarszczył czoło.

- Charles?

- Właśnie. Charles ma samolot. Odwozi dziś Juliusa na La Guardię.

- Odrzutowcem?

- Nie, to chyba zwykły samolot śmigłowy.

- Większość ma odrzutowce.

- Widocznie Charles woli sam pilotować swój samolot. Słuchaj - ożywiła się nagle - a może moglibyśmy pojechać na lotnisko? W niedzielę wieczór spotkamy na pewno mnóstwo gwiazd. Billy Joela, Ralpa Laurena, Williama Styrona

czy Carla Icahna. Przecież wszyscy mają tu gdzieś w okolicy swoje posiadłości.

- Dziwne życzenie jak na pierwszą randkę, ale dla mnie jest rozkazem. Ale potem, gdy już wszyscy odlecą, może coś przekazamy, zgoda? Może być „Nick & Tony” albo cokolwiek.

- Myślałam raczej o powrocie domu. Sama mogę ci coś upichcić.

- Albo ja tobie.

- Dobra, porozmawiamy potem. Na razie nie jestem głodna.

- Ja też. Spróbowałam chyba ze stu przekąsek. Jedzenie było naprawdę pyszne.

Znów zatrzymali się w gigantycznym korku, jednak Sky zamiast się wściekać, popatrzył na nią z rozmarzonym uśmiechem.

- O co chodzi? - spytała.

- Cudownie spędzam czas - odpowiedział.

Było prawie wpół do ósmej, gdy wreszcie dotarli na parking lotniska w East Hampton. Prawdę mówiąc, lotnisko to za dużo powiedziane jak na jeden hangar i stojące wokół niego samoloty. Nie było ani wieży kontrolnej, ani terminalu, zupełnie nic. Musieli zaparkować na skraju lasu, ponieważ wszędzie kłębił się tłum dorosłych i dzieci. Wysiedli z samochodu, a potem podążyli w stronę samolotów stojących w kolejce do startu.

- Przepraszam. - Sky zatrzymał mechanika w pobrudzonym niebieskim kombinezonie. - Czy zawsze w niedzielę macie tu takie zwariowane podwórko?

- Nie, nie. Po prostu jeden z samolotów rejsowych utknął na La Guardia i spowodował całe to zamieszanie.

125

- O rety, spójrz na ten! - Mary Liz wskazała na odrzutowiec stojący w pobliżu. - Czyj to samolot? Mechanik obejrzał się.

- Ach, ten należy do Calvina Kleina. Ładny, prawda? Odlatuje później. Przepraszam, ale muszę iść. Poszli dalej, rozglądając się ciekawie. Nad hangarem zawisł nieduży helikopter, podobny do tych, jakich używa się do kontroli ruchu drogowego.

- Coś nadlatuje - powiedział Sky. Był to prawdopodobnie brakujący samolot rejsowy, pewnie EM-2, który zabiera na pokład około trzydziestu pasażerów. Mary Liz korzystała z nich często w czasie swoich służbowych podróży.

Czekało na niego jednak znacznie więcej niż trzydzieści osób.

Zmęczeni tłokiem i nerwową atmosferą, Mary Liz i Sky ruszyli z powrotem w stronę samochodu. Z naprzeciwka nadchodziło ku nim dwoje ludzi - mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami i z aktówką oraz szczupła, dość wysoka kobieta. Gdy się zbliżyli, Mary Liz od razu poznała Herberta Gliddena.

- Podrzucić was do JFK?*

- Ach, leci pan dzisiaj do Los Angeles? - spytał Sky.

- Skąd ten pomysł? Mogę lecieć tylko do Nowego Jorku - odparł Glidden.

- Nie ma mowy. Skoro mówi pan JFK, to planuje pan podróż bez przerwy do Los Angeles.

- No proszę, kilka tygodni w East Hampton i zrobił się z ciebie niezły bystrzacha. Jak się miewasz, Mary Liz?

- Dziękuję, świetnie. Brakowało mi cię na dzisiejszym przyjęciu.

*JFK - skrót nazwy nowojorskiego lotniska pasażerskiego - John Franklin Kennedy (przyp.red.)

- Mnie ciebie też.

Nie mogła się połapać, czy sobie z niej żartuje, czy mówi poważnie.

- Poznajcie Reesę Kelb - Herbert przedstawił stojącą za mm kobietę. - Pracuje dla „Mortimer Brothers”, a tegoroczne lato spędza w East Hampton wraz z mężem. Reeso, to Mary Liz Scott. Pracowała kiedyś dla „Reston, Kellaher”...

- O, doprawdy? - Kobieta spojrzała na nią z zaciekawieniem. Miała na sobie elegancki kostium, lśniące pantofelki, w rękę trzymała aktówkę. Wyglądała dokładnie tak, jak Mary Liz kilka miesięcy temu.

- Przepraszam cię na chwilę, Reeso - powiedział Glid-den, odciągając Mary Liz na bok. Opuszczono już wprawdzie schodki jego odrzutowca, a pilot w mundurze przywoływał go gestem dłoni, lecz Glidden pokazał mu na migi, że jeszcze chwila, i odezwał się konkretnym tonem do Mary Liz: - Jutro z samego rana spławiam tę kobietę. Mam po uszy „Mortimer Brothers”. Potrzebuję ciebie. Z łatwością poradzisz sobie ze wszystkim.

Mary Liz nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Gdy tylko wrócę do biura - mówił dalej Herbert - usiądziemy sobie i spokojnie pogadamy. Cholera - westchnął - przez trzydzieści lat sfinansowałem pewnie ze sto filmów, a ta idiotka mówi mi, że nie zdołam zawrzeć kolejnej transakcji bez pomocy jej zakichanej firmy.

- To dobra firma.

- Mam to gdzieś. Nie potrzebuję żadnej firmy, potrzebuję ciebie, Mary Liz. Znajdź kogoś innego, żeby grzebał się w papierach po Hoffmianie, i wróć do pracy godnej siebie.

- A jeśli nie mam na to ochoty?

- Tym lepiej. - Pochylił się ku niej z szerokim uśmiechem. - Z pewnością będzie ci się to bardziej opłacało. - Poklepał ją

po ramieniu. - Wrócę za dwa tygodnie i sfinalizujemy sprawę, okay? - Wyciągnął dłoń, a Mary Liz podała mu swoją.

- Nie powiedziałaś mi, co miałabym robić.

- Filmy. I duże pieniądze, Mary Liz - odparł, po czym pozdrowił z daleka Sky'a. - Do zobaczenia, mistrzu! Reesa, chodźmy, pilot już czeka!

Mary Liz i Sky odprowadzili ich wzrokiem do samolotu. Gdy odrzutowiec zaczął kołować, spostrzegli na jego kadłubie znak firmowy wytwórni „Howland Films”. Ciekawe...

Jakim to sposobem Glidden załatwił sobie korzystanie z tego samolotu? I czemu on nim lata, a nie Julius?

- O, do jasnej cholery... - usłyszeli za sobą nagle zmartwiony głos. - To samolot Herba, prawda?

Obejrzeli się. Przed nimi stał zasapany Charles Kann, mąż Rachelle Zaratan.

- Niestety - potwierdziła Mary Liz.

- Że też nie udało mi się go złapać!

- Poleciał na JFK, jeśli to ci coś pomoże - podsunął Sky.

- Dzięki, ale Niestety nie - pokręcił głową załamany Charles.

- Słyszałam, że zabiera pan do miasta Juliusa, panie Kahn - powiedziała Mary Liz, próbując poprawić mu humor - i że jest pan świetnym pilotem.

Uśmiechnął się lekko na te słowa.

- Mam licencję, ale czy jestem świetnym pilotem? No nic, przepraszam was, muszę wracać. Do zobaczenia za tydzień. Mam nadzieję, że spotkamy się podczas następnego weekendu - odparł i wciąż niepocieszony skierował się w stronę parkingu, gdzie zostawił swoje auto z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami.

Był tak zmartwiony, że Mary Liz pomyślała, iż musiało mu bardzo zależeć na rozmowie z Gliddenem. Ciekawe, ja-

kie to sprawy mogły ich łączyć. W ogóle powiązania między wszystkimi letnikami w East Hampton zaczynały być coraz bardziej interesujące. Olidden domagał się jakichś faktur od Henry'ego MacClendona; domyślił się, że Mary Liz pracuje dla Nancy, i sam postanowił ją zatrudnić. Julius za żonę miał Wendy, która związana była podobno z Herbertem. Charles podwoził Juliusa do Nowego Jorku...

Omiotły ich światła kolejnego prywatnego samolotu, po chwili zaś ku schodkom odrzutowca przeszedł obok nich elegancki mężczyzna w spodniach i blezerze. Mary Liz rozpoznała w nim Rona Perelmana, prezesa „Revlonu”.

Tymczasem pasażerowie samolotu rejsowego dawno już wysiedli, ale nie rozchodzili się, wyraźnie oczekując, aż ktoś pojawi się na szczycie schodków. Tym „kimś” okazał się aktor, Brad Pitt, powitany radosnymi okrzykami gapiów i stewardess.

Ach, życie w East Hampton...

Po powrocie do domu Mary Liz i Sky rozpakowali jedzenie, kupione uprzednio w sklepie po drodze, i zadzwonili do Delores z pytaniem, czy mogliby skorzystać z gazowego grilla ustawionego obok domku dla gości.

- Jestem pewna, że pani Hoffman doradziłaby raczej skorzystanie z rusztu w domku plażowym - odparta Delores. -W lodówce jest tam mnóstwo rozmaitych napojów, a pan Bertie i jego przyjaciółka pojechali z panią Hoffman na Manhattan, więc domek stoi pusty. Przekona się pani, że jest miły i zaciszny.

Mary Liz przekazała tę informację Sky'owi, choć nie była pewna, czy wizja romantycznego *tete-d-tete* w ustronnym nadmorskim domku zrobi na nim wrażenie. Byli zapewne zbyt głodni, by czuć się romantycznie, poza tym strój, w któ-

ry się przebrała - workowate bawełniane szorty i luźna koszulka - zniechęciłby zapewne każdego. Myliła się jednak.

- Hej, wyglądasz wspaniale - powiedział Sky i od razu zaczął się zbierać do wyjścia. - Kobieta w workowatych szortach ma w sobie coś niezwykle seksownego.

Roześmiała się. Oczywiście przesadzał, ale nie miała nic przeciwko temu.

Spakowali z powrotem jedzenie do toreb, poczekali na Delores, a ta zaprowadziła ich do domku plażowego i włączyła zewnętrzne oświetlenie. Sky wszedł do środka i zachwycił się wyposażeniem nadmorskiej chatki: miękka kanapa, gruby dywan, stolik, krzesła, zestaw stereo, telewizor...

- Jednak nieźle jest mieć pieniądze, prawda?

- Chyba tak - potwierdziła Mary Liz, rozpakowując przywiezione produkty.

Wyjęli z lodówki dobrze schłodzone piwo i nalali sobie do szklanek. Sky rozpalił grill, tymczasem Mary Liz wrzuciła na patelnię ziemniaki, cebulę i paprykę, dodała kawałek masła, odrobinę wody i pozwoliła dusić się jarzynom pod przykrywką. Rozłożyła talerze i sztućce, a Sky doprawił w tym czasie steki i wyszedł z nimi na dwór, by ułożyć je na ruszcie. Sałatkę kupili gotową i wystarczyło wyłożyć ją tylko do miski.

Zwabiona aromatem steków, Mary Liz wyszła na zewnątrz. Lubiła zapach pieczonego mięsa i ciepły blask ognia w ciemności.

- Pachnie cudownie - powiedziała, podchodząc do mężczyzny.

Sky odwrócił się do niej z uśmiechem i nie wypuszczając z dłoni widelca do steków, musnął nagle wargami jej wargi.

130

- Przepraszam - powiedział, wciąż uśmiechnięty - nie mogłem się powstrzymać.

- Hops! - roześmiała się Mary Liz, pochylając się ku niemu i odwzajemniając delikatnie pocałunek. - Przepraszam, ja też nie mogłam się powstrzymać.

Wróciła do domku i dopiero teraz poczuła, że drży z podniecenia i napięcia. Wypiła kilka sporych łyków piwa, wyjrzała przez okno.

Sky również nerwowo popijał ze swojej szklanki.

Kolacja udała się znakomicie. Stek był dokładnie taki, jak lubiła - średnio krwisty, ziemniaki duszone z jarzynami -wyborne, sałatka - smaczna, towarzystwo zaś - po prostu cudowne.

Mary Liz czuła się ze Sky'em tak swobodnie, jak gdyby znali się od lat. Rozmawiali dosłownie o wszystkim, żartowali, śmiali się głośno. W pewnym momencie Sky się zamyślił i przez kilka chwil zdawał się o czymś marzyć. Lekki rumieniec wypłynął na jego szyję, a przecież nie powiedzieli niczego, co mogłoby być jego przyczyną.

Wywołały go zatem jego myśli. Jakie myśli?

Mary Liz poczuła lekkie ściskanie w dołku. Twarz miała lekko zaczerwienioną od słońca po porannym blamażu na plaży. Makijaż jej się rozmazał, włosy rozsypały się po przejeździe kabrioletem. Muszę wyglądać szalenie pociągająco, pomyślała z przekąsem.

Po posiłku wypili jeszcze po piwie, a potem Mary Liz wstała, by sprzątnąć talerze. Sky natychmiast również się podniósł, by jej pomóc.

Odstawiła naczynia na bufet, Sky też.

Odwróciła się do niego, objęła go w pasie i spojrzała mu w oczy. Nie protestował.

131

- To naprawdę cudowny wieczór. Dziękuję. - Chciała się odsunąć, ale przyciągnął ją z powrotem do siebie i położył dłonie na jej ramionach.

- Od lat nie spotkałem kogoś takiego.

- Ach tak? - przekomarzała się. - A kim była tamta sprzed lat?

- Przestań, wiesz, o co mi chodzi. Po trzydziestce rzadko spotyka się kogoś, kto pociąga cię coraz bardziej, mimo że zrobił już na tobie wielkie wrażenie przy pierwszym spotkaniu.

Rozumiała go. Zwykle ludzie, którzy, podobali jej się na pierwszy rzut oka, tracili przy bliższym poznaniu. Tymczasem Sky spodobał jej się od pierwszej chwili, a teraz wręcz trudno było się mu oprzeć.

Jakby odgadując jej myśli, nachylił się do jej ust i pocałował je delikatnie. Delikatnie, lecz namiętnie.

Objął ją, przytulił mocno, nie przerywając pocałunku, potem zaś oderwał się od niej na chwilę, chwytając oddech i zaglądając głęboko w oczy. Wyczytał w nich chyba przyzwolenie, albowiem znów przywarł do jej ust, przyciskając ją do siebie mocniej i lekko rozchylając wargi językiem.

Czekał. Mary Liz zareagowała natychmiast. Westchnęła i złączyli się zaraz ze sobą w najbardziej intymnym pocałunku. Ścisnął ją jeszcze mocniej, a wtedy poczuła jego podniecenie.

Zwolnij, zwolnij, powtarzała w myślach, czując w sobie bolesne, narastające pragnienie. Prawie już zapomniała, jak to jest, jak smakuje miłość, namiętność, pożądanie. A tutaj dwa dni, dwa pocałunki - i jej ciało domaga się spełnienia!

Sky oderwał powoli wargi od jej ust i szepnął:

- Zaczekajmy. Nie chciałbym wszystkiego zniszczyć, Mary Liz.

Cofnął się, by popatrzeć na jej twarz. Mary Liz uśmiechnęła się i otarła mu wargi brzegiem swojej koszulki, zdając sobie sprawę, że wystawia w ten sposób na jego widok bujne piersi w koronkowym staniku. Zobaczył. Znowu zajrzał w jej oczy autentycznie zrozpaczonym spojrzeniem.

- Nie wolno nam się śpieszyć - pokręcił głową - rozumiesz to, prawda? Pragnę cię teraz bardziej niż kiedykolwiek w życiu pragnąłem jakiegokolwiek kobiety, ale... nie wolno się śpieszyć.

- Wyjaśnij mi to - poprosiła, przelękając z trudem ślinę.

- Musimy się poznać. Nie chcę, żeby było inaczej. Jeśli kiedykolwiek... Jeśli zdarzy się jeszcze kiedyś, że będziemy się czuli tak jak teraz, to chciałbym, żeby łączyło się to z prawdziwym uczuciem. Samo pożądanie to za mało. Przynajmniej z tobą.

- Dziękuję-powiedziała z uśmiechem.

- Jesteś innego zdania?

- Zwariowałaś? Mi też trudno się oprzeć. - Westchnęła. - Ale masz rację. Musimy. Ja też pragnę cię poznać, Sky. I to poznać naprawdę - nie takiego, jakim chcesz się wydawać. Chcę poznać twoje wady, wszystko...

- Wady? Ja nie mam żadnych wad.

- Ja też nie - roześmiała się, ściskając go serdecznie. Zmyli naczynia, ustawili je w szafkach, a na zakończenie

wieczoru postanowili wybrać się na spacer wzdłuż plaży. Zrobiło się znacznie chłodniej, wiał lekki wietrzyk i Mary Liz okryła się ręcznikiem kąpielowym. Sky objął ją ramieniem i szli tak w milczeniu przez kilka minut. Ogarnął ją znowu romantyczny nastrój, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, Sky powiedział:

- Chciałbym, żebyś trzymała się z daleka od Herberta Gliddena.

- Co takiego? - ocknęła się z sennego rozmarzenia.

- Trzymaj się jak najdalej od Gliddena. Ściąga na ludzi kłopoty. - Spojrzał na nią. - I najwyraźniej darzy cię sympatią.

- Och, to nie to, Tu chodzi o interesy. On chce, żebyś wykonała dla niego pewną pracę tego lata. - Poczowała, że ciało Sky'a napięło się na te słowa. - Nie mam zamiaru się zgodzić - wyjaśniła spieszenie - ale tata nauczył mnie nie odrzucać pochopnie żadnych propozycji. Powinnam przynajmniej wysłuchać, co ma mi do powiedzenia, nie sądzisz?

Przystanął i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Mary liz, posłuchaj mojej rady - nie rozmawiaj z nim, nie słuchaj go, nie miej z nim nic wspólnego.

- Dlaczego? Co o nim wiesz?

- Nic. - Odwrócił się i wpatrzył w ocean, wkładając ręce do kieszeni spodni.

Obeszła go dookoła i stanęła przed nim.

- Sky? Powiedz mi, co wiesz o Gliddenie.

- Wiem tylko, że nie jest dobrym człowiekiem.

Nie widziała go zbyt wyraźnie w ciemności, ale potrafiła wyczytać z mowy ciała, że jest zdenerwowany. Skoro sam się denerwuje, to powinien zrozumieć, jak musi czuć się ona! Znał ją zaledwie od dwóch dni, pocałował ją dwa razy, a zabraniał jej kontaktów z innymi ludźmi!

Hm, to być może wyjaśniało jedną rzecz - dlaczego nie jest dotąd żonaty. Skoro teraz uzurpuje sobie prawo do decydowania o jej posunięciach, to co będzie za kilka miesięcy, nie mówiąc o roku?

- Jest bardzo bogaty - Sky przerwał jej rozmyślenia. - I wpływowy. Bardzo wpływowy - powtórzył.

- Czy ty naprawdę uważasz - rzekła, czując, jak narasta w niej gniew - że ktoś w rodzaju Herberta Gliddena może

mną sterować, ponieważ ma pieniądze i władzę? Posłuchaj, Schylerze, ja też mam sporo pieniędzy i wiele koneksji. Twoje insynuacje, że Glidden może zrobić dla mnie cokolwiek, czego nie potrafię osiągnąć sama, są nie tylko obraźliwe, ale wręcz idiotyczne. Nie potrzebuję ani jego, ani żadnego faceta jego pokroju, rozumiesz? Dlatego właśnie rzuciłam pracę. Miałam dość takich układów.

- Czemu więc w ogóle z nim rozmawiasz?

Stała, czując, jak piasek chłodzi jej stopy. Czy powinna mu zdradzić, po co tu przyjechała?

- Ponieważ od niego mogę dowiedzieć się czegoś, co przyda się cioci Nancy w sądzie.

- Nie widuj się z nim.

- Sky!

- Posłuchaj, wiem, że nie mam prawa...

- Z pewnością nie masz. Wobec tego wyjaśnijmy sobie wszystko! Co wiesz o Gliddenie? I skąd masz te informacje?

- Słyszałem to i owo - rzekł po chwili milczenia. - Od Bucka i paru facetów w klubie.

- Co ta Triągo słyszałeś?

- Że wciąga ludzi w bagno, z którego nie mogą później wybrnąć.

- Na przykład?

- Interesy. I nie mów mi, że jestem staroświecki. Po prostu uważam, że nie można dotknąć gówna i się nie pobrudzić.

- Od kogo się tego nauczyłeś? Od królowej Wiktorii?

- Mówię poważnie, Mary Liz - powiedział, biorąc ją za rękę. - Glidden może być bardzo niebezpieczny i dlatego właśnie cię proszę, żebyś trzymała się od niego jak najdalej.

Westchnęła. Co przepowiedział jej wróż w Chicago? Niebezpieczeństwo?

9

W ciągu kolejnego tygodnia zdarzyło się bardzo wiele.

Specjalista od alarmów spędził całe poniedziałkowe popołudnie na instalowaniu elektronicznego systemu przeciw-włamaniowego, składającego się z wielu czujników, z których każdy mógł być włączany lub wyłączany indywidualnie. Alarm miał bezpośrednie połączenie z policją i - jak zapewnił instalator - nie można go było wyłączyć inaczej, jak tylko poprzez wprowadzenie właściwego kodu. Dla większego bezpieczeństwa archiwów Mary Liz poprosiła Jake'a o przeniesienie kilku pudeł do skarbcza w Wielkim Domu - odrębnego pokoju w suterenie, gdzie Alfred trzymał niektóre ze swoich cennych zbiorów. Pokój miał solidne stalowe drzwi i ściany grubości trzydziestu centymetrów. Pudeła tu przeniesione zawierały zaś dokumenty z gabinetu Alfreda w „Howland Films”; dokumenty, których zniknięcia - Mary Liz była tego pewna - pragnęli i Julius, i Glidden, i prawnicy z „Braxer & Braxer”. W poniedziałek wieczorem skorzystała z internetu, żeby zebrać więcej informacji na temat niektórych mieszkańców East Hampton, budzących jej szczególne zainteresowanie. Efektem był dość ciekawy przekrój.

Herbert Glidden - finansista, przemysł filmowy.

Julius Hoffman - prezes studia filmowego.

Henry MacClendon - architekt

Charles Kahn - dyrektor naczelny „Rachelle Zaratan Ctotliing”.

Sinclair „Buck” Buckley - prezes „East End Country Club”.

Z wyjątkiem Juliusa, wszyscy mężczyźni byli mniej więcej w tym samym wieku - około sześćdziesiątki - jednakże oprócz tego, że sezonowo zamieszkiwali w East Hampton, nie mieli ze sobą nic wspólnego. Nie byli kolegami szkolnymi, nie pochodzili z tego samego miasta, nie prowadzili wspólnych interesów.

Jedynym ogniwem wiążącym ich wszystkich był Alfred Hoffman.

A właściwie - zmarły Alfred Hoffman.

We wtorek padało przez cały dzień i Mary Liz odwaliła kolejny kawał roboty przy inwentaryzacji majątku. Zaczęła pracę o ósmej, a skończyła ją po dziesiątej wieczorem.

Za to w środę wybrała się z Sashą na obserwację wielorybów. Ochroniarz Sashy, Riff, zawiózł je do portu w Montauk, dzięki czemu Mary Liz mogła lepiej poznać okolicę. Gdy minęli Amagansett, droga zaczęła się wznosić i biegła wysoko ponad poziomem oceanu, co zaskoczyło Mary Liz, albowiem takie widoki kojarzyły jej się raczej z Big Sur w Kalifornii niż z East Hampton na Long Island. Droga stawała się coraz bardziej kręta, wzdłuż niej rosły ciemnozielone sosny, po prawej stronie skaliste urwiska opadały do Atlantyku, jednakże gdy dotarli do Montauk, szosa z powrotem zrównała się z poziomem oceanu.

Mary Liz przypuszczała, że wybiorą się na jedną ze zorganizowanych wycieczek, lecz Sasha wynajęte duży jacht i własnego przewodnika.

Wycieczka okazała się wspaniałym widowiskiem. Wieloryby igrały radośnie we wzburzonych wodach oceanu, roz-

bryzgując wokół siebie wodę i tworząc potężne fale. Niestety, z powodu tych ostatnich Saszę ominęła większa część niezwykłego spektaklu, bowiem nie dała sobie przykleić plastra przeciw chorobie morskiej, który proponowali jej Mary Liz, Riff oraz kapitan, i cierpiała straszliwie, gdy jachtem zaczęło rzucać i kołysać.

Ostatecznie spędziła całą niemal podróż pod pokładem, walcząc z mdłościami i zawrotami głowy. Dopiero w ostatniej chwili dała się namówić na plastry (choć wcześniej uznała je za produkt nienaturalny i nie chciała słyszeć o ich nieszkodliwym działaniu), dzięki czemu mogła wyjść na pokład i zobaczyć jeszcze, jak wieloryby znikają w głębinach oceanu.

Jednak gwoździem programu i tak była pieśń, którą Sasha odśpiewała wielorybom na pożegnanie. Głos miała naprawdę piękny, poruszający w sercu czułe struny, toteż Mary Liz szybko poczuła łzy pod powiekami. Nic dziwnego, że ta kobieta jest supergwiazdą, myślała, wsłuchując się w niesione wiatrem słowa.

Jeszcze tego samego dnia, po powrocie do swojego domku, Mary Liz zaczęła szukać informacji na temat Claude'a Lemieux, by dodać go do listy osób, którą zaczęła układać w poniedziałek. Może i jego łączą jakieś tajemnicze więzy z Herbertem Gliddenem, myślała, wspominając rozmowę z Sashą, którą odbyła w drodze powrotnej do East Hampton.

Otóż Sasha napomknęła, iż Claude zadzwonił do niej po niedzielnym przyjęciu i przeprosił za wszelkie przykrości, jakich doznała ze strony jego czasopisma w przeszłości.

- To miłe - powiedziała Mary Liz. - Dzięki temu widzę Cindy Claydon w nieco lepszym świetle.

Musiała z nim rozmawiać po niedzielnym koktajlu.

- Nie - zaprzeczyła Sasha. - Ta Cindy Claydon to

wiedźma, nie licz na jej dobre serce. Po prostu tak się wkurzyłam, że powiedziałam Herbowi, iż nie życzę sobie więcej żadnych kontaktów z „Je Ne Sais Quoi”. Ani teraz, ani przy okazji kręcenia następnego filmu. Nie ma mowy o żadnych reklamach, zaproszeniach na premierę, wywiadach... Herb oczywiście to zbagatelizował. Pewnie sobie pomyślał: „Och, nasza gwiazda jest w jednym ze swoich humorków, a skoro nie ma Alfreda, który by ją ułagodził - sam muszę temu zaradzić”. Wiesz, co oni myślą. Wszystko co złe, to wina talentu. Słynni artyści są kapryśni, lecz nie warto się tym przejmować.

- I podejrzewasz, że Herb zadzwonił do Lemieuxa, żeby ten spróbował cię ułagodzić? - spytała Mary Liz.

- Jasne, że to zrobił - i to nie po raz pierwszy. G faceci mają ze sobą jakieś konszachty.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem, ale jestem pewna, że tak jest. Zawsze łatwo poznać, kiedy ludzie prowadzą ze sobą interesy. Mają na twarzach zawsze ten sam mdły uśmiezek, gdy spotykają się na gruncie towarzyskim.

Wieczorem, po zebraniu pracowników klubu, wpadł do niej Sky. Przygotowali sobie porcję lodów i zasiedli z nimi przed telewizorem. Trochę się całowali, przytuleni do siebie na kanapie, a patrząc na nich, można by wysnuć wniosek, że znają się od dawna.

W czwartek Mary Liz znów przepracowała cały dzień od ósmej do ósmej. Wpadła na sporo tropów, które chciała przekazać do zbadania zespołowi Billa Pfeiffera, a które mogły doprowadzić do ukrytych aktywów, znanych firmie „Braxer & Braxer”, lecz zapewne nie znanych ciotce Nancy.

W piątek wypadła czwarty lipca, więc na wolny dzień

przyjechała do East Hampton Nancy z Bertiem i Wendy. Tym razem Bertie i Wendy zdawali się unikać Mary Liz. Chyba nie boją się wciąż z powodu incydentu z alarmem, myślała. W końcu od tamtej sprawy minęło kilka dni. Ostatecznie zaprosili ją jednak wraz ze Sky'em na przejażdżkę łódką Bertiego do miasta, gdzie mieli wspólnie obejrzeć pokaz ogni sztucznych.

Dołączył do nich Jake i w takim towarzystwie wypłynęli na ocean. Wieczór był bardzo miły i spokojny. Jacht Bertiego miał niewielką kajutę, gdzie usiedli, popijając piwo. Mary Liz i Sky cieszyli się wzajemną bliskością, nie demonstrowali jej jednak zbyt natrętnie - wystarczało im muśnięcie dłoni od czasu do czasu, przeciągłe spojrzenie, ukradkowy uśmiech, kilka słów wyszeptanych do ucha.

Jakby w kontraście dla tych wszystkich gestów, Mary Liz dziwiło to, że nie zauważyła żadnych oznak zażyłości między Bertiem i Wendy. Właściwie przez cały czas Bertie rozmawiał z Jake'em, podczas gdy Wendy niezręcznie próbowała podtrzymać rozmowę z Mary Liz i Sky'em. Może się pokłócili? - Co dokładnie tutaj robisz, Mary Liz? - spytała Wendy. - Bertie twierdzi, że pomagasz w czymś pani Hoffman.

- Tak. W kilku sprawach finansowych - odrzekła, dokładając starań, żeby zabrzmiało to obojętnie. - Mam dla niej parę rad odnośnie zarządzania sprawami majątkowymi.

Sky zainteresował się wyraźnie jej oświadczeniem. Cóż, skoro taki wredny facet jak Glidden wie, czym się ona zajmuje, czemu nie miałby o tym wiedzieć Sky? A niech sobie wie. Najważniejsze, że istotne dla sprawy dokumenty spoczywają bezpiecznie w Wielkim Domu i tylko ona ma komplet kluczy do skarbcza.

- Słyszałam, że przeprowadzasz inwentaryzację spuścizny po Alfredzie Hoffmanie - powiedziała Wendy.

- Od kogo?

- Od Jeanine. Grałyśmy dziś rano w tenisa.

Jeanine? Skąd, u diabła, o tym wiedziała? Od Juliusa? A on? Czyżby od Głiddena?

Mary Liz coraz poważniej podejrzewała, że roszczenia Herba Głiddena są powiązane z roszczeniami Juliusa. Musieli zawrzeć układ przeciwko Nancy.

- Ujmijmy to w ten sposób - odezwała się. - Uczynię wszystko, żeby pomóc mojej ciotce zachować majątek męża, tak jak zresztą on sam sobie tego życzył. Mój ojciec jest adwokatem i też pewnie w tym pomoże.

- Wiem. - Wendy obrzuciła ją dziwnym spojrzeniem. - A co z nim? - Wskazała gestem głowy Sky'a.

- Słucham? - zdziwił się Preston.

- Skąd wiesz - sprecyzowała Wendy - po czyjej jest stronie? Może pracować dla każdego z nich.

- Niby dla kogo? Kim są ci „oni”? - spytał Sky.

- Właśnie. "Kim są ci „oni"? - zawtórowała Mary Liz.

- Tymi, którzy są niezadowoleni z podziału majątku - wyjaśniła słodkim tonem Wendy.

Sky i Mary Liz wymienili spojrzenia.

- A czy ty jesteś niezadowolona? - spytała Mary Liz.

- Ja? A niby dlaczego?

- Na przykład dlatego, że być może zostaniesz młodszą panią Hoffman.

Wendy chciała odpowiedzieć, nie zdążyła jednak tego uczynić, bowiem w tym samym momencie dobiegły ich odgłosy szamotaniny, a zaraz potem Jake zepchnął Bertiego do wody. Gdy ten wynurzył się na powierzchnię, zaklął jak

szewc, za to Jake wzruszył tylko ramionami i powiedział rzeczowym tonem:

- Bertie wypił parę drinków i wydaje mu się, że potrafi sterować łodzią.

Gdy trochę po północy wrócili do przystani, Mary Liz wymówiła się od wspólnego powrotu do domu i wybrała się ze Sky'em na kieliszek wina przed snem.

- Czy nie wydało ci się dziwne, że zwykły pracownik wyrzuca za burtę dziedzica ogromnego majątku?

- spytał Sky.

- O to samo chciałam zapytać. Wygląda na to, że między Bertiem a Jake'em dzieje się więcej niż między Bertiem a Wendy, nie sądzisz?

- Czy ja wiem? Słyszałem wprawdzie parę razy, że Bertie jest gejem - rzekł Sky, gdy wchodzili do miejscowego klubu

o nazwie „Riffz” - ale to w końcu nic tutaj nie znaczy. Najwyżej przyśpieszy małżeństwo.

- A ty ?, Naprawdę sądzisz, że Bertie jest gejem? Bo ja nie byłabym tego pewna. - Roześmiała się. - Chciałam cię spytać, czy twoim zdaniem Wendy o tym wie, ale myślę, że akurat ona jest dość spostrzegawcza.

- Tak. Wie to, co chce wiedzieć - zgodził się Sky. -

i przypuszczam, że pewnego dnia to ona zostanie panią tej posiadłości

Weszli do środka, zamówili drinka, trochę potańczyli, potem znów coś wypili. Ostatni taniec był powolny, namiętny, cudowny. Gdy Sky odprowadził ją wreszcie do domu, całowali się długo na progu, nie mogąc się rozstać.

Kolejny weekend stanowił kombinację pracy i rozrywki. W sobotę rano Jeanine Hoffman zjawiała się przed jej drzwiami z prośbą, by zagrała z nią w tenisa, a Mary Liz posłusznie włożyła białe szorty oraz białą koszulkę i wyszła na dwór.

- Naprawdę cieszę się, że do mnie wpadłaś.
 - Dzieciaki zostały u Nancy - wyjaśniła Jeanine, gdy szły przez trawnik w stronę kortu. - Jest dla nich prawdziwą babcią. Mary Liz starała się zapomnieć o tym, że ta piękna mama i żona była kiedyś - jeśli wierzyć Sashy - kochanką Herberta Gliddena.
 - Chciałam cię spytać, Jeanine - powiedziała w końcu
 - co twoim zdaniem robię tutaj tego lata?
- Jeanine nie wydawała się zdziwiona jej pytaniem.
- Próbujesz przeprowadzić inwentaryzację majątku Alfreda na podstawie jego dokumentów finansowych.
 - A mogę wiedzieć, skąd ci to przyszło do głowy?
 - Skąd mi to przyszło do głowy? - powtórzyła Jeanine.
 - Po prostu Julius mi powiedział. Domyślałam się, że musiał dowiedzieć się o tym od Nancy. On i wiele innych osób. To żadna tajemnica, całe miasto o tym wie.
- Całe miasto? Wspaniale.
- Uważamy zresztą, że doskonale się do tego nadajesz
 - dodała Jeanine, gdy szły ścieżką okoloną jodłami. - Słyszałam tylko, że Nancy nie płaci ci za to ani grosza. - Och, płaci mi bardzo dobrze - odrzekła Mary Liz w nadziei, że zapoczątkuje w ten sposób żywot nowej plotki. Nie chciała tłumaczyć, że jej wynagrodzeniem będą datki na cele dobroczynne.
- Szły przez chwilę w milczeniu, po czym Mary Liz spytała:
- Powiedz, czemu Juliusowi tak bardzo zależy na tej wytwórni?
- Jeanine westchnęła, zwalniając kroku. Spojrzała na Mary Liz, która myślała właśnie o tym, że brylanty w uszach żony Juliusa muszą być warte dwadzieścia pięć, a może i trzydzieści tysięcy dolarów. Boże, a ona gra w nich w tenisa!

143

- Ponieważ to całe jego życie - odparła wreszcie Jeanine. - Jest straszliwie urażony i załamany tym, że Alfred nie zostawił mu zarządzania firmą. Bardzo tego pragnął. I teraz musi przejąć „Howland”.

Potrzebuje tego, żeby zachować twarz, żeby udowodnić, że Alfred się mylił. A zaręczam cię, że on potrafi uczynić z „Howland Films” jeszcze większą, lepszą i bardziej niezależną wytwórnię niż ojciec. I uczyni. To nie jego wina, że poróżnili się z Alfredem i że firma przypadła Nancy.

Na tym rozmowa się skończyła. Mary Liz wybrała sobie odpowiednią raketę, a potem starała się, jak mogła, by celnie odbijać piłki posyłane w jej kierunku przez Jeanine.

Rety, ależ ona była dobra!

Podczas gdy one grały, Nancy przyprowadziła dzieci Jeanine i Juliusa - Kitty oraz Luke'a. Kitty miała dziewięć lat, a Luke siedem. Chłopiec był drobnym blondaskiem, szalenie podobnym do matki, natomiast biedna Kitty niefortunnie odziedziczyła po ojcu kilka cech - toporną sylwetkę, mięsiste policzki i spadziste ramiona. Była jednak przemiłym dzieckiem i Mary Liz uznała, że osobowość dziewczynki rekompensuje niedostatki jej wyglądu.

Dzieci były podekscytowane, albowiem w przyszłym tygodniu jechały razem na wakacyjny obóz.

Mary Liz dziwiła nieco ta decyzja. Komu chciałoby się jechać na obóz, gdy ma się do dyspozycji East Hampton? Może jednak dzieciakom spowszedniały już luksusy eleganckiego kurortu.

Po meczu zjadła lekki lunch, a potem przepracowała całe popołudnie. Wieczorem spotkała się ze Sky'em w klubie na nieoficjalnej kolacji z Buckleyami. Buck wydał jej się znacznie znośniejszy niż ostatnio (pewnie dlatego, że nie pił), Vanessa natomiast była jakby czymś rozdrażniona. Ponieważ już trochę ją znała, a poza tym pamiętała swoje spostrzeżenia

odnośnie dziwnego zachowania tej pięknej kobiety, uznała, że Vanessa musi przechodzić jakąś uciążliwą kurację, podczas której nie należy pić alkoholu.

Po kolacji zagraли ze Sky 'em w kręgle. Podczas trzech gier Mary Liz zebrała sto piętnaście punktów, a Sky dwieście pięć

- mimo że grywał raczej rzadko. Musiał być kiedyś, jak podejrzewał Bertie, utalentowanym sportowcem.

Do domu wrócili tym razem autem Mary Liz - LeBaro-nem z opuszczonym dachem. Gdy zaś późnym wieczorem Sky postanowił wrócić do siebie, podrzuciła go z powrotem do Buckleyów, do jego samotnej kwatery nad garażem.

„Biedny Sky!” - to były pierwsze słowa, które jej się nasunęły, gdy weszła po jego zaproszeniu na górę, by zobaczyć, jak się urządził. Od czasu śmierci ojca Vanessy w 1985 roku, kiedy to rodzina przestała zatrudniać szofera, który zajmował tę dziuplę, nikt w niej z pewnością nie mieszkał.

Mieszkanko było wprawdzie bardzo czyste i Sky bez wątpienia o to dbał, ale w podłodze brakowało tu i ówdzie kilku desek, zaś przez szpary między tymi, które się ostały, widać było samochody.

Żeby to zamaskować, Sky pozatykał szpary listewkami i nakrył podłogę dywanikami. Dwie ściany zrobione były ze zwykłej sklejki, dwie pozostałe stanowiły część drewnianej konstrukcji garażu. W maleńkim pomieszczeniu znajdowała się toaleta z płytką grzejną i umywalką w kącie; Sky musiał brać prysznic na zewnątrz, w kabinie na tyłach domu.

Skromny pokój wyposażony był jeszcze w łóżko, fotel, mały stolik i zniszczoną komodę. Łóżko było najpiękniejsze

- duże, szerokie, miękkie, nakryte piękną bawełnianą narzutą. Nie zdziwiła się specjalnie, gdy Sky powiedział, iż narzuta, pościel oraz poduszki są jego własnością.

Na ścianie wisiał kalendarz, na komodzie stało grupowe

145

zdjęcie rodziny Sky'a, na łóżku leżała sterta książek. Jedyne oświetlenie stanowiła żarówka zwisająca na kablu z sufitu.

- Naprawdę się wysilili! - odezwała się Mary Liz.

- Tak - roześmiał się cicho Sky, po czym podszedł i wziął ją w ramiona. - Mój dom wygląda trochę inaczej.

- Domyślam się - wyszeptała i podała mu usta do pocałunku.

- Mam domek w Wirginii. - Pocałował ją lekko. - Trzy sypialnie, dość podobny do tego, w którym mieszkasz. Należał kiedyś do nadzorca plantacji. Kupiłem go. - Znów ją pocałował. - Mam niewielki dług hipoteczny. - Jeszcze jeden pocałunek -1 dwa akry.

Coraz trudniej było jej opanować chęć uwiedzenia Sky'a. Tym razem udało jej się go skusić, by położył się obok niej na łóżku, po chwili jednak wstał, udając, że musi skorzystać z łazienki. Mary Liz wiedziała dobrze, że to tylko pretekst

Boże, co się z nią dzieje? On chciał zachować się jak dżentelmen, dbał o to, żeby pozostała damą, a ona? To do niej kompletnie niepodobne.

Uniosła się nieco, żeby zobaczyć, co ją tak uwiera, i gdy wsunęła dłoń pod materac, natknęła się na... Pistolet! Duży, czarny, z matowego metalu.

W tej samej chwili wrócił Sky. Zobaczył, że przygląda się broni, po czym opuścił z powrotem materac i poprawił narzutę.

- Po co ci to? - spytała. Nienawidziła wszelkiej broni.

- Mam pozwolenie.

- Na co? Na strzelanie do uczniów w szkole?

- Przywiozłem broń, ponieważ prosili mnie o to Buck-leyowie. Prawdę mówiąc, pracuję tutaj również w charakterze ochroniarza i nocnego stróża. Jeden z byłych mężów Vanessy groził jej ostatnio.

146

- Jesteś nauczycielem, partnerem do golfa i ochroniarzem w jednej osobie?
- I jeszcze początkującym graczem w kręgle - uzupełnił jej listę z uśmiechem.
- Pocałowała go, bo był zbyt blisko, by mogła się oprzeć.
- Nie każ mi więcej przebywać w tym pokoju razem z twoim pistoletem, dobrze?
- Dobrze - odpowiedział, choć był chyba zdziwiony tą prośbą.

W niedzielę Mary Liz pojechała z Nancy na mszę do historycznego prezbiteriańskiego kościoła, zaś po powrocie do domu pracowała dwie godziny nad dokumentami Hoffmana. O drugiej Sky zabrał ją na wycieczkę żaglówką z pewnym bogatym facetem z klubu, podczas której jej uczucia oscylowały przez cały czas między absolutnym zachwytem a straszliwym przerażeniem.

Gdy wreszcie Sky odstawił ją do domu, opaloną i szczęśliwą, że jednak dotarła do brzegu i żyje, opadli bez sił na kanapę, zbyt wyczerpani, by robić cokolwiek. Przespali się godzinę, a powbudzeniu zaczęli się całować. I znów, tak jak zwykle, Sky przerwał w pewnym momencie pieszczoty i pojechał do domu.

Cóż, mimo to życie w East Hampton potrafi być całkiem przyjemne, pomyślała.

10

Mary Liz wstała z łóżka i po dwudziestu minutach gimnastyki w rytm piosenek Donny Summer, wzięła prysznic, nałożyła grubą warstwę emulsji na spieczoną od słońca skórę, po czym ubrała się w swoje ulubione workowate szorty i bawełnianą koszulkę. Zaparzyła w dzbanku kawę, przygotowała sobie miseczkę mleka z płatkami kukurydzianami i zasiadła do pracy w swoim gabinecie.

Pracowała przez trzy godziny. Zanotowała, że powinna sprawdzić nazwiska wymienione w rubryce „Różne wydatki europejskie”, które pojawiły się w prywatnych dokumentach Alfreda (wydatki niemałe, bo do wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie), po czym postanowiła rozpocząć badanie dokumentów „Howland Films”.

Jak się okazało, pozycja „Różne wydatki europejskie” stanowiła doskonały trop. Zwykle wszelkie tego rodzaju koszty były wyszczególniane, by można je było później częściowo odliczyć od podatku. W tym jednak przypadku tak nie było. Alfred wyraźnie nie chciał, żeby miała do nich wgląd izba skarbowa czy ktokolwiek inny.

Hm, to mogła być wskazówka, że coś jest nie w porządku. Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów mogło pokrywać wydatki na ubrania, podróże rodzinne. Czemu jednak nie zostały one wyszczególnione, tak jak w poprzednich latach? Czyżby

chodziło o pieniądze przeznaczone na jakąś kochankę? A może wypłacone szantażyście?

Mary Liz natychmiast zadzwoniła do Wielkiego Domu, żeby dowiedzieć się, czy może dzisiaj popracować w skarbcu. Chciała sprawdzić coś w najpilniej strzeżonych dokumentach.

Telefon odebrała niezwykle podniecona Nancy.

- Och, tak, tak, oczywiście, że możesz, korzystaj z czego tylko chcesz - dziś przyjeżdża Ashley!

- To świetnie - podziękowała grzecznie Mary Liz, nie mając pojęcia, kim jest rzeczona Ashley.

- Właśnie jadę odebrać ją z lotniska! Claire będzie mi towarzyszyć! Proszę cię, Mary Liz, gdybyś czegoś potrzebowała, poproś Delores. Bertie i Wendy gdzieś się wypuścili i ich nie ma.

Wkrótce potem Mary Liz zobaczyła srebrnego jaguara ciotki, który śmignął podjazdem w stronę szosy. Wzięła dużą płócienną torbę, włożyła do niej swój laptop, kilka dyskietek, notatnik, pióra i ołówki, jabłko, plastikową butelkę wody oraz pęk kluczy, po czym zamknęła drzwi i uginając się pod ciężarem torby, ruszyła w stronę rezydencji.

Weszła do środka przez drzwi kuchenne. Wewnątrz zastała Randolpha Yandergildena, który rozmawiał przez telefon i któremu przyglądała się sceptycznie Delores.

- Cholera jasna, Bertho, daj mi spokój! - wołał do słuchawki. - Gdybym chciał rozmawiać z tym dupkiem, sam bym to zrobił. Jak chcesz, to namów Nancy, żeby z nim porozmawiała. Powiem krótko

- warknął (jak wielu alkoholików, czuł się zapewne strasznie nieszczęśliwy i zirytowany, gdy był trzeźwy) - albo Nancy zawrze z Gliddenem umowę, albo nici z opery. - Odłożył z trzaskiem słuchawkę.

- Głupia, przemądrzała dziwka! Boże, ten facet naprawdę jest koszmarny. O, Mary Liz? - dostrzegł ją. - Witaj, dziecino. Herb Glidden to beznadziejny palant i nie mam ochoty się z nim

zadawać - wyjaśnił. - Waśnie rozmawiałem z sekretarką Nancy w Nowym Jorku. Złe wieści. Ten facet szarogęsi się, jak gdyby winnica należała do niego. Nie mam zamiaru dłużej tego znosić.

- A dlaczego w ogóle masz to znosić? Vandergilden zawahał się, zaskoczony. Potem uspokoił się nagle i wyjaśnił z uśmiechem:

- Wystawiamy „Aide”, przygotowujemy dekoracje i wszystkie szczegóły... - Odwrócił się do Delores.
- Dzięki ci, złotko - powiedział, wciskając jej jakieś monety do ręki. - I powiedz Nancy, że tu byłem, dobrze?
- Jestem pewna, że Bertha jej powie. Do zobaczenia - rzekła Mary Liz, kierując się w stronę schodów do sutereny.

Zanotowała w pamięci, żeby sprawdzić również Randolpha Vandergildena. Czemu uzgodnienie spraw związanych z wystawieniem opery stanowiło aż tak duży problem?

Sutereňa Wielkiego Domu była przerażająca. Wiktoriańska konstrukcja z kamienia, spojonego zaprawą murarską ze wspornikami, składała się z ciągu pomieszczeń. W pierwszym znajdowała się ogromna terma i piec, w drugim tablica z wyłącznikami elektrycznymi, w następnym warsztat z wielkimi zlewami (dawniej musiała się tu mieścić pralnia), a za nim, za stalowymi drzwiami - skarbiec. W prowadzących do niego drzwiach zamontowane były dwa solidne zamki.

Skarbiec był w istocie dużym pomieszczeniem bez okien. Jego ściany obite były beżową tkaniną, która - jak wyjaśniła jej Nancy - miała szczególne właściwości, chroniące przed zniszczeniem papier oraz błonę filmową.

Środek pokoju zajmował ogromny drewniany stół, natomiast w całą lewą ścianę wbudowane były schowki ze stalowymi drzwiczkami, wszystkie zamknięte na klucz. Pod drugą ścianą leżał stos pudeł z dokumentami przywiezionymi z „Howland Films”. Po prawej stronie stały puste metalowe szafki kartotekowe, w szufladach tkwiły klucze. Wentylacja była dobra, powietrze chłodne i suche. Mary Liz żałowała, że nie wzięła ze sobą swetra.

Rozłożyła przyniesione rzeczy na stole, po czym zaczęła kolejno otwierać schowki w ścianie, żeby sprawdzić, co w sobie mieszczą. Zgodnie ze słowami Nancy, zawierały klasery z kolekcją znaczków jej męża, albumy z jego zbiorami starych pocztówek, dawne plakaty teatralne, metalowe pudełka ze szpulami taśm - kopii pierwszych filmów Alfreda (oryginały znajdowały się w archiwum w Los Angeles).

W dokumentach znalazła wycenę jego zbiorów: znaczki - osiemset sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, pocztówki - czterdzieści sześć tysięcy, plakaty teatralne - dwieście siedemdziesiąt dziewięć. Do jednych drzwiczek nie pasował żaden klucz. Będzie musiała zapytać o to Nancy.

Wreszcie zabrała się do przeglądania dokumentów związanych z działalnością wytwórni „Howland Films”. Nie spotkało jej rozczarowanie - było tu znacznie więcej ciekawych informacji, niż w suchych dokumentach finansowych Alfreda.

Nagle w pomieszczeniu rozległ się dzwonek domofonu. - To ja, Delores - odezwała się gospoia. - Przyniosłam jedzenie.

Mary Liz otworzyła drzwi, a wówczas Delores wręczyła jej tacę z lunchem. Znajdował się na niej talerz z sałatką i pieczonym kurczakiem, krakersy, butelka Poland Spring Water, szklanka z lodem, sos sałatkowy, sztućce, serwetki,

151

sól oraz pieprz. Mary Liz postawiła tacę na stole i znów pochyliła głowę nad tomami akt.

Po powrocie do domku późnym popołudniem, natychmiast zadzwoniła do Billa Pfeiffera.

- Właśnie w tej chwili faksuję ci pewną ciekawą listę - powiedziała. - Jutro przekażę ci formalne wnioski, ale myślę, że może chciałbyś się z tym przespać.

- Coś nowego?

- Tak, rozmaite rachunki z Europy - sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

- Koszty prowadzenia działalności? Czy wniósł o odliczenie podatku?

- Nie, znalazłam jedynie prywatną notatkę. Wyghjda na to, że corocznie osobiście wydawał we Francji spore kwoty. Jestem ciekawa, czy uda ci się wytropić te pieniądze.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie - powtórzył Bill i gwizdnął cicho. - Nieźle jak na rubrykę „różne”.

- Zwłaszcza że we Francji Alfred zatrzymywał się jedynie w apartamencie „Howland Films” w Paryżu. Służba domowa znajdująca się na liście płac wytwórni nie ma na ten temat nic do powiedzenia. A wydatki były przeróżne - poczynając od jedzenia, na kwiatach i winie skończywszy.

- A co ty o tym sądzisz?

- Nie jestem pewna - odrzekła, rzucając okiem na swoje notatki. - To się zaczęło, gdy kręcił film we Francji. Wydatki wzrosły czterokrotnie po następnym filmie...

- Wszystko wskazuje na to, że miał tam kochanki.

- Albo, Boże broń, dzieci - dodała Mary Liz. - W każdym razie cokolwiek to jest, nie miał ochoty, żeby wyszło na jaw.

- Dobra. Coś jeszcze?

- Przesyłam ci też szczegóły dotyczące ziemi kupionej przez Alfreda w Montanie. Pierwsza działka jest w porządku, ale w przypadku drugiej nie mogę znaleźć żadnych śladów pracy geodety, nie ma nawet jej dokładnych wymiarów. Istnieje również rozbieżność w sferze podatków. Mam nadzieję, że twoi ludzie dojdą, o co tu chodzi. Aha, i jeszcze jedno, Bill. Mam nadzieję, że jeśli przefaksuję ci listę osób i firm, z którymi Alfred prowadził interesy, a które znalazłam w dokumentach „Howland Films”, uda ci się sprawdzić dla mnie wszystkie wpływy i wydatki w ciągu ostatnich dwóch lat. Chciałabym zwłaszcza wiedzieć, czy którekolwiek z tych nazwisk pokrywa się z nazwiskami inwestorów, których Herb Glidden skaptował do ostatnich dwóch filmów oraz tego, który zamierza kręcić jesienią.

- Po co ci to?

- Jestem ciekawa.

W słuchawce zapanowała cisza. Bill odezwał się dopiero po chwili.

- Nie chciałbym ci podpowiadać, co masz robić, Mary Liz, ale przyjechałaś tu po to, żeby zinwentaryzować majątek Alfreda Hoffmana. Rewizji ksiąg rachunkowych „Howland Films” dokonuje ktoś inny.

- No to poproszę o wyniki tej rewizji w zestawieniu z nazwiskami inwestorów filmów - powiedziała Mary Liz.

- POCO?- spytał znowu Bill.

- A czemu chcesz wiedzieć? - spytała lekko zirytowana.

- BojeśTiwylayjeszjakieśuchybieńia,uderzytowgłów-nych spadkobierców, którzy są naszymi klientami, czyli w Nancy i jej rodzinę.

- Kto ci powiedział, że szukam uchybień?

- Nie jestem głupi, Mary Liz. Jeśli Alfred zgromadził jakieś aktywa dzięki podwójnemu fakturowaniu czy czemu-

kolwiek, nie chcę nic wiedzieć na ten temat - i ty też nie powinnaś.

Zapewne miał rację. Lepiej nie poruszać zbyt wielu kamieni. Można znaleźć pod nimi coś niebezpiecznego i oślizgłego. Hollywood cieszył się pod tym względem złą sławą.

Ale przecież musiała się dowiedzieć, dlaczego Gliddenowi tak bardzo zależało na „Howland Films”, skoro nie miał pojęcia o robieniu filmów. Mogła się jedynie domyślać, że pragnie zapewnić sobie wyłączność przy realizacji i finansowaniu kolejnych produkcji. Upewnić się, że wytwórnia będzie korzystała jedynie z jego usług.

Ale czemu akurat „Howland”? Mnóstwo ludzi w Hollywood potrzebowało pieniędzy na potrzeby swoich filmów. Owszem, Alfred Hoffman nakręcił ich sporo i cieszyły się powodzeniem, ale przecież Alfred Hoffman od pół roku już nie żył. Czemu Glidden nie stara się nawiązać współpracy z jakimś innym wypróbowanym producentem?

A może Bill ma rację i jej zainteresowanie Gliddenem ma podłoże osobiste? Tak czy owak, poszuka innej drogi, by dowiedzieć się czegoś o jego kontaktach.

- Masz rację - powiedziała zgodnie - zostawmy to.

Z zewnątrz dobiegły ją jakieś krzyki, potem śmiech, wreszcie kobiecy pisk radości i szczekanie.

Pożegnała się szybko z Billem i wyszła na werandę, przed którą Claire MacClen-don rzucała właśnie piłeczką tenisową, a czarny labrador gonił za nią po trawiastym zboczu wzgórza.

- Przyjechała, przyjechała! - wołała Nancy, wymachując rękami. - Spójrz!

Pies biegł teraz radośnie pod górę. Zamiast jednak oddać piłeczkę Claire lub Nancy, okrążył obie kobiety i puścił się pędem w kierunku stojącej na werandzie Mary Liz.

- Ashley! Ashley! - wołała na próżno Nancy. Suka pę-

działa w stronę domku z żółtą piłeczką w pysku i zabawnie rozwianymi uszami.

- Witaj! - powiedziała Mary Liz, schodząc po schodkach, by się z nią przywitać.

Ashley omal nie wpadła na nią z rozpędu. Zatrzymała się w ostatniej chwili, orząc trawę pazurami, a potem stała zziębiona z wyszczerzonymi radośnie zębami i piłeczką w pysku.

- Witaj, Ashley - powtórzyła Mary Liz i przykucnęła, by pogłaskać lśniącego łeb. Na szyi, pod brodą, suka miała niedużą białą plamkę. Nie była chyba całkiem czystej rasy, za to z pewnością była młoda.

- Wyobraź sobie tylko... myślałam, że jesteś człowiekiem - mówiła do niej cicho, drapiąc ją za uszami. W odpowiedzi Ashley położyła piłkę na trawie, po czym zaczęła lizać z entuzjazmem twarz nowej znajomej.

Nadchodzące właśnie Nancy i Claire wybuchnęły śmiechem.

- Czyż ona nie jest wspaniała? - spytała Nancy. Przyklękła na jedno kolano, objęła czule sukę i pocałowała ją w głowę. - Znaleźliśmy ją z Bertiem w Irlandii, na zachodnim wybrzeżu, w pobliżu Kinvarra. Omal nie potrąciliśmy jej samochodem. Bertiemu udało się zahamować dosłownie w ostatniej chwili. Gonił ją jakiś farmer, nie mogliśmy zrozumieć, co mówi. Schowała się za mnie, ale on i tak chciał ją zastrzelić. Podobno dusiła czyjeś kurczęta.

- Niezły z ciebie numer - Mary Liz popatrzyła w oczy Ashley.

- Biedulka musiała przejść półroczną kwarantannę - dodała Nancy.

Zadzwoił telefon w kuchni, więc Mary Liz przeprosiła obie kobiety i wbiegła po schodkach do domu.

- Słucham?

- Mary Liz Scott? - spytał damski głos.

155

- Tak, przy telefonie.

- Mówi sekretarka Herberta Gliddena z Los Angeles. Dzwonię z polecenia pana Gliddena, który chciałby ustalić termin spotkania z panią.

- Ach, tak?

- Wraca do East Hampton za tydzień, czternastego, w poniedziałek. Czy może pani spotkać się z nim po południu, powiedzmy o trzeciej?

- Gdzie?

- Przypuszczam, że w domu u pana Gliddena. Ma tam biuro. Ustalimy to później.

Omówiły szczegóły - adresy, numery telefonów - i Mary Liz spiesznie odłożyła słuchawkę. Podczas gdy Nancy nadaremnie wołała Ashley, suka drapała w drzwi domku, starając dostać się do środka. Dopiero po chwili Mary Liz przypomniała sobie, jak Sky prosił ją, żeby nie wdawała się w żadne układy z Gliddenem.

A ona umówiła się z nim na oficjalną rozmowę w sprawie pracy.

No cóż, przecież musi jakoś wyciągnąć z niego potrzebne jej informacje.

11

We wtorek Mary Liz odwaliła niezły kawał roboty. Natknęła się na jedną ciekawą informację, o której nie miała do tej pory pojęcia - dokument najwyraźniej przypadkowo zaplątał się w kartotekach „Howland Films”.

Dowiedziała się z niego, że dziesięć lat temu jej matka chrzestna odziedziczyła po śmierci swego ojca niebagatelną sumę sześciu i pół miliona dolarów. Wnioskując zaś z najwcześniejszych zapisów rachunkowych Alfreda oraz dokumentów „Howland”, można było odgadnąć, że prezent ślubny od ojca Nancy, czyli pół miliona dolarów złożonych na bankowym koncie, pozwolił im żyć dostatnio aż do pier-wszegtflużego sukcesu wytwórni. Niewielkie pieniądze, jakie zarabiał Alfred do tej pory, szły przede wszystkim na alimenty dla jego dziecka i pierwszej żony, Ruth, a przecież żyli już wówczas z Nancy na wysokiej stopie.

Po tym odkryciu Mary Liz od razu zadzwoniła do matki.

- Myślałam, że Alfred był już bogaty, gdy ciocia Nancy go poślubiła.

- No cóż - odparła India - chciał przynajmniej zrobić takie wrażenie, przynajmniej na jej rodzinie.

Jednak Nancy wiedziała - i ja również - że nie ma ani grosza. Krótko mówiąc, był spłukany, a Nancy wyszła za niego z czystej miłości. Na szczęście dostała z okazji ślubu trochę pieniędzy, których jej ojciec nie mógł zablokować. Od babci.

- Mówisz o tym prezencie ślubnym? A więc nie dostała tych pieniędzy od ojca?
 - A skąd! Ojciec nawet nie przyszedł na jej ślub! To był prezent od babci, matki ojca, przez co ta gorzka pigułka była dla niego jeszcze trudniejsza do przełknięcia.
 - Ale czemu był taki przeciwny Alfredowi?
 - Och, Mary Liz, pan Bailey był, między innymi, bigotem.
 - Żartujesz!
 - Ależ nie, kochanie. Po prostu wściekł się, gdy jego mała księżniczka przyjechała do domu i oznajmiła, że chce poślubić jakiegoś rozwodnika z Hollywood, w dodatku Żyda. Potem Alfred przyrzekł wprawdzie, że się nawróci, lecz pan Bailey mimo to zachował o nim złe zdanie. I rzeczywiście - zmienił wiarę. Ochrzczył się, wziął z Nancy ślub w kościele, na którym byli wszyscy z wyjątkiem pana Baileya. Ja pełniłam rolę starościny, w szóstym miesiącu ciąży z Brendanem. Możesz sobie wyobrazić, jaką koszmarną miałam suknię.
- Roześmiały się obie.
- Mamo, a znasz Herberta Gliddena?
 - O Boże, tak.-Westchnęła.-Czemu pytasz?
 - Bywa czasem tutaj, w East Hampton. Zawsze jest w centrum uwagi.
 - Wiem. Mówił mi tata.
 - Doprawdy? A co takiego ci powiedział?
 - Nic szczególnego - odparła India, a Mary Liz uśmiechnęła się do siebie. India i Nancy były jednak do siebie bardzo podobne. - Herb to po prostu stary gracz, który zdobył kiedyś trochę pieniędzy dla Alfreda. Gdy Alfred poszedł w górę, on również.
 - Gracz?

- Jasne - potwierdziła India. - Nancy nigdy go nie lubiła. Alfred zresztą też, ale czuł się wobec niego zobowiązany. Potrafię zrozumieć, dlaczego.

- Co rozumiesz przez słowo „zobowiązany”?

- No... czuł, że powinien mu pomagać, Uważał Herba za ciężar, który musi znosić. Nancy natomiast zwykła mawiać, że biedak nie ma praktycznie żadnych przyjaciół, że jest dla żony psychicznym wrakiem i mięczakiem dla syna. Zawsze jak dzieciak płatał się przed ich drzwiami, czekając, aż go wpuszczą, zaproszą do gry.

- Podobno grano tu ostro w pokera.

- Grano. Al uwielbiał karty. Przypuszczam, że ojciec grywał z nim wiele lat temu w czasie częstych podróży do Los Angeles. Jestem jednak pewna, że nie z Herbertem Glidde-nem. Alfred był bardzo wybredny i nie wpuszczał byle kogo do domu.

- Słyszałam jednak, że podczas nieobecności Alfreda Herb rozwalał całą grę.

- Ojej, ja mówię o tym, co było dwadzieścia lat temu, kochanie! a ty o terażniejszości. Kto wie, co się wydarzyło w międzyczasie? Ja z pewnością nie.

Czy Mary Liz się zdawało, czy też rzeczywiście wyczuła w głosie matki zniecierpliwienie i napięcie?

- Wiesz, jak to jest, Mary Liz, Winnetka to nie Hollywood, po prostu się wyobcowaliśmy - dodała India, jak gdyby domyśliła się wątpliwości córki i chciała je czym prędzej rozwiązać.

Sky przyszedł koło wpół do dziewiątej. Spacerowali po plaży, całując się, rozmawiając i po prostu oddychając świeżym powietrzem.

- Zastanawiałem się, czy jesteś wolna w sobotę wieczó-

rem - powiedział, biorąc ją za rękę. - Buckleyowie dali mi bilety na imprezę dobroczynną, w której sami nie mogą wziąć udziału. Zapowiada się świetna zabawa.

- Co to takiego?

- TOZ organizuje paradę, a następnie przyjęcie. Chyba na lotnisku. Będzie grill, wędzone małże, prażona kukurydza i sałatki.

- Co to jest TOZ?

- Towarzystwo Ochrony Zwierząt.

- Aha - złagodniała natychmiast Mary Liz. - Pójdę bardzo chętnie. A skoro już mówimy o zwierzętach, poznałam psa, którego Nancy uratowała w Irlandii.

- Wiem, Ashley - powiedział Sky. - Przywiozła ją dziś po południu do klubu. Dała się nam nieźle we znaki. Za każdym razem, gdy ktoś rozpoczynał grę, biedny pies rzucał się za piłką. Omal nie zadusił się w swojej obroży.

- Ashley to fajny zwierzak, prawda? Przybiegła dzisiaj do mnie i towarzyszyła mi przy pracy, podczas gdy Nancy robiła zakupy.

- Spędzasz zbyt wiele czasu w domu, młoda damo - rzekł Sky z westchnieniem, ujmując dłonie Mary Liz i obracając ją ku sobie. -1 co ja mam z tobą począć? A z sobą?

Uśmiechnęła się tylko, wiedząc, o co mu chodzi. Jak długo jeszcze będą na tym etapie znajomości?

- Och, zaraz, zaraz, Sky... w sobotę jest przecież pokaz ogni sztucznych - przypomniawszy sobie. -

Obiecałam cioci Nancy, że z nią pójdę, a w dodatku zapewniłam, że zabiorę cię ze sobą.

- Ej, pokaz odbędzie się późnym wieczorem, dopiero gdy się ściemni. Możemy zaliczyć obie imprezy. Chodzi ci o ten pokaz organizowany na rzecz klubu młodzieżowego?

- Chyba tak.

- No, no... Bilet kosztuje dwieście dolarów.

- No cóż - wzruszyła ramionami - mamy dwa do dyspozycji.

Gdy dotarli do domku, Mary Liz zauważyła, że w domku gościnnym pali się światło - znak, że Bertie i Wendy musieli wrócić ze swego wypadu.

Obejrzeni razem wiadomości wieczorne, po czym Sky pojechał do siebie.

Nazajutrz rano Mary Liz spędziła dwie godziny na rozmowie z pracownikiem firmy Billa Pfeiffera w Nowym Jorku, omawiając z nim wszelkie wątpliwości związane z europejskim tropem sprawy Alfreda Hoffmana. Potem znów wybrała się do Wielkiego Domu, żeby zajrzeć do dokumentów „Howland Films”, tym razem jednak wzięła ze sobą skaner. Uznała, że powinna poczynić pewne zabezpieczenia i wysłać kopie ważnych dokumentów tam, gdzie będą bezpieczne - do domowego komputera swego ojca.

Weszła do środka przez drzwi kuchenne, jak zwykle meldując się najpierw u Delores. Zeszła na dół po schodach, przekręciła klucz w zamku, po chwili otworzyła drugi i wtedy usłyszała za sobą jakiś hałas. Odwróciła się, przestraszona.

- Co ty tu robisz? - Podbiegł do niej zziębnięty Bertie, w samych tylko kąpielówkach i klapkach, jeszcze bardziej opalony niż w ubiegłym tygodniu.

- Och, wróciłeś. Jak minęła podróż?

- Co ty tu robisz? - powtórzył.

- Wyświadczam przysługę twojej matce.

- Matki nie ma.

- No to powie ci, co robię, kiedy wróci.

- Nawet ja nie mam kluczy do tego pokoju - rzekł ze złością. - Wchodzę z tobą.

161

- Nie - odparła zdecydowanie. - Dopóki nie pozwoli na to twoja matka. - Było to idiotyczne stwierdzenie, ponieważ Bertie, który miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, mógł ją po prostu odepchnąć i wejść do środka. - Zapytaj ją najpierw. Wiesz, gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia-burknął.

- Bertie?-zawołała Wendy z góry.

- Jestem w piwnicy! - odkrzyknął.

- Co się tu dzieje? - spytała Wendy, schodząc do nich pod ziemię. Ona również była wspaniale opalona. Wyglądała bardzo ładnie i trochę dziko. Mary Liz uświadomiła sobie, że to z powodu włosów, które dziewczyna miała w nieładzie, po raz pierwszy, odkąd ją poznała. - Ach, to ty - rzekła z niechęcią, dostrzegając u boku Bertiego Mary Liz.

- Ja. Stało się coś?

- Nie udawaj, że nie wiesz - powiedział Bertie.

- Co takiego?

- Wchodzę z tobą - nie odpowiedział na jej pytanie. -Chcę wiedzieć, co tutaj robisz.

- Doskonale wiesz, co robię.

- Ale nie wiem, dla kogo.

Mary Liz poszukała wzrokiem pomocy u Wendy.

- O co wam chodzi? Co takiego się stało?

- Ja nic ci nie powiem-odparła Wendy.

- Posłuchajcie - Mary Liz wzięła głęboki oddech - ciocia Nancy chciała, żebym rzuciła okiem na pewne dokumenty. Nic wielkiego. - Czemu więc nie pozwalasz mi wejść?

Ponieważ nie mogę ufać ani tobie, ani twojej łowczym posagów, odparła w duchu. Musiała jednak coś odpowiedzieć, więc po krótkim namyśle oznajmiła:.

- Dobrze, Bertie, wejdź. Ale bardzo cię proszę, powiedz

matce, że nie chciałam, żebyś wchodził tu bez jej pozwolenia. - Weszła do skarbcza i pozwoliła wejść za sobą Bertiemu. Gdy jednak Wendy próbowała wślizgnąć się za nimi, Mary Liz postąpiła szybko krok naprzód, tarasując jej drogę. -Przepraszam - powiedziała i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

- Jezu, ona cię zabije! - rzekł niemal ucieszony Bertie.

- Trudno - odparła.

- No więc, co tam jest? - spytał Bertie, rozglądając się dookoła i wskazując na stalowe drzwiczki w ścianie.

- Kopie filmów twojego ojca, jego zbiór plakatów teatralnych, kolekcja pocztówek i znaczków.

- Daj mi kluczyki - zażądał.

- Nie mam ich - odpowiedziała Mary Liz. Była to prawda, ponieważ zostawiła kluczyki w domku, ukryte w rolce papieru toaletowego w bieliźniarce. Pokazała mu pęk kluczy, które miała przy sobie. - Proszę, oto klucz do Wielkiego Domu, a to dwa do skarbcza. To wszystko.

- A co jest tam? - spytał o drzwiczki, do których Mary Liz rzeczywiście nie miała klucza.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- A te śmieci? - Kopnął leżące pod ścianą pudło.

- Dokumenty twojego ojca z „Howland Films”. Bertie, czemu zachowujesz się tak wrogo i podejrzliwie?

- Dajmy na to, że nie wiesz - warknął i obrzucił ją groźnym spojrzeniem. - Zapamiętaj sobie, Mary Liz, będę miał cię na oku.

Teraz ona wpadła w złość.

- Tak? To wobec tego pozwól, że ja ci coś powiem, Bertie. To ja będę miała na oku ciebie i tę twoją podejrzaną panienkę.

Speszył się chyba nieco, bowiem wstrząsnął nim dreszcz.

163

A może po prostu zmarł. Było tu wyjątkowo zimno, a on praktycznie nie miał nic na sobie. Poczłapał do drzwi, odsunął rygiel, otworzył je i rzekł ostrzegawczo:

- Nie igraj ze mną, Mary Liz.

Gdy tylko wyszedł, Mary Liz zamknęła skarbiec i poszła na górę, żeby poszukać Delores. Musiała jak najszybciej zobaczyć się z Nancy.

Delores powiedziała jej, gdzie może znaleźć ciotkę, i już kilka minut później młoda kobieta mknęła swoim kabrioletem, wypatrując salonu piękności w East Hampton. Znalazła go, zaparkowała samochód i weszła do środka.

Przedstawiła się recepcjonistce, mówiąc, że musi koniecznie zobaczyć się z panią Hoffman, po czym wysłano kogoś, żeby sprawdził, czy pani Hoffman istotnie sobie tego życzy. Jeszcze chwila i Mary Liz znalazła się w osobnym pokoju, w którym twarz Nancy poddawana była jakiemuś skomplikowanemu kosmetycznemu zabiegowi.

Nancy nie wydawała się ani trochę zdziwiona widokiem chrześnicy. Poprosiła ją, by usiadła, i podczas gdy kosmetyczka o imieniu Mona owinęła jej twarz parującym ręcznikiem, ona wysłuchiwała pilnie relacji ze starcia z Bertiem. Gdy zaś Mary Liz spytała, co może być przyczyną jego nagłej wrogości i podejrzliwości, Nancy zdjęła z twarzy ręcznik, popatrzyła na nią sennym wzrokiem i odrzekła szeptem:

- Nie mam pojęcia. Bertie jest bardzo wrażliwym chłopcem i czasami wydaje mu się, że ktoś go obraził. Wyjaśnię mu dokładnie, co tu robisz, i powiem, żeby zostawił cię w spokoju. - W tej samej chwili Mona podeszła z kolejnym parującym ręcznikiem i Mary Liz zobaczyła, że oczy Nancy zamykają się z błogością.

Zrozumiała ten sygnał, przeprosiła Monę za to, że przeszkodziła jej w pracy, i wyszła nie całkiem zadowolona do

poczekalni. Nie dowiedziała się właściwie niczego. Skąd ta zmiana tonu u sympatycznego i przyjaznego dotąd Bertiego? Przecież jaki był, taki był, ale nie sprawiał wrażenia paranoi-ka. Widocznie Wendy musiała powiedzieć mu coś, co sprawiło, że całkowicie stracił zaufanie do Mary Liz.

A może sam prowadził nieczystą grę? Mary Liz miała nadzieję, że nie. Lubiła go przecież. Humor poprawił jej się, gdy w poczekalni natknęła się na Saszę. Na widok owiniętej w gruby ręcznik piosenkarki uśmiechnęła się mimowolnie, ta zaś chwyciła ją radośnie za ramię i trajkocząc jak najęta, pociągnęła za sobą do niedużego pokoiku z leżanką, umywalką i małym metalowym stolikiem na kółkach.

- Mary Liz! Dzwoniłam do ciebie wiele razy, ale nigdy nie ma cię w domu! - narzekała. Zrzuciła ręcznik i wyciągnęła się kompletnie naga na leżance. Najwyraźniej była przyzwyczajona do tego, że inni czeszą ją, pielęgnują i dbają o jej wygląd.

- Czemu nie zostawiłaś wiadomości na automatycznej sekretarce?^

- Och, ja nigdy nie zostawiam wiadomości - odparła. - Mogę zmienić zdanie, zanim ktoś oddzwoni. Nie lubię podejmować ostatecznych decyzji. Ale gdzie ty się rozbijasz, dziewczyno? Chciałam na przykład, żebyś zagrała dzisiaj ze mną w tenisa. Tak bardzo, że poszłam wczoraj wieczorem, koto siódmej, do twojego domku. Pukałam, stukałam, ale nikt mi nie otworzył.

- To dziwne. Byłam w domu.

- Nie, nie było cię - twierdziła z uporem Sasha. Rozmowę przerwała im na chwilę starsza kobieta, która

zapukała cicho do drzwi, a potem weszła do środka z drewnianą miską, w której znajdował się pędzel.

165

- Jestem Sonia-przedstawiła się.
- Cześć, Soniu - przywitała ją Sasha. - To moja przyjaciółka, Mary Liz. Może zostać?
- Jasne. Ma być cała noga? - spytała Sonia, mieszają/: swój tajemniczy eliksir.
- Cała, cała - potwierdziła Sasha, przekręcając się lekko na bok. Mimo że przekroczyła już pięćdziesiątkę, wciąż była szczupła i Mary Liz wprost nie mogła uwierzyć, jak ładne ciało ma ta kobieta. Jędrne, bez śladu cellulitis, idealne piersi. Jak ona to robi? Operacja plastyczna?
- A do którego domu pukałaś, Sasho? - spytała.
- Do tego na końcu podjazdu.
- To domek gościnny.

Sasha wykręciła szyję, by popatrzeć na nią ze Zdumieniem.

- Wydawało mi się, że zabieraliśmy cię stamtąd kilka dni temu.
 - Nie. Ja mieszkam w dawnym domku dozorczy, zapomniałaś? Na początku podjazdu.
 - Gotowa? - spytała Sonia Saszę, a gdy ta kiwnęła głową, nałożyła na jej nogę grubą warstwę wosku, odczekała chwilę, po czym chwyciła palcami brzeg zastygłej masy i jednym ostrym szarpnięciem oderwała ją od skóry.
 - Au! - krzyknęła piosenkarka.
 - Za urodę trzeba płacić - powiedziała sentencjonalnie Sonia i zaczęła nakładać wosk na drugą nogę. Mary Liz przyglądała się zafascynowana jej pracy. Oczywiście, słyszała o usuwaniu owłosienia za pomocą wosku, ale nigdy nie miała ani czasu, ani chęci, żeby to zrobić. Wystarczała jej nowa, ostra maszynka i krem do golenia.
- Sonia zerwała następną warstwę, znów prowokując okrzyk bólu Sashy.

- Prawdę mówiąc - powiedziała gwiazda, oddychając z trudem - to lepiej, że mieszkasz w tym małym domku. Kilka razy wysyłałam Riffa do domku gościnnego, żeby sprawdził, co to za hałasy z niego dochodzą. Zaczynałam być nawet na ciebie zła. Coś dziwnego... - Sonia popchnęła ją z powrotem na leżankę - .. się tam dzieje - dokończyła Sa-sha, chichocząc. - Soniu, mogłabyś być zapaśnikiem.

- W jakim sensie dziwnego? - spytała Mary Liz.

- Zawsze słychać męskie głosy...

- To Bertie. Mieszka tam jego dziewczyna.

- Mówię ci, że to męskie głosy, Mary Liz. Wyłącznie męskie. O różnych porach nocy. Nie mam pojęcia, co tam robią, ale zawsze jest ich przynajmniej dwóch.

Może to Bertie i Jake, pomyślała Mary Liz.

- Ja nigdy niczego nie słyszałam - powiedziała zgodnie z prawdą.

- A ja owszem. Zawsze jest otwarte okno od strony mojego domu.

Gdy Mary Liz wróciła do siebie, pracowała przez całe popołudnie przy komputerze. Około piątej zadzwoniła Nancy - spędzi dwie noce na Manhattanie, chce dać Delores dzień wychodnego, czy więc ona, Mary Liz, mogłaby być tak dobra i zaopiekować się przez ten czas Ashley.

- Ona cię uwielbia, kochanie. Będę spokojniejsza, zostawiając ją z tobą.

- Dla mnie to prawdziwa przyjemność - odrzekła Mary Liz z radością.

- Ach, zapomniałabym ci powiedzieć - odbyłam długą rozmowę z Bertiem i wszystko mu wyjaśniłam.

Mary Liz bardzo w to wątpiła.

- Jest jakiś nadęty i nie chce mi zdradzić, dlaczego - mó-

wiła dalej ciotka. - Tak czy owak, przykazałam mu, żeby dał ci spokój. Masz tutaj *carte blanche*, tak mu powiedziałam.

- Milczała przez chwilę, po czym spytała: - Mary Liz? Ty nie znałaś wcześniej Herberta Gliddena, prawda?

- Oczywiście, że nie! Czemu pytasz?

- Bertie powiedział coś dziwnego, co nasunęło mi myśl, że on tak właśnie przypuszcza.

- Naprawdę go nie znałam, ciociu.

- Byłam tego pewna. No cóż, gdy będziesz miała wolną chwilę, wpadnij i zabierz swoją nową lokatorkę, dobrze, kochanie?

Mary Liz natychmiast pośpieszyła do Wielkiego Domu, gdzie otrzymała od Nancy całą listę przykazań, jak ma się troszczyć o zdrowie, apetyt i dobry humor Ashley. Jakć pomógł jej zanieść do domku ogromny karton jedzenia, witamin i zabawek i w ten oto sposób niewielki domek zyskał nową lokatorkę.

Ashley była uroczym psem i zgodnie z obietnicą Nancy, nie sprawiała najmniejszego kłopotu. Gdy Mary Liz pracowała w gabinecie, suka drzemała szczęśliwa u jej stóp, jakby przeczuwała, że po pracy przyjdzie czas na wspaniałą zabawę.

I rzeczywiście. O siódmej wieczorem zjadły kolację, oczywiście każda swoją: Ashley - stek, Mary liz natomiast

- byle jaką sałatkę z niskokalorycznym majonezem, a potem wyszły na dwór pobawić się piłeczką tenisową. Mary Liz rzucała nią tak, by znaleźć się w pobliżu domu gościnnego. Chciała się trochę rozejrzeć. Po tym, co usłyszała od Sashy, czuła, że dzieje się tam coś podejrzanego.

Tymczasem Wielki Dom świecił pustkami. Zniknął jaguar Nancy, jak również Range Rover Bertie'ego, który zapewne pojechał gdzieś z Wendy. Nie było też toyoty, której używała Delores.

Kiedy wreszcie Mary Liz zdobyła się na odwagę i podeszła blisko do domku gościnnego, a nawet zapukała cichutko do drzwi, jej zdumienie nie miało granic - usłyszawszy pukanie, drzwi otworzyła Wendy.

- Ee... - zająknęła się, nie wiedząc, co powiedzieć -cześć, Wendy. Pomyślałam, że może przespacerowałabyś się ze mną i pobawiła z psem. - Zabrzmiało to idiotycznie, zwłaszcza że ta młoda kobieta uważała ją od niedawna za swego wroga.

- Słucham? - spytała Wendy ze zdumieniem.

- Pytałam, czy pójdziesz z nami na spacer.

- Przecież mnie nienawidzisz - przypomniała jej Wendy.

- To nieprawda!

- Ależ oczywiście, że prawda. Wrzeszczałaś na mnie w zeszłą niedzielę, gdy się do ciebie włamano, a dziś zatrzasnęłaś mi drzwi przed nosem.

- Tylko dlatego, że zachowywałaś się wobec mnie wrogo - broniła się Mary Liz.

- Dziwisz się? - spiorunowała ją wzrokiem Wendy. - Powinnaś spakować swoje manatki i wynieść się stąd, zanim Bertie straci panowanie nad sobą.

- Kiedy ja naprawdę nie wiem, o co wam chodzi - jęknęła żałośnie Mary Liz, a Ashley zawtórowała jej natychmiast, skomląc przejmująco. - Ciii... dobra sunia - uspokoiła ją Mary Liz, przemawiając czule i głaszcząc po lśniącej sierści.

- Wcale nie dobra. Powinnaś ją ugryźć, Ashley - powiedziała Wendy i przeniosła spojrzenie na Mary Liz. - Wiemy dobrze, co zamierzasz. To tylko kwestia czasu, kiedy podejmiemy odpowiednie działania. Zastanów się, co jest dla ciebie najważniejsze, i pomyśl, co powiedziałabyś na to wszystko twój ojciec.

Zanim Mary Liz zdążyła odpowiedzieć, Wendy zatrzasnę-

ła drzwi i zamknęła je szybko na klucz. Nie otworzyła nawet wówczas, gdy Mary Liz zaczęła walić w nie jak szalona pięściami. Do licha ciężkiego, co właściwie się tutaj dzieje?

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Pies zresztą również zachowywał się niespokojnie. Dziesięć po dwunastej włożyła więc dzinsy oraz bluzę od dresu, wzięła Ashley na smycz i zbiegła z nią po schodkach werandy z latarką w dłoni.

Może pomoże im łyk świeżego powietrza?

Ruszyły trawnikiem do drewnianego deptaka biegnącego w kierunku plaży. Księżyc był prawie w pełni i przeświecał raz po raz między chmurami. Było trochę straszno, a jednocześnie pięknie. Spacer po plaży wprowadził Mary Liz w dobry humor.

Spuściła psa ze smyczy i pozwoliła mu biegać swobodnie. Potem ruszyła wzdłuż brzegu na wschód, czując pod stopami chłodny, sypki piasek. Wiatr rozgonił już chmury i księżyc rozświetlił sinym blaskiem cały ocean. Białe grzywy fal zdawały się jarzyć w ciemności, a wilgotny piasek lśnił srebrzyście, odbijając granat nieba.

Bez wątpienia East Hampton to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi, myślała Mary Liz. W środku nocy, samotna, zawieszona między lądem a bezmiarem oceanu i wsłuchana w morski żywioł, niemal namacalnie odczuwała obecność Boga. Ciekawe, czy dawni mieszkańcy tej okolicy, ci sprzed dwustu, trzystu lat, również spacerowali nocą po tej plaży i też czuli taki spokój, taką bliskość Boga i Jego błogosławieństwo?

Ashley szalała na piasku daleko za nią, wiedziała jednak doskonale, gdzie jest Mary Liz, gdyż co pewien czas ją doganiała, obszczekiwała, po czym pędziła co sił w nogach z powrotem, jak gdyby zachęcając swoją nową panią, by poszła w jej ślady.

Mary Liz szła jednak dalej, oddychając głęboko i myśląc o tym, jak jest szczęśliwa. Jedyne problem, który musiała rozwiązać, dotyczył tego, co będzie robiła, gdy skończy się lato. Wróci do Chicago? I co dalej? Będzie uczyła? Miała dopiero trzydzieści dwa lata, lecz jej składki na ubezpieczenie były tak wysokie, że zapracowała już sobie na skromną rentę. Może na tym poprzestać i do końca życia czytać mądre książki? No ale Mary Liz Scott miała też odpowiedni dyplom i jedna uczelnia zwróciła się już do niej z prośbą, by prowadziła seminarium na temat bankowości inwestycyjnej.

A może się przeprowadzi? Może pojedzie na pewien czas do Europy? A może... Sky.

Tak, żaden z tych scenariuszy nie był wystarczająco pociągający, bo nie było w nich Sky'a. Najpierw musi wiedzieć, jak potoczy się lato, jak ułoży się ich znajomość.

Pogłębi się? Umocni? Dopiero później podejmie odpowiednią decyzję.

Nie widziała powodu, żeby miało być inaczej. Byli sobą wzajemnie-oczarowani, nigdy nie brakowało im tematów do rozmowy, lubili robić podobne rzeczy, mieli zbliżone poglądy na życie i niemal taką samą hierarchię wartości. Dlaczego nie mieliby się do siebie zbliżyć?

Księżyc znów skrył się za chmurami, lecz Mary Liz szła dalej. Czuła się dziwnie. Po raz pierwszy od wielu lat miała czas, by pomyśleć o sobie. Kiedyś kolega z wieczorowych studiów MBA w Chicago spytał ją, co chciała robić, gdy miała dwanaście lat. Twierdził, że to dobra wskazówka, i że warto wrócić do tych wspomnień, by odpowiedzieć sobie na pytanie, kim się naprawdę chce zostać.

- Detektywem - odpowiedziała wówczas szczerze. - Albo agentem FBI. Chciałam tropić złodziei.

- I czemu nie zrealizowałaś swojego marzenia?

- Przyjęto mnie po studiach do „Reston, Kellaher” i jestem tam do tej pory. - Poczula wówczas tępy ból w okolicy serca i nawet teraz, choć minęło osiem lub dziewięć lat od tej rozmowy, pamiętała, jak bardzo był przykry i rozdzierający.

No właśnie, chciała tropić złodziei. Może jednak lepiej byłoby uczyć? Na przykład matematyki. W szkole średniej. Sky to lubił. Może dostałaby pracę...

Przystanęła nagle, słysząc przed sobą jakieś głosy. Po chwili księżyc wynurzył się znowu zza chmur i oświetlił dwa nagie ciała, leżące na kocu nie dalej niż pięć metrów od niej. Speszyła się. Nie wiedziała, co ma robić. Kochankowie nie zauważyli jej jeszcze, lecz mogło się to stać w każdej chwili. Kobieta leżała na górze, całując kochanka namiętnie i wydając prowokujące dźwięki. Miała ładne ciało i długie potargane włosy.

Gdyby Mary Liz poszła dalej przed siebie, z pewnością wyczuliby jej obecność. Gdyby się cofnęła, padłby na nich jej cień. Mogła jedynie mieć nadzieję, że księżyc znów skryje się za chmurami.

Och, ale co z psem? Jest przecież jeszcze pies!

To okropne, musi znaleźć jakąś drogę odwrotu.

Kobieta przerwała pocałunek i posunawszy się wyżej, przytuliła piersi do twarzy kochanka. Jęknęła słodko i zaczęła się na nim poruszać.

No, księżycu!

- Och, tak, tak... - kobieta zachłystywała się rozkoszą. Nagle przekreśliła się na plecy, wciągając mężczyznę na siebie.

I wtedy Mary Liz spostrzegła, że to wcale nie jest mężczyzna, ale druga kobieta!

Smukła, równie podniecona kobieta, która także nie za-

172

uważyła Mary Liz i wtuliła się w swoją kochankę, nie słysząc nic poza jękami rozkoszy. Na szczęście księżyc skrył się po chwili za chmurami i Mary Liz mogła cofnąć się do tyłu. Gdy odeszła już na bezpieczną odległość, odwróciła się i zaczęła biec. Pies leżał u podnóża schodków na skraju plaży, obok jej sandałków, i czekał wiernie na swą panią. Później, gdy Mary Liz leżała już w łóżku i próbowała zasnąć, ponownie stanęła jej przed oczyma scena zaobserwowana na plaży. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że jej wzrok podświadomie odnotował fakt, iż żadna z kobiet nie miała cellulitis. Ach, East Hampton...

12

W czwartek rano Mary Liz obudziła się o ósmej, odkrywając, że wczorajsze wysiłki, by nauczyć Ashley spania na podłodze przy łóżku, spełzły na niczym. Suka leżała obok, wtuliwszy gładki łeb pod jej brodę.

- Obudź się, mała - szepnęła Mary Liz, na co Ashley zareagowała gwałtownym wybuchem radości i zaczęła lizać ją po twarzy.

Mary Liz wybuchnęła śmiechem, włożyła kostium kąpielowy oraz szorty i wyszła na werandę.

Usiadła w fotelu, przeglądając najnowszy „Wall Street Journal”, zaś Ashley zaczęła biegać radośnie po trawniku.

Czuła się dziwnie, czytając najnowsze doniesienia ze świata wielkiego biznesu. Co by nie mówić, stała teraz na uboczu i nie знаła nowinek z branży inwestycji telekomunikacyjnych, jej branży.

Oczywiście, wciąż wiedziała bardzo wiele - częstokroć nawet więcej niż sami szefowie firm telekomunikacyjnych - ale ta wiedza będzie aktualna jeszcze najwyżej przez dwa miesiące, a potem straci swoją wartość.

Siedziała więc na werandzie, przeglądała kolejne artykuły w gazecie i wiedziała dokładnie, jaki skutek będą miały zamieszczone w niej wiadomości dla poszczególnych firm. Jednak wszystkie te sprawy i w ogóle dawne życie w Chicago zdawało się jej zamierzchną przeszłością. Pamiętała je, oczywiście, ale trudno jej było uwierzyć, że naprawdę wsta-

wała codziennie o piątej rano i pracowała przez cały dzień po to, by zakończyć go jakąś koszmarem służbową kolacją. Albo że zaliczała kilka miast przez trzy dni, spotykając się z klientami lub organizując dla nich prezentacje.

Przypomniało jej się teraz, jak nieco ponad rok temu spotkała na lotnisku Knoxville w stanie Tennessee niejaką Faith Collier z „Allied Trust”. Nie znała jej zbyt dobrze, ale wiedziała o niej sporo, ponieważ w mózgu Faith Collier mieściło się więcej informacji o przyszłości telewizji kablowej, satelitach, łączności bezprzewodowej, pagerach i telefonii komórkowej niż w mózgach wszystkich osób razem wziętych na Wall Street i w Chicago, nie wyłączając Mary Liz.

To zresztą było jedną z przyczyn jej ogromnego zmęczenia - przemysł telekomunikacyjny zmieniał się tak szybko, że zamiast zawierać solidne transakcje w oparciu o rzeczywiste, już istniejące produkty, trzeba było naciągać klientów, by inwestowali miliony dolarów w zaledwie pomysły produktów lub usług, które w przyszłości mogły przynosić zyski, lecz wcale nie musiały. (Najczęściej jednak przynosiły.)

- Iloma samolotami przyleciałaś? - spytała wtedy Faith ze śmiechem.

- Trzema - odparła Mary Liz. - Musiałam ominąć burzę, poleciałam więc z Chicago do Dallas, z Dallas do Atlanty, a z Atlanty dotarłam tutaj.

- A ja czterema - westchnęła Faith. - Z Los Angeles do Waszyngtonu, z Waszyngtonu do Charlotte, z Charlotte do Atlanty i wreszcie tutaj. - Rzuciła okiem na zegarek i rozejrzała się po terminalu. - Mam spotkanie o trzeciej, ale nie jestem pewna, czy komukolwiek z mojej firmy udało się dolecieć.

Tak naprawdę to właśnie wtedy Mary Liz postanowiła zrezygnować z kariery i się wycofać.

Wiedziała, że nie ma mowy, by kiedykolwiek mogła zakasować Faith, ale nie chodziło nawet o to.

Zdawała sobie sprawę, że Faith musi być równie wypompowana, jak ona, a mimo to wygląda świetnie - rozluźniona, pewna siebie, oczy jej błyszczą, białe zęby lśnią w uśmiechu. Tymczasem Mary Liz

przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Po prostu nie nadawała się na dłuższą metę do takiej pracy.

Poza tym jej życie osobiste legło w gruzach. Była sama, nie miała Jima, z którym mogłaby porozmawiać o pracy i którego ciało czułaby przy sobie w nocy.

Och, była kompletną idiotką!

Mogła zalegalizować swój związek z Jimem dwa lata wcześniej, przed Bożym Narodzeniem, kiedy to on chciał się z nią ożenić, a ona bała się, że pewnego dnia jej się znudzi. Że jeśli zdecyduje się na dzieci i przez kilka lat będzie pracowała na niepełnym etacie, to nie wytrzyma z samym tylko Jimem i będzie zmuszona go opuścić. Nie mogła przecież zakładać rodziny z kimś, co do kogo nie była pewna, czy wytrzyma z nim - jak każe powtarzać pastor na ślubie - „w zdrowiu i w chorobie, póki śmierć nas nie rozłączy”.

A potem, w nowym roku, w „Reston, Kellaher” pojawił się Kennedy Rogers - były zawodnik drużyny futbolowej Uniwersytetu w Pensylwanii, który uzyskał MBA w Wharton, raz już żonaty i rozwiedziony, przystojny, inteligentny, z wdziękiem i seksapilem. Wcześniej zajmował się w „Kidder, Peabody” tym samym, co Mary Liz, i przeszedł do „Reston” na prawach wspólnika. Wyjechali pewnego razu na prezentację do jakiegoś miasteczka w stanie Idaho, gdzie mieszkał twórca nowej technologii satelitarnej, a zarazem dyrektor naczelny firmy. Pogoda była fatalna i spędzili wiele godzin na różnych lotniskach, usiłując dostać się do miejsca przeznaczenia. Udało im się

w końcu dolecieć do Butte w Montanie, po czym wynajęli Jeepa Cherokee, by odbyć nim dalszą podróż.

Największe wrażenie zrobił na Mary Liz jego nieustająco dobry humor. Dla Kena wszystko było przygodą, a sądząc z tego, w jaki sposób prowadził samochód, musiał spędzać sporo czasu w drodze. Mary Liz dzwoniła przez cały czas do ich potencjalnego klienta z telefonu komórkowego, by podać mu obecne położenie i zapewnić, że tak czy owak do niego dotrą. Za piątym razem usłyszała z radością, że ich konkurencja zrezygnowała z powodu gwałtownych opadów śniegu.

Nie przyszło jej wtedy nawet do głowy, że gdyby samochód wpadł w poślizg i utknął w zaspie śnieżnej, znalazłaby się w mroźnej tundrze w lekkim płaszczu deszczowym i szpilkach. Jak do tej pory podróż była podniecająca - radio grało rocka, jechali pustymi autostradami, zatrzymując się tylko na cheeseburgera i frytki.

Ostatecznie udało im się dokonać transakcji, a dla uczczenia tego faktu Ken zaprosił ją do lokalnej knajpki na mnóstwo jedzenia, picia i tańce do muzyki country.

Bawiła się wspaniale. Uwielbiała tańczyć, a Jim nie znosił, toteż rzadko wybierali się gdziekolwiek. Jim wolał wykwintne jedzenie i kręcił nosem na hałaśliwe bary, które z kolei ją niezmiennie bawiły. Poza tym Ken był taki seksowny. Nigdy podczas całej podróży nie uczynił żadnego niestosownego gestu ani aluzji i Mary Liz (zwłaszcza po kilku piwach) żałowała nawet, że jest taki opanowany. Przy nim dopiero czuła się pełna życia.

Sytuacja taka ciągnęła się przez dwa miesiące. Mary Liz wmawiała sobie, że nie zostawi Jima dla Kena, choć na tym etapie, podczas jednej ze wspólnych podróży służbowych, gdy stosunki między nimi stawały się coraz cieplejsze, roz-

mawiali otwarcie o tym, co stałoby się, gdyby nie była z kimś związana. Wreszcie powiedziała Jimowi, że nie może z nim dłużej żyć, ponieważ nie widzi siebie w roli jego żony. Było jej naprawdę przykro, ponieważ w istocie go kochała - brakowało jej jednak w tej miłości czegoś ważnego.

Wyprowadziła się więc pod koniec lutego i złamała mu serce. Pierwszą noc w nowym mieszkaniu spędził z nią Ken. Seks z nim był fantastyczny - swobodny, lekki, namiętny. Spędzili w ten sposób wiele następnych nocy, a w kolejnej podróży służbowej czuła się jak na wakacjach, sypiając z nim zamiast, jak zwykle, z laptopem.

A potem, zaledwie po sześciu tygodniach, wszystko się nagle skończyło. Ken zaprosił ją na kolację i wyjaśnił, że zszedł się z powrotem ze swoją dawną dziewczyną z Nowego Jorku. Było mu cudownie, toteż tym bardziej teraz jest mu przykro. Ma jednak nadzieję, że Mary Liz to zrozumie. Poza wszystkim - świetnie się razem bawili.

Mary Liz wiedziała doskonale, że nie ma żadnej dziewczyny z Nowego Jorku. Ken wyczuł, że zaangażowała się poważnie i chciał wyplątać się z tego związku jak najszybciej.

Przez cały ten czas Jim dzwonił do niej regularnie, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają. Nie miał pojęcia, że Mary Liz widuje się z kimś innym. Początkowo jego telefony wyprowadzały ją z równowagi, gdyż pogłębiały tylko złość i poczucie winy. Po pewnym czasie jednak uświadomiła sobie, jak bardzo brakuje jej tych rozmów. Znał ją dobrze, a ona jego. Z Jimem nie musiała się obawiać żadnych niespodzianek.

No cóż, dostała nauczkę. W trzy miesiące po tym, jak zakończył się jej romans z Kenem, zaprosiła Jima na kolację i otworzyła przed nim serce. Przyznała, że popełniła straszli-

wą pomyłkę, że bała się małżeństwa, ale teraz uświadomiła sobie jasno, że to właśnie Jima pragnie i z Jimem chce spędzić resztę życia.

Niestety; Jim powiedział nie to, co spodziewała się usłyszeć. Wyznał, że choć ogromnie go zraniła swoim odejściem, to po pewnym czasie ze zdumieniem stwierdził, że odczuwa ulgę. I że zawsze w głębi serca zdawał sobie sprawę, iż Mary Liz nie kocha go tak, jak w jego marzeniach powinna go kochać przyszła żona.

Mary Liz próbowała zaprzeczać, on jednak nie dał się przekonać.

- Uważasz, że jestem nudny, pozbawiony fantazji i niezbyt odważny - powiedział. - Zawsze byłem dla ciebie pluszowym misiem, pociechą w rzadkich chwilach, gdy byłaś sama i nie dość zapracowana. Albo gdy cały świat przewracał się do góry nogami - tylko wtedy przedstawiałem dla ciebie jakąś wartość.

Jej serce kostniało wraz z każdym wypowiedzianym przez niego słowem. Wiedziała, że choć Jim przesadza, to jego analiza jest miejscami bliska prawdy. To nieprawda, że nie ceniła jego zalet, denerwował ją jednak jego brak inicjatywy, zapału i pasji do czegokolwiek. Czuła się tak, jak gdyby hamował ją za każdym razem, gdy zrywała się do biegu. Jim po prostu lubił poczucie bezpieczeństwa i nie było w tym nic złego, tyle że ta potrzeba tłumiała w nim wszelkie pragnienie zmiany, rozwoju, posuwania się naprzód. Mary Liz wiedziała, że byłby absolutnie szczęśliwy, wykonując przez resztę życia to samo zajęcie, które wykonywał od pięciu lat.

- Cześć, Mary Liz! - Przyjazny męski głos przywołał ją do rzeczywistości.

Podniosła głowę znad gazety, której od dawna nie czytała. Przed nią stał Jake - w samych tylko kąpielówkach, musku-

larny, złocistobrązowy. Mary Liz nie mogłaby mieć **za** złe Bertiemu, gdyby potwierdziła się plotka o tym, że są kochankami.

- Witaj, Jake - odpowiedziała. Jej uwagę zwróciło zachowanie Ashley - w ogóle nie czekała, podbiegła do mężczyzny z piłeczką w pysku, merdając ogonem.

Jake zabrał jej piłkę i rzucił w kierunku Wielkiego Domu.

- Może poszłabyś popływać z Ashley, zanim wszyscy wstaną? - spytał.

- Świetny pomysł. - Odłożyła gazetę. Szczerze mówiąc, była szczęśliwa, że przynajmniej on nie odnosi się do niej z wrogością. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że to powinno wzbudzić w niej podejrzenia. Może Jake szpiegował dla Bertiego? - Zaczekaj. Wezmę tylko ręcznik...

- Jest ich mnóstwo w domku plażowym.

- Tak? To idziemy. - Wstała i ruszyli razem w stronę plaży, gawędząc o urokach posiadłości. Mary Liz spytała go w końcu, czy nie myślał nigdy o tym, by zostać aktorem lub modelem. Przyznał z lekkim zażenowaniem, że owszem, kiedyś przyszło mu to do głowy, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

Wzięli z domku plażowego dwa ręczniki. Mary Liz chciała wziąć również czepek kąpielowy, ale się rozmyśliła. Wyglądałaby w nim jak własna babcia.

Weszła do wody i rzuciła piłeczkę Ashley daleko w morze. Suka wystrzeliła za nią jak z procy i popłynęła przez wzburzone fale. A pływała wprost świetnie. Mimo to Mary Liz odetchnęła z ulgą, gdy dotarła z powrotem do pływnicy, podskakując i nurkując jak delfin.

Wreszcie Mary Liz sama dała nurka, mocząc włosy, a gdy Ashley zrównała się z nią, położyła się na wznak na wodzie. Jake przyłączył się do nich po chwili. Mary Liz, widząc go, pomyślała, że gdyby nie udało mu się nawet zostać aktorem,

zawsze mógłby być dublerem Tarzana. Podobnie jak Bertie, pływał jak ryba. Woda była ich żywiołem.

Jake odrzucił piłeczkę w stronę brzegu, po czym przekręcił się na plecy i również dał się unosić wodzie.

- Wiem, że pomagasz pani Hoffman - powiedział, mrużąc oczy przed oślepiającymi promieniami słońca.

- Tak?

- Tak. - Otworzył oczy i zwrócił ku niej głowę. - Kazała mi przyrzec, że będę ci pomagał w miarę moich możliwości.

- To miłe. Bardzo się z tego cieszę. Zwłaszcza że Bertie zrobił się ostatnio bardzo nieprzyjemny. Nie wiesz przypadkiem, czemu z Wendy są na mnie tacy wściekli?

Jake przez chwilę nie odpowiadał. Podpłynęła do niego Ashley, więc przyjął w wodzie pozycję pionową, mocując się z suką i starając się wyrwać piłkę z jej pyska. Gdy mu się wreszcie udało, wyrzucił ją znowu, tym razem aż na piasek.

- Myślę, że ma to coś wspólnego z Gliddenem - powiedział.

- Słucham? - Mary Liz spytała ze zdumieniem.

- Nie mówiłem, że potrafię ci to wyjaśnić. To wyłącznie moje przypuszczenia.

- Spróbuj, Jake.

Nie odpowiedział. Ashley ponownie podpłynęła do niego z piłką, a on poklepał ją w nagrodę.

- Dobry pies. - Raz jeszcze odrzucił gumową piłeczkę z powrotem na plażę, po czym odezwał się do Mary Liz rzeczowym tonem: - Chyba wracamy. Przyjrzyj się psu.

Miał rację. Mimo radosnego zachowania, Ashley była wyraźnie zmęczona.

- Przeszła półroczną kwarantannę - powiedziała Mary Liz, płynąc w stronę brzegu - ma prawo mieć słabą kondycję. A czy wiesz, że wczoraj wieczorem udało mi się popro-

wadzić ją na smyczy? Sprawiała wrażenie absolutnie z nią obytej, co wydało mi się dość dziwne u psa, który kiedyś biegał podobno po polach Irlandii.

- Pewnie trzymano ją na smyczy w czasie kwarantanny. Gdy znaleźli się na brzegu, spojrzała na niego wymownie

i zapytała:

- Dobra, Jake, nie wykręcaj się. O co chodzi z tym Gliddenem?

- To gnojek - odpowiedział. - Wiedzą o tym wszyscy w Los Angeles. Przed śmiercią pana Hoffmana ludzie uważali, że jest całkiem w porządku, ale gdy pozwał panią Hoffman do sądu, poznali się na nim wreszcie. Bertie podejrzewa, że masz z nim jakieś konszachty.

_ To śmieszne! - wybuchnęła Mary Liz. - Możesz mu przekazać moje słowa. Chodź, Ashley! - zawołała ostro na psa, który nie zwracał na nią uwagi.

- Zaczekaj, Mary Liz - powiedział Jake. - Wszyscy ostatnio żyjemy w napięciu. Chcę cię prosić, żebyś nie skreślała nimo wszystko Bertiego. Jest bardzo opiekuńczy wobec matki.

- Mam nadzieję, że to prawda. Ale możesz mu też powiedzieć, że jeśli wpłatał się w cokolwiek, co nie leży w interesie Nancy, to wpakuję go za kratki. Obiecuję! - Ruszyła w stronę domu, po kilku krokach zatrzymała się jeszcze i dodała: - To samo dotyczy Wendy. I to nawet podwójnie!

Po południu zadzwonił do niej Bill Pfeiffer.

- „Różne wydatki europejskie” to nader interesująca pozycja, Mary Liz. Udało nam się wytropić wypłaty dla dwóch osób - niejkiej Yvonne Bonet w Paryżu oraz Elienne Bresseau, również w Paryżu. Ta ostatnia wypłata na rzecz dziesięciolatka, Marka Bresseau.

Mary Liz westchnęła ciężko. Tego właśnie się obawiała. Będzie musiała wysłać kogoś do Paryża albo pojechać tam sama, żeby wszystko sprawdzić na miejscu. Jeśli Yvonne i Elienne okażą się kochankami zmarłego producenta, a Mark jego nieślubnym synem (co wcale nie było nieprawdopodobne), chłopiec będzie miał prawo do części majątku. A wtedy Mary Liz będzie musiała powiedzieć Nancy, że jej mąż ją zdradzał.

A może nie powinna o niczym mówić? Może Billowi uda się to jakoś zakamufłować, stworzyć dla dziecka fundusz powierniczy i skłamać, że...

Nie, musi powiedzieć całą prawdę, jaka by nie była. Albo poprosić o to matkę. Nancy powinna wiedzieć, że Alfred ma jeszcze jedno dziecko.

Na razie to jednak tylko przypuszczenie, które trzeba zweryfikować. Równie dobrze może chodzić o coś innego.

- Najbardziej mnie martwi - mówił Bill Pfeiffer - że jeśli Alfred miał dwie kochanki i dziecko...

- To samo pomyślałam!

- ..to może istnieć jakaś umowa między nim a tymi kobietami odnośnie jego majątku. „Braxer & Braxer” mogła wynegocjować w jego imieniu ugode, zabezpieczającą go przed ewentualnymi roszczeniami ze strony Francuzek, a my o niej nic nie wiemy, no i nie znamy jej treści. Sami oczywiście nie powiedzą nam o tym. Wręcz przeciwnie, zastosują szantaż wobec Hoffmanów podczas procesu.

- Cóż, po prostu będę musiała trochę powęszyć i sprawdzić, jak się sprawy mają.

- Chyba powinnaś - przyznał Bill. - Nie byłoby dobrą reklamą dla Albert Hoffman Memorial Foundation, gdyby wyszło na jaw, że mąż, którego gloryfikuje Nancy, zdradzał ją przez wszystkie lata.

- Jasne, trzeba będzie coś z tym zrobić. Bill, wyświadczyć mi uprzejmość, dobrze? Zachowaj dla siebie tę wiadomość, dopóki sama wszystkiego nie sprawdzę. Nie ma potrzeby, żeby mówić o tym tacie, zanim nie będziemy mieli pewności. Rozumiesz, rodzice przyjaźnią się z ciocią Nancy...

- Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Podziękowała mu, pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Tak więc najgorsze obawy się potwierdziły. Grzebanie w przeszłości Alfreda Hoffmana miało odsłonić człowieka zupełnie innego od tego, którego kochała ciotka Nancy. Można mieć było tylko nadzieję, że prawda o zmarłym mężu nie okaże się jednak taka straszna.

13

Inwentaryzacja majątku przebiegała dość sprawnie. Pracownik Billa Pfeiffera zadzwonił w piątek po południu, żeby zawiadomić Mary Liz, że jej wskazówki doprowadziły ich do pewnych ukrytych aktywów. Okazało się, że Alfred Hoffman dokonał jakiejś inwestycji za granicą, i to dużej, o której nic nie wiedzieli. Specjalnie dla niej, dla Mary Liz, będą pracować przez cały weekend, żeby wyjaśnić, o co tak naprawdę chodziło.

Mary Liz bardzo ucieszyła ta nowina. Jeśli będzie zmuszona wyjawiać Nancy niezbyt miłe informacje na temat zmarłego męża, to może osłodzi je trochę wiadomość o znalezieniu dodatkowych zasobów finansowych.

Koło czwartej po południu ktoś zastukał do drzwi. Zarówno Mary Liz, jak Ashley, drgnęły z przestachu, po czym pies rzucił się ze szczekaniem w stronę werandy.

- Ty głuptasie! - Nancy skarciła Ashley. - Nie poznajesz mnie?

- Wróciłaś! - zawołała Mary Liz.

- Przed chwilą - odparła ciotka, wchodząc do środka i chwytając Ashley w objęcia, zupełnie jak gdyby była małym dzieckiem. - Wyobraź sobie, że wyjechaliśmy z Manhattanu o wpół do dwunastej i dopiero teraz dotarliśmy na miejsce. Cztery i pół godziny! Korki są coraz większe, chyba zacznę korzystać z samolotu. - Skrzywiła się lekko, myśląc zapewne o śmierci swego męża.

Jak się okazało, Nancy przyszła nie tylko po Ashley, która zresztą nie przejawiała zbyt wielkiej ochoty, by opuścić domek swej nowej pani, lecz również z prośbą do Mary Liz, żeby przejęła kilka obowiązków towarzyskich dziś wieczorem - koktajl i przyjęcie na rzecz Czerwonego Krzyża w Wainscott, wernisaż na rzecz Towarzystwa Walki z Rakiem i aukcja w Southampton, mająca na celu zbiórkę pieniędzy na badania nad AIDS.

- Proponuję - powiedziała - żebyś najpierw zaliczyła galerię o szóstej, potem przyjęcie o siódmej piętnaście, a na koniec pojechała na aukcję, na dziewiątą. Zapisalam ci, na co masz złożyć ofertę i w jakiej wysokości.

Mary Liz jęknęła w duchu. Jak trafi do tych wszystkich miejsc? Z kim będzie rozmawiała? I jeszcze ta aukcja!

- Claire przyjedzie po ciebie za piętnaście piąta - dodała Nancy. - Oczywiście, jeśli zechcesz to dla mnie zrobić.

Co mogła odpowiedzieć?

- Jasne, z przyjemnością.

- Dziękuję, kochanie. Mam nadzieję, że nie miałaś planów na dzisiejszy wieczór?

- Nie, na dzisiaj nie. - Była to prawda. Umówiła się ze Sky 'em dopiero na jutro.

- Widzisz, dziecko, ja muszę jutro wydać lunch dla rady hospicjum, a jestem straszliwie zmęczona.

- W porządku - powiedziała Mary Liz. - Bardzo lubię Claire. Jestem pewna, że będę się świetnie bawiła w jej towarzystwie.

Gdy została sama, dom bez Ashley wydał jej się nagle okropnie pusty. Spojrzała na zegarek i uznała, że zdąży jeszcze popływać przed rozpoczęciem przygotowań do tego pracowitego wieczoru. Włożyła kostium, klapki i szybko poszła nad wodę.

Na plaży zastała Wendy, ubraną w zgrabne czarne bikini, oraz Bertiego w jednej z tysiąca par kąpielówek z jego prywatnej kolekcji. Oboje wyglądali świetnie. Siedzieli na leżakach, popijali wodę i rozmawiali z Jeanine Hoffman, która stała obok nich w stroju do tenisa i (oczywiście, oczywiście) również wyglądała świetnie. Wszyscy troje zmierzyl ją podejrzliwym wzrokiem i Mary Liz od razu poczuła się niepewnie.

- Cześć - przywitała się.

- Cześć - odrzekła Jeanine, zaś Bertie i Wendy popatrzyli tylko na nią wrogo.

- O co znów chodzi? - spytała Mary Liz.

Bertie wstał bez słowa i ruszył w kierunku domu; sekundę później to samo uczyniła Wendy.

- Nie wiesz, co ich ugryzło? - Mary Liz spytała Jeanine. -1 czemu ty tak dziwnie na mnie patrzysz?

Czy moglibyście wreszcie mnie oświecić, czym tak bardzo się wam naraziłam?

- Przykro mi - Jeanine spuściła głowę - ale naprawdę nie mogę się w to mieszać. - Z tymi słowy ona również odeszła.

Ech, do diabła z nimi! Skoro jest już na plaży, popływa sobie trochę. W końcu tylko po to tu przyszła.

Zeszła na brzeg, zrzuciła klapki. Była akurat pora przyływu i fale z hukiem rozbijały się o brzeg.

Zamoczyła nogi, po czym od razu cała zanurzyła się w wodzie. Była zimna. Nie, raczej orzeźwiająca.

Mary Liz z rozkoszą poddawała się jej dotykowi i czuła, jak opuszcza ją zdenerwowanie i zmęczenie.

Żałowała, że nie wzięła ze sobą czepka kąpielowego i okularów, bo wówczas mogłaby popłynąć dłuższy kawałek czałem, a tak sól paliła ją w oczy. Położyła się więc na plecach i dała unosić wodzie.

Och, jakże lubiła pływać! Jezioro Michigan nadawało się do tego tylko przez krótki okres w roku, ale i tak wykorzysty-

wała każdy weekend, by popływać, zaś jesienią, zimą i wiosną korzystała z basenu w klubie rekreacyjnym w Chicago.

Unosiła się na falach, czuła się coraz bardziej odprężona, lecz nie mogła zrelaksować się do końca. Co wiedzą o niej Bertie i Wendy - ta myśl wciąż nie dawała jej spokoju.

- Mój wehikuł jest już dość wiekowy - powiedziała Claire, gdy trzęsły się na drodze do miasta jej starym furgonem z nadwoziem wyłożonym listewkami. - Chyba podaruję go kiedyś do jakiegoś muzeum. - Miała na sobie miękką suknię z białej bawełny o pastelowym deseni, z dużym dekoltem, który odsłaniał jej pełne piersi. Przed wyjściem Claire wyjaśniła z uśmiechem, że dekolt służy wyłącznie odwróceniu uwagi od innych okrągłości jej ciała. - Prawdę mówiąc - dodała w chwilę później - za parę lat będę mogła im podarować ten samochód, tę suknię i samą siebie.

- Uważam, że wszystkie trzy eksponaty nie kwalifikują się jeszcze do muzeum. Są urocze i prześliczne. - Mary Liz mówiła prawdę. Claire zawsze będzie dla niej piękna, bez względu na to, ile kilogramów jej przybędzie.

- Zwykle nie przepadam za przyjęciami, wiesz o tym. - Claire zmieniła temat. - Dziś jednak uczyniłam wyjątek. Po pierwsze - artystka, której prace będą wystawione, jest moją przyjaciółką; po drugie - sama przez wiele lat wspierałam Czerwony Krzyż. I wreszcie - ciekawa jestem, za ile pójdzie mój obraz, który ofiarowałam na tę aukcję, na którą jedziemy. Pracowałam nad nim jak wyrobnica, ale myślę, że jest niezły.

Mary Liz uśmiechnęła się do siebie. Miała zaoferować na początek w imieniu Nancy pięć tysięcy dolarów za obraz Claire i licytować do wysokości piętnastu tysięcy, o ile nie kupi go wcześniej.

Swoją drogą to ciekawe, jakie mogą być dochody Claire. Opowiadała kiedyś, że znalezienie tematu, zrobienie szkicu, a następnie namalowanie obrazu zajmuje jej około miesiąca. Jeśli zatem sprzedaje jeden obraz miesięcznie, to biorąc pod uwagę górną stawkę podaną przez Nancy, wychodzi jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dziesięć miesięcy pracy. Do utrzymania Claire ma dom, pracownię oraz samochód, Henry opłaca koszty nauki obu córek. Cóż, jak na porzuconą żonę i matkę dwójki dzieci, wiedzie jej się całkiem nieźle.

Galeria w East Hampton, do której miały udać się najpierw, leżała tuż przy Main Street. Przyjechały dość wcześnie, znalazły miejsce na parkingu i weszły do środka. Prostokątna sala o podłodze z desek nie była zbyt duża - jakieś dziewięć na cztery i pół metra. Malarka, której obrazy wystawiano, Syd Lyberg, przefrunęła przez salę jak na skrzydłach, by serdecznie wyściskać Claire, a potem przywitała się z Mary Liz. Zaprowadziła je do ustawionego w rogu stołu, podała plastikowe kubeczki z białym winem i poszła witać kolejnych gości.

Syd Lyberg malowała farbami akrylowymi i wyraźnie preferowała pejzaże. Według Mary Liz mankamentem jej malarstwa było używanie wyłącznie jaskrawych kolorów. Słońce było oślepiające, drzewa się jarzyły, wszystko przypominało okładki albumów rockowych z lat sześćdziesiątych. Cena? Też rażąca, choć nie za bardzo - około czternastu tysięcy dolarów.

- Dziesięć procent odprowadzane jest na rzecz Towarzystwa Walki z Rakiem - szepnął im do ucha jakiś mężczyzna, który przedstawił się jako właściciel galerii.

- A dochód z biletów? - spytała Mary Liz. Na tym, który dała jej Nancy, widniała cena dwudziestu pięciu dolarów.

- Po odliczeniu kosztów wszystko idzie na klinikę.

Mary Liz spróbowała wina - było znakomite. Zbyt drogie jak na imprezę, mającą na celu zbiórkę pieniędzy na zbożny cel. Nie była pewna, czy po odliczeniu kosztów cokolwiek jeszcze zostanie i czy marszand jest rzeczywiście takim filantropem.

Gdy Claire podeszła do niej bliżej, szepnęła do niej dyskretnie:

- Czy mogłabym dokonać darowizny bezpośrednio na rzecz kliniki, nie urażając przy tym twojej przyjaciółki?

- Jasne. Syd nie poczuje się urażona. Kiedyś, w przeszłości, była moją protegowaną. - Claire pochyliła się ku niej. - Swoje prawdziwe prace wystawia pod innym nazwiskiem. Takie obrazy, jak te maluje wyłącznie na zamówienie właściciela tej galerii.

- A jakie jest to nazwisko?

- Prawdziwe? Michelle White.

- Dwie twarze malarki?

- Mhm. To, co sama ceni, nie jest tym, co jest chwytliwe. Musi z czegoś żyć.

Mary Liz wypisała czek, po czym wsiadły obie do samochodu, by ^zaliczyć" kolejny koktajl.

Wainscottt okazało się niewielką miejscowością, położoną malowniczo tuż przed Bridgehampton.

Przejechały przez miasteczko, a potem skręciły w wijącą się boczną drogę, którą dojechały do uroczej wiejskiej posiadłości.

Na trawniku były rozstawione trzy namioty w żółto-białe pasy. Wśród chroniących się w cieniu gości kręcili się kelnerzy ze srebrnymi tacami, roznosząc jedzenie oraz napoje. Pod jednym z namiotów, gdzie rozłożony był parkiet, przygrywał pięcioosobowy zespół muzyczny.

Hm, tutaj tym bardziej nie można było liczyć na zwrot kosztów ze sprzedaży biletów.

Claire знаła chyba z połowę obecnych na przyjęciu osób i raz po raz przedstawiała Mary Liz kolejnym gościom. Mówiła o niej „moja przyjaciółka” i dopiero potem dodawała, że jest ona jednocześnie chrześniaczką Nancy Hoffman i przyjechała w jej zastępstwie, bowiem Nancy nie czuje się najlepiej. W ten oto sposób Mary Liz poznała znanego pisarza, Kurta Vonneguta, oraz twórczynię znakomitych fotografii, Jill Krementz. (Oczywiście poznała również „zwykłych” gości, których nazwiska nic jej nie mówiły.)

- O mój Boże, Claire - szepnęła w pewnym momencie, chwytając przyjaciółkę za rękę. - Nie powiesz mi chyba, że znasz Lauren Bacall?

Claire uśmiechnęła się tylko i podeszła z nią do słynnej aktorki.

- Ja... nie wiem nawet, co powiedzieć - wyjąkała Mary Liz - poza tym, że jest pani wspaniała i że panią uwielbiam.

Aktorka popatrzyła na Claire i mrugnęła do niej z zadowoleniem.

- Powinnaś częściej przyprowadzać swoje przyjaciółki, Claire.

- No wiesz, Mary Liz - roześmiała się Claire, gdy odeszły. - Taka z ciebie profesjonalistka, a jąkałaś się i krygowałaś jak uczennica.

- Daj spokój, przecież to Lauren Bacall! Ja spotykałam się z klientami. Fakt, byli bogaci, ale to jednak nie to samo... Poczekaj, aż powiem mojej mamie!

- Oho, mam cię! - Mary Liz poczuła, jak ktoś chwyta ją z tyłu za ramiona. - Mówiłaś, że nigdzie się dzisiaj nie wybierasz. - Natychmiast rozpoznała głos Sashy Reinhart.

- Nie oszukałam cię, Sasho - wyjaśniła Mary Liz i odwróciła się do piosenkarki. - Przysięgam, że przyszedłam tu wyłącznie na prośbę Nancy. Nie czuła się zbyt dobrze.

Sasha skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła na nią surowo, jak gdyby zastanawiała się, czy przyjąć to wytłumaczenie.

- To prawda - potwierdziła Claire. - Gdyby nie to, Mary Liz na pewno by nie przyszła. Znasz ją przecież. A ty wyglądasz przepięknie - dodała.

Sasha uśmiechnęła się z zadowoleniem i dotknęła włosów końcami palców. Dziś były gładko uczesane i tkwiła w nich duża biała lilia, co od razu skojarzyło się Mary Liz z Billie Holiday*. Pewnie o takie skojarzenie zresztą chodziło.

- A co sądzisz o jej sukni? - spytała Rachelle Zaratan, podchodząc do nich z kieliszkiem w dłoni. Sama była ubrana skromnie, w białą jedwabną suknię i sandaalki. - Żeby ją włożyć, trzeba mieć naprawdę boskie ciało...

- Dziękuję, Rachelle - powiedziała gwiazda. Miała na sobie czarną, krótką sukienkę z bawełny, bez rękawów, z niezwykle odważnym dekoltem, który odsłaniał prawie wszystko, z wyjątkiem brodawek jej piersi.

Mary Liz i Claire wymruczały słowa aprobaty dla owej sukni, a w chwili gdy nikt na nie nie patrzył, Claire wywróciła oczy, jak gdyby chciała zapytać Mary Liz: „Czy przyszło-by ci kiedyś do głowy włożyć coś takiego?”.

- No to kiedy do mnie wpadniesz? - spytała Sasha. - Mieszkasz przecież tak blisko.

- Sasha chce przez to powiedzieć - wyjaśniła Rachelle - że kompletnie cię nie rozumie. Cały świat zabiega o jej towarzystwo z wyjątkiem ciebie, Mary Liz.

- Och, jesteśmy z Mary Liz w wielkiej przyjaźni - wykrzywiła się Sasha.

*Billie Holiday (1915-59) - słynna amerykańska wokalistka bluesowo-jazzowa, zaliczana do legend żeńskiej wokalistyki jazzowej, (przyp.red.)

- To prawda - skinęła głową Mary Liz.

- No proszę. Rachelle jest po prostu zazdrosna - wyjaśniła gwiazda. - Ponieważ sama nie ma żadnych przyjaciół, zawsze mi powtarza, że tylko ona jest moją jedyną prawdziwą przyjaciółką.

- Sasha!

- Przecież to prawda, nie masz przyjaciół, bo nigdy nie masz dla nich czasu. Zawsze pracujesz. Gdyby ci nie zależało, żebym nosiła zaprojektowane przez ciebie ciuchy, pewnie nie widywałabym cię w ogóle.

- Sasha... - Tym razem Rachelle zrobiło się wyraźnie przykro.

- Ty głuptasie, przecież cię kocham! - rozpromieniła się piosenkarka, po czym oddała kieliszek Mary Liz, by uściskać Rachelle.

Błysnął flesz, fotograf zrobił zdjęcie.

- Zaraz, zaraz! - wykrzyknęła Sasha. - Jeśli koniecznie chcesz mieć moje zdjęcie, musimy być na nim wszystkie - Rachelle, Mary Liz Scott, Claire MacClendon i ja! Chodźcie, dziewczęta! - Ustawiła je w szeregu, obejmując najbliższe, Rachelle i Mary Liz. - Mary Liz, odstaw kieliszki, bo wszyscy powiedzą, że byliśmy pijane.

Fotograf zrobił zdjęcie, przepaszając jednocześnie Mary Liz za to, że nie wie, kim jest.

- Nikim-odparła wesoło.

- Bogatą współpracowniczką w znanej firmie, która postanowiła się wycofać w wieku trzydziestu dwóch lat - wyjaśniła Sasha. - A także chrześniaczką Nancy Hoffman. Musicie wydrukować to zdjęcie.

Podeszła do nich gospodyni i zabrała gdzieś Saszę, więc Mary Liz rozejrzała się za Claire. Ku jej zdziwieniu, dostrzegła przyjaciółkę w towarzystwie eksmęża. Rozmawiała

z nim na stronie, zaś nigdzie obok nie było obecnej żony Henry'ego, Cindy Claydon.

- Słyszałam - zagadnęła Rachelle - że jesienią będziesz pracowała z Sashą.

- Słucham? - spytała zaskoczona Mary Liz.

- Przy filmie. Herb Glidden właśnie mi powiedział, że będziesz producentem i zajmiesz się finansami.

- Tak ci powiedział?!

- Oczywiście. Że pracujesz dla niego. Jest tutaj, o, spójrz. Rzeczywiście. Herbert Glidden stał nieopodal przy barze,

rozmawiając z Julusem i Jeanine.

No cóż, wieczór robił się coraz ciekawszy.

- Idziemy do niego? - zaproponowała Rachelle. - W przeciwieństwie do niektórych, ja się go nie boję. Mary Liz spojrzała na nią wymownie.

- Ja też się nie boję rozmowy z Gliddenem. Boję się, że go zabiję w obecności świadków!

- Nie jesteś odosobniona w swoich uczuciach - roześmiała się Rachelle. - Mój Charles na przykład nie cierpi jego bezczelności, ale odkąd Alfred nie żyje, trudno przewidzieć zachowanie Herba, więc nikt nie ma ochoty z nim zadzierać.

- No właśnie. Dlaczego właściwie tak jest, Rachelle? Może ty mi coś powiesz. Twój mąż z nim nie pracuje, prawda? Nie mieszkacie nawet w Los Angeles...

- Prawda. Znamy go wyłącznie stąd. Przez Alfreda.

- Czemu więc musicie go znosić? Nie rozumiem.

Mary Liz naprawdę tego nie rozumiała. Sprawdziła wszystkie informacje dotyczące znajomych Alfreda - tych samych, którzy byli w jakiś sposób powiązani z Gliddenem, lecz nie chcieli się do tego przyznać - i nie znalazła niczego, co mogłoby ich łączyć, ani wspólnych powiązań bizneso-

wych, ani wspólnego miejsca urodzenia, nauki czy zamieszkania. Nic.

Charles Kahn - Uniwersytet w Nowym Jorku, dyrektor naczelny „Rachelle Zaratan Clothing”.

Henry MacClendon - Cornell, prezes „Henry MacClen-donArchitects”.

Claude Lemieux - Cambridge, właściciel i wydawca „Je Ne Sais Quoi

Randolph Vandergilden - Princetoni, winiarz, „Eastern Winery”.

Sinclair „Buck” Buckley - dwa lata Kalifornijskiego Uniwersytetu w Los Angeles...

Jedynym łączącym ich ogniwem było East Hampton i dawna znajomość z Alfredem Hoffmanem. Jeśli idzie o Juliusa Hoffmana, to łączyła ich wytwórnia „Howland Films” - teraz stali się rywalami i obaj wytoczyli Nancy proces o zarządzanie firmą.

- Cóż - westchnęła Rachelle. - Jak zapewne zauważyłaś, nasi mężczyźni nie mają zbyt pewnej pozycji.

Charles pracuje dla mnie, Vanessa trzyma w garści całe pieniądze Buckle-yów, Claude ma czasopismo, ale tylko dzięki temu, że poślubił córkę magnata prasowego, a Randolph to po prostu stary alkoholik, który przepił cały majątek i teraz uczeplił się wytwórni win, która nawet nie jest jego własnością. - Kiwnęła głową w kierunku Claire. - A ten głupiec Henry nadal nie rozumie, jak bardzo inspirowała go Claire. Całkiem oklapnął przy Cindy, skończył się, wypalił. Od chwili, gdy się z nią ożenił, nie zaprojektował niczego sam. Wiesz o tym, prawda?

- Nie miałam zielonego pojęcia.

- Jest po prostu starym facetem, który na siłę chce się odmłodzić. Wykorzystuje zdolności swoich pracowników,

a sam nie może wyjść poza swoje dawne, najlepsze prace. Musi mu strasznie brakować Claire.

Mary Liz dopiła resztkę wody mineralnej.

- A jednak wszyscy sprawiają wrażenie bardzo bystrych, bardzo miłych i raczej szczęśliwych. Twój mąż też.

- I chyba trochę zdezorientowanych - powiedziała Rachelle, przyglądając się zachodowi słońca. - Widzisz, dzięki Alfredowi nabrali nadziei, poczuli się zainspirowani, uwierzyli w możliwość nowego startu i nowego sukcesu. - Uśmiechnęła się. - A przy Herbie czują się niepewnie. Wiem, że przynajmniej Charles tak właśnie się czuje - okropnie. Albowiem Herb dokłada wszelkich starań, żeby pozbawić ich resztek pewności. Stale przypomina bolesne sprawy, błędy, sytuacje. I dlatego on sam, Mary Liz, nadyma się jak balon i wydaje mu się, że jest Bóg wie kim. Cholerny sk...syn!

- Czemu więc nadal utrzymujecie z nim stosunki towarzyskie? Czemu nie zatrzęsienie mu drzwi przed nosem?

- Ponieważ to jest East Hampton, Mary Liz. Tutaj dopuszcza się wrogów równie blisko, jak przyjaciół. Zaszliśmy zbyt daleko, żeby dać się zaskoczyć.

Glidden zauważył Mary Liz i pomachał do niej dłonią.

- No, chodź, pójdziemy pogłaskać rekina - uśmiechnęła się Rachelle.

Mary Liz wzięła po drodze z tacy kieliszek białego wina i napiła się odrobinę. Na powitanie Glidden pocałował ją w policzek i ujął pod ramię, zaś Julius uśmiechnął się tajemniczo i skinął głową. Jeanine miała po prostu zasmuconą minę.

- Słyszałem, że zamierzasz pracować dla Herba - wycedził Julius i uśmiechnął się lodowato niczym morderca, który zaplanował już morderstwo.

- Nie licz na to! - powiedziała ostro do Gliddena. - Co to

ma znaczyć? Rozpowiadasz wszystkim, że dla ciebie pracuję, podczas gdy nie przeprowadziłam z tobą jeszcze żadnej rozmowy.

- Co takiego? - spytała z nagłym ożywieniem Jeanine Hoffman.

- Och, musimy tylko ustalić szczegóły, Mary Liz - Glidden próbował ułagodzić ją dobrodusznym uśmiechem.

- Szczegóły? A może mi najpierw wyjaśnisz, na czym ogólnie miałyby polegać ta praca? Przykro mi, on celowo wprowadził was w błąd - wyjaśniła Hoffmanom.

- A więc nie pracujesz dla niego? - spytała Jeanine i odwróciła się do Gliddena ze złością. - Co ty, u diabła, sobie myślisz? Czemu powiedziałaś...

- Poniedziałek - uciął stanowczo, przerywając Jeanine. - Wyjaśnię ci wszystko w poniedziałek, Mary Liz.

Zadziwiająco. Jednym słowem zamknął wszystkim usta, nie pozwalając skomentować faktu, że ich zwyczajnie okłamał. Co dziwniejsze, Mary Liz również nie miała ochoty się z nim spierać. Glidden wyraźnie prowadził jakąś grę i chciała mieć trochę czasu, żeby go rozgryźć.

- Chciałbym, żebyś poznała mojego syna - odezwał się Herbert do Mary Liz, popychając ku niej niezgrabnego, ciemnowłosego młodzieńca o nieśmiałym uśmiechu. - Alex, to Mary Liz Scott, chrześniaczka wujka Alfreda.

Była to oczywista nieprawda. To Nancy była jej matką chrzestną, Alfreda Mary Liz w ogóle nie znała, nawet gdy była dzieckiem.

Alex podał jej spoconą ze zdenerwowania dłoń.

- Alex kończy studia MBA, w Stanford - powiedział Glidden.

- Świetna szkoła - rzekła z uznaniem Mary Liz. - Czym się interesujesz?

197

- Oczywiście filmami - odpowiedział za niego ojciec, śmiejąc się głośno.

Mary liz spojrzała na Alexa, unosząc brwi.

- Filmami?

- Od strony finansowej - wymamrotał chłopak, wpatrując się w trzymaną w dłoni szklanę piwa.

Biedak. Towarzyskie zero. No, ale jeśli jego ojciec ma takie wpływy, jak wspominała Rachele, to jest to bez znaczenia. Ludzie i tak będą się bali podstawić mu nogę.

- Przyjechałeś tu na weekend?

- Tak-skinął głową.

- Grasz w tenisa?

- Tak.

Mary liz popatrzyła na Jeanine Hoffman.

- Czy jest jakaś szansa, żebyś zagrała przeciwko nam ze swoim partnerem?

Alex był wyraźnie zaszokowany, a zaraz potem wdzięczny Mary liz, gdy ta zbyła natychmiastową sugestią Herberta, że zagra z nią zamiast syna.

- Daj spokój, tatuśku, daj choć raz synowi wychodne.

- I tak jutro miałam grać z Claude'em. - Jeanine wzruszyła ramionami. - Wpół do dziesiątej, może być?

Mary Liz spojrzała pytająco na Alexa. Skinął twierdząco głową.

- Wobec tego jesteśmy umówieni - powiedziała. Świetnie. Może uda jej się dowiedzieć od chłopaka czegoś więcej o jego ojcu.

Wszyscy rozmawiali jeszcze jakiś czas na mało istotne temat i tylko Mary Liz oraz Alex męczeli, przysłuchując się wymianie zdań. Mary Liz przyglądała mu się z uwagą i z każdą minutą zmieniała o nim swoją pierwszą opinię. W świecie, gdzie wszyscy bez ustanku klepią języ-

kiem, umiejętność słuchania była czymś niezwykle rzadkim i cennym.

Owładnęły nią dziwne myśli - o żonie Herba Gliddena, która nie mogła opuścić domu w Los Angeles, o Juliusie, który chwycił ją za biust na koktajlu, o Jeanine, która była kochanką Gliddena, a potem wyszła za Juliusa...

Jedynie Rachelle Zaratan, nowojorska projektantka z obcym akcentem, zdawała się nie mieć żadnych tajemnic. Miała natomiast talent, rozmach i dążyła z całych sił, by jej kreacje były coraz bardziej słynne i coraz bardziej rozchwytywane. Przyjaźń Rachelle z Sashą Reinhart bazowała na tym, że obie były twórczymi, dynamicznymi kobietami, które wpadły w sidła własnego sukcesu.

Claire skończyła rozmowę z Henrym i podeszła do Mary Liz, skarżąc się na nagłą niedyspozycję. Nie miała ochoty jeść ani jechać na aukcję, chciała jak najszybciej znaleźć się w domu.

- Witaj, Claire - powitał ją Herb Glidden.

- Dobry wieczór - odrzekła, nie patrząc nawet na niego.

- Rozmawiałaś ze swoim byłym, co? - mówił dalej. - Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Ostatnio nie jest najsympatyczniejszym kompanem. Pewnie ma to związek ze zbliżającymi się narodzinami dziecka.

- Odepierz się, Herb - odcięła się Claire, zupełnie nie w jej stylu, a Mary Liz od razu przypomniała się podsłuchana rozmowa między Henrym a Herbertem na przyjęciu w Ama-gansett. O jakie faktury wtedy chodziło? Przecież MacClendon nie pracował dla Gliddena ani dla „Howland Films”, - Czy to naprawdę ty, Alex? - spytała Claire z uśmiechem, przechodząc obok ojca, by podać rękę synowi. - Cieszę się, że cię widzę.

- Dobry wieczór - odparł sztywno chłopak.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawisz.
- Tak.
- Ja, niestety, nie za bardzo. Przepraszam cię na chwilę. - Odciągnęła na bok Mary Liz. - Posłuchaj, naprawdę bardzo mi przykro, ale czuję się po prostu okropnie. Chcę wracać...
- No proszę, co za miła niespodzianka! - przerwał im nagle męski głos. Mary Liz odwróciła się i ze zdumieniem zobaczyła, że to Bill Pfeiffer.
- Claire MacClendon, prawda? - Wyciągnął dłoń do malarki.
- Tak, przepraszam...
- Bill Pfeiffer. Poznaliśmy się na festynie na rzecz dzieci chorych na białaczkę, pamięta pani?
- Ach, tak! Ma pan uroczą córeczkę, Jenny! - rzekła Claire z uśmiechem.
- Rzeczywiście. Cieszę się, że panią znów spotykam.
- Ja również, panie Pfeiffer, ale... chyba będę musiała się pożegnać. Przykro mi. Właśnie mówiłam Mary Liz, że nie czuję się najlepiej i chciałabym wracać do domu.
- To fatalnie.
- A czy przypadkiem nie wybiera się pan dzisiaj na aukcję w Southampton? - spytała Claire.
- Niestety, nie. Muszę być na przyjęciu u przyjaciół w Bridgehampton... - Popatrzył na zegarek. - Właściwie już powinienem być w drodze.
- Bridgehampton? Chyba nie na tym przyjęciu w stylu pirackim?
- Szczerze mówiąc, właśnie na tym - zdziwił się nieco.
- I zaprosił pana Roscoe?
- Tak! - rozpromienił się Bill.

- To świetnie, mieszkam tuż obok. - Claire również się ucieszyła. - To może mógłby mnie pan podwieźć do domu? A ty - zwróciła się do Mary Liz - wzięłabyś mojego grata?

Nim Mary Liz zdążyła zareagować, Bill oświadczył, że jest gotów do drogi. Claire naskrobała na serwetce wskazówki co do aukcji i wręczyła jej kluczyki do furgonu.

- Odbiorę go jutro. Przykro mi, że cię zostawiam. Pa!

- Słyszałam, że jeszcze dokądś się wybierasz - zagadnęła Sasha, wracając do Mary Liz.

- Och, na aukcję do Southampton. - Pokazała serwetkę. - Tu mam wskazówki od Claire.

- Aukcja na rzecz badań nad AIDS? Rachelle - obejrzała się przez ramię, szukając wzrokiem przyjaciółki - chcemy pojechać na aukcję w Southampton?

- Jasne, my tak, ale Charles z pewnością nie. Pamiętaj, że przyjechaliśmy razem.

- Nie ma problemu. Mam przecież samochód - powiedziała Mary Liz.

- A więc załatwione - ucieszyła się Sasha. - Powiedz Charlesowj, że damy mają dzisiaj wychodne.

Gwiazda muzyki pop i projektantka mody były zabawnymi i przemiłymi kompankami. Jedyne mankament stanowił fakt, że obie były sławne, zwłaszcza Sasha, toteż na parkingu natychmiast obiegił ich tłum wielbicieli i łowców autografów. Gdy wreszcie Sashy udało się jakoś wyrwać, wszystkie trzy weszły do muzeum sztuki.

Cena jednego biletu na aukcję wynosiła dwieście pięćdziesiąt dolarów.

W środku, na długim stole, znajdowały się tace z serem, kieliszki z winem, kawa i herbata. We frontowej sali ustawione były składane krzesła, zaś blok aukcyjny mieścił się na

201

podwyższeniu, pod sklepieniem przejściem prowadzącym do drugiej sali.

Licytacja właśnie się zaczynała. Mary Liz chwyciła serwetkę i trochę sera (nie jadła jeszcze kolacji) - i usiadła z towarzyszkami w ostatnim rzędzie. Sasha od razu spytała ją szeptem, czy wie, jaka jest zawartość tłuszczu w tym kawałeczku sera.

Gdy licytowano obraz Syd Lyberg, na której wernisażu Mary Liz była wcześniej, omal nie wybuchnęła śmiechem - zwłaszcza gdy Sasha zaczęła mówić coś o energetyzujących kolorach i złożyła ofertę tysiąca dolarów. W rezultacie obraz „poszedł” za tysiąc pięćset. Sasha nie podbijała już ceny, mówiąc, że aż tak bardzo nie zależy jej na uzupełnieniu pomarańczowych akcentów w jej salonie w Malibu.

Aukcja była bardzo ożywiona. Po obu stronach licytatora siedzieli asystenci, którzy przyjmowali zgłoszenia telefoniczne. Obraz Claire stanowił ostatnią pozycję w katalogu -najwyraźniej miał to być kulminacyjny punkt licytacji. Zanim do niego doszło, Mary Liz zastanawiała się wielokrotnie, za co ludzie płacą naprawdę spore pieniądze.

No, ale w końcu po co organizowane są aukcje dobroczynne? Po to, by znani artyści pozbyli się swoich najslabszych prac.

W końcu na sztalugach ustawiono obraz Claire MacClendon. Gdy Mary Liz usłyszała pełne uznania szepty wśród zebranych, od razu zrobiło jej się ciepło na sercu. To malowidło nie było ochłapem rzuconym na cele dobroczynne. Mimo że niezbyt duży, pejzaż całkowicie przykuwał uwagę obserwatora. Przedstawiał ocean tuż przed burzą, był dość ciemny, ale naładowany jakąś wewnętrzną energią i bardzo, bardzo piękny.

Mary Liz pomyślała, że znakomicie oddaje stan ludzkiej

duszy, gdy ponury nastrój i gniew niby przesłaniają wszystko, a jednak w głębi serca tli się wiara, że znów wyjdzie słońce i nastanie słoneczny dzień.

- To ostatni obraz - rzekł prowadzący licytację - i jeśli wolno mi taktownie zauważyć, najbardziej niezwykły. Jak wielu z państwa zapewne wie, Claire MacClendon jest miejscową artystką, która mieszka na stałe w Bridgehampton od czterech lat. Wcześniej dzieliła swój czas między Bridgehampton i Manhattan. Zwykle maluje akwarelami, do tego jednak obrazu wybrała, jak widać, farby olejne. Dokładność Turnera łączy się tu z romantyczną zamaszystością szkoły Hudson Valley; malarka operuje światłem, jego refleksami. To doprawdy rzadki obraz, jedyny tego rodzaju w twórczości malarki. I jak sami mogą państwo ocenić, doprawdy świetny. Pani MacClendon wystawiała swoje prace w Nowym Jorku, w Los Angeles, San Francisco, Waszyngtonie oraz w Anglii. Pisano o niej w licznych czasopismach, między innymi w „Redbook”, „Je Ne Sais Quoi”, „Town and Country”. Otwieramy licytację sumą trzech tysięcy dolarów...

Gdy ktoś zaoferował cztery tysiące, Mary Liz natychmiast wykrzyknęła: „Pięć!” - tak głośno, że jej towarzyszki drgnęły z przestachu. Sasha zaproponowała sześć, a Rachelle sześć i pół. Mężczyzna w pierwszym rzędzie zalicytował siedem, Mary Liz osiem, ktoś telefonicznie dziewięć, Sasha dziesięć, Rachelle natomiast podniosła stawkę do dwunastu, a potem Mary Liz od razu do piętnastu.

- Zwolnij tempo! - syknęła Sasha, wbijając jej łokieć w bok.

Mężczyzna w pierwszym rzędzie zaproponował szesnaście tysięcy dolarów, inny osiemnaście, przez telefon zgłoszono dwadzieścia. Po króciutkiej przerwie Rachelle zalicytowała dwadzieścia jeden i zapadła cisza.

- Czy słyszałem dwadzieścia dwa? - spytał licytator.
 - Dwadzieścia pięć! - rozległ się z tyłu znajomy głos. Mary Liz obejrzała się i zobaczyła stojącego w progu Herberta Gliddena.
 - Dwadzieścia siedem i pół! - Sasha od razu podniosła rękę.
 - Trzydzieści - nie ustępował Glidden. Przez salę przebiegł pomruk zdumienia.
 - Trzydzieści tysięcy dolarów za jedyny w swoim rodzaju obraz Claire MacClendon! - zawołał rozpromieniony licytator. - Trzydzieści po raz pierwszy, po raz drugi...
 - Trzydzieści pięć tysięcy! - wykrzyknęła Mary Liz, wstając z krzesła. Było jej niedobrze. Obejrzała się na uśmiechniętego Gliddena, który zastanawiał się chwilę, przechyliwszy na bok głowę. Wreszcie spojrzał na licytatora i pokręcił przecząco głową.
 - A więc trzydzieści pięć tysięcy dolarów po raz pierwszy! Po raz drugi... - wszyscy wstrzymali oddech - i po raz trzeci! Sprzedany! - oświadczył licytator, uderzając młotkiem i wskazując na Mary Liz. - Gratuluję pani!
- Wszyscy odwrócili się, by na nią popatrzeć. Byli mocno zdziwieni, jednak Mary Liz nie czuła się bynajmniej zakłopotana. Była raczej szczęśliwa. Przecież nie mogła pozwolić, żeby Herbert Glidden kupił ten obraz.

14

Nazajutrz o ósmej rano zadzwonił telefon. Mary Liz sięgnęła po omacku po słuchawkę i usłyszała po drugiej stronie głos ciotki Nancy.

- Jestem oczywiście pełna uznania, kochanie, dla twojej determinacji, ale przecież powiedziałam ci, na miłość boską, żebyś licytowała do piętnastu tysięcy. Nie w tym rzecz, bym uważała, że obraz Claire nie jest wart trzydziestu pięciu, ale...

- Kupiłam ten obraz dla siebie, ciociu - wychrypiała Mary Liz, sięgając po butelkę z wodą, którą przewidująco postawiła wieczorem obok łóżka. Po licytacji Sasha i Rachelle wlały w niańftiezliczoną ilość drinków w domu Sashy. Ostatnie, co zapamiętała, to że tańczyła na trawniku fokstrota, jej partnerem był Riff, a Sasha śpiewała „Przetańczyć całą noc” przy akompaniamencie Rachelle, która waliła drewnianym młotkiem do mięsa w metalowy zbiornik na paliwo.

Nie, to nie wszystko! Pamiętała jeszcze, jak dała nurka w ubraniu do basenu Sashy. Włosy z tyłu głowy wciąż jeszcze miała lekko wilgotne i pachnące chlorem.

- Tak, dla siebie! - wykrzyknęła Nancy.

- Dla siebie - powtórzyła wolno. - Musiałam go mieć. To wyjątkowy obraz, ciociu, zupełnie inny od wszystkich, które Claire namalowała. Po prostu pokochałam go od pierwszego wejrzenia. Poruszył mnie głęboko i od razu wiedzia-

205

łam, że muszę go mieć. No a potem Glidden włączył się do licytacji. Nie mogłam pozwolić, żeby dostał się jemu. Jej matka chrzestna roześmiała się na te słowa.

- Po prostu wspaniale! Możesz czekać do sześćdziesiątki, nim zwrócą ci się pieniądze, które na niego wydałaś.

- Mam to w nosie - odparła Mary Liz. - Jest teraz mój. I na zawsze pozostanie w mojej rodzinie. Na zawsze, przekonasz się - dodała, po czym pożegnała ciotkę i odłożyła słuchawkę.

Trzydzieści pięć tysięcy dolarów... To mimo wszystko dziwne, że podjęła taką decyzję. Dobry Boże, zaczynała żyć i zachowywać się tak, jak gdyby co roku spędzała lato w East Hampton.

Wstała, wypila szklanek Alka-Seltzer, potem szklanek mleka i spróbowała włożyć strój do tenisa, który przez wiele lat wisiał nie używany w jej szafie w Chicago. Niestety, ledwie udało jej się przecisnąć spódniczkę przez biodra. Wyglądała w niej jak parówka - nic, tylko ściągnąć skórki i ugotować.

Przerzuciła rzeczy w komodzie i wyciągnęła białe spodenki gimnastyczne oraz podkoszulek w tym samym kolorze - tak było dużo lepiej. Włożyła adidas, przemyśla twarz, po czym pomaszerowała przez trawnik w kierunku kortu tenisowego.

Dawno temu przestała grywać regularnie, zrezygnowała więc z dużej rakiety i wybrała średnią. Kort był zielony, pięknie utrzymany przez Jake'a, który codziennie grabił, podlewał i strzygł trawę.

Otoczające go drzewa stanowiły naturalną osłonę od wiatru, zaś w jednym jego końcu znajdowała się niska drewniana ściana, do której skierowała się najpierw Mary Liz, by poodbijać o nią piłkę i się rozgrzać.

No tak, od razu wystąpiły na nią poty. Wyjęła z kieszeni

białą opaskę i ściągnęła nią włosy z tyłu, po czym zaczęła ćwiczyć serwisy. To była jej ulubiona część każdej rozgrywki - chwila, gdy rakietą unosi się do góry, by z całych sił uderzyć gumową piłeczkę.

Mocne, celne serwisy miała opanowane do perfekcji, tak jak jazdę na rowerze.

- Chcesz poodbijać trochę ze mną? - odezwał się Jake, który pojawił się właśnie, przebrany do gry.

- Dziękuję, nie skorzystam. Mam dziś fatalną kondycję. Zamierzam wypić sto litrów wody i odpocząć, zanim nadejdzie moja kolej. - Zebrała piłki i wrzuciła je do pojemnika, zaś Jake obszedł kort, sprawdzając napięcie siatki.

Mary Liz czuła się potwornie. Umierała z pragnienia, a jej głowę rozsadzał nieznośny ból. Jej humor nie poprawił się, gdy zjawili się Jeanine oraz Gaudę Lemieux - oboje elegancyści, smukli i wypoczęci. Jeanine miała na sobie strój do tenisa, Gaudę jasnoniebieskie szorty i żółtą koszulę. Ona podeszła do Jake'a, on natomiast nawiązał z Mary Liz zwyczajową rozmowę o pogodzie.

- Wieczorem będzie chyba padało. Niedobrze, Isabel chce, by jej piesek wystąpił w paradzie.

Mówił z lekkim francuskim akcentem, dzięki czemu sprawiał wrażenie człowieka kulturalnego i światowego, za jakiego zresztą Mary Liz go uważała. Nie był jakimś uderzająco przystojnym mężczyzną, trochę zbyt niskim i muskularnym, miał jednak w sobie tak zwane „coś”. Był tak szarmancki, że w jego towarzystwie Mary Liz czuła się zawsze błyskotliwą i atrakcyjną kobietą. Teraz, o dziwo, też.

Mary Liz przypomniało się, co Rachelle Zaratan mówiła poprzedniego wieczora o pokerowej paczce Alfreda Hoffmana, której Gaudę był również członkiem - o tym, jak niepewnie czuli się wszyscy ci mężczyźni przy swoich żonach. Nie za bardzo to rozumiała. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by

jej mąż tak właśnie mógł się czuć przy niej, nawet gdyby zawdzięczał jej start zawodowy, sukcesy i karierę.

- Rzeczywiście, Isabele byłaby niepokieszona - nawiązała rozmowę z Claude'em - zdaje się, że sama uszyła mu kostium.

- Tak, tak. Pies ma wystąpić jako balerina.

- Jakiej jest rasy?

- Pudel miniaturka. Straszliwie rozpuszczony.

- Mary Liz! Gaudę! Kort przygotowany! - zawołała do nich Jeanine. - Czekamy tylko na Alana.

- Na Alexa - poprawiła ją Mary Liz.

- Co za różnica. Co cię właściwie opętało, żeby go zaprosić? - spytała Jeanine. - I w dodatku powiedzieć Herbowi, żeby się wypchał...

- Naprawdę to zrobiła? - zdumiał się Gaudę.

- No, nie w takiej formie - zaprotestowała Mary Liz.

- Wszystko jedno. Szkoda, że cię tam nie było, Claude - powiedziała Jeanine z uśmiechem. - Mary Liz zaprosiła do gry Alexa, a następnie spytała, czy mogliby zagrać ze mną i moim partnerem. Herb natychmiast się wprosił, znasz go przecież. A wtedy ona zmierzyła go wzrokiem i powiedziała: „Daj spokój, tatuśku, daj choć raz synowi wychodne.”

Claude roześmiał się krótko, słysząc tę opowieść, zaraz jednak przeprosił ich i odszedł, by napić się wody.

- Widziałaś? - powiedziała szeptem Jeanine, nie spuszczać z niego wzroku. - Zdenerwowałyśmy go. Ciekawe, co Herb ma na niego.

- Czemu tak myślisz?

- Ponieważ Claude się go boi, przyjrzyj mu się tylko. Założę się, że już nie ma ochoty grać z tobą w tenisa. Jesteś tą, która ośmieliła się publicznie przeciwstawić Herbertowi Gliddenowi.

- To śmieszne.
- To ty tak myślisz. Czy wczorajszy dzień niczego cię nie nauczył? Przy okazji... chciałam cię przeprosić za wczorajsze zachowanie na plaży. Robiło mi się niedobrze na myśl, że pracujesz dla Gliddena.
- Nie pracuję!
- Wiem, Mary Liz. Ale wczoraj Herb powiedział Juliuso-wi jasno i dobitnie, że tak właśnie jest.
- Jeanine, ten facet jest kłamcą. Nie wiem, o co mu chodzi, ale prawdą jest tylko to, że mam się z nim spotkać w poniedziałek dla omówienia ewentualnej...
- Ach, więc to o to chodzi - rzekła cicho Jeanine. - Koniecznie chce cię zatrudnić i rozpowiada wszem i wobec, że już u niego pracujesz. To podobne do niego. - Zastanawiała się przez chwilę, po czym spojrzała znów na Mary Liz. - Tak czy owak jest pewny, że w końcu cię skaptuje.
- Przysięgam - powiedziała uroczyście Mary Liz, podnosząc rękę do góry - że nie zamierzam pracować dla Herberta Gbddeny..Chciałam tylko usłyszeć, co ma mi do zaproponowania. Nie maSi nawet pojęcia, na czym polegałaby ta praca.
- Ale to ostatecznie nie ma znaczenia, prawda? Wszyscy i tak odbierają to jednoznacznie - zmieniasz front. Miałaś pomagać Nancy, a przyjmujesz pracę u faceta, który się z nią procesuje.
- Julius też się z nią procesuje.
- Dlatego był taki wściekły, gdy Herb mu powiedział, że cię zatrudnił. Co innego występować o coś, do czego masz w swoim najgłębszym przekonaniu święte prawo, a co innego dopieprzać Nancy, gdy znajduje się w dołku.
- Cała ta sprawa jest absolutnie oburzająca. - Mary Liz pokręciła głową. Spojrzała na Claude'a, który od podejrzenie długiego czasu czytał ogłoszenie na tablicy.

- Zrozum, Mary Liz - znów odezwała się Jeanine - Nancy jest przyjaciółką Juliusa. Więcej niż przyjaciółką- rodziną. Naprawdę. Jeśli Julius odziedziczy „Howland Films”, i Nancy, i wszyscy inni dostaną każdy grosz, który im się należy. Julius jest uczciwy, a pragnie tylko mieć szansę pokierowania wytwórnią. Zważywszy zaś, że ojciec już kiedyś mianował go prezesem, nie prosi chyba o zbyt wiele. To zresztą sama Nancy sprowokowała go do wytoczenia sprawy, mówiąc, że być może zechce, aby Bertie zarządzał firmą...

- Bertie?

- No właśnie.

- Ale ciotka powiedziała, że zrobiła to dlatego, bo Julius wytoczył jej sprawę.

- Julius wytoczył jej sprawę, ponieważ bał się, że może nie pozwolić mu zarządzać wytwórnią!

- Dziewczęta, proszę, nie kłóćcie się o to, która będzie ze mną grała! - usłyszały zadowolony głos, który należał do mężczyzny idącego ku nim zwirowaną ścieżką.

Jeanine zeszywniała, Mary Liz odwróciła się natychmiast.

To nie był Alex, lecz Herb Glidden, ubrany w czarno-białą koszulę, czarne szorty, białe skarpetki i buty do tenisa.

- Alex nie mógł przyjść, Jeannie, toteż twoje szanse wygranej są równe zeru - roześmiał się wesoło.

Jeanine wzdrygnęła się, słysząc w jego ustach zdrobniałe imię Jeannie".

- Mary Liz i ja stanowimy parę nie do pokonania - uzupełnił Herb.

- Jedyne problem - powiedziała Mary Liz - to że nie zagram z tobą, lecz z Claude'em.

- Duży błąd - Glidden nie dał się zbić z tropu. - Stawiam pięć dolców, że zostanie po was mokra plama.

210

Weszli na kort i bez dalszych wstępów rozpoczęli grę. Mary Liz była tak wściekła na Herberta, że trudno jej się było skoncentrować, postanowiła jednak panować nad sobą aż do poniedziałkowego spotkania, kiedy to miała nadzieję rozgryźć, jaką naprawdę grę prowadzi Glidden.

Przegrali z Claude'em w dwóch setach - 3:6 i 4:6 - i Mary Liz musiała wybulić pięć dolarów Gliddenowi. Obiecała dać mu je w poniedziałek.

- Ach - rzekł z rozbawieniem - więc masz zamiar przyjść na to spotkanie?

- Jasne, że tak. Spodziewam się, że wiele mi wyjaśnisz. Nie drgnęła mu nawet powieka. Uśmiechnął się tylko,

mówiąc, że czeka z niecierpliwością.

Mary Liz wróciła do domku, wzięła prysznic i wyciągnęła się na łóżku. Spała prawie do drugiej, dopóki nie obudziło jej pukanie do drzwi. Otuliła się płaszczem kąpielowym i poszła otworzyć. Na szczęście czuła się znacznie lepiej niż rano.

- Bertie, Wendy! Co za niespodzianka! Proszę, wejdźcie. Trochę się zdrzemnęłam. - Przetarła zaspane oczy. - Usiądźcie. Czym mogę was poczęstować? Umrę, jeśli czegoś nie zjem.

O dziwo, Bertie nie demonstrował dzisiaj swego hebanowego torsu - był w koszuli narzuconej na kąpielówkę. Wendy usiadła w jednym z foteli, a on rzucił się na kanapę.

- Słyszałem, że nieźle sobie przypaliłaś wczoraj u Sashy - zagadnął.

Mary Liz nie zamierzała zaprzeczać. Kiwnęła głową, a potem spytała jeszcze raz, co może im podać. Wendy poprosiła o wodę mineralną, a Bertie o sok pomarańczowy. Sam wzięła sobie banana i wodę mineralną i gdy wszyscy usiedli wygodnie, powiedziała:

- Mam nadzieję, że przyszliście mi wyjaśnić, dlaczego mnie nie znosicie.

Wendy i Bertie wymienili tylko spojrzenia.

- Wiem, że zachowywałam się wobec was dość tajemniczo, i być może trochę nieprzyjaźnie, ale wydawało mi się, że tu weszycie...

- My weszemy? - Bertie uniósł brwi. - Właśnie my?

- W każdym razie nie potrafię znaleźć przyczyny waszej wrogości. Chyba że macie jakieś tajne plany co do majątku Alfreda. Jeśli tak, to nie dziwię się, że chcielibyście, abym usunęła się wam z drogi.

Bertie zerwał się na równe nogi.

- Ja mam tajne plany?! - wykrztusił z siebie oburzony.

- To ty pracujesz dla Herba Gliddena! I właśnie za to powinienem skrócić ci kark!

Mary Liz omal nie udławiła się bananem. Przełknęła go wreszcie i popiła wodą mineralną.

- To skandal! Hańba! - wykrzykiwał tymczasem Bertie.

- Jeanine powiedziała mi o tym wczoraj, więc nie zaprzeczaj! A Julius wie bezpośrednio od Herba!

- Ale to nieprawda...

- Daruj sobie - odezwała się Wendy. - Wiemy o waszych spotkaniach.

- O czym?

- W twoim domku, na lotnisku, wczoraj wieczorem i znowu dziś rano. W poniedziałek też macie potajemnie spotkać się w jego domu...

- Potajemnie? Zwariowaliście?

Jednak oni nie chcieli słuchać jej wyjaśnień.

- Jak śmiesz postępować w ten sposób z moją matką?

- Ile dokumentów przeszło przez niszczarkę w twoim gabinecie?

- Ile ci za to płaci? Mary Liz oniemiała.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie - odezwała się wreszcie. - Jediną osobą, dla której pracuję, jest Nancy.

- Jasne, jasne - Bertie roześmiał się gorzko. - Tyle że obecnie nie jest szczególnie zadowolona z twoich usług. Wspominała nawet, że każe cię aresztować.

- Aresztować? Nie bądź śmieszny, Bertie - Mary Liz roześmiała się w głos. - Rozmawiałam z nią dzisiaj rano.

- Tak, owszem, zanim Herb nie wpadł po meczu, żeby powiedzieć jej o wyniku.

Mary Liz zakręciło się w głowie od wszystkich tych rewelacji i podejrzeń.

- Czy ktoś mi może wreszcie wyjaśnić, co się tu dzieje? Czy Wielki Dom jest domem wariatów?

- Powiedział matce, że dla niego pracujesz! Że nie musi martwić się o wynik procesu, bo wszystkie informacje otrzymał już od ciebie!

- To ohydne kłamstwo! - wykrzyknęła Mary Liz i rzuciła skórką bananao podłogę.

- Nie wiem. W każdym razie matka wpadła w histerię i poszła do Claire. - Głos Bertiego załamał się. Sprawiał teraz wrażenie, jak gdyby za chwilę miał się rozplakać.

- Cholera jasna! Ja... nie wiem, co mu zrobię! Chyba zabiję tego sukinsyna! - wrzasnęła Mary Liz, biegnąc do kuchni. Przewertowała szybko swój notatnik z telefonami.

- Nie pracuję dla niego! Słyszysz? - zawołała do Bertiego.

- Zgodziłam się na rozmowę, żeby dowiedzieć się o nim czegoś, co pomogłoby twojej matce! W sądzie! Rozumiesz, bałwanie?

- Widzisz? Ma telefon do Gliddena w swoim notatniku

- powiedziała Wendy.

213

- Zamknij się! - uciszyła ją Mary Liz. - Nie masz pojęcia, o czym gadasz! - Szybko wystukała numer na klawiaturze aparatu.

- Słucham? - odezwał się w słuchawce męski głos.

- Glidden? - spytała.

- Chce pani chyba rozmawiać z moim ojcem.

- Alex?

- Tak.

- Mówi Mary Liz Scott. Gdzie byłeś dzisiaj rano? Miałeś grać z nami w tenisa. — Spojrzała na Wendy i Bertiego, sprawdzając, czy usłyszeli jej słowa.

- Ojciec powiedział, że on chce zagrać.

- A ty po prostu się zgodziłeś?

- On opłaca moje chesne.

Mary Liz wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić.

- Dobrze, Alex, wobec tego proszę cię, żebyś zanotował dla niego wiadomość, dobrze? Zapisz dokładnie słowo po słowie i obiecaj, że się nie obrazisz. Lubię cię, Alex, ale nie za bardzo lubię twojego ojca, tak się czasami zdarza...

- Wiem. - Cisza. - Jaka jest ta wiadomość?

- Módl się, bo zamierzam cię zabić!

Alex wybuchnął śmiechem, lecz Mary Liz całkiem poważnie zapytała:

- Zapisales? - po czym odłożyła słuchawkę. Owszem, to dziecinada zostawiać taką wiadomość, była jednak potwornie wściekła. Teraz musi odnaleźć Nancy i koniecznie z nią porozmawiać. Ciekawe tylko, czy do czasu gdy wszystko się wyjaśni, ktokolwiek jej uwierzy.

Jeszcze raz przekartkowała swój notatnik i sięgnęła po słuchawkę.

- Claire? Mówi Mary Liz Scott. Czy jest u ciebie ciocia Nancy?

- Mary Liz? Muszę ci coś powiedzieć. Jestem naprawdę wstrząśnięta twoim postępkami...
- Nie pracuję dla Gliddena!
- Powiedział Nancy, że tak właśnie jest.
- I komu wierzycie - jemu czy mnie?
- Czemu miałby kłamać?
- Czemu? - zapiszczała Mary Liz, całkowicie tracąc panowanie nad sobą. - Żeby doprowadzić ciocię Nancy do hysterii i pozbyć się mnie na zawsze! Mój ojciec wpadnie w gniew, gdy się dowie, o co mnie oskarżyła, ona go wyleje, a Glidden będzie triumfował!
- Och - jęknęła cicho Claire i zakryła dłonią słuchawkę, mówiąc coś do kogoś, zapewne do Nancy. - Zaczekaj, Mary Liz, powtórz lepiej to wszystko Nancy. Wypłakuje sobie oczy przez całe popołudnie. Gdy ciotka podeszła do telefonu, Mary Liz zaczęła jej śpiesznie wszystko tłumaczyć, gdy zaś Bertie i Wendy usłyszeli jej wyjaśnienia, ich oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.
- Ciocia Nancy - powiedziała na koniec - poproszę ojca, żeby sam do ciebie zadzwonił. To on chciał, żebym się dowiedziała, co Glidden ma mi do zaproponowania. Chodziło o znalezienie czegoś, co mogłoby w jakikolwiek sposób nam pomóc.
- Wierzę ci, wierzę - powtarzała Nancy, łkając żałośnie. - Przepraszam, że w ciebie zważyłam, Mary Liz! Ten łajdak był taki triumfujący, tak się chełpił, że pracujesz dla niego...
- Robił to celowo, ciociu. Żebyś mu uwierzyła. Żeby narobić zamieszania. Najważniejsze, że teraz wszyscy rozumiemy, jakie są jego intencje, i będziemy mogli pokrzyżować mu plany. Nadeszła chyba pora, żeby dać mu nauczkę. Ja zrobię to z rozkoszą.

215

- Boże, czuję się jak ostatnia idiotka. Ja... nie poradzę sobie z nim sama.
 - I nie musisz. Nie martw się, ciociu. Do widzenia. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Bertiego.
 - Rozumiesz wreszcie? Próbuję przeprowadzić inwentaryzację majątku, żeby mój ojciec nie tylko mógł oddalić skargę, lecz żebyście dostali wszystko, co się wam należy!
 - Myślałem, że wystawiłaś mamę do wiatru - powiedział cicho. - Wszystko na to wskazywało, prawda? - Spojrzał na Wendy, a następnie znów odezwał się do Mary Liz: - Wydawało mi się niemożliwe, że wykonujesz całą tę pracę za friko.
 - Twoja matka jest...
 - Hojną ofiarodawczynią na cele dobroczynne, wiem -dokończył Bertie. - Ale tu w grę wchodzi miliony. Poza tym jest jeszcze „Braxer & Braxer”. Oni też mają ochotę na ten tort. - Milczał przez chwilę, po czym spytał: - Naprawdę robisz to dla mamy? Dla nikogo innego?
 - Mówiąc ściśle - dla moich rodziców. Nigdy przedtem o nic mnie nie prosili, doszłam więc do wniosku, że twoja matka naprawdę potrzebuje pomocy.
- Bertie odchylił się na oparcie kanapy. Na pewien czas zapadła cisza.
- A więc orientujesz się w tym wszystkim? - spytała Wendy. - Umowy, transakcje, inwestorzy, fundusze, majątek osobisty...?
 - Tak.
 - Przepraszam, Mary Liz. Naprawdę nie miałem pojęcia - powiedział Bertie.
 - Wiem - odrzekła cicho, biorąc szklankę z wodą. - A teraz szczerść za szczerść. Co z wami? Tylko mi nie opowiadajcie, że jesteście parą.
- Wendy i Bertie wymienili swoim zwyczajem spojrzenia.

216

- Musisz obiecać, że nie zdradzisz niczego mamie - poprosił Bertie. - Jest taka szczęśliwa, że mam wreszcie dziewczynę...
 - Obiecuję, jeśli oboje nie zrobicie niczego, co mogłoby zagrozić Nancy i jej interesom.
 - Przecież nam chodzi o to samo! Staram się tylko chronić własną matkę! Jest zbyt ufna, sama widzisz. Ale sam nie dałbym rady pilnować wszystkiego i wszystkich, więc...
 - ...zatrudnił mnie. Jestem prywatnym detektywem - wyjaśniła Wendy.
 - A nie kobietą polującą na bogatego męża? - spytała zaskoczona Mary Liz i zaraz potem wybuchnęła serdecznym śmiechem.
 - Nie - odparła Wendy i wszyscy troje zaczęli się śmiać. Gdy uspokoili się wreszcie, Wendy mówiła dalej: - Specjalizuję się w ochronie rodzin takich jak Hoffmanowie.
 - Bogatych?
 - Bogatych albo zaliczających się do elity. Bo to nie zawsze idzie w parze.
 - Wiem.
 - W tym kurorcie pracuję po raz pierwszy. Moją siedzibą jest Nowy Jork, Manhattan, ale przez ostatnie trzy lata jeździłam do letnich domów moich klientów. Rok temu -Newport, dwa lata temu - Martha's Vineyard, trzy lata -znów Newport.
 - I co tam robiłaś?
 - Udawałam przyjaciółkę rodziny, a naprawdę miałam oko na dzieci lub ich małżonków. Prawie wszyscy klienci mieli lekkiego fioła na punkcie kidnapingu. - Uśmiechnęła się. - A tak między nami, to ja włamałam się do twojego gabinetu.
- Mary Liz otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

217

- Chciałam wiedzieć, co się w nim dzieje - wyjaśniła Wendy.

- A więc po to wyciągnąłeś mnie na ten bzdurny windsurfing, Bertie! Och, ty... Żeby Wendy mogła się do mnie włamać? - Miała ochotę rzucić w niego jedną z poduszek.

Nagle przemknęła jej przez głowę elektryzująca myśl -Julius Hoffman mówił prawdę. Nie włamał się do niej. A jeśli tak, to może niepotrzebnie przestała mu ufać? Może akurat on nie miał nic wspólnego z tym wszystkim, co się tutaj działo?

Co miał więc znaczyć ten jego dziwny list?

15

- Rano grało mi się całkiem niezle - Sky zawołał z salonu do Mary Liz, która kończyła makijaż w łazience. - Ale po południu Buck kazał mi grać z jakimiś Niemcami, którzy nie znali ani słowa po angielsku.

- Co oni tu robią? - spytała, nakładając tusz na rzęsy.

- Są członkami klubu, przyjeżdżają tu raz do roku. Buck mówił ci o nich...

Mary Liz przyjrzała się sobie w lustrze. Jak się powinno wyglądać na paradzie zwierzków połączonej z barbecue? Miała nadzieję, że ona dokonała właściwego wyboru - bawełniana, ciemnoniebieska spódnica, jedna z wielu, które kazała zapakować jej matka, oraz jasnoniebieska bluzka bez rękawów. W uszach małe srebrne kolczyki, na szyi srebrny łańcuszek z wisiorkiem, na nadgarstku pojedyncza bransoletka. Chyba dobrze.

- No, no, wyglądasz super! - gwizdnął Sky, gdy ją zobaczył.

- Nie za bardzo prowincjonalnie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nieważne-odrzekła z uśmiechem.-Jeszcze pepsi?

- Dziękuję. - Poszedł za nią do kuchni i przysiadł na stołku, przyglądając się, jak Mary Liz nalewa sobie wody mineralnej. Opalony, w letnich beżowych spodniach i biało-szarej koszulce polo wyglądał znakomicie.

- Pozwoli pan, panie Preston, że zadam panu pewne pytanie? - zagadnęła żartobliwie.

- Proszę bardzo.

- Czy słyszałeś coś ostatnio w klubie na mój temat?

.- Słyszałem, że kupiłaś wczoraj obraz za trzydzieści pięć tysięcy dolarów.

Zarumieniła się i odwróciła wzrok. Do licha, dlaczego tak się spieszyła? Czy dlatego, że Sky jest nauczycielem i nie zarabia tyle w ciągu całego roku? Musiało mu się to wydać niepojętym marnotrawstwem.

- Niestety, poniosło mnie - wymamrotała.

- W porządku. Przecież to na cele dobroczynne - przypomniał jej. - Poza tym obraz namalowała Claire.

Podniosła wzrok, mile zaskoczona jego słowami, a on uśmiechnął się do niej.

- Poza tym, skoro w zeszłym roku zarobiłaś prawdopodobnie około pół miliona, to miałaś do tego prawo. I tak jak na wspólnika firmy inwestycyjnej nie szastasz pieniędzmi. Jeździsz LeBaronem z osiemdziesiątego ósmego roku...

W rzeczywistości zarobiła w ubiegłym roku siedemset pięćdziesiąt tysięcy - astronomiczna suma, ale w skali przemysłu telekomunikacyjnego całkiem skromna. Gdyby na przykład zmieniała często pracę, zamiast trzymać się jednej firmy, zarobiłaby znacznie więcej.

W zestawieniu z przeciętnym wynagrodzeniem zarabiała jednak i tak dużo. Około jednej trzeciej dochodu oddawała na podatki, pięćdziesiąt tysięcy dolarów przeznaczała corocznie na anonimowe darowizny, ponosiła wydatki na życie, a przez cały czas gromadziła pieniądze w nadziei, że pewnego dnia odbije sobie wszystkie wysiłki i nieprzespane noce i zacznie żyć inaczej. Wiedziała, że w razie nieprzewidzianej

sytuacji będzie mogła pomóc swojej rodzime albo zapewnić przyszłość dzieciom - o ile będzie je miała.

- W Chicago mam też prawie nową Toyotę Camry.

- Nie tłumacz się - uśmiechnął się do niej, lecz zaraz potem spoważniał. - Usłyszałem jeszcze coś, Mary Liz, i chciałbym o tym z tobą porozmawiać. Denerwowałem się przez całe popołudnie.

- Co takiego?

- Chodzi o twoją pracę dla Herberta Gliddena.

- Możesz się dłużej nie denerwować. Nie zamierzam dla niego pracować, a to, co słyszałeś, to stuprocentowe kłamstwo! - Rozzłoszczona, wstawiła gwałtownie szklanę do zlewu i zamierzała wyjść z kuchni, ale Sky chwycił ją za ramię.

Poczuła nagle nieprzewartą chęć, by wtulić się w jego ramiona i zapomnieć o wszystkim. Była ciekawa, czy on czuje to samo.

Boże, skąd bierze się ta jej pewność, że może mu zaufać? Przecież **prawie** go nie zna...

- Dowiedziałem się o tym od samego Gliddena - powiedział cicho.

- Kłamie. Robi to wyłącznie po to, żeby namieszać. Chce, żeby Hoffmanowie pozbyli się mnie, bo wie, że jestem dla niego niebezpieczna. Przypuszcza, zapewne słusznie, że jeśli sprowokuje Nancy, żeby zrezygnowała z pomocy mojego ojca, to łatwiej wyroluje ją w sądzie i w rezultacie dostanie kontrolę nad „Howland”.

Sky zmarszczył brwi, jak gdyby nic z tego nie rozumiał. I zapewne tak było. Normalni ludzie nie działają w taki sposób, jak Glidden.

- Biega po wszystkich - mówiła dalej Mary Liz - i nie tylko rozpowiada, że dla niego pracuję, ale dziś rano śmiał

221

nakłamać Nancy, że zniszczyłam pewne dokumenty, które były dla niego niewygodne. - Mars na czole Sky'a pogłębił się. - To zaś nie jest już nawet kłamstwem - dodała - to zwykła nedorzecznosc. Nie zrobiłabym tego nawet za miliard dolarów! Biedna ciocia w pierwszej chwili mu uwierzyła, omal nie wpadła w szal, a ja myślałam, że to Bertie... - Popatrzyła pytająco na Sky'a. - Nadażasz za tym wszystkim?

- Niestety, tak.

- Sam więc widzisz, jaki to drań. Powtórz dokładnie, co ci powiedział.

- Nie spodoba ci się to.

- Nie szkodzi. Słowo w słowo.

- Dobrze, słowo w słowo. - Sky zamknął oczy. - No więc przyszedł koło trzeciej do pawilonu klubowego, żeby kupić kilka piłek. Pomagałem akurat na zapleczu, ale on chciał koniecznie ze mną pogadać. Gdy zostaliśmy sami, trącił mnie łokciem i powiedział: „Słyszałem, że nieźle dogadzasz mojej dziewczynie”.

Mary Liz poczuła, że na twarz wypływa jej gorący rumieniec.

- Ja mu na to - kontynuował Sky - że z pewnością musiał coś źle zrozumieć, bo nawet nie znam jego żony. I wtedy on mi powiedział, że chodzi o ciebie. „Mówię o Mary Liz. , Pracuje dla mnie. Fakt, nie jest moją dziewczyną, nie w tym sensie, ale wykonuje dla mnie pewną robotę, pamiętaj o tym.”

Spytałem go, dlaczego mam niby pamiętać. Odpowiedział: „Nie chcę, żebyś jej przeszkadzał w przeprowadzce do Los Angeles”.

- Przeprowadzka do Los Angeles? - wykrzyknęła, gestykułując nerwowo. - Temu facetowi kompletnie odbiło! Sky, przysięgam ci, że umówiłam się z nim na poniedziałek, żeby

dowiedzieć się, jaką pracę chciał mi zaproponować. Ale to wszystko, co nas łączy. Nawet przez sekundę nie brałam pod uwagę możliwości, że przyjmę jego ofertę.

- Czemu więc w ogóle z nim rozmawiasz?

- Wiem, że mnie ostrzegałeś... - westchnęła, biorąc go za rękę.

- To pewne jak w banku, Mary Liz - ten facet to źródło kłopotów.

- Wiem, mój ojciec myślał po prostu, że uda mi się coś wywęszyć; coś, co mógłby wykorzystać w sprawie Nancy.

Sky pokręcił głową.

- Nie, Mary Liz, proszę, daj temu spokój. Nie igraj z ogniem.

- Nie obawiaj się. Już z tym skończyłam. A swoją drogą czy pan, panie Preston, naprawdę podejrzewał, że pracuję dla Gliddena? - spytała kokieteryjnym tonem.

- Wiedziałem, że istnieje jakieś wyjaśnienie.

- Doprawdy? Na przykład?

- Takie, jakie usłyszałem - powiedział i objął ją z westchnieniem ulgi.

Nie była to jednak tylko ulga. W tym westchnieniu było także coś jeszcze. Serce podpowiadało Mary Liz, że ten mężczyzna być może właśnie się w mej zakochuje. Pomyślała od razu, że nie powinna się angażować, dopóki nie upewni się, że chce spotykać się ze Sky'em dłużej, także wtedy, gdy lato się skończy.

Przecież właściwie go nie znasz, mówiła sobie.

Oczywiście, że znam, odpowiadało jej drugie ja.

Bzdura, protestowało pierwsze. To zwykle zadurzenie. Zawsze tak bywa na początku.

Nie. Na początku zawsze sobie myślisz: ten facet jest nie dla mnie, a dopiero potem angażujesz się w związek. Tym

razem to naprawdę coś innego. Od chwili gdy go spotkałaś, instynkt podpowiada ci, żebyś zwróciła uwagę właśnie na niego. Zdaje się, że to wspaniały facet; ma niemal wszystkie cechy, które podziwiasz i szanujesz.

- Coś się stało? - spytał cicho, zaniepokojony jej milczeniem.

- Nic. Szkoda, że nie znamy się dłużej - powiedziała wreszcie.

- O Boże - znowu westchnął. - Ja również tego żałuję. Moglibyśmy dziś obchodzić naszą dziesiątą rocznicę ślubu, no nie?

Mary Liz roześmiała się i spojrzała mu w oczy.

- Rocznicę ślubu?

Pocałował ją namiętnie - tym razem inaczej niż zawsze. Nie wiedziała, czemu to przypisać, ale Sky zaczynał tracić zwykłe opanowanie. Odsunęła się delikatnie i uśmiechnęła na widok śladów szminki, które pozostały na jego ustach, brodzie i szyi.

- Szminka? - spytał.

Skinęła głową, przesuwając palcem po jego twarzy.

- Sama się przejrzyj - powiedział, prowadząc ją do lustra.

Roześmiała się serdecznie na swój widok. Istny clown!

- O rety, cóż to za szminka? - Wyjęła z pudełka chusteczkę i otarła usta, Sky uczynił to samo.

Popatrzyli na siebie w lustrze, wreszcie Sky, który stał za nią, trzymając ją za ramiona, westchnął głęboko (już po raz trzeci) i powiedział:

- Zaczyna robić się poważnie, Mary Liz.

- Wiem.

- I nie przeraża cię to?

- Trochę. Dopóki sobie nie przypomnę, że to ty.

- Jesteś mądra. Piękna i dowcipna. A przede wszystkim

dobra, Mary Liz. Niezależnie od tego, ile pieniędzy zarobisz i jaki kawał świata zjeździsz, zawsze taka pozostaniesz. Piękna kobieta o wielkim, dobrym sercu.

Omal się nie rozpląkała, słysząc te słowa.

Parada zwierząt zapowiadała się wspaniale. Dekoracja hangara na lotnisku była związana tematycznie ze zwierzętami, ludzi było pełno i wszędzie wokół panowało nieprawdopodobne zamieszanie. Zza przepierzenia dobiegało szczekanie, miauczenie, rozmaite piski i syki. Na razie uczestników było tylko słyhać, lecz około pięciuset dorosłych i dzieci z niecierpliwością czekało na pokaz.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła Mary Liz, był Herbert Glidden. Wokół niego stali Buck Buckley, Claude Lemieuc i Charles Kann - wszyscy wpatrzeni w nią wzrokiem, w którym mieszało się zdziwienie, strach i pogarda. Gdy Glidden podszedł bliżej, Sky poczuł, że Mary Liz spina się mimowolnie.

- Odebrałem dziś wiadomość od ciebie - powiedział.

- Wciąż się zastanawiam, Herb, czy jesteś głupi jak but, czy kompletnie stuknięty - rzekła lekkim tonem i zaskoczyła Gliddena, całując go niespodziewanie w policzek. - Uważaj, bo ja nie rzucam słów na wiatr. Jeśli dokuczysz cioci Nancy, zapłacisz za to. Zegnam. Baw się dobrze. - Wzięła pod rękę Sky'a, który gapił się na tę scenę okrągłymi ze zdumienia oczami, i podeszła do Bucka, Claude'a oraz Char-lesa. - Czy ogłosił wam już wielką nowinę, panowie? - spytała. - Jeśli nie, to wiedzcie, że zamierzam przyszpilić mu tyłek do ściany, jeśli jeszcze raz zrobi coś mnie albo cioci Nancy?

Patrzyli na nią oniemiałi, więc nie dodała nic więcej. Powiedziała tylko wesoło:

- Miłej zabawy - i odeszła ze Sky'em na bok.
- Do licha - mruknął. - Nie wiem, czy to było mądre.
- Uważasz, że to tylko czcze pogrożki? - spytała, spoglądając na niego poważnie. - Coś ci powiem, Sky, nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego, gdybym nie miała niczego na tego faceta.
- To właśnie mnie martwi - powiedział, ujmując jej dłoń.
- Och, Sky, nie mówmy już o tym, dobrze? Zabawmy się lepiej. Mam na dzisiaj dość tego typu. Przeciskając się przez tłum, zauważyli wicegubernatora, Betsy McCoy Ross, potem Calvina Kleina, wreszcie Rachelle i Saszę, które obserwowały słynnego projektanta, sze- . pcząc coś na jego temat.
- Spójrz, idzie nasza Ginger Rogers* - zawołała Sasha, trącając łokciem Rachelle na ich widok - Mój ochroniarz jest tobą oczarowany, kochana.
- Cześć, Mary Liz - powitała ją Rachelle. - Czy czułaś się dziś rano tak okropnie, jak ja?
- Spałaś na leżaku, Rachelle, więc masz prawo czuć się okropnie - powiedziała Sasha.
- Balowałyśmy wczoraj do późna - wyjaśniła Mary Liz Sky'owi.
- Szkoda, że nie widziałeś, jak tańczyła-dodała Sasha.
- Na trawniku. W samym środku nocy - upiększyła opowieść Rachelle.
- Fakt, wypiliśmy kilka drinków - przyznała się Mary Liz. - Przy okazji może mi powiesz - spytała Saszę - z czym były te drinki? Czułam ich smak jeszcze rano.

* Ginger Rogers (1911-95) - słynna amerykańska aktorka i tancerka rewio-wa, znana szczególnie z musicalowych występów z Fredem Astairem, z którym stworzyła najsłynniejszy duet taneczny w historii kina. (przyp. red.)

- Gorzkie migdały.
 - Cyjanek ma zapach gorzkich migdałów - zauważył przytomnie Sky.
 - Miałam oczywiście na myśli prażone migdały - uśmiechnęła się gwiazda.
 - Wszystko jedno, ta sama trucizna! - Mary Liz przyłożyła rękę do czoła.
 - Po prostu tak na nas wpłynęła twoja transakcja. Obraz za trzydzieści pięć tysięcy dolarów... Słyszałeś o tym, Sky?
 - spytała RacheUe.
 - Świątowałyśmy fakt, że Mary Liz przebiła w licytacji Herberta - dodała Sasha.
 - Licytowałaś przeciwko Gliddenowi? - Sky popatrzył na Mary Liz.
- Skinęła głową.
- I przeciwko mnie-powiedziała Sasha.
 - I mnie - zawtórowała Rachelle.
 - A właśnie, skoro już mowa o Herbie - przypomniała sobie Sasha - czemu nie powiedziałaś, że będziesz pracowała jesienią przy moim filmie?
 - Bo nie będę.
 - Jak to? Przecież Herb...
 - Herbowi odbiło - ucięła Mary liz.
 - Cholera! Tak się na to cieszyłam!
 - Widzisz? - rzekła Rachelle do przyjaciółki. - Mówiłam ci, że nie będzie chciała mieć do czynienia z facetem jego pokroju.
- Zbliżał się moment rozpoczęcia parady, toteż Mary Liz i Sky musieli znaleźć jakieś dogodne miejsce do obserwacji
- Sasha i Rachelle miały bilety do specjalnie wydzielonej strefy dla VIP-ów, więc musieli się rozstać.
- Z najwyższego rzędu głównej trybuny pomachali do nich Bertie, Wendy

i Jake, lecz oni pokręcili tylko przecząco głowami - woleli obejrzeć paradę z bliższej odległości. Przepchnęli się do przodu. Mary Liz wpadła na kogoś i przeprosiła go pośpiesznie. Obejrzał się, uśmiechnął i powiedział:

- Nie ma sprawy - zaś Mary Liz omal nie zemdląła z wrażenia.

TobyłTomCruise!

Wreszcie znaleźli odpowiednie miejsce, tuż obok jednej z girland, ograniczających trasę.

- Czy mówiłam ci już, że Glidden przyszedł dziś na tenisa zamiast swojego dzieciaka? - Opowiedziała Sky'owi o tym, jak spotkała Alexa na wczorajszym przyjęciu, jak umówiła się z nim na mecz i jak potem zamiast mego zjawił się rano jego ojciec.

- Ile lat ma ten chłopak?

- Alex? Och, około dwudziestu dwóch, może trzech.

- Aż?

- Dlaczego?

- Powiedziałaś „dzieciak”, więc myślałem, że mówisz o dwunastolatku.

- Tak się zachowuje. Gdy spytałam go przez telefon, czemu pozwolił wyeliminować się z gry, odpowiedział, że ojciec opłaca jego chesne.

- Więc wciąż jeszcze studiuje?

- Żeby uzyskać MBA.

Sky skinął w zamyśleniu głową.

- O co chodzi? - spytała Mary Liz. - Słyszę, jak obracają się trybiki w twoim mózgu. Masz coś ciekawego do powiedzenia?

- Zastanawiałem się, skąd Glidden wie, że powinien trzymać swojego syna z daleka od ciebie.

Z daleka od niej? Tak, oczywiście! Może powinna zobaczyć się z Alexem pod nieobecność jego ojca? Nagle ucichł gwar rozmów i mistrz ceremonii wyszedł, żeby otworzyć paradę. Powitano go gromkimi brawami - widocznie musiał to być ktoś znany w tej okolicy. Sky otoczył od niechcenia ramieniem Mary Liz i nie zabrał już ręki.

Tymczasem prowadzący powiedział kilka słów o celu obecnej imprezy, wyjaśnił, na co pójdą zebrane pieniądze oraz przedstawił kilka zwierząt znalezionych na ulicach lub zabranych okrutnym właścicielom, które czekały na przygarnięcie. Pierwszym z nich był mały szetlandzki kucyk, tak prześliczny, że w tłumie od razu rozległy się „ochy” i „achy”.

- Ja go chcę! - wykrzyknęła jakaś kobieta. Wyjaśniono jej, że powinna udać się do hangaru i załatwić przy specjalnym biurku formalności.

Następnym zwierzęciem był pręgowany kotek, który wzbudził jeszcze głośniejszy zachwyt. Potem wyszła mała dziewczynka, prowadząc kundla na luźnej smyczy, jak gdyby dla udowodnienia, że pies jest łagodny i lubi dzieci. Konferansjer ogłosił, że wiele innych zwierząt czeka na nowych właścicieli po przeciwnej stronie hangaru, co zostało powitane oklaskami.

Chwilę potem z głośników zagrzmiął uroczysty marsz i rozpoczęła się parada. Była to jedna z najbardziej uroczych i najkomiczniejszych imprez, w jakich Mary Liz kiedykolwiek brała udział. Na czele szła Vanessa Buckley, prowadząc ogromnego doga w goglach, czapce lotniczej i białym jedwabnym szaliku.

- Och! - jęknął Sky. - Biedny Spike. Spójrz tylko na niego. Czy można tak odbierać godność psu?

Jednak wszystkim dookoła przypadł do gustu ten kostium i Spike'a nagrodzono burzą braw. Następna była Isabelle Lemieux, która prowadziła jednego z najmniejszych piesków, jakie Mary Liz widziała w życiu - białego pudła miniaturkę, odzianego (zgodnie z poranną zapowiedzią Claude'a) w różowy trykot, różową taftową spódniczkę baleriny i jedwabne buciki na tylnych łapkach. Gdy Isabel się zatrzymała i pies stanął na dwóch łapkach, tłum zaczął wiwatować.

Później przemaszerowały kolejno najróżniejsze psy: terier szorstkowłosy, owczarek niemiecki w ciemnych okularach, ładny kundel z siodłem na grzbiecie, wreszcie dwa psy husky z papierowymi rogami na głowach, które ciągnęły dziecko w wózku udającym sanki. Po nich biegł na smyczy duży królik, a jego właściciel niósł transparent z napisem: „Naprawdę jestem bernardynem”. Za nim szedł mężczyzna niosący klatkę z papugą, która gwizdała i wydawała okrzyki: „Głosujcie na mnie! Głosujcie na mnie!”, na pięty zaś następował mu mały chłopiec w kostiumie kota, dźwigający kuliste akwarium z dwiema złotymi rybkami, z którego wychłapywała się woda.

Dalszymi uczestnikami parady byli: iguana na smyczy, w ciemnych okularach i słomkowym kapeluszu, kot w blond peruce i kapeluszu, długi wąż owinięty wokół ramion chłopca, chart afrykański w stroju Indianina, kudłaty owczarek w sukience i kapelusiku, dwa retrievery ciągnące wózek w kształcie psiej budy, z siedzącym w środku kotem, wreszcie zza węgła hangaru ukazał się znajomy czarny kształt...

- To Ashley! - zawołała podniecona Mary Liz.

Rzeczywiście, nie myliła się. Suka podążała w korowodzie zwierząt, jednak w przeciwieństwie do większości, była wyraźnie osowiała. Na głowie miała niebieską chustkę, na

jednym oku czarną przepaskę (z wyciętym otworem, żeby mogła widzieć), a na brzuchu pas. Szła chyłkiem, wyginając grzbiet, jak gdyby chciała wyślizgnąć się z tego kostiumu. Nancy cmokała do niej, próbując ją zachęcić, ale pies opierał się, podkuliwszy ogon pod siebie.

- Brawo! - zawołała Mary Liz, klaszcząc w dłonie. Nagle Ashley wykręciła łeb w jej kierunku, zobaczyła ją

i rzuciła się ku niej jak szalona, omal nie przewracając Nancy. Ashley-pirat, niczym prawdziwy zawadiaka, przeskoczyła przez girlandę sztucznych kwiatów i wylądowała łapami na piersi Mary Liz. Oczywiście zaraz potem obie runęły na ziemię. Pies lizał radośnie twarz nowej pani, a tłum klaskał i wiwatował.

- Myślałam, że będzie ją to bawiło - wyznała później Nancy, wsadzając Ashley - teraz szczęśliwą, bo wolną od idiotycznego stroju - na tył Range Rovera.

- Daj spokój, mamó. Wcale jej się nie dziwię. Po powrocie do domu dostanie wielką kość, należy jej się - powiedział Bertie zza kierownicy. Obejrzał się, spojrzął na Mary Liz i uśmiechnął się do niej. - Wybieracie się wieczorem na pokaz sztucznych ogni, prawda?

- Jasne - odpowiedział Sky.

- Weźmiemy dla was leżaki - obiecał Bertie. - Do zobaczenia. Pamiętajcie, bądźcie punktualnie o wpół do dziesiątej, pokaz zaczyna się piętnaście minut później.

Wrócili na przyjęcie, żeby coś przegryźć, jednak wewnątrz hangaru przypominało dom wariatów - panowało okropne zamieszanie, kolejki do stołów były ogromne, gwar zaś taki, że trudno było prowadzić jakąkolwiek rozmowę.

Przy jednym ze stolików natknęli się na Saszę i Rachelle. Panie skończyły już jeść i nie mogły uwierzyć, że Mary Liz i Sky nie mieli jeszcze nic w ustach.

231

- Czy Glidden wciąż jest na przyjęciu? - spytał Sky.
 - Aha. Chłopcy pokazują sobie swoje samoloty - rzekła kąśliwie Rachelle. - Wiecie, „mój jest większy od twojego”. - Cholera, czuję, że potrzebny mi jakiś facet - powiedziała gwiazda, jak gdyby słowa Rachelle przypomniały jej o czymś.
 - A mnie jedzenie - oznajmiła Mary Liz. - Sky, moglibyśmy pojechać gdzieś na hamburgera?
 - Pewnie.
 - To świetnie. - Mary Liz spojrzała na obie kobiety. - Idziecie na pokaz sztucznych ogni?
 - Tak - skinęła głową Rachelle.
 - Wobec tego spotkamy się jeszcze. Na razie.
- Odeszli w kierunku wyjścia, zaś Rachelle zaczęła doradzać Sashy, żeby zwróciła uwagę na Riffa - fantastyczny facet i do tego zawsze pod ręką.
- Sky? - odezwała się Mary Liz, gdy wyjechali z terenu lotniska. - Czy mógłbyś nadłożyć odrobinę drogi i zahaczyć o dom Gliddena?
 - Po co, u licha?
 - Chciałam zamienić dwa słowa z Alexem.
 - Mary Liz! - rzucił ostrzegawczo.
 - Tylko na chwilę. Może powie mi coś o swoim ojcu. Poza tym wyobraź sobie minę Gliddena, gdy wróci do domu i dowie się, że tam byłam.
 - To niebezpieczna gra, Mary Liz.
 - To nie gra, lecz życie, Sky. Proszę cię, tylko dziesięć minut.
 - Jesteś pewna?
 - Tak.
 - Dobrze - rzekł z westchnieniem. - Podwiozę cię pod warunkiem, że zabawisz tam tylko chwilę. Nie chcę, żeby on nas tam zastał.

Po kilku minutach byli na miejscu.

- Jeśli chcesz, możesz zaparkować na ulicy. Na wszelki wypadek - zaproponowała.

- Nie ma mowy. Nie zostawię cię samej. Zajeżdżamy pod bramę.

Glidden wynajmował co roku ten sam dom na nabrzeżu

- drewniany, przeszklony, czteropokojowy. Był nader skromny w porównaniu z rezydencją Hoffmanów i w przeciwieństwie do niej, nie stał samotnie, lecz otaczały go inne, podobne budowle, zwrócone frontem do oceanu, ładne i bardzo drogie. Nancy mówiła kiedyś Mary Liz, że wynajęcie takiego domu na całe lato kosztuje około czterdziestu tysięcy dolarów, zaś na miesiąc - dwadzieścia pięć.

Na tyłach domu znajdował się duży drewniany pomost. Właśnie stamtąd dobiegały dźwięki muzyki i tam skierowała swoje kroki Mary Liz.

Alex siedział na pomoście, pracując nad drewnianym modelem jakiegoś okrętu. Zadanie nie należało widocznie do łatwych, bowiem na razie udało mu się skonstruować szkielet statku, a teraz oklejał go cieniutkimi paskami forniru. Głowę miał pochyloną, wzrok skupiony, słuchał instrumentalnej wersji piosenki z lat czterdziestych „One O'clock Jump”.

- Alex?

- Dzień dobry - rzekł zaskoczony, podnosząc na nią oczy.

- Przejeżdżałam tędy i pomyślałam, że wpadnę, żeby cię spytać, czy nie miałbyś ochoty wybrać się na pokaz sztucznych ogni.

- Niestety, nie mogę - odrzekł z nieśmiałym uśmiechem.

- Mam jeszcze coś do zrobienia.

Mary Liz weszła po schodkach na pomost.

- Och, daj spokój, będzie z pewnością bardzo fajnie. Idę

233

z moim przyjacielem, Sky'em, i ciocią Nancy - panią Hoffman.

- Ja też ją nazywam ciocią - powiedział.
- No to czemu się wahasz? Ciocia Nancy bardzo by się ucieszyła.
- Muszę wracać jutro do domu.
- Naprawdę? Szkoda.

Nie odpowiedział nic, przyglądając się swemu modelowi.

- Alex? - powiedziała cicho Mary Liz, klękając, by spojrzeć mu w oczy. - Co się stało? Mogę ci w czymś pomóc? - Nie - Pokręcił spuszczoną głową.
- Ojciec sprawił ci przykrość?
- Nie. On zawsze jest taki sam.
- Taki sam?

Po raz pierwszy ich oczy się spotkały.

- Nienawidzę go. To łajdak. Jest podły dla matki, dla mnie... Ale mam to gdzieś, wyjeżdżam stąd. Nie wiem, po co w ogóle tu przyjechałem.
- Ponieważ on płaci twoje chesne - powiedziała cicho, próbując rozładować atmosferę.
- Pieprzę go - wycedził powoli i stanowczo. - Lepiej idź stąd, zanim wróci do domu. Gdybyś jeszcze tego nie zauważyła, informuję cię, że paranoicznie nienawidzi, gdy ktoś z nami rozmawia.
- Z wami?
- Z mamą i ze mną.
- Dlaczego?
- Lepiej już idź.

Hm, nie był zbyt rozmowny. Musiała jednak spróbować jeszcze raz.

- Posłuchaj, Alex, twój ojciec chce, żebym pracowała z nim przy kolejnym filmie kręconym przez „Howland Films”...

234

- Wykręć się. On nie robi filmów. Nie ma o tym pojęcia. Chodzi mu wyłącznie o pieniądze, władzę i pozostanie przy życiu.

- Pozostanie przy życiu?

- Naprawdę musisz stąd odejść. - Wstał, odsuwając krzesło do tyłu.

- To kiedy będziemy mieli okazję pogadać?

- Idź już-ponaglił ją.

Był czymś wyraźnie przestraszony, oglądał się przez ramię, jak gdyby spodziewał się w każdej chwili powrotu ojca.

- Powiedz mi tylko, czemu nie powinnam z nim pracować. To jedno z największych nazwisk w Hollywood, poza tym proponuje mi mnóstwo pieniędzy.

- Po prostu nie - powiedział, kierując się w stronę szklanych drzwi.

- Ale dlaczego?

- Bo będziesz tego żałowała.

- Ciągłe nie mówisz, dlaczego,

- Po prostu nie rób tego - powtórzył Alex, po czym wszedł do domu, zamknął przesuwne drzwi i zaciągnął zasłony.

Mary Liz westchnęła i zeszła po schodkach. Widziała jasno, że Alex jest albo psychicznie, albo emocjonalnie niezrównoważony - najpewniej zaś jedno i drugie - i śmiertelnie boi się ojca. Cóż, smutny przypadek. Była już w połowie drogi do samochodu, gdy nagle usłyszała stuk otwieranego okna. - Mary Liz! - zawołał ją szeptem chłopak. Nie mogła się zorientować, z którego okna dobiega głos, nie widziała bowiem nic przez zaciągnięte zasłony.

- Tak? - spytała również szeptem.

- Wujek Alfred... - urwał, jakby nagle odebrało mu mowę. - Ojciec tego nie zrobił... ale stało się to przez niego.

235

- Przecież Alfred zginął w katastrofie lotniczej. To był wypadek.
- Nie sędę.
- Spokojnie, Alex - powiedziała Mary Liz, starając się, by jej głos brzmiał normalnie. - Spokojnie... Co o tym wiesz?
- Nie przyjmuj tej pracy. Trzymaj się z dala od mojego ojca - powtórzył swoje ostrzeżenie, po czym zatrzaskał okno i zapadła cisza.
- I co? - spytał Sky, gdy wsiadła do samochodu.
- Zastałam go. Nie chce przyjść na pokaz. Leci jutro z powrotem na Zachodnie Wybrzeże. Ruszyli i jechali przez chwilę w milczeniu.
- Spytałaś go? - zapytał wreszcie Sky.
- O co?
- No wiesz, o ojca.
- Spytałam, czy powinnam przyjąć u niego pracę.
- I co powiedział?
- Żebym tego nie robiła.
- Cośjeszcze?
- Nie, nic. - Mary Liz zmieniła pozycję, żeby na niego spojrzeć. -1 co z tym hamburgerem? Umieram z głodu.

16

Po cheeseburgerze i czekoladowym koktajlu (ach, być grubą i szczęśliwą!) Sky podjechał pod dom Simpsonów, gdzie na pobliskiej plaży miał się odbyć pokaz ogni sztucznych. Bilety kosztowały dwieście dolarów od osoby, zaś dochód z nich przeznaczony był na badania w dziedzinie leczenia stwardnienia rozsianego. Fajerwerki podarował podobno jakiś zamożny mieszkaniec East Hampton, którego syn wyreżyserował przedstawienie.

Dom Simpsonów nie był specjalnie duży, ale teren, na którym się znajdował - przepiękny. Sky pokazał bilety i jeden z młodych parkingowych odprowadził jego mercedesa.-

Plażę rozświetlało jakieś czterdzieści pochodni, dających ciepłe, migotliwe światło. Na wodzie lśniły światła łodzi, których właściciele zakotwiczyli je, żeby obejrzyć widowisko za darmo. Około dwustu osób czekało już na kocach i leżakach na plaży. Wyrzutnie były rozmieszczone nieopodal, a wycelowano je prosto w niebo nad oceanem. W pobliżu czekał zaparkowany na wszelki wypadek ambulans oraz wóz strażacki.

Mary Liz od razu spostrzegła, że nie jest to przyjęcie na rzecz wina i sera i każdy cent ze sprzedaży biletów powędruje tam, gdzie powinien. Nie było bufetu, drinków, kelnerów. Goście sami przynieśli swój prowiant i napoje. Hoffmanowie

na przykład mieli ze sobą tyle przeróżnych przekąsek, że częstowali nimi każdego, kto tylko miał ochotę.

Na plaży dostrzegli Delores i Nancy. Obok nich przycupnęła Claire MacClendon. Wszystkie trzy rozmawiały o czymś z ożywieniem. Na rozłożonych wokół kocach i leżakach rozlokowali się także Sasha, Rachelle, Charles Kahn, Buck i Vanessa Buckley, Isabele i Claude Lemieux oraz Randolph Vandergilden.

Gdy Sky komplementował występy psów Isabel i Vanes-sy, Mary Liz przykucnęła między Nancy i Claire.

- Próbowałam bezskutecznie poprawić jej humor - powiedziała z uśmiechem Claire i wskazała smutne oblicze Nancy.
- Co się stało? - zaniepokoiła się Mary Liz. Ciotka nie wyglądała zbyt dobrze.
- Po prostu niezbyt dobrze się czuję.
- Jeśli będziesz chciała jechać do domu, szepnij mi tylko. W każdej chwili możemy cię odwiedzić ze Sky'em.

Nancy uśmiechnęła się z wdzięcznością, wyciągając dłoń do Mary Liz.

- Bardzo cię lubię, dziecko. Wiesz o tym, prawda?
- Tak - Mary Liz uścisnęła matkę chrzestną, spoglądając ponad jej ramieniem na Claire i marszcząc brwi. Czowała, że ciało Nancy przebiegają dreszcze. - Jesteś pewna, że nie chcesz, bym zabrała cię do domu?
- Nie, kochanie, dziękuję. Wolę być tutaj z wami. Claire oparła się plecami o leżak, który Bertie rozłożył dla Mary Liz.
- Nie mam pojęcia, co jej się stało.
- Może to spóźniony szok po porannych przeżyciach? - spytała Mary Liz. - Bardzo się zdenerwowała.
- Chyba nie - odpowiedziała Claire. - *Apropos*, dzięki za uznanie!

- Ach, obraz...
- Właśnie, obraz. Mary Liz, czyś ty kompletnie zwariowała? Nie powinnaś była zapłacić za niego więcej niż dwadzieścia tysięcy. Za tyle zostałyby sprzedany w galerii w Nowym Jorku.
- Nie, nie zwariowała - odrzekła z uśmiechem Mary Liz. - Po prostu z miejsca się w nim zakochałam, słowo honoru.
- Słyszałam, że Herb podbijał licytację - powiedziała malarka. - Ale nie miało to wpływu na twoją decyzję, prawda? Choć muszę przyznać, że sama myśl o tym, iż Glidden mógłby stać się właścicielem mojego obrazu, przyprawia mnie o mdłości.
- Szczerze mówiąc, kupiłam go dla moich dzieci. I wnuków. Jestem pewna, że z biegiem czasu będzie miał coraz wyższą wartość.
- Może masz rację. Namalowałam tylko jeden w tym stylu. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Wiesz kiedy? Gdy doszłam do wniosku, że potrafię jednak pogodzić się z odejściem Henry'ego. - Obejrzała się za siebie. - Słuchajcie, czy ktoś widział Herba? Prawie zapomniałam, że mam zamiar rozwalić mu nos.
- Widziałam go na paradzie zwierząt - zawołała Sasha.
- Mówił, że przyjdzie.
- Chyba go widziałam. Był w różowej koszuli? - spytała Isabel Lemieux.
- Może jest z Henrym? - zasugerowała Rachelle. - Henry gdzieś się tu kręcił.
- Widziałem go chyba po drugiej stronie plaży, nad wodą
- poinformował Charles.
- No cóż, gdyby ktoś z was go zobaczył, niech da mi znać
- poprosiła Claire. - Mam z nim na pieńku.

- A kto nie ma? - spytała Vanessa i obróciła się na leżaku. - Muszę ci powiedzieć, Mary Liz, że niesamowicie mi ulżyło, gdy usłyszałam, iż nie zamierzasz z nim pracować.

- Claire? - Nancy wstała nagle, spoglądając w stronę domu. - Zobacz, czy to czasem nie twój znajomy? Ten mężczyzna z dzieckiem... Chyba kogoś szuka.

Claire odwróciła się. Mary Liz również.

- Tak, rzeczywiście. Przepraszam.

Mary Liz zamrugała kilkakrotnie powiekami i spojrzała jeszcze raz. Czyżby to był Bill Pfeiffer ze swoją małą córeczką? Tak, to na pewno on!

- Cześć, Bill - powiedziała Claire, gdy ją zauważył i podszedł do ich grupki. - Bill był tak miły, że podwiózł mnie do domu z wczorajszego przyjęcia - wyjaśniła swoim towarzyszom. - Zaprosiłam go tu dzisiaj z córeczką.

Bill przywitał się ze wszystkimi i zaraz potem zgaszono prawie wszystkie pochodnie. Tłum ucichł. Pierwsza, pojedyncza raca rozbłysła na niebie, sygnalizując początek widowiska. Widzowie na brzegu zaczęli bić brawo, a ci na łodziach włączyli syreny. Mary Liz i Sky ułożyli się wygodnie na kocu i wzięli w ciemnościach za ręce.

Fajerwerki były wspaniałe, znacznie efektowniejsze niż te, które widziała ostatnio czwartego lipca. Rozpryskiwały się na niebie różnokolorowymi pióropuszcami w akompaniamencie huku wystrzałów. Te ostatnie przestraszyły zresztą kilkoro dzieci, które zaczęły płakać.

Gdy kolejne rakiety rozświetlały niebo, Mary Liz zerknęła na Billa i Jenny. Zauważyła, że dziewczynka wdrapała się ojcu na kolana, zasłaniając uszy rękami. Claire pogłaskała małą po głowie, po czym powiedziała jej coś na ucho.

Hm, Bill ma czterdzieści dwa lata, zaczęła myśleć, a Claire pięćdziesiąt dwa. Może między nimi coś się nawiąże?

Miała nadzieję, że tak. Wsparła się na łokciu, pocałowała Sky'a w policzek a potem opadła z powrotem na koc i wtuliła się w jego ramiona. Przycisnął ją mocno do siebie, odgarnął włosy z czoła. Mary Liz było wszystko jedno, czy ktoś im się przygląda.

- Może przejdziemy się po plaży? Trochę to potrwa, zanim wszyscy stąd odjadą - zaproponował Sky, gdy pomogli Hoffmanom załadować wszystko do samochodu.

- Chętnie - odpowiedziała Mary Liz.

- Sky! - zawołała Vanessa, podchodząc do nich nieoczekiwanie. - Mógłbyś mnie podrzucić do domu? Mój błędny rycerz gdzieś się zawieruszył.

- Jasne, tylko najpierw odwiozę Mary Liz.

- Mary Liz może jechać z nami - powiedział Bertie, za-. trzaskując bagażnik. - Jest wolne miejsce. Mama zabrała się z Claire.

Straszliwie rozczarowana, Mary Liz słuchała, jak organizują jej powrót do domu.

- Zadzwoń jutro rano - obiecał jeszcze Sky, całując ją w policzek, a potem otworzył drzwiczki swego mercedesa, by pozwolić zająć miejsce Vanessie.

- Dobra - odpowiedziała z uśmiechem. - Dziękuję za wspaniały wieczór.

- To ja ci dziękuję za to, że jesteś, jaka jesteś. - Pochylił się i pocałował ją lekko w usta.

- No, chodź już, Romeo - ponagliła go Vanessa, po czym pasażerowie wsiedli do pojazdów, z których każdy pojechał w swoją stronę.

Mary Liz nie poznawała samej siebie. Gdy weszła do domku, wyłączyła system alarmowy i zapaliła światła, po-

czuła się tak przygnębiona, tak zawiedziona i tak samotna, że omal się nie rozpląkała.

To śmieszne. Po prostu śmieszne.

Próbując się otrząsnąć, weszła do łazienki i wzięła prysznic. Osuszyła ciało ręcznikiem, namaściła je emulsją nawilżającą, wymyła zęby i wyczyściła je nitką. Następnie przeszła do kuchni i naląła sobie szklankę zimnej wody, zaniósła ją do sypialni i postawiła na nocnej szafce. Zaciągnęła zasłony, włączyła alarm w salonie, kuchni oraz gabinecie, a potem położyła się do łóżka. W ciemnościach odmówiła modlitwę, nie mogła jednak spać, więc z powrotem zapaliła nocną lampkę i sięgnęła po książkę.

I w tym właśnie momencie dopadła ją pewna myśl.

Alex Glidden oskarżył ojca o spowodowanie śmierci Alfreda Hoffmana. Nie, nie powiedział tego wprost, sugestia była jednak bardzo wyraźna. A więc morderstwo? Boże, przecież wróż powiedział jej, że...

Nagle ktoś zastukał do okna i omal nie krzyknęła ze strachu. Kto to może być?

Wstała i poszła w tamtym kierunku, czując się jak bohaterki horrorów, które wiedzą, że nie powinny ruszać się z miejsca, a idą prosto w objęcia śmierci. Wyrzała przez szparę w zasłonach i... odetchnęła z ulgą.

To tylko Sky!

Pokiwał dłonią, żeby otworzyła okno, co też uczyniła, wyłączwszy uprzednio system alarmowy. Sky przyłożył palec do ust i powiedział szeptem:

- Gdy zajechaliśmy na miejsce, ktoś zadzwonił do Vanes-sy i zaprosił ją na przyjęcie - tutaj, po sąsiedzku, w domku gościnnym.
- No i co? Nie byłam zaproszona.
- Ja też nie. Zaparkowałem na ulicy i uciekłem. Wszyscy

siedzieli na frontowej werandzie. Nie chciałem, żeby mnie zauważyli.

- Czemu?

- Sam nie wiem - wzruszył ramionami. - Po prostu nie miałem ochoty, żeby wszyscy o nas wiedzieli.

Roześmiała się cicho.

- Wejdiesz do środka?

- Z przyjemnością - wyszeptał, po czym umilkł, spuszczać głowę. - Byłem okropnie nieszczęśliwy, że musiałem odwozić Vanesę.

- Ja też - powiedziała. - Wejdz drzwiami kuchennymi. Weszła do kuchni, nie zapalając światła, i otworzyła

drzwi. Sky wślizgnął się do środka i przez chwilę stali obok siebie w milczeniu.

- Och, Mary Liz... - Przytulił ją do siebie, kołysząc delikatnie. Był cały spocony.

- Może się czegoś napijesz?

- Nie, dziękuję. - Puścił ją. - Przede wszystkim marzę o prysznicu.

- 'Cą za problem? Przyniosę ręczniki - oznajmiła rzeczowo, wchodząc do salonu i zapalając lampę. -

Daj mi swoje rzeczy, wrzucę je do pralki, a potem wysuszą się w suszarce. Tam wisi płaszcz kąpielowy, powinien na ciebie pasować. - Miała nadzieję, że głos jej nie zdradzi. Chciała, by brzmiał całkiem obojętnie i nie pozwolił się domyśleć, jakie wrażenie robi na niej perspektywa wspólnego wieczoru ze Sky'em, w jej domu, w jej szlafroku, pod spodem całkiem nagim.

- Jesteś pewna, że to w porządku? - spytał. - Przepraszam cię, ale czuję się taki brudny, jak szmata, którą powinnaś zostawić za progiem.

Wepchnęła go z ręcznikiem do łazienki, wzięła od niego ubranie i wrzuciła je do pralki.

243

Teraz ktoś zapukał do drzwi frontowych. No nie, co za wieczór! Była w samej koszuli nocnej, zostawiła płaszcz kąpielowy w łazience dla Sky'a, który zapewne stał teraz nagi pod prysznicem.

Trudno, nie wpuści gościa, wystawi tylko głowę.

- Śpisz już, Mary Liz? - Na progu stał Bertie. W samych tylko kąpielówkach, bez koszuli i bez kłapek.

- Mamy małe przyjęcie w domku gościnnym. Włóż kostium i przyłącz się do nas. Mamy zamiar pograć w siatkówkę i rozpalić ognisko.

- Serdeczne dzięki, Bertie, ale na mnie nie liczcie.

- Przyszła Sasha ze swoim ochroniarzem. Zadzwoń do Sky'a i zaproś go.

Usłyszała, że Sky zakręcił wodę w łazience. Teraz mogła się tylko modlić, żeby nie wyszedł do salonu z ręcznikiem na biodrach - albo bez niego!

- Przepraszam, Bertie - powiedziała głośno - ale jestem po prostu skonana. Muszę się położyć.

Popatrzył na nią dziwnie, nie rozumiejąc zapewne, czemu tak głośno do niego mówi.

- Trudno - powiedział cicho. - Ale wiedz, że byłaś zaproszona.

- Dzięki, Bertie. - Otworzyła drzwi, by ucałować go w policzek.

- No to dobranoc. Lecę. Muszę jeszcze spytać mamę - rzekł z uśmiechem, po czym zeskoczył z werandy i pobiegł przez trawnik w stronę rezydencji.

Mary Liz zamknęła drzwi na klucz i podeszła do drzwi łazienki, które otworzyły się niemal w tej samej chwili, wypuszczając ze środka kłęby pary. Sky wyszedł nie w ręczniku na biodrach, nie nagi, lecz w jej płaszczu kąpielowym.

- Kto to był? - spytał, wycierając ręcznikiem włosy.

- Bertie. Zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie.

- O! Jak myślisz, czemu Vanessa chciała, żebyś to ja ją odwiózł?

- Była już czterokrotnie mężatką, może poluje na piątego męża? - odpowiedziała z uśmiechem. - Choć w takim przypadku powinna skierować swe kroki do pokoju nad garażem.

Sky zatkał jej buzię wilgotnym ręcznikiem.

- Ej, jestem uczciwym facetem!

- Więc mam się ciebie nie bać? Chodź - roześmiała się

- napijemy się wody mineralnej albo piwa.

Oboje wybrali mineralną z lodem i usiedli naprzeciwko siebie na kanapie.

- Uff, czuję się znacznie lepiej - powiedział Sky. - Wypijmy za gorący prysznic i odnowę biologiczną.

Stuknęli się szklankami. Sky upił kilka łyków, odstawił szklankę na stolik i ujął wolną dłoń Mary Liz.

Spojrzała w dół, na jego muskularne nogi, a gdy podniosła wzrok, zauważyła, że przygląda się jej piersiom.

- Przepraszam - powiedział, ściskając jej dłoń - dopiero w tej chwili zauważyłem, że jesteś tylko w nocnej koszuli. Zmęczenie. Zakłopotanie. Oczy zwrócone gdzieś w bok.

- Pójdę sobie, gdy tylko wyschną moje rzeczy.

- Nie... Poczulałam nagłe zmęczenie i byłam już w łóżku

- zaczęła tłumaczyć. - Wczoraj położyłam się bardzo późno.

- Zabawiałaś się w rozrywkowym towarzystwie, co? -Mrugnął do niej okiem. - Słyszałem, że były tańce. Solo.

- Och - roześmiała się - Sasha jest naprawdę miła. I samotna. Gdy nie pracuje, nie ma dosłownie nic do roboty...

- Musi mieć jakieś hobby. I przyjaźni się blisko z Rachelle, prawda? - Roześmiał się. - Mówię

„Rachelle”, jak gdybym był po imieniu ze wszystkimi słynnymi projektantami mody. Powinienem być dziś podejść podczas parady do Calvina Kleina i zaczepić go: „Cześć, Cal, jak ci leci?”

245

- Tutaj to normalne - zauważyła Mary Liz. - Pewnego dnia, gdy byłam w bibliotece w Bridgehampton i spotkałam tam Don Hewitta, wiesz, tego producenta telewizyjnego, omal nie powiedziałam mu: „Cześć, jak się masz? Jestem chrześniaczką Nancy Hoffman”.

Teraz roześmieli się oboje.

- Nancy słynie ze swoich szlachetnych działań. Zdaje się, że jest prawdziwą mistrzynią w organizowaniu funduszy na zbożne cele - rzekł Sky.

- Mam nadzieję, że dobrze się już czuje. Nie wyglądała dzisiaj zbyt ciekawie. A przecież zbliża się termin wielkiego przyjęcia, które chce wydać.

- Moim zdaniem to lato wywołuje w niej zbyt wiele wspomnień - powiedział Sky. - To musi być dla niej trudne - widywać wszystkich znajomych zmarłego męża i mieć świadomość, że odszedł od niej na zawsze. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, Sky wciąż trzymał ją za rękę.

- Sky...

Drgnął, wytrącony z zamyślenia.

- Czemu się nie ożeniłeś?

- A ty czemu nie wyszłaś za mai?

- Celny strzał. - Uśmiechnęła się, wstała, by napełnić szklanki, i powiedziała: - Chciałam ci o tym opowiedzieć. I opowiedziała. Przez następne poi godziny wyjaśniała, jak to żyła z Jimem, jak go opuściła i jak miała romans z Kenem, który z nią zerwał; jak chciała później wrócić do Jima i jak okazało się, że on nie chce, bo lepiej mu bez niej.

- A co się teraz z nim dzieje?

- Ożenił się.

- I jaka jest jego żona?

- Bardzo ładna i bardzo w nim zakochana.

246

- Pracuje?

Mary Liz skinęła głową.

- W dziale handlowym jakiejś firmy farmaceutycznej. Zamierza jednak zrezygnować z pracy, gdy zajdzie w ciążę.

- Wzruszyła ramionami. - Uważam, że to wspaniale. Jestem nawet trochę zazdrosna.

- Że się jej dostał?

- O Boże, nie! Miałam na myśli dziecko.

- Aha. A co z tym drugim facetem? Kenem? Skrzywiła się.

- Byłam kompletną idiotką. Zaślepioną.

- Dlaczego? - Ścisnął teraz jej dłoń bardzo mocno.

- On był zupełnie inny niż Jim.

- A jaki ja jestem?

- Och, Sky, nie mam pojęcia - odrzekła, patrząc mu w oczy. - Wiem tylko, że to, że cię poznałam, było najlepszą i zarazem najgorszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła. - Zmarszczył brwi na słowo „najgorszą”, więc zaczęła wyjaśniać: - Od pierwszej chwili wiedziałam, że jesteś po prostu cudowny. Nie wierzyłam jednak, że tacy faceci w ogóle istnieją. Mówiąc zaś o najgorszym, miałam na myśli to, że po prostu nie wiem, czy nadaję się dla kogoś takiego jak ty.

- Mary Liz, o czym ty mówisz? - spytał zdezorientowany.

- Nie wiem jeszcze, czy tylko się zadurzyłam, czy to coś więcej. To znaczy... czuję do ciebie coś zupełnie innego niż do wszystkich mężczyzn, których dotąd znałam, ale nie chcę cię zachęcać, dopóki nie będę pewna, że to na pewno to... Rozumiesz tę paplaninę?

- Przecież nie prosiłem cię o rękę - roześmiał się.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi, Sky. Nie mam pojęcia, co cię spotkało w przeszłości, ale wyczuwam, że miałeś ciężkie przeżycia. Nie chcę cię zawieść.

247

Poruszył się niecierpliwie, puszczając jej dłoń i zmieniając pozycję.

- Postawmy sprawę jasno. Boisz się, że możesz się we mnie zakochać.

- Nie. - Chwila milczenia. - Właściwie nie.

- Więc co?

- Boję się, że nie jestem osobą zdolną zaangażować się na całe życie.

- No to żyj chwilą obecną, przestań wszystko przewidywać. Nic dziwnego, że bzikujesz; ja też bym zbikował, gdybym próbował zaplanować resztę życia po kilku randkach.

Miał rację. Nie była tylko pewna, po co mówiła to wszystko, i czy w ogóle dobrze, że rozpoczęli tę rozmowę.

- A właśnie - powiedziała, wstając z kanapy - nie widziałeś jeszcze tego. - Podciągnęła ostrożnie koszulę nocną, żeby mógł zobaczyć bliznę na lewym biodrze. - Wiesz, co to jest?

- Wygląda jak blizna po postrzale.

- Skąd wiesz? - Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Po prostu tak wygląda.

- Służyłeś w wojsku?

- Nie.

- w każdym razie - powiedziała, opuszczając koszulę - tu właśnie postrzelił mnie przypadkowo mój brat Brendan, gdy byłem dzieckiem.

- Rozumiem. To dlatego...

- Waśnie. Brendan znalazł pistolet ojca w naszym letnim domku. Bawiliśmy się nim i nagle - trach!

Mnie nic się nie stało, to znaczy musiałam tylko pójść do lekarza, ale nasz biedny pies zdechł. Pocisk trafił go w głowę. Przynajmniej nie cierpiał... - Na samo wspomnienie tamtego zdarzenia

wciąż chciało jej się płakać. Brendan dostał wówczas ataku hysterii i żadne z nich nigdy już o tym nie zapomniało.

Sky wyciągnął do niej dłoń. Gdy podała mu swoją, pociągnął ją i posadził sobie na kolanach.

- Nie płacz - wyszeptał, obejmując ją.

- Właśnie dlatego nienawidzę broni. Za każdym razem, gdy słyszę opowieść o dziecku i broni, dostaję szału.

Przez chwilę milczeli, przytuleni do siebie.

- Teraz ja ci coś powiem - rzekł nagle Sky, zsuwając Mary Liz na kanapę. - Możesz być na mnie wściekła, że nie powiedziałem ci tego wcześniej, zrozumieć. Otóż kochałem kiedyś dziewczynę o imieniu Kate. Poznałem ją wkrótce po ukończeniu college'u. Spotykaliśmy się przez długi czas, potem zamieszkaliśmy razem. Zamierzaliśmy się pobrać.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Dwadzieścia siedem. A ona dwadzieścia pięć. - Odchrząknął nerwowo. - Mieszkaliśmy w Waszyngtonie, byliśmy szczęśliwi i nagle Kate zachorowała. Myśleliśmy, że to przeziębienie, które ciągnie się i ciągnie, albo jakaś paskudna odmiana grypy. W końcu lekarz zasugerował, żeby zrobić test na AIDS. Oboje uważaliśmy, że to śmieszne, ale... - wypuścił powietrze z płuc i odwrócił wzrok - ale wynik był pozytywny.

- Och, Sky, tak mi przykro!

- Okazało się, że gdy była jeszcze w szkole średniej, miała wypadek na nartach. Złamała nogę, zerwała więzadła w jednym kolanie i konieczna była operacja. Operacja trwała dłużej, niż się spodziewano, i Kate straciła dużo krwi. Przeprowadzono transfuzję. Przetoczono jej niewiele, może z pół litra... -

Zamknął oczy i zacisnął usta w wąską kreskę.

- Naprawdę bardzo ci współczuję - wyszeptała Mary Liz.

Szybko obliczała w myślach: operacja musiała mieć miejsce około 1980 roku, zanim jeszcze odkryto...

- Osiem lat temu, po kolejnych testach - Sky podjął swą opowieść - okazało się, że Kate nie jest już tylko nosicielką, że zachorowała. Nikt nie miał wówczas pojęcia, co robić, jak przeciwdziałać tej chorobie. Próbowaliśmy wszystkiego. Rodzice Kate odwiedzili z nią wszystkie szpitale, gdzie stosowano nowe leczenie. Oczywiście dopóki jeszcze mogła latać samolotem...

- Jak długo to trwało?

- Niedługo. Jedenaście miesięcy. - Spojrzał na nią, w oczach zabłyśły mu łzy. - Zostałem przy niej do końca. Och, Boże, Mary Liz, była taka chora, taka bezradna... A ja ją tak bardzo kochałem. Pod koniec życia ważyła około czterdziestu kilogramów, a mimo to nie traciła nadziei. Miała takie ufne oczy i wciąż powtarzała: „Nie martw się, Sky, z pewnością coś na to wymyślą...”.

Mary Liz przytuliła go do siebie i milczeli przez długą chwilę. Potem Sky wstał i poszedł do łazienki. Słyszała, że wydmuchuje nos. Wrócił po chwili, usiadł i dokończył swoją opowieść:

- Spaliśmy ze sobą przez trzy lata. Przeszedłem testy i okazało się, że jestem zdrowy. Czułem się okropnie winny, gdy patrzyłem, jak umiera...

- Poczucie winy tych, co pozostają przy życiu. Typowe. I trudne do zniesienia.

- Wyniki testów nadal są negatywne, ale podobno całkowitą pewność ma się dopiero po dziesięciu latach.

- Sky - przerwała mu - mogę mieć wynik negatywny teraz, dzisiaj, ale co to oznacza? Kto może zagwarantować, że nie miałam kontaktu z wirusem w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

- O czym ty mówisz?

- Mówię o tym, że ty ryzykujesz tak samo ze mną, jak ja z tobą. Ja również zrobiłam sobie test i wynik również był negatywny, ty zaś robisz go co pewien czas. Czy można uczynić coś więcej?

Najważniejsze, że opowiedziałeś mi o wszystkim, nim zdecydowaliśmy się na seks. Dziękuję.

Przykro mi to mówić, ale nie sądzę, żeby wielu mężczyzn w twojej sytuacji zdecydowało się na takie wyznanie. A jeśli jeszcze minęło osiem lat...

- Może? - powiedział, wstając. - No dobrze - westchnął. - Odpocząłem już. Pójdę.

- Nie! - zaprotestowała. - Zostań. Przynajmniej pozwól, że ci coś pokażę.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni, Posadziła na łóżku, pocałowała w czoło, po czym wyjęła z szafy swoją kosmetyczkę. Usiadła obok Sky'a, otworzyła ją i wyjęła tubkę maści plemnikobójczej oraz pudełeczko prezerwatyw.

- Jak myślisz, po co to wszystko? Po co przywiozłam te rzeczy, skoro nie znałam tu nikogo?

- Bardzo rozsądnie - powiedział z uśmiechem. - Nie znasz dnia ani godziny...

- Mniej więcej. - Ujęła go za brodę i odwróciła twarzą ku sobie. - Chcę, żebyś wiedział, że nie zabrałam tego ze sobą, ponieważ zaplanowałam sobie seks, jakieś przygody. Wzięłam, bo jestem żywą kobietą i gdyby tak się zdarzyło, że ktoś zrobiłby na mnie wrażenie, a ja zapragnęłabym się kochać... Ale naprawdę trudno na mnie zrobić wrażenie i nie zdarzyło mi się chyba nigdy mieć seks dla samego seksu. Jak widzisz, nie jestem skłonna podejmować ryzyko...

Sky patrzył na nią bez słowa.

- Ty myślisz podobnie - powiedziała. - i to jest właśnie

251

cały problem. Coraz bardziej tracę dla ciebie głowę. Na amen.

- Naprawdę? - Oczy mu rozbłysły.

- Tak. I dlatego z tobą chcę się kochać. Dzisiaj. Wiem, że jeszcze bardzo krótko się znamy, ale właśnie tego pragnę.

Popatrzył jej głęboko w oczy, a ona miała wrażenie, że za chwilę się rozpłacze. Po chwili przytulił usta do jej dłoni.

- Zakochuję się w tobie coraz bardziej, Mary Liz. Mogę poczekać, jeśli chcesz.

- Ale ja nie mogę. I nie chcę. - Pocałowała go delikatnie w ucho.

To prawda, nie chciała czekać. Zdawała sobie sprawę, że może nie być im łatwo. Oboje byli niezależni, uparci i w takim wieku, że każde z nich miało swoje przyzwyczajenia. On był nauczycielem gdzieś w Wirginii, a ona kobietą interesu w samym centrum Chicago. Oboje będą musieli się przystosować. Nie muszą się śpieszyć.

Ale kochać się muszą natychmiast.

- Przestań myśleć, po prostu zdaj się na uczucia - szepnęła, znów całując go w ucho.

- Już się zdałem - zapewnił ją, a powiedział to w taki sposób, że odsunęła się, by spojrzeć na niego z dystansu. Rzeczywiście, szlafrok podejrzenie wyrzucił mu się w kroku. - Och, Mary Liz, tak bardzo cię pragnę - szepnął, przysuwając się bliżej i obejmując ją w talii.

Zaczął ją całować. Powoli, delikatnie, leniwie. Jego dłoń sunęła coraz wyżej, aż wreszcie musnęła lekko pierś Mary Liz i tam już została, obejmując ją coraz mocniej. Westchnęła, wygięła się lekko, a wtedy oboje opadli na łóżko.

Całował ją teraz namiętnie, przygniatając całym ciałem. Wsunął dłoń pod cienki materiał i zadarł koszulkę do góry.

252

Znów dotknął piersi, najpierw delikatnie, potem łapczywie, dając się ponieść ogarniającej go namiętności.

- Musimy się tego pozbyć.

- Pozwól, że ci pomogę. - Ściągnęła koszulkę przez biodra i rzuciła ją na podłogę. Patrzył teraz na jej ciało, sycąc się jego bujnym pięknem, oddychając z trudem i wodząc lekko dłonią po jej brzuchu.

- Jesteś cudowna...

- Chodź do mnie.

Pociągnęła go z powrotem na siebie i gdy zaczął pieścić jej piersi, brzuch i uda, powoli rozwiązała pasek jego płaszcza i wsunęła dłoń pod spód, głaszcząc muskularną pierś.

- Musimy się tego pozbyć - przedrzeźniała go żartobliwie.

- Pozwól, że ci pomogę. - Uniósł się lekko, żeby ułatwić jej zadanie, po czym również rzucił szlafrok na podłogę i przytulił się do niej nagi.

Dotyk jego rozpalonego ciała przejął ją dreszczem. Poczula, że są już blisko, więc odepchnęła go lekko i sięgnęła ręką (fe kosmetyczki).

- Przepraszam...

- Jasne.

W chwilę później znów znalazła się w jego objęciach.

- Cześć, Sky - szepnęła.

Uśmiechnął się błogo. Przekręcił się na bok i wsparł na łokciu.

- Czy wiesz, jaka jesteś piękna? - spytał, gładząc jej włosy.

- Ty też.

Pocałował ją w wilgotne usta.

- Na czym to stanęliśmy?

- Zmierzaaliśmy wprost do końca.

253

- Idziemy dalej?

- Możemy wrócić później do studiowania terenu. - Popchnęła go delikatnie na plecy. - Ale teraz nie mamy już czasu. - Dotknęła go ostrożnie w najczulsze miejsce. Był bardzo podniecony. Na jego twarzy malowało się uczucie zbliżone do cierpienia. - Gotowy?

Uniósł ją, podłożył jej pod biodra poduszkę i zapytał:

- Wygodnie? - a potem opuścił się na nią powoli, aż jęknęła cichutko z rozkoszy.

Było jej dobrze, po prostu cudownie. Sky zagłębiał się w niej delikatnie, powoli, milimetr po milimetrze. Wreszcie, jak gdyby nie mógł już dłużej znieść tej tortury, wykonał gwałtowny ruch, a ona aż się zachłysnęła z rozkoszy.

- Wszystko w porządku? - spytał, nieco przestraszony. - Boże, tak...

- Nie sprawiłem ci bólu?

- Nie - wyszeptała, przesuwając dłońmi po jego grzbiecie. - Jest mi cudownie.

Zajrzał głęboko w jej zamglone oczy, westchnął raz jeszcze, a potem ruszył. Starał się opanować, zwolnić tempo, przedłużyć wspólne chwile, a jednak poruszał się w niej coraz szybciej. Oboje dali się ponieść potężnej fali rozkoszy, która niosła ich ku szczęściu - albo zatraceniu. Wreszcie wzbili się w górę, by chwilę potem opaść bez sił w błogi stan nieważkości.

On zsunął się nieco, by nie leżeć na niej całym ciężarem, ona zasłoniła twarz ręką.

- Nigdy nie pozwolę ci odejść, Mary Liz - powiedział i przytulił twarz do jej ramienia.

17

Gdy nazajutrz o wpół do dziewiątej rano zadzwonił telefon, Mary Liz spała kamiennym snem. Obudziła się niechętnie. Sky'a nie było obok niej, zostawił jednak list. Podniosła słuchawkę, dopiero potem list.

- Słucham?

- Dzień dobry, mówi Delores. Pani Hoffman prosiła, żebym zaprosiła panią na śniadanie, na tarasie, koło dziewiątej. Przeprasza za kłopot, ale ma coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

Mary Liz ledwie słyszała jej słowa. Pozostawiony przez Sky'a list całkowicie odebrał jej świadomość, co robi i gdzie się znajduje.

Kocham Cie, Mary Liz. Sky

- Halo? Jest pani tam?

- Tak, tak. - Serce waliło jej jak młotem. - Oczywiście, zaraz przyjdę. - Spojrzała na zegarek - Wezmę tylko prysznic i ubiorę się, dobrze?

Odłożyła słuchawkę i z powrotem opadła na posłanie. Z uśmiechem gapiała się w sufit, myśląc o tym, jak dobrze byłoby, gdyby leżał teraz obok niej. Wciągnęła zapach, który po sobie pozostawił.

Przesunęła dłonią po poduszce, na której spał.

255

Sky...

Wstała i pobiegła w podskokach do łazienki. Sky!

Do rezydencji weszła przez kuchnię, gdzie Delores przygotowywała śniadanie: jaja w koszulkach, bekon i angielskie bułeczki na gorąco. Czuła straszliwy głód, toteż łakomym wzrokiem spojrzała na tacę z jedzeniem, a potem wbiegła na górę, nucąc radośnie pod nosem.

Drzwi do apartamentu ciotki były otwarte, mimo to zapukała. Natychmiast rozległo się szczekanie i z pokoju wypadła Ashley. Na widok Mary Liz stanęła jak wryta, zaczęła merdać ogonem, po czym próbowała skoczyć na nią, by się przywitać.

- Siad, mała! - uspokoiła ją Mary Liz. - Nie wolno skakać na ludzi.

- Czy to ty, Mary Liz? - zawołała ze środka Nancy.

- Tak ciociu. - Przeszła przez pokój i wyszła na taras, gdzie Nancy, ciągle jeszcze w szlafroku, siedziała pod markizą i czytała gazetę przy filiżance porannej kawy.

- Dobrze, że już jesteś. Delores szykuje śniadanie. Posłuchaj - Nancy odłożyła gazetę na sąsiednie krzesło - mam dwie sprawy. Po pierwsze, klucz. Wiesz, ten, o który prosiłaś, do jednego z sejfów w skarbcu...

- Ach, tak - przypomniała sobie Mary Liz.

- Nie mogliśmy go nigdzie znaleźć, a Jake'owi nie udało się otworzyć drzwiczek, poprosił więc fachowca, który zrobi to we wtorek. Musisz się z nim umówić na konkretną godzinę.

- Doskonale - rzekła z roztargnieniem Mary Liz, bardziej niż na rozmowie skupiona na czymś, co nagle odciągnęło jej uwagę.

256

- Po drugie - mówiła dalej Naney - i to jest, niestety, dość poważna sprawa... - Spojrzała w tę samą stronę, co Mary Liz. - O co chodzi? Co takiego tam widzisz?

- Nie jestem pewna, ale... Coś unosi się na falach.

- Gdzie?

- Zobacz, jakieś dwieście metrów stąd. To wygląda jak... - Popatrzyła przez zmrużone powieki. - O mój Boże! - wykrzyknęła, czując ściskanie w dołku. - Mój Boże! - powtórzyła, po czym zerwała się i puściła pędem do drzwi sypialni.

Wystraszona Ashley zaczęła szczekać, Nancy chwyciła psa za obrozę.

- Co się stało?

- Ktoś ma kłopoty!

Zbiegła szybko po schodach, po drodze zawołała do De-lores:

- Ktoś tonie! - i wypadła na dwór przez kuchenne drzwi. Przebyła w błyskawicznym tempie całą drogę na plażę,

zatrzymując się nad samą wodą tylko po to, żeby zrzucić buty.

- Bertie, Bertie! Obudź się! - z oddali dobiegał ją głos przerażonej ciotki Nancy.

Mary Liz przebiegła przez przybrzeżne fale, rzuciła się do wody i zaczęła pływać. Płynęła szybko, po jakimś czasie zatrzymała się, próbując wypatrzeć nieszczęśliwego pływaka. Ocean był jednak wzburzony. Fale to unosiły ją, to znów opadała z nimi w dół i nie mogła niczego dostrzec.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk i obejrzała się w stronę brzegu. Bertie biegł jej na pomoc, rozbryzgując wodę na przybrzeżnej płyciźnie. Popłynęła dalej, w stronę biało-niebieskiej plamy, która wyłoniła się wreszcie spośród fal.

Szybko dotarła do ciała, ale było już martwe. Mężczyzna w spodenkach w kratkę unosił się na powierzchni z twarzą

zanurzoną w wodzie. Spróbowała go odwrócić, ale był zbyt ciężki i jej wysiłki spełzły na niczym. Gdy dopłynął do niej Bertie, wspólnym wysiłkiem udało im się odwrócić topielca we wzburzonej wodzie, po czym Bertie zastosował chwyt ratownika i zaczął holować ciało w stronę brzegu.

Tymczasem przez plażę biegł już do nich Jake, za nim Delores i Nancy. Gdy Mary Liz z Bertiem znaleźli się w płytszej wodzie, Jake dołączył do nich i we trójkę wyciągnęli mężczyznę na brzeg. Jake natychmiast opadł na kolana i przystąpił do reanimacji.

- Daj spokój, Jake - Bertie położył mu rękę na ramieniu -już dawno nie żyje.

Jake wstał posłusznie. Nikt nie odezwał się więcej ani słowem. Wszyscy patrzyli na topielca, przerażeni widokiem, który rysował się przed ich oczami.

Czoło, skroń i policzek topielca zdobił potężny siniec. Dziwne drobne siniaki znajdowały się również na piersi i brzuchu. Jego opalenizna była typowa dla gracza w golfa - ręce i nogi brązowe, reszta ciała dziewczyczo biała.

Martwym mężczyzną był Herbert Glidden.

18

Około południa w Wielkim Domu zapanowało ponure napięcie. Policja przyjechała bardzo szybko, podobnie karetka pogotowia, mimo to ciało Gliddena wciąż znajdowało się na terenie posiadłości, ponieważ oczekiwano przyjazdu coronera.

Zaczął się przyptyw, policja musiała więc przesunąć nieboszczyka dalej od brzegu. Gdy zaś słońce stanęło na środku nieba i zaczęło prażyć niemiłosiernie, zdecydowano go w końcu przenieść do domku plażowego, gdzie Jake włączył klimatyzację.

Dziennikarze pojawili się niemal natychmiast. NBC - helikopterem, przebywający na wakacjach reporter telewizji WCBS - łodzią, „Newsday” - piechotą przez zarośla. By utrzymać ich z dala od rezydencji, policja stanowa ściągnęła dodatkowe posiłki, ponieważ zaś Herbert Glidden mieszkał na stałe w Kalifornii i sprawa wykroczać mogła poza obręb jednego stanu, przyjechało również dwóch agentów FBI.

Telefon dzwonił niemal bez przerwy. Jedną rozmowę oburzona Nancy przełączyła nawet na tryb głośnomówiący, by wszyscy mogli posłuchać, jak pewien cyniczny agent literacki, który spędzał akurat lato w East Hampton, pytał, czy to morderstwo mogłoby posłużyć za temat dobrego kryminału.
- Na razie nie wiadomo, czy Herbert Glidden został za-

mordowany - odparła spokojnie ciotka - ale dołożę starań, by policja dowiedziała się, że zrobił to pan. Bertie, Wendy, Mary Liz oraz Claire MacClendon, zgromadzeni teraz wspólnie w salonie, rozmawiali już z miejscowym sędzią śledczym, funkcjonariuszem policji stanowej, a na koniec z agentami FBI. Tak, widzieli wczoraj Herba Gliddena na zwierzęcej paradzie na lotnisku. Tak, wszyscy, z wyjątkiem Claire, która na niej nie była. Tak, Herbert był później na pokazie ogni sztucznych, siedział na drugim końcu plaży, chyba z Juliusem i Jeanine Hoffmanami. Potem zaś nikt już go nie widział. Aż do dzisiejszego ranka.

- Przyjechał koroner - poinformował wszystkich Jake, wchodząc z jadalni. - Jest w domku plażowym. Alex Glidden zidentyfikował zwłoki. Skończą pewnie za jakąś godzinę.

- Coś nowego?-spytał Bertie.

- Nic szczególnego - odrzekł Jake, siadając po turecku na podłodze. - Powtarzają tylko to, co sami podejrzewamy. Chyba pływał wieczorem w oceanie i uderzył o falochron.

- Jaki falochron? - powiedział Bertie. - Od najbliższego falochronu prąd zniósłby ciało w przeciwną stronę. Już raczej ktoś mu przyłożył kijem baseballowym.

- Bertie! - powiedziała Nancy, blednąc nagle na twarzy.

- Ależ to prawda, mamó, wszyscy go nienawidzili.

- Dobrze, już dobrze - powiedziała cicho Claire, obejmując serdecznie przyjaciółkę. Spojrzała karcąco na Bertiego. - Mógł też wpaść na pień drzewa lub deskę.

- Albo wpaść ze statku spacerowego - dodała Mary Liz.

- Mógł też uprawiać surfing, wmdsurfing, płynąć łodzią wiosłową... Ewentualności jest mnóstwo.

- Herbert Glidden i surfing! - rzekł pogardliwie Bertie.

- Na pewno!

- Na pewno miał wczoraj zamiar popływać - powiedziała Wendy. - Rozebrał się do spodenek gimnastycznych.

Rzeczywiście, już na plaży zwrócili uwagę, że kąpielówki w kratkę były w istocie bawełnianymi spodenkami gimnastycznymi. Herb musiał rozebrać się i wejść do wody.

Ale gdzie? Koło własnego domu? To przecież bardzo daleko stąd.

- I tak wkrótce się wszystkiego dowiemy - powiedziała Nancy, wstając. - Przepraszam bardzo, ale pójdę na górę. Claire, bądź taka dobra...

- Poradzę sobie z policją, nie martw się. Odpocznij trochę.

- Ratujesz mi życie. Zostaniesz tu dziś ze mną?

- Oczywiście, Nancy.

Zanim wyszła, ciotka zatrzymała się jeszcze na chwilę i wyjrzała przez panoramiczne okno. Jej oczy miały dziwny, odległy wyraz.

- To niesamowite, prawda? - odezwała się. - Zeszłego lata byliśmy tutaj wszyscy. A potem najpierw Alfred, teraz Herb.', . ^ch, nie wiem, może to wcale nie jest dziwne. - Odwróciła się i szybko wyszła z pokoju.

Mary Liz również się podniosła i skierowała do drzwi.

- Chodź, Ashley - zawołała do psa. - Powinnaś iść na górę, dotrzymać towarzystwa swojej pani.

Ostatecznie w Wielkim Domu prócz Nancy, Claire oraz Delores pozostał tylko Jake - na wypadek, gdyby policja jeszcze czegoś chciała. Bertie, Mary Liz i Wendy poszli natomiast w stronę domu gościnnego, by jeszcze porozmawiać i dojść do siebie po wstrząsającym poranku.

Po drodze widzieli, jak policjanci wynoszą ciało Gliddena w czarnym worku. Dwóch funkcjonariuszy wsunęło je do ambulansu, trzeci skinął na Bertiego, który do niego pod-

261

biegł. Rozmawiali o czymś chwilę, odwrócili się raz w stronę Wielkiego Domu, wreszcie podali sobie dłonie i Bertie wrócił do kobiet.

- Zostawią tutaj kilku policjantów, żeby nie dopuszczali gapiów - powiedział. - Koroner twierdzi, że przyczyną śmierci było utonięcie, chociaż wszystko wyjaśni się po sekcji zwłok.

Weszli do domu gościnnego, usiedli w salonie, jednak rozmowa się nie kleiła. Mary Liz - a pewnie Bertie i Wendy również - wciąż była w stanie szoku. Dręczyło ją wspomnienie martwego ciała Gliddena, pamiętała jego dotyk.

- Nie czuję się zbyt dobrze - powiedziała. - Wracam do siebie, muszę się położyć.

- Wpadniemy do ciebie, gdyby coś się działo - obiecał Bertie.

- Dzięki.

- Mary Liz! - Zanim wyszła, podbiegła do niej Wendy. - Zadzwoń do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała, dobrze? Gdybyś po prostu chciała, żeby ktoś dotrzymał ci towarzystwa. .. A może na noc wolisz zostać tutaj?

- Nie. Czuję się dobrze - zapewniła Mary Liz, kładąc jej z wdzięcznością dłoń na ramieniu. - Ale dziękuję za propozycję.

W domu znalazła dwie wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Jedną od rodziców, drugą od Billa. Zamiast jednak dzwonić do nich, wybrała numer telefonu komórkowego Sky'a. Niestety, nikt się nie zgłaszał.

Zadzwoiła do rodziców i poinformowała ich o śmierci Gliddena. Przynajmniej dziesięć razy powtórzyła im, żeby się nie martwili, gdyż u niej wszystko w porządku.

Następnie zatelefonowała do Billa Pfeiffera.

- Zastanawiałem się, czy dzwonić do ciebie, czy nie -powiedział. - Miałaś ciężki dzień.

- Skąd wiesz?

- Od aaire. Rozmawiałem z nią wcześniej. Mieliśmy razem iść na lunch.

A więc się polubili. To dobrze.

- W piątek dostałam wiadomość od twojego pracownika, że potwierdził się jeden z moich śladów.

- Tak. Pracował nad tym cały wczorajszy dzień. - Usłyszała szelest przerzucanych papierów. - Wiem, że przeżyłaś okropne chwile, Mary Liz, ale myślę, że praca odwróci twoje myśli od tego, co się stało.

Przefaksuję ci materiały, które zdobyłem, zgoda?

- Dzięki. - Westchnęła, nie czując szczególnej chęci do pracy.

Pożegnała się z Billem i przeszła do gabinetu, żeby sprawdzić, czy faks jest włączony. Następnie powędrowała do kuchni i zaparzyła dzbanek kawy. Po chwili rozmyśliła się jednak, przewidując reakcję swego żołądka, i zrezygnowała z kawy ^{na}zecz wody z kostką lodu.

Popatrzyła na kuchenny telefon, podeszła do niego i ponownie wybrała numer Sky'a. W dalszym ciągu nikt się nie zgłaszał, odnalazła więc domowy numer Buckleyów i zadzwoniła do nich.

- Buck? Mówi Mary Liz Scott.

- Och, witaj, Mary Liz. Przykro mi, że to ty go znalazłaś - odezwał się Buck po chwili wahania. - Musiałaś przeżyć okropny szok. Pomóc ci jakoś?

- Posłuchaj, Buck, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale nie mogę dodzwonić się do Sky'a. Nie wiesz, czy jest w klubie?

W słuchawce zapanowała cisza.

263

- Prawdę mówiąc... Sky musiał wrócić do domu w jakiejś nagłej sprawie.

Wyjechał? I nie próbował się z nią skontaktować?

- Z pewnością lada chwila do ciebie zadzwoni - dodał Buck.

- Czy ktoś zachorował?

- Nie wiem. Nic mi nie mówił. Powiedział tylko, że musi wyjechać i że zawiadomi nas niedługo, kiedy wraca.

- Ach, więc wróci tutaj - rzekła z ulgą.

- Jasne - odparł Buck. - Gdy tylko będzie mógł. Odłożyła słuchawkę, zabrała szklanekę z wodą i poszła z nią do gabinetu. Faks działał, lektura materiałów okazała się zaś niezwykle interesująca. Bill miał rację - przestała myśleć o tym, co się wydarzyło.

O piątej Mary Liz wzięła prysznic i ubrana w czyste szorty oraz bluzkę zapukała do drzwi domku gościnnego. Wendy uśmiechnęła się na jej widok.

- Wyglądasz znacznie lepiej. Czy również tak się czujesz?

- Chyba tak - odpowiedziała, wchodząc do środka.

- Cześć - powitał ją Bertie, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora, w którym transmitowano właśnie jakiś mecz baseballowy.

- Napijesz się czegoś?-spytała Wendy.

- Owszem, z przyjemnością. Może piwa? - Usiadła w drugim końcu kanapy.

- O matko jedyna! - Bertie wykrzyknął żałościwie na widok porażki swojej ulubionej drużyny i wyłączył telewizor. Spojrzał na Mary Liz. - Wyglądasz bez porównania lepiej.

- Muszę porozmawiać z tobą o czymś bardzo ważnym, Bertie.

- Mogę posłuchać? - spytała Wendy, podając jej piwo.

- Jeśli Bertie nie ma nic przeciwko temu.

- Nie, absolutnie nic.

Wszyscy troje usiedli wygodnie. Mary Liz pociągnęła solidny łyk piwa. Smakowało jej jak nigdy.

- Zacznę od tego - rzekła, stawiając szklanekę na podstawce - że znalazłam pewne ukryte aktywa twojego ojca.

- Ukryte? - powtórzył Bertie.

- Tak. Nie wie o nich izba skarbową. Nie jestem na razie pewna, czy twój ojciec powinien był zapłacić od nich jakiś podatek. Nie jestem też pewna, czy kiedykolwiek ciągnął z nich jakikolwiek zysk, czy też po prostu odłożył je na czarną godzinę.

- Jakiego rodzaju aktywa masz na myśli?

- Niewielką wytwórnię filmową w Amsterdamie, ale również związaną z nią sporą firmę, zajmującą się produkcją i dystrybucją kaset wideo.

- Jesteś pewna? - spytał Bertie. - Ojciec zawsze twierdził, że zaprzepaścił okazję, jeśli idzie o rynek wideo.

- Jestem całkowicie pewna, że ta firma była własnością twojego ojca. Co więcej, mam również pewność, że założył ją wspólnie z Bernardem Braxerem w 1968 roku.

- Z tym swoim prawnikiem? - zdumiał się Bertie. - Bernard Braxer był współnikiem mojego ojca?

- Tak - potwierdziła Mary Liz. - Fakt posiadania przez nich tej firmy był bardzo starannie zamaskowany, dlatego mieliśmy tyle kłopotu ze znalezieniem... - Pokręciła głową. - Nie, ta część nie będzie dla ciebie interesująca. Najważniejsze, że twój ojciec i Bernard Braxer byli współwłaścicielami. Reguły były takie, że jeśli któryś z nich umrze, drugi dostanie wszystko.

Ponieważ jednak obaj zginęli w katastrofie lotniczej, firma powinna dostać się spadkobiercom pół na pół. No

i tu zaczynają się kłopoty. Problem polega na tym, że cała dokumentacja i wszystkie kontrakty są w posiadaniu „Braxer & Braxer”. U twojego ojca nie było żadnych dokumentów. Mamy wszelkie podstawy, by podejrzewać, że „Braxer & Braxer” nie będzie chciało nawet pisać na temat tamtej firmy, bo oczywiście zechcą zachować ją dla siebie.

Bertie milczał, zdumiony niezwykłą nowiną. Wendy natomiast spojrzała czujnie na Mary Liz i zapytała:

- Ale skoro pan Hoffman nie miał żadnych dokumentów, to w jaki sposób się o tym dowiedziałas?
- Przypadek - uśmiechnęła się Mary Liz. - Pamiętacie tego faceta, którego poznaliście na pokazie ogni sztucznych? Billa Pfeiffera?
- Tak, był razem z Claire- kiwnął głową Bertie.
- Jest prawnikiem, zajmuje się finansami, a jego firma bada dla mnie pewne sprawy. Otóż zauważyłam, że przy zapiskach na temat deklaracji podatkowej z 1995 roku twój ojciec zrobił notatkę, że ma zawiadomić Braxera, iż chce wystąpić z „Dag Gisteren”. Nie miałam pojęcia, co to takiego to „Dag Gisteren”, zaczęłam więc szukać. No i w końcu odkryłam. To wytwórnia filmowa, która jest, a właściwie była wspólną własnością twojego ojca i Braxera.

Bertie wciąż patrzył na nią z niedowierzaniem.

- I prawnicy nie zamierzali tego ujawnić? Mary Liz skinęła głową.
- O jakiej sumie mówimy? - spytała Wendy.
- Pytasz o połowę udziałów? Dziesięć, dwadzieścia milionów dolarów, coś pomiędzy. Nie potrafię określić dokładnie, dopóki nie polecę do Amsterdamu i nie sprawdzę sama na miejscu. Po pierwsze, muszę ustalić, czy własność jest całkowicie legalna. Bo jeśli nie, to proponuję, żebyśmy siedzieli cicho jak mysz pod miotłą i pozwolili prawnikom za-

chować tę firmę dla siebie. Potem możemy ich pogrążyć, składając donos, gdzie trzeba. - Pociągnęła piwo ze szklanki i mówiła dalej: - Jeśli jednak własność była całkowicie legalna i nie grożą nam żadne kłopoty z izbą skarbową, to udowodnimy, że „Braxer & Braxer” próbują zdefraudować majątek, i ich roszczenie co do spadku twojej matki zostanie oddalone. Tak przynajmniej sądzą Bill i mój ojciec.

- To wspaniale - rozpromienił się Bertie.

- Jeśli własność jest legalna - przypomniała mu Wendy i spojrzała na Mary Liz. - Jeśli jednak nie jest, to nic o niej nie wiemy. Dobrze mówię?

- Bardzo dobrze.

- W takim razie - powiedziała Wendy, biorąc ze stolika książkę - lepiej to skasuję. - Rozłożyła okładki i wyjęła spomiędzy stron miniaturowy dyktafon.

- Wendy! - rzekła z wyrzutem Mary Liz.

- Wybacz, Bertie jest moim klientem. Mam obowiązek go chronić.

Mary Liz uśmiechnęła się, kręcąc głową.

- Mówiłaś o tym mamie? - spytał Bertie.

- Powiedziałam tylko, że badam możliwość istnienia wkładów kapitałowych w innych krajach.

Dopóki wszystkiego dokładnie nie sprawdzę, nie widzę powodu, żeby ją tym wszystkim obarczać.

Bertie skinął głową, a potem podniósł wzrok i popatrzył na nią z wdzięcznym uśmiechem.

- O co chodzi?

- Myślałem właśnie, jak wspaniałą osobą się okazałaś.

- Dziękuję. W każdym razie mówię ci o tym dlatego, że oboje z ojcem uważamy, iż przynajmniej jeden ze spadkobierców powinien wiedzieć, co się dzieje. Wybrałam ciebie. Będę cię odtąd informować na bieżąco o postępach sprawy.

267

Oświadczenie, że został właśnie prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie zrobiłoby chyba na Bertiem większego wrażenia. Oczy mu błyszczały, na twarzy malowała się ogromna radość, wręcz uniesienie.

- Naprawdę? - spytał. - Będziesz rozmawiać ze mną o finansach?

19

W nocy z niedzieli na poniedziałek Mary Liz nie mogła spać. Przewracała się na łóżku, wierciła, a jeśli wreszcie udało jej się zasnąć, to najwyżej na pół godziny.

Nie miała żadnej wiadomości od Sky'a, przed oczyma stał jej wciąż Herbert Glidden, a właściwie jego martwe ciało, zaś krótkie chwile snu zakłócały jej koszmary - katastrofy lotnicze i otwierające się trumny.

O wpół do szóstej poddała się. Wstała, włożyła kostium kąpielowy i poszła na plażę. Słońce właśnie wschodziło i mimo że po wczorajszym upale powietrze wydawało się chłodne, dzień był wprost przepiękny.

Znow zaczęła myśleć o Gliddenie. A potem o Alfredzie Hoffmanie i Bernardzie Braxerze; o tym, jak pilot wystartował z Palm Springs i zamierzał przelecieć nad górami, gdy nagle zgasł prawy silnik samolotu, a na dodatek maszyna wpadła w turbulencje. Ostry przechył na prawe skrzydło, uderzenie w wierzchołek góry i eksplozja. Śmierć ponieśli wszyscy - obaj piloci oraz pasażerowie.

Śmierć, śmierć... Wszędzie śmierć.

Stojąc na brzegu, pomyślała znów o martwym ciele Gliddena i wzdrygnęła się ze strachu. Co z niej za idiotka, że chciała pływać sama. Zawróciła w stronę domu. Śmierć.

Podczas bezsennych godzin modliła się nie tylko za duszę Gliddena, ale także za ozdrowienie własnej. Miała wrażenie,

że ujrzała w przelocie nie tylko śmierć, lecz także skutki życia człowieka, który przeżył je tak, jak gdyby nigdy nie miał ponieść konsekwencji za popełnione czyny. Myślała nie tylko o jego straszliwej śmierci, ale także o tym, że Glidden nie jest już bogatym, wpływowym człowiekiem, lecz jedynie biedną duszyczką zagubioną nie wiadomo gdzie w poszukiwaniu miłosiernego Boga.

Zawsze w to wierzyła. Całym sercem. Dlatego właśnie patrzyła ze zdumieniem na swoich kolegów z „Reston, Kellaher”, gdy czasami popełniali jakiś nieetyczny czyn. Czy nie zdawali sobie sprawy, że to, iż jakieś ich machlojki uszły uwagi komisji nadzorującej działalność giełdy papierów wartościowych, nie ma większego znaczenia? Że krętactwa prędzej czy później nie wyjdą im na dobre, że konsekwencje grzechu - tak, grzechu - są nieumknione? Przecież pewnego dnia będą musieli zdać rachunek z postępów całego życia.

Weszła po schodkach z plaży na drewniany deptak i uśmiechnęła się radośnie na widok Ashley, bawiącej się na trawniku z ciotką Nancy. Ashley natychmiast rzuciła się ku niej w podskokach, jak zwykle wylizła jej twarz, tym razem jednak nie zwała jej z nóg.

- Zaczyna być posłuszna - powiedziała Nancy. - Przynajmniej czasami.

Mary Liz roześmiała się i poklepała psa po karku.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, kochanie - odpowiedziała Nancy. - Chodź ze mną - dodała z poważną miną - muszę koniecznie ci coś pokazać.

Mary Liz poszła za nią do domu, pełna niedobrych przeczuć. Ciotka zaprowadziła ją do salonu i zaprosiła, by usiadła w fotelu, a potem otworzyła sekretarzyk i wyjęła z niego kopertę.

- Herb dał mi to w sobotę rano - powiedziała, wręczając kopertę Mary Liz. - Tego samego dnia, którego oznajmił, że dla niego pracujesz. Nawet do niej nie zajrzałam. Dopiero wczoraj rano... Właśnie dlatego prosiłam cię, żebyś przyszła. No ale wiesz, co stało się potem ...

Potem Mary Liz zauważyła topielca.

Popatrzyła na kopertę. Była zupełnie zwyczajna, czysta, bez żadnego napisu. Wyjęła z niej kartkę papieru i rozłożyła ją na kolanach. Była to kserokopia strony z jakiejś uniwersyteckiej kartoteki. Zawierała spis absolwentów wydziału prawa.

- Stephen Pembroke - podpowiedziała Nancy. Mary Liz popatrzyła na kartkę, odnalazła nazwisko... Pod nazwiskiem Pembroke wydrukowane było zdjęcie Sky'a.

Stephen M. Pembroke, doktor praw...

- Herb powiedział, że Sky pracuje również dla niego. Że jest prawnikiem specjalizującym się w finansach.

Mary Liz w zamyśleniu przyglądała się zdjęciu. Stephen Pembroke?

- Nakłamał na mój temat, więc jestem pewna, że to samo dotyczy Sky'a.

- Nawet jeśli jest tak rzeczywiście, to powinnaś porozmawiać ze Sky'em. Szczególnie o tej sprawie. - Pokazała na kartkę papieru i spojrzała na Mary Liz, jakby chciała zapytać wprost: „Do licha, dziewczyno, z kim ty się spotykasz?”.

Mary Liz podziękowała, spytała, czy może zachować tę kopię, i wróciła do domku. Ani przez chwilę nie wierzyła, że Sky pracował dla Gliddena, nie miała jednak pojęcia, kim jest Stephen Pembroke. Znow wybrała numer do Sky'a - i znow bez skutku.

271

Spojrzała na zegar. Odczekała chwilę, po czym zadzwoniła do Buckleyów.

Gdy wreszcie w jej domku odezwał się telefon, okazało się, że to nie Sky, lecz policja. Chcieli, żeby Mary Liz przyjechała na posterunek i odpowiedziała im na kilka pytań.

- Powiedziałam już panom wszystko, co wiem.

- Tak, panno Scott, ale teraz prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa...

Wolałaby, żeby ta wiadomość ją zaskoczyła.

- .. .będziemy więc wdzięczni, jeśli pani się do nas pofatyguje.

Obiecała przyjechać po południu, po czym od razu zatelefonowała do Wendy.

- Policja wezwała mnie w celu złożenia zeznań. Twierdzą, że Glidden został zamordowany.

- Wiem - odrzekła Wendy. - Do mnie też dzwoniли. Bertie jest już na posterunku. Carlson Lieber, prawnik pani Hoffman, dowiedział się, że Glidden przed śmiercią był naszpikowany barbituranami. Utonął między pierwszą a trzecią nad ranem, w niedzielę.

A więc wtedy, gdy kochali się ze Sky'em w jej domku! No cóż, o jedno zmartwienie mniej.

- Dlaczego sądzą, że to morderstwo?

- Lieber powiedział, że ktoś go ogłuszył ciosem w głowę, a następnie wstrzyknął barbiturany.

- Och...! Okropna śmierć.

Na posterunek pojechała razem z Wendy. W drzwiach minęły się z Alexem Gliddenem, który właśnie wychodził w towarzystwie jakiegoś mężczyzny w ciemnym garniturze, prawdopodobnie prawnika.

- Alex! - zatrzymała go Mary Liz. - Przykro mi. Naprawdę.

- Dlaczego? - spytał, spoglądając na nią ze zdziwieniem. Rozumiała, co miał na myśli, ale zdawała sobie również

sprawę, przez co musiał przejść. W końcu syn stracił ojca. Zanim pomyślała, co robi, objęła młodzieńca i uściskała go serdecznie.

- Trzymaj się, musisz teraz wspierać matkę. Alex skinął ponuro głową i wyszedł.

- Nie dotarło chyba do ciebie - powiedziała Wendy, odprowadzając go wzrokiem - że to on prawdopodobnie jest mordercą.

Mary Liz spojrzała na nią bez słowa.

- Zdaje się, że zabił ojca, gdy ten wrócił z pokazu ogni sztucznych - wyjaśniła Wendy. - Uderzył go w głowę, naszpikował narkotykami i wrzucił do oceanu.

Brzmi prawdopodobnie, pomyślała Mary Liz. Ale nie, to nie może być prawda. Alex Glidden nie znosił ojca, ale to na pewno wszystko.

Policjanci poprosili najpierw Wendy. Rozmawiali z nią prawie półtorej godziny, a nim zakończono to przesłuchanie, przyjechał jeszcze jeden policjant z działu kryminalnego i zaprowadził Mary Liz do drugiego gabinetu. Wyjaśnił, że musi zadać jej kilka pytań, poprosił, by odpowiedziała na nie najdokładniej jak potrafi, a potem upewnił się, czy nie ma nic przeciwko temu, że będzie nagrywał całą rozmowę.

Odparła, że nie, i od razu przypomniała sobie radę ojca - by na pytania prawników i policjantów odpowiadać precyzyjnie, niczego nie dodając od siebie.

Gdy więc wywiadowca spytał ją o sobotni wieczór, powiedziała, że spotkała Herberta Gliddena na paradzie zwierząt. Tak, rozmawiała z nim. Tak, to prawda, była na niego

wściekła, ponieważ kłamał, że dla niego pracuje. Nie, oczywiście, że to nieprawda. Nie cierpiała tego faceta i nie zgodziłaby się na żadną ofertę. Tak, odeszła niedawno z „Reston, Kellaher”. Dlaczego tu przyjechała? Żeby wyświadczyć przysługę rodzinie, konkretnie - pomóc matce chrzestnej w inwentaryzacji majątku po zmarłym mężu. Policjant pytał dalej.

Nie, przed przyjęciem u cioci Nancy nigdy wcześniej ani nie spotkała Gliddena, ani z nim rozmawiała. Owszem, wiadomo jej, że zajmował się finansowaniem filmów Alfreda Hoffmana. O tym, że nie pracował w „Howland Films”, a tylko szukał inwestorów do filmów również. Tak, o tym, że Glidden zaskarżył testament, także wie bardzo dobrze. Dlaczego jej zdaniem chce przejąć wytwórnię? Nie ma pojęcia.

Jej opinia na temat powodów, dla których chciał ją zatrudnić? Cóż, prawdopodobnie podziwiał jej dokonania w międzynarodowej bankowości inwestycyjnej. Nie, po raz pierwszy wspomniał o tym na przyjęciu. Tak, już nazajutrz rano powiedział, że ją sprawdził.

Naprawdę nigdy nie pomyślała serio o tym, żeby dla niego pracować. Owszem, gdy Glidden się co do tego upewnił, zaczął rozpowiadać ludziom, że się zgodziła. Po co? Żeby zdenerwować Hoffmanów. Żeby ciocia Nancy pomyślała, że została przez nią zdradzona i pozbyła się jej, a także jej ojca. Jaki on miałby w tym interes? Po prostu łatwiej mógłby ją nękać. Nie, nie jest pewna, ale przypuszcza, że Glidden miał nadzieję, że w tej sytuacji Nancy podda się i sprzeda mu wytwórnię.

Na pokazie ogni sztucznych? Tak, wiedziała, że tam był, chociaż na własne oczy go nie widziała. Ktoś mówił, że jest z Julusem i Jeanine. Tak, Sasha Reinhart również tam była.

To prawda, pani Reinhart zamierza kręcić jesienią film z „Howland Films”.

Nie, jej ojciec nie widział Gliddena od lat, w każdym razie nic jej na ten temat nie wiadomo. Tak, pomaga im prawnik z Nowego Jorku. Imię - William, nazwisko - Pfeiffer. Oczywiście, może podać numer jego telefonu. Nie, o ile jej wiadomo, Pfeiffer nie zna osobiście Herberta Gliddena.

Bertie? Wydaje jej się całkiem w porządku. Tak, zatrzymał się obok jej domku około północy, żeby zaprosić ją na przyjęcie w domku gościnnym. Tak mieszka tam Wendy Mitchell. Kto? Och, Jake... Zdaje się, że jest kimś w rodzaju zarządcy we wszystkich posiadłościach Hoffmanów, mieszka w pokoju nad garażem.

Vanessa Buckley? Nie ma pojęcia, czemu Vanessa przyszła na przyjęcie Bertiego. Nie, nie przypuszcza, żeby coś ich łączyło. A Vanesę i Jake'a? Nie, też raczej nie.

Owszem, nie poszła na przyjęcie, została w domku. Hm, był z nią... ktoś. Oczywiście, że może powiedzieć, jak ten ktoś się nazywa, ale chciałaby liczyć na dyskrecję. Sky Preston. Mieszka u Buckleyów. Tak wiedziała, że zaparkował na ulicy. Nie chciał, żeby ktokolwiek zauważył, że jest u niej. Nie chciał narażać jej na plotki.

Nie, nie jest żonaty. Nie, nie ma romansu z Vanesą Buckley! Jest po prostu dżentelmenem. Ależ naprawdę taki właśnie jest!

Nie, nie ma pojęcia, gdzie Sky przebywa w tej chwili. Nie, nie rozmawiała z nim. O tak, spędził z nią całą noc. Oczywiście, że jest tego pewna. Dlaczego? Bo takich nocy się nie zapomina.

Ach, tak, rzeczywiście, zostawiła Alexowi wiadomość dla ojca. Tak, chyba tak właśnie powiedziała - że Herb będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli „tylko” go zabije. Och, była

okropnie wściekła. Nie, jasne, że nie miała nic wspólnego z tym, co się przydarzyło temu nieszczęsnemu facetowi. Na pewno.

Oczywiście, że nie ma nic przeciwko temu, żeby zdjęto jej odciski palców. Ponieważ jednak pracowała jako analityk papierów wartościowych, jej odciski znajdują się w aktach. Nie jest podejrzaną? Ach, ma alibi, to znakomicie. (Ładne mi alibi - spać z facetem, który zniknął zaraz po domniemanym czasie popełnienia morderstwa!)

Nie, nie ma pojęcia, kto mógł zamordować Gliddena, muszą wypytać ludzi, którzy lepiej go znali.

Och, na przykład Buckleyowie, Claude i Isabel Lemieux, Randolph Van-dergilden, Henry MacClendon, Charles Kahn... Grywali z nim w pokera czy coś w tym rodzaju. Nie, nie tylko ostatnio, zdaje się, że od lat. Tak, Julius grywał również, ale znał go bardzo dobrze przede wszystkim dlatego, że pracował w „Howland Films”. Nie, nie słyszała o wrogości między nimi, wie tylko, że obaj pragnęli zagarnąć wytwórnę.

Bertie? Był zdenerwowany, że Glidden wytoczył proces jego matce, ale nie do tego stopnia, żeby chciał się zemścić.

Gdy wreszcie wywiadowca zwolnił Mary Liz, była wykończona psychicznie. Kręciło jej się w głowie, w uszach wciąż brzmiały strzępki pytań. Okazało się, że Wendy również przepuszczona została przez podobny magiel, i jest w identycznym stanie. Kiedy zaś porównały w samochodzie swoje wrażenia, doszły do wniosku, że policja nie ma pojęcia, kto mógł zamordować Gliddena.

- Co za przemiła niespodzianka - ucieszyła się Claire MacClendon na widok Mary Liz. - Jesteś tym, co przepisał mi lekarz - miłą rozrywką.

- Nawzajem - zrewanżowała się Mary Liz, odwzajemniając jej uścisk.

Zapadał zmierzch. Claire pokazała jej szybko podwórze (duże, z lasem w tle), ogród i pracownię. Ta ostatnia była nowoczesna, kryta gontem z drzewa cedrowego, miała ogromne okna w ścianach i w spadzistym dachu. Za to główny dom wyglądał, jak gdyby pochodził z przełomu wieków.

- Tak właśnie ma wyglądać - powiedziała Claire. - Zaprojektował go Henry, a powstał zaledwie dziewiętnaście lat temu.

Dom nie był zbyt duży. Miał salon, kuchnię, sypialnię i łazienkę na dole oraz dwie sypialnie i łazienkę na pierwszym piętrze. Po drugiej stronie znajdowała się zabudowana weranda, gdzie Claire najwyraźniej spędzała letnie noce. Tam właśnie zaprosiła Mary Liz, proponując jej filiżankę kawy. Usiadły wygodnie i przez chwilę rozkoszowały się w milczeniu zapachem ogrodu. Claire była w nostalgicznym nastroju. Śmierć Gliddena nastroiła ją do wspomnień, toteż gdy zaczęła mówić na temat „paczki Alfreda”, nie potrafiła przestać.

Mary Liz nie próbowała jej przerywać. Położyła nogi na otomanie i zamieniła się w słuch.

- Niepokoiłam się wczoraj, że Nancy może się rozkleić po śmierci Herba - powiedziała malarka. - Poruszyła ona całą masę wspomnień. Mną też wstrząsnęła, tak bardzo jest to wszystko związane z przeszłością Nancy i Alfreda.

- Od dawna ich znasz?

- Och, byłam wówczas młoda, w każdym razie znacznie młodsza niż teraz. Budowaliśmy właśnie z Henrym ten dom, wiele prac wykonywaliśmy sami... To Nancy nawiązała znajomość. Powiedziała, że słyszała wiele o Henrym jako

O zdolnym architekcie, więc byłaby wdzięczna, gdyby zechciał zerknąć na ich stary dom, który właśnie kupili w East Hampton i nie bardzo wiedzą, co z nim zrobić. Może on coś wymyśli...

Claire opisywała wszystko tak barwnie, że Mary Liz bez trudu mogła sobie wyobrazić zarośniętą wówczas chwastami

i dzikimi różami rezydencję. Dach domku dozorca zapadł się od frontu, okna w domku gościnnym zabite były deskami, zaś werandę zarosły jeżyny i inne krzaki. Claire i Henry wiedzieli, że Hoffmanowie są ludźmi Hollywoodu, i bardzo się przejęli ich zleceniem. Henry'emu powodziło się wprawdzie dość dobrze, ale w wieku czterdziestu jeden lat nadal pracował na cudzy rachunek, gdyż bał się założyć własną firmę. Miał jednak na utrzymaniu dwie małe córeczki, roczną i czteroletnią, oraz niedomagającą babcię, dlatego trudno mu było podjąć ryzyko.

Oczywiście MacClendonowie zdawali sobie sprawę, że przebudowa domu słynnych Hoffmanów musi zostać zauważona przez miejscową śmietankę towarzyską, a jeśli ocena wypadnie pozytywnie, otworzy to być może w końcu drogę do założenia własnej firmy.

Ach, jakże inne było East Hampton w tamtych latach! Istniały jeszcze wielkie farmy, duże posiadłości, ładne domy z podwórkami, zamieszkałe przez okrągły rok. Nie było bloków nowoczesnych hoteli na wybrzeżu ani problemów z korkami. Co by nie mówić, przez te lata przybyło w okolicy około pięć tysięcy nowych letnich domów!

Bridgeton z tamtych lat można by śmiało nazwać zwykłą wiochą. Mimo to zjeżdżali tu pisarze i artyści w poszukiwaniu zacisznego kąta do pracy. Claire doskonale pamiętała, jak kiedyś spostrzegła Jamesa Jonesa, Irwina Shawa, Williama Styrona i Trumana Capote'a, stojących wspólnie

po zaciętej stronie Main Street. Zatrzymała wówczas samochód, by wyjaśnić małej Madeline, czemu tak ważne jest, by zapamiętała ten obrazek do końca swego życia.

Gdy po raz pierwszy pojechali do posiadłości Hoffmanów, nie zastali w niej Alfreda. Powitała ich Nancy i od pierwszej chwili zaprzyjaźniły się z Claire. Denver, która miała wówczas około pięciu lat, z radością odnalazła w Madeline znakomitą partnerkę do zabawy, a niania, starsza kobieta, nazywana przez Denver Mimi, wzięła na ręce małą Emily, żeby Claire mogła towarzyszyć mężowi w zwiedzaniu posiadłości.

Henry inspirował się w swoich projektach historyczną amerykańską architekturą z XIX wieku. Plan przebudowy Wielkiego Domu był dla niego typowy - zaproponował, żeby utrzymać front domu w stylu z przełomu wieków i wykonać podobną architektonicznie przybudówkę, którą koniecznie chciała mieć Nancy. Tył domu miał być natomiast poddany całkowitej przebudowie, by zapewnić jak najwięcej światła i świeżego powietrza.

Ostatecznie krajobraz, który zaprojektował Henry z miejscowym pomocnikiem, był po prostu przepiękny. Prawdziwym jednak geniuszem wykazał się, rozkładając realizację tych wspaniałych planów na dziesięć lat i dbając o to, żeby Hoffmanowie nie musieli stracić ani jednego letniego dnia. Gdyby zdarzył im się jakiś kryzys finansowy, mogli zwyczajnie przerwać prace na jakimkolwiek etapie bez uszczerbku dla urody domu i całej posiadłości.

Zanim jeszcze Henry rozpoczął restaurację domu, Hoffmanowie zabrali kopie projektów do Beverly Hills, żeby dokładnie się z nimi zapoznać - i wkrótce do Henry'ego zaczął urywać się telefon, jakby połowa Los Angeles chciała mieć dziesięcioletni plan rozbudowy własnych posiadłości.

W taki oto sposób Henry MacClendon założył własną firmę. Wtedy właśnie zaczął spędzać więcej czasu poza domem - willa w Malibu, pałac w Hollywood Hills, renowacja rezydencji we Francji... Podczas tamtej pamiętnej pierwszej wizyty Henry krążył gdzieś między piwnicą a poddaszem Wielkiego Domu z notatnikiem w dłoni, zaś Nancy i Claire siedziały na walącej się werandzie i rozmawiały, popijając lemoniadę. Uroda Nancy była w tamtych latach nieodparta, jeszcze bardziej niż teraz. Claire zapamiętała ją jako prawdziwą południową piękność, pełną życia i wiecznie roześmianą. Właśnie wtedy Claire poznała Herba Gliddena. Gdy rozmawiały, zahamował ostro na podjeździe jakiś samochód i Nancy pomachała na kierowcę, żeby do nich podszedł. Ten wbiegł po schodkach i zapytał:

- Gdzie jest Al?

- Wybrał się na dalekomorski połów - powiedziała Nancy. - Herb, pozwól, że ci przedstawię...

- Poczekaj, musimy go złapać przez radio! - przerwał jej z podnieceniem. - Udało się, Nancy!

- Herb starał się załatwić Alfredowi koprodukcję filmu - wyjaśniła Nancy Claire.

- Piętnaście milionów baksów! - wykrzyknął Herb, niemal podskakując z radości.

Taki właśnie był początek kariery Herberta Gliddena. Zdobył piętnaście milionów dolarów na sfinansowanie filmu fabularnego Alfreda, w którym miała zagrać nieznana jeszcze piosenkarka z Nowego Jorku, Sasha Reinhart.

Nancy Hoffman ogromnie polubiła Claire. Za każdym razem, gdy zjeżdżała na lato, pierwszą osobą, do której dzwoniła, była właśnie ona. Poza tym, gdy Henry już wystartował ze swoją firmą, MacClendonowie byli zapraszani na

rozmaite przyjęcia nie tylko przez Hoffmanów, lecz również przez innych ważnych ludzi. Gdy zaś kolejne honoraria zaczęły napływać na ich konto, stali się stałymi gośćmi na imprezach dobroczynnych, których Claire, nawiasem mówiąc, szczerze nie znosiła. Uczestniczyła w nich tylko dlatego, że były dla Henry'ego okazją do nawiązywania nowych kontaktów.

Czy te letnie pobyty w East Hampton należały do szczęśliwych? Claire uważała je wówczas za takie, choć ostatnio zaczęła się nad tym zastanawiać. Owszem, było wiele szczęśliwych chwil, ale gdy myślała o nich teraz, zwracała uwagę, że w niemal żadnej z nich nie był obecny Henry. Lunche na świeżym powietrzu, dzieci śpiące w namiocie, dziewczynki przebrane za tancerki na baseballowych meczach Bertiego. Denver i Madeline jako dzokejki na zawodach jeździeckich, wyprawy na ryby, na żagle, wspólne partyjki scrabble'a na werandzie Wielkiego Domu, układanie gigantycznych puzzli... We wszystkich tych rozrywkach nie uczestniczył ani Henry, ani Alfred. Zawsze palili na boku cygara w ogrodzie albo wymykali się do odnowionego domku na partyjkę pokera z członkami paczki. No właśnie. Paczka. Och, jakże młodzi byli wtedy wszyscy! Żaden z nich nie pił nadmiernie, nawet Randolph, który nie miał jeszcze tej przeklętej winiarni. Stara paczka składała się z Alfreda i Nancy, Henry'ego i Claire, Randolpha i Marie (która później rzuciła Randolpha i wyjechała do Europy). Był w niej również rozwiedziony (i bez grosza) kumpel od golfa Alfreda z Kalifornii, Buck Buckley, który przyjechał tutaj i dał się uwieść Vanessie Walker (a może wówczas Dri-scoll), młodej spadkobierczyni, która była już trzykrotnie zamężna, a teraz upatrzyła sobie Bucka na czwartego męża.

Później dołączył do nich jeszcze Charles Kahn oraz jego

żona, Rachele, początkująca projektantka mody, dla której Charles oszczędził z Wall Street, żeby poprowadzić cały interes.

W sześć lat później do paczki doszlusowali Claude i kabel Lemieux, oboje prosto z Paryża. Ona była głupią nudziarą, ale Claude i Alfred stworzyli słynną niepokonaną parę na tenisowym korcie.

Herb Glidden nigdy nie należał do tej paczki i nie bywał na spotkaniach, jeśli tylko Hoffmanom udawało się tego uniknąć. Nie, nie w tym rzecz, że Nancy uważała go za prostaka. Po prostu jego obecność niezmiennie wprawiała Alfreda w podły nastrój. Nancy w kółko zadawała mu pytanie, czemu robi interesy z kimś, kogo tak nie cierpi, a on odpowiadał, że to nie jest kwestia sympatii czy antypatii i że nie może po prostu znieść w swoim domu faceta, który zrobi wszystko, żeby wcisnąć się do lepszego towarzystwa.

Raz w tygodniu grywali w domku w pokera. Stałymi bywalcami byli Alfred, Henry, Randolph, Buck, Charles, a później Gaudę. Gdy Alfreda akurat nie było, co zdarzało się często, zastępował go Julius. Jakimś sposobem Gliddeno-wi również udawało się zawsze wepchnąć do gry. Henry powiedział kiedyś Gaire, że gdy pewnego razu Herb zjawił się w zastępstwie Bucka, Alfred omal go nie wyrzucił. Poniział tego faceta na każdym kroku, a mimo to Herb z uporem snuł się za nim jak cień.

Dziwna para. A teraz obaj nie żyją.

Ten seans wspomnień przerwało nagle natrętne pukanie do frontowych drzwi. Obie kobiety popatrzyły na siebie, Claire zerknęła na zegarek.

- Kto to może być? Mam nadzieję, że nie chodzi o żadną z dziewczynek - powiedziała, zrywając się i biegnąc do salonu.

Mary Liz usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a potem zdumiony okrzyk Gaire:

- Henry! Co się stało? Coś z dziewczynkami?

- Nie, nic-uspokoił ją Henry.

Po chwili ciszy Mary Liz znów usłyszała głos Claire:

- Śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam.

- Henry, co się dzieje? - spytała Claire po chwili milczenia. - Wyglądasz okropnie. Powiedz szczerze, chyba nie chodzi o dziecko ani o Cindy?

- Nie - odchrząknął. - Właśnie urodziła. Chłopiec. Przyjechałem prosto ze szpitala.

- I z dzieckiem wszystko w porządku? Och, wejdź, proszę, przyszykuję ci coś do jedzenia. Właściwie to powinnam ci pogratulować...

- Przepraszam, że zawracam ci głowę. - Poszedł chyba za byłą żoną do kuchni, bo jego głos był teraz cichszy i stłumiony. - Nie wiedziałem, dokąd mam pójść. Byłem w Waszyngtonie, gdy otrzymałem wiadomość. Gdy przyleciałem, właśnie rodziła...

- I dziecko jest zdrowe?

- Och, tak, chłopak waży trzy i pół kilo. Krzyczy wniebogłoso. Z Cindy również wszystko w porządku.

- A więc chłopiec. Cieszę się z tego powodu, Henry. Zawsze chciałeś mieć syna. Przez chwilę znów panowało milczenie, potem Mary Liz usłyszała szept Claire:

- Ale jednak coś się stało. Co ci jest?

Przysięgłaby, że z kuchni dobiegł ją szloch zrozpaczonego sześćdziesięciolatka.

- Co ci jest?- powtórzyła Claire.

- Chcę być z tobą - odpowiedział i teraz już na pewno usłyszała jego płacz.

Miała ochotę wymknąć się cichaczem i zostawić ich sa-

283

mych. Postanowiła jednak, że zaczeka trzy minuty i dopiero...

- Przykro mi, Henry - odezwała się cicho Claire - ale nie możesz tu zostać. Wracaj do domu, odpocznij. Cindy i twój syn potrzebują cię teraz. Wiesz o tym.

Wydmuchał nos. Zapadła cisza. Po minucie, może dwóch, Mary Liz usłyszała, jak drzwi znów się otwierają, a następnie zamykają z cichym trzaskiem. Potem Henry włączył silnik i odjechał.

Claire wróciła na werandę po piętnastu minutach. Miała zapuchnięte oczy i czerwone plamy na twarzy.

- I kto twierdzi, że cuda się nie zdarzają? - powiedziała.

20

- Mój pracownik powiedział mi, że prosiłaś o charakterystykę firmy inwestycyjnej „Dunlau Gunney” w Dublinie -powiedział Bill Pfeiffer do Mary Liz we wtorek rano. - Można wiedzieć po co?
- Jest mi potrzebna - odrzekła ogólnikowo i zmarszczyła z niezadowoleniem brwi.
- A ja cię pytam: po co? I co to ma wspólnego z majątkiem Hoffmanów? - Bill był wyraźnie poirytowany.

Mary Liz znalazła tę nazwę w służbowym notesie Alfreda i zastanawiała się nad nią intensywnie przez jakiś czas. Zapisał ją w styczniu tego roku, podczas kręcenia filmu w Irlandii. W podróży towarzyszyli mu wówczas Nancy i Bertie (to właśnie wtedy uratowali Ashley).

Mary Liz nie miała pojęcia, co mogło łączyć Alfreda z tą firmą, tym bardziej więc ją dziwiło, że tak starannie zapisał jej nazwę. Kierując się przeczuciem, zadzwoniła w porze lunchu do biura Herberta Gliddena w Los Angeles. Telefon odebrała jego osobista sekretarka. Mary Liz przedstawiła się jako pracownica „Dunlau Gunney” i zapytała, czy może rozmawiać z panem Gliddenem.

Sekretarka zawahała się tylko przez chwilę, po czym przekazała jej smutną wiadomość o śmierci szefa. Następnie podała Mary Liz numer telefonu kancelarii prawniczej, która zajmuje się wszelkimi roszczeniami.

- Czy ta kancelaria ma nas w swojej kartotece? Będą wiedzieli, w jakiej sprawie dzwonię? - upewniała się Mary Liz.

- Tak z pewnością - odrzekła sekretarka.

- A jak się nazywa ta kancelaria? - Mary Liz kusiła los, ponieważ jej niby-irlandzki akcent pozostawiał wiele do życzenia.

- „Kleighorn & Myers”. Mieszcza się w Los Angeles i prowadzą sprawy majątkowe pana Gliddena. W ten oto sposób potwierdziły się jej przeczucia - Herb Glidden miał kontakty z dublińską firmą, a Alfred Hoffman zamierzał zapewne udać się do niej w czasie pobytu w Irlandii, a może tylko zadzwonić.

Na tej samej stronie zanotował zresztą także trzy inne nazwy firm, z których pierwsza okazała się niezależnym bankiem inwestycyjnym w Paryżu, druga handlowym bankiem w Brukseli, a trzecia agencją obrotu towarowego w Amsterdamie. Nie chcąc jednak postępować zbyt pochopnie, Mary Liz poprosiła najpierw o informacje na temat firmy irlandzkiej, żeby zorientować się, co w trawie piszczy, nim zacznie badać inne.

Teraz zaś nie mogła zrozumieć przyczyny rozdrażnienia Billa Pfeiffera.

- Przepraszam, że się tak zdenerwowałem - powiedział, jakby wyczuł jej zdziwienie - ale, do licha, Mary Liz, moja firma każe sobie płacić trzysta pięćdziesiąt dolców za godzinę, a ja nie mogę obciążać tymi kosztami twojego ojca! O ile się orientuję, nie ma to nic wspólnego z naszą sprawą!

Mary Liz zawahała się. Mogła się z nim spierać albo po prostu dać spokój i pójść własną drogą.

Wybrała to drugie wyjście. Nie chciała mieszać w to ojca. Zdenerwowałby się, gdyby się dowiedział, że jego córka węszy w przeszłości

Gliddena. Zwłaszcza teraz, gdy człowiek ten został zamordowany.

- Masz rację. Przepraszam - powiedziała, wzdychając ciężko do słuchawki. - Powodowała mną tylko ciekawość. Wiedziałam, że Alfred kręcił w styczniu film w Irlandii, i zachciało mi się wiedzieć, czy robił podczas pobytu jakieś interesy z „Dunlau Gunney”.

- Ale nic na to nie wskazuje, prawda?

- No... nie - skłamała.

- Skąd w ogóle wzięłaś tę nazwę? No, dalej, wymyśl coś!

- Prawdę mówiąc, to informacja dla Bertiego. Myśli o tym, żeby nakręcić w Irlandii film. Był tam z ojcem w styczniu, wrócił zachwycony. Pytał, czy nie znam kogoś, kto słyszałby o ewentualnych inwestorach. Pewien przyjaciel wspominał mi o tej firmie, ale mnie nie jest ona znana.

- W takim razie powiedz Bertiemu, że jeśli chce mieć konkretne informacje, to mu ich dostarczymy, ale musi zapłacić trzysta pięćdziesiąt za godzinę.

- Dobrze, powiem. I jeszcze raz cię przepraszam. Nie pomyślałam. Wykreśl tę prośbę. Och, *a propos*, w przyszłym tygodniu wybieram się do Amsterdamu na rozmowy z tymi filmowcami, a skoro będę już w Europie, wpadnę do Paryża, żeby sprawdzić „różne wydatki europejskie” - wiesz, tamte kobiety i chłopca.

- Świetnie. Może uda nam się to szybko zakończyć.

- Mam taką nadzieję.

Gdy tylko Mary Liz pożegnała się z Billem, zadzwoniła do ojca.

- Witaj - powiedział. - Jak się czujesz?

- Dzięki, tato, znacznie lepiej. Posłuchaj, kiedy mogę się

spodziewać dokumentów w sprawie mojej podróży do Amsterdamu?

- Jesteś pewna, że nie chcesz, bym poleciał z tobą?

W żadnym wypadku, pomyślała. Postanowiła załatwić kilka spraw, kiedy nikt nie będzie jej kontrolował. Zapewniła ojca, że nie ma najmniejszej potrzeby, żeby się fatygował, i że sama da sobie doskonale radę. Odparł, że dokumenty dotrą do mej najpóźniej w sobotę za pośrednictwem „Federal Express”.

- Doskonale, będę mogła wylecieć w niedzielę. A przy okazji, chciałam cię spytać, czy Bill Pfeiffer pracuje dla mnie, czy ja dla niego?

- On pracuje dla mnie, ty sporządzasz dla mnie raporty... Takie wzajemne powiązania. Czemu pytasz?

- Tak się zastanawiałam.

- Chyba się nie pokłóciliście, co?

- Nie. Byłam tylko ciekawa, czy mogę odrzucić jego sprzeciw, gdybym chciała.

- Zwracając się do mnie, zawsze możesz.

Ledwie skończyła rozmowę, do frontowych drzwi zapukała młoda kobieta w uniformie firmy kurierskiej.

- Pani Mary Liz Scott?

- Tak.

- Proszę tutaj pokwitować. - Podsunęła jej jakiś dokument, Mary Liz złożyła swój podpis u samej góry, a wtedy dziewczyna wręczyła jej kopertę, zamknęła za sobą drzwi i wskoczyła szybko do swego jeepa.

Mary Liz przyglądała się przesyłce ze zdziwieniem. Koperta nie miała żadnego nadruku ani zwrotnego adresu. Rozcięła ją nożem kuchennym - w środku był jedynie skrawek papieru, na którym ktoś nabazgrał pośpiesznie:

Dom, telefon, faks, komputer - wszystko na podsłuchu. 1-800-555-4949

Mary Liz podbiegła do drzwi, ale po jeepie nie było już śladu.

Przeczytała list jeszcze raz, poszła do domku gościnnego i zapukała do drzwi. Wywołała Wendy na dwór, a gdy oddaliły się od domu, powiedziała:

- Właśnie to dostałam. Nie mam pojęcia od kogo. Przywiozła to jakaś fałszywa doręczycielka.

- Musimy przeszukać twój dom - stwierdziła Wendy. - Domek gościnny również, nie mówiąc o rezydencji.

- Czy znasz kogoś, kto umie to zrobić?

- Owszem. Kogoś doskonałego. Ściągnę go pojutrze. Czy wiesz, kto mógł założyć podsłuch, jeśli to oczywiście prawda, a nie jakiś blef?

- Nie mam pojęcia. Nie mam też pojęcia, po co... A może „Braxer & Braxer” próbuje wywęszyć, co wiemy o sprawie? - Złapała się za głowę. - Niezły numer! Telefon, faks, komputer - niech to diabli! Jeśli to oni, to wiedzą wszystko! Boże, błagam, powiedz mi, że nie zdradziłam im wszystkiego!

- Może to nie oni - pocieszyła ją Wendy.

- A kto inny mógłby to zrobić?

- Na przykład Glidden. A on już nie żyje. Albo Julius.

- Nie sądzę, Wendy. Stawiam na Gliddena albo „Braxer & Braxer”.

- A może wcale nie ma u ciebie podsłuchu, Mary Liz. Mamy tylko ten świstek. Zobacz, wygląda podejrzanie. Spójrz na te gryzmoły. I co to w ogóle za numer?

- Nie wiem, nie dzwoniłam. Zapomniałaś, że telefon jest podobno na podsłuchu?

- Jeśli twój, to mój być może również. To co, poszukasz automatu?

Jadąc do miasta, czuła się jak szpieg. Postanowiła wziąć ze sobą monety i nie korzystać z automatów na kartę kredytową - tak na wszelki wypadek. Boże, zaczynała zachowywać się jak paranoiczka.

Ale czy ktoś na jej miejscu zachowywałby się inaczej?

Najpierw zadzwoniła do starej przyjaciółki w Chicago z prośbą, by sprawdziła dla niej cztery firmy z notesu Alfreda Hoffmana: „Dunlau Gunney”, „Eeghlenburger”, „Banque de Veurne” oraz „Jacques Gorce”.

- Jak mam ci przekazać te informacje? - spytała Betsy. -Faksem?

- Nie! - krzyknęła Mary Liz. - Wyślij pocztą kurierską. Najlepiej „Federal Expressem”. Zaraz dam ci adres...

Gdy skończyła rozmowę z Betsy, wzięła głęboki oddech i drżącą ręką wybrała numer zapisany na świstku papieru.

- Firma kurierska, „Rapid Fire Transit” - odezwał się męski głos. - Czym mogę służyć?

- Ja... ktoś... niedawno ktoś z pańskiej firmy dostarczył mi przesyłkę. W środku znajdował się ten numer.

- Jak się pani nazywa?

- Mary Liz Scott.

- Nazwisko panięskie matki?

- Co to jest, u licha - obruszyła się - przesłuchanie?

- Nie - odpowiedział mężczyzna.

- Nie podam panu nazwiska panięskiego matki.

- Dobrze - rzekł z westchnieniem - proszę mi wobec tego podać imię pani ostatniego chłopaka.

- Kogo?

- Może być zdrobniałe, wszystko mi jedno. Jeśli chce

pani otrzymać swoją wiadomość, musi pani to zrobić. Klient sobie tego życzył.

- Chwileczkę - powiedziała Mary Liz, odwracając się tyłem do nastolatka, który czekał w kolejce do telefonu - podam panu jego zdrobniałe imię, a pan poda mi jego nazwisko, zgoda?

- Nie znam go.

- No, dobrze, wszystko jedno. Ken.

- Zdrobniale od Kennedy?

- Tak.

- W porządku, panno Scott, proszę zaczekać, to może chwilę potrwać.

- Przepraszam cię, ale nie przewidywałam, że ta rozmowa się tak przeciągnie - powiedziała Mary Liz do czekającego nastolatka.

- To co mam zrobić? - spytał chłopiec. - Muszę zadzwonić do mamy.

Mary Liz wręczyła mu banknot pięciodolarowy.

- Poszukaj drugiego automatu.

Chłopiec odszedł, a Mary Liz odwróciła się plecami do ulicy. Po jakichś pięciu minutach w słuchawce coś zatrzeszczało i nagle usłyszała głos Sky' a:

- Halo? Mary Liz? - Ledwie go było słyhać. Po chwili rozległ się ponownie głos pierwszego mężczyzny: „Może pan mówić, sprawdziłem ją”. - Halo? Mary Liz? - odezwał się znów Sky.

- Sky? Boże, gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

- To nagły wypadek. Musiałem wyjechać. Nie mogłem zadzwonić aż do dzisiaj i będę rozmawiał bardzo krótko. Posłuchaj, Mary Liz, wycofaj się ze wszystkiego, co wiąże się w jakikolwiek sposób z Gliddenem.

- Ale o co chodzi, Sky? Musisz mieć coś wspólnego...

- Posłuchaj mnie, proszę! Nie mieszaj się do sprawy Gliddena! Nie rozmawiaj na jego temat, nie mów, nie pisz, nawet nie myśl o tym. Jesteś śledzona, podsłuchiwana... Wycofaj się! Rozumiesz? Nie mogę ci nic więcej powiedzieć...

Coś znów zaczęło trzeszczeć na linii.

- Sky?

- Kocham cię- usłyszała jeszcze przez trzaski. - Obiecuj mi, Mary...

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo połączenie zostało przerwane. Odłożyła słuchawkę i ponownie wybrała numer, lecz tym razem usłyszała tylko przenikliwy elektroniczny dźwięk, po którym nagrany na taśmie głos poinformował ją, że nie ma takiego numeru.

Zadzwoiła jeszcze raz. To samo.

A jednak Sky do niej dotarł. I ostrzegł ją. A przede wszystkim - powiedział, że ją kocha. Ale kim on właściwie jest? O to zapomniała go zapytać.

Gdy wróciła do domu, czekał już na nią zapowiedziany przez ciotkę Nancy fachowiec od zamków. Zaprowadziła go do Wielkiego Domu, przedstawiła Delores, ostrzegła Ashley, żeby się na niego nie rzucała, po czym zeszła z nim do skarbcza i przyglądała się, jak forsuje zamek, do którego brakowało klucza.

Po mniej więcej czterdziestu minutach zamek otworzył się, odsłaniając kartotekę wypełnioną szarymi kopertami. Mary Liz podpisała szybko niezbędne dokumenty, podziękowała ślusarzowi, po czym wróciła z Ashley do skarbcza.

Może te dokumenty wyjaśnią wszystko?

Na wszelki wypadek zamknęła za sobą drzwi na klucz, po czym drżącymi rękami wyjęła ze schowka stertę kopert i rozłożyła je na stole. „Adams Lucinda”, odczytała odręczny

napis na pierwszej z brzegu. Było to bez wątpienia odręczne pismo Alfreda.

Otworzyła kopertę i wyjęła z niej kartkę z przyklejonym zdjęciem jakiejś młodej, dość ładnej kobiety w taniej sukni wieczorowej. Ktoś, kto jej towarzyszył, został z fotografii wycięty. Po prawej stronie znajdowały się odręczne notatki Alfreda.

Nie zdążyła ich przeczytać, bowiem poderwał ją nagle do góry brzęczyk domofonu.

- To ja, kochanie! - odezwała się Nancy, gdy Mary Liz podniosła słuchawkę. - Możesz mnie wpuścić?

- Tak, już idę-zawołała.

Opróżniła błyskawicznie jeden z kartonów z dokumentacją „Howland Films” i wrzuciła do niego wszystkie koperty. Do otwartej przez ślusarza skrytki włożyła część dokumentów z pudła i dopiero wtedy otworzyła drzwi.

- Tutaj jesteś - powiedziała Nancy, głaszcząc Ashley. - No i co? Czy „kasiarz” otworzył sejf?

- Tak.

- I co tam znalazłaś? - spytała Nancy, wymijając Mary Liz, by zajrzeć do skrytki. - Tylko papiery związane z „Howland” - Zmarszczyła brwi.

- Niestety. Ale przejrzę je dokładnie. Zdaje się, że twój mąż po prostu chciał mieć duplikaty pewnych dokumentów.

- A może schował je tutaj, ponieważ nie mógł znieść, że te sejfy zioną pustką, podczas gdy on wydał taką masę pieniędzy na ich zainstalowanie. - Westchnęła. - Och, ten Alfred, to bardzo do niego podobne. No cóż... - Spojrzała ze zdziwieniem na psa, który kręcił się przy pudłach, węsząc przy tym, do którego Mary Liz wrzuciła koperty wyjęte z sejfu. - Chodź, ślicznotko - powiedziała do Ashley, otwierając drzwi - zjemy obiadek. - Dopiero to słowo podziałało na

293

psa, który oderwał się wreszcie od kartonu i wybiegł za swoją panią.

Mary Liz ponownie zaryglowała drzwi i wyjęła z powrotem dokumenty na stół. Odnalazła otwartą już kopertę, wydobyła z niej kartkę ze zdjęciem i zaczęła czytać.

Adams, Lucinda

Kelnerka w małej kafejce przy szosie 101. Zrobiłem sobie małą przerwę w podróży. Zaskoczyła mnie uroda tej dziewczyny. Zamówiłem jedzenie przy bufecie, rozmawiałem z nią o filmach. Spytałem, czy kiedykolwiek jechała limuzyną. Powiedziała, że nie, wyraźnie zainteresowana. Oczy jej błyszczały i wiedziałem już, że będą miał z niej pociechę. Wziąłem ją na tylne siedzenie, kierowca jeździł w kółko. Niezła ciagutka, obciągnęła mi jak profesjonalistka. A robiła wrażenie takiego niewiniątka...

Przyjechałem po nią później i zabrałem ją do motelu. Dwie godziny. Najpierw od przodu, potem od tyłu.

Dałem jej parę dolców, a ona mi swoje zdjęcie z balu. Miły dzieciak. Podobno dopiero szesnastka.

Mary Liz czuła, jak z każdym przeczytanym zdaniem robi jej się coraz bardziej gorąco. Domyślała się już, co może znaleźć w kolejnych kopertach.

21

- Mam dobre i złe wieści - powiedział specjalista od wykrywania podsłuchów.

Wendy, Mary Liz i Bertie wracali właśnie z kortu, gdzie Jake dał im przed chwilą niezły wycisk. Stwierdził, że musi ich trochę rozerwać, ponieważ wszyscy są okropnie spięci. Rzeczywiście byli. Bertiego przesłuchiowano już pięciokrotnie.

- Jeśli można, to najpierw dobre, Liam - poprosiła Wendy, która sprowadziła go z Nowego Jorku, żeby przeczesał całą posiadłość i zlikwidował wszystkie podejrzane instalacje.

- A zatem - zaczął Liam - prawie wszystko jest czyste: domek plażowy, Wielki Dom, domek gościnny...

- Dzięki Bogu.

- Ale twój dom, Mary Liz, jest niestety wręcz naszpikowany elektroniką.

Mary Liz zrobiło się niedobrze. Szkoda, że nie była jeszcze bardziej podejrzliwa. Od samego początku. Od dnia, gdy tu przyjechała.

- Najlepiej będzie, jeśli wejdziemy tam razem i pokażę ci wszystko, co znalazłem. Jeśli nie chcesz, żebym usunął lub zniszczył to świństwo, musimy być bardzo ostrożni. Radzę zachowywać się na razie tak, żeby ci, co cię podsłuchują, nie domyślili się, że o tym wiesz.

Mary Liz zastosowała się do jego poleceń.

- Boże, ależ tu gorąco! - powiedziała głośno zaraz po otwarciu drzwi. - Czego się napijecie?

Usiedli z Bertiem i Wendy na kanapie i zaczęli luźną rozmowę, podczas gdy Liam chodził po całym domu i pokazywał kolejno: nieduży żyrandol zwisający z sufitu w kuchni, lampę w salonie, uchwyt z taśmą klejącą w gabinecie.

Wyszli na werandę, odgrywając nadal przedstawienie dla podsłuchujących, posiedzieli trochę, a potem zgodnie postanowili pójść po sąsiedzku do Wendy na zimne piwo.

Gdy przechodzili obok bocznej ściany domku Mary Liz, Liam wskazał na metalowe przewody, biegnące do środka. Gdy zaś znaleźli się wreszcie w salonie u Bertiego i Wendy, Mary Liz była bliska płaczu.

- Kto to robi, Liam? Co podejrzewasz?

- Mogę tylko powiedzieć, że podsłuchują cię dwie lub nawet trzy różne grupy. Według mnie trzy. Podsłuch w kuchni i w salonie założyła ta sama osoba. Ktoś inny w podstawie uchwytu do taśmy klejącej i na werandzie.

- Co to za urządzenia?-spytała Wendy.

- Mikrofony i nadajniki.

- A czy można stwierdzić w jakiś sposób, gdzie są odbiorniki?

- Według mnie dość blisko. Ktoś albo słucha na żywo, albo nagrywa wszystko gdzieś w ukryciu, zapewne cyfrowo, na dysk optyczny. Poza tym na biegnącej do domku linii telefonicznej zamontowany jest rozgałęziacz na telefon, faks i komputer.

- I dokąd prowadzi to połączenie? - spytała zdenerwowana Wendy.

- Nie mogę tego sprawdzić bez zgody firmy telekomunikacyjnej.

Mary Liz westchnęła ciężko i opadła na sofę. Była wyczerpana. Nie dość, że teraz dowiaduje się o podsłuchu, to wczoraj siedziała do późna nad kartotekami Alfreda Hoffmana, co spowodowało, że dręczyły ją później straszliwe koszmary.

- I co chcesz z tym zrobić, Mary Liz? - spytała Wendy.

- Na razie zostawię to wszystko - powiedziała. - Ale, na miłość boską, Liam, zostaw mi swoją wizytówkę. Mogę w każdej chwili zmienić zdanie.

- Oczywiście, proszę. Aha, i jeszcze jedno - przypomniał sobie i wyjął z kieszeni na piersi jakiś przedmiot, który przypominał czarną gumową strzałkę. - Znalazłem to na zewnątrz.

- Och, oddaj mi to - powiedziała Wendy, zabierając szybko przedmiot z jego dłoni.

- Wendy!-wykrzyknęła Mary Liz.

- Daj spokój, to nic takiego. Na samym początku, kiedy dopiero tu przyjechałaś, wypadło mi przez okno i nie mogłam nigdzie znaleźć.

- A co to jest?

- Nic. Naprawdę nic.

Mary Liz zrezygnowała z dalszych dociekań.

- Wypisz mi rachunek, zanim wyjedziesz, dobrze? - poprosiła Liama.

- Nie - pokręcił głową Bertie. - Ja zapłacę. Jako twój gospodarz.

- Mój gospodarz - powtórzyła Mary Liz, wstając z kanapy. - No cóż, kochany gospodarzu, muszę teraz przemyśleć pewne sprawy. Idę się położyć w moim „zapluskwionym” domu. Powiadomię was o skutkach moich rozmyślań, zanim wyjadę do Europy. Sypialnia i łazienka nie są na podsłuchu, prawda? - spytała Liama.

297

- Nie, nie są.

Wróciła do domu, który wydawał jej się w tej chwili naprawdę pełen robactwa, i położyła się na łóżku, dziękując niebiosom za to, że nie musi się obawiać, że ktoś podsłucha, o czym myśli.

Jej myśli znał tylko On - sam Bóg.

No dobrze, musiała się teraz zastanowić.

Musiała podjąć właściwą decyzję, jak ma postąpić.

Była prawie pierwsza w nocy, gdy Mary Liz podniosła oczy znad dokumentów. Od kilku godzin siedziała samotnie w skarbcu Wielkiego Domu i pracowała bez odpoczynku, toteż kark jej zeszywniał, plecy zdrewniały, a pełny pęcherz nie pozwalał się dłużej lekceważyć.

Wstała, wykonała kilka ćwiczeń rozciągających, otworzyła drzwi, a następnie weszła na górę.

Skorzystała z toalety obok kuchni, wzięła szklankę mleka z lodówki i zamierzała wrócić do skarbcza, gdy nagle z pobliskiego pokoju dobiegły ją głosy Bertiego i Wendy.

Ruszyła w stronę drzwi z zamiarem przywitania się z nimi, gdy jednak usłyszała, że Bertie mówi podniesionym głosem, zatrzymała się w pół kroku.

- Nie wierzę, że mogłaś coś takiego pomyśleć! - powiedział, najwyraźniej mocno czymś podenerwowany.

- Nic nie myślę, po prostu pytam - odparła cicho Wendy. - Żeby się upewnić. I mów ciszej, bo sprowadzisz nam na głowę cały dom.

- Pieprzę cię, Wendy!

- Bertie, popatrz na to z mojej strony. Twoja matka powiedziała ci tamtej nocy coś, co cię ogromnie poruszyło. A gdy widziałam cię po raz ostatni przed snem, groziłeś, że zamkniesz Gliddenowi gębę raz na zawsze. Potem zniknąłeś,

a policja twierdzi, że widziano cię, jak brałeś łódź z przystani...

- Chciałem się uspokoić.

- Albo załatwić Gliddena. Walnąłeś go w łeb, naszpikowałeś narkotykami i wrzuciłeś do oceanu - tak właśnie ma prawo myśleć policja.

- Ale chyba nie ty. Sądziś, że nie postarałbym się, żeby nie zniosło go na naszą plażę? Uważasz mnie za takiego idiotę?

- Nie wiem. Coś przede mną ukrywasz, Bertie. Nie powiedziałeś mi wszystkiego o tej nocy, więc nie mogę niczego wykluczyć.

- Kobieto, gdybym chciał zamordować Gliddena, nie uczyniłbym tego własnymi rękami. Zrobiłbym to na Zachodnim Wybrzeżu i prawdopodobnie w taki sam sposób, w jaki Glidden zabił mojego ojca.

- No właśnie. To mógł być dla ciebie wystarczający motyw...

Przez kilka chwil w pokoju panowało milczenie.

- Posłuchaj, Bertie - odezwała się znowu Wendy. - Wynająłeś mnie, żebym wykonała dla ciebie pewne zadanie. Uniemożliwiasz mi to, ponieważ mi nie ufasz. Myślałam, że masz do mnie zaufanie.

- To nie ma nic wspólnego z całą sprawą.

- Kłamiesz. A ja chcę wiedzieć, dlaczego.

- Nie mogę - odparł po dłuższej chwili.

- Doskonale. Wobec tego ja rezygnuję.

Skrzypnęła skóra, którą obita była kanapa. Mary Liz drgnęła i zaczęła wycofywać się na palcach.

- Wendy, proszę - usłyszała jeszcze udręczony głos Bertiego. Znów zapadła cisza. Wendy zatrzymała się pewnie i czekała teraz, co powie jej klient. - Jeśli ci zdradzę, czego

się dowiedziałem od matki, czy przysięgniesz na wszystkie świętości, że nigdy nie powiesz o tym Mary Liz? - zapytał wreszcie.

- Nie mogę ci tego obiecać, Bertie.

- Wobec tego nic ci nie powiem.

- No to przysięgnij mi tylko na życie swojej matki, że nie maczałeś palców w zabójstwie Gliddena.

- Przysięgam!

Wciąż ze szklanką mleka w dłoni, Mary Liz wróciła cichutko do skarbca. Zamknęła drzwi, odstawiła szklankę na stół. Spojrzała na swoje dłonie - trzęsły się ze zdenerwowania.

„Przysięgnij na wszystkie świętości, że nigdy nie powiesz o tym Mary Liz...”

O co tu może chodzić?

Och, nie, za dużo tego wszystkiego! Nigdy w życiu nie przeżyła tylu dziwacznych przygód - Sky i numer telefonu, który znika; trzy różne grupy albo osoby, które zakładają podsłuch w jej domku; tajemniczy facet, który chce ją zatrudnić, rozpowiada kłamstwa na jej temat, a potem tonie, nafaszerowany narkotykami; ciocia Nancy, która mówi Bertiemu coś, o czym ona, Mary Liz, nie może się za żadne skarby dowiedzieć...

I w dodatku te obrzydliwe kartoteki Alfreda Hoffmana.

Gdyby ciocia Nancy o nich wiedziała, zabiłoby ją to, Mary Liz była tego pewna. Ich zawartość mogła zresztą zniszczyć niejedno życie...

Jak dotąd zapisała nazwiska dwustu siedemdziesięciu sześciu kobiet, które figurowały w aktach Alfreda, oraz wszelkie informacje, które mogły być pomocne w ich odnalezieniu, gdyby zaszła taka potrzeba. Kilku nazwisk nie musiała notować, ponieważ dokładnie wiedziała, gdzie szukać tych kobiet - tutaj, w East Hampton.

Odkąd przeczytała pierwszą notatkę (potem było ich przecież o wiele więcej) nie mogła otrząsnąć się z szoku. Mówiąc krótko, Alfred Hoffman był maniakiem seksualnym. Żył, zdaje się, wyłącznie seksem, miał obsesję na punkcie prowadzenia kroniki swych podbojów, a na dodatek, sądząc po stanie wielu kartek, musiał wielokrotnie ją przeglądać, przeżywając na nowo każdą przygodę.

Wyraźnie faworyzował dwie grupy kobiet - te, które znały jego żonę, oraz nieletnie.

Reinhart, Sasha

Wielka primadonna we własnej osobie! Na kolanach w moim pokoju hotelowym. Obciągała mi tak, jak gdyby jej życie od tego zależało. Z połykaniem! A wszystko za parę marnych działek, żeby przetrwać zdjęcia. Tak sobie. Śpiewa lepiej niż ciągnie.

To był jedyny na szczęście zapis dotyczący Sashy. Widocznie wydobyła się z narkotykowego uzależnienia i jej nazwisko nie pojawiło się więcej w kartotece.

Driscoll, Vanessa

Podczas przyjęcia w naszym domu zabrałem ją, żeby pokazać jej domek plażowy. Widziałem, że jest chętna. Powiedziałem jej: „jesteś najbardziej seksowną kobitką w EM, lepszą od gwiazd i modelek”. A potem położyłem jej dłoń na swoim kutasie. Rany, ależ artystka!

Popchnąłem ją na stół i wziąłem w ubraniu. Po pięciu minutach byliśmy z powrotem. Idealny gospodarz. Podczas kolacji spostrzegłem, że znów na mnie mruga, potem przeprosiła wszystkich i wyszła na chwilę. Znalazłem ją w łazience na górze. Szybki numerek na umywalce - trzy minuty, zdążyłem jeszcze na deser. Cholernie gorąca laska. Claire wyczuła chyba na mnie jej zapach, bo dziwnie potem patrzyła. Naprawdę niezła laska. Warto powtórzyć.

Kolejnych wzmianek o Vanessie również nie było. Albo wrócił jej rozsądek, albo spotkała już Bucka. A teraz najgorsze - kartka ze zdjęciem niewinnej nastolatki, tak jak wiele innych wyciętym z jakiejś większej grupowej fotografii.

MacClendon, Madeline

Wspaniała! Przemyciłem dla niej alkohol na przyjęciu u jej rodziców, a potem pojechała ze mną na lody. Po drodze rozmowa. Spytałem, czy ma chłopaka. Ma. Jak daleko się z nim posunęła? W ogóle, mama by ją zabiła. (Pocziwa, stara Claire, wierny pies Nancy.)

Wyjaśniłem, że można wiele robić, nie robiąc,, tego". Zaparkowałem w ustronnym miejscu, wyjąłem kutasa i pokazałem jej. Gapiała się, była zaciekawiona. Chyba się trochę bała. Powiedziała, że nigdy przedtem tego nie widziała. Kazałem jej dotknąć Wyciągnęła rękę i położyła ostrożnie. Powiedziałem, że zajdzie w ciążę, jeśli wsadzi go między nogi, a jeśli będzie tylko pocierała, to nikt o niczym się nie dowie. Może to robić ze swoim chłopakiem. Sprawia mu wielkąprzyjemność. Cofnęła rękę i powiedziała, że woli nie, ale nadał się gapiała. Pokierowałem jej dłonią i kazałem patrzeć, co się będzie działo. Powiedziałem: „To taka lekcja od wujka, kto ma cię tego nauczyć?" Zamknąłem oczy - och, jak wspaniale!

Potem wytarłem jej dłoń i zabroniłem wspominać o tym komukolwiek. Obiecała, że nikomu nie powie. Poszliśmy do cukierni i kupiłem jej lody. W drodze do domu usnęła.

302

Mary Liz robiło się mdło, gdy to czytała. Ile lat miała wtedy Madeline, piętnaście? Zboczony, ohydny sukinsyn!

Po przeczytaniu tej właśnie notatki podjęła ostateczną decyzję.

Była czwarta nad ranem.

Mary Liz wrzuciła kartoteki do pudła i zamknęła je starannie. Było bardzo ciężkie, ale postanowiła przenieść wszystko za jednym razem. Z trudem wytargała karton ze skarbca i postawiła go na schodach, po czym zamknęła drzwi na klucz. Wnosiła go po kilka schodków, zatrzymując się co jakiś czas, by odpocząć. Wreszcie jakimś cudem dotarła do drzwi i ruszyła podjazdem w stronę domku, uginając się pod ciężarem.

Gdy dotarła do domku, wyłączyła alarm, zapaliła światła, zamknęła drzwi i zaciągnęła zasłony.

Przeszła do salonu, odsunęła osłonę w kominku i położyła na kracie specjalne, szybko zajmujące się ogniem polana. Zapaliła zapałkę -ogień rozbłysnął od razu ciepłym blaskiem. Przyciągnęła karton bliżej, usiadła po turecku na podłodze i zaczęła wrzucać metodycznie kolejne papiery do ognia.

Była to ciężka praca. Najpierw musiała odrywać i palić zdjęcia. Niektóre kobiety miały dossier składające się z wielu kartek, trzeba więc było najpierw rozrywać sztywne koperty. A kobiet było dwieście siedemdziesiąt sześć!

W dziesięć minut później ktoś zapukał do drzwi.

Nie otworzyła, więc stukanie rozległo się ponownie.

Podeszła do drzwi, uchyliła je, wyrzała przez szparę. Jake. Przyłożyła palec do ust, wyslizgnęła się cicho i pokazała mu, żeby odeszli dalej, na trawnik za werandą.

- Słyszałem, że masz założony podsłuch - powiedział. - Ale co się teraz tutaj dzieje, dziewczyno? -

Pokazał ruchem głowy dym, unoszący się z komina.

303

- Postanowiłam rozpalić sobie w kominku - wyjaśniła Mary Liz i nagle, niespodziewanie nawet dla siebie samej, wybuchnęła śmiechem. Mimo nocy było tak gorąco, że palenie w kominku zakrawać mogło na czyste szaleństwo.

- Pani Hoffman zapewniła mnie, że mogę ci zaufać - rzekł poważnie Jake.

- Możesz.

- Muszę się jednak upewnić, czy nie niszczysz żadnych ważnych dokumentów. Widziałem, jak dźwigałaś pudło z Wielkiego Domu.

- Och, Jake, nie mogłeś mi pomóc? To było takie ciężkie.

- Co postanowiłaś spalić? - nie ustępował.

- Coś, co zabiłoby Nancy, gdyby kiedykolwiek wpadło w jej ręce. I co złamałoby serce Bertiemu. Pokazać ci? - spytała, bo czuła, że tylko tak może zyskać zaufanie Jake'a i sprawić, by nie wszczął alarmu.

Kiwnął głową, więc poszła do domku i przyniosła kartotekę jakiejś dziewczyny z Georgii, której Jake nie mógł znać. Podała mu kopertę, zapaliła latarkę.

- Otwórz.

Jake wyjął ze środka zdjęcie jasnowłosej nastolatki w kostiumie dobosza i długich białych butach. Potem rzucił okiem na odręczne zapiski na odwrotnej stronie kartki. Mary Liz pamiętała ich treść. *Super dupcia! Spadła mi jak manna z nieba! Zapukała w motelu do drzwi mojego pokoju i spytała, czy to prawda, że jestem słynnym hollywoodzkim producentem...*

Twarz Jake'a wykrzywił nagły grymas. Pewnie doszedł właśnie do momentu, w którym Alfred opisywał, w jaki to

304

„podniecający" sposób wykorzystał pałeczkę do bębena, gdy dziewczyna wróciła do niego następnej nocy.

- O Jezu-jęknął, oddając jej kopertę.

- Do spalenia zostało mi jeszcze dwieście pięćdziesiąt podobnych „dokumentów”.

Jake odszedł od niej, westchnął ciężko, zapatrzył się w niebo.

- Pomożesz mi? - zapytała.

- Chyba sam Bóg cię tu zesłał, dziewczyno. - Popatrzył na nią uważnie. - Oczywiście, że tak.

Weszli razem do domku. Mary Liz włączyła radio, żeby zmylić podsłuchujących, i pokazała Jake'owi resztę papierów. Wzięła jeden z nich, wrzuciła do ognia. Powstrzymał ją, po czym skinął głową i pokazał gestem dłoni, żeby wstała i poszła za nim. Sam wziął karton, zaprowadził ją do gabinetu i pokazał niszczarkę do dokumentów.

Oczywiście! W ten sposób pozbędą się tych śmieci dużo prędzej.

Następnie pokazał jej na migi, że ona ma niszczyć dokumenty, a on będzie nosił zmielony papier w koszyku i wrzucał do kominka. „Ty już to znasz, a ja nie chcę mieć z tym gównem nic wspólnego” - zdawały się mówić jego oczy.

Mary Liz uśmiechnęła się. Naprawdę wspaniały facet z tego Jake'a.

Cały czwartek spisała na straty. Niszczenie dokumentów skończyli około wpół do ósmej rano, potem zaś wyłączyła telefon i położyła się spać. Obudziła się dopiero koło czwartej po południu, gdy przyszedł Bertie, by namówić ją na windsurfing.

Niestety, Mary Liz wątpiła, czy kiedykolwiek zdobędzie się jeszcze na to, żeby wejść do oceanu. W każdym razie nie na tej plaży i z pewnością nie w najbliższym czasie.

Bertie powiedział, że rozumie, i zaproponował jej inną rozrywkę - zabrał ją do stadniny koni, prowadzonej przez przyjaciół w pobliżu Montauk, gdzie wypożyczył dla siebie ogiera do jazdy na oklep, a dla niej osiodłał małą, bardzo łagodną klaczkę o imieniu Cupcake. Razem wybrali się na przejażdżkę brzegiem morza, która podziałała na Mary Liz niezwykle relaksujące

Wieczorem, przy kolacji, wyjaśniła Nancy przyczyny swojej podróży do Europy (zbadanie ukrytych aktywów Alfreda), a potem wróciła do siebie i położyła się spać. O dziwo, spała spokojnym snem od wpół do dziesiątej do dziewiątej następnego ranka, gdy obudził ją kurier z „Federal Express”, który dostarczył przesyłkę z Chicago.

Mary Liz zaparzyła sobie poranną kawę, wyszła na werandę i usiadłszy na schodkach, zaczęła czytać raport, przysłany jej przez Betsy.

Przyjaciółka wykonała dla niej wspaniałą robotę. Poza szczegółową charakterystyką czterech europejskich firm oraz ich kierownictwa, postawiła znaki zapytania w miejscach, które budziły jej wątpliwości. Mary Liz bez trudu zorientowała się, że w każdym z przypadków chodzi o zakamuflowanie nazwisk klientów, którzy chcieli pozostać anonimowi.

Im bardziej wgłębiała się w tekst raportu, tym bardziej utwierdzała się w postanowieniu, by zajrzeć do wszystkich tych firm podczas pobytu w Europie. Czemu Alfred zanotował akurat te nazwy? Czy rozmawiał z tymi ludźmi? Planował coś? A może w któraś z firm zainwestował? Albo oni zainwestowali w niego?

Obracała w palcach ołówki, myśląc intensywnie. Będzie udawać przedstawicielkę amerykańskiej firmy. Zanim wyjedzie, musi znaleźć kogoś, kto udawałby jej sekretarkę, potwierdzałby spotkania, stworzyłby pozory, że przyjechała do Irlandii, Francji czy Holandii w interesach.

Wendy! Musi poprosić Wendy.

A co ze Sky'em? Buck twierdził, że Sky wyjechał z powodu niecierpiących zwłoki spraw rodzinnych. W porządku, rozumiała to. Miała nadzieję, że nikomu z jego bliskich nie stało się nic poważnego. Ale co z tym Stephenem Pembroke'iem. Sprawdzić to? Może przez Wendy? Jest przecież detektywem... Nie, zaufa mu. Kimkolwiek jest.

Ubrała się szybko, by pójść do Wendy i przedstawić jej swoją propozycję. Wypadła na dwór i skierowała swe kroki prosto do domku gościnnego. Z tylnej werandy dobiegała muzyka - widocznie Wendy wyszła na taras, by wystawić ciało na łagodne promienie porannego słońca. Poszła w tamtą stronę, wspięła się po schodkach.

307

Taras był pusty. Na oparciu leżaka wisiał złożony w pół ręcznik, obok stała butelka wody mineralnej i radio.

Już chciała wejść przez uchylone drzwi do środka, gdy nagle powstrzymał ją przeciągły jęk.

Takiego jęku nie można pomylić z żadnym innym. Nie chciała patrzeć, ale bez udziału woli jej spojrzenie powędrowało w głąb kuchni. Wstrząśnięta, wycofała się na palcach.

Dopiero za rogiem domu zaczęła znowu normalnie oddychać. Stała nieruchomo, próbując przetrwać to, co zobaczyła.

Nigdy przedtem nie widziała dwóch kobiet w podobnej sytuacji. Nawet wtedy, podczas nocnego spaceru na plaży, kiedy było zbyt ciemno, by dostrzec szczegóły. Teraz wiedziała już, kim były tamte kochanki.

Mój Boże, myślała, tutaj? W kuchni, przy otwartych drzwiach? Co one sobie myślą?

Ale rzecz w tym, że Wendy i Vanessa nie myślały i nie zastanawiały się nad niczym. Po prostu umierały z przemożnej chęci, by się kochać.

Wendy i Vanessa...

Coś takiego!

23

W sobotę wieczorem Mary Liz, Wendy i Jake pojechali limuzyną do „East End Country Club” na pierwszy doroczny bal z okazji utworzenia fundacji pamięci Alfreda Hoffmana. Bertie jechał za nimi drugim samochodem w towarzystwie matki. Gdy dotarli na miejsce, zajął miejsce u boku Wendy, Nancy zaś wzięła pod rękę Bucka, który pełnił funkcję gospodarza.

Mary Liz myślała, że nie zdoła już nigdy spojrzeć Wendy w oczy, tymczasem nie mogła oderwać od niej wzroku. Wszyscy zresztą na nią patrzyli, była bowiem dzisiaj naprawdę piękna - błyszczące oczy, miękkie, opadające na ramiona włosy, olśniewający uśmiech na tle ciemnej opalenizny. Miała na sobie niezwykle skromną, lecz seksowną suknię z szaroniebieskiego jedwabiu (jej ciało wydawało się wręcz stworzone do takiego fasonu) i dwa długie sznury prawdziwych pereł.

Jake, który towarzyszył tego wieczora Mary Liz, był niewiarygodnie przystojny w białej smokingowej marynarce, czarnym krawacie i czarnych spodniach oraz wypolerowanych do połysku czarnych butach.

A więc taki jest układ w domku gościnnym tego lata, pomyślała Mary Liz - Wendy i Vanessa oraz Bertie i Jake.

Cóż, East Hampton nigdy nie przestanie jej zadziwiać.

Jeszcze w samochodzie Wendy dwa razy pytała ją, czy

dobrze się czuje. Widocznie mimo niemal dwunastu godzin snu Mary Liz nie wyglądała najlepiej.

- Mam wrażenie, że coś cię gnębi. Stało się coś jeszcze?

- Nie. Mam tylko w głowie straszny natłok myśli.

- Wszyscy mamy - powiedział Jake. - Ale nie martw się, nie widać po tobie, że masz problemy - dodał kurtuazyjnie.

Nie do końca mu wierzyła, choć zdawała sobie sprawę, że koktajlowa suknia, którą przysłała jej matka z Chicago, tuszuje wiele grzeszków urody i jest bardzo twarzowa.

Żeby poczuć się lepiej, spróbowała myśleć o Sky'u. Ciekawe, gdzie teraz jest i co porabia. Zazdrościła mu, że nie musi brać udziału w dzisiejszym przyjęciu - okropnej farsie poświęconej szlachetnej pamięci wyjątkowo*złego, odrażającego człowieka.

Oby tylko nie udławiła się podczas uroczystego toastu ku czci Alfreda Hoffmana!

- Podaj mi na chwilę swoją torebkę, Mary Liz - Wendy przerwała jej rozmyślenia; Wyjęła z własnej torebki dyktafon i przewinąwszy kasetę, przyłożyła go do ucha. - Teraz w porządku - uśmiechnęła się, po czym zatrzaskała torebkę Mary Liz i oddała ją właścicielce. - Pamiętaj tylko, żebyś nie szurała nią po stole i nie szeleściła nad nią serwetką. Ma leżeć zawsze zatrzaskiem do góry, jasne?

W podobny sposób Wendy przygotowała swoją torebkę, a potem powiedziała Mary Liz, że ma jeszcze trzy takie zestawy, które oddają nieocenione usługi w jej pracy.

Hm, a więc Wendy miała jakieś plany w związku z tym przyjęciem.

Dekoracje w „East End Country Club” były wspaniałe. Ciocia Nancy zapłaciła osobiście projektantowi i razem za-

planowali przekształcenie pawilonu klubowego oraz przyległych gruntów w studio filmowe z dawnych lat.

Zaproszenia przyjęły tak znane osobistości, że mnóstwo osób (w sumie gości była ponad setka) przyszło tu choćby po to, by zobaczyć je na własne oczy. A przecież tylko na koktajl bilety kosztowały pięćdziesiąt dolarów, natomiast na dansing - aż pięćset. Nancy szybko obliczyła, że dochód ze sprzedaży biletów wyłącznie dla koktajlowych gapiów wyniesie około dziewięciu tysięcy dolarów. W pewnym momencie przed klub zajechał żółty bentley z 1939 roku, którego Nancy wynajęła specjalnie na tę okazję. Orkiestra przestała grać i w chwilę później w drzwiach wiodących na taras stanęli Nancy, Bertie, Julius oraz Jeanine Hoffmanowie. Buck przedstawił przybyłych, a zebrani goście powitali ich oklaskami.

Goście koktajlowi stanowili wyraźnie gorszy sort, co Mary Liz spostrzegła już na pierwszy rzut oka. Niemal wszyscy panowie zignorowali wymóg wydrukowany na zaproszeniu (marynarki i krawaty) i wybrali džinsy, sportowe koszule, a jeden z nich był nawet w szortach. Widocznie co znakomitsze osobistości zaplanowały swoje przybycie dopiero na dansing, który miał się zacząć po ósmej. Tymczasem wszyscy wypatrywali w podnieceniu znanych z telewizji i gazet twarzy, próbując rozszyfrować, czy napotkana osoba jest Kimś Ważnym.

- Musimy wreszcie kogoś im dać, mamó - usłyszała Mary Liz słowa Bertiego.

- Nie martw się, kochanie - odpowiedziała Nancy. - Sasha obiecała, że będzie o szóstej piętnaście... -

W tej samej chwili w pawilonie nastąpiło wyraźne poruszenie. - Widzisz? Przyjechała. I zostanie przez cały wieczór. Załatwiłam pięciu ochroniarzy w przebraniu dla zapewnienia spokoju.

311

Za dziesięć minut mają być Dick i Stephanie, potem, o szóstej czterdzieści, Martha i Kathleen, a o szóstej pięćdziesiąt Kim i Alec oraz Ralph i Rachelle. Później będą jeszcze Tony, Jason i Betty, dokładnie o siódmej. A o siódmej trzydzieści wychodzą...

Oto cała tajemnica Nancy, wyjaśnił później Bertie Mary Liz. Daje zwykłym (ale zamożnym) ludziom możliwość obejrzenia na żywo słynnych gwiazd, a oni powiększają gromadzone przez nią fundusze. I tak dokładnie o szóstej dwadzieścia pięć zjawił się Dick Cavett, a zaraz po nim Stephanie Powers; Martha Stewart i Kathleen Turner weszły niemal jednocześnie o szóstej czterdzieści, zaś o szóstej pięćdziesiąt Kim Basinger i Alec Baldwin. W trzy minuty po nich oklaski przywitały Ralpha Laurena i Rachelle Zaratana i wreszcie, rzeczywiście punktualnie o siódmej, zawitali Tony Randall, Jason Robards oraz Betty Buckley. Same sławy!

Znakomitości łaskawie pozwalały się podziwiać ze wszystkich stron, toteż gapie wyszli usatysfakcjonowani tym, że będą mieli co opowiadać rodzinie i znajomym.

Mniej więcej za piętnaście ósma zaczęły się zjeżdżać samochody z gośćmi z biletami za pięćset dolarów. Uczestnicy koktajlu ustawili się przy wejściu do klubu, żeby zobaczyć kolejnych bohaterów o uśmiechniętych twarzach, powielanych masowo w kolorowych czasopismach i na filmowej taśmie. Nie spotkało ich rozczarowanie. Billy Joel, Steven Spielberg, Brooke Shields i Lauren Bacall zostali przywitani okrzykami, piskami oraz gromkimi brawami. Pisarze - Michael M. Thomas, E. L. Doctorow, George Plimpton, Ben Bradley, Sally Quinn, Rona Jaffe i Peter Mathiessen - nie zostali wprawdzie rozpoznani (czym jest znakomity pisarz

wobec wziętej modelki, aktorki czy piosenkarza?) jednak i im tłum wyraził swoje uznanie i na wszelki wypadek zgotował owację.

Fachowcy od zbiórek dobroczynnych, tacy jak Nancy, pozostawiają opłacenie kosztów jedzenia i wynajęcia lokalu sponsorom, tłumaczył Mary Liz Bertie. W przeciwnym razie niewiele zostałyby na cel, dla którego organizowane jest przyjęcie.

Na dzisiejszy bal klub został udostępniony bezpłatnie -stąd Buck u boku Nancy w roli gospodarza. Dekoracje też były gratis, za zakąski zaś zapłacono tyle, co nic, dostarczyli je bowiem restauratorzy z East Hampton oraz Nowego Jorku (zwrócono im jedynie koszty użytych produktów).

Podziękowania dla wszystkich sponsorów i ich lista zamieszczone były w lśniącej broszurce na temat fundacji, którą otrzymał każdy gość. Kurtuazja? Nie tylko. O wiele bardziej - reklama, zaspokojenie próżności tego czy innego właściciela, snobizm, jeszcze jeden powód do sławy...

Tragiczną ironię losu stanowił fakt, że największe koszty tej właśnie imprezy - wysokoprocentowe alkohole, parkingowi, obsługa w toaletach, barmani, kelnerzy i sprzątacze - poniósł Herbert Glidden. Randolph Vandergilden obiecał zapewnić białe wino, ale dzięki Bogu uczyniły to także inne, znakomitsze wytwórnie - „The Lenz”, „Duck Walk”, „Palmer” i „The Bridgehampton Winery”. Mimo to zapowiedziano barmanom, żeby podczas koktajlu nalewali wyłącznie wino Yandergildena (chyba że gość będzie pod krawatem), w nadziei, że i tak nikt nic nie zauważy, a pieniędzy będzie jeszcze więcej.

Ostatecznie koszt balu wyniósł około czterdziestu pięciu dolarów od osoby. Po odliczeniu wszystkich kosztów fundacja zebrała ponad sto tysięcy, nie licząc tego, co

313

oszczędzono na gościach, którzy wykupili bilety, ale nie przyszli.

Mary Liz zdawała sobie sprawę z dwuznaczności tego typu przedsięwzięć. Z jednej strony szczytny, szlachetny cel, bezinteresowność, zatroskane uśmiechy; z drugiej - granie pod publiczność, schlebianie tanim gustom i liczenie dolarów na każdym kroku. Dla ludzi takich jak ciotka Nancy był to właściwie sposób na życie. Cóż, ocena zależała od tego, na ile są uczciwi w swoich poczynaniach...

Wśród gości Mary Liz spotkała także Claire. Malarka wyglądała absolutnie przepięknie, wprost promieniała szczęściem i zaledwie po kilku minutach Mary Liz zorientowała się, że ma to bez wątpienia wiele wspólnego z Billem Pfeifferem, który jej towarzyszył.

- Witaj, Mary Liz - powiedział Bill, całując ją w policzek. - Jesteś dziś zachwycająca.

- Ty również, Bill - uśmiechnęła się na widok jego białego smokingu. - A towarzyszy ci chyba królowa tego balu.

Claire uścisnęła ją serdecznie.

- Dzięki, Mary Liz, ale muszę ci powiedzieć... - Cofnęła się o krok. - Ech, szkoda, że nie widziałas mnie dziesięć lat temu.

- Nic podobnego - rzekł Bill z czułym uśmiechem, biorąc ją za rękę. - Od mglistej przeszłości wolę namacalną teraźniejszość.

Taak... Niewątpliwie ci dwoje byli razem.

- Przykro mi, że nie ma tu dzisiaj Sky'a - powiedziała Claire. - Czy u niego wszystko już w porządku?

- Wróci, kiedy tylko będzie mógł - zapewniła Mary Liz, po czym skinęła na Jake'a. - A do jego powrotu poderwałam sobie tego czarującego dżentelmena.

- Chodźcie, kochani, zaczynamy wprowadzać gości na kolację - rzuciła Nancy, przechodząc obok nich.

Wielka sala balowa tonęła w kwiatach. Pod ścianami ustawione były naturalnej wielkości zdjęcia jedzących w filmach słynnych par: Katherine Hepburn i Cary Grant, Jimmy Stewart i Donna Reed, Greta Garbo i Frederic March, Bette Davis i Leslie Howard. Na widok jednego z nich wszyscy wybuchali śmiechem - tego, które przedstawiało Elizabeth Taylor, Richarda Burtona, Sandy Dennis i George'a Segala w scenie z filmu „Kto się boi VLrginii Woolf?”.

Przy głównym stole zasiedli gospodarze: Nancy i Buck, a oprócz nich Bertie i Wendy, Julius i Jeanine, Claire i Bill oraz małżeństwo, które miało nadzorować wykorzystanie funduszy.

Mary Liz zasiadła przy innym stoliku - z Jake'em, Sa-shą, Rachele i Charlesem, Claude'em i Isabelle oraz Vanessą Buckley i Randolphem Vandergildenem. Jedno krzesło było puste, karteczka ustawiona na talerzu zawierała nazwisko: „Henry MacClendon”.

Henry pojawił się dopiero, gdy podawano przekąski.

- Dziecko - wyjaśnił, wślizgując się na swoje miejsce.

Później przez cały czas zerkał na sąsiedni stół, a właściwie tylko na siedzącą przy nim w towarzystwie Billa Claire. Jednak była żona nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, nawet gdy Nancy pomachała mu na przywitanie.

Jeszcze zanim podano główne danie, towarzystwo siedzące przy stoliku Mary Liz skonsumowało niewiarygodną ilość wina. Wszyscy przyszli na przyjęcie z obowiązku, by nie urazić Nancy, a ponieważ stanowili grupę starych przyjaciół, uznali, że najlepiej będzie, jak się upiją, żeby jakoś je przeżyć.

Im więcej pili, tym częściej wspominali śmierć Herberta Gliddena, aż wreszcie pod koniec kolacji mówili o niej całkiem otwarcie. Jediną osobą, która nie brała udziału w tej

rozmowie, była Vanessa Buckley. Miała szkliste spojrzenie i uśmiechała się nieprzytomnie, wlepiając wzrok w sąsiedni stół. W Wendy, pomyślała od razu Mary Liz. Nawet nie musiała się oglądać, by to sprawdzić.

- Wecie, że byłem dziś na przesłuchaniu? - odezwał się Charles Kahn.

- Ty? Nie było cię nawet na terenie stanu, kiedy to się stało! - wykrzyknęła Rachelle.

- No właśnie, tę noc spędziłem w Pittsburghu, a oni mieli czelność pytać mnie, czy nie mam nic przeciwko temu, żeby sprawdzili na lotnisku listę pasażerów i czas mego przylotu.

- Szczęściarz - westchnął Randolph. - Chciałbym mieć dobre alibi. Ale tak się wtedy ululałem, że nie pamiętam nawet, gdzie byłem.

- Byłeś z nami - przypomniał mu Gaudę. - Ty, ja i Buck.

- Wszyscy pijani jak świnie - dodała Isabel z francuskim akcentem. - Kazałam Claude'owi spać na werandzie. Cuchnął jak gorzelnia.

- Nie pijam ani wódki, ani whisky - oburzył się Gaudę.

- A tamtej nocy w Barcelonie?

- Piętnaście lat temu! Ameryka zmienia kobiety, zauważyliście? - spytał współbiesiadników. - Isabele była kiedyś taka miła...

- Nie narzekaj na policję, Randy - powiedziała wesoło Sasha. - Podejrzewają, że to ja go zamordowałam. Umówiłam się z nim o północy na randkę, wyciągnęłam na plażę, ogłuszyłam, nafaszerowałam narkotykami, a następnie wrzuciłam do wody.

- Na miłość boską, przecież ty nie masz nawet metra sześćdziesięciu - powiedziała Rachelle. - A ile ważysz? Pięćdziesiąt jeden?

316

- Pięćdziesiąt i pół, dziękuję ci - sprostowała Sasha. -W każdym razie myślą, że namówiłam do tego Riff a. - Roześmiała się. - Uważają, że Riff jest moim kochankiem.
 - A jeszcze nie jest? -spytała Rachelle. Gwiazda rzuciła w przyjaciółkę kawałkiem bułki.
 - Wiecie co? Chciałbym być jutro muchą na ścianie, gdy będą przesłuchiwać Juliusa - powiedział Randolph. - Wszyscy zeznawali, że gdy po raz ostatni widzieli Herba, był właśnie z nim.
 - I z Jeanine - dodał Gaudę.
 - Oho, następna kandydatka - przemówił Henry. - Jeanine Hoffman, matka i morderczyni.
 - Czemu się śmiejesz? To całkiem możliwe - Isabel nie poznała się na jego żarcie.
 - Fakt, mogła to zrobić - dodał Claude. - Z Juliusem lub bez niego. Wiadomo przecież, co czuje, a raczej czuła do Herba.
 - Dajcie spokój, to śmieszne - mitygował ich Henry.
 - Policja tak nie uważa - powiedziała Isabel. - Dziś po południu ją też wezwano na posterunek.
 - Ciebie również - zauważył Claude. - No, proszę, to jest dopiero pomysł! Isabel kuśtykająca po plaży w swoich szpilekach i waląca Herba po głowie swym notesem.
 - Gaudę! - skarciła go żona. - Spróbuj choć raz zachowywać się przyzwoicie.
- Atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa, wino lało się strumieniami, kelner ledwie nadążał napełniać kieliszki.
- Kompletnie nie rozumiem, czemu musimy biegać na ten posterunek - mówił Randolph. - Czy to nie oni powinni odwiedzać nas w domach?
 - Policja woli przesłuchiwać poza domem - wtrącił się Jake. - Sądzą, że podejrzani będą się czuli mniej pewnie

317

i chętniej odpowiedzą na wszystkie pytania. Zwłaszcza gdy pytania są osobiste.

- A kim ty, u diabła, jesteś? - zdziwił się Randolph.

- Jake przyszedł ze mną - wyjaśniła Mary Liz, a Isabel pochyliła się, szepcząc coś do ucha Randolphowi, który zaraz wbił w Jake'a pełen oburzenia wzrok.

- No nie, siedzimy przy jednym stole z dozorcą?

Mary Liz miała ochotę wstać, zabrać Jake'a i opuścić pijane towarzystwo. Jednak Jake położył pod stołem dłoń na jej kolanie i ścisnął lekko, jak gdyby chciał ją uspokoić.

- Właściwie tylko Nancy nie wzywali na posterunek -zauważyła tymczasem Rachelle.

- Ha, kto miałby odwagę to zrobić? - powiedziała Isabel.

- To jakby spytać królową, czy nie wpadłaby na pogawędkę do portowej knajpy.

- Cały problem polega na tym - wtrąciła Sasha - że każdy mógł zamordować Herba. Wszyscy mieli z nim jakieś swoje kłopoty. Słyszałam, że ty też, Mary Liz. Podobno byłaś w jego domu tamtego wieczora, to prawda? Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

- Tak prawda. Wyjaśniłam to już na policji Wpadłam spytać Alexa, czy nie wybrałby się ze mną i ze Sky'em na pokaz ogni sztucznych.

- No przecież! Jest jeszcze Sky! - podekscytował się Randolph. - Herbert ginie, Sky znika... - Pstryknął palcami.

- Nie zrobił tego lokaj, lecz nauczyciel!

Vanessa popatrzyła na niego mętnym wzrokiem.

- Sky nie zamordował Herba. Jego matka zachorowała.

- Buck twierdził, że ojciec - powiedziała Isabel.

- Ja zrozumiałam, że oboje na coś chorują - dodała Sasha.

- A ja słyszałam - wtrąciła Rachelle - że śmierć Herba to jakieś mafijne porachunki. Takie plotki krążą w Nowym Jorku.

318

- Dla ludzi z twojej branży wszystkie zabójstwa to mafijne porachunki - rzekł ze złością Charles do żony.

- No nie, w Los Angeles też chodzą słuchy, że Herb prał brudne pieniądze - rzekła Sasha. - Ale która wytwórnia tego nie robi?

- Przecież Herb nie miał wytwórni - zauważyła Mary Liz.

- To bez znaczenia - powiedziała Rachelle. - Alfred zawsze brał od niego pieniądze. Jeden drugiemu siedział w kieszeni.

- Alfred nie miał nic wspólnego z brudnymi pieniędzmi!

- zaprotestował gniewnie Charles.

- Jak mógł nie mieć, skoro brał od Herba forszę?

- Gówno wiesz!

Rachelle poderwała się, jak gdyby chciała wykonać nieprzyzwoity gest pod adresem męża, jednak ostatecznie opadła z powrotem na krzesło i zamilkła.

- O rany... Najpierw Al, teraz Herb - westchnął ponuro Randolph.

- Nie rozumiem was. Przecież Herb Glidden to żadna strata - odezwał się nagle Henry takim tonem, że wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. - Dajcie spokój, sami przyznajcie, że odetchnęliście po jego śmierci. Ten facet był istną zarazą.

- No właśnie. Od początku, się zastanawiałam, z jakiego powodu znosiliście jego towarzystwo, skoro był taki okropny

- spytała Mary Liz. - Przecież ty też, Henry...

- Słucham? - skrzywił się MacClendon.

- Skoro uważaliście go za takiego sukinsyna, to pytam, czemu utrzymywaliście z nim stosunki?

Chociażby ten koktajl w Amagansett...

Henry drgnął nerwowo. Obrzucił dyskretnie szybkim

spojrzeniem najpierw Claude'a, potem Randolpha, wreszcie Charlesa.

- Tłumaczyłam ci już, Mary Liz - rzekła tymczasem Rachelle. - To jest właśnie całe East Hampton.

- A ja chciałem tylko powiedzieć - zaczął wyjaśniać Henry - że Herb i Alfred to całkiem co innego.

Nie można mówić: „najpierw Al, potem Herb”: Alfred był wspaniałym człowiekiem i oddanym przyjacielem nas wszystkich.

Ładny mi przyjaciel, pomyślała Mary Liz. Ten facet molestował twoją córkę, Henry.

- Myślę, że Randym wstrząsnął po prostu sam fakt nagłej śmierci - powiedział Claude. - Memento mori, homine. Trudno, trzeba się pogodzić z faktem, że nie jesteśmy już tacy młodzi, jak kiedyś.

- O czym ty mówisz? - zdenerwował się Henry. - Śmierć w katastrofie lotniczej i morderstwo zdarzyć się może w każdym wieku!

- Och, zapomnieliśmy... - Randolph czknął głośno - że Henry jest ojcem nowo narodzonego i nie chce myśleć o śmierci. Ktoś powinien mu uświadomić, że będzie starym prykiem, gdy syn pójdzie do college'u, nie sądzicie? O ile w ogóle tego doczeka.

- Jestem odpowiedzialnym ojcem! - niemal wrzasnął Henry, wstając od stołu. Randolph wyraźnie poruszył czułą strunę w jego sercu. -1 mojemu synowi nigdy niczego nie zabraknie, tak jak nie zabrakło moim córkom!

- Dobra, dobra - rzekł pojednawczo Randolph. - Uspokój się, Henry, jesteś w gronie przyjaciół. Może przemówiła przeze mnie zazdrość. Nie mam dzieci, nikogo, kto by się

*Memento mori, homine (łac.) - Pamiętaj, człowiecze, że umrzesz (przyp-red.)

o mnie troszczył. - Umilkł na moment, uśmiechając się z rezygnacją. - Nikogo nie obchodzi, czy żyję, czy umarłem.

Henry wciąż stał niezdecydowany. Goście przy innych stolikach gapili się na niego z zaciekawieniem. Wreszcie strzepnął serwetkę i usiadł z powrotem, a kelner natychmiast podszedł i napełnił jego kieliszek.

- W East Hampton nie zdarzyło się morderstwo - powiedziała Rachele takim tonem, jak gdyby wspominała coś miłego - od czasu gdy tamten handlarz obrazów związał chłopaka, torturował go, a następnie udusili zakopał na polu.

- Nie przy jedzeniu, proszę-jęknęła Sasha.

- A on był u ciebie na przyjęciu - powiedział Randolph, śmiejąc się i pokazując Rachele palcem. - Pamiętasz?

- Kto był na naszym przyjęciu? - spytał Charles. - Ten uduszony chłopak?

- Nie, handlarz obrazów.

- Przyjęcie miało na celu zbiórkę pieniędzy, Randy - zaprotestowała Rachele. - Naprawdę trudno było sprawdzić, kto kupił bilety. Poza tym...

- Słuchajcie - przerwała jej głośno Vanessa. - Kto poza mną uważa, że zabójca Herba jest obecny na tym przyjęciu?

Cisza.

- Ja nie - odezwał się w końcu Henry. - Wygląda mi to na robotę zawodowca.

- A ja nie wiem - powiedziała Vanessa. - Prawdę mówiąc, założyłabym się o duże pieniądze, że on siedzi albo przy tym stoliku, albo przy stoliku Nancy. Wszyscy nienawidziliście Herberta. Czemu nie chcecie się do tego przyznać?

- Do czego? Że go zamordowaliśmy? - spytała Rachele.

- Że go nienawidziliście! Że wszyscy życzyliście mu śmierci. Co do Bucka, to jestem tego pewna.

321

- Dlaczego niby Buck miałby życzyć mu śmierci? - spytała Mary Liz.

Vanessa wzruszyła ramionami.

- Gdybym знаła odpowiedź na to pytanie, Buck nie płaszczyłby się pewnie tak przed Herbem. -

Wychyliła jednym haustem swój kieliszek. - Wy wszyscy - Buck, Henry, Charles, Claude, a najbardziej ty, Randy - nienawidziliście go jak cholera. Wiem, że musiało to mieć coś wspólnego z pieniędzmi, ponieważ w kółko o nich gadacie...

- Zamknij się, Vanessa - warknął Randolph. - Idź się lepiej pieprzyć, połowa miasta czeka na ciebie.

Vanessa chlusnęła mu w twarz wodą ze szklanki, ochlapując przy okazji prawie wszystkich sąsiadów.

Wendy zerwała się od stolika obok, za nią podążył na nieco chwiejnych nogach Buck. Przykucnęli obok Vanessy i zaczęli szeptać jej coś na ucho.

- Twoja Vanessa bredzi, Buck - odezwał się Randolph. - Każ jej zamknąć tę głupią jadaczkę.

Buck spochmurniał, obrzucając go wściekłym spojrzeniem.

- Może wyjdziemy zaczerpnąć świeżego powietrza, Randy? - zaproponował groźnie, podczas gdy Wendy zaczęła wyprowadzać Vanessę z sali balowej.

- Nie, przyjacielu - powiedział Randolph. - Nie mam zamiaru się z tobą fatygować.

Buck popatrzył jeszcze na niego groźnie, lecz jako gospodarz przyjęcia w trosce o dobrą atmosferę na sali nie zrobił ani nie powiedział niczego więcej.

- Boże, to najbardziej przygnębiająca impreza, na jakiej kiedykolwiek byłam - oświadczyła Sasha, gdy wrócił do stolika.

- Tak? To szkoda, że cię nie było, gdy Henry uciekł z tamtą dupcią, a my musieliśmy tu siedzieć przy jednym stole z Claire - palnął Randolph.

Henry rzucił serwetkę na stół i wyszedł z sali. Buck ponownie wstał od swego stołu i spytał, patrząc na Randolpha:

- Jakiś problem?

- Zero problemów - odparł Vandergilden. - Wszystkie zniknęły.

- Słuchajcie, czy Vanessa zażywa barbiturany? - spytała nagle Rachelle.

- A skąd, do cholery, mamy to wiedzieć? - odezwał się Claude.

- Boże, chyba nie przypuszczasz, że to ona go załatwiła? - Sasha zakryła usta dłonią.

- Odpada. Była wtedy na przyjęciu u Bertiego - zauważyła Mary Liz.

- Zresztą czemu Vanessa miałaby pragnąć jego śmierci?

- Kto wie? - Rachelle wzruszyła ramionami. - Tajemnice, tajemnice, tajemnice... Wszyscy pragnęli śmierci Herba, a mimo to nikt nie wie, dlaczego zginął. Wecie co, dziewczyny? Wygląda mi to na znowę mężczyzn. - Spojrzała znacząco na Randolpha. - Ale może słabe ogniwo w tym łańcuchu któregoś dnia pęknie i wszyscy się dowiemy.

- Odpieprz się, Shelley-burknął Randolph.

- Randy, pilnuj się, co? - zgromił go ostro Charles.

- To idź ją wypieprz, może się uciszy - doradził mu Randolph.

- Zazdrościsz, stary kutasie?

- Uspokójcie się! - skarciła ich Isabele.

- Oho - zarechotał Claude - o co chodzi, cipuchna? Zawstydziała się? Masz czego...

Nim zebrano nakrycia deserowe, Isabel Lemieux wyszła jak burza z sali balowej, obrażona przez męża, a Randolph Vandergilden spadł na podłogę z krzesła. (Mary Liz podejrzewała, że Rachelle przyłożyła do tego rękę.)

323

Był to istny koszmar. Mary Liz nigdy nie spotkała się z takim pijackim grubiaństwem i wzajemną wrogością wśród, bądź co bądź, „starych przyjaciół”. Ten strach, ten gniew, te urazy, nie mówiąc już o podejrzeniach i otwartych oskarżeniach. Po prostu ohyda!

Gdy więc na tarasie zaczęła grać orkiestra, przeszła z Jake'em między ustawionymi na parkiecie tekturowymi postaciami słynnych tancerzy - Freda Astaire'a, Ginger Rogers, Gene Kelly'ego i Leslie Caron - i tańczyła do końca przyjęcia. Oczywiście nie tylko z nim, także z Bertiem i Juliusem, któremu nie wymierzyła policzka po tym, jak poczuła jego dłoń na swoim pośladku, gdyż nie chciała wprawiać w zakłopotanie Jeanine.

Boże święty, co za paczka!

Gdy wreszcie mogli wyjść, prawie o pierwszej nad ranem, rozmowa w limuzynie kompletnie się nie kleiła.

- Spotkamy się rano? - spytała wreszcie Wendy.

- O dziesiątej, dobrze? U ciebie w domu. - Mary Liz podała Wendy swoją torebkę. - Zgodnie z opinią naszego stolika, wszyscy mogli mieć jakiś powód, żeby zamordować Gliddena.

- Na przykład?

- Nikt niczego nie powiedział, ale patrzyli na siebie, jak gdyby znali nawzajem swoje motywy. Mówię o mężczyznach, bo naprawdę nie przypuszczam, żeby Herbert Glidden obchodził w jakikolwiek sposób ich kobiety.

- Ja odniosłem wrażenie, że chodzi tu o jakiś szantaż - wtrącił się Jake.

Wendy uśmiechnęła się tylko do siebie, przewinęła kasetę we własnym dyktafonie, po czym podała ją Mary Liz. Gdy wysiadała z limuzyny przed domkiem, powiedziała:

- Przesłuchaj sobie tę taśmę. To tylko jakieś dziesięć minut. I przynieś ją jutro ze sobą, dobrze?

Pożegnali się, Mary Liz weszła do domku, włożyła szlafrok i wyszła na dwór, żeby mikrofony nie zarejestrowały odtwarzanego nagrania.

Włączyła przycisk, zaczęła słuchać. Zapis został dokonany zapewne przy stole, ponieważ słyszała brzęk srebrnych sztućców o porcelanowe talerze.

- Tak, stwierdzono oficjalnie, że to było morderstwo -odezwał się jakiś głos, o ile mogła się zorientować, należący do Jułiusa.

Przerwa. Szum. Jakieś śmiechy w tle.

- Jutro mam być na policji. Wyobrażacie sobie? Uważają mnie za podejrzanego! - Znów ten sam głos.

- Potrafię sobie wyobrazić, że jesteś głównym podejrzanym! - To Bertie. Jego rozpoznała natychmiast.

- Bertie! - Głos ciotki również.

- No cóż, on ma chyba rację - inny kobiecy głos, chyba Jeanine - śmierć Herba z pewnością umacnia pozycję Jułiusa...

- W procesie przeciw mojej matce? - pyta Bertie. I znów Julius:

- Dla mnie na pierwszym miejscu listy podejrzanych nadal znajduje się ten Schyler Preston. Znika nazajutrz po śmierci Herba i nikt nie wie, gdzie go diabli ponieśli.

- Och, pieprzysz, Julius! - To Buck. Musiał uderzyć pięścią w stół, bowiem słysząc głuchy stuk, a potem wszystkie głosy brzmią już znacznie ciszej. - Facet po prostu wyjechał na kilka tygodni i koniec.

- Głupio ci, ponieważ przyjąłeś na kwaterę mordercę? -pyta Julius.

- Lepiej przyjąć mordercę na kwaterę, niż być jego żoną, prawda, Jeanine?

I teraz, na koniec, kolej na Nancy:

- Dość tego! Opowiedz nam lepiej, Buck, o organizacji biura tej fundacji, dobrze?

Potem nastąpiła rozmowa o niczym i Mary Liz po trzech kolejnych minutach wyłączyła ze znużeniem magnetofon.

Najciekawsze wydało jej się to, że Buck bronił Sky'a z takim uporem.

Jaki może być związek między nimi? Bo przecież z pewnością nie łączy ich tylko golf.

24

W niedzielę rano, zgodnie z umową, Mary Liz poszła porozmawiać z Wendy. Podeszła do drzwi, żeby zapukać, i wtedy zauważyła zaparkowany na parkingu zielony samochód Vanessy.

Hm, zdaje się, że Wendy nie spędziła tej nocy sama.

- Cześć - przywitała ją na progu. - Interesująca taśma. Dziękuję, że dałaś mi posłuchać. Masz może pięć minut?

Wendy nie zdążyła odpowiedzieć, bowiem w tej samej chwili w przedpokoju pojawiła się Vanessa.

- Och, dzień dobry, Mary Liz. Wyglądałaś wczoraj przepięknie.

- Dziękuję. Nie muszę cię zapewniać, że ty również. Zawsze tak wyglądasz.

Vanessa rozpromieniła się.

- Do zobaczenia, Wendy. Jeszcze raz dziękuję, że mnie wczoraj uspokoiłaś. Właśnie szłam do Nancy i przechodziłam obok Wendy - wyjaśniła na użytek Mary Liz, po czym uśmiechnęła się i ruszyła w stronę Wielkiego Domu.

- Dzisiaj jest znacznie przytomniejsza, prawda? - Mary Liz skinęła głową za Vanessą. Ciekawe, czy Wendy wie, że jej kochanka bierze jakieś prochy, myślała. Jakieś? Wczoraj wieczorem Rachelle wspomniała o barbituranach. Jeśli tak, to może Buck posłużył się nimi i zabił Gliddena tamtej nocy wraz z Randolphem i Claude'em. - Doszła już do siebie?

- Tak - mruknęła Wendy, prowadząc ją do środka.
 - Zajmę ci niewiele czasu - zaczęła Mary Liz, siadając na kanapie. - Powinnam ci chyba powiedzieć, że pewnej nocy podsłuchałam niechcący waszą rozmowę w bibliotece. Nie - uśmiechnęła się - nie z Vanessą. Pytałaś Bertiego, czy zamordował Gliddena, a on obiecał, że powie ci coś, jeśli przyśięgniesz, że nigdy mi tego nie powtórzysz. Odmówiłaś. Dziękuję ci za to.
 - Nie ma za co. Wiem jedynie, że powiedziała mu to Nancy. Wyszedł wtedy z Wielkiego Domu równie wściekły, co przybity.
 - Może uda ci się dowiedzieć, o co chodzi, podczas mojej nieobecności. Bardzo mi na tym zależy.
 - Nie mogę. - Wendy popatrzyła na nią poważnie. - Bertie jest nie tylko moim pracodawcą, lecz również przyjacielem.
 - Dobrze, rozumiem. Ujmijmy to w ten sposób: dowiedz się, o co chodzi, a jeśli uznasz, że powinnam o tym wiedzieć, zastanowisz się, czy mi to wyjawisz. Albo przynajmniej pozwolisz mi spróbować wydusić to z ciebie.
 - Zobaczę, co się da zrobić.
 - Świetnie. Dziękuję. I jeszcze jedno. Dotyczy to mojej podróży do Europy... - zawahała się. - Posłuchaj, powiem ci wprost: nie jadę tylko do Amsterdamu. Mam też inną sprawę do załatwienia. Coś, co wiąże się z Gliddenem, jestem tego pewna. Potrzebny mi ktoś z głową na karku, kto zadzwoniłby do mnie kilka razy i wystąpił w roli mojej asystentki.
- Wendy uśmiechnęła się tylko.
- Jakie jest moje pierwsze zadanie, panno Scott?
- Zamówiony samochód odwiózł po południu Mary Liz na lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku. Jako osoba zapra-

wioną w podróżach, która wie, że w czasie transatlantyckiego lotu do Europy najważniejsza jest wygodna odzież i choćby dwie godziny snu, włożyła bawełniane spodnie, bluzkę, sweter oraz adidas. Gdy już znaleźli się na lotnisku, poprosiła kierowcę, by podjechał do tej części terminalu, w której znajduje się stanowisko Aer Lingus.

- Tu jest napisane, że leci pani amerykańskimi liniami - poprawił ją kierowca, podając jej swoją kartę ze zgłoszeniem kursu.

Rzeczywiście, Mary Liz kupiła bilet w American Airlines na lot do Amsterdamu, lecz teraz nie miała zamiaru go wykorzystać.

- Tak ale proszę do Aer Lingus - powtórzyła. Później spytała przy odpowiednim stanowisku, czy są wolne miejsca na najbliższy lot do Dublina, i zapłaciła gotówką za bilet w jedną stronę w pierwszej klasie, bowiem klasa turystyczna cała była zajęta.

Ktokolwiek założył u niej podsłuch, wiedział na razie, że zarezerwowała bilet w American Airlines. Miała nadzieję, że nim ów ktoś dowie się o prawdziwym celu jej podróży, ona zdąży załatwić już swoje sprawy w Dublinie.

Gdy tylko znalazła się na pokładzie olbrzymiego jumbo jęta, poczuła się zmęczona. Nie spała prawie całą poprzednią noc, sporządzając notatki i porządkując w myślach pewne sprawy. Była jednym z tych podróżnych, których absolutnie nie obchodzi, co pomyślą sobie inni, i niemal natychmiast z atrakcyjnej młodej kobiety przeobraziła się w łaknącego snu dziwoląga w czarnej opasce na oczach, z zatyczkami w uszach i nadmuchiwana poduszką w kształcie rogalika na szyi.

*Aer Lingus - nazwa irlandzkich linii lotniczych (przyp. red.)

Mary Liz umiała sypiać w najróżniejszych miejscach -w samolotach, pociągach i samochodach; na lotniskach, w holach hotelowych i szpitalnych poczekalniach. Była osobą, dla której sen stanowił cenny towar. Nauczyła się kiedyś żyć systemem SJS czyli Spacer-Jedzenie-Sen, bo tylko ten system pozwalał jej przetrwać. Teraz miał się jej przydać po raz pierwszy od kilkunastu tygodni.

Gdy samolot krążył nad Dublinem, słońce wschodziło właśnie nad Zieloną Wyspą. Fale Morza Irlandzkiego rozbijały się o surowe, skaliste brzegi, mieniając się i odbijając złociste promienie. Samo miasto było nieduże, o niskiej zabudowie, ciągnęło się na północ i na południe, okolone zielonymi terenami podmiejskimi. Za nim roztaczało się już tylko dzikie piękno zielonego krajobrazu.

Wylądowali o szóstej rano miejscowego czasu (w Nowym Jorku była właśnie pierwsza w nocy) i na lotnisku nie było chyba nikogo poza nimi. W pobliżu terminalu stały jakieś dwa samoloty, ale żadne inne nie lądowały ani nie startowały, na bagaż czekała więc bardzo krótko, a odprawa celna trwała jedną chwilę. Pięć minut później, podniecona, wsiadła do taksówki i kazała się wieźć do centrum okrężną drogą, tak by mogła obejrzeć miasto. Nie zajęło to zbyt wiele czasu - była dopiero za piętnaście siódma i ruch był niewielki.

- Wie pani, ludzie zapominają, że Anglicy wzniesli sporo budowli w Dublinie w osiemnastym wieku - opowiadał taksówkarz. - Podczas drugiej wojny światowej Niemcy zbombardowali straszliwie Londyn, ale nas, dzięki Bogu Wszechmogącemu, bomby jakoś oszczędziły. Tutaj, na prawo, widzi pani? To irlandzki parlament, niegdyś siedziba księcia i księżnej Leinster. Pochodzi z 1745 roku. Wy, Amerykanie, ściągnęliście ten projekt przy budowie Białego Do-

mu, jak pani wróci do kraju, niech się pani dobrze przyjrzy. A to Trinity College, przyjeżdżają tu wszyscy turyści. Odwiedzają zwłaszcza Grafton Street, w pobliżu, gdzie znajdują się luksusowe sklepy. Radzę nie robić tam zakupów, lepiej wybrać się na O'Connell, tam się naprawdę opłaca. Tak, Trinity College to piękna uczelnia, ale wie pani, że nie pozwalali uczęszczać do niej katolikom aż do 1930 roku? Była piękna, ale nie dla wszystkich. Teraz na szczęście wszystko jest jak należy - każdy, kto ma olej w głowie, może tu studiować.

Gdy taksówkarz zatrzymał się wreszcie przed hotelem „Shelbourne” przy Saint Stephen's Green, gdzie Mary Liz zarezerwowała pokój, podziękowała mu serdecznie. Nie miała czasu, żeby zwiedzić Dublin dokładniej, wdzięczna więc była i za przejażdżkę, i za wszystkie informacje. Dała mu sowity napiwek i życzyła szczęścia.

- Dziękuję. Jest pani bardzo miła - powiedział, ujmując jej dłoń w obie ręce. - Niech Bóg panią błogosławi!

Zanim weszła do hotelu, Mary Liz odetchnęła pełną piersią i rozejrzała się ciekawie. Zachwycił ją pobliski park. Był przepiękny, a na dodatek - jak zapewniał taksówkarz - odbywały się w nim ponoć darmowe koncerty w każdy wtorek w porze lunchu. Osiemnastowieczne domy z czerwonej cegły miały jednakowo białe futryny w ogromnych oknach, za to ich drzwi z mosiężnymi kołatkami pomalowane były w najprzeróżniejsze kolory - czerwony, niebieski, żółty, zielony...

- Ładne, prawda? - spytał boy. - Przyjechała pani pewnie z Ameryki. Z Nowego Jorku?

- Nie, z Chicago.

- Och, dla mnie to i tak żadna różnica. U nas wszystko jest piękne, proszę pani, nawet nasze dzieciaki.

- Wskazał na

331

młodą matkę z maleństwem w wózku i dwójką nieco większych dzieci, chłopca i dziewczynkę, drepczących żwawo obok niej. Wszyscy czworo mieli okrągłe buzie, niebieskie oczy, jasną cerę i ciemnoblonde włosy. - Proszę za mną. Po całej nocy przyda się pani na pewno gorąca kąpiel i krótka drzemka.

„Shelbourne”, wiktoriańskie wyobrazenie przepychu, pochodził nie z osiemnastego, lecz z dziewiętnastego wieku. Hotel był drogi, może najdroższy w Dublinie, ale ceny i tak były tu znacznie niższe niż w luksusowych hotelach w Nowym Jorku i o wiele rozsądniejsze niż w Londynie. Miła i przyjazna obsługa dbała o to, żeby gość był zadowolony, zaś pokój - to było po prostu coś wspaniałego!

Podwójne łóżce z baldachimem, dwa wygodne fotele, ustawione przy niskim stoliku, okno z widokiem na park, gruby puszysty dywan, eleganckie tapety i drewniana sztukateria. W łazience instalacja nowoczesna, ale wanna staroświecka.

Mary Liz odkręciła wodę i przygotowała łóżko.

Tak, to była dobra rada - kąpiel i drzemka.

O wpół do trzeciej wchodziła już po schodach okazałego osiemnastowiecznego budynku przy Northumberland Road. Wcisnęła guzik domofonu z napisem „Dunlau Gunney”, rozległ się brzęczyk i po chwili wpuszczono ją do imponującej poczekalni, gdzie wyniszczyła cel swojej wizyty młodej kobiecie, siedzącej przy mahoniowym biurku. Recepcjonistka wskazała jej pluszowy fotel i zaproponowała filiżankę herbaty.

Później okazało się, że musi pójść z tą herbatą do gabinetu jednego ze współników, niejakiego Geoffreya Browna, sympatycznego mężczyzny o młodzieńczym wyglądzie.

- Ach, kostium od Rachelle Zaratan - to były pierwsze słowa, które padły z jego ust.

- Widzę, że zna pan dobrze swoje towary, panie Brown
- powiedziała z uznaniem Mary Liz. Mogłaby się założyć, że wie również doskonale o wielu innych rzeczach.

Podali sobie ręce i porozmawiali chwilę o zabytkowym budynku - należał niegdyś do niezamężnej siostrzenicy drugiego księcia Leinster, a pokój, w którym w tej chwili się znajdują, był niegdyś salonem.

Po kurtuazyjnej rozmowie od razu przeszli do rzeczy.

- Pani asystentka poinformowała mnie, że prowadzi pani z nakazu sądu inwentaryzację majątku człowieka o nazwisku Alfred Hoffman - zaczął Brown. - Powiem pani to samo, co powiedziałem jej: nigdy nie mieliśmy klienta o tym nazwisku.
- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła Mary Liz, choć do tej chwili wcale nie miała o tym pojęcia - ale pan Alfred Hoffman był założycielem, prezesem i właścicielem studia filmowego w Los Angeles, „Howland Films”, natomiast pan Herbert Glidden, który zajmował się finansowaniem jego filmów, był pańskim klientem.
- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odparł Brown, patrząc na nią obojętnym wzrokiem.
- No, powiedzmy, że pan reprezentował klienta, lub klientów, którzy inwestowali w te filmy. Wciąż siedział spokojnie, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając, i czekał na dalsze jej słowa.
- Przyjechałam tu dlatego - tłumaczyła dalej Mary Liz
- że powstały pewne nieporozumienia odnośnie majątku po Alfredzie Hoffmannie, które usiłowaliśmy z Herbem wyjaśnić. Niestety, niedawno poniósł śmierć w wypadku. Utonął w oceanie...
- Rozumiem, że został zamordowany - powiedział Geoffrey Brown i przez moment w jego oczach Mary Liz dostrzegła niepokój.

333

A więc - bingo! Zdaje się, że Brown i Glidden prowadzili wspólnie jakieś interesy. Ale czemu Alfred zanotował nazwę tej firmy? Sam chciał zostać klientem „Dunlau”? A może chciał sprawdzić inwestorów, których szukał dla niego Glidden?

- Zamordowany? Nic o tym nie wiem - skłamała Mary Liz. - Mnie to, prawdę mówiąc, nie interesuje. Próbuję się tylko dowiedzieć, czy „Howland Films” nadal może liczyć na waszą współpracę. - Zagrała *va banaue*. Nie miała przecież wciąż pewności, jakiego rodzaju związki łączą tę firmę z Gliddenem i wytwórnią. - Chciałabym zwłaszcza omówić z panem możliwość sfinansowania filmu, który zaczynają kręcić jesienią, tego z Sashą Reinhart. Herb dawał do zrozumienia, że ma pan przynajmniej jednego klienta, który mógłby wyłożyć swoje pieniądze... Przepraszam, czy coś się stało?

Twarz Geoffreya Browna pochmurniała coraz bardziej.

- Nic. Po prostu nasze spotkanie dobiegło końca, panno Scott - powiedział, wstając. - Nie wiem, jaką grę pani prowadzi, ale nasza firma nie jest zainteresowana żadnymi transakcjami.

- Ale...

- Nigdy nie inwestowaliśmy w żadne filmy - rzekł ostro. - Pani kłamie, a ja nie mam pojęcia, dlaczego. I wcale nie zamierzam się dowiedzieć. Do widzenia. - Wyszedł bocznymi drzwiami i zatrzasnął je za sobą.

Nie inwestują w filmy? Wobec tego w co?

Ach! Może w takim razie...

W drzwiach stanęła recepcjonistka.

- Panno Scott, proszę tędy.

Mary Liz zastanawiała się przez chwilę, czy nie wywołać zamieszania, wybrała jednak uprzejmość.

334

- Dziękuję. Pozwoli pani tylko, że o coś spytam. Czy wie pani, kto projektował ten kostium? Recepcjonistka wyraźnie chciała powiedzieć jej coś nieprzyjemnego, ale w ostatniej chwili zmieniła zamiar.

- Nie - odparła tylko.

Mary liz szybko wymeldowała się z „Shelbourne” i poleciała z Dublina do Amsterdamu. Była już kiedyś w tym mieście i teraz odświeżyła miłe wrażenia sprzed lat - stara architektura (ale zupełnie inna niż irlandzka), brukowane ulice, żelazne latarnie, kanały, przerzucone nad nimi kładki. Krótko mówiąc, jedno z najbardziej urokliwych miast świata.

Gdy dotarła do „Grand Hotelu Krasnopolsky”, tego samego, w którym zatrzymywała się przedtem, przyjeżdżając tu w interesach, czekała już na nią wiadomość, że z Ameryki dzwonił Bill Pfeiffer. W Nowym Jorku była dopiero czwarta po południu, zadzwoniła więc do jego biura.

- Wszystko przygotowane? - spytał.

Nazajutrz miała zaplanowane spotkanie z firmą produkującą filmy i wideokasety, której właścicielami byli Alfred Hoffman i Bernard Braxer.

- Tak sędzę. Aha, otrzymałam twoją przesyłkę z dokumentami, dzięki. I dziękuję za ściągawkę z holenderskich terminów prawniczych - roześmiała się.

Umierała wprost z chęci, by zapytać go o Claire i wyciągnąć jakieś zwierzenia na jej temat, on jednak szybko skończył rozmowę i nie było ku temu okazji..

- Zadzwonź jutro zaraz po spotkaniu-poprosił. Następnego dnia rano w siedzibie „Dag Gisteren” powitał

ją główny księgowy firmy.

- Miło mi panią poznać - powiedział z uśmiechem. - By

liśmy wszyscy ogromnie wstrząśnięci śmiercią naszych szefów. Bardzo żałuję, że nie znałem osobiście ani pana Braxera, ani Hoffmana.

- Można spytać, od jak dawna pan tutaj pracuje?

- Od dwudziestu jeden lat, czyli od założenia „Dag Gisteren”.

Facet nie wyglądał jak główny finansista poważnej firmy, przypominał raczej sześćdziesięcioletniego katarzyniarza bez kostiumu - niebieskie dżinsy, długie buty, T-shirt, niebieski blezer, kolczyk w lewym uchu.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc w zorganizowaniu mojego przyjazdu - Mary Liz uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

- Przygotowałem dla pani komplet dokumentów finansowych, jestem jednak tutaj po to, żeby otrzymała pani wyjaśnienia z pierwszej ręki. Pani asystentka zapewniła, że rozumie pani całkowicie, z jak delikatną sytuacją mamy tu do czynienia i czemu sprawa jest poufna.

Delikatna sytuacja? Ciekawe...

- Oprócz wzmiankowanych dokumentów - powiedziała Mary Liz - potrzebny mi będzie wykaz obecnych projektów - każdy film, każda kasetka, plus rachunek strat i zysków oraz tantiemy.

Chciałabym również otrzymać pełną listę waszych dystrybutorów.

- Wszystko gotowe. Przygotowaliśmy nawet salę konferencyjną z monitorem, żeby mogła się pani zapoznać z naszymi najnowszymi produkcjami.

Mary Liz poszła za nim korytarzem. Ściany były pokryte boazerią, a podłoga betonowa. Było to najdziwniejsze studio filmowe, jakie kiedykolwiek widziała. Księgowy przystanął i otworzył przed nią drzwi z szerokim uśmiechem, a ona weszła pierwsza do niedużej sali konferencyjnej

Była zdumiona olbrzymią stertą pudełek z kasetami wideo. Zalegały całą przeciwległą ścianę. Mężczyzna podszedł do sterty i wziął kasetę leżącą na wierzchu.

- To jeden z naszych obecnych hitów, „Ingrid's Penis Day”. Załapała pani? - spytał, szczerząc zęby. - „Ingrid's Penis Day”. Zamiast „Independence Day”*, brzmi podobnie, prawda? Prosta treść - piękne kosmitki dokonują inwazji na Ziemię „w poszukiwaniu mężczyzn z największymi penisami - łącznie z prezydentem Stanów Zjednoczonych” - odczytał tekst na pudełku. - Bardzo zabawne i bardzo pieprzne. To wersja angielska, tam znajdzie pani niemiecką, francuską, szwedzką, włoską i hiszpańską. - Podał kasetę Mary Liz. - Zwiększa się sprzedaż w Ameryce Południowej. Będzie pani zadowolona.

- Co takiego? - wykrzyknął Bill Pfeiffer. - Czemu ta informacja nie wyszła w naszym śledztwie?

- No cóż, tutaj obowiązuje inne prawo, Bili - odrzekła Mary Liz, nie mogąc pohamować śmiechu. Po wszystkich obrzydlistwach, które dziś obejrzała, była to widocznie reakcja obronna jej organizmu. Och, Alfredzie, myślała ze wstrętem, złością i politowaniem jednocześnie. Och, Alfredzie... Będę musiała dobrze pogłówkować nad wersją dla twojej żony. Nie zasłużyłeś sobie na nią, sukinsynu.

- Słuchaj, Bill, oni nie sprzedają swoich kaset pod znakiem firmowym „Dag Gisteren”. Mają nazwę handlową, nie wiem, coś w rodzaju: „Wielkie Cycki i Fajfusy”... - Wybu-

*Independence Day (ang.) - Dzień Niepodległości - nazwa amerykańskiego święta i tytuł słynnego hollywoodzkiego filmu z ostatnich lat opowiadającego o inwazji na Ziemię obcej cywilizacji (przyp.red.)

chnęła znowu niepowstrzymanym śmiechem, ocierając z oczu łzy. - Przepraszam cię, nie zapisałam dokładnie tej nazwy, ale to chyba właśnie coś takiego... W dodatku ten facet chciał, żebym wzięła ze sobą kasety okazowe, dla przyszłych klientów. Rzecz jasna, spanikowałam i wykręciłam się jakoś. Natychmiast wyobraziłam sobie odprawę celną na lotnisku. Myślę, że powinieneś obejrzeć niektóre „produkcje”. To niewiarygodne.

Teraz Bill wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, kiedy tylko nadarzy się okazja.

- To świetnie, bo on wysyła właśnie całe to świństwo do twojego biura. Jakbyś chciał się czegoś jeszcze dowiedzieć, to dzwoń. Do końca dnia jestem tutaj, jutro lecę do Paryża.

Mary Liz odłożyła słuchawkę i pośpieszyła na następne spotkanie; spotkanie, o którym Bill nie wiedział.

Firma „Eeghlenburger Commodities Brokers” mieściła się w imponującym budynku w pobliżu centrum miasta. Najwyraźniej robili duże pieniądze.

Mary Liz zgłosiła się w recepcji, skąd zaprowadzono ją do gabinetu, który zajmowała młoda ładna blondynka o niebieskich oczach. Była bardzo serdeczna, dopóki Mary Liz nie wspomniała nazwiska Gliddena.

Słyszając je, kobieta zmarszczyła brwi, po czym uprzejmie, lecz stanowczo powiedziała, że Mary Liz musi się mylić - firma „Eeghlenburger” nigdy nie miała absolutnie nic wspólnego z żadnymi filmami.

- Jest pani pewna? - spytała Mary Liz.

- Nigdy nie inwestujemy w show biznes i media.

Mary Liz wyjęła z teczki charakterystykę firmy, którą otrzymała od Betsy.

- Zaraz, zaraz - powiedziała, przerzucając kartki, w na-

dziei, że trochę onieśmieli kobietę - niedawno sponsorowaliście studio telewizyjne.

- Tak, centrum produkcyjne pewnego kanału informacyjnego.

- I waszym zdaniem to nie jest show biznes ani media?

- Nie.

- A sieć rozgłośni radiowych na południowym zachodzie Ameryki?

- Nic o nich nie wiem - powiedziała kobieta ze złością.

- A emisja obligacji na renowację teatru w Amsterdamie? Niech paru tylko nie mówi, że do tego teatru ludzie przychodzą, żeby wysłuchać wiadomości, więc nie jest to show biznes.

- Zachowuje się pani w sposób obraźliwy, panno... -spojrzała na kartkę z notatkami - panno Scott.

- A dla mnie pani prezentacja jest wysoce podejrzana, panno... - Mary Liz zajrzała do swoich dokumentów - panno Breda. Może mi pani powie, w co wobec tego lokują pieniądze wasi inwestorzy.

- Na giełdach towarowych. W żywy inwentarz, metale szlachetne, zboże...

- I próbuje mi pani wmówić, że nigdy nie prowadziliście interesów z Herbertem Gliddenem?

- Próbuję nakłonić panią do opuszczenia mojego biura. Mary Liz wstała.

- A winogrona, winnice? To jest myśl! Może wino? Kobieta milczała.

- *A propos* - dodała Mary Liz, otwierając drzwi - wie pani, że Herbert Glidden został zamordowany, prawda? Wobec tego myślę, że powinna pani zacząć się bać. Ja na pani miejscu bałabym się, panno...

- jeszcze raz zerknęła do dokumentów - panno Breda.

Odjeżdżając z Amsterdamu, żałowała ogromnie, że nie może zostać tu dłużej. Wiele dałaby, żeby móc przestać myśleć o ubraniach, winnicach, pornografii, brudnych pieniądzach i morderstwie. Żeby zamiast tego pospacerować nad kanałami, pójść na zakupy, usiąść w jakiejś kafejce nad piwem i kanapką. Albo pójść na rynek kwiatowy.

A nade wszystko trzymać Sky'a za rękę, pływać z nim nocą kanałami na oświetlonej barce z orkiestrą i kochać się z nim w hotelowym pokoju.

Ale z kim właściwie? Ze Schylerem Prestonem czy Stephenem Pembroke'iem?

Późnym wieczorem dotarła pociągiem do Brukseli. Była tak zmęczona, że nie ufała swojemu zmysłowi orientacji i wolała nie jechać metrem. Przywołała więc taksówkę, która zawiozła ją do „Le Dix-septi-me”, małego hoteliku, w którym już kiedyś się zatrzymała.

Rozpakowała się, wyszła coś przekąsić, wybierając nie wiedzieć czemu restaurację indyjską, po czym postanowiła zrobić przed snem mały spacer na Grand Place.

Nazajutrz udała się do „Banque de Veurne”, gdzie - jak potwierdziła recepcjonistka - już na nią czekano. Niestety, jej zła sława musiała ją wyprzedzić, ponieważ została przyjęta w holu przez wiceprezesa (w obstawie dwóch ochroniarzy), który poinformował ją, że nie zna nazwiska Mary Liz Scott, zaś z tego co wie, nie występuje ona w imieniu żadnej znanej im firmy i bank nie prowadzi z nią żadnych interesów.

- Tak, to prawda, ja występuję w imieniu wytwórni „Howland Films” - tłumaczyła.

- Wytwórnia ma na ten temat inne zdanie.

- Rozmawiał pan z właścicielem?

- Nie, madame, obecnie nie ma właściciela. Sprawa jest przedmiotem sporu.

- Z kim więc pan rozmawiał?

- Jestem absolutnie pewny, madame, że nie przyjechała tutaj pani w interesach, lecz na przeszpiegi. Ja zaś nie zamierzam dać się przesłuchać. To wszystko. Nie mam z pani sprawą nic wspólnego.

- A ja mam uwierzyć, monsieur, że prowadzi pan swój bank zgodnie z prawem? - spytała Mary Liz, tracąc panowanie nad sobą. - Czy chce pan, żebym narobiła panu kłopotów? Może mi pan wierzyć, że jestem do tego zdolna. Pańskie powiązania z Herbertem Gliddenem mogą być przyczynią wielu zmartwień.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi - powiedział chłodno, skinąwszy na ochroniarzy. - Panowie, proszę wskazać pani drogę.

Mary Liz zapłonęła gniewem.

- Powodzenia! - powiedziała złośliwie i wymaszerowała z banku.

Zaraz potem spakowała w hotelu swój bagaż, wróciła na dworzec kolejowy i pojechała prosto do Paryża, gdzie zameldowała się w „Lutetii”, ulubionym miejscu pobytu jeszcze z czasów, gdy pracowała dla „Reston, Kellaher”.

Był to luksusowy hotel, podobny do „Plaža”, jednakże znacznie bardziej kameralny i spokojny.

Wzięła gorącą, rozkoszną kąpiel w wielkiej wannie, otuliła się grubym ręcznikiem kąpielowym i zamówiła do pokoju kolację z najlepszej restauracji „Le Paris”, mieszczącej się na dole. Gdy zaspokoila głód, naląła sobie do kieliszka lekkiego białego wina i zadzwoniła do Wendy.

- Lista podejrzanych może okazać się międzynarodowa - powiedziała. - Mam przeczucie, że sposoby pozyskiwania

pieniędzy przez Herberta były co najmniej dziwne - to, od kogo je dostawał, komu dawał i na jakich warunkach. Sądzę, że Alfred albo wiedział o tym wszystkim, albo właśnie zaczynał się domyślać.

- A więc Bertie mógł mieć rację - zauważyła Wendy. - Uważa, że śmierć jego ojca nie była dziełem przypadku.

- A właśnie, jak się miewa Bertie?

- Fatalnie. Policja chce go zaarrestować pod zarzutem morderstwa.

Mary Liz wstrząsnęła ta nowina. To nie mógł być Bertie. Może ktoś go fałszywie oskarżył, złożył jakieś zeznania, które świadczyły przeciwko niemu?

Brudna, ohydna sprawa. Sky nie bez powodu błagał, żeby trzymała się jak najdalej od Gliddena. No cóż, teraz już za późno.

Nazajutrz o dziesiątej rano Mary Liz spotkała się z Yvonne Bonet - jedną z osób, której Alfred Hoffman wypłacał przez wiele lat za pośrednictwem łańcucha fikcyjnych firm znaczne sumy, odnotowywane później w rubryce „Różne wydatki europejskie”.

Pani Bonet była uroczą kobietą koło pięćdziesiątki i - na szczęście - płynnie mówiła po angielsku.

- Niestety, nie bardzo zrozumiałam, w jakiej sprawie pani przyjeżdża - powiedziała po powitaniu.

Gdy Mary Liz wyjaśniła, że reprezentuje interesy Alfreda Hoffmana, kobieta popatrzyła na nią zdumiona. Mary Liz jeszcze raz powtórzyła nazwisko „Hoffman” - żadnej reakcji.

- Przykro mi.-Francuzka wzruszyła ramionami.

- A czy mogłabym zapytać o źródło pani dochodów?

- Mam rentę po moim zmarłym mężu, z „Cinema Seis”, to wszystko.

342

„Cinema Seis" - właśnie! Fikcyjna firma, która naprawdę wystawiała czeki tej kobiecie!

- Czy mogę spytać, kiedy zmarł?

- W maju 1987 roku.

Data pokrywała się z początkiem płatności.

- Zginął w czasie, gdy kręcili film. Był aprowizatorem. Zdarzył się wypadek, eksplodował zbiornik z propanem, którego mój mąż używał do podgrzewania jedzenia. Doznał rozległych poparzeń.

- Rozumiem - powiedziała Mary Liz, wyjmując notes.

- Czy pozwoli pani, że zrobię kilka notatek?

- Nie jestem pewna, czy rzeczywiście to był wypadek

- powiedziała Mary Liz przez telefon Billowi Pfeifferowi -i raczej nie chcę wiedzieć. Powinniśmy chyba zostawić tę kobietę w spokoju i nie odbierać jej renty.

- Musimy to sprawdzić, Mary Liz. Pozwól, że ja to zrobię. Porozmawiam z kimś w „Howland" i sprawdzę, czy mają coś w aktach na ten temat.

- Naprawdę nie drażylabym zbytnio tej sprawy - ostrzegła go. - Jeśli Alfred czuł się w obowiązku płacić jej z własnej kieszeni, to może...

- Ej, nie wymyślaj kolejnego kryminału, może był po prostu porządnym facetem, który pomagał wdowie?

- Żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia z powodu tych pornosów?

- Mary Liz, on sam nie kręcił takich filmów.

- Powiedz to Nancy, kiedy nadejdzie czas, dobrze?

Następnym krokiem (kolejnym, o którym Bill nie wiedział) była wizyta u Jacquesa Gorce'a, właściciela niezależnego banku inwestycyjnego w Paryżu. Mary Liz zadzwoniła,

343

by potwierdzić termin spotkania, i ku jej zdumieniu, sekretarka powiedziała, że pan Gorce nie tylko jej oczekuje, ale nawet chciałby zaprosić ją na lunch. Hm, a to ciekawe.

Na miejscu zaprowadzono ją do gabinetu, gdzie - jak jej sam wyjaśnił - Jacques Gorce miał zwyczaj jadać bez wychodzenia na miasto. Ot, przyzwyczajenie nabyte podczas wielu lat pracy na Wall Street.

- Bardzo niefrancuski zwyczaj, prawda?

- Ale bez wątplenia bardzo sympatyczny dla klienta - odrzekła z uśmiechem.

W przeciwieństwie do innych osób z notatnika Alfreda, Gorce był bardzo otwarty. Gdy wyjaśniła, że zajmuje się inwentaryzacją majątku po Hoffmannie i że w „Howland Films” powstały pewne niejasności co do powiązań finansowych między firmą a Herbertem Gliddenem, nie zamilkł jak poprzednicy. Przeciwnie - okazał się niezwykle pomocny.

_ Ach, tak - powiedział - znałem Herba bardzo dobrze. Niestety, to jakieś nieporozumienie. Nie miałem nigdy żadnego klienta, który inwestował w „Howland Films”. Ani za pośrednictwem Herba, ani nikogo innego.

- Nigdy?

Pokręcił przecząco głową.

- Ale znał pan Herba.

- Już mówiłem, bardzo dobrze. Zawarłem z nim jedną transakcję, może pięć lat temu.

- Doprawdy? A czy mogłabym wiedzieć, jaką?

- To żadna tajemnica, wszystko figuruje w dokumentach, tutaj i w Ameryce. Moi klienci finansowali zakup amerykańskiego wydania „Je Ne Sais Quoi”, prowadzonego przez Claude'a i Isabelle Lemieux.

- Rozumiem - rozpromieniła się Mary Liz.

Kolejnym punktem jej paryskiej wędrówki śladami Alfreda Hoffmana była Elienne Bresseau. Śliczna dwudziestokilkulatka zaprowadziła Mary Liz na zaplecze sklepu z konfekcją, w którym pracowała, by mogły wygodnie porozmawiać. Była bardzo szczęśliwa, że Mary Liz przyjeżdża w sprawie Alfreda, przynajmniej dopóki nie dowiedziała się o jego śmierci w katastrofie lotniczej.

Elienne rozplakała się na tę wieść.

- Och, biedak - powiedziała, ocierając łzy. - Był najmilszym człowiekiem, jakiego znałam.

Utrzymywał mnie i mojego syna. Pracuję tutaj, w sklepie, tylko po to, żeby zająć się czymś, gdy Mark jest w szkole, bo dzięki panu Hoffmanowi nie cierpiałam i nie cierpię na brak pieniędzy. - Nagle popatrzyła na Mary Liz z przestachem. - Teraz, kiedy on już nie żyje, to pewnie się skończy?

- Nie, niekoniecznie - zapewniła ją pośpiesznie Mary Liz. - Pan Hoffman poczynił odpowiednie zapisy, zabezpieczające waszą przyszłość.

- Och, to naprawdę wspinały, hojny człowiek - rzekła Elienne ze smutnym uśmiechem. - I pomyśleć, że miałam co do tego wątpliwości.

- Wątpliwości...? - Mary Liz zawahała się. - Więc pani wie, że pan Hoffman był żonaty?

- Och, tak!

- I że miał dzieci?

- Oczywiście.

Hm, jak teraz w taktowny sposób spytać, czyim właściwie synem jest Mark?

- Czy mogę wiedzieć, kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Pana Hoffmana? - spytała. - Ależ ja nigdy nie widziałam go na oczy! Pan Braxer przyjechał do mnie przed uro-

345

dzeniem Marka i powiedział, że pan Hoffman chce się upewnić, czy mamy się dobrze. Sądziłam, że chodzi po prostu o to, żeby zapłacić mi jednorazowo i pozbyć się mnie na zawsze, okazało się jednak, że wręcz przeciwnie - nie będę musiała się obawiać o środki do życia, tak powiedział.

- i otrzymuje pani comiesięcznie czek, prawda?

- Tak, z wytwórni „Cinema Seis”. Boże, czy zdenerwowałam czymś panią? Jeśli tak, to doprawdy bardzo mi przykro...

- Mnie? Nie, ani trochę. Zastanawiałam się tylko, jakie są przyczyny tak wielkiej troski pana Hoffmana.

- Ponieważ... ponieważ tamten podły człowiek pracował właśnie dla niego - rzekła Elienne, mrużąc oczy. - Pan Hoffman dowiedział się o jego postępkach i postanowił mi pomóc Tamten mężczyzna... on...

- Ze złości nie mogła wykrztusić słowa. - Zgwałcił mnie! - wydusiła z siebie wreszcie. - Teraz mój mały Mark zdaje się darem niebios, ale wtedy... Byłam taka zagubiona, taka przerażona... To było straszne.

- Rozumiem, że mężczyzna, który panią zgwałcił, pracował dla pana Hoffmana?

- Tak. I tylko przez przypadek dowiedziałam się, kim jest. A kiedy próbowałam odnaleźć go w Stanach, powiedział, że jestem wariatką i wymyśliłam sobie całą historię!

- Bardzo pani współczuję.

- Herbert Glidden - syknęła Elienne, zaciskając pięści. - Nigdy nie zapomnę tego nazwiska.

- Ach, Herbert Glidden - Mary Liz wciągnęła głęboko powietrze. - Elienne, czy ma pani może przy sobie zdjęcie swojego synka?

- Herbert Glidden? - wykrzyknął Bill Pfeiffer do słuchawki. - Jak to możliwe?

346

- Zaraz, zaraz, poczekaj, to jeszcze nie koniec - westchnęła Mary Liz, która czekała właśnie na paryskim lotnisku na lot do Nowego Jorku. - Opowiedziała mi, jak zaatakował ją i zgwałcił...
- Zgwałcił? Ile ona mogła mieć lat?
- Piętnaście.
- Mój Boże! - Mary Liz wiedziała, że Bill pomyślał o swojej córeczce.
- To nie wszystko. Trzymaj się teraz mocno krzesła. - Na wszelki wypadek Mary Liz odwróciła się tyłem do mężczyzny, który stanął przy sąsiednim automacie telefonicznym. - Pokazała mi zdjęcie Marka. Mówię ci, Bill, dzieciak jest podobny do Alfreda Hoffmana jak dwie krople wody.

25

Lot z Paryża przebiegał na szczęście bez zakłóceń i Mary Liz wykorzystała ten czas na uporządkowanie wszystkiego, czego się do tej pory dowiedziała.

Po pierwsze, Glidden znalazł inwestorów przez „Dunlau Gunney” w Dublinie, ale bynajmniej nie dla filmów. Miał poza tym jakieś nieciekawe związki z „Eeghlenburger” w Amsterdamie i „Banque de Veurne” w Brukseli, gdzie wszyscy płoszyli się na jej widok.

Po drugie, Glidden pośredniczył w przekazaniu pieniędzy przez Jacquesa Gorce'a dla Claude'a i Isabel Lemieux.

Po trzecie, na zasadzie analogii można się było domyślać, że załatwiał finansowanie rozmaitych przedsięwzięć innym członkom pokerowej paczki. Był to w końcu jedyny powód, dla którego wszyscy mężczyźni jednocześnie mogli bać się, nienawidzić, a jednocześnie w niewytłumaczalny sposób tolerować Herba Gliddena.

Po czwarte, Alfred Hoffman zanotował nazwy wszystkich czterech firm - „Dunlau”, „Eeghleburger”, „Banque de Veurne” i „Jacques Gorce” - prawdopodobnie dlatego, że zamierzał przeprowadzić prywatne śledztwo w ich sprawie.

Czy dowiedział się tego, co chciał? Przecież w trzy tygodnie później zginął w tajemniczy sposób w katastrofie. Znowu przypomniała sobie ostrzeżenie Sky'a i jeszcze raz

348

zaniepokoiła się faktem jego niewyjaśnionej, podwójnej tożsamości.

Zaraz jednak wróciła do głównego wątku swoich rozmyślań.

Kolejna nieprzyjemna sprawa - filmy pornograficzne, które produkował Alfred.

I jeszcze jedna - jego poczucie winy z powodu śmierci mężczyzny z ekipy filmowej.

I wreszcie ostatnia - gwałt, którego dokonał.

Tak, Alfred Hoffman był nie tylko seksualnym maniakiem. Był gwałcicielem.

Gdy Mary Liz wylądowała na lotnisku Kennedy'ego, zapadał już zmrok. Nieśpiesznie skierowała się po odbiór bagażu, wstępując po drodze do damskiej toalety, by obmyć twarz, poprawić makijaż oraz fryzurę. Odebrała torbę, przeszła do odprawy celnej, gdy zaś wreszcie wyszła na zewnątrz, w tłumie oczekującym na pasażerów ze zdumieniem dostrzegła kierowcę, trzymającego nad głową kartonową tabliczkę z napisem „M. L. SCOTT”.

Podeszła do niego.

- Na kogo pan czeka?

Był silnie zbudowanym mężczyzną koło czterdziestki. Rzucił okiem na kartkę papieru, którą wyjął z kieszeni, i spytał z silnym wschodnioeuropejskim akcentem:

- Pani Mary Liz Scott? - Popatrzył na nią z nadzieją. Gdy zaś nie odezwała się, ale też i nie odeszła, odczytał z kartki: - Pani Nancy Hoffman zamówiła dla pani samochód.

- O, jak miło. Tak, to ja - uśmiechnęła się do niego. - Zawiezie mnie pan na Long Island?

- Do East Hampton.

- A zna pan drogę?

- Tak! - odrzekł z entuzjazmem. - Nie ma problemu. -Znów zaczął szperać po kieszeniach, wreszcie znalazł to, czego szukał, i wręczył Mary Liz. - Moja wizytówka, madame. Gdyby była pani zadowolona z moich usług, polecam się na przyszłość.

Mary Liz uśmiechnęła się do siebie. Wiedząc, że przodkowie wszystkich musieli przebyć tę samą drogę, gdy przybyli po raz pierwszy do Ameryki, nie mogła nie podziwiać jego zapału. Był przebojowy, co wróżyło dobre życie jego rodzinie.

Oddała mu swoją walizkę, którą zaniósł do czekającego na dworze starego czarnego lincolna. Włożył ją do bagażnika, po czym otworzył przed Mary Liz tylne drzwi, sam zaś usiadł za kierownicą.

Przez chwilę gawędzili o samym samochodzie. Leo (tak nazywał się kierowca) był jego właścicielem. A właściwie - cała jego rodzina, która zainwestowała w kupno wszystkie swoje pieniądze. Tak, auto jest dobrze utrzymane, bo pucuje je codziennie, słońce czy deszcz. Och, w Ameryce jest biurokracja, to prawda, trzeba wypełniać masę papierów, ale i tak nie jest tak źle jak w Rosji. Owszem, ma rodzinę - żonę i dwóch synów, czteroletniego i dwuletniego. Nie, matka została w Rosji. Chyba już nie przyjedzie.

Po jakimś czasie umilkli i Mary Liz usadowiła się wygodnie, otwierając poranne wydanie „New York Post”, które podał jej Leo.

Za lotniskiem ruch nieco się zmniejszył i samochód nabrał wreszcie szybkości. W kabinie pachniało przyjemnie płynem po goleniu „English Leather”. Mary Liz zajrzała do wydrukowanego w gazecie horoskopu na najbliższy tydzień - po-

winna zachować zimną krew w sprawach sercowych, natomiast sprawy finansowe ułożą się podobno znakomicie. Hm, jak zwykle...

Wyjrzała przez okno. Leo nadal jechał z dużą szybkością, zmienił się jednak kierunek jazdy i autostrada skręciła ostro w prawo, na zachód.

- Czy nie powinniśmy jechać raczej na wschód, Leo?

- To mały objazd, żeby uniknąć korków - zapewnił, po czym zjechał na lewy pas, wyprzedzając jadące wolniej samochody. Po chwili wpadli na most nad zatoką i Mary Liz zapytała ponownie:

- Leo, jest pan pewien, że jedziemy we właściwym kierunku? Wydaje mi się, że powinniśmy skręcić w lewo.

- Wiem, dokąd jadę.

- Może zatrzymamy się na stacji benzynowej i zajrzemy do mapy? - zaproponowała. - Chętnie napiłabym się wody. Panu też stawiam.

- Nie, na razie nie. Później, jak zrobi się luźniej - powiedział, dodając gazu i ruszając ostro, nim zdążyło zmienić się światło.

- Hej, Leo, niech pan trochę zwolni! Nie śpieszę się aż tak bardzo. Omal nie potrącił pan tamtego dzieciaka.

Leo nie zareagował, więc Mary Liz pochyliła się do przodu.

- Słyszał pan, co powiedziałam?

- Przepraszam, muszę pojechać tędy. - Machnął ręką w nieokreślonym tóerunku. - Na skróty. - Jechali obecnie dwupasmówką, mijając niskie pawilony handlowe, garaże i magazyny.

Gdy Leo przekroczył podwójną ciągłą linię, żeby wyprzedzić inny samochód, Mary Liz stwierdziła, że przydałyby mu się lekcje jazdy. Życie było jej miłe, odpięła więc pas i zawie-

351

siła torebkę na szyi, by przyszykować się do wyskoczenia z auta na następnych światłach. Niestety, wszystkie kolejne były zielone. Gdy wreszcie stanęli jednak na którymś z kolejnych skrzyżowań, szczęśliwie obok stacji benzynowej, Mary Liz otworzyła drzwi.

A raczej próbowała je otworzyć. Daremnie szarpała za klamkę, lecz zamek był zablokowany.

- Co pani robi? - spytał kierowca, odwracając się do niej.

- Leo, niech pan otworzy. Muszę iść do toalety.

- Jak dojedziemy na miejsce - odpowiedział.

- Co pan...? Niedobrze mi, zaraz zwymiotuję! Proszę otworzyć drzwi! - krzyknęła zdesperowana.

Nie pomogło. Leo wcisnął gaz i ruszył ostro na czerwonym świetle. Mary Liz szarpnęła się do przodu.

- Zatrzymaj natychmiast samochód, słyszysz?! Natychmiast!

- Siadaj - odparł groźnie i machnął jej przed nosem łyżką do opon. - Do tyłu! - warknął. - No, już! I uspokój się, bo będzie źle!

Boże, pomyślała, opadając z powrotem na siedzenie, ten facet chce mnie zgwałcić. Wywiezie mnie gdzieś i zgwałci!

Skreślił z piskiem opon w lewo, następnie w prawo i jeszcze raz w lewo. Znajdowali się teraz na jakiejś słabo oświetlonej drodze dojazdowej do kompleksu magazynów i budynków portowych.

Och, musi coś zrobić. Teraz. Już. Zanim będzie za późno.

Rzuciła się, chcąc wyrwać mu łyżkę, lecz Leo zahamował gwałtownie i machnął żelastwem do tyłu.

Mary Liz poczuła straszliwy ból i osunęła się na siedzenie. Krew spływała jej po twarzy, plamiąc ubranie.

Samochód znów przyspieszył. Otworzyła oczy - tym razem Leo trzymał w dłoni rewolwer.

Nagle rozbłysły światła samochodu i zza budynku wyjechało stare kombi, przecinając im drogę. Leo wcisnął hamulce i skręcił raptownie kierownicę, mimo to jego lincoln uderzył w tył drugiego samochodu i przednia szyba rozprysła się w drobny mak, zasypując odłamkami wnętrze wozu. Rozległ się łoskot i zgrzyt metalu, pod wpływem uderzenia drzwi otworzyły się gwałtownie. Mary nie wahała się ani przez chwilę. Wypadła na zewnątrz i pobiegła w kierunku najbliższego budynku z czerwonej cegły. Obiegła go, potykając się i próbując znaleźć drogę do autostrady. Krew z rozbitego nosa spływała jej do gardła. Krztusiła się co chwilę, jednak powtarzała sobie w kółko, że nie wolno jej zemdleć, że musi znaleźć pomoc.

Przebiegła między dwoma budynkami i zobaczyła światła w oknach niewielkiej stróżówki jakieś trzysta metrów przed nią. Za daleko. Bała się pobic w tamtą stronę, bo w pobliskich budynkach portowych mógł kryć się jakiś szaleniec z bronią. Puściła się więc pędem w kierunku, w którym powinna znajdować się główna droga.

Wreszcie dostrzegła jakieś światła. Modliła się, żeby były to światła uliczne - i jej modły zostały wysłuchane. Trafiała na ciemną pustą ulicę, na której paliła się jedyna latarnia. Pobiegła w stronę, z której przyjechali (tak jej się przynajmniej wydawało). Wciąż nie miała pojęcia, gdzie jest. Zdaje się, że gdzieś w pobliżu portu, bo zapach wody i ryb był wszechobecny.

Przemykała pod ścianami budynków, aż wreszcie zobaczyła zbliżające się ku niej reflektory samochodu. W dodatku najwyraźniej policyjnego, ponieważ na dachu błyskały niebieskie światła.

353

Niestety, policyjny wóz skręcił ostro jakieś sto metrów przed nią i zniknął.

Następnie usłyszała dźwięk syren i na drodze pojawiło się więcej migających świateł. Pewnie policję zawiadomiono o wypadku. Dzięki Bogu! Ostatkiem sił pobiegła ulicą, wiedząc, że za chwilę może stracić przytomność. Z naprzeciwka nadjeżdżał ambulans i kolejny radiowóz. Mary Liz zaczęła wymachiwać gorączkowo rękami.

- Ratunku! - krzyczała. - Na pomoc!

Ambulans skręcił w kierunku stoczni, ale samochód policyjny pomknął prosto i zatrzymał się tuż obok niej. Wskoczyła z niego dwójka funkcjonariuszy, mężczyzna i kobieta.

26

Radiowóz powiózł ją prosto na ostry dyżur. Policjanci przekazali drogą radiową wiadomość o napadzie oraz rysopis napastnika. Gdy dotarli do szpitala, Mary Liz usłyszała, jak męski głos dobiegający z radiostacji nakazuje przywieźć ofiarę natychmiast po udzieleniu pomocy na posterunek -o ile, oczywiście, będzie w wystarczająco dobrym stanie.

Funkcjonariusze użyli swego autorytetu, by Mary Liz przebadano jak najszybciej. Pielęgniarka umyła ją, po czym poddano prześwietleniu jej czaszkę. Lekarz poinformował, że Mary Liz ma złamany nos, i założył jej opatrunek. Oprócz tego miała duży guz na czole i mnóstwo siniaków, nie stwierdzono jednak wstrząśnienia mózgu ani żadnych krwiaków czy innych obrażeń wewnętrznych. Dostała środki przeciwbólowe, pożyczono jej powrotu do zdrowia i pozwolono pojechać z policjantami na posterunek.

Gdy zasiadła przed biurkiem niejakiego inspektora Hear-na, ten poinformował ją na wstępie, że przywieziono właśnie walizkę, wydobytą z bagażnika rozbitego lincolna. Potem przystąpił do zadawania pytań, zapisując wszystkie odpowiedzi w swoim komputerze. W międzyczasie pozwolił jej zadzwonić do Wendy w East Hampton.

Na posterunku panował ogólny zamęt. Funkcjonariusze, którzy przyszli jej z pomocą, podeszli, by porozmawiać z kolegami; inni policjanci pracowali przy swoich biurkach;

w kącie krzyczała jakaś kobieta; mężczyzna w kajdankach domagał się głośno widzenia ze swoim adwokatem. Najwyraźniej upalny piątkowy Wieczór sprzyjał bezprawiu.

- Nie znaleźliśmy nikogo na miejscu wypadku - poinformował ją detektyw. - Obaj kierowcy zbiegli. Znaleźliśmy jedynie nocnego stróża, który nie miał pojęcia, że coś się stało.

- To kto was wezwał?

- Jakiś facet przez telefon komórkowy. To wszystko, co mamy. - Postukał długopisem w skromnie zapisany notatnik, leżący obok komputera. - Jest jednak w tej sprawie kilka dziwnych faktów. Po pierwsze, dzisiaj zgłoszono nam kradzież limuzyny we Flushing. Po drugie, zarówno nazwisko kierowcy, jak i firmy są fikcyjne. Po trzecie, tablice rejestracyjne kombi, które na was wpadło, należą do osoby, która nie żyje od dwóch lat. Numer identyfikacyjny pojazdu nie figuruje zresztą w żadnych rejestrach. - Zerknął na monitor, nacisnął jakiś klawisz i popatrzył z powrotem na Mary Liz. - Dziwne, prawda, panno Scott?

- Proszę mówić do mnie Mary Liz. „Panno Scott” brzmi tak, jakbym była aresztowana.

- Dobrze, Mary Liz - powiedział detektyw, zaglądając do swoich notatek. - Czy kierowca powiedział w czasie jazdy coś, co świadczyłoby o seksualnym motywie jego napaści?

- Nie. Szczerze mówiąc, przyszło mi to namyśl wyłącznie w związku z wypadkiem sprzed kilku tygodni. Pamięta pan, taksówkarz wywiózł pasażerkę w odludne miejsce w Queens, żeby ją zgwałcić.

- No dobrze, a czy przychodzi pani na myśl jakiś powód, dla którego ten człowiek, czy ktokolwiek inny, mógłby chcieć porwać panią z lotniska?

356

Gdy Mary liz starała się pozbierać rozbiegane myśli, odpowiedział:

- Powiedziała pani, że wróciła właśnie z podróży służbowej do Europy, z Paryża. Czy załatwiała tam pani jakieś szczególne interesy? A może zdarzyło się coś niezwykłego? - Zmarszczył czoło, próbując zmusić ją do koncentracji. - Czy ktoś dał może pani jakąś przesyłkę do Stanów? Kopertę czy cokolwiek innego?

- Nie - pokręciła przecząco głową.

- A czy zdarzyło się, że przed odlotem straciła pani z oczu swój bagaż?

- Chyba nie.

- Czy nie było akurat pokojówki w apartamencie hotelowym, gdy się pani pakowała? Czy zostawiała pani walizkę w hotelu, gdy pani wychodziła?

- Nie. Wymeldowałam się i na umówione spotkania chodziłam z walizką. To nieduży bagaż. Chciałam złapać możliwie najwcześniejszy lot do Nowego Jorku.

- A czy zostawiała pani gdzieś bagaż podczas spotkań? A może w restauracyjnej szatni?

Znów pokręciła głową, czując, że odzywa się nowy ból w szyi i ramieniu.

- A więc miała pani walizkę przy sobie cały czas, dopóki nie oddała jej pani na bagaż na lotnisku?

- Tak - Westchnęła głęboko. - Myśli pan, że mogłam mieć w niej coś, na co polował cały ten „Leo”?

Narkotyki czy coś w tym rodzaju? - Zamyśliła się. - Nie. Na pewno miałam jężawsze przy sobie.

Przynajmniej do momentu, gdy oddałam ją na Orły. Poza tym gdyby chodziło mu o walizkę, mógłby mi ją zabrać od razu na lotnisku.

- No właśnie. Niech pani wysili szare komórki, Mary Liz. Musi być jakiś inny powód, dla którego ktoś chciał panią porwać.

No cóż, powinno było nasunąć jej się to od razu, ale odpychała tę myśl, ponieważ była zbyt okropna.

- To możliwe, że ktoś chciał napędzić mi strachu.

- Proszę mi o tym opowiedzieć. - W oczach detektywa pojawił się nagły błysk.

- Niestety, nie wiem dokładnie ani kto, ani też dlaczego. W każdym razie podczas mojej podróży poruszyłam kilka kwestii dotyczących zagranicznych kapitałów zainwestowanych w USA. Moi rozmówcy wiedzieli, że orientuję się co do podejrzanego charakteru tych transakcji.

- A kim byli ci rozmówcy?

- Przedstawicielami legalnych firm. Bank inwestycyjny, bank handlowy, agencja obrotu towarowego... To skomplikowana sprawa, ale jej sedno tkwi w tym, że ktoś istotnie mógł chcieć mnie zastraszyć. Żeby zamknęła buzię i przestała węszyć.

- A on z pewnością właśnie dlatego tam się znalazł! - rzekł usatysfakcjonowany policjant, zrywając się z krzesła i wybiegając dokądś z notatnikiem w ręku.

Jaki znów „on”, zastanawiała się Mary Liz.

Inspektora Hearna nie było przeszło pół godziny. Policjantka, która ją uratowała, zaproponowała jej coś do picia, więc Mary Liz poprosiła o wodę. W pięć minut później do pokoju wpadli Wendy i Jake.

- O Boże! - wykrzyknęła Wendy, klękając na jedno kolano, by przyjrzeć się jej twarzy. - Naprawdę złamał ci nos?

- W ilu miejscach? - dopytywał się Jake.

- Lekarz powiedział, że tylko w jednym.

- Masz całą twarz posiniaczoną. Mój Boże, Mary Liz, wyglądasz, jak gdybyś...

- Nic nie mów. Nie widziałam się w lustrze i nie chcę słyszeć. Marzę jedynie o tym, żeby się stąd wydostać. Dzień-

kuję wam, że przyjechaliście. - Nagle drgnęła z przestachu.

- Nancy nie została sama, prawda?

- Jest z nią Bertie-uspokoił ją Jake.

- Dostanie zawału, jak mnie zobaczy. Chyba nic jej nie powiedzieliście?

- Nie. Uznaliśmy, że na razie lepiej nie mówić - odrzekła Wendy.

- To dobrze, może jutro będę wyglądała trochę lepiej. Ze spojrzeń, jakie wymienili Jake i Wendy, domyśliła się,

że to niemożliwe.

- W każdym razie - mówiła dalej, wskazując na puste krzesło inspektora Hearna - ten gość najpierw wysnuł wniosek że jestem przemytnikiem narkotyków albo kimś w tym rodzaju, a porywaczowi chodziło o moją walizkę.

- Powiedziałaś mi, że chciał cię zgwałcić.

- Tak myślałam. Ale Hearn chyba tak nie uważa. Obecnie rozważamy inną hipotezę - że zdenerwowałam w Europie kogoś, kto postanowił mnie zastraszyć.

- Ostrzegałem cię, że cała ta sprawa jest niebezpieczna

- powiedział Jake do Wendy.

- A czy poinformowałaś Hearna - spytała Wendy - że twoja wizyta ma pewien związek ze śmiercią Herba Gliddena, że jesteś wmieszana w sprawy majątkowe mężczyzny, z którym Glidden prowadził interesy? Mary Liz próbowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało. Wargi miała kompletnie odrętwiałe, z jednej strony.

- Nie. Zachowałam tę informację na później. Zaczekajmy na niego. Mam wrażenie, że podejrzewa, kim był ten kierowca. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, czekając na powrót policjanta. Wreszcie Wendy spytała:

- Czy dowiedziałaś się, ile warta jest wytwórnia w Holandii?

359

Mary Liz popatrzyła na nią bez słowa.

- O co chodzi? Problemy?

- Jeszcze jakie, Wendy! Nie mam pojęcia, od czego zacząć - westchnęła Mary Liz. Podniosła wzrok. Wróciła policjantka z butelką wody i napełniła jej szklanekę.

- Powinniśmy zawieźć cię do chirurga plastycznego - powiedział Jake.

- Och, to tylko złamany nos. Albo będzie prosty, albo nie. Do pokoju wrócił detektyw Hearn.

Rozmawiał przez

chwilę z dwojgiem funkcjonariuszy, którzy uratowali Mary Liz, a następnie poprosił ją do biurka.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - powiedział - to chciałbym, żeby pani przyjaciele zaczekali na zewnątrz przez kilka minut.

- Nie mam przed nimi tajemnic - odrzekła.

- Dobrze. Porozmawiamy najpierw w cztery oczy, a potem zobaczymy, zgoda?

Mary Liz skinęła głową i Jake wraz z Wendy opuścili niechętnie pokój. Teraz inspektor wręczył Mary Liz grubą papierową teczkę pełną zdjęć.

- Proszę przyjrzeć się dokładnie tym mężczyznom i powiedzieć, czy którykolwiek z nich jest podobny do porywacza o imieniu Leo?

Hm, właściwie większość mężczyzn na zdjęciach przypominała nieco Leo - wszyscy byli w podobnym wieku, około czterdziestki, mieli owalne twarze, niebieskie oczy i silną budowę ciała.

Zidentyfikowała go jednak błyskawicznie.

- To on - powiedziała, wyjmując spośród innych jedno zdjęcie i rzucając je na biurko. Jeden z funkcjonariuszy gwizdnął ze zdziwieniem.

- Kim on jest? Naprawdę imigrantem, Rosjaninem?

- O, tak - odpowiedział Hearn, zapisując coś na odwrocie

fotografii. Pozostali funkcjonariusze podpisali się pod jego notatką, on sam zaś podniósł słuchawkę i wystukał krótki numer. - Identyfikacja pozytywna, wybrała go spośród trzydziestu zdjęć - zawiadomił kogoś po drugiej stronie.

W chwilę później do pokoju wmaszerowała wysoka kobieta, która przedstawiła się Mary liz jako Debbie Cole, agentka FBI. Podały sobie ręce, a potem Cole rzekła, spoglądając po zebranych:

- Myślę, że powinniśmy znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce na pogawędkę - po czym wszyscy przenieśli się do pokoju przesłuchań i usiedli przy masywnym stole.

Heam włączył magnetofon, wyraźnie wyrecytował dzień, godzinę oraz wszystkie nazwiska, a następnie ustawił starannie mikrofon na blacie.

- Kierowca, którego poznała pani jako Leo - zaczęła agentka - naprawdę nazywa się Ivor Vrensk i jest członkiem zorganizowanej grupy przestępczej z siedzibą w Brooklynie.

- Coś w rodzaju mafii?

- Tak, ale rosyjskiej. Zdecydowanie bardziej brutalnej niż nasza. Chcielibyśmy się dowiedzieć, panno Scott, czemu rosyjski gang interesuje się panią. Z tego, co powiedziała pani inspektorowi, wynika, że może to mieć coś wspólnego z pani prywatnym dochodzeniem i podróżą do Europy, tak?

- Tak.

- Może to pani dokładniej wytłumaczyć?

Mary Liz westchnęła ciężko, po chwili skinęła głową. Zaś przez następne dwie i pół godziny - dokarmiana owocami i kanapkami, faszzerowana środkami przeciwbólowymi oraz pojona wodą - opowiadała o swoim zadaniu w East Hampton, o Alfredzie Hoffmanie i Herbercie Gliddenem.

- Jak skrzyżowały się pani drogi z Gliddenem?

- Chciał, żebym dla niego pracowała. Prawdopodobnie

361

była to próba przekupstwa - żeby przestała zajmować się inwentaryzacją, przeszła na jego stronę i pomogła mu przejąć „Howland Films”.

- Dlaczego tak bardzo mu na tym zależało?

- Nie jestem pewna. Myślałam, że chciał po prostu zagwarantować sobie silną pozycję w wytwórni, teraz jednak zaczynam podejrzewać, że chciał zapobiec odkryciu jego powiązań z inwestorami, z którymi współpracował.

- Dlaczego chciał temu zapobiec?

- Bo były to brudne pieniądze, tak przypuszczam.

- Gdzie teraz jest Glidden?

- Został niedawno zamordowany.

- To ten topielec z East Hampton sprzed kilku tygodni

- przypomniał agentce detektyw.

- Zajmowała się pani majątkiem Hoffmana, nie Gliddena

- mówiła dalej Debbie Cole. - Dlaczego więc pytała pani o tego ostatniego w czasie podróży do Europy?

- Po pierwsze, z czystej ciekawości. Ten facet był koszmarny. Po drugie, syn Alfreda Hoffmana, Bertie, nie dał się nigdy przekonać, że śmierć jego ojca była dziełem przypadku. Chciałam się dowiedzieć, czy może istnieć jakiś związek między katastrofą, Gliddenem i zagranicznymi inwestorami. - I postanowiła pani rozpracować na własną rękę międzynarodową grupę przestępczą?

- Nie, pojechałam zbadać aktywa majątku Alfreda Hoffmana. Tylko przy okazji złożyłam wizyty w niektórych instytucjach, które zgodnie z moimi przypuszczeniami mogły inwestować za pośrednictwem Gliddena w przedsięwzięcia „Howland Films”. Obecnie nie sądzę, że ograniczało się to tylko do filmów. Wiem, że Glidden finansował również inne transakcje.

- Skąd wzięte pani nazwy tych firm?

- To również długa historia. W dużym skrócie wyjaśnię, że Alfred Hoffman zapisał te nazwy w swoim notesie, bez żadnych dodatkowych adnotacji. Po miesiącu już nie żył.

- Jak pani sądzi, podsumowując to wszystko, co takiego robił Herbert Glidden, że przypłacił to życiem? - spytała agentka.

- Prał brudne pieniądze - odrzekła pewnie Mary Liz. Debbie Cole skinęła głową i spojrzała na zegarek.

- Dobrze, dziękuję. Mamy jeszcze wiele spraw do omówienia, panno Scott, a pani naprawdę wiele dzisiaj przeszła. Gdzie chce pani spędzić noc? Zawieźć panią do hotelu?

- Wolałabym wrócić do East Hampton. Moi przyjaciele mnie zawiozą. Czy mogłybyśmy dokończyć naszą rozmowę tam?

- Jasne - odpowiedziała Debbie, wstała i podała jej rękę. - Wyślemy tam kogoś na wszelki wypadek dla pani bezpieczeństwa. Porozmawiaj z jej przyjaciółmi - poleciła Hearnowi. - Lepiej ich nie straszyć.

Mary Liz uśmiechnęła się smutno.

- Czy można wystraszyć się jeszcze bardziej?

- Wiemy, co pani czuje. - Inspektor popatrzył na nią poważnie. - Co gorsze, obawiamy się, że oni chcą nie tylko napędzić pani strachu, Mary Liz. Dlatego właśnie tak ważne jest to, żeby stosowała się pani dokładnie do poleceń pani Cole.

- A co według pana mi grozi?

- Ivor Vrensk, mężczyzna, którego pani zidentyfikowała, jest płatnym mordercą. Naszym zdaniem wysłano go, by panią zabił, a następnie pozbył się ciała.

27

Mary Liz ocknęła się w swoim łóżku o godzinie drugiej po południu. Zastony były zaciągnięte, klimatyzacja włączona. Zamknęła oczy. W głowie jej pulsowało, całe ciało przeszywał tępy ból. Spróbowała otworzyć ponownie oczy i ostrożnie usiąść, a wtedy od strony fotela usłyszała znajomy głos:

- Kochanie... - i jakaś kobieca postać zbliżyła się szybkim krokiem do łóżka.

- Ciocia?

- Och, moje biedactwo - powiedziała czule Nancy, pochylając się nad nią z z troskaniem. - Co oni ci zrobili?

- Nic mi nie będzie. Naprawdę.

Poczuła na dłoni wilgotny dotyk. To Ashley. Lizała ją delikatnie, jak gdyby bała się sprawić ból gwałtowniejszym wybuchem uczuć.

- Chciała koniecznie cię zobaczyć - powiedziała Nancy. - Za każdym razem, gdy ją wypuszczałam, pędziła prosto do twoich drzwi.

Mary Liz potarła pieśczośliwie psi nos.

- Była tu przez cały czas dwójka agentów FBI - uśmiechnęła się ciotka. - Mam wrażenie, że są tobą absolutnie zachwyceni.

- A więc to wszystko naprawdę się zdarzyło? - Mary Liz zamknęła oczy.

- Tak, kochanie. Cała posiadłość obstawiona jest agentami. Chyba powinnam zawiadomić twoich rodziców.

- Nie, ciociu, pozwól, że sama to zrobię. Trochę później. Obiecuję.

- Czy już skończyłaś tę cholerną inwentaryzację? Czy mogę wreszcie zafundować ci wakacje? Mary Liz nie mogła nawet skinąć głową. Szyję miała kompletnie sztywną, czuła co chwilę ostre ukłucia bólu.

- Muszę tylko wszystko obliczyć i napisać podsumowanie. Ale chciałabym zostać tu trochę dłużej, jeśli pozwolisz. Omówimy wszystko w ciągu kilku dni, dobrze? - Sama myśl o tym, co będzie musiała powiedzieć Nancy, przygotowała ją o jeszcze większy ból głowy.

Znow zamknęła oczy. Jak jej to powie?

„Ciociu Nancy, twój ukochany mąż był producentem filmów pornograficznych, które sprzedawał na całym świecie. Ciociu Nancy, twój mąż był też gwałcicielem...”

Nie, tego jej nie powie. Nie wspomni też ani słowem o molestowaniu nieletnich. Może więc tak:

„Ciociu Nancy, twój mąż ma jeszcze jednego syna. Tak się złożyło, że ten syn myśli, iż jego ojcem jest Herbert...”

- Przepraszam, ciociu, muszę pójść do łazienki. Wstała z trudem i podeszła do drzwi. Poprosiła Nancy, żeby zaparzyła jej herbaty i zostawiła jogurt w miseczce na bufecie. Ciotka, szczęśliwa, że może cokolwiek dla niej zrobić, natychmiast pobiegła do kuchni, zaś Mary Liz powlokła się do łazienki. Ręce jej się trzęsły. Wyjęła flakonik z kodeiną i nalała sobie szklanekę wody. Zamknęła oczy, popiła dwie tabletki, a potem spojrzała w lustro.

Dobry Boże! Wyglądała, jak gdyby ktoś wepchnął jej pod skórę między brwiami piłeczkę golfową. Białko lewego oka

365

nabiegło krwią, pod oczami miała fioletowoczarne worki, na policzkach - czerwonosine smugi. Lekko przybrudzony plaster przytrzymał opatrunek na nosie, z obu dziurek sterczały brązowe gaziki. Spróbowała wyjąć je ostrożnie. Były kompletnie przesiąknięte krwią. Na szczęście nos nie zaczął krwawić, zakrztusiła się tylko, ponieważ coś śliskiego spłynęło jej do gardła.

Krew.

Wyplukala usta, a potem usiadła na sedesie i zaczęła płakać.

Gdy wracała z powrotem do sypialni, w salonie natknęła się na obcego mężczyznę i omal nie dostała ataku serca ze strachu. Nieznajomy siedział po turecku na podłodze wśród mnóstwa elektronicznych kabli i akcesoriów.

- Och, przepraszam - poderwał się z miejsca - nie chciałem pani wystraszyć.

- Przysłał pana Liam? - spytała z nadzieją w głosie. - Zdejmuje pan podsłuch w moim domu?

- Mniej więcej. A pani nazywa się Scott, prawda?

- Chyba że zna pan więcej osób, które tak wyglądają.

- Może mi pani nie Wierzyć, ale sam tak kiedyś wyglądałem. Może też pani nie wierzyć, ale za dwa dni będzie pani znowu podobna do siebie. Och, byłbym zapomniał, pani Hoffman zostawiła pani coś do jedzenia i powiedziała, że niedługo wróci Mój szef też się wkrótce zjawi, by z panią porozmawiać.

Nazywam się Travers, jestem z FBL - Sięgnął do tylnej kieszeni spodni po identyfikator.

- W porządku, wierzę panu - powiedziała Mary liz, podchodząc do bufetu. - Czy mój dom nadal jest na podsłuchu?

- Nie, już jest czysty. Podobnie telefon, komputer i faks.

366

- Czy dowiedzieliście się, kto go założył?

- Mój szef będzie tu za chwilę. Ja mogę tylko powiedzieć, że ten problem mamy już załatwiony.

Mary Liz kiwnęła głową i przeszła do kuchni. Dzięki Bogu, Nancy zostawiła jej nie tylko jogurt oraz herbatę z mlekiem i miodem, lecz również świeże wydanie „Vanity Fair”, zupełnie jakby to był najzwyczajniejszy dzień i Mary Liz miała ochotę na przeglądanie czasopism. Z jakiegoś powodu podniosło ją to na duchu.

Zmusiła się do przełknięcia odrobiny jogurtu, a potem spróbowała odwrócić głowę, żeby zobaczyć, co robi agent, nie mogła jednak poruszyć szyją. Zrezygnowana, zaczęła gapić się bezmyślnie przez kuchenne okno.

Po mniej więcej dziesięciu minutach zjawiała się Debbie Cole.

- Dzień dobry, panno Scott! - powitała ją wesoło, lecz po chwili, na widok twarzy Mary Liz, mina jej zrzędła. - O rany! Naprawdę nieźle pani oberwała! Jeśli może to być dla pani jakakolwiek pociechą, to powiem, że dzięki pani przykrej przygodzie natrafiliśmy na bardzo ważny ślad w większej sprawie, którą prowadzimy od dawna.

- Jaka to sprawa?

- Gdy tylko wyjaśnimy wszystko do końca, pani dowie się pierwsza.

- Czy naprawdę wyglądam na osobę, która dałaby radę biegać i opowiadać wszystkim o tym, co usłyszała?

Debbie uśmiechnęła się tylko.

- Przykro mi, panno Scott, nie wolno mi powiedzieć nic więcej.

- Proszę więc chociaż powiedzieć, czy ta większa sprawa ma coś wspólnego z praniem brudnych pieniędzy.

Twarz Debbie przybrała kamienny wyraz.

367

- Dobrze. Przyjmuję to jako odpowiedź twierdzącą. Czy to oni założyli podsłuch w moim domu?
 - Przykro mi, ale na to też nie mogę odpowiedzieć. Na razie.
 - Czy wy również mnie podsłuchiwaliście?
 - Przepraszam, ale...
 - A czy są jakieś wiadomości na temat mojego starego przyjaciela Leo, ciężko pracującego płatnego mordercy?
 - To nie jest zwykły płatny morderca.
 - A więc nie znaleźliście go? - domyśliła się Mary Liz. Upiła łyk zimnej już herbaty i odwróciła głowę.
 - Posłuchaj, Mary Liz - Debbie zwróciła się do niej po imieniu. - Wiem, że masz za sobą ciężkie przejścia, ale musimy jeszcze porozmawiać o pewnych sprawach. To bardzo ważne.
 - Jasne, w porządku.
 - Pani Hoffman udostępniła nam wszystkie dokumenty „Howland Films”, znajdujące się w skarbcu. Mary Liz na sekundę wpadła w panikę, przypomniała sobie jednak że nie ma tam już nic, co mogłoby skompromitować Hoffmanów lub ich majątek.
- Debbie tymczasem usiadła na stołku naprzeciwko i otworzyła notatnik. Zaczęła zadawać pytania, a Mary Liz opowiadała o wszystkim po kolei. Wspomniała o paryskim bankierze, który zaprzeczył, by Glidden zawierał z nim jakiegokolwiek transakcje, natomiast przyznał, że pośredniczył pięć lat temu w zakupie amerykańskiego wydania „Je Ne Se Quoi”. Opowiedziała również o innych członkach pokerowej paczki - Henrym MacClendonie, Randolphie Vandergildenie, Bucku Buckleyu i Charlesie Kahnie - oraz o swoich podejrzeniach, że Glidden zdobywał pieniądze również dla nich. Następnie poinformowała ją o wszystkim, co wie o Glid-

denie, poczynając od jego interesów, a kończąc na synu i żonie cierpiącej na agorafobię. Mówiła o tym, jak rozsiewał na jej temat kłamliwe plotki, a także o tym, jaki, jej zdaniem, może być związek między transferami międzynarodowych pieniędzy, nagłą śmiercią Alfreda Hoffmana i późniejszą Herberta Gliddena. Na koniec obiecała agentce, że zaprowadzi ją do gabinetu i pozwoli zrobić kserokopie notesu Alfreda oraz innych dokumentów.

- Dziękuję, Mary Liz, ale zanim przejdziemy do gabinetu, chciałabym wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. - Debbie przybrała poważną minę. - Travers powiedział mi, że niedawno ktoś spalił w twoim kominku masę papierów - dokładnie: jakieś dwie setki fotografii, papierów i szarych kopert.

Mary Liz odwróciła wzrok. Nie chciała odmawiać współpracy, ale nie mogła też pozwolić, żeby ciocia Nancy przeżyła kolejny wstrząs. Nie ma mowy, by zdradziła FBI zawartość „kolekcji” Alfreda.

- Dokładnie dwieście siedemdziesiąt sześć - powiedziała i podniosła oczy na Debbie, która zanotowała tę informację, po czym zadała kolejne pytanie.

- Opowiesz mi o tym? Czemu zniszczyłaś najpierw te zdjęcia, a potem je spaliłaś?

- Mogę ci jedynie zdradzić - westchnęła Mary Liz - że nie miały one absolutnie nic wspólnego ze sprawą, o której rozmawiamy.

- Niestety, to trochę za mało.

- A jeśli ci powiem, że chodzi o nieprzyzwoite zdjęcia? Po co miałyby się dowiedzieć o nich wdowa?

- Pornografia?-nie ustępowała agentka.

- Po prostu trochę świńskich zdjęć, które nie mają żadnego związku ze sprawą. Przysięgam, że gdyby miały, zachowałabym je.

Debbie nie wyglądała na przekonaną, ale znów coś zapisała.

- Dobrze, przejdźmy więc do gabinetu. Chciałabym zobaczyć te dokumenty i notes. A potem, obiecuję, damy ci spokój i pozwolimy odpocząć.

- Jasne, w porządku - powiedziała Mary Liz, zsuwając się ostrożnie ze stołka, by nie zakręciło jej się w głowie. I tak miała już czarno przed oczami. - Chodźmy.

- Nie potrafię wyrazić naszej wdzięczności za pomoc, jaką nam okazałaś. Byłaś fantastyczna.

Mary Liz już tego nie słyszała. Osunęła się na kanapę i ogarnęła ją ciemność.

- Dzień dobry, moje najmilsze kochanie - Mary Liz usłyszała nad głową cichy szept. To mogła być tylko jedna osoba - jej matka. Mary Liz uczyniła wysiłek, by otworzyć oczy. Mama uśmiechała się do niej, ale jednocześnie dwie wielkie łzy spływały po jej policzkach.

- Cześć, mamó.

- Cześć, dziecinko - usłyszała z boku drugi głos.

- Tata? - wyszeptała, próbując się uśmiechnąć.

Och, co tu robią jej rodzice? Czy w przyszłym tygodniu kończy college? Ale gdzie teraz jest? Na uniwersytecie? W szpitalu?

Nie mogła sobie niczego przypomnieć, oczy same jej się zamykały...

Gdy otworzyła je ponownie, był dzień. Ból w głowie stał się mniej dokuczliwy, odzyskała też ostrość widzenia. Nie musiała siadać, była już bowiem uniesiona do pozycji półleżącej na szpitalnym łóżku.

Jak się tu, u licha, znalazła?

- Mary Liz? - wyszeptał cichy głos gdzieś u jej wezgłowia.

370

Cień zasłonił jej światło. Jeszcze zanim zobaczyła, już wiedziała - Sky. Uśmiechnięty, blady, mizerny i bardzo zmartwiony. Ze świeżym, paskudnym szwem na długiej ciętej ranie na czole, a mimo to uśmiechnięty. Do niej.

- Jestem...-wyszeptała.

- Dzięki Bogu-powiedział cicho.

- Co się stało z twoją głową?

- Lepiej powiedz, co się stało z twoją. Mary Liz podniosła rękę i zwinęła ją w pięść.

- Chcesz oberwać? - uśmiechnęła się słabo.

- Proszę uprzejmie. Tylko nie każ mi odchodzić. Tak bardzo się o ciebie martwiłem...

Powiedział, że jest niedziela, trzecia po południu. I że ona, Mary Liz, leży tu nieprzytomna już od dwudziestu czterech godzin. W tym czasie prześwietlono ją ponownie, albowiem gdy straciła przytomność, uderzyła głową o podłogę. Na szczęście doznała jedynie lekkiego wstrząśnienia mózgu.

Poza tym jest wycieńczona i pod wpływem szoku - fizycznego i psychicznego.

- Zadzwońię po pielęgniarkę - powiedział. - Ucieszy się.

- Oho, śpiąca królewna wreszcie się obudziła! - Pielęgniarka zjawiała się niemal natychmiast. -

Ordynator będzie zadowolony. Jak się pani czuje? - spytała, sprawdzając jej puls i mierząc temperaturę.

- Jestem głodna jak wilk i pić mi się chce.

- To wspaniale. Zaraz coś przyniesiemy. Może trochę wody?

- Wolalabym raczej coca colę - odrzekła Mary Liz, przyglądając się, jak pielęgniarka odłącza jej kroplówkę.

- Colę? Hm, myślę, że da się załatwić. Naprawdę nieźle pani dzisiaj wygląda.

- Kiedy mam szansę wrócić do domu?

371

- Może już jutro? Lekarze pewnie zechcą mieć panią na oku przynajmniej przez jedną noc. Zadzwoń do pani rodziców, że się pani obudziła. I spróbuję znaleźć tę colę. - Wyszła, zostawiając ich samych.

- Sky, nie patrz na mnie... - jęknęła żałośnie Mary Liz. Nagle zachciało jej się płakać. Czuła się jednocześnie taka szkaradna i taka szczęśliwa.

- Dobrze, już dobrze - wyszeptał, próbując ją lekko przytulić.

- Wszystko mnie boli - jęknęła. - Czuję się taka bezradna, brzydka, chora.

- Jesteś piękna, Mary Liz. A chirurg plastyczny, oczywiście przyjaciółka Nancy, zapewniła, że twój wygląd nie ucierpi po tej przygodzie. Nic nie zostało złamane, oprócz nosa, a guz na czole już się zmniejsza. Wszystko się goi...

- Robię się niebieskawozielona, och, co za ulga! - Mary Liz wybuchnęła nagle śmiechem. - Widzisz? Zwariowałam.

- To tylko nerwy, kochanie - uspokoił ją. - i objaw powrotu do zdrowia.

- Kochanie?

- Kocham cię, Mary Liz.

- A ja nawet nie wiem, kim jesteś. - Zamknęła oczy. - Raz Schylerem Prestonem, raz Stephenem Pembroke'iem...

- Kto ci powiedział? - spytał po chwili milczenia.

- A jakie to ma znaczenie?

- Bardzo duże.

Otworzyła oczy. Mówił poważnie.

- Glidden dał Nancy kopię dokumentów twojej... chyba twojej uczelni. Było tam twoje zdjęcie podpisane nazwiskiem Pembroke. I stopień naukowy - doktor praw. Nie jesteś nauczycielem?

Sky siedział ze wzrokiem utkwionym w ścianę. Pociągnęła go za rękę, żeby zwrócić jego uwagę. Wciąż milczał. Wreszcie zwiesił głowę i przemówił:

- A więc się dowiedział.

- Że nazywasz się Stephen Pembroke?

- Nie tylko - odrzekł i popatrzył na nią uważnie. - Przeprowadził małe śledztwo i dowiedział się dokładnie tego, co chciałem, żeby wiedział - że jestem prawnikiem, że nazywam się Stephen Pembroke i że próbowałem cię uwieść, by wywąchać, co wiesz o majątku Hoffmana, ponieważ pracuję dla „Braxer & Braxer”.

- Czy to prawda?

- Jasne, że nie!

- Sky - ścisnęła mocniej jego dłoń - musisz mi wyjaśnić, kim jesteś.

Uśmiechnął się, pocałował ją lekko w czoło i powiedział, przysuwając blisko twarz do jej twarzy:

- Nazywam się Schyler Preston. Owszem, jestem prawnikiem. Nie uczę w szkole, chociaż trenuję wiosną pewną szkolną drużynę. - Umilkł. - Robiłem, co mogłem, żeby cię ostrzec, Mary Liz, nie zdradzając mojej misji.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- Ponieważ nie miałem pewności, czy nie jesteś w to zamieszana.

- Wco?

- W sprawę, nad którą pracuję. Mogłem jedynie ostrzec cię przed Gliddenem - ale nawet wtedy łamałem przepisy.

- Czyje?

- Mary Liz - rzekł z westchnieniem - nawet jeśli nie brałaś aktywnego udziału w machinacjach Gliddena, mógł cię w jakiś sposób wykorzystywać. Przyjechałem tutaj po to, żeby obserwować, tropić, przekazywać raporty. Krótko mó-

373

wiąc, by rozpracować działalność Gliddena i nałapać jak najwięcej ryb do sieci.

- Jesteś z FBI? Pokręcił przecząco głową.

- CIA?

Uśmiechnął się tylko.

- Też nie? To co jeszcze zostało?

- Urząd prokuratora federalnego.

- Och! - Zamknęła oczy. - Buck ubił z tobą pewien interes, tak? Miałeś coś na niego, dlatego udostępnił ci pokój u siebie?

- Nic więcej nie wolno mi zdradzić. I tak moje życie jest w twoich rękach, Mary Liz. Choć nie narzekam z tego powodu.

- Nie miałam pojęcia, że prokuratorzy federalni tak się kamuflują.

- Fakt, rzadko - znów się uśmiechnął. - Żaden z nich nie gra w golfa tak dobrze, jak ja.

- A co byś zrobił, gdyby się okazało, że jestem nieuczciwa?

- Ani przez chwilę w to nie wierzyłem.

- A gdyby jednak? Czy są jakieś przepisy mówiące o sypianiu z wrogiem?

Sky milczał przez długą chwilę.

- Powiem teraz, coś, z czym powinienem poczekać - odezwał się po chwili - być może nawet bardzo długo. Chcę się z tobą ożenić, Mary Liz. Wiem, że mówię to za wcześnie, i nie tak chyba powinna wyglądać ta rozmowa, ale... Potem może nie być okazji. Od pierwszej chwili wiedziałem, że jesteś moją drugą połową...

Mary Liz zamknęła oczy.

- Niezwykły sposób na uniknięcie niewygodnego tematu. Rozmowę przerwała im pielęgniarka.

Przyniosła puszkę

schłodzonej coca coli, szklanek z lodem, banana i jogurt truskawkowy.

- Na razie musi pani zadowolić się tym - powiedziała.

- Obiad będzie za dwie godziny. Aha, pani matka i ojciec już jadą.

- Zatrzymali się u przyjaciół Nancy, tutaj, w Southampton-wyjaśnił Sky.

- Skąd wiesz? Widziałeś się z nimi?

- Tak - odrzekł z uśmiechem. - Spędziliśmy razem kilka godzin dzisiejszego ranka. Wiesz, co się mówi - zanim ożenisz się z córką, poznaj matkę, a dowiesz się, jak będzie wyglądała twoja żona za trzydzieści lat.

- No i co?

- Wspaniale. Twoja matka jest niezwykle atrakcyjną kobietą. Prawdziwa południowa piękność.

Mary Liz wciąż zachowywała się tak, jakby nie było w ogóle żadnej wzmianki o małżeństwie. Trudno jej było przyjąć do wiadomości, że Sky złożył tak jednoznaczną deklarację. Na pewno gadał głupstwa. Znali się w końcu od dwóch miesięcy.

- Amój ojciec?

- No, cóż... prawdę mówiąc, był okropny. Chciał wiedzieć, kim, u diabła, jestem i jakie są moje zamiary wobec ciebie - powiedział Sky, a Mary Liz wybuchnęła śmiechem.

- Odpowiedziałem mu tak: „Nazywam się Schyler Mark Preston, mam trzydzieści pięć lat, urodziłem się w Bostonie, w stanie Massachusetts, i jestem kongregacjonistą.* Skończyłem Middleberry College, moja mama jest nauczycielką, a ojciec emerytowanym pracownikiem przedsiębiorstwa wydobycia ropy naftowej. Mam niewielki domek w Wirginii,

*kongregacjonisci - wywodząca się z kalwinizmu protestancka grupa wyznaniowa (przyp. red.)

375

starego mercedesa, trochę oszczędności i papierów wartościowych. Zakochałem się beznadziejnie w pańskiej córce i próbowałem zrobić wszystko, żeby beznadziejnie zakochała się we mnie i żebyśmy mogli się pobrać za jakiś rok czy dwa." - Znów się uśmiechnął. - Czy wiesz, co powiedział na to twój ojciec?

- Wiem. „To pan nie pracuje?”

- Dokładnie tak!

- Znam go dobrze. - Mary Liz znów się roześmiała. - Co powiedziałaś?

- Że tak, oczywiście, że pracuję i że później usiądziemy razem i wszystko mu wyjaśnię.

- A więc on nie wie o twojej misji. Pokręcił przecząco głową i pochylił się ku niej.

- Nie, kochanie. Ty jedna wiesz cokolwiek. I tak musi na razie pozostać.

Spojrzała mu w oczy, zastanawiając się jednocześnie, jak Sky może patrzeć tak czule w twarz, która mogłaby wystąpić w Halloween na paradzie duchów.

- A gdzie byłeś, gdy rozmawiałam z tobą z automatu?

- W Holandii.

- Naprawdę? Ja też tam byłam.

- Wiem o tym.

- Wdziałeś mnie? Skinął głową.

- W Brukseli też?

- W Brukseli ktoś inny.

- A w Dublinie?

- Nikt. Nim się dowiedziałem, że tam pojechałaś, byłaś już w drodze do Amsterdamu.

- A co z Paryżem?

- Byłem i tam.

376

- Śledziłeś mnie?
 - Raczej pilnowałem.
 - Szpiegowałeś!
 - Jak zwał, tak zwał - zakończył dyskusję. - I leciałem z tobą z powrotem do Nowego Jorku. Klasą turystyczną. Cholera, nigdy sobie tego nie wybaczę. - Podniósł głowę i spojrzał znowu w jej oczy. - Nie połapaliśmy się, Mary Liz. Dopiero gdy Vrensk skręcił z autostrady, zdaliśmy sobie sprawę, że...
 - Westchnął. - Krótko mówiąc, to ja jestem odpowiedzialny za to, co cię spotkało.
 - Nic podobnego, to wszystko moja wina. Sama się pchałam w tę pajęczynę. Spowodowałam panikę wśród tych ludzi, kimkolwiek są. To podobno jakaś mafia. Ale kto pobił ciebie?
 - Rozciąłem czoło o kant drzwi. Jakaś limuzyna rąbnęła w tył mojego kombi.
 - To byłeś ty? - Wlepiała w mego zdumiony wzrok.
 - Musiałem go zatrzymać - wyjaśnił Sky. - Nie miałem pojęcia, co chce zrobić.
 - Dokąd pojechał potem?
 - Nie wiemy. Sprawa nie została jeszcze zakończona. - Skrzywił się. - Postrzelił mnie i nawiął.
 - Postrzelił cię? Gdzie?
 - Tu - Sky pokazał na swoje udo - ale niegroźnie. Najadłem się tylko strachu.
 - Na posterunku powiedziano mi, że na miejscu wypadku nikogo nie było.
 - Bo nie było - potwierdził Sky. - Zadzwoiłem do nich, a potem pobiegłem szukać ciebie. Ale ty potrafisz być szybka, jeśli chcesz.
- Mary Liz uśmiechnęła się, zamykając oczy. Ogarniała ją senność. Sky trzymał mocno jej rękę. Teraz mogła spać bezpiecznie.

W poniedziałek rano wypisano ją ze szpitala i przetransportowano do Wielkiego Domu. Nancy umieściła Mary Liz w dawnym pokoju Denver - obszernej sypialni z widokiem na ocean - kazała podać obfite śniadanie, a później zakazała komukolwiek ją niepokoić.

Teraz Mary Liz spoczywała na ogromnym łożu, wsparta na miękkich poduszkach, obok na podłodze drzemała Ashley, zaś w ustawionym na balkonie fotelu siedział ojciec.

- Podoba mi się nawet ten facet - odezwał się do niej, unosząc wzrok znad krzyżówki.

- Kto? - spytała Mary Liz. - Bertie? Pewnie szaleje właśnie na desce?

Ojciec popatrzył na nią jak na idiotkę.

- Mówię o Schylerze. Martwi mnie jedynie to, że nie ma ochoty powiedzieć czegoś więcej o swojej pracy. - Ojciec podszedł do córki i przysiadł na brzegu łóżka. -Znasz go krótko, Mary Liz, a on twierdzi, że chce się z tobą żenić.

- Ma dobry gust, nie sądzisz?

- Chciałbym, córeczko, żebyś wróciła do domu - ojciec nie zareagował na jej żart.

- Rozmawialiśmy już o tym, tatusiu. Moja odpowiedź brzmi: nie. Jeszcze nie. Mam policyjną ochronę, oprócz tego pilnują mnie Sky, Wendy, Jake i Bertie. Nic mi nie będzie.

378

Muszę zostać z ciocią Nancy i opowiedzieć jej jakoś o tym, co odkryłam.

- Nie zazdroszczę - rzekł z westchnieniem ojciec. - Ale może łatwiej jej będzie znieść te rewelacje, gdy usłyszy je od ciebie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i po chwili głowę do pokoju wsunęła matka.

- Przyszła Claire MacClendon, kochanie, razem z Billem Pfeifferem. Chcą się z tobą przywitać. Nie jesteś zbyt zmęczona?

- Nie, mam, czuję się dobrze. Powiedz, żeby weszli.

- A właśnie, Bill. Uważasz, że dobrze się spisał? - spytał ojciec, szykując się do wyjścia.

- Bardzo. Przygotowuje właśnie końcowy raport.

- Mary Liz! - Claire wniosła do sypialni ogromny kosz kwiatów ze swego ogrodu. - E, wcale nie wyglądasz tak źle

- powiedziała, całując ją w czubek głowy.

- Jeszcze trochę, a całkiem odzyskasz formę - dodał Bill i również do niej podszedł. - Boże, nie mogłem uwierzyć, *gdy* Claire powiedziała mi, co się stało. O, cześć, staruszk!

- przywitał się serdecznie z ojcem i zaraz wyszli obaj na balkon, by zamienić parę słów.

- Okropnie nas wystraszyłaś - powiedziała cicho Claire, przysiadając na brzegu łóżka. Podobnie jak wszyscy (z wyjątkiem Sky'a, Bertiego, Wendy i Jake'a), Claire wiedziała jedynie, że Mary Liz padła ofiarą napaści na tle seksualnym.

- Czy już go złapali?

- Jeszcze nie.

- Nancy wyznaczyła pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody.

- O rety, może mnie uda się go złapać? A co z tobą? Jak wasze sprawy? - Ruchem głowy wskazała stojącego na balkonie Billa.

- Och, po prostu cudownie - rozpromieniła się Claire.
- Bill jest wyjątkowym człowiekiem. - Zarumieniła się lekko. Pięćdziesiąt dwa lata i wciąż się czerwieni. Naprawdę jest zakochana po uszy.

Goście nie zabawili u niej długo, bowiem wkrótce pojawili się agenci FBI, Debbie i Travers, i Mary Liz została sama. Rozmowa, która miała się odbyć, była ściśle tajna.

Zaczęło się spokojnie. Debbie oznajmiła, że uzyskali od niej wystarczającą ilość informacji i prawdopodobnie nie będą jej więcej niepokoić. Przynajmniej do czasu zarnknięcia sprawy. Zapewnili, że Mary Liz nie musi się niczego obawiać, gwarantując jej ochronę, dopóki nie schwytają Ivora Vrenska.

Jednak Mary Liz chciała wiedzieć więcej.

- Zaraz, zaraz!-rzekła rozzłoszczona, siadając na łóżku.
- Nie ma mowy, żebyście zniknęli, nie mówiąc mi o tym, kto założył podsłuch w moim domu!
- Możemy tylko powiedzieć, że były trzy różne podsłuchy. Jeden z nich założył Herbert Glidden.
- Wiedziałam. A „Braxer & Braxer“?
- Nie-pokręciła głową Debbie.
- Wobec tego kto?
- Na razie naprawdę będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie poznasz nazwiska drugiej osoby. Chodzi o twoje bezpieczeństwo. Mogę ci jeszcze tylko zdradzić - właściwie po to tu przyszliśmy - że ta trzecia grupa to my, FBI.
- Co takiego?! - wykrzyknęła Mary Liz, tracąc panowanie nad sobą.
- Mielśmy nakaz sądowy, wszystko było zgodnie z prawem. Pewne fakty wskazywały na to, że jesteś zamieszana w przestępstwa federalne. -
- I nie powiecie mi o tych, którzy naprawdę je popełnili? Którzy założyli u mnie nielegalny podsłuch?

380

- Przykro mi-powiedziała Debbie.

- Rozumiem. Wolno powiedzieć o nieboszczyku, nie wolno o żywych. To oni próbowali mnie zabić, prawda?

- Przykro mi - powtórzyła Debbie.

- Wynoście się stąd! - krzyknęła Mary Liz, teraz już kompletnie wytrącona z równowagi.

Ashley wskoczyła na łóżko, osłaniając ją swoim ciałem i ujadając zaciekle na agentów. Oboje popatrzyli na siebie i ruszyli w kierunku drzwi. Debbie odwróciła się jeszcze, by powtórzyć po raz trzeci:

- Naprawdę bardzo nam przykro, Mary Liz. I jesteśmy ci ogromnie wdzięczni...

- Wynocha! - wrzasnęła znów Mary Liz. Ashley szczekała już jak szalona, skacząc po całym łóżku. Lada chwila mogła się na nich rzucić.

Zaniepokojeni hałasem, w drzwiach pojawili się Jake oraz ojciec. Mary Liz wyskoczyła z łóżka, przebiegła przez pokój i wrzasnęła histerycznie:

- Idźcie sobie! Idźcie! Wynoście się wszyscy! Chcę zo-stać sama!

Zatrzęsła drzwi i zamknęła je na klucz. Potem wróciła do łóżka, wtuliła się w poduszkę i wybuchnęła płaczem.

Cóż, pomyślała później, środki przeciwbólowe nie wyzwalają we mnie najlepszych instynktów.

Następne dni przyniosły poprawę stanu jej zdrowia. Rodzice niechętnie wrócili do Winnetka, Nancy musiała pojechać do Los Angeles na spotkanie z Juliusem i prawnikami oraz zarządem „Howland Films”, a Debbie Cole i jej partner nie pojawili się już więcej w Wielkim Domu.

Mimo to Mary Liz nie cierpiała na brak towarzystwa. Odwiedzali ją Claire, Jeanine, Vanessa. Wpadła nawet Isabele Lemieux, by pożyczyć jej automat do gry w brydża bez partnerów (choć Mary Liz nie sądziła, by kogokolwiek mogło to bawić).

Sky spędzał z nią każdą wolną chwilę, Sasha przychodziła codziennie, przynosząc najrozmaitsze emulsje o ohydnych zapachu, zdrową żywność, kryształki oraz inne przedmioty

o magicznych właściwościach uzdrawiających. Pewnego dnia śpiewała jej nawet do snu kołysanki!

W piątek przyjechała z Manhattanu Rachelle Zaratan

i dotrzymywały towarzystwa Mary Liz wraz z Sashą i Wendy.

Sky mieszkał nadal u Buckleyów, w pokoju nad garażem, i udzielał się w klubie rankami, natomiast koło południa znikał gdzieś i zwykle zjawiał się u boku Mary Liz wieczorem. Nigdy nie pytała go, co robi - taką zawarli umowę.

Vanessa wspomniała kiedyś mimochodem, że miasto plotkuje na temat tego, co łączy ją ze Sky'era. Jednak wiadomo-

ścią tygodnia, która ucieszyła wszystkich, było umorzenie śledztwa przeciwko Bertiemu Hoffmanowi.

Tak, policja miała świadków, którzy potwierdzili, że w tamtą fatalną sobotę Bertie wybiegł jak szalony z posiadłości w poszukiwaniu Herba. Tak, świadkowie pamiętali, jak odgrażał się, iż załatwi Gliddena raz na zawsze. Tak, miał motyw, by go zabić, i wreszcie - świadkowie widzieli go na przystani po północy, wypływającego motorówką w morze.

Wszystko to jednak były tylko poszlaki. Żadnych niezbitych dowodów nie było. Nie znaleziono przedmiotu, którym uderzono Gliddena w głowę, ani też strzykawek po narkotyku.

- A co ludzie mówią na temat tego motywu, który miał Bertie? - spytała Mary Liz Wendy, która relacjonowała jej te rewelacje.

Wendy wydawała się poruszona tym pytaniem.

- Ach, więc jednak się dowiedziałas, prawda? - spytała Mary Liz. - Co powiedziała wtedy Nancy Bertiemu? Co go wprawiło w taką wściekłość?

-Wendy milczała.

- Posłuchaj, wiem gorsze rzeczy o Alfredzie, niż ktokolwiek byłby w stanie uwierzyć - zapewniła ją Mary Liz. - Jeśli więc Bertie myśli, że cokolwiek, co dotyczy jego ojca lub Gliddena, może mnie zdziwić...

- Nie chodzi o jego ojca - wyjaśniła Wendy.

- O Nancy? - domyśliła się Mary Liz, a Wendy skinęła głową.

- Bertie powiedział, że Glidden ją dręczył, pomiatał nią, chciał ją zmusić, by go błagała o zachowanie dyskrecji w pewnej sprawie.

- Jakiej?

- To nie ma nic wspólnego z majątkiem, Mary Liz.

383

- Ale ma coś wspólnego ze mną, prawda? Podśledzałam waszą rozmowę z Bertiem.

- Wobec tego będziesz musiała porozmawiać o tym z panią Hoffman. - Obie wiedziały doskonale, że pani Hoffman nadal jest w Kalifornii. - A teraz muszę już iść, mam kilka spraw do załatwienia.

- O, nie! Nie ma mowy! - Mary Liz zerwała się i zagroziła jej drogę. Chwyliła Wendy za rękę i posadziła ją w fotelu. - Musisz mi powiedzieć!

- Nie mogę!

Mary Liz otworzyła drzwi sypialni i zawołała głośno przez cały hol:

- Bertie!

- Czego chcesz? Jem kanapkę! - odkrzyknął z dołu.

- Chodź! Jesteś potrzebny!

Po chwili w drzwiach stanęli Bertie i Jake. Bertie miał na sobie kąpielówki i klapki, a Jake dzinsy i roboczą koszulę.

- Nie dokończę inwentaryzacji majątku, jeśli nie dowiem się, co powiedziała ci matka tamtej nocy, gdy został zamordowany Glidden. Wiem, że to z tego powodu wybiegłeś go szukać.

Bertie spojrzał na Wendy z surową miną. Rozłożyła ręce w bezradnym geście.

- Mówię poważnie, Bertie. Mam przecież prawo wiedzieć, prawda? Wiesz, że to mnie dotyczy.

Bertie znów popatrzył na Wendy, potem na Jake'a. Jake wzruszył ramionami.

- Nie chcę ci sprawić przykrości - odezwał się cicho. - Naprawdę nie ma potrzeby do tego wracać.

Przysięgam.

- To moja decyzja, Bertie. Cokolwiek powiedział Glidden twojej matce, ma to związek ze mną. Muszę wiedzieć.

Bertie sprawiał wrażenie człowieka, któremu przyłożono nóż do gardła.

- Jeśli matka się dowie, że ci powiedziałem, nie przeżyje tego. Nie będzie ci mogła spojrzeć w oczy. A jeśli ją znienawidzisz, złamiesz jej serce.

- Znienawidzę ją?

Bertie pokiwał głową. Wendy również. Nawet Jake zdawał się mieć jak najgorsze przeczucia.

No więc Glidden - zaczął mówić Bertie - zagroził matce, że zdradzi ci coś, co zdarzyło się wiele, wiele lat temu...

Cisza.

- Wiąże się to z twoimi rodzicami... Serce zaczęło jej walić niespokojnie.

- Matka zrobiłaby wszystko, żeby go powstrzymać... Bo ona cię kocha... I wiesz, co czuje do twojej matki, od jak dawna się przyjaźnią...

- Mów - zażądała Mary Liz.

- Moja matka zakochała się w twoim ojcu. Ciemność przed oczami. Zemdleje? Nie, już nie.

- Czy chcesz powiedzieć, że mieli romans?

- To było przeszło dwadzieścia lat temu. Twoja matka wyrzuciła go z domu.

Mary Liz wiedziała dokładnie, kiedy mogło się to zdarzyć - gdy ojciec dojeżdżał do pracy w Los Angeles. Rzeczywiście, nie mieszkał z nimi kiedyś przez całe wakacje. Mary Liz miała wówczas chyba dwanaście lat.

Rodzice wyjaśnili jej wtedy, że ojciec musi wyjechać na dłuższy czas z powodu pracy. Potem mama zabrała ich na całe lato do letniego domku w Kanadzie. Ojciec dzwonił, ale ani razu się nie pokazał.

Gdy wrócili do Winnetka, był z powrotem. I odtąd tak było już zawsze.

- Matka wpadła w histerię, gdy Glidden zaczął ją szantażować - opowiadał Bertie. - Przede wszystkim nie chciała, żebyś źle myślała o ojcu. Wini za wszystko siebie, twierdzi, że twoi rodzice przeżywali wtedy trudny okres...

Tak było. Brat Mary Liz przeszedł rok wcześniej zapalenie opon mózgowych, gdy zaś zaczął wracać do zdrowia - jak na ironię - rodzice zaczęli się kłócić. A potem ojciec podjął pracę w Los Angeles. Gdy wieczorem wybrała się na spacer brzegiem morza ze Sky'em i Ashley, opowiedziała mu o wszystkim. Trochę popłakała, przede wszystkim jednak wygadała się, próbując uporządkować swoje uczucia i podejść do wszystkiego rozsądnie. Wiedziała jednak że potrzebuje trochę czasu, by wszystko przetrwać.

Nie była pewna, czy kiedykolwiek przyzna się rodzicom, że wie o ich dawnym kryzysie. Romans z najbliższą przyjaciółką matki!

Sky starał się na sprawę patrzeć rozsądnie. Romans, zdrada, kłótnie - to wszystko miało miejsce przeszło dwadzieścia lat temu. A przez następne dwadzieścia lat małżeństwo rodziców było bardzo szczęśliwe, czy nie tak?

Tak, odpowiadała Mary Liz. Ale dlaczego zawsze udawali przed nią wzorowych rodziców?

Jak to udawali, protestował Sky. Czy nie byli dobrymi rodzicami, którym udało się ochronić dzieci przed skutkami tego, co się stało? Byli oddani dzieciom i sobie nawzajem i potrafili uratować rodzinę od rozpadu.

Rzeczywiście. Przede wszystkim matka - to ona zachowała się wspaniale, okazała wielkoduszność i uchroniła dzieci od rodzinnych nieszczęść.

Nazajutrz Mary Liz przeniosła się z powrotem do domku, a Sky razem z nią. Ponieważ Nancy wciąż bawiła w Los Angeles, Ashley też tam zamieszkała.

Sky zadomowił się u niej bez kłopotu. Spali razem (och, całkiem nowe doświadczenie - kto śpi na którym boku, kiedy i jak zmienić pozycję), nie kochali się jednak, albowiem Sky twierdził, że wciąż jest rekonwalescentką, że mają mnóstwo czasu i że nie muszą się śpieszyć.

Mary Liz była szczęśliwa. To wszystko jest takie piękne, myślała, że chyba nie może być prawdziwe. Ale nie tylko ona jedna przeżywała cud tego lata. Romans Claire i Billa wyraźnie nabierał rumieńców. Pewnego dnia Claire powiedziała coś, co pozwoliło Mary Liz myśleć, że tych dwoje sypia ze sobą. Patrząc na nich, zwłaszcza na Claire, trudno byłoby zresztą przypuszczać, że jest inaczej.

Jeanine przychodziła codziennie na tenisa i zawsze wpadała, żeby się przywitać. Mary Liz nie wątpiła w jej szczerą troskę, ale była też pewna, że Jeanine sprawdza przy okazji, czy nie dotarły jakieś wieści na temat „Howland”. Nieodmiennie pytała ją, kiedy wracają Julius i Nancy, na co Mary Liz nieodmiennie odpowiadała, że nie wie.

Julius nie był w East Hampton od czasu przyjęcia poświęconego pamięci Alfreda Hoffmana.

Podobnie zresztą Charles Kahn, mąż Rachelle, oraz Claude Lemieux, który bawił podobno we Francji z wizytą u matki.

Randolph Vandergilden wyjechał do Napa Valley na aukcję win i opóźniał swój powrót. Gdzie zaś jest w tej chwili Henry MacClendon, Mary Liz nie miała pojęcia. Nikt zresztą o nim nie wspominał. Buck był jedynym członkiem pokerowej paczki Alfreda, który nie opuszczał East Hampton od śmierci Gliddena.

Interesujące...

- Czy sądzisz, że Nancy wie o Bertiem? - spytał Sky Mary Liz. Po wielokrotnych zapewnieniach, udało mu się ją wreszcie przekonać, że może się pokazać publicznie bez obawy, że przestraszy ludzi. Wolność smakowała wspaniale, jedzenie w restauracji również. Do tej pory tylko raz opuściła rezydencję, żeby odwiedzić lekarza w Southampton.

- Nie jestem nawet pewna, czy ja sama wiem o Bertiem - oświadczyła Mary Liz. - Wszyscy udają, że niczego nie widzą. Nawet Wendy nie wspomniała o tym ani słowem, a ja nie miałam odwagi, by zapytać, czy Bertie i Jake są razem.

- Lubię Jake'a. To dobry człowiek.

- Z pewnością ciocia Nancy nie będzie myślała w nieskończoność, że Wendy jest dziewczyną Bertiego.

- Widzi to, co chce widzieć.

- Myślę, że on sam musi matce wyjawić prawdę. Porozmawiam z nim o tym - postanowiła. - Wiesz, to śmieszne. Jediną szansą tej rodziny jest, by pozbyła się wszystkich tajemnic.

- Tajemnic? - spytał Sky, unosząc brwi. - Są jeszcze jakieś tajemnice?

Czy ma wyjawić mu wszystko, czego się dowiedziała? Nie, nie będzie prała rodzinnych brudów, nawet jeśli to Sky.

Oczywiście, mógł już o wszystkim wiedzieć - że Hoffman był erotomaniakiem, gwałcicielem, że ma we Francji syna - ona jednak nie zamierzała tego potwierdzić. Nie powie też o porno filmach - nikomu, tylko Nancy. To ona będzie musiała podjąć trudne decyzje.

- Wiesz coś o córce Nancy? - spytał Sky, jak gdyby domyślił się jej rozterek i celowo zmienił temat.

- Denver? Gra w serialu telewizyjnym.

- Nigdy tu nie bywa.

- Pracuje-wzruszyła ramionami.

- Claire mówi, że nie zaglądała od trzech lat.

- Doprawdy?

388

- Tak. Spotkałem Claire dzisiaj w klubie. Grała z Billem.
- Ciekawe, czy się pobiorą
- Claire i Bill? - spytał z niedowierzaniem, jak gdyby powiedziała coś bardzo dziwnego.
- Oczywiście. Widzisz w tym coś złego?
- Nie, ale... - Odłożył na chwilę sztucce.
- No nie, tylko mi nie mów, że jesteś jednym z tych facetów, którzy gorszą się, gdy mężczyzna jest młodszy od kobiety.
- Ależ skąd - zapewnił ją Sky, patrząc w zamyśleniu w talerz. Po chwili jednak znów wziął widelec do ręki i zaczął jeść.

30

W sobotę od samego rana Mary Liz była radośnie podniecona. Przestała już przypominać upiora i wybierała się do miasta ze Sky'em i całą paczką. Wcześniej Sky pojechał do klubu, ona zaś wydrukowała oficjalne sprawozdanie z inwentaryzacji majątku Hoffmana.

Była z siebie ogromnie zadowolona. Sprawozdanie było zwarte, przejrzyste, ładne graficznie.

Oficjalnie wartość majątku Alfreda Hoffmana wynosiła sto dziewięćdziesiąt jeden milionów sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, przed opodatkowaniem.

Oczywiście nie był to cały pozostawiony przez niego spadek. Według nieoficjalnego załącznika, który Mary Liz trzymała w osobnej teczce, jego wartość była wyższa o siedemnaście milionów dolarów, stanowiących dochód z zakamuflowanej wytwórni filmów pornograficznych w Holandii, oraz milion czterysta tysięcy dolarów oszczędności w Europie, z których „Cinema Seis” wypłacało renty wdowie po francuskim pracowniku aprowizacyjnym, nieślubnemu synowi Alfreda i jego matce.

Zgodnie z ostatnią wolą Alfreda, mniej więcej sześćdziesiąt pięć procent łatwo zbywalnych aktywów przypaść miało jego żonie (nieco ponad sto dwadzieścia cztery i pół miliona dolarów, nie licząc ukrytych aktywów); piętnaście procent Juliusowi (*ponad* dwadzieścia osiem milionów siedemset ty-

sięcy dolarów); po pięć procent w funduszach powierniczych dzieciom Juliusa, córce Denver oraz synowi Bertramowi (dla każdego po ponad dziewięć i pół miliona dolarów). Denver i Bertie mieli otrzymać po śmierci matki kolejne dziesięć procent.

Łatwo było policzyć, że po zapłaceniu podatków Nancy miała dysponować sumą ponad osiemdziesięciu sześciu milionów dolarów. Mary Liz wiedziała, że ciotka planuje przeznaczyć czterdzieści milionów na cele dobroczynne poprzez fundację pamięci Alfreda Hoffmana, a resztę zachować dla siebie.

W kręgach East Hampton nie była to zresztą największa fortuna. Było tu kilkunastu artystów i czarodziejów z Wall Street, których stać było na przykład na spektakularne darowizny w wysokości od pięćdziesięciu do stu milionów dolarów, wypłacane w celu zapewnienia sobie rozgłosu i wysokiej pozycji społecznej.

Mary Liz zdawała sobie sprawę, że właściwie ulokowana czterdziestomilionowa darowizna może przynosić zyski po wieczne czasy. Gdyby zaś Nancy powiodły się osobiste inwestycje, bez wątpienia zadysponowałyby więcej na cele fundacji po swojej śmierci. Z tylko jej znanych powodów ciotka była zdecydowana wykorzystać talent, ciężką pracę i majątek męża dla poprawy losu potrzebujących.

Czy to nie ironia losu, nie niezwykle zrzędzenie opatrności?

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie grzechy i grzeszki patrona szlachetnej fundacji. Gdyby zaangażowanie Alfreda Hoffmana w przemysł pornograficzny wyszło na jaw, media nie przepuściłyby takiego skandalu. A przecież „Braxer & Braxer” najprawdopodobniej wiedzieli o amsterdamskiej wytwórni, w końcu jeden z Braxerów kiedyś ją zakładał.

Jaką strategię obiorą? Będą chcieli zataić jej istnienie i przywłaszczyć ją sobie? Jak wówczas zachowa się Julius i reszta rodziny Hoffmanów, oczywiście, o ile Nancy wtajemniczy ich w całą sprawę? Co odpowiedzą im ich prawnicy? W końcu to siedemnaście milionów!

A jeszcze przecież wchodzi w grę ewentualne roszczenia Marka Bresseau. Mary Liz była pewna, że badania łatwo dowiodą, iż chłopak jest biologicznym synem Alfreda. Jeśli Hoffmanowie to uznają i wykażą dobrą wolę, informując matkę i dziecko, kim naprawdę był jego ojciec, ryzykują, że sąd zmusi ich do zmiany podziału spadku.

Oczywiście, mogli też wcześniej „kupić” prawa Marka do majątku, ofiarowując mu dużą kwotę za zrzeczenie się tych praw i Ucząc na to, że jego naiwna matka nie dowie się nigdy, jakie naprawdę sumy wchodziły w grę.

Niezależnie jednak od tego, jak się potoczą te sprawy, Nancy musi najpierw poznać prawdę o swym mężu. Im prędzej, tym lepiej - powinna przecież przemyśleć wszystko, poradzić się kogoś i zdecydować, którą wersję sprawozdania chce mieć i komu ma ją pokazać. Przede wszystkim zaś musi mieć czas, by otrząsnąć się z szoku.

Ktoś zapukał do drzwi. Ashley puściła się przez korytarz z głośnym szczekaniem. Mary Liz pobiegła za nią i otworzyła drzwi.

- Masz chwilę? - Na progu stała Wendy, potargana i przygnębiona, co było dla niej raczej niezwykłe.

- Jasne. Wejdz. Miałam właśnie zaparzyć kawę.

- Nie, dzięki - odrzekła niepewnie Wendy, wchodząc do środka. - Muszę po prostu z kimś pogadać. - Sprawiała wrażenie tak nieszczęśliwej, że Mary Liz zrezygnowała z kawy i usiadła obok niej na kanapie.

- Co się stało?

- Muszę ci coś wyznać, Mary Liz... - Wendy roześmiała się ironicznie. - Może wtedy zrozumiesz moje zdenerwowanie.

Jednak zamiast zapowiedzianego wyznania Mary Liz usłyszała jedynie ciche chlupanie. Wendy nie mogła wydusić z siebie słowa, ocierała tylko łzy chusteczką.

- Jeśli chodzi o twój obecny związek - odezwała się Mary Liz - to nie musisz niczego mi tłumaczyć. Wiem o nim. Twoje preferencje nie przekreślają przecież naszej przyjaźni.

- Skąd wiesz? - Wendy popatrzyła na nią spłoszonym wzrokiem.

- Widziałam cię kiedyś z Vanessą. Oczywiście przez przypadek.

Mary Liz myślała, że Wendy umrze z zakłopotania. Zwykle chłodna, spokojna i opanowana, teraz ukryła twarz w dłoniach. Szanując jej uczucia, Mary Liz śpiesznie zapewniła, że ma wśród przyjaciółek wcale nie mało lesbijek.

- No cóż, to i tak nie ma już znaczenia - westchnęła Wendy. - Vanessa oznajmiła mi dziś rano, że zakochała się w jakimś facecie od reklamy. Nie kocha Bucka i nie kocha mnie, tak powiedziała. I to po całej nocy.

- Chcesz powiedzieć, że spała z tobą, a rano poinformowała cię, że jest zakochana w kimś innym? Wendy bez słowa skinęła głową.

- Może nie zdążyła jeszcze połknąć porannej garstki pigułek? - spytała Mary Liz z sarkazmem.

Wiedziała, że jest niedelikatna, ale było jej wszystko jedno. Vanessa zraniła jej przyjaciółkę. - Ale może też zanim je wzięła, miała chwilę jasności umysłu i uświadomiła sobie, jak wielką krzywdę ci wyrządza - dodała szybko. - Tak, uświadomiła sobie, że jeśli naprawdę cię kocha, to powinna poz-

wolić ci odejść. Że nie ma prawa traktować cię jak letnią przygodę. Bo chyba nie myślisz, że byłaś pierwsza, Wendy?

- Nie, ale byłam pierwszą kobietą! - Łzy kapały z jej oczu, a Wendy nie próbowała nawet ich ocierać.

- Wiem, że ci na niej zależy, ale choć to brzmi okropnie, to moim zdaniem nie powinnaś czuć się zdradzona. Nie wierzę, że Vanessa zakochała się w kimś innym, ponieważ nie sądzę, żeby była zdolna do głębszych uczuć. Przykro mi, ale tak jest. Ona jest chora.

- Wiem, jest lekomanką, nic na to nie poradzę! - wybuchnęła Wendy, kryjąc znów twarz w dłoniach. Kto by pomyślał! Inteligentna, atrakcyjna, młoda i wybitnie zdolna kobieta uganiania się za czterokrotną mężatką i lekomanką, która nigdy przedtem nie skosztowała miłości lesbij-skiej. Pierwsza odkryła pewnie w sobie drugą naturę, druga chciała zakosztować jeszcze jednej przygody, zapisać w pamiętniku wrażeń kolejne, nowe, jeszcze bardziej ekscytujące i jeszcze bardziej niezwykle.

Ech, czy to East Hampton było takie, czy cały świat zatracił się w gonitwie wciąż nowych doznań, nie bacząc na to, że istnieje coś takiego jak cudza krzywda, własna wina, odpowiedzialność i grzech?

W każdym razie ona, Mary Liz, wierzyła, że jest zdolna do miłości trwałej, wyłącznej, jedynej i szczerzej; miłości, która będzie płonąć przez wiele, wiele lat.

Czy to nie pycha tak uważać? - pytała sama siebie.

Nie, odpowiadała, to święte prawo zakochanych.

Instynkt zaś podpowiadał jej, że Sky myśli podobnie.

Spojrzała jeszcze raz na zapłakaną Wendy i postanowiła, że za wszelką cenę musi wyciągnąć ją z rozpacz. Ta dziewczyna naprawdę na to zasługuje!

Mary Liz przeprosiła ją na kilka minut i wyszła do swojego gabinetu.

Poszukała nazwiska przyjaciółki w swoim notesie, a potem wystukała jej numer na klawiaturze telefonu.

- Lucy? Cześć, mówi Mary Liz... Tak. W East Hampton. Wiem, przepraszam cię bardzo, to naprawdę zwariowany pomysł... ale dzwonię właśnie teraz! - Śmiech. - Posłuchaj, wiem, że to głupio tak w ostatniej chwili, ale jest właśnie u mnie nadzwyczaj inteligentna i atrakcyjna kobieta, która rozpaczliwie potrzebuje towarzystwa wspaniałej dziewczyny... Tak? Cóż, ja nie... To moja przyjaciółka, Wendy. Nie, Lucy, posłuchaj, atrakcyjna to zbyt słabe określenie, ma około trzydziestki, jest bystra, utalentowana, no i przepiękna. Jak to, czy starcza jej na rachunki za światło? Jasne, jest samodzielna i dobrze sytuowana! Prywatny detektyw... Nie, prawdziwy. Pracuje przeważnie dla wytwornego towarzystwa... Czemu jest jeszcze wolna? Ja też jestem wolna! - Westchnienie. - Boże, ależ trudno cię zadowolić...

W dziesięć minut później Mary Liz wróciła do salonu.

- Spotykamy się dziś wieczorem z moją przyjaciółką w Nowym Jorku - oświadczyła.

- Dziękuję ci, Mary Liz, ale nie - odparła Wendy. - Mam ochotę wczłgać się do łóżka i pozostać tam do końca życia.

- Niestety, nie możesz - powiedziała Mary Liz, opadając na kanapę. - Idziesz na kolację.

Wkrótce po wyjściu Wendy, w drzwiach Mary Liz stanął Bertie.

- Wendy powiedziała mi, że już o niej wiesz.

- Wejdz, proszę.

- Nie, to zajmie tylko chwilę. - Uśmiechnął się. - Chciałem tylko spytać, czy o mnie również wiesz.

395

- Czemu mi po prostu nie powiesz, Bertie? Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda?

- Mam nadzieję. W takim razie mówię to oficjalnie - jestem gejem. Proszę cię tylko, nie mów mamie. Strasznie by ją to przygnębiło.

- Myślisz, że nic nie podejrzewa?

- Cóż... - głos mu się załamał. - Czemu miałyby podejrzewać?

- Ponieważ jest twoją matką. Zastanów się, czy nie powinienes jej o tym powiedzieć, Bertie.

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

- Czy sądzisz, że nie robiłem tego przez ostatnie piętnaście lat?

W południe Mary Liz ubrała się tak, aby spodobać się Sky'owi - w prostą bawełnianą białą suknię bez rękawów, przepasaną błękitną szarfą, białe sandały i duży biały słomkowy kapelusz, również z błękitną wstążką. Rok temu była z matką na wyścigach w Saratoga Springs, gdzie matka kupiła jej ten strój, uważając go za nader odpowiedni na letnie okazje. Mary Liz czuła się w nim doskonale i uważała go za bardzo kobiecy. Obawiała się tylko, czy nie wygląda w nim trochę zbyt „południowo” jak na kobietę z Chicago.

Gdy Sky ujrzał ją po raz pierwszy, gwizdnął z zachwytem na jej widok.

- Wyglądasz bajecznie, kochanie. - Uśmiechnął się, po czym wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. - Szkoda, że musimy jechać. Obiecaliśmy Bertiemu, prawda?

- A co byśmy robili, gdybyśmy nie musieli? - Otoczyła ramionami jego szyję i musnęła wargami usta. Odskoczyli od siebie, słysząc klakson samochodu. Uśmiechnęli się ze zmieszaniem, wygładzili ubranie, po czym wy-

szli na zewnątrz, gdzie czekał już na nich Bertie i reszta towarzystwa. Wszyscy razem pojechali oglądać zawody w polo.

Mary Liz była zachwycona i szczęśliwa. Po pierwsze dlatego, że znała i lubiła polo, ponieważ Ken uprawiał ten sport. Po drugie zaś - z powodu tego, że minął wreszcie wymagany czas rekonwalescencji i mogła na dłużej wychodzić z domu.

Ośmioosobowa loża, którą mieli do dyspozycji, mieściła się na samym szczycie trybuny i zapewniała zarówno doskonały widok, jak i bezpieczeństwo (niżej siedzący widzowie obrywali co chwila piłeczką). Weszli po schodkach na górę i zastali tam już Claire, Billa oraz Jeanine.

Mary Liz usiadła obok Billa.

- Skończyłam dziś rano inwentaryzację - powiedziała.

- Ale nie włączyłaś do niej swoich odkryć?

- Nie. Zaczekam, aż zostaną podjęte odpowiednie decyzje.

- Bardzo rozsądnie. Kiedy wraca Nancy?

- Chyba dziś wieczorem. Mam przynajmniej taką nadzieję.

- Ja również. Chciałbym wreszcie zakończyć swoją robotę i przekazać wszystko twojemu ojcu.

- Hej - powiedział Sky, pochylając się ku Billowi - dałeś parę dni temu niezły pokaz gry w golfa.

Powiedziałem Buckowi, że powinien cię zachęcić do gry w tutejszym klubie.

- Jeśli ufunduje mi stałe stypendium - roześmiał się Bill. - Nie mam luźnego miliona dolarów.

- Ja też nie - powiedziała Claire. - Buck wpisuje mnie czasem na listę gości. A Sky ma rację. Gdy wróci do Wirginii, Buck będzie potrzebował nowego „partnera do gry”.

Uroczystość otwarcia była nudna i Mary Liz zaczęła rozglądać się po trybunach. Po lewej stronie poniżej dostrzegła

397

Henry'ego MacClendona i jego młodą żonę, która była już zupełnie szczupła i nie znać było po niej, że niedawno urodziła dziecko. Natomiast Henry wyglądał po prostu staro.

Mary Liz pomyślała o tamtej nocy, gdy przyszedł do Claire, i zrobiło jej się go żal. Musiał mieć teraz trudne życie, nikt wokół niego nie skakał, za to on musiał skakać wokół innych.

Cóż, sam wybrał.

31

Popołudnie było duszne i parne, toteż po meczu Mary Liz musiała rozpocząć wszystko od początku - prysznic, mycie włosów, świeży makijaż, nowy strój. Czekala ją przecież podróż do Nowego Jorku. - Nie martw się, Sky - mówiła, kończąc układać włosy. - Bertie nas zawiezie, zjemy kolację z Lucy, wypijemy kilka drinków, a potem wrócimy do domu. Mówiłam ci, że byłbyś mile widziany, ale nie jestem pewna, czy dobrze byś się tam czuł.

Sky pokiwał głową. Gdy poinformowała go wcześniej, że zabiera Wendy do damskiego baru w Nowym Jorku, by poznać ją ze swoją dawną przyjaciółką - także lesbijką, powiedział tylko:

- Och! - potem spytał: - Wendy? - a potem znów westchnął - och... - najwyraźniej porażony tą wiadomością.

- Miał jechać z nami Jake - mówiła teraz Mary Liz - ale ktoś musiał odebrać ciocię Nancy z lotniska.

- To co będzie robił Bertie? Nie idzie z wami do tego baru, prawda? Zdaje się, że mu nie wolno...

- Oczywiście, że wolno - odrzekła, zarzucając mu ramiona na szyję. - To wolny kraj. Bertie będzie się jednak bawił po sąsiedzku, w męskim barze. - Pocałowała go. - Serio, gdybym bała się tam jechać, powiedziałabym ci o tym bez wahania. Możesz spokojnie pograć z kumplami w pokera.

- Mhm. Powiedz tylko któremuś ochroniarzowi, że **się** gdzieś wybierasz.

- Chyba powiadomił już ich Bertie, ale dobrze, upewnię się.

Nagle poczuła nieprzyjemny dreszcz. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, żeby się obawiać, iż stanie się czyimś celem w wielkim mieście. Skąd ktoś miałby wiedzieć, że tam jest?

Sky miał jednak rację. Lepiej dmuchać na zimne i wtajemniczyć we wszystko FBI.

Wendy zeszła po stopniach werandy punktualnie o szóstej. Miała na sobie dżinsy, beżowe chodaki, białą bluzkę z gołymi plecami i przewieszoną przez ramię beżową lnianą marynarkę. Wyglądała wspaniale - opalona, szczupłe ramiona i nogi, rozjaśnione od słońca włosy podkreślające błękit oczu.

Lucy przeżyje wstrząs.

Wsiedli do Range Rovera i ruszyli w drogę. Zamiast jednak jechać, jak się spodziewała, drogą numer 27, Bertie skręcił na drogę dojazdową do lotniska. Mary Liz myślała z początku, że to jakiś skrót, myliła się jednak. Jechali prosto do lądowiska dla samolotów.

- Bertie, zwariowałeś? - powiedziała Wendy. - Szkoda pieniędzy.

- E, tam. Mary Liz nigdy tego nie robiła. Możemy się przelecieć. Każdy powinien spróbować przynajmniej raz.

- Przelecieć? - spytała Mary Liz.

- Mam nadzieję, że nie cierpisz na lęk wysokości - wyjaśniła Wendy i wskazała na czteroosobowy, przeszklony helikopter - ponieważ to jest właśnie nasz środek lokomocji.

Mary Liz ogarnął nagły niepokój. Nie, nie miała lęku wysokości, ale bała się śmierci - a przecież gdyby maszyna zawiodła, spadliby wszyscy na ziemię i rozbili się jak Alfred.

400

- Spodoba ci się, Mary Liz, zobaczysz - obiecał Bertie, wyskakując z samochodu. - Obejrzysz linię brzegową Long Island o zachodzie słońca. Super!
 - A jeśli silnik przestanie pracować, to wpadniemy do wody, prawda? - spytała, gramoląc się z tylnego siedzenia.
 - Jasne, ale nie martw się. To znacznie bezpieczniejsze, niż myślisz.
 - Nie martw się! - powtórzyła nie przekonana.
 - O rany, to naprawdę wspaniałe przeżycie! Pogoda jest przepiękna, nie ma wiatru. Za godzinę będziemy na Manhattanie.
 - A jak wrócimy do domu? - spytała Mary Liz po drodze z parkingu do hangaru. - Może powinnam kupić spadochron?
 - Zamówiłem samochód - odrzekł Bertie. - W nocy nie powinno być dużego ruchu.
 - Zaraz, zaraz, a co z moim agentem? Czy FBI wie o naszym locie?
 - Załatwione. Będą się kręcić w pobliżu restauracji, żeby riuścić oko na wszystko.
- Bertie poszedł podpisać jakieś papierki, a następnie przywołał towarzyszkę gestem dłoni. Gdy ruszyli w stronę helikoptera, z przeciwnej strony pomachał im dłonią jakiś mężczyzna z torbą podróżną przewieszoną przez ramię i ciężką walizką na kółkach.
- O, cześć, Charles! - powitał go Bertie. - Czyżbyś właśnie przyleciał?
 - Wreszcie w domu! - westchnął z ulgą Charles Kahn. - Byłem przez kilka tygodni w objeździe z nową kolekcją Rachelle. Słyszałem, że sporo się tu działo. - Spojrzał na Mary Liz i zrobił pełną współczucia minę. - Strasznie mi było przykro, gdy usłyszałem, co ci się przydarzyło, dziecin-

401

ko. Ale wyglądasz świetnie. Rachele mówiła, że było ci okropnie, lecz trzymałaś się dzielnie. Złapali już tego faceta?

- Jeszcze nie - odparła Mary Liz.

- Nie wiem, co mógłbym dla ciebie zrobić, ale jeśli przy-szłoby ci coś do głowy, daj mi znać.

- Dzięki.

Pokiwał jeszcze głową ze współczuciem, po czym spytał Wendy:

- Co tu robicie?

- Lecimy na Manhattan, na kolację.

- Helikopterem? Dokąd? East River? „Water Club”?

- Tak

- Och, doleciecie błyskawicznie. To wasz pierwszy lot?

- Mój nie - odparła Wendy.

- A mój tak - skrzywiła się Mary Liz. - Jestem śmiertelnie przerażona.

- Będziesz zachwycona - zapewnił ją Charles. - Rachele nie chciała więcej spojrzeć na mój samolot, gdy wsiadła raz do takiej zabawki. Do licha, muszę się śpieszyć - rzekł, spoglądając na zegarek. - Zdaje się, że moja ukochana ma jeszcze na dzisiaj jakieś plany. Do widzenia, miłej zabawy!

Pilot uruchomił silnik, gigantyczne śmigła zaczęły się obracać i Mary Liz pomyślała, że zemdleje, zanim jeszcze zdąży zbliżyć się do maszyny. Mimo to posłusznie usadowiła się obok Wendy na tylnym siedzeniu, podczas gdy Bertie usiadł przed nią i zasunął drzwi. Natychmiast zrobiło się znacznie ciszej.

- Larry, poznaj moją przyjaciółkę, Mary Liz Scott. Mary Liz, to Larry Johnson. Wspaniały pilot. To jej pierwszy lot, pamiętaj o tym, wariacie.

- To. będzie czysta rozkosz - obiecał Larry. - Mamy wspaniałą pogodę. Zabrałaś aparat albo kamerę?

402

- Nie.

- To proszę bardzo. - Podał jej jednorazowy aparat na trzydzieści sześć zdjęć. - Przyda ci się. Zajmiesz się fotografowaniem i natychmiast się rozluźnisz. Aha, kamizelka ratunkowa jest pod twoim siedzeniem. A papierowa torebka za moim. Zapięłaś pasy?

W chwilę później wzniesli się w powietrze z łatwością i wdziękiem, jakich się nie spodziewała.

Poczuła się jak Piotruś Pan. Wcale nie było jej niedobrze, wręcz przeciwnie, rozpieła ją radość.

Patrzyła, jak lotnisko staje się coraz mniejsze, jak w dole zostaje droga numer 27, drzewa, pola i domy.

Nagle wylecieli znad nadmorskiej skarpy i znaleźli się nad Atlantykiem. Oczom Mary Liz ukazała się linia brzegowa Long Island.

Był to najpiękniejszy widok, jaki zdarzyło jej się oglądać.

Gdy dotarli do East River, słońce właśnie zachodziło. Było pomarańczowoczerwone, zaś niebo nad nim mieniło się różem, czerwienią i fioletem. Na jego tle odcinały się ciemne sylwetki prostych, wysokich budynków. Mary Liz po raz piętnasty pomyślała z żalem o tym, że to wielka szkoda, iż nie może dzielić swojego zachwyty ze Sky'em.

Lądowisko mieściło się tuż obok „Water Club”, znanej i obleganej restauracji zbudowanej na barce, nie mieli więc kłopotu ze znalezieniem taksówki.

- Założę się, że to FBI siedzi nam na ogonie - powiedział Bertie, oglądając się, gdy ruszyli jedną z nich. - Ten czarny wóz jedzie za nami od samego lądowiska.

- Stałaś się ważną osobistością - zażartowała Wendy.

- Dziękuję, wolę nie.

- Zobaczcie, już jadą dwa! - ekscytował się Bertie.

403

Skręcili na północ w Third Avenue, a następnie na wschód w Fiftyeight Street, gdzie znajdował się cel ich podróży.

- Jesteśmy za wcześnie - zauważyła Wendy. - Może wpadniemy na drinka do „Julie's”?
- A więc znasz to miejsce? - spytała ją Mary Liz, gdy Bertie płacił taksówkarzowi.
- Jasne - uśmiechnęła się Wendy. - Podobno przyciąga najładniejsze kobiety z całego świata.
- I tylko kobiety - przygryzł jej Bertie.
- A gdzie się znajduje twoja „Town House Restaurant”? - spytała go Mary Liz.
- Dwa kroki stąd - odpowiedział. - A trochę dalej „Town House Bar” - dla mężczyzn. Tam wybieram siępo kolacji.
- A teraz? Idziesz z nami?
- Pewnie - odpowiedział po krótkiej chwili wahania.

Wejście do baru było dyskretne, wyłożone drewnianą boazerią, z bocznymi drzwiami. Od frontu znajdowało się jedno okno, zasłonięte żaluzją z napisem „Julie's”.

Wendy weszła pierwsza. Gdy otworzyła drzwi, Mary Liz owołało natychmiast chłodne powietrze, poczuła zapach dymu, usłyszała muzykę. Przeszli obok szatni i skręcili za róg.

Lokal nie był duży. Na wprost wejścia usytuowany został piękny mahoniowy bar w kształcie litery U, z wygodnymi wysokimi stołkami, a za nim coś w rodzaju sporego salonu z niskimi stolikami, miękkimi fotelami i ławkami wzdłuż ścian. Całą podłogę pokrywał gruby dywan, ściany były wyłożone drogą francuską tapetą. W końcu sali stało pianino, w rogu zaś - szafa grająca na płyty kompaktowe. Na ścianach wisiały portrety znanych kobiet, które przypuszczalnie były...

Gdy weszli, chyba wszystkie kobiety siedzące przy barze odwróciły się i otaksowały wzrokiem ją oraz Wendy. Mary

Liz uśmiechnęła się niepewnie, na co każda z kobiet odpowiedziała znacznie bardziej pewnym uśmiechem. Ciekawe, czy jestem dla nich pociągająca, pomyślała i zaraz skarciła się w duchu za tę myśl.

- Usiądźmy przy stoliku w głębi - zaproponowała Wendy.

W tej części klubu było chłodno i spokojnie. Przyćmione światła stwarzały intymną atmosferę, a dym papierosowy nie był zbyt dokuczliwy. Mary Liz czuła się tu dziwnie, ale w sumie podobało jej się to miejsce; W każdym razie nie miała poczucia zagrożenia ze strony płatnych morderców.

Przypomniała sobie, że dwa razy otrzymała niedwuznaczną propozycję ze strony kobiet.

Pierwszą z nich złożyła dziewczyna, z którą mieszkała w jednym pokoju na pierwszym roku studiów.

Wstawiwszy się nieco przed feriami bożonarodzeniowymi, wyznała Mary Liz, że jest w niej zakochana. Sprawa była skomplikowana, ponieważ Mary Liz ogromnie ją lubiła i bardzo się przyjaźniły, nie czuła jednak do niej nic więcej (mój Boże, przyjaźń - to njało?). W końcu, w następnym semestrze, zamieniły się współlokatorkami i gdy owa dziewczyna związała się z koleżanką o podobnych preferencjach, z powrotem nawiązały serdeczną przyjaźń.

Tą dziewczyną była właśnie Lucy, z którą miały się dzisiaj spotkać.

Za drugim razem zdarzyło się to wkrótce po trzydziestych urodzinach Mary Liz. Pracowała wówczas nad emisją obligacji dla sieci niedużych stacji telewizyjnych na zachodzie. Kobieta, która obwoziła ją przez tydzień po tych stacjach, była niezwykle pomocna. Jednakże gdy ostatniego wieczora zaprosiła ją na kolację, instynkt ostrzegł Mary Liz, że coś jest nie tak. Jej towarzyszka miała około czterdziestki, była nie-

405

brzydka, choć trochę zbyt pulchna, miała krótkie włosy i zawsze nosiła proste spódnice i marynarki. Choć nie było w niej nic szczególnego, Mary Liz od razu nabrała przekonania, że jest lesbijką. Jednak to, co zdarzyło się podczas tamtej kolacji, nie było ani tajemnicze, ani niezwykle, ani romantyczne. Kobieta zjawiała się w umówionej restauracji pijana, potem piła nadal, a potem zaczęła płakać i wygadywać głupstwa. Mary Liz musiała odwieźć ją taksówką do domu, wysłuchując jej żalów i broniąc się przed pocałunkami.

Było to obrzydliwe doświadczenie.

Nazajutrz wysłuchiwała oczywiście przeprosin, pozostawionych na automatycznej sekretarce w Chicago. Nie potrzebowała ich, chciała o wszystkim jak najprędzej zapomnieć, ale coś jej mówiło, że nie powinna pominąć tego milczeniem. Oddzwoniła.

- Przyjmuję przeprosiny - powiedziała. - Nie musisz się martwić, nikt się o niczym nie dowie.

- Dziękuję - wyszeptała kobieta.

- Istnieje tylko jeden problem - dodała Mary Liz. - Jesteś uzależniona od alkoholu, wiesz o tym?

Cisza.

- Wiem, że może być ci ciężko z powodu tego, kim się czujesz, czy jakie masz preferencje, ale nie oszukuj się - alkohol ci nie pomoże. Potrzebujesz pomocy.

- Pieprz się! - odpowiedziała jeszcze przed chwilą potulna i pełna poczucia winy kobieta, a potem odłożyła słuchawkę.

Te niezbyt przyjemne wspomnienia przerwała Mary Liz młoda urodziwa kelnerka, która podeszła do stolika, by przyjąć zamówienie. Po chwili przyniosła piwo dla Wendy i Bertiego oraz kieliszek wina dla Mary Liz.

- No i jak?-spytała Wendy.

- Fantastycznie - odrzekła Mary Liz.

Kobiety, które tu przyszły, były w różnym wieku i o różnej prezencji. Przy narożnym stoliku siedziały trzy eleganckie Murzynki, obok nich dwie najwyraźniej zakochane kobiety, zapatrzone w siebie i trzymające się za ręce. Przy barze stała potężna blondynka o męskim wyglądzie, zaś nieopodal niej kobieca czterdziestolatka z długim końskim ogonem i w gustownej biżuterii. Przekrój strojów był ogromny - od dzinsu do jedwabiu.

- Dzięki Bogu, że wyciągnęłaś ją z domu - powiedział Bertie, gdy Wendy poszła do toalety. - Gorzej, że ta cholerna Vanessa wróci dzisiaj nabuzowana.

- No właśnie. Byłam ciekawa, co o tym myślisz.

- Co ja mogę myśleć? Ostrzegałem Wendy wiele razy, że Vanessa zaczepiła na niej oko i że coś niedobrego kluje się w tym jej ptasim mózdzku. Dla niej to było coś nowego, zabawa, fanaberia, coś, czego jeszcze nie miała, a ona musi mieć wszystko. No a potem się zaczęło. Błagałem Wendy, żeby z nią zerwała. Mówiłem, że Vanessa ją zrani i że to jedynie kwestia czasu. No i widzisz...

Nie skończyli rozmowy, bowiem wróciła Wendy i oznajmiła, że czas się przenieść do sąsiedniego lokalu.

Gdy tylko Lucy weszła do „Town House Restaurant”, Mary Liz wiedziała, że jej pomysł wypalił w stu procentach. Przyjaciółka uścisnęła ją serdecznie, przywitała się z Bertiem, po czym uśmiechnęła się promiennie do Wendy i podała jej rękę. Wendy również się uśmiechnęła, a Bertie puścił oko do Mary Liz.

„Town House Restaurant prowadzili i obsługiwali homoseksualiści, ale przy co najmniej trzech stolikach siedziały

również kobiety. Eleganckie wnętrze przypominało wystrojem i klimatem wiktoriański klub dla dżentelmenów.

Lucy siedziała między Wendy a Bertiem, naprzeciwko Mary Liz. Wcześniejsze obawy, że rozmowa może się nie kleić, okazały się płonne. Nastrój był wspaniały, jedli, śmiali się i rozmawiali przez dwie godziny.

Po kolacji Bertie poszedł do „Town House Bar”. Umówili się, że spotkają się o pierwszej po północy przed barem „Julie's”, gdzie miał po nich przyjechać wynajęty samochód.

- To ja znam kierowcę, Mary Liz, nie wsiadajcie więc do żadnego wozu beze mnie.

Kobiety przeniosły się do „Julie's”. Lokal tętnił teraz życiem - było tłoczno, głośna muzyka mieszała się z gwarem rozmów, tańczono zaś niemal wszędzie, bo nie było wyznaczonego specjalnego parkietu. Mary Liz przeciskała się za Wendy i Lucy, aż wreszcie udało im się znaleźć wolne miejsce obok pianina. Kelnerka przyjęła zamówienie i przyniosła im piwo. Próbowaly rozmawiać, było jednak zbyt głośno. Wreszcie Lucy pociągnęła za sobą Wendy do tańca i Mary Liz została sama.

Poczuła się nagle jak na swoim pierwszym balu w siódmej klasie, kiedy to jej najlepsza przyjaciółka miała chłopaka, a ona nie. Tym razem jednak nie musiała długo czekać na towarzystwo. Po chwili podeszła do niej jasnowłosa kobieta w czarnych skórzanych spodniach, białym sportowym staniku i przepasce na czole.

- Tańczysz? - spytała.

Mary Liz nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chciała zranić uczuć blondynki, ale z pewnością nie miała też ochoty na taniec z kobietą. W końcu jednak poszła z ociąganiem na parkiet.

Wendy i Lucy wybuchnęły śmiechem na ich widok, zwła-

szcza że partnerka Mary Liz natychmiast zapomniała o jej istnieniu, zatracając się w pełnym ekspresji solowym tańcu.

Piosenka skończyła się, Mary Liz powiedziała: „Dziękuję” i pobiegła szybko, by wziąć swoje piwo i zająć wolne krzesło. Następny utwór był wolny, przytulany. O, nie! Nie ma mowy, przysięgła sobie w duchu.

Wszystkie pary opuściły parkiet. Tylko Wendy i Lucy patrzyły na siebie, zastanawiając się, czy zatańczyć. Wreszcie zbliżyły się do siebie i zaczęły kołysać się powoli w rytm muzyki.

W ich tańcu, w sposobie, w jaki się poruszały i uśmiechały, było coś niezwykle erotycznego. Były teraz najseksowniejszymi kobietami w klubie.

- Gorące babki, co? - usłyszała za plecami czyjś komentarz.

Postanowiła zaczerpnąć świeżego powietrza. Pięknie, fajnie, ciekawie - ale zaczynała się tu czuć trochę nieswojo. Szepnęła po drodze Wendy i Lucy, że idzie na mały spacer i że za chwilę wróci, po czym wyszła na ulicę.

Miasto było zdumiewająco ciche i spokojne. Spacerowała z rękami w kieszeniach, zaglądając przez okna na witryny sklepów, do wnętrza restauracji. W pewnym momencie zobaczyła budynek z neonowym szyldem „Town House Bar”, przed którego wejściem stał bramkarz, rozmawiając z dwoma młodymi mężczyznami. Postanowiła zawrócić.

Zatrzymała się znów obok wystawy zamkniętego sklepu z wyposażeniem wnętrz i spojrzała na zegarek. Była za piętnaście pierwsza.

Nagle nocną ciszę zakłócił ryk silnika i gwałtowny pisk hamulców. Obejrzała się przerażona i zobaczyła samochód, który wpadł z impetem na chodnik, jakby chciał ją rozjechać. Odskoczyła natychmiast, skryła się w bramie. To przecież ta

409

sama limuzyna, która jechała w ślad za nimi z lotniska i którą Bertie wziął za pojazd FBI! Chciała uciekać, ale właśnie wtedy otworzyły się przednie drzwi od strony pasażera i z auta wyskoczył człowiek którego poznała od razu.

Leo!

Przykucnął, jakby czał się do skoku. Czekał.

I nagle znów rozległ się pisk hamulców. Zza rogu wypadł niespodziewanie drugi samochód, przejechał przez krawężnik i uderzył napastnika, który krzyknął z przerażenia i upadł na chodnik. Gdy podniósł głowę, zobaczył wycelowane w niego lufy pistoletów, z których mierzyli do niego kobieta i mężczyzna z drugiego samochodu.

- Nie ruszać się, FBI!

Uzbrojona kobieta podbiegła do drzwi samochodu gangsterów. Padł strzał. Mary Liz przykucnęła, osłaniając głowę rękami. Znów strzał.

Ktoś krzyknął. Przekleństwo. Jeszcze jeden strzał, wreszcie cisza.

Gdy Mary Liz ośmieliła się podnieść wzrok agentka FBI stała z pistoletem wymierzonym w głowę kierowcy. Leo nie było - uciekał, ścigany przez drugiego agenta. W pobliżu niemal natychmiast zawyła policyjna syrena, potem rozległ się krzyk i kolejne dwa strzały. W chwilę później nadjechały dwa samochody nowojorskiej policji i zahamowały z piskiem.

- Tam, tam! - ktoś krzyczał. - Jest postrzelony... Wyszła na ulicę, gdy policjant założył kajdanki kierowcy

czarnej limuzyny. Zaczęła iść szybko w stronę „Julie's”.

Tu kłębił się już tłum gapiów. Przecisnęła się przezeń wraz z kilkoma policjantami oraz rannym agentem FBI, którym okazał się Travers, i po środku zbiegowiska ujrzała Wendy, Debbie Cole oraz leżącego na ziemi Leo.

410

- Posłuchajcie, mam pozwolenie na broń - tłumaczyła Wendy. - Jestem prywatnym detektywem i miałam wszelkie podstawy, by uważać, że ten człowiek jest zawodowym mordercą, który usiłował zabić moją klientkę.

- To prawda - powiedziała Debbie. - Zdejmijcie jej kajdanki, ale zatrzymajcie broń. - Zobaczyła nagle Mary Liz i pociągnęła ją za rękę. - Mary Liz Scott - spytała, wskazując na mężczyznę ze strzaskanym kolanem, wijącego się z bólu na chodniku. - Czy poznaje pani tego człowieka?

- Cześć, Leo - powiedziała Mary Liz. - Miło mi cię znów widzieć. Co powiesz na małą przejażdżkę?

- Czemu piszą, że go postrzeliłam i wymieniają moje nazwisko, a Mary Liz pozostaje „niezidentyfikowaną klientką”? - spytała Wendy w poniedziałek rzucając poranne wydanie „New York Post” na kuchenny stół.

- Prawdopodobnie, żeby zachować ją przy życiu - odrzekł Bertie.

- Kto by pomyślał, że będą nas śledzić - westchnęła Mary Liz, odkładając „New York Timesa” i dolewając sobie kawy.

Siedzieli przy śniadaniu w domku gościnnym. Mary Liz przyszła do Wendy, ponieważ Sky musiał wyjść wcześniej rano i nie chciał zostawiać jej samej. Jeszcze nie.

- Wkrótce wszystko się skończy, kochanie - obiecał. Mimo że Mary Liz po raz drugi uniknęła porwania -

a może i śmierci? - władze nie powiedziały jej właściwie nic. Po nocnym wydarzeniu zawieziono całą trójkę na posterunek na Manhattanie, gdzie spędzili wiele godzin, a gdy Sky zjawił się nazajutrz o siódmej rano, by zabrać ich do domu, kazał każdemu z osobna odtworzyć wszystko, co zdarzyło się od chwili, gdy wyjechali z Water Mill, miejsca, gdzie odbywały się zawody polo, aż do chwili napaści w pobliżu baru „Julie's”.

- Ten facet nie jest zwykłym nauczycielem, prawda? - spytała w drodze powrotnej Wendy.

412

- Hm, i w zawodzie nauczyciela zdarzają się niezwykle chwile - odparła Mary Liz, sadowiac się wygodniej na kanapie samochodu i zamykając oczy. - Zdrzemnij się.

Sky jako jedyny powiedział im cokolwiek. Rzeczywiście, czarna Limuzyna, która jechała za nimi od lądowiska helikopterów, nie należała do FBI. Owszem, siedział w niej Ivor Vrensk alias Leo oraz jego wspólnik. Tak, planowali porwanie. Co najmniej porwanie...

Dzięki Bogu, agenci obserwowali restaurację, tłumaczył. I na szczęście Vrensk przystąpił do działania dopiero na Fifty-eighth Street.

Skąd jednak wiedział, że Mary Liz poleci helikopterem, skoro ona sama była pewna, że jada samochodem, zastanawiał się.

- Cholera jasna, Sky, nie patrz tak na mnie! - krzyknął Bertie. - Nigdy nie zrobiłbym krzywdy Mary Liz!

Wendy w dalszym ciągu chciała wiedzieć, kim, u licha, jest Sky, ale Mary Liz odmówiła wszelkich wyjaśnień. Dała mu słowo, że na razie dochowa tajemnicy.

- Piszą coś w „Timesie”? - spytała z kuchni Wendy.

- Jest niewielka wzmianka, która ci się spodoba. Cytują jednego z policjantów, który o tobie powiedział tak: „Jest prywatnym detektywem o wyglądzie modelki i oku Annie Oakley”. Wyrwałam dla ciebie tę stronę.

- Wiesz co? Miałam kiedyś klienta, który mnie zwolnił, ponieważ nikogo dotychczas nie postrzeliłam. Powiedział, że mam zbyt miękkie serce. Wyślę mu kopię tych artykułów.

- Nosisz przy sobie broń przez cały czas?

- Od czasu twojej przygody na lotnisku. - Wendy uśmiechnęła się do Bertiego i powiedziała, naśladowując jego niski głos: - „Posłuchaj, kobieto, od tej chwili masz tylko jedno

413

zadanie - zapewnić bezpieczeństwo Mary Liz. Jesteś jej gorylem, jasne?"

Ktoś zapukał do drzwi, w salonie rozległy się czyjeś kroki i na progu stanął Sky.

- Nie podjęliście szczególnych środków bezpieczeństwa, co?-spytał.

- To zależy od punktu widzenia - powiedziała Wendy, nie odrywając wzroku od gazety i jednocześnie rozchylając lekko szlafrok. Pod nim, na nocnej koszuli, miała pas. Z kabury wystawał duży czarny pistolet.

- Wendy! - Mary Liz krzyknęła na ten widok.

- Masz dwa wyjścia, Mary Liz. Albo chcesz żyć, albo umrzeć. - Sky podszedł do niej i pocałował ją na przywitanie. zaproponowała mu kawę, zgodził się chętnie, ale pod warunkiem, że sam ją zaparzy.

Potem usiadł przy stole i spojrzał na Bertiego. - Musisz coś dla mnie zrobić, Bertie. Wymaga to trochę zachodu i nie mogę ci na razie zdradzić, po co to wszystko. Powiem tylko, że jeśli spełnisz moją prośbę, to wszystko się wreszcie wyjaśni, zakończy i zapomnicie o całej sprawie.

- On jest naprawdę niezwykłym nauczycielem - zauważyła Wendy.

- Och, dajcie mi jeszcze tydzień, a potem wyjaśnię wszystko. Przysięgam. - Rozłożył na stole kartkę papieru. - Posłuchaj, Bertie, mam do ciebie następującą prośbę. Wy zresztą też możecie mu pomóc. - Spojrzał na Wendy i Mary Liz. - Trzeba jakimś sposobem zebrać tych ludzi razem w Wielkim Domu. W ciągu tygodnia. Dokładnie te osoby, które znajdują się na liście.

Bertie przejrzał listę nazwisk.

- Da się zrobić, ale tylko podczas weekendu. Połowy z tych osób nie ma tu w zwykłe dni.

414

- Niech będzie weekend, byle przed następnym poniedziałkiem.
- Dlaczego?
- Ponieważ w poniedziałek coś się wydarzy - rzekł wymijająco.
- Jediną osobą, która może ich zebrać, jest matka - powiedział Bertie, wpatrując się z zamyśleniem w sufit. -Musimy ściągnąć Juliusa z Los Angeles. Poza tym w czasie weekendu odbędzie się chyba z dziesięć imprez dobroczynnych, musimy więc się jakoś dopasować... W grę wchodzi chyba jedynie późne śniadanie, powiedzmy o jedenastej.
- Świetnie. Ale muszą być naprawdę wszyscy.
- Denver też? Na co ci ona, do licha? - Spojrzał na Mary Liz. - Jak mam namówić na to matkę?
- Pokaż. - Wyjęła mu listę z ręk i wraz z Wendy przebiegły wzrokiem kolejne nazwiska. Vanessa Buckley, Sinclair Buckley, Riff Cahill, Bertram Hoffman, Denver Hoffman, Jeanine Hoffman, Julius Hoffman, Nancy Hoffman, Charles Kahn, Claude Lemieux, Isabelle Lemieux, Claire MacClendon, Henry MacClendon, Wendy Mitchell, Jake O'Leary, William Pfeiffer, Schyler Preston, Sasha Reinhart, Mary Liz Scott, Randolph Vandergilden, Rachelle Zaratan.
- Są tu wszyscy, którzy byli na pokazie ogni sztucznych - zauważyła.
- Nie, Denver tam nie było-powiedział Bertie.
- I ty sypiasz z tym facetem, Mary Liz? - Wendy spojrzała podejrzliwie na Sky'a.
- Tak-odrzekła z uśmiechem.
- Ufna duszyczka.
- Tak. - Uśmiech Mary Liz był jeszcze szerszy.

415

Niechęć, którą Mary Liz czuła do Nancy z powodu dawnego romansu z jej ojcem, minęła. Mary Liz była gotowa, by odbyć z ciotką szczerą rozmowę i wyjawić w jej trakcie wszystkie wstydlive sprawy. Nancy była jednak tak wyczerpana przez ostatnie wydarzenia, że gdy przyszli do niej z Bertiem porozmawiać o przyjęciu, nie mogła się zdobyć, by poinformować ją o synu Alfreda czy porno wytwórni w Amsterdamie.

- Mogę ci tylko powiedzieć, mamó - mówił Bertie - że jeśli uda ci się zebrać wszystkich ludzi z tej listy, będzie to ostatnia przykra sytuacja tego lata.

Nancy patrzyła na niego, zbyt zmęczona, by mu wierzyć.

- Wydamy to przyjęcie, mamó - nalegał - a potem życie wróci do normy, zgoda?

- Dobrze, postaram się ich tu zebrać - odparła Nancy, patrząc ze znużeniem na listę.

33

Żeby pomieścić wszystkich gości, trzeba było całkiem rozłożyć stół w jadalni. Upał tego dnia był nie do wytrzymania, w Wielkim Domu zamknięto więc wszystkie okna i drzwi i włączono klimatyzację. Na honorowym miejscu, u szczytu, siedziała Nancy, naprzeciwko niej Bertie, a po obu stronach długiego stołu goście.

Do pomocy sprowadzono dwie osoby, kobietę i mężczyznę. Mary Liz wszakże podejrzewała, że oboje nigdy nie mieli do czynienia z obsługą przyjęć, albowiem gospodyni taka jak Nancy Hoffman nie zatrudniłaby kobiety, która podaje talerze z prawej strony, ani mężczyzny, który rozchlapuje przy nalewaniu wodę, sok czy wino.

Tego dnia po raz pierwszy spotkała Denver Hoffman, dwudziestopięcioletnią aktorkę, blondynkę o niebieskich oczach, która była tak szczupła, że sprawiała wrażenie osoby cierpiącej na anoreksję. Była miła, ale sztuczna, toteż Mary Liz od razu pomyślała, że aktorką musi być fatalną. Wobec faktu, że jej matka sprawowała aktualnie kontrolę nad wytwórnią produkującą serial, w którym grała, nie miało to jednak chyba większego znaczenia.

Dziwny był wyraźny brak kontaktu między Denver a Bertie. Siostra i brat tolerowali się, ale ich wzajemna niechęć rzucała się w oczy. Natomiast Bertie i Julius zachowywali się wobec siebie zaskakująco przyjaźnie.

Zgromadzenie jednego dnia wszystkich gości nie było trudne. Wprawdzie Julius wrócił z Los Angeles tylko dlatego, że Nancy postraszyła go, iż od jego obecności zależy los wytwórni, a Buckleyowie nie wykazywali z powodu zaproszenia wielkiego entuzjazmu (choć teraz Vanessa prawie cały czas nie spuszczała wzroku z Wendy), za to reszta przybyła chętnie i nie dała się prosić.

Claude wrócił właśnie z Francji i złapanie Lemieuxów nie nastreczyło większych trudności. Charles i Rachelle z przyjemnością przyjęli zaproszenie, podobnie zresztą jak Claire i Bill, zachwyceni, że zostali potraktowani jako para. Randolph Vandergilden chętnie chodził wszędzie, gdzie mógł się najść i napić za darmo, a Sasha z radością przysła, by spotkać się z Mary Liz (była jednak nieco zdziwiona, że na liście gości znalazł się również jej ochroniarz).

Więcej kłopotu było z Henrym MacClendonem, albowiem Sky był absolutnie nieugięty co do tego, że nie może towarzyszyć mu Cindy. Ostatecznie Nancy i to udało się jakoś załatwić i zjawił się także i on - może nieco zły, że musi patrzeć na szczęście swojej byłej żony z młodszym od niej mężczyzną.

Oczywiście wśród gości byli również Mary Liz, Sky oraz Wendy.

Gdy po obfitym posiłku złożonym z wykwintnych potraw podawano właśnie desery, Nancy odchrząknęła i obrzuciła siedzących przy stole wyczekującym spojrzeniem. Rozmowy ucichły.

- Bardzo dziękuję wszystkim za przybycie, mimo że zaprosiłam was niemal w ostatniej chwili - zaczęła.

- Właśnie, co się stało? Zawsze zapraszasz gości z co najmniej sześciotygodniowym wyprzedzeniem, Nance - zauważył Randolph. - Najpierw dzwoni twoja sekretarka, a nazajutrz nadchodzi zaproszenie pocztą. A tym razem - nic!

418

Nancy uśmiechnęła się lekko. Mary Liz widziała, że jest zdenerwowana, i była ciekawa, co też powiedział jej Sky podczas krótkiego spotkania tego ranka Mary Liz, Wendy i Bertie, każde z nich osobno, również odbyli z nim krótkie narady, żeby ustalić kierunki prowadzenia rozmów przy stole.

- Zebrałam was tutaj z bardzo ważnego powodu - powiedziała Nancy, obrzucając wszystkich po kolei baczny spojrzeniem. - Jedno z nas zamordowało Herba Gliddena i chcę wiedzieć, które.

W jadalni zapadła martwa cisza. Nagle Denver zaczęła nerwowo chichotać.

- Mój Boże, mamó, przypomina mi to jakiś kiepski kryminał.

- Mówię poważnie, Denver.

- No dobrze, mamó, mogę być pierwsza. Oświadczam, że ja tego nie zrobiłam - powiedziała uroczyście, a potem znów zachichotała. - Znajdowałam się cztery i pół tysiąca kilometrów stąd.

- A pan, panie Cahill? - Nancy spojrzała na sąsiada córki. - Gdzie pan wtedy był?

- Ja? Spałem.

- Nie, nie spałeś, Riff - powiedziała Sasha. - Grałeś ze mną w kierki, była też Rachelle, pamiętasz? To było po pokazie ogni sztucznych.

- Bez wątpienia był też jakiś dalszy, prywatny pokaz

- mruknął Randolph, śmiejąc się głośno. - Podobno była niezła bibka.

- Jesteś niegrzeczny - powiedziała Rachelle, po czym dodała, kierując swoje słowa do Nancy: -

Charles wyjechał tamtej nocy do Pittsburgha, pamiętasz? Spędziłam więc noc u Sashy. - Spojrzała wymownie na Vanessę i mówiła dalej:

- Szczerze mówiąc, trudno było zasnąć, takie hałasy dobie-

gały z domku gościnnego. Gdybyś zechciała wynająć znów ten sam dom, Sasho, musisz koniecznie założyć klimatyzację, żebyś mogła zamykać w nocy okna, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Ja od początku podejrzewałam, że to ty zamordowałeś wujka Herba - powiedziała Denver do brata.

- Jakiego „wujka”? Co ty mówisz, Denver? - skrzywił się Bertie.

- Podręcznikowy przypadek zbrodni w afekcie. Gdyby znalazły się jakieś dowody, czekałbyś już pewnie na wyrok. Kelner? Poproszę jeszcze jednego drinka. - Anoreksja Denver najwyraźniej nie dotyczyła alkoholu. Wypiła już kilka szklaneczek.

Bertie przemilczał tę uwagę, a potem zwrócił się do Clau-de'a:

- A gdzie ty spędziłeś noc, podczas której zostało popełnione morderstwo?

- Daliśmy sobie w gaz z Buckiem i Randym - uśmiechnął się Claude. - Na przystani, pamiętasz? To my powiedzieliśmy policjantom, że widzieliśmy, jak wypłynął łódź.

- Tak, tak, zapomniałem wam podziękować.

- Musieliśmy przecież mówić prawdę - odezwał się Buck ze swojego miejsca. - Zresztą doszli do wniosku, że to nie ty, więc nie ma problemu.

- A co ty robiłeś na przystani? - spytała Vanessa męża.

- Może z kimś się pieprzył? - burknął Randolph. - Ale chyba nie z tobą, co?

- Ej! - zaprotestował ostro Buck.

- Daj spokój, Buckley - uspokoiła go Vanessa, sącząc białe wino. - Nie warto zwracać na niego uwagi.

- A gdzie byłaś ty, Vanesso? - spytała Nancy.

- Tutaj, na przyjęciu u Bertiego.

420

- Przecież Bertiego widzieliśmy na przystani - zauważył Claude.
 - Ale tu była Wendy.
 - Hm, słyszałam - powiedziała Rachelle i spojrzała na nią znacząco. - Zachowywałyście się dość głośno.
 - Głośno? Wendy i Vanessa? - wykrztusił Randolph. - To one są...
 - Zamknij się, Randy! - przerwał mu ostro Henry Mac-Clendon.
 - Dziękuję, Henry - westchnęła Claire. - Wyjąłeś mi to z ust. W każdym razie ja wróciłam do domu po pokazie, odwiózł mnie Bill. Rozmawialiśmy prawie do czwartej nad ranem.
 - „Rozmawialiśmy” - powtórzył znacząco Randolph.
 - Tak, rozmawialiśmy - rzekł spokojnie Bill i popatrzył na Randolpha z pogardą.
 - Wobec tego pozostaje Julius... - oświadczył Bertie.
 - Byłem w domu z Jeanine - wyjaśnił śpiesznie wywołany. - A skoro już mowa o nas, chciałbym wiedzieć, czemu wszyscy wmawiają policji, że byliśmy ostatnimi ludźmi, których widziano z Herbem? - Zmierzył zebranych gniewnym spojrzeniem. - Przecież myśmy go w ogóle nie spotkali!
 - Co takiego? - zdumiała się Wendy. - Ale wszyscy mówili...
 - Bzdura! Nawet się z nim nie widzieliśmy tamtej nocy!
 - To prawda - poparła go Jeanine. - Nie byliśmy na paradzie zwierząt. Odwiedziliśmy dzieci na obozie i wróciliśmy dopiero na pokaz ogni sztucznych.
- Przez chwilę panowało milczenie.
- Aco z tobą, Mary liz? - spytał Bertie. - Gdzie byłaś ty?
 - Właśnie - podchwycił Randolph. - To ty pracowałeś dlaHerba.

421

- Nie pracowałam.

- On twierdził, że tak.

Sasha szturchnęła go ze złością łokciem.

- Zaktualizuj swoje informacje. Chciał, żeby wszyscy tak myśleli, ale to nieprawda!

- Skąd miałem wiedzieć?

- Dajmy już temu spokój. - Sasha przeniosła spojrzenie na Mary Liz. - No więc, gdzie byłaś? - spytała, uśmiechając się, jak gdyby znała odpowiedź. I rzeczywiście ją znała, ponieważ Mary Liz zwierzyła jej się później ze wszystkiego. - Byłam w domu ze Sky'em.

- Przykro mi, ale to nieprawda - zaprotestowała Vanessa. - Sky podrzucił mnie tutaj, a potem pojechał do siebie.

- Później wróciłem - rzekł Sky.

- Gdzie więc był twój samochód?

- Na ulicy.

- A dlaczego nie na podjeździe?

- Przestań, Vanesso-mitygował żonę Buck.

- Nie, Buck, ja chcę to wiedzieć. Ten facet kręci się koło ciebie przez całe lato. Po co tu wróciłeś, Sky?

- Niewątpliwie po to, żeby zabić Herba - wtrącił się Randolph. - Walnął go w głowę, po czym wrzucił do oceanu. - Boże Wszchemogący! - jęknęła Sasha. - Chyba sama zatkam ci gębę, Randy.

- No, mów, Sky. Wróciłeś, żeby mnie szpiegować, prawda? - spytała Vanessa. - Buck ci kazał?

- Nie.

- Wrócił ukradkiem, ponieważ jest dyskretny - odezwała się wreszcie Wendy. - Po prostu nie chciał, żeby cały świat dowiedział się o nim i Mary Liz.

- Tak, z pewnością jest dyskretny - wtrącił Claude. - Tak dyskretny, że zniknął natychmiast po morderstwie.

- Mówiłem ci, że miał wypadek w rodzinie!

- Jasne, Buck. Ale ostatnio różni ludzie mówili mi tak wiele rzeczy, że mam kłopoty z połapaniem się w tym wszystkim.

Buck zmierzył gniewnym spojrzeniem Claude'a, ale się nie odezwał.

- Mamo - spytała niecierpliwie Denver - czy mogę już wyjść? Straszliwie mnie nudzi ta rozmowa.

- Siedź spokojnie.

- O mój Boże, posłuchała - zdumiał się Bertie. Denver wykrzywiła się do niego.

- Dostałam milion za przyjazd tutaj, a ty?

- Och, mamo! - jęknął Bertie. - Nie zrobiłaś tego!

- Zrobiła, zrobiła. Powinnam była zażądać dwóch milionów za powrót do tego domu - dodała Denver.

Mary Liz była autentycznie wstrząśnięta. Z pewnością nie była to milutka córeczka i siostrzyczka, o której jej opowiadano. Denver wyraźnie nie znosiła i Bertiego, i matki.

- Twoja kolej, Jake - odezwał się Bertie. - Gdzie byłeś?, czasie, gdy zamordowano Herba?

- Och, zmuszasz mnie, żebym powiedziała to na głos! - wykrzyknęła Denver, rzucając z obrzydzeniem serwetkę na stół. - Rzygać mi się chce, Bertie! Jak można było dopuścić, żeby ten osobnik siedział z nami przy jednym stole! Co to za jeden, ten Jake?

Bertie zignorował ją, czekając na odpowiedź.

- Byłem tutaj - odparł spokojnie Jake. - Pilnowałem, żeby przyjęcie nie wymknęło się spod kontroli.

- Mamo - ostrzegła Denver - lepiej podwój stawkę do dwóch milionów. Kelner, proszę o drinka. I proszę zadbać o gości. A może sami mają się obsłużyć?

- A ty, Wendy? - pytał dalej Bertie. - Gdzie byłaś?

423

Wendy nie drgnęła nawet powieka.

- Byłam z Vanessą. Tak jak powiedziała.

- Aty.Isabele?

- W domu. W łóżku.

- Bez wątpienia tragicznie samotna - dodał Randolph. Isabele zmierzyła go wzrokiem pełnym obrzydzenia, po

czym skinęła na kelnera, by dolał jej wina.

- To już chyba wszyscy, prawda? - spytał Julius, opierając dłonie na krawędzi stołu, jak gdyby zamierzał za chwilę wstać i opuścić przyjęcie. - Skoro nikt z nas nie zamordował Herba, to czy mogę już wrócić do Kalifornii?

- Którym lotem? - zainteresowała się Denver.

- Chwileczkę, jeszcze Nancy - powiedział głośno Sky i wszyscy znieruchomieli. - A gdzie była pani, pani Hoffman?

Nancy milczała przez chwilę, wpatrując się w kielich z wodą i obracając go w palcach za kryształową nóżkę. Wreszcie podniosła wzrok.

- Byłam u Herba.

Przez chwilę słyhać było jedynie tykanie ustawionego w jadalni zegara. Ktoś przy stole wciągnął głośno powietrze, ktoś stuknął widelcem o talerz. Nancy popatrzyła po zebranych skupionym wzrokiem i zaczęła mówić dalej:

-* Tak jak zeznałam na policji, czekaliśmy na niego z Alexem prawie do trzeciej nad ranem. -

Przełknęła ślinę. - Nie przyszedł.

- Nie powiedziałaś mi o tym, mamó - rzekł z wyrzutem Bertie.

- Nie powiedziała o wielu rzeczach - syknęła Denver, wypijając drinka do dna.

- Kiedy Alex widział ojca po raz ostatni? - spytała Mary Liz.

- Gdy podrzucił go na paradę - odpowiedziała Nancy.
- Widzieliśmy go tam - potwierdziła Mary Liz. Spojrzała przez stół na Jeanine Hoffman. - Jesteś absolutnie pewna, że nie spotkaliście go na pokazie?
- Owszem, jestem pewna - odrzekła wyraźnie rozdrażniona Jeanine. - I chciałabym wiedzieć, kto rozpuścił pogłoskę, że było inaczej. Nie widzieliśmy Herba przez cały weekend.
- Ktoś nam powiedział że z nim siedzicie - powiedziała Mary Liz ze zmarszczonymi brwiami, próbując sobie przypomnieć, kto to był.
- Pamiętam, że go szukałam - wtrąciła Claire - i ktoś twierdził, że go widział.
- Tak, siedzącego z Hoffmanami - dodała Mary Liz.
- Na pewno nie ja - rzekła Nancy. Przy stole znów zapanowało milczenie.
- Czy któreś z was pamięta - mówiła dalej Claire - z kim Herb był na paradzie zwierząt na lotnisku?
- Przez jakiś czas był ze mną - powiedział Claude. - I ze mną - dodał Randolph.
- Ja też go widziałem - przyznał Charles. - I Rachelle, i Sasha...
- Rozmawiałem z nim - rzekł Buck.
- Ja też - oświadczył Bertie. - Podobnie Wendy i Jake.
- A czy ktoś widział, z kim stamtąd odjechał? - spytała Mary Liz.
- Wiem, że przywiózł go Alex - wyjaśniła Nancy. - Sam mi mówił, że Herb nie chciał prowadzić samochodu po alkoholu, a nieźle sobie popił.
- To prawda - potwierdził Buck. - Rzadko sobie pozwalał, ale wtedy tak właśnie było. Przysięgłbym, że jego śmierć to był wypadek. Był cholernie nabuzowany.

425

- Prochy też czasami brał - zauważyła Sasha. - Sama widziałam, jak szpikował się w pracy amfetaminą.

- Ale wykryto barbiturany.

Na tę wzmiankę wszystkie głowy obróciły się w stronę Vanessy.

- Och, odpieprzcie się ode mnie! - mruknęła, kończąc swoją Krwawą Mary. - Zeznałam już na policji, że ktoś buchnął mi jedną z recept z szafki z lekarstwami. A tak przy okazji, było to lekarstwo, przepisane mi przez lekarza.

- A więc - wróciła do tematu Wendy - nikt nie widział, z kim Glidden odjechał?

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli po sobie nawzajem.

- Ktoś go musiał zatem załatwić na lotnisku - powiedział Sky. Umilkł, rozglądając się po twarzach zebranych. - Pytanie tylko, jaki motyw mógł mieć morderca. - Spojrzał pytająco na Mary Liz. - Masz jakąś teorię?

- Och, mnóstwo. Poczynając od interesów...

- Tylko Julius robił z nim interesy - zauważyła Jeanine - a jak już wam mówiłam, nas tam nie było.

- Julius mógł przecież kogoś wynająć, żeby go sprzątnął - podsunął Buck.

- Dzięki, stary.

- Nie rozumiecie, że Julius był ostatnią osobą, która mogła pragnąć śmierci Gliddena!? - rozzłościła się nagle Jeanine.

- Czemu tak twierdzisz? - spytał Sky.

- Ponieważ wspólnie starali się odzyskać „Howland Films”.

- Wiedziałem! - wykrzyknął Bertie. - Jesteś łajzą, zwykłą gnidą, Juliusie...

- Nie słuchaj, kochanie, tych szaleńców. - Jeanine wzięła męża za rękę. On sam pobladł. - Nie możesz pozwolić, żeby cię wciągnęli w to przedstawienie. I tak dostaniesz „How-

426

land", ponieważ sprawiedliwie ci się należy, a oni niech sobie szczekają. Przecież Herb nie był ci potrzebny do żadnych interesów...

- Prawdę mówiąc - przerwała jej Mary Liz - myślałam raczej o interesach, które Glidden robił z tobą, Randolphie.

- Dziecino, o czym ty mówisz? - Spojrzał na nią pobłaźliwie.

- O twoich transakcjach z Herbertem Gliddenem.

- Co masz konkretnie na myśli?

- Na przykład prawo własności twojej winiarni.

- Owszem, moi inwestorzy mają większość udziałów, i co z tego?

- A to, że tych inwestorów znalazł dla ciebie Herbert Glidden. Było tak, Randolphie? Przecież pamiętasz, znalazł ich przez firmę „Jieghlenburger” w Amsterdamie.

Przy stole po raz kolejny tego wieczora zapanowała absolutna cisza. Nikt nawet nie drgnął, wszyscy słuchali słów Mary Liz.

- Niestety, Glidden nie uprzedził cię wcześniej, jacy bru-tal4 |X)trafiąbyć ci inwestorzy. Na tyle brutalni, że zagrozili, iż jeśli firma nie będzie prowadzona zgodnie z ich sugestiami, może ci się przydarzyć coś bardzo, bardzo złego. Wzięłeś pieniądze, a potem było już za późno, żeby się wycofać, dobrze się domyślam? Powiedz, jak to się dzieje, że twoje paskudne wino tak wysoko ceni pewien holenderski importer? Kupuje osiemdziesiąt procent całej produkcji za cenę trzykrotnie wyższą od ceny porządne go wina z innych winiarni. Co za dziwny gust...

Randolph nie odezwał się ani słowem. Na czoło Wystąpił mu pot, wzrok miał spuszczonej, jakby kontemplował właśnie jedną z kompozycji kwiatowych ustawionych obok jego talerza.

- Ale nie martw się, Randolphie, nie jesteś wcale odosobniony - mówiła dalej Mary Liz. - Glidden dobrał się również do Claude'a. Szkoda, że nie byliście lepszymi przyjaciółmi. Gdybyście rozmawiali ze sobą o pewnych sprawach, może udałoby się wam coś zaradzić na wasze kłopoty.

- Jakie kłopoty? - zdenerwował się Claude. - My nie pracujemy z Isabele dla nikogo. Sami jesteśmy właścicielami „Je Ne Sais Quoi”. To inni pracują dla nas!

- Wiesz, że to nieprawda, Claude. Może opowiesz nam, w jaki sposób zdobyłeś dwadzieścia dziewięć milionów na zakup praw i wypuszczenie czasopisma na rynek amerykański. Jacques Gorce, niezależny bankier w Paryżu, kojarzy ci się z czymś to nazwisko?

- To żadna tajemnica. Ten człowiek cieszy się dużym poważaniem.

- No właśnie, ten człowiek powiedział, że to Herbert Glidden załatwił dla ciebie tę transakcję. I znowu nie uprzedził cię o pewnych dodatkowych warunkach, o których nie było mowy wcześniej. Cieszyłeś się, że wreszcie wydostałeś się spod ojcowskiej kurateli, a okazało się, że dostałeś jeszcze bardziej troskliwego opiekuna i nadzorcę. No i znacznie groźniejszego od rodzzonego taty. Glidden wyjaśnił, jak ma pracować twoja księgowość i w jaki sposób pieniądze mają krążyć ze Stanów do Francji i z powrotem. Czasopismo miało ciągle brać kredyty, a następnie spłacać pożyczki. Zdaje się, że próbowałeś się sprzeciwić, prawda? A wtedy kochany Herb poinformował cię, kim są naprawdę ci, od których tak chętnie brałeś forszę. To musiało być straszne. - Popatrzyła na niego ze współczuciem. - Bardzo cię przerażili?

Teraz Mary Liz zwróciła się do Charlesa Kahna.

- Ale ty Charles, ubiłeś chyba najgorszy interes. Wiem, że naprawdę pragnąłeś wyłącznie dobra Rachelle. Chciałeś,

żeby odniosła sukces i byłeś gotów zrobić wszystko, żeby tak się stało. Marzyliście oboje o stworzeniu imperium, gdy więc Herbert Glidden zaproponował ci pewnych irlandzkich inwestorów z „Dunlau Gunney”, którzy obiecali, że nie tylko sfinansują waszą działalność w USA, ale pomogą w międzynarodowej ekspansji firmy, jak mogłeś się oprzeć? Wierzyłeś, że ktoś kto ma kapitał, poznał się na waszych kolekcjach i chce na nich zarobić, dając zarobić i wam. No i gdy wszystko zostało już załatwione, Scenariusz się powtórzył - Herb poinformował cię, kim są prawdziwi inwestorzy i w jaki sposób firma „Rachelle Zaratan Clothing” będzie manipulowała milionami dolarów na całym świecie. Twoja żona miała talent, a mafia pieniądze, które trzeba było jakoś zalegalizować...

- To nie może być prawda - powiedziała cicho Rachelle, spoglądając na męża. - Charles?

Ale Charles dokończył tylko swoją Krwawą Mary, nie patrząc w ogóle na żonę.

- Nie może nic powiedzieć, ponieważ cię kocha, Rachanie - odezwała się Mary Liz. - I czuje się tak, jak gdyby cię zdradził. Nie wplątał się w to wszystko celowo, żaden z pokerowej paczki nie zrobił tego z premedytacją. Po prostu Herbert Glidden był niezwykle sprytnym facetem. Prawda, Henry?

- Nie! - zaprotestowała ostro Claire. - Nie wierzę. Przecież, do diabła, byłam tam! Firma Henry'ego prosperowała coraz lepiej i mnóstwo osób chciało ją finansować, żeby objęła zasięgiem cały kraj. Na co był mu Glidden? Henry go nie znosił!

- Ale Glidden zaofiarował coś więcej. Przyszedł z inwestorami, którzy byli gotowi otworzyć filie w sześciu miastach na całym świecie. Mieli kasę, mnóstwo kasy. Wpłacali ją

przez Banque de Veurne w Brukseli i w taki sposób otwarto filie „Henry MacClendon Architects” w Londynie, Paryżu, Brukseli, Genewie, Sao Paulo oraz Moskwie.

- I co z tego? - spytała Claire.

- Gdy zawarto transakcję i utworzono filie, Herb odbył małą pogawędkę z Henrym i jemu również wytłumaczył obowiązujące zasady księgowania i przepływu kapitałów. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej... Nic nowego.

- Co insynuujesz? - wybuchnęła w końcu Rachele. - Ze wszyscy jesteśmy oszustami?

- Nie - odpowiedziała Mary Liz. - Po prostu Glidden podszedł was wszystkich po mistrzowsku. Miał doświadczenie, bo przez wiele lat finansował filmy kręcone przez „How-land”, gromadząc fundusze, których Alfred potrzebował na rozwój wytwórni. Postawił Alfredowi jedyny warunek - każdy film miał być częściowo produkowany za granicą, jako koprodukcja, przy czym studio miało korzystać z zaproponowanych przez niego zespołów roboczych, centrów produkcyjnych i dostawców. Alfred nie zdawał sobie sprawy - albo nie chciał sobie zdać - z pewnego problemu: że był wykorzystywany do transferu brudnych pieniędzy do Stanów Zjednoczonych. Nawet jeśli jego film robił klapę, inwestorzy i tak byli zadowoleni. Otrzymywali przynajmniej częściowy zwrot czystego już kapitału.

- Czyli po prostu Herb prał brudne pieniądze - rzekła ze zgrozą Sasha.

- Przez wiele lat - potwierdziła Mary Liz. - Potem zaś, gdy chciał się rozwinąć, związał się z grupą, nazwijmy to: „zorganizowanych inwestorów”, którzy mieli masę pieniędzy z nielegalnych źródeł, a działali w oparciu o system finansowy, który pozwalał im ukryć dosłownie miliardy lewych dolarów - rosyjskie banki. Glidden związał się z nimi

na dobre i złe. Zapewniło mu to nie kończący się napływ kapitału, który jednakże trzeba było jakoś wpuścić w stabilne zachodnie instytucje finansowe o ustalonej reputacji i renomie. Zaczął więc projektować kolejne transakcje, a oferty składał zawsze poważnym i wiarygodnym klientom. Takim właśnie, jak wy - popatrzyła na zebranych - Henry, Claude, Randolph, Charles, Buck...

- To niemożliwe. Ojciec musiał coś wiedzieć - rzekł Julius.

- Domyślił się dopiero, gdy niektórzy z jego przyjaciół zaczęli podpytywać go o Gliddena. Ale wkrótce potem zginął w katastrofie samolotu i nie zdążył się zastanowić.

- Mam wrażenie, mój ukochany mężu - westchnęła Vanessa - że skoro Herb skaptował twoich przyjaciół, to i ty padłeś jego ofiarą. To on zdobył dla ciebie forszę na założenie „East End”, prawda?

- Tak, ale posłuchaj, to był bajeczny interes. Zbudowałem klub najwyższej klasy, musicie to przyznać. Dobra, Herb powiedział mi później, kim są moi inwestorzy i czego się spodziewają, ale wiecie co? Niezależnie od tego, co się teraz dzieje, ani przez chwilę nie żałowałem tej transakcji. Bez Herba nigdy nie miałbym szansy, żeby założyć taki klub, ponieważ żadnemu z was nie przeszłoby przez myśl, że to potrafię.

- To prawda - przyznała Vanessa. - Na czym polega przekręt z klubem, Mary Liz?

- Zagraniczni członkowie wpłacają milion dolarów po to tylko, by przyjechać tu raz w roku.

- Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe - powiedziała Vanessa.

- No dobrze - odezwał się Buck - zostaliśmy rozpracowani. Ale mimo wszystko to nie ja zabiłem Herba.

- Ja też nie - zawtórował mu Randolph.

431

- Ja też nie - oświadczył Henry.
- Ani ja-dodał Charles.
- Chwileczkę, Charles - wtrącił Gaudę - myślę, że ty miałeś sposobność to zrobić. Poszłicie z Herbem obejrzeć twój samolot, a potem nikt go już nie widział.
- O czym wy mówicie? Herb poszedł do swojego samolotu, żeby popracować, a ja wróciłem na kolację.
- Popracować? Herb miał ochotę balować przez całą noc. A po paradzie poszedł gdzieś z tobą i zniknął.
- Nikt go nie odwoził - powiedziała Mary Liz.
- Nie był z nikim na pokazie ogni sztucznych - dodał Bertie.
- Inie dotarł do domu-rzekła Nancy.
- Zabrałeś go do swojego samolotu, Charles, a po piętnastu minutach wróciłeś. Sam.
- Daj spokój, Gaudę. To jakaś bzdura! - zaprotestowała Rachelle. - Mój ojciec zawsze mówił, żeby nie wierzyć Francuzom i miał rację. Druga wojna światowa powinna być nas czegoś nauczyć! Charles pokazywał Herbowi swój samolot, ale wrócił po chwili na kolację, a potem pojechaliśmy razem z Sashą na pokaz ogni sztucznych. Później odwiozłam go na lotnisko i na własne oczy widziałam, jak wsiada do samolotu i odlatuje.
- Z Herbem na pokładzie? - zapytał Henry.
- Och, nie! Herba nie było w tym samolocie, prawda, Sasho?
- Tak, widziałam tylko Charlesa - potwierdziła piosenkarka.
- Nie twierdzą wcale, że był przytomny.
- Och, daj spokój, Henry - rzekł Charles. - Spodziewałbym się takiego świństwa po Gaudzie, ale nie po tobie. Nie zabiłem Herba i kropka. Nie było mnie nawet w East Hamp-

432

ton w chwili jego śmierci. Możecie sprawdzić w Pittsburghu. Tam właśnie byłem.

- Tak, ale nie przez całą noc - wtrącił się Sky.

- Nieprawda. Wylądowałem około północy. Możesz sprawdzić w dzienniku pokładowym.

- Już ktoś to zrobił. Poleciałeś do Pittsburgha, wylądowałeś o północy i twój samolot pozostał na noc na tamtejszym lotnisku.

- O co więc chodzi?

- O to, że nie zostałeś w Pittsburghu, ale wróciłeś na Long Island cessną¹ swojego przyjaciela, Hala Portera. Z Gliddenem na pokładzie.

- To śmieszne!

- Wcale nie - powiedział Sky - raczej smutne. Świetnie to zaplanowałeś. W obecności Rachelle zadzwoniłeś z samochodu, by odnotowano twój lot do Pittsburgha. Byłeś na paradzie, zwabiłeś Gliddena, żeby obejrzał coś w twoim samolocie, rąbnąłeś go w głowę francuskim kluczem, a potem nafaszerowałeś go narkotykami w niemal śmiertelnej

dawce. Następnie zawiązałeś go w brezent, załadowałeś do samolotu i spokojnie wróciłeś na kolację. Nie zatrzymałeś się nawet, żeby umyć ręce. Towarzyszyłeś żonie i Sa-shy na pokazie ogni sztucznych, a gdy padło pytanie o Gliddena, powiedziałeś, że widziałeś go z Hoffmanami. Potem kobiety odwiozły cię na lotnisko, widziały, jak wsiadasz do samolotu i odlatujesz. Wylądowałeś w Pittsburghu wkrótce po północy i ustawiałeś samolot obok cessny Hala Portera...

Rachelle wyglądała na autentycznie wstrząśniętą tą rela

¹ Cessna - marka niedużego samolotu sportowego (przyp. red.)

433

cją. Była śmiertelnie blada i zdawało się, że lada chwila może zemdleć.

- Wcześniej wszystko sobie zaplanowałeś - opowiadał dalej Sky. - W piątek zadzwoniłeś do Portera i spytałeś, czy mógłby ci pożyczyć samolot na sobotni wieczór, ponieważ chciałbyś wrócić na Long Island, żeby spotkać się z kobietą, o którą Rachele zaczyna być zazdrosna. Zgodził się bez oporów, zadzwoniłeś więc do Pittsburgha, żeby zgłosić lot na nazwisko Portera. Gdy wylądowałeś w Pittsburghu w sobotę w nocy, podkołowałeś do jego cessny, przenieśliście ciało Gliddena, rozebrałeś go do spodenek i umieściłeś na siedzeniu pasażera, opierając o drzwi. Wtedy jeszcze żył. Następnie wystartowałeś, tym razem jako Hal Porter. Poleciałeś w kierunku lotniska na Long Island, po drodze zboczyłeś jednak nieco nad East Hampton, prawda? Zwolniłeś, włączyłeś pilota automatycznego, a potem wypchnąłeś ciało Gliddena do oceanu. - Sky milczał przez chwilę, po czym dodał: - Dobra robota, Charles. Utonął, a prąd zniósł go prosto na plażę Hoffmanów.

Charles spuścił oczy.

Nikt nie odzywał się ani słowem.

- Wówczas wyrzuciłeś do oceanu strzykawkę i klucz francuski, wylądowałeś na lotnisku MacArthur, uprzątnąłeś samolot przyjaciela i uzupełniłeś paliwo, a po uzyskaniu zezwolenia, odleciałeś z powrotem do Pittsburgha. Przespałeś się w hotelu. Rano poleciałeś do Chicago, gdzie pozbyłeś się brezentu, wyrzucając go do śmietnika na lotnisku. Z ubraniem Herba poczekałeś do następnego dnia, do Indianapolis, gdzie wrzuciłeś je do pojemnika na śmieci obok Burger Kinga. To wszystko. Charles westchnął. Podniósł wzrok, popatrzył na Sky'a, potem na Nancy. Na Rachele patrzeć nie chciał.

434

- Ale ze śmiercią Alfreda nie miałem nic wspólnego, Nancy. Przysięgam - odezwał się słabym głosem.
 - Wiem - odpowiedziała cicho.
 - Nikt nie zabił Alfreda! - zniecierpliwiał się Claude. - Oficjalny raport stwierdza, że to był wypadek.
 - Nie - zaprzeczyła Nancy. - Alfreda zamordował Herb.
 - Skąd pani o tym wie? - spytał Sky.
- Patrzyli sobie w oczy przez kilka sekund. Potem Nancy westchnęła i odchyliła się na oparcie krzesła.
- Ponieważ ubłagałam go, żeby to zrobił.
 - Wiedziałaś! - wykrzyknęła Denver. - Wiedziałaś!
 - Twój ojciec był łajdakiem, Denver! Ktoś musiał go powstrzymać!
 - To nieprawda! Był miły, uprzejmy i kochający... Nigdy nie powinien był się ożenić z taką... z taką dziwką jak ty!
 - Zamknij się, Denver! - powiedział ostro Bertie.
 - To ty się zamknij, głupia cioto! Gównu wiesz!
 - Denver! - próbowała uspokoić ją Mary Liz.
 - Nie wtrącaj się w nasze sprawy! Myślisz, że nie wiem, kim jesteś! Jesteś córką Indii Reynolds, ukochanej przyjaciółeczki mojej matki. Tak ukochanej, że moja matka pieprzyła się z twoim ojcem. Wiedziałaś o tym? Mój ojciec wiedział i to złamało mu serce. Jeśli kiedykolwiek zrobił coś złego, to dlatego że ona go zniszczyła! Zdradziła i zniszczyła!
 - Wiem, że mój ojciec i twoja matka mieli romans - odparła spokojnie Mary Liz, choć doprawdy trudno było o spokój w takiej sytuacji. - Zakochali się w sobie, czego twój ojciec nie był w stanie zrozumieć.
 - Głos jej się lekko załamał. - Moja matka wybaczyła zdradę, nadal jest z tatą...
 - To prawda - wtrąciła nagle Claire. - Tymczasem twój ojciec, Denver, okazał się potworem. Być może zawsze taki

435

był, nie mam pojęcia. Ja się o tym dowiedziałam pięć i pół roku temu. Sama chciałam go zabić.

Henry popatrzył na byłą żonę z przerażeniem.

- Czemu? Co on takiego zrobił?

- Nieważne, Henry. To było kiedyś, a teraz on nie żyje i nikt nie będzie musiał się go obawiać. Dzięki Bogu.

- Och, zamknij się, suko! Zamknij, zamknij! - wrzeszczała Denver, zatykając uszy. - Zamknijcie się wszyscy! Wszyscy kłamiecie!

Jeanine wstała, podeszła do Denver i położyła dłonie na jej ramionach.

- Przykro mi, Denver. Powinnaś chyba wiedzieć, że...

- westchnęła. - Nie mogę. Powiedz jej, Juliusie.

- Posłuchaj, Denver - rzekł Julius z poważną miną - ja również go kochałem. Kiedyś, jako młody chłopiec, uważałem go za najwspanialszego człowieka na ziemi. - Pokręcił ze smutkiem głową. - Ale ojciec miał ze sobą mnóstwo problemów. Uczynił wiele złego... - odchrząknął nerwowo - Na przykład molestował seksualnie nieletnie dziewczynki.

- Spojrzał na Bertiego. - Dlatego właśnie tak się z nim kłóciłem, aż wreszcie kompletnie się poróżniliśmy.

A więc jednak Julius ma jakieś pozytywne cechy, pomyślała Mary liz.

- Nie wiedziałam o tym, Denver - wtrąciła Nancy. - Przysięgam, że nie miałam o niczym pojęcia, dopóki nie powiedziała mi Claire. Nie mogłam tego zlekceważyć. - W oczach wezbrały jej łzy. - Stawiłam mu czoło, zagroziłam i zaczął się leczyć.

- Ale czemu z nim zostałaś, mamó? - spytał Bertie. - Jak mogłaś?

- Ponieważ był twoim ojcem i zrobił to, czego od niego zażądałam - poddał się leczeniu. Ani ty, ani Denver nie byli-

ście niczemu winni i zasługiwaliście na to, żeby mieć ojca takiego, jakim był kiedyś.

- I co się stało? - spytała Mary Liz.

- Niestety... Gdy wróciliśmy do domu z Irlandii, historia znów się powtórzyła. - Nancy spojrzała na Claire, potem zasłoniła oczy dłonią. - Zrobił to z trzynastoletnią córeczką sąsiadów, a potem... potem próbował przekupić jej matkę. - Przeniosła spojrzenie na Sky'a. - Poszłam więc do Herba i powiedziałam, że już dłużej nie mogę. Spytałam, co mam zrobić, żeby Alfred zszedł z tego świata, a on zażądał pięćdziesięciu tysięcy na wydatki i obiecał, że nie muszę się o nic więcej martwić. Dałam mu pieniądze. Gdy zaś usłyszałam, że samolot z Alfredem rozbił się, a on poniósł śmierć na miejscu, odczułam niewymowną ulgę. Przykro mi, moje dzieci, ale tak właśnie było...

- Doceniam pani szczerść - rzekł Sky. - Dzieci miały prawo wiedzieć.

Denver strąciła z ramienia dłoń Jeanine i wstała z miejsca. Drżała na całym ciele. Sky chwycił ją za ramię i lekko potrząsnął.

- Posłuchaj, Denver - powiedział. - Twoja matka nie jest odpowiedzialna za śmierć ojca. Myślała, że jest, a Glidden zrobił wszystko, żeby ją w tym przekonaniu utwierdzić.

- Kazała to zrobić! - Denver wybuchnęła płaczem.

- Owszem - przyznał Sky - ale FBI i specjalna komisja zbadały ponownie okoliczności wypadku i poddały analizie każdy szczątek samolotu. Katastrofa była przypadkowa. Co do tego mamy absolutną pewność. Nastąpiła z powodu usterki technicznej.

Nancy Hoffman zaniósła się nagle histerycznym śmiechem.

- Boże, to jakaś czarna komedia! Muszę oddać Herbowi, że... że... że był cholernie cwany do samego końca!

Denver nie wytrzymała napięcia, odwróciła się i wybiegła z domu. Bertie ukrył twarz w dłoniach i powiedział zduszonym głosem:

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć, mamó. Powinnaś była przyjść do mnie.

437

- I poprosić cię, żebyś zabił ojca? Doprawdy, kochanie... I co teraz? - spytała Sky'a. - Zostanę aresztowana, prawda?

Sky nie odpowiedział. Zwrócił się do Charlesa Kahna i zapytał:

- Gdy wróciłeś ostatnio z podróży służbowej, spotkałeś na lotnisku Mary Liz, Bertiego oraz Wendy, czy to prawda?

Charles skinął głową.

- A potem zadzwoniłeś do kogoś z samochodu. Do kogo? Komu powiedziałeś, że ich spotkałeś?

Charles milczał.

- Zameldowałeś, że Mary Liz leci na Manhattan helikopterem i że wyląduje w pobliżu „Water Club”, a osoba, której o tym powiedziałeś, to ten sam człowiek który zmusił cię, żebyś zabił Herberta Gliddena, czy to potwierdzasz?

Charles zaciskał usta, jakby bał się cokolwiek powiedzieć.

- Człowiek ten został przysłany na miejsce Gliddena, prawda? Z rozkazami, by się go pozbyć, ponieważ zwraca na siebie zbyt dużą uwagę i partaczy robotę. Poza tym jego mocodawcy nie chcieli, żeby został właścicielem „JHowland Films” i wykorzystywał wytwórnię do prania własnej forsy, bo mógł robić to nieudolnie. Sami zresztą zauważyliście, że ostatnio zrobił się kapryśny i nieznównoważony. Biorąc więc pod uwagę piekło, jakie ci zgotował, pomyślałeś, Charles, że nie masz nic do stracenia i zgodziłeś się go zabić. Uznałeś, że możesz tylko na tym zyskać, tak?

- Nie - powiedział Charles, podnosząc wreszcie wzrok. - Nie dlatego to zrobiłem. Zgodziłem się, ponieważ zagrozi-

438

li, że zrobią krzywdę Rachele. - Przełknął ślinę. - Boję się

onią...

- Zapewnimy jej ochronę - obiecał Sky. - Ale musisz zdradzić, kto groził, że zrobi jej krzywdę, kto kazał ci zabić Gliddena i do kogo dzwoniłeś, gdy spotkałeś Mary Liz na lotnisku.

- Powiedz, Charles - poprosiła cicho Rachele. - Na pewno nic mi się nie stanie. - Łzy popłynęły po jej policzkach. - Musisz powiedzieć.

- Ale oni cię znajdują, Rachele. A ja... tak bardzo cię kocham...

- Nic jej nie zrobią! - zapewniła go Sasha. - Spójrz na mnie, Charles. Nastają na mnie najprzeróżniejsze czubki

i dziwadła, a ja wciąż żyję. Nauczę ją, jak żyć w zagrożeniu - dodała łagodniej. - Ale ty musisz się oczyścić. Na miłość boską, każdy sąd weźmie pod uwagę, że byłeś szantażowany i zastraszony!

Sky sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął z niej identyfikator w skórzanym etui i popchnął go po stole w stronę Charlesa.

- Jako prokurator federalny reprezentujący rząd Stanów Zjednoczonych daję ci moje słowo, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zapewnić bezpieczeństwo twojej żonie. Zapewniam cię, że mamy wszelkie powody, by sądzić, że nam się to uda. Cała sprawa jest już praktycznie na widelcu, tu oraz w osiemnastu innych krajach. Mamy namierzone wszystkie grube ryby. Potrzebuję od ciebie tylko tego jednego nazwiska, Charles. Kto jest odpowiedzialny za zamordowanie Herberta Gliddena oraz dwukrotne usiłowanie zabójstwa Mary Liz Scott?

Nie musiał długo czekać na odpowiedź, ale nie była ona taka, jakiej spodziewali się wszyscy siedzący przy stole.

Nim Charles zdążył wymienić nazwisko, z krzesła zerwał się Bill Pfeiffer i przyłożywszy pistolet do głowy Claire, zmusił ją, by również wstała.

- Nie ruszać się! Kelner, na ziemię! Ty również nie bądź taka cwana! No, już!!! Prędeży!!! Agencie Cahill - powiedział do Riffa, uśmiechając się pod nosem - pan również. I pan, panie Preston. Na podłogę! Na brzuch! Jeden ruch, a przestrzelę jej łeb!

- Sukinsyn! - wycedziła Mary Liz. - To ty założyłeś podsłuch w moim domu! Ten twój fachowiec od alarmów...

- Zamknij gębę! Wendy! Ty też kładź się i waruj! A ty idź po gosposię, Mary Liz! Tylko pamiętaj o Claire!

Mary Liz przyprowadziła przerażoną Delores do jadalni, a wtedy Bill okrążył stół, puścił Claire, a jako zakładniczkę wziął Saszę. Pociągnął ją brutalnie za sobą, przyłożył lufę do policzka.

- Tylko mi teraz nie śpiewaj!

- Nie chcesz tego zrobić, Bill...

- Stul gębę, Preston! - warknął Bill, oddając strzał w podłogę, tuż obok Sky'a. Rozległy się krzyki, Sasha zaczęła szlochać. - Mary Liz - poleciał ostro - przynieś poduszkę z salonu. Prędeży! Ty, Buck, przeszukaj tych na podłodze. Wyjmij wszystko. Broń, portfele, wszystko. No, pośpiesz się! Mary liz, zdejmij powłoczkę. Podejdz do Bucka, niech powkłada do niej to, co zabrał. Ruszaj się, Buck! Dobra, teraz połóż kajdanki i kluczyki na kredensie. Charles, podejdz i rozepnij wszystkie. Tylko bądź grzeczny...

Bill schował do powłoczki portfele, dwa komplety jakichś przewodów, trzy odznaki, cztery karty identyfikacyjne, sześć pistoletów i kluczyki do czterech par kajdanek. Potem przykuł przegub Riffa do kostki kelnerki, która okazała się agentką, jej drugą kostkę do przegubu jej kolegi, ft pOOgub Sky'n

440

do kajdanek pomiędzy nimi. Jeśli idzie o Wendy, po prostu skuł jej ręce za plecami.

- Posłuchaj, droga Sasho - powiedział, prowadząc ofiarę w kierunku drzwi - dopóki nikt nie będzie próbował nas zatrzymać, nie strzelę do ciebie. Jeśli jednak będę musiał to zrobić, strzelę prosto w krtani, żebyś miała szansę przeżycia. Możesz stracić swój piękny głos. Ale nie musisz. Słyszeliście? Proponuję, żebyście zaczekali z jakimikolwiek posunięciami, dopóki nie uwolnię panny Reinhart. Potem możecie strzelać do mnie do woli. To chyba uczciwa propozycja, co?

Debbie i Travers byli zdumieni i przerażeni. Żadne akta nie zawierały informacji, że Bill jest posiadaczem broni ani że był kiedykolwiek zamieszany w napady, uprowadzenia i inne akty przemocy. Nie służył nawet w wojsku, a tymczasem sterroryzował prawie dwadzieścia osób, wziął super-gwiazdę jako zakładniczkę i unieszkodliwił czworo przedstawicieli prawa oraz jednego prywatnego detektywa.

Akcję podjęto natychmiast. W ciągu piętnastu minut helikopter ze specjalnymi oddziałami policji wylądował na plaży. Zablokowano wszystkie drogi, uwolniono skutych kajdankami funkcjonariuszy, aresztowano Charlesa Kahna i kazano wszystkim opuścić rezydencję. Sky włączył się do tych działań, wcześniej instruując Mary Liz, żeby zaczekała u Buckleyów na telefon od niego.

Zadzwoił dopiero sześć godzin później, w czasie których Buck zdążył wyjaśnić Mary Liz, że ostatniej zimy Sky skontaktował się z nim, ostrzegając, że zamierza go aresztować pod zarzutem prania brudnych pieniędzy dla zorganizowanej grupy przestępczej. Buck zgodził się na współpracę. Miał wydać współwinnych i stworzyć przykrywkę dla Sky'a, żeby ten mógł przeniknąć w czasie wakacji do śmietanki towarzyskiej East Hampton.

- Och, Buck - zdenerwowała się Vanessa. - Czemu mi nie powiedziałeś?

442

- Po co miałem cię w to mieszać? Mamy różne problemy, Nesso, ale nawet ty nie zasługujesz na coś takiego.

- Przyjmuję te słowa za chęć pojednania - powiedziała, podchodząc do skózanego fotela, w którym siedział. Usiadła obok niego, ujęła go za rękę. - Naprawdę stworzyłeś pierwszorzędny klub, Buck. Właśnie wtedy rozległ się dzwonek telefonu i w słuchawce odezwał się Sky.

- Zgubiliśmy go - powiedział. - Cholera jasna, możesz w to uwierzyć? Siedzimy tu od czterech godzin, a po nim ani śladu. Zniknął. Wyparował!

- AcozSashą?

- W porządku. Przepraszam, powinienem był powiedzieć ci o tym w pierwszej kolejności. Znaleźliśmy ją w jej mieszkaniu, związaną w szafie. Czy mogłabyś tu przyjechać, Mary Liz? Jest okropnie roztrzęsiona i przydałoby się jej twoje towarzystwo.

- Oczywiście, już jadę. Aha, jeszcze Buck chce zamienić Z tobą dwa słowa.

Gdy Mary Liz zjawiała się u Sashy, wszędzie wokół nadal kręciła się policja. Niedługo jednak mieli przenieść się stąd do Brighton Beach na Brooklynie, gdzie podobno widziano poszukiwanego Williama Pfeiffera.

- Proszę cię, uspokój Sashę - poprosił Sky Mary Liz. - Jest całkowicie bezpieczna, zaangażowaliśmy dodatkowe środki.

- A ty? Dokąd jedziesz?

- Do Nowego Jorku. Muszę przyjrzeć się tej sprawie. - Zaklął jak szewc, co mu się nigdy nie zdarzało.

- Ciągle nie wierzę, że udało mu się uciec.

- Jedź, Sky, na pewno go znajdziecie. - Pocałowała go w policzek. - Tylko proszę, bądź ostrożny.

443

Nieszczęsna Sasha była strzępkiem nerwów. Szperała długo w swoich zapasach ziół, kryształach, algach i amuletach, po czym przyjęła z wdzięcznością radę Mary Liz, że brandy będzie jednak najlepszym lekarstwem.

Przeszła do salonu i pociągnęła spory łyk wprost z butelki. Mary Liz wyjęła alkohol z jej drżących palców i wręczyła jej mały nadajnik, który dał jej Sky z poleceniem, by Sasha miała go przy sobie przez całą noc. Następnie przeszły razem do sypialni i medytowały na podłodze przez piętnaście minut (ach, ta Sasha). Wreszcie sprowadziła ją na dół, gdzie zjadły razem kolację (odgrzany ryż z warzywami i grzanki z masłem).

Przed snem przygotowała jej gorącą kąpiel, później zaś poczytała jej na dobranoc książkę, pocałowała w czoło i zgasiła wszystkie światła oprócz tego w łazience. Odmeldowała się u pilnujących mieszkania policjantów, po czym wyszła na dwór.

Choć dawno wybiła już jedenasta, powietrze wciąż było gorące i parne. Na terenie posiadłości paliły się wszystkie zewnętrzne światła w mglistych aureolach. Mary Liz wstąpiła po drodze do domku gościnnego, żeby zobaczyć się z Wendy.

- Czy wiesz, że ta głupia dziwka, Denver, słyszała wszystko z werandy? - rzekła gniewnie Wendy. - Nawet nie zawiadomiła policji! Siedziała sobie, czekając, aż Pfeiffer powystrzela nas wszystkich.

- Gdzie ona teraz jest?

- Na szczęście u Juliusa i Jeanine. Bertie został z matką, rozmawiają z adwokatem. Jutro rano przyjedzie policja, by aresztować Nancy. Adwokat uważa, że uda im się zwolnić ją za kaucją jeszcze tego samego dnia.

- Jestem pewna, że Sky im jakoś pomoże.

444

- Mam nadzieję. Drzę na myśl o tym, co stanie się z Bertiem, gdy zabraknie mu matki.

- A mi się zdaje, że nie byłoby to dla niego najgorsze wyjście - uśmiechnęła się Mary Liz.

Gdy wróciła do siebie, zastała w drzwiach kartkę z prośbą o telefon do Wielkiego Domu. Liścik zostawił Bertie. Przekręciła klucz w drzwiach, weszła do środka i wcisnęła odpowiedni kod, by wyłączyć alarm. Zapaliła kilka lamp, poszła do łazienki, po czym wróciła do kuchni, nalała sobie kieliszek wina i zadzwoniła do Bertiego.

- Jutro rano mają aresztować mamę - powiedział bez wstępów.

- Wiem o tym.

- Czy mogłabyś wpaść na śniadanie o wpół do dziewiątej? Mama chce ci chyba podziękować za to, co powiedziałaś Denver. Wiesz o czym.

- O niej i o moim ojcu. Powiedz cioci Nancy, że z przyjemnością zjem z nią śniadanie.

Później wysłuchała wiadomości zostawionych na automatycznej sekretarce i zadzwoniła do rodziców, żeby ich uspokoić, iż ma się dobrze, nic jej nie jest, a opowie im o wszystkim rano, gdy się wyśpi i odpocznie.

Przeszła do salonu z kieliszkiem wina i włączyła telewizor. Na wszystkich stacjach mówiono tylko o jednym, nie trzeba było nawet słuchać spikera, by się o tym przekonać. Mary Liz rejestrowała kolejne obrazy - Sasha Reinhart, jej mieszkanie, Alfred Hoffman, Wielki Dom sfotografowany z helikoptera, morskie fale i wreszcie legitymacyjne zdjęcie Billa.

Bill Pfeiffer...

Kto by przypuszczał? Pomyśleć, że to ten sam człowiek, którego widywała z jego małą córeczką, ten sam, który pra-

445

cował z jej ojcem, ten sam, który rozjaśnił życie Claire Mac-Clendon... Biedna Claire.

Wyłączyła telewizor i zaniósła kieliszek do kuchni. W sypialni zastanawiała się jeszcze, czy nie powinna poczekać na Sky'a, ale była zbyt zmęczona. Zaciągnęła zasłony, podeszła do szafy po piżamę, rozsunęła drzwi.

Za drzwiami stał Bill Pfeiffer.

Nie krzyknęła, ale cofnęła się gwałtownie, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Przykro mi, Mary Liz - powiedział, celując do niej z pistoletu - ale potrzebuję twojej pomocy. Włóż adidasy i weź kluczyki do samochodu. Pamiętaj, bądź spokojna, to nic się stanie.

- Nie wierzę - wyszeptwała, bardziej zirytowana niż przestraszona. Na miłość boską, przecież to Bill, facet, którego lubiła i z którym pracowała przez ostatnie dwa miesiące! - Jak się tu, do diabła, dostałeś?

- Mój spec od alarmów podał mi kod. Dorobił też klucze. Dobry Boże. To znaczy, że Bill spędził w jej domu wiele

godzin. Miał czas, żeby zjeść, odświeżyć się. Przebrał się nawet w rzeczy Sky'a - niebieskie dżinsy i białą koszulkę polo.

- No dobrze, Mary Liz. Ubieraj się. Później sobie pogadamy.

Posłusznie włożyła i zasznurowała adidasy.

- Naprawdę miałabym ochotę ci przyłożyć. - Podniosła się. - Może warto byłoby dać się zastrzelić, ale najpierw zemścić się za Claire.

Bill roześmiał się szczerze.

- Typowe! Dla kobiety największy grzech to udawane randki z jej przyjaciółką.

446

- A twoja córeczka, Bill? Mój Boże, jak mogłeś się w to wplątać? Zmarnowałeś życie Jenny, nie pomyślałeś o tym?

Była teraz bardziej zatroskana i współczująca niż wściekła, Bill jednak szybko pozbawił ją złudzeń. Zanim zdążyła się zorientować, uderzył ją w twarz ręką pistoletu, aż zatoczyła się na ścianę.

- Zamknij się, Mary Liz! Wychodzimy! I pamiętaj, następnym razem złamię ci nos!

Nie krwawiła, ale czuła, że rośnie jej na czole następny guz. Skuliła się na samą myśl, że Bill mógłby uderzyć ją w nos, który dopiero niedawno się zagoił.

- Dokąd jedziemy?

- Zamknij się, powiedziałem! Ani słowa więcej. Wychodzimy razem i wsiadamy do twojego samochodu. To ci na razie wystarczy.

Na zewnątrz rozejrzała się, szukając wzrokiem policjantów. Przecież ktoś musi pilnować Wielkiego Domu. Czy nie boją się, że Nancy wyjedzie, ucieknie za granicę?

Och, jeśli nawet, to mało prawdopodobne, żeby zobaczyli ich tutaj, w ciemności.

- Opuść dach - rozkazał, gdy znaleźli się w aucie. - Dobrze. Teraz włącz silnik i jedź w kierunku drogi numer 27. Jeśli nas zatrzymają, zwracaj się do mnie tak jakbyś mówiła do Sky'a. A jeśli zachce ci się czegoś innego, strzelę ci prosto w twarz.

Zapięli pasy. Jedną rękę Bill położył na oparciu za plecami Mary Liz, w drugiej, pod gazetą, trzymał pistolet. Zauważyła, że ma na nosie okulary Sky'a. Wyjechali z podjazdu i skręcili w prawo, obok podjazdu do domu Sashy. Nikt ich nie zatrzymał; jeden z funkcjonariuszy odpowiedział nawet przyjaznym machnięciem ręki na podobny gest Billa.

Co teraz?

447

Skierowali się na dwudziestą siódmą, gdzie Bill polecił Mary Liz, by skręciła na wschód. Jechali prawie czterdzieści pięć minut, aż do rozgałęzienia dróg, potem Old Montauk Highway wzdłuż wybrzeża, cały czas w całkowitym milczeniu. Wreszcie Bill kazał jej zwolnić i skręcić w najbliższy żwirowany podjazd, prowadzący w dół, w kierunku oceanu. Na końcu drogi znajdował się mały domek i przystań. W niej zaś zacumowana była długa cylindryczna łódź wyścigowa.

Wysiedli z samochodu, Bill poprowadził ją do przystani. W łodzi, przy kierownicy, siedział jakiś mężczyzna. Bill skinął do niego głową, a do Mary Liz powiedział:

- Jesteśmy na miejscu. Wsiadaj, Mary Liz.

- Daj spokój, nie chcę. Zostaw mnie tutaj.

Drugi mężczyzna wstał i wyciągnął do niej rękę. Zrezygnowana, uchwyciła się jej i wgramoliła na pokład. Mężczyzna uruchomił silnik, Bill rozejrzał się dookoła, po czym również wskoczył do łodzi. Jeszcze chwila i wypłynęli na otwarty ocean, po ciemku, bez Włączonych świateł.

Pojedyncze światelka na brzegu stawały się coraz bardziej odległe. Gdy odpłynęli od niego jakieś trzy kilometry, sternik zatrzymał łódź, zostawił silnik na wolnych obrotach i zapalił oświetlenie tablicy rozdzielczej.

- Nie bądź głupi, Bill, mnie nie musisz zabijać - powiedziała Mary Liz, z trudem przełykając ślinę przez ściśnięte strachem gardło.

- Nie jestem głupi - odrzekł, czekając, aż sternik wyjmie spod siedzenia pomarańczową kamizelkę ratunkową. - Widzisz? Niektórzy powiedzieliby, że mam do ciebie słabość. Włóż to.

Posłuchała go.

- Jesteśmy jakieś trzy kilometry od brzegu - powiedział.

448

- Ocean ma około dwudziestu stopni, na pewno nie zamarzniesz. Płyn w tamtą stronę. No, już! Popatrzyła da czarną wodę, zdającą się nie mieć końca, i wstrząsnął nią dreszcz. Czyżby Bill ofiarowywał jej życie? Czy powinna mu zaufać? To przecież mógł być podstęp. Czy jednak miała jakieś inne wyjście?

Postawiła stopę na burcie i odwróciła się do niego.

- Cóż, dziękuję za dokończenie tej inwentaryzacji, Mary Liz - powiedział i wyciągnął do niej dłoń.

- Chyba żartujesz! Opuścił rękę.

- Powiedz Claire, że moje uczucia były prawdziwe.

- Bill!

- Żegnaj, Mary Liz - powiedział, gdy sternik ponaglił ją gestem. - Nie zobaczymy się już nigdy.

Skoczyła do wody, przekonana o tym, że za chwilę ją zastrzeli. Tak, w kamizelce ratunkowej stanie będzie świetny cel. Poczwała obmywające ją zimne prądy, przepłynęła kilka metrów pod powierzchnią, wreszcie wynurzyła się ~ i obejrzała.

Bill poczekał, aż łódź odpłynie na wolnych obrotach na bezpieczną odległość, a potem dał znak sternikowi, żeby zwiększył prędkość. Po kilkunastu sekundach został po nich już tylko malutki kształcik na powierzchni oceanu.

Mary liz wzięła głęboki oddech, wybrała sobie w ciemności jedno z migoczących w oddali światełek jako cel i zaczęła płynąć.

W trzy dni później Mary Liz rozmawiała z ojcem przez telefon.

- Uwierz mi, tatusiu, to prawda. Policja uważa, że został zabrany z łodzi przez helikopter do Logan, tam wsiadł na pokład samolotu lecącego do Islandii i przesiadł się na rosyjski frachtowiec czy coś w tym rodzaju. A jego córka została porwana wczoraj w Central Parku i do tej pory jej nie odnaleziono...

Do kuchni wszedł Sky. Otworzył suszarkę i wyjął z niej czyste ubrania.

- Sky twierdzi, że zwerbowano go, gdy mieszkał w Londynie - mówiła dalej Mary Liz. - Mieli coś na niego - podobno jakąś nielegalną transakcję... Do licha, tak! Płacili mu ciężkie pieniądze! Dorobił się, ale żona i tak go porzuciła. Posłuchaj, tato, opowiem ci o wszystkim później. Sky szykuje się właśnie do wyjazdu. - Przez chwilę słuchała, co mówi ojciec. - Tak, będę. Ja też cię kocham. Do zobaczenia. -

Odłożyła słuchawkę. - Tata przekazuje ci najwyższe wyrazy uznania.

- Za co? - mruknął Sky z ponurą miną. - Za spieprzenie dwóch lat dochodzenia?

- Daj spokój, to tylko jeden facet - powiedziała, podchodząc blisko i obejmując go z czułością. - Prędzej czy później i tak go złapiesz. - Odsunęła się i zaczęła mu pomagać w sortowaniu ubrań. - Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

450

- Zrobiłaś i tak o wiele za dużo. Czy masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?

- Nie mam - odrzekła bardzo z siebie zadowolona.

- To jeszcze się przekonasz-zapowiedział i pocałował ją namiętnie. - Muszę jechać, kochanie. -

Oderwał się od jej ust. - A ty? Kiedy lecisz?

- Za dwie godziny. Potem wracam do Chicago, żeby zajrzeć do skrzynki na listy.

- A później?

- Później, najdroższy - szepnęła - mam randkę z pewnym znajomym dżentelmenem, który jest właścicielem domku w Wirginii oraz starego żółtego mercedesa.

Gdy Sky wyjechał do Waszyngtonu, Mary Liz złożyła wizytę w domku gościnnym. Na podjeździe stał Range Rover, w środku nie zastała jednak ani Bertiego, ani Wendy. Poszła poszukać ich w pobliżu i natknęła się na nich w domku plażowym.

Oboje popijali piwo, ubrani tylko w kostiumy kąpielowe. Wendy leżała na kanapie, Bertie zaś - mocno zmęczony - na podłodze obok lodówki. Mary Liz podeszła do niego zdecydowanym krokiem, wyjęła mu puszkę z ręki i wylała piwo do zlewu.

- Hej! - zaprotestował leniwie. Popatrzyła znacząco na zegarek.

- Za godzinę przylatuje wspólnik mojego ojca, żeby omówić z tobą wyniki inwentaryzacji majątku.

- Ze mną?

- Tak z tobą. Masz wziąć prysznic, przebrać się i wyglądać jak należy, jasne? Na początku ci pomogę, ale potem przejmujesz sprawę. Pamiętaj, że wszyscy będą zwracali się do ciebie.

Wstał powoli, wyraźnie zakłopotany, jakby bał się wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

451

- Co będę musiał zrobić?

- Podpisać pewne dokumenty, które uczynią cię współ-wykonawcą testamentu Alfreda Hoffmana. Będziesz realizował jego postanowienia wraz z moim ojcem.

- Ja?

Mary Liz skinęła głową.

- Nie znam lepszego kandydata. To ty jesteś teraz głową rodziny, Bertie. Od ciebie zależy przywrócenie dobrego imienia Hoffmanom. Mój ojciec ci pomoże, ja też, ale przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz musiał radzić sobie sam. I jestem pewna, że poradzisz sobie wspaniale.

Bertie uśmiechnął się, słysząc ten komplement, po czym chwycił Mary Liz w objęcia i uniósł do góry. Roześmiała się i zaczęła wyrywać, lecz Bertie wcale nie miał zamiaru postawić jej z powrotem na podłodze.

No proszę, samo szczęście - na dodatek najwyraźniej straciła nieco na wadze! Ech, lato w East Hampton...

- Musisz mi obiecać, że będę mógł czasem do ciebie zadzwonić - powiedział, puszcżając ją wreszcie.

- Kiedy tylko zechcesz - przyrzekła. - I jeszcze jedno. Ty i Jake stanowicie dobry przykład. Pokażcie jej - skinęła głową na Wendy - jak powinien wyglądać naprawdę udany związek.

Nie była pewna, czy dobrze zrobiła, że to powiedziała. Co innego tak zwana tolerancja, co innego nie potępianie ludzi z powodu ich odmiennych orientacji, a co innego otwarte namawianie do homoseksualnego związku. Och, Mary Liz zawsze chciała być taka wyrozumiała i poprawna, że czasami traciła miarę.

Czy teraz też? Chyba tak bowiem oboje patrzyli na nią ze zdumieniem.

Pierwszy ochłonął Bertie

- Jaki przykład? O czym ty mówisz? - Uniósł dłonie w obronnym geście. - Muszę przyznać, że pomysł jest sympatyczny, ale wierz mi, nic by z tego nie wyszło, nawet gdybym chciał.

Natomiast Wendy turlała się ze śmiechu po kanapie.

- Nie wierzę! Mary Liz jako ciocia „dobra rada”! Och, Bertie, daj mi dobry przykład!

Mary Liz zrobiło się głupio.

- O co chodzi? - spytała wreszcie błagalnym tonem. - Czy aż tak bardzo się zbłądziłam? Możecie mi wreszcie wyjaśnić, co was tak rozśmieszyło? Może sądziliście, że to był żart? Jeśli tak, to chciałabym wam powiedzieć, że...

- To nie żart, Mary Liz. - Teraz Bertie pokładał się ze śmiechu. - To rzeczywistość. Zrozumiałaś wszystko opacznie. Jake nie należy do mnie, należy do mojej matki!

Gospoia wpuściła ją do środka i Mary Liz skierowała się prosto na górę, do sypialni Sashy. Gwiazda krzątała się właśnie wśród ubrań, zaścielających całą powierzchnię pokoju, a jakiś mężczyzna na balkonie obserwował ocean przez lornetkę.

- Cześć - powitała ją, upychając ciuchy w walizce.

- Cześć - odrzekła Mary Liz. - Szkoda, że wyjeżdżasz.

- Szkoda - przyznała Sasha. - Niestety, Rachelle jest w fatalnym stanie i na jakiś czas muszę przenieść się do niej na Manhattan. Nie może zostać tutaj, bo ludzie nie dadzą jej spokoju, a poza tym nie chce Charlesa zostawić samego. Ktoś musi odwiedzać go w więzieniu, inaczej tego nie przeżyje. Jest zbyt delikatny.

Hm, delikatny morderca. Intrygujące zestawienie, pomyślała Mary Liz.

- Pozwól, Mary Liz, to mój nowy ochroniarz, Jeff. -

Wskazała gestem głowy w stronę balkonu. Mężczyzna odjął lornetkę od oczu, spojrzął na Mary Liz i uśmiechnął się do niej. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że miałam przez cały ten czas ochroniarza, który był agentem FBI.

- A wyobraź sobie, jak ja się czułam, gdy mi powiedziano, że FBI założyło podsłuch w moim domu!

- A na dodatek okazało się, że Riff jest żonaty!

- Rzeczywiście, straszne - roześmiała się Mary Liz. - Och, Sasho, będzie mi ciebie bardzo brakowało. Tak, dodała w myślach, będzie mi brakowało was wszystkich,

- Och, o mnie akurat nie musisz się martwić - rzekła z lekką irytacją Claire MacClendon, wrywając kolejny chwast ze swego ogródka. - Czuję się dobrze. Mam po prostu dość ludzi, którzy próbują ze mną o tym rozmawiać, i dlatego siedzę w domu.

- Postawmy sprawę jasno, Claire - odparła z nie mniejszą irytacją Mary Liz. - Wcale się o ciebie nie martwię. Jesteś utalentowaną, piękną kobietą, której po prostu trzeba czasem o tym przypominać.

- Przestań, Mary Liz - powiedziała cicho Claire. - Jesteś kompletną idiotką. Kochaną idiotką - dodała łagodniej. Przykucnęła, zdjęła rękawiczki i rzuciła je na ziemię. - Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy się ma pięćdziesiąt dwa lata.

- Wstała. - Kiedy będziesz w moim wieku, zrozumiesz, o czym mówiłam.

- Wiem, że zależało mu na tobie.

Claire w milczeniu zmierzyła ją wzrokiem.

- Wiem też, że kochał Jenny ponad wszystko w świecie

- dodała Mary Liz. - Chciał, żeby cię poznała, polubiła, żeby czekała na spotkania z tobą. Pozwolił jej mieć nadzieję, że

staniesz się częścią jej życia, a jej ojca uczynisz szczęśliwym. On też pragnął, żebyś stała się częścią jego życia...

Claire wybuchnęła płaczem. Mary Liz podeszła do niej i objęła ją serdecznie.

- Mój Boże, Mary Liz - powiedziała przez łzy - przecież on jest właściwie mordercą.

- Ale cię kochał. Kazał mi to powiedzieć.

- Och...

- Ciociu Nancy? - zawołała cicho Mary Liz.

Ashley usłyszała ją i natychmiast podbiegła, by polizać jej rękę.

W poniedziałek Nancy została aresztowana, postawiona w stan oskarżenia i zwolniona za kaucją późnym popołudniem. Teraz stała przy rozsuniętych szklanych drzwiach, patrząc na ocean.

- Chciałam ci powiedzieć, że możesz być dumna z Bertiego. - Mary Liz stanęła obok niej. -

Zostawiłam go z nowym pełnomocnikiem i świetnie sobie radzi. Prawie codziennie będą rozmawiali z tatą, ja również będę dzwoniła, ale Bertie uczy się tak szybko, że wkrótce stanie się samodzielny w tych sprawach. Możesz mu zaufać, naprawdę ma głowę na karku.

- Jak zawsze jesteś przemiła, droga Mary Liz. - Nancy westchnęła, krzyżując ręce na piersi. - Jak ja ci się odwdzięczę za wszystko, co dla nas zrobiłaś, kochanie? - Łzy stanęły jej w oczach. - Jesteś wielkoduszną i wrażliwą kobietą. Nigdy ci nie zapomnę tego, jaka byłaś dla mnie dobra, mimo że wiedziałaś o tym, co zdarzyło się wiek lat temu.

- Ja natomiast uważam, że trzeba być wyjątkowo wielkoduszną i wrażliwą osobą, żeby zrobić to, co ty zrobiłaś dla małego Marka w Paryżu.

- Nie przesadzaj - westchnęła Nancy. - Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić.

Wczoraj, po długiej rozmowie na temat podziału majątku, Nancy podjęła decyzję, żeby poinformować matkę chłopca, kim był naprawdę jego ojciec. Mary Liz w pierwszej chwili jej to odradzała. Nie wiedziała, jak zareagują pozostali spadkobiercy, prawnicy, wreszcie sama Elienne Bresseau. Ostatecznie jednak zgodziła się, że tak po prostu powinno się zrobić.

Poza tym dała jej wykaz wszystkich nieletnich dziewcząt, które znalazła w kartotece Alfreda, wraz z informacjami, które mogły być pomocne w ich odnalezieniu. Co dalej Nancy uczyni z tą listą, nie wiedziała i nie chciała mieć na to żadnego wpływu. Intuicja podpowiadała jej jednak, że ciotka myśli o jakimś zadośćuczynieniu.

- Ten dom należy do mnie - powiedziała teraz Nancy, spoglądając na Mary Liz - ale zamierzam go sprzedać. Mam trochę odłożonych pieniędzy i mogę żyć dostatnio. Fundacja będzie działać nadal, ale zmienię jej nazwę. Fundacja Hoffmanów - może być? Zakładam, że skłoni to Bertiego, Juliusa i Denver, by regularnie ją wspomagali.

- To wszystko, ciociu, brzmi tak, jakbyś pisała swój testament Wybierasz się już na tamten świat? O sto lat za wcześnie!

- Na razie wybieram się prawdopodobnie do więzienia. Podżeganie do zabójstwa, współudział w spisku... Pomyśl tylko, Mary Liz, gdyby samolot Alfreda rozbił się na chwilę przedtem, nim wręczyłam pieniądze Gliddenowi... - Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - No cóż, jestem pewna, że jakoś się to wszystko ułoży. Powiem ci tylko jedno: nie potrafię powstrzymać się od myśli, że po śmierci Alfreda i Herba ten świat stał się lepszy.

456

Mary Liz nic nie odpowiedziała na te słowa - nie mogła.

- A właśnie, skoro piszemy testament, to i tobie chciałabym coś podarować, Mary Liz.

- Nie trzeba, ciociu. Dokonałaś już tylu darowizn, o które cię prosiłam, że...

- Nie, kochanie - Nancy nie dała jej dokończyć. - To coś szczególnego, tylko dla ciebie. Może znajdzie się trochę miejsca w twoim sportowym samochodzie, co? Na sporego psa, który cię uwielbia?

Mary Liz chwyciła się za serce.

- Ja nie mogę zabrać jej ze sobą - dodała Nancy i spojrzała z uśmiechem na Ashley, która leżała spokojnie u stóp swej przyszłej pani. - A ona cię kocha. Wszyscy cię kochamy, Mary Liz.

EPILOG

Charles Kahn był jedynym członkiem „East End Country Club” i pokerowej paczki Alfreda Hoffmana, który trafił do więzienia.

Buck Buckley, który zgodził się wcześniej współpracować z władzami i udzielił Sky'owi pomocy w wykryciu międzynarodowej grupy przestępczej, współtworzonej przez Gliddena, został całkowicie ułaskawiony. Musiał jednak zrezygnować z klubu, a nowo wybrana rada postanowiła zwrócić wpisowe w wysokości miliona dolarów wszystkim nieamerykańskim członkom mieszkającym za granicą i unieważnić ich członkostwo. Buck podobno nie rozpacza z tego powodu i nie czuje się pokrzywdzony.

Vanessa, zaledwie trzy dni po tym, jak dowiedziała się o kłopotach męża, przyznała się wreszcie do własnych problemów i poddała dziesięcioletniej terapii odwykowej w szpitalu na Rhode Island. Teraz chodzi po świecie trzeźwa (choć ponura) i planuje z Buckiem rozpocząć wszystko od nowa gdzieś w Północnej Karolinie.

Claude oraz Isabelle Lemieux stracili „Je Ne Sais Quoi” i wrócili do Francji. Claude znów pracuje dla ojca Isabelle, a ona znów jest dla niego taka miła, jak kiedyś.

Randolph Vandergilden cierpi na marskość wątroby i nadal pije. Odpoczywa od czasu do czasu w East Hampton, narzeka na jakość swoich win i na to, że jest samotny.

Henry MacClendon również jest sam. Po ujawnieniu związków jego firmy z międzynarodowym procederem prania brudnych pieniędzy, Cindy Claydon opuściła go i wystąpiła o rozwód. Zgodził się, ale wywalczył prawo do codziennego widywania syna, dzieli więc teraz swój czas między Manhattan a East Hampton.

Claire doszła do siebie po szoku i zaczęła pokazywać się publicznie. Ku zdziwieniu wielu stałych i sezonowych mieszkańców Bridgehampton coraz częściej w tych wyjściach towarzyszył jej były mąż, aż wreszcie stało się jasne, że MacClendonowie mimo burzliwych przejść wciąż darzą się uczuciem. Claire robi mnóstwo szumu wokół syna Henry'ego, troszczy się o niego i pokazuje jego zdjęcia, jak gdyby był jej własnym dzieckiem, a ponowne małżeństwo z Henrym zdaje się tylko kwestią czasu. Denver Hoffman trafiła do szpitalu z powodu próby samobójstwa, ale teraz otrząsnęła się z depresji i znów gra w swoim serialu.

Bertie mianował swego przyrodniego brata, Juliusa, prezesem „Howland Films”. Jeanine Hoffman jest nadal ogromnie zajęta odgrywaniem roli przykładowej żony i matki w Beverly Hills i czyni podziwu godne wysiłki, by pomóc Denver w uporządkowaniu jej życia. W większość niedzielnych poranków Denver można spotkać na korcie tenisowym w domu Hoffmanów w Los Angeles, gdzie przyjeżdża na mecz oraz rodzinne śniadanie.

Sasha Reinhart jest bardziej popularna niż kiedykolwiek. Czuje się mniej samotna, ponieważ Rachelle zgodziła się wprowadzić do jednego z czterech domów na jej prywatnym terenie w Malibu.

Zaplanowana na jesień przez „Howland” produkcja filmu z jej udziałem zakończyła się sukcesem i teraz oczekiwana jest premiera. Film ma podobno szansę stać

się wielkim przebojem, a dodatkową reklamą jest dla niego fakt, że podczas kręcenia scen w Teksasie, Sasha zaprzyjaźniła się z pewnym kowbojem-statystą, o którym rozpisyje się od tej pory plotkarska prasa.

Nancy Hoffman odbyła sześciomiesięczną karę więzienia w Kalifornii, a teraz mieszka w gospodarstwie rolnym w Old Bailey w stanie Georgia. Przebywa tam z nią Delores i oczywiście Jake. Zgodnie z jej postanowieniem, majątek Alfreda został podzielony ponownie, tak by w nowym podziale uwzględniony został Mark Bresseau, którego DNA okazało się identyczne z DNA Alfreda. Różnicę, która powstała na niekorzyść trójki starszych dzieci, uzupełniła z własnej części spadku. Bertie Hoffman przeniósł się do mieszkania nr Manhattan i jest bliski uzyskania tytułu MBA na New York University. Jeśli chodzi o sprawy osobiste, to spotyka się otwarcie z lekarzem internistą, który ma na imię Matthew.

Wendy Mitchell często widuje się z Bertiem. Najczęściej umawiają się w czwórkę i żeby nie gorszyć publiczności (na przykład na rozmaitych imprezach dobroczynnych) Wendy wspiera się wówczas na ramieniu Bertiego, zaś jej przyjaciółka Lucy chodzi pod rękę z Matthew.

Sky wciąż pracuje nad unieszkodliwieniem mafii. Pewni ludzie w Waszyngtonie namawiali go gorąco, żeby wykorzystał swoje ogromne doświadczenie, które nabył w sprawie prania brudnych pieniędzy, i wystartował w rywalizacji o urząd prokuratora generalnego. Jednak on nie wykazał zainteresowania tą propozycją. Wtajemniczeni twierdzą, że upłynie jeszcze wiele lat, zanim dochodzenie zostanie zakończone, a ambitny Sky zamiast piastować honorową funkcję, ma nadzieję złapać w sieć najgrubsze ryby. Zdaje się, że wciąż nie może się pogodzić z ucieczką Wiliama Pfeiffera.

460

Nawiasem mówiąc, ani Pfeiffer, ani jego córka Jenny nie zostali dotychczas odnalezieni.

Co do Mary liz, to po zakończeniu inwentaryzacji radośnie przyznała się rodzinie i przyjaciołom, że kompletnie straciła głowę. Rozpoczęła nowe życie, wynajęła komuś swoje mieszkanie w Chicago, sprzedała luksusową toyotę, wzięła ze sobą Ashley i pojechała starym LeBaronem do Wirginii. Na próbę.

Obecnie jej mieszkanie w Chicago wystawione jest już na sprzedaż i zanosi się na przeprowadzkę. Tak jak się spodziewali, kłóca się ze Sky'em od czasu do czasu (Boże, jakież jest uparty w pewnych sprawach!), ale ich wspólne życie toczy się zadziwiająco gładko. Czasami są tym lekko przestraszeni - gdy mają wrażenie, jak gdyby spotkali się od razu w samym środku miłości, zamiast na początku. - Cóż, być może starzejemy się po prostu w ten sam sposób - mawia Mary Liz z uśmiechem i wtula się z westchnieniem w szyję Sky'a.

Na palcu nosi zaręczynowy pierścionek, data ślubu jest ustalona od dawna - i nic nikogo już nie dziwi. Jedyna prawdziwa niespodzianka spotkała członków firmy „Reston, Kellaher”, gdy przeczytali w „Wall Street Journal”, że niejaka Mary Elizabeth Scott, ich była współpracowniczka, została zatrudniona w Departamencie Skarbu w Waszyngtonie jako doradca do spraw specjalnych dochodzeń. Sporo osób na Wall Street strzeliło sobie tego dnia dodatkowego drinka do obiadu.